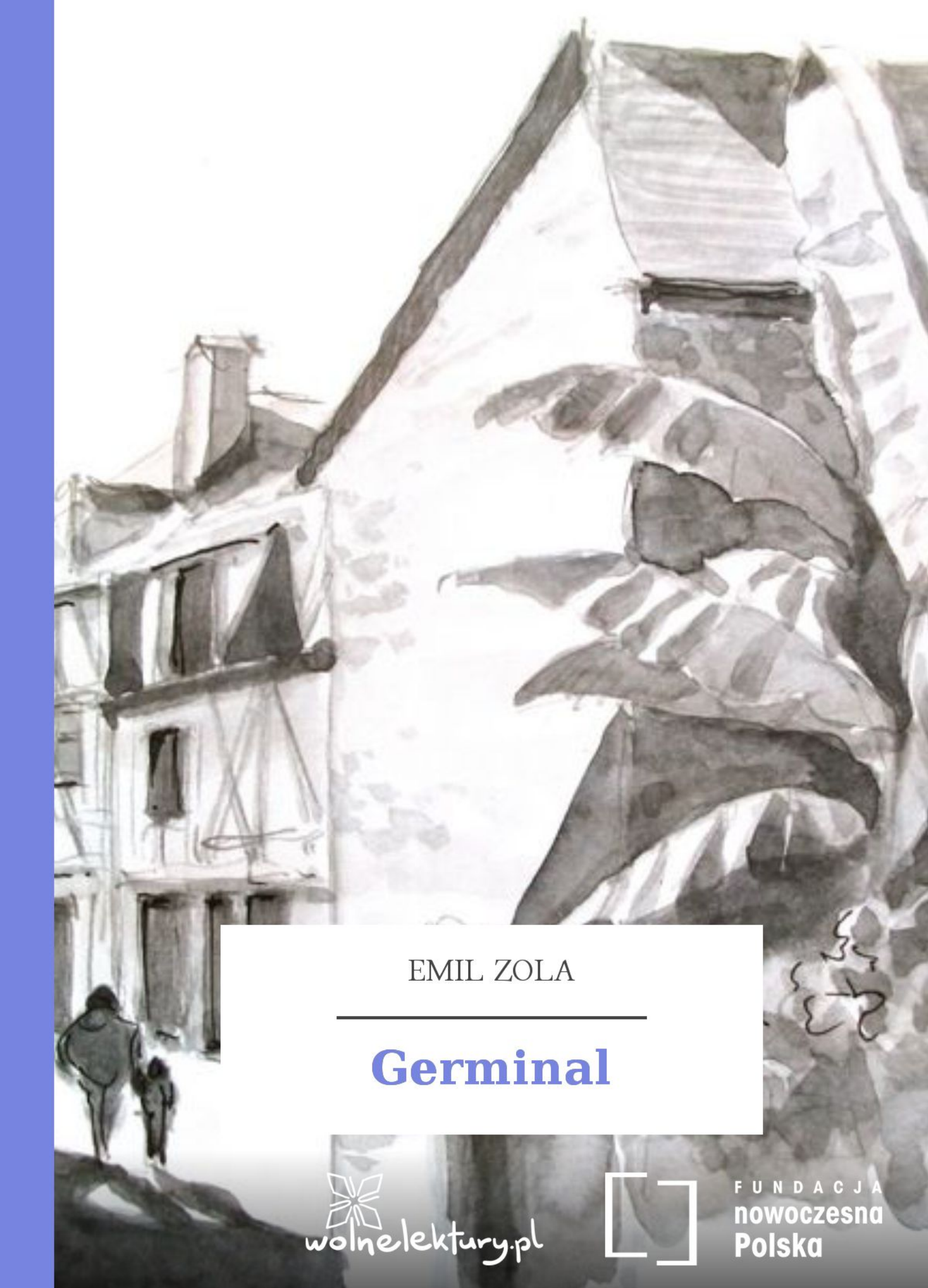


A watercolor illustration of a mining town with a large tree in the foreground. The town features a prominent building with a chimney and a balcony. Two figures are walking in the lower left corner. The tree on the right is large and detailed with dark leaves. The overall style is soft and painterly.

EMIL ZOLA

---

# Germinal

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

EMIL ZOLA

# *Germinal*<sup>1</sup>

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

---

<sup>1</sup>*Germinal* — nazwa pierwszego miesiąca wiosennego w kalendarzu, wprowadzonym w czasie rewolucji francuskiej; kalendarz ten obowiązywał w latach 1793–1805 oraz przez dwa miesiące (Germinal i Floréal) w czasie Komuny Paryskiej w 1871 r.; nazwa pochodzi od fr. przymiotnika *germinal*, oznaczającego coś związanego z kiełkowaniem.

## CZĘŚĆ PIERWSZA

### I

Noc była głęboka, na niebie nie błyszczała ani jedna gwiazda, nie można było rozróżnić przedmiotów na odległość kilku kroków. Droga z Marchiennes do Montsou, biegnąca prosto jak strzelił, przez pola zarosłe burakami szedł człowiek. Nie widział ni drogi, po której kroczył, ni linii horyzontu, gdzie niebo czarne stykało się z równią, tylko wiatr marcowy, gwałtowny, bił go po piersi i twarzy, wiatr, hulający niby po morzu po tych rozłogach, zimny, niosący wilgoć bagien, brutalny, nieustający. Dokoła nic w ciemności, ni sylwetki drzewa, ni zarysów wzgórza, nic.

Człowiek ów wyszedł z Marchiennes około drugiej w nocy, ubrany tylko w cienki bawełniany kaftan i spodnie z wełnianego pluszu, i do tej pory szedł szybkim krokiem, drżąc z zimna. Pod pachą gniótł małe zawiniątko, które mu bardzo zawadzało. Przekładał je ustawicznie i przyciskał do siebie, usiłując obie posiekane od chłodu ręce wsunąć do kieszeni spodni. Miał tylko jedną myśl, nadzieję biednego, bezdomnego robotnika bez pracy, że ze świtem wiatr przycichnie i robi się nieco cieplej. Tak szedł i szedł, aż wreszcie dwa kilometry przed Montsou ujrzał światło trzech palących się na wolnym powietrzu stosów węgla. Umieszczone były one jakby gdzieś wysoko i zdawały się bujać w powietrzu. Zrazu zawahał się niepewny i gotów zawrócić, ale potem poszedł dalej, nie mogąc się oprzeć chęci ogrzania się choćby na chwilę u ognia. Droga skręciła nagle, światła znikły. Teraz po prawej ręce miał parkan zбитy z szerokich desek, u stóp parkanu były szyny, po lewej zaś mały pagórek, spoza którego wyzierały szczyty dachów jakiejś niby wsi w dolinie rozłożonej. Uszedł może ze dwieście kroków, nagle na samym skřęcie ukazały się znowu światła, a podróżny i tym razem nie mógł pojąć, jak mogą palić się tak wysoko na czarnym niebie podobne do dwu kopających tarczy księżycowych. Teraz jednak uwagę jego zwróciło co innego. Na płaskim terenie ujrzał olbrzymią, bezkształtną masę chaotycznie zбитych w jeden kłęb domów, ponad które sterczały w górę kominy. Słabe, zamglone światła lyskały przez szyby, pięć czy sześć latarni chwiało się na belkowaniach, zębatymi czarnymi sylwetkami rysujących się w ciemności niby potworne szkielety. Pograżona w ciemności, otulona chmurą dymu masa ta wydawała z siebie jeden tylko odgłos, ciężkie, głuche dyszenie niewidzialnej maszyny parowej.

Wędrownik rozpoznał nareszcie kopalnię. I zaraz opanowała go myśl przykra, natrętna, że nic mu z tego, bo i tutaj z pewnością roboty nie znajdzie. Zamiast przeto podejść bliżej budynków, skierował się na wzgórze, gdzie tliły w żelaznych koszach węgle, służąc równocześnie jako latarnie i do ogrzewania robotników. Robotnicy musieli widocznie pracować w szachcie do późnej nocy, bo dotąd jeszcze szuflowano miał. Posłyszał teraz turkot wózków kolebkowych na szynach i dostrzegł rysujące się na tle ognia sylwetki ludzi, zajętych ich opróżnianiem.

— Dobry wieczór! — rzekł i zbliżył się do jednego ogniska.

Odwrocony plecami do ognia stał poganiacz. Był to stary człek ubrany w kaftan z fioletowej włóczki, w czapce z króliczej skóry na głowie. Żółty, rosły koń stał jak z kamienia wykuty, czekając na opróżnienie sześciu wózków, które właśnie przywiózł. Pomocnik jednak nie śpieszył się. Był to wysoki, szczupły chłopak, z miną zaspaną. Spod kapelusza wymykały mu się rude włosy, leniwym ruchem naciskał dźwignię i wózki jeden za drugim przechylały się na osiach wysypując swą zawartość. Tu na wzgórzu wiał jeszcze ostrzejszy wiatr. Każdy jego powiew lodowaty ciał twarz jak brzytwą.

— Dobry wieczór! — odparł stary.

Zapanowało milczenie. Przybysz czuł, że patrzą nań podejrzliwie, wymienił więc swe nazwisko.

— Nazywam się Stefan Lantier, jestem maszynistą, nie wie pan, może mógłbym tutaj znaleźć pracę?

Plomień oświecał go teraz jasno. Mógł mieć ze dwadzieścia lat, był to piękny, ciemnowłosy chłopak, a cała postać jego wyrażała siłę i energię.

Poganiacz uspokoił się i odparł potrząsając głową.

— Pracę... tutaj... maszynista? Nie... nie! Wczoraj dopiero zgłaszało się dwu. Nie ma pracy.

Zamilkli obaj, gdyż powiał silny, ostry wiatr. Po chwili Stefan wskazując na ponurą grupę domów u stóp wzgórza spytał:

— To kopalnia węgla? Prawda?

Stary nie mógł zaraz odpowiedzieć. Porwał go silny kaszel, wstrząsający całym jego ciałem. Wreszcie splunął, a flegma na zaróżowioną od ognia ziemię padła czarną plamą.

— Tak, kopalnia węgla, Voreux... Domy robotnicze stoją tutaj opodal... widzi pan?

Ręką wskazał na domy wioski rozłożonej w kotlinie, które Stefan dostrzegł już przedtem. Wózki tymczasem opróżniono, a stary począł iść na sztywnych od reumatyzmu nogach za koniem, który sam, bez bicia ruszył z miejsca i kroczył powoli między szynami ruchem automatu, nie troszcząc się o wiatr, który mu jeżył grzywę i siekł po oczach, piersi, nogach.

Kopalnia Voreux zarysowała się teraz wyraźniej, a Stefan, zapomniawszy grzać sobie ręce u ogniska, rozglądał się dokoła. Rozróżnić mógł już poszczególne części fabryki, sortownie o ścianach jakby posmarowanych mazią, wieże szachtów, obszerne zabudowanie mieszczące maszynę windy, małą czworograną wieżyczkę pompy wodnej. Cała ta w małej kotlinie przyczajona kopalnia, ze swymi niezgrabnymi ceglanyimi budynkami i kominami, co jak rogi groźnego zwierza wznosiły się w górę, wydała mu się w tym mdłym oświetleniu olbrzymim potworem czyhającym na ludzi i pożerającym ich masami. Potem począł myśleć o sobie, o swoim życiu, życiu wagabundy, od kiedy zaczął szukać pracy, to jest od dni ośmiu. Potem ujrzał się na powrót w warsztacie kolejowym w Lille, skąd go wygnano za to, iż pobił przełożonego. W sobotę przybył do Marchiennes, gdzie się spodziewał znaleźć zajęcie w hutach. Ale ani tam, ani w Sonnevillie roboty nie było. Niedzielę spędził ukryty wśród belek wielkiego składu drzewa, skąd go o drugiej w nocy wygnał dozorca. Nie posiadał ni grosza, ni okruszyny nawet chleba. I cóż się z nim stanie na tych ogromnych rozłogach, gdzie nawet schronić się nie ma gdzie przed lodowatym wiatrem? Gdzie iść? Tak — rozmyślał — to kopalnia węgla. Zapatrzył się w grupę budynków fabrycznych, słabo oświetlonych latarniami, gdy nagle otwarły się drzwi kotłowni, buchnęła fala światła, ujrzał jasne paszcze pieców, czarne cielska kotłów i sylwetki ludzkie na tle jasności i pojął teraz dokładnie, że to regularne dyszenie uchodzącej pary nadawało fabryce pozory olbrzymiego, ciężko oddychającego potwora.

Tymczasem pomocnik poganiacza grzał się u ogniska i spoglądał na przybysza. Stefan właśnie zamierzał podnieść swe zawiniątko, gdy głośny kaszel oznajmił mu, że stary wraca. Powoli wylątał się z ciemności wraz ze swym żółtym koniem, ciągnącym sześć wózków naładowanych na nowo.

— Czy są fabryki w Montsou? — spytał Stefan.

Stary splunął znowu czarno i głosem przez wiatr przerywanym odparł:

— O, fabryk tu nigdzie nie brak. Inaczej tu było co prawda przed trzema czy czterema laty! Wszędzie huczały maszyny, nie można było nastarczyć robotników... a jakie były zarobki! Teraz inaczej, trzeba przyciągać paska. Prawdziwa nędza panuje w całym kraju, robotnik nie może znaleźć pracy, fabryki zamykają się jedna po drugiej, może to i nie wina cesarza, ale po co mu było wdawać się w wojnę w Ameryce? Wiedzieć musiał przecież, że tam ludzie i zwierzęta poginą na cholere!

I poczęli obaj żalić się w krótkich, wiatrem przerywanych zdaniach.

Stefan opowiadał dzieje swej tygodniowej, daremnej włóczędzy. Czyż ma umrzeć z głodu? Niedługo roić się będzie po gościńcach od żebraków.

— Tak — mówił stary — to się źle skończy. Bóg się gniewa, że tylu chrześcijan wyrzucono na ulicę.

— Nie co dnia teraz mają ludziska mięso — śmiał się Stefan.

— Ha... żeby tylko co dnia był kawałek chleba — wzdychał stary.

— Tak, tak, żeby chociaż chleb!

Umilkli, wiatr porwał ich słowa i poniósł kędyś daleko z dzikim skowytom.

— Tam! — krzyknął poganiacz wskazując ręką na południe — tam jest Montsou!

Wyciągniętą ręką wskazywał w ciemności jakieś niewidzialne punkty i nazywał je po kolei. Tam, w Montsou pracowała jeszcze cukrownia, ale druga, firmy Hoton, ograniczyła ilość robotników. Zresztą istniała tam jeszcze tylko fabryka mąki, firmy Dutilleul, i fabryka lin, firmy Bleuze, dostarczająca lin do kopalń. Trzymały się jako tako dotąd. Stary zakreślił ręką szeroki łuk ku północy. Tam leży Sonnevillle, mówił, ale warsztaty

Maszyna, Potwór

Bieda, Głód

budowlane nie mają teraz ani trzeciej części dawnych zamówień, dalej w Marchiennes z trzech pieców hutniczych teraz już dwa tylko funkcjonują, a w hucie szkła w Gagebois wybuchnąć ma niebawem strajk, gdyż mówią o obniżeniu płac.

— Wiem, wiem! — powtarzał Stefan. — Byłem tam, byłem!

— U nas — dodał poganiacz — dotąd się wlecze jako tako. Choć i tu zmniejszono płacę, a widzi pan, tam naprzeciwnie, w *Victoire* palą się już tylko dwie baterie koksowe.

Splunął i zaprząwszy na pół śpiącego konia do opróżnionych już wózków oddalił się powoli i znikł w ciemnościach.

Stefan znał teraz całą okolicę. Ciemno było jeszcze wokół, ale gest starego rozwił niejako wszędzie całun nędzy. Rozpościerał on się daleko milami, a Stefanowi zdało się, że podmuchy marcowego wichru hulające po rozłogach niosą na skrzydłach wołanie o ratunek tysięcy ginących z głodu.

Zrywały się coraz to gwałtowniejsze niosąc śmierć, dusząc życie słabo tlejące w pierśsiach wygłodzonych. Stefan opanowany strachem wbił się oczyma w pomrokę, usiłując przedrzeć ją, dostrzec zło, co tam gryzło życie u podstaw, i bojąc się zarazem ujrzeć straszne widziadło. Ale dal czarna była jeszcze nicością, nie miała konturów, czym się stanie, w co obróci, nie można było przewidzieć. Gdzieś tylko w wielkiej odległości tły baterie koksowe, stały szeregiem, w liczbie wielkiej, z kominami sterczącymi w górę, tworząc pasma płomieni, a dwie wieże nieco bardziej na lewo tły niebiesko, jak olbrzymie pochodnie. Zdawało się, że to pogorzel jakaś gigantycznych rozmiarów, lub że to gwiazdy smutne świecące na niebie czarnym krainy węgla i żelaza.

— Pan może z Belgii?

Poganiacz wrócił i rozpoczął na nowo przerwana rozmowę.

Tym razem przywiózł tylko trzy wózki. Poczęto je opróżniać. Wydarzył się wypadek, przy windzie pękła jakaś śruba i na kwadrans robota stanęła. Przesuwacze przestali toczyć wózki po szynach, zapadło milczenie przerywane tylko tępych uderzeniami młota spadającego kędyś w dali na żelazną blachę.

— Nie, pochodzę z południa — odparł Stefan.

Pomocnik rad z przerwy, opróżniwszy wózki, usiadł na ziemi. Milcząc, oczyma bez polysku wpatrywał się w starego, dziwiąc się widocznie, że tyle dzisiaj mówi. Zazwyczaj stary poganiacz nie był wielomówny. Może spodobał mu się obcy przybysz, a może napadła go chwilowa gadatliwość, która skłania starców do rozmawiania z sobą w braku towarzystwa.

— Ja zaś — rzekł — pochodzę z Montsou i nazywam się Bonnemort<sup>2</sup>.

— Bonnemort? — zawołał zdziwiony Stefan. — To pewnie przezwisko?

Stary roześmiał się i rzekł wskazując na kopalnię:

— Tak, tak, trzy razy wyciągano mnie stamtąd... raz z opalonymi włosami, drugi, gdy ziemia zasypała mnie już po pas, trzeci raz wreszcie rozdętego wodą jak żaba. Gdy się przekonano, że nie mogę się zdecydować przenieść na drugi świat, przezwano mnie Bonnemort, ot tak dla śmiechu!

Rozweselony począł się śmiać. Wydawał przy tym odgłos podobny do zgrzytu żle nasmarowanej windy, a wreszcie zakończył strasznym atakiem kaszlu. Płomień ogniska oświetlał teraz jasno wielką jego głowę z rzadkimi białymi włosami i twarz płaską, bardzo bladą, pokrytą niebieskimi plamami. Był małego wzrostu, szyję miał niezmiernie grubą, jakby rozdętą, kolana i stopy wykręcone na zewnątrz i długie sięgające kolan ręce. Zresztą, podobnie jak koń, wydawał się wyciosanym z kamienia. Obaj stali nieruchomo w wietrze szarpającym ich i siekącym niemiłosiernie i zdawało się, że nie czują go, nie słyszą. Gdy się wykaszlał i odchrząknął należycie, splunął opodał ogniska, a na ziemi ukazała się znowu czarna plama.

— Pan długo już pracuje w kopalni? — spytał Stefan.

Bonnemort szeroko roztoczył ręce.

— Długo? Ha, pomyśl pan tylko! Miałem osiem lat, gdym pierwszy raz zjechał do kopalni Voreux, a teraz mam pięćdziesiąt osiem. Porachuj pan. Robiłem tam na dole wszystko. Naprzód byłem chłopcem do pomocy, potem przesuwaczem, potem przez

Imię, Śmierć,  
Niebezpieczeństwo

Robotnik

<sup>2</sup>Bonnemort — tyle co truposz, przezwisko.

osiemnaście lat hajerem<sup>3</sup>, potem z powodu tych przeklętych nóg Kompania przeznaczyła mnie do kopania ziemi, pełnienia miału, poprawek rozmaitych, aż wreszcie wyjechałem na dobre na wierzch, bo doktor powiedział, że inaczej muszę tam na dole umrzeć. Już, widzisz pan, od pięciu lat jestem poganiaczem! Ha, co? Piękna to porcja, pięćdziesiąt lat pracy w kopalni, a z tego czterdzieści pięć na dole.

Wypadające od czasu do czasu z żelaznego kosza węgle, tłąc na ziemi, rzucały na jego bladą twarz purpurową lunę.

— Każą mi pensjonować<sup>4</sup> się — mówił dalej. — Ale nie głupim, ho, ho, nie głupim! Wytrzymam przecie może te dwa jeszcze lata do sześćdziesiątki. Wówczas dostanę sto osiemdziesiąt franków pensji<sup>5</sup>. Gdybym chciał iść dziś, daliby mi z pocałowaniem ręki sto pięćdziesiąt. Ho, ho... chytre to bestie! Zresztą prócz tych przeklętych nóg zdrów jeszcze jestem i silny. Widzi pan, tam na dole dokucza bardzo woda. Włazła mi bestia pod skórę i są dni teraz, kiedy nie mogę ruszyć nogą, bym nie krzyczał na całe gardło z bólu.

Przerwał mu nowy atak kaszlu.

— I z tego pan także kaszle? — spytał Stefan.

Ale stary pokręcił przecząco głową. Potem, gdy mógł znowu mówić, objaśnił:

— Nie, nie z tego. Zeszłego miesiąca przeziębilem się trochę. Nigdy dotąd nie kaszlałem, teraz nie mogę się tego pozbyć. I co komiczne, to to, że ciągle muszę pluć, ciągle pluć.

Odkrząknął i splunął znów czarno.

— Czy to krew? — spytał Stefan.

— Nie, to węgiel. Mam tego tyle w środku, że mógłbym do końca życia w piecu palić. A przecież już od pięciu lat nie byłem krokiem tam na dole. Muszę mieć ładny zapas, nie ma co mówić! Ale to człowieka trzyma, ha?

Zapanowało milczenie. Z głębi kopalni dochodził głuchy tętent kujących młotów, wicher wył jakąś wielką, żalobną skargę, krzyczał, że ciemno, że głód, że znużenie ciężą ziemi. Ogień w koszu żelaznym przygasał, a przy jego słabych blaskach stary ciągnął dalej.

Tak, tak, i on, i jego rodzina nie od wczoraj pracują w kopalni. Od samego początku istnienia przedsiębiorstwa, wszyscy pracowali dla Kompanii w Montsou, dawno już temu weszli w jej służbę, przed stu sześcioma laty. Dziad, Wilhelm Maheu, będąc piętnastoletnim chłopcem, odkrył pokłady węgla w Requillart. Była to pierwsza kopalnia Kompanii, dziś już opuszczona. Leży niedaleko cukrowni firmy Fauvelle. Wszyscy o tym wiedzą, a kto by nie wierzył, dowieść mu tego powinien fakt, że ku czci dziada nazwano pierwszy szacht szachtem *Wilhelma*. Bonnemort nie pamiętał go, ale opowiadano mu, że był to silny, barczysty człowiek i umarł ze starości w sześćdziesiątym roku życia. Ojciec, zwany *Rudy*, w wieku lat czterdziestu zginął w kopalni w Voreux. Wydarzyła się katastrofa, wszystko niemal zapadło się dnia jednego i bardzo dużo krwi ludzkiej wsiąkło w skały, wiele pogruchotało się kości. Dwaj wujowie i trzech bracia padli niedługo potem ofiarą, a on, Wincenty Maheu, ocalał, postradawszy tylko siłę w nogach, i to uważali wszyscy za wielkie szczęście. Ha, cóż robić? Pracować trzeba! Pracowano też w kopalni z ojca na syna, pocieszając się tym, że w każdym zawodzie trafiają się wypadki. A oto i teraz syn jego, Toussaint Maheu, i wnuki, i bratanki pracują w kopalni. Mieszkają ot tam, w kolonii robotniczej. Ha, sto sześć lat pracy u jednego chlebodawcy, cztery pokolenia pracy, to nie igraszki, nie jeden mieszcuch nie mógłby tyle powiedzieć o swojej rodzinie.

— Tak, tak, byleby było co jeść — wymruczał Stefan znowu.

— Właśnie do tego mówię — odparł stary. — Póki jest chleb, można żyć!

Bonnemort zamilkł i zwrócił oczy na kolonię robotniczą. W oknach domów poczęły błyskać światła. Z wieży Montsou wybił zegar czwartą. Oziębilo się jeszcze bardziej.

— A czy bogata ta wasza Kompania? — spytał Stefan.

Stary podniósł w górę ramiona, a potem opuścił je znowu gestem, jak gdyby ugiął się pod ciężarem złota.

— No, naturalnie! — rzekł. — Może nie tyle ma pieniędzy, co sąsiadka w Anzin, ale posiada i tak grube miliony. Ani porachować! No bo jakże? Dziewiętnaście kopalń, z czego trzynaście w eksploatacji. Voreux, Victoire, Crèvecoeur, Mirou, Saint-Thomas,

<sup>3</sup>hajer (gw.) — górnik przodkowy.

<sup>4</sup>pensjonować się — dziś: iść na emeryturę.

<sup>5</sup>pensja — tu: emerytura.

Madeleine; Feutry-Cantel i wiele innych. Dziesięć tysięcy robotników, koncesje na obszarach sześćdziesięciu gmin, dzienna produkcja pięć tysięcy ton, wreszcie kolej łącząca wszystkie kopalnie, a ile warsztatów, fabryk, ani zliczyć, ani zliczyć! Ho, ho, złota im nie brak!

Zadudniły po szynach wózki, żółty koń nastawił uszy. Wiatr widocznie już naprawiono, a przesuwacze wzięli się na nowo do roboty. Starzec zaprzął konia do pustych wózków i gotując się do odjazdu, rzekł doń głosem miękkim:

— A próżniaku jakiś, znowu mielesz językiem, znowu wdajesz się w pogadanki. Hej, gdyby tak pan Hennebeau wiedział, na czym czas tracisz, dałby ci on!

Stefan zapatrzył się w ciemność. Nagle rzekł:

— Więc kopalnia jest własnością pana Hennebeau?

— Ale gdzie tam! — odparł stary — pan Hennebeau jest tylko generalnym dyrektorem. Opłacają go podobnie jak i nas.

Stefan wskazał ręką wokół.

— Więc czyż to wszystko?

Bonnemort dostał nagle takiego ataku kaszlu, że długą chwilę mówić nie mógł. Gdy się wreszcie uspokoił i otarł z ust czarną pianę, odparł, walcząc z wiatrem, który szalał teraz ze zdwojoną gwałtownością.

— Ha, czyje to? Ano nie wiadomo... ludzkie!

I ręką wskazał w ciemności, punkt jakiś, odległe niewidzialne miejsce, kędy mieszkają ci, dla których rodzina Maheuów od stu lat przeszło pracuje i życie niesie w ofierze. Głos jego drżał, przebijał w nim strach zabobonny, jak gdyby mówił o świętości, o niedostępnym przybytku, gdzie w chwale nasycenia żyje potężny Bóg, niewidzialny dla swych sług, którym zabiera życie i zdrowie, ilekroć mu się tak uczynić spodoba.

— Tak, tak, byle mieć chleb! — powtórzył po raz trzeci bez związku Stefan.

— Ha, ha, gdyby się miało codziennie chleb, byłoby dobrze... oj dobrze!

Koń znikł w ciemnościach, a za koniem powłókł się stary inwalida, ale pomocnik nie ruszył się z miejsca. Siedział na ziemi nieruchomy, zwinięty w kłębek z brodą ukrytą między kolanami, z zagasłym wzrokiem, w przestrzeń utkwionym.

Stefan podniósł z ziemi swe zawiniątko, ale nie ruszał się z miejsca. Czuł, że grzbiet jego odrętwiał od zimnego wiatru, podczas gdy piersi palił mu żar ogniska. A może by, myślał, mimo wszystko zwrócić się do zarządu kopalni. Stary był może źle poinformowany. Zresztą zadowolił się byle czym, przyjmie każdą pracę. Inaczej, gdzież pójdzie i co się z nim stanie w tej ogłodzonej okolicy, gdzie nie było pracy dziesięć mil wokół. Ale strach go ogarnął na myśl o tej kopalni Voreux, co w czarny całun nocy okryta leżała na pustkowiu. Wiatr dał coraz zacieklej, jakby z coraz większych szedł dali, na niebie dotąd nie ukazał się brzask, pusto było, czarno, strasznie, tylko piece i koksowe ogniska rzucały lunę, barwiąc krwawo ciemności, ale nie rozświecając tajemniczych rzeczy, co drzemały w ich toni. Kopalnia przyczajona, jak zła stwora jakaś, dyszała coraz to potężniej, jak gdyby dostała astmy, obżarłszy się zbyt ciałami ludzkimi.

Własność, Pan

Potwór, Organizm

## II

Kolonia robotnicza, położona wśród pól obsianych zbożem i burakami, spała dotąd. Można już było dostrzec kontury czterech grup ustawionych w rzędy domków podobnych do kasarni<sup>6</sup> czy szpitali. Stały w równoległych szeregach rozdzielone szerokimi ulicami, przed każdym zaś leżał mały ogródek. Spało tam dwustu czterdziestu ludzi. W głębokiej ciszy skrzypiały tylko targane wichrem żelazne sztachety i siatki odgradzające ogródki od siebie.

Pod numerem szesnastym, w mieszkaniu rodziny Maheuów cisza panowała, ciemność nieprzebita zaległa izbę sypialną na piętrze, gdzie spało w ciasnocie mnóstwo ludzi zmęczonych śmiertelnie, ledwo mając czym oddychać. Mimo zimna panującego na świecie powietrze miało tu wysoką, dławiącą ciepłość, jaką mają wszelkie ciasne pomieszczenia napelnione ludźmi.

<sup>6</sup>kasarnia (daw.) — koszary.

Kukulka zegara w izbie parterowej odezwała się cztery razy. Ale nikt się nie ruszył. Rozlegały się tylko oddechy i przyciszone chrapanie. Nagle zerwała się z łóżka Katarzyna. Z przyzwyczajenia przez sen policzyła cztery uderzenia zegara dolatujące z sąsiedztwa i podniosła się, nie mając jednak siły rozbudzić się zupełnie. Wysunęła spod kołdry nogi, poszukała zapalek i zapaliła świecę. Ale nie wstała z łóżka. Głowa jej leciała w tył, chwiała się między ramionami instynktownie usiłując opaść na poduszki.

Przy blasku świecy widać było izbę o dwu oknach. Stały w niej trzy łóżka, szafa, stół i dwa krzesła. Poczerniałe od zużycia i starości meble jaskrawo odcinały się od żółto lakierowanych ścian. Prócz tego umeblowania nie było nic. Na ścianach tylko wisiała odzież i na kuchennym przypiecku stał dzbanek obok czerwonej miski służącej za miednicę<sup>7</sup>. W łóżku na lewo spał najstarszy Zachariasz, chłopak dwudziestoletni, wraz ze swym jedenastoletnim bratem Jeanlinem. Na prawo leżało dwoje malców, Lenora i Henryś, objawszy się za szyję. Dziewczynka miała sześć lat, chłopak cztery. Wreszcie trzecie łóżko zajmowała Katarzyna wraz z dziewięcioletnią Alzirą, która była na swój wiek tak mała i wątła, że gdyby nie wielki garb kaleki, który uciskał Katarzynę w nocy, byłaby nie czuła jej nawet obok siebie. Przez szklane otwarte drzwi widać było wąską sionkę, w której stało czwarte łóżko zajęte przez ojca i matkę, a obok niego kołyska z najmłodszą, dopiero trzymiesięczną Estellą.

Katarzyna siedząc na łóżku czyniła rozpaczliwe wysiłki, by się rozbudzić, przeciągała się, prostowała, zanurzała dłonie w rudych włosach, spadających jej na czoło i na kark. Była na swe piętnaście lat szczupła. Z wąskiej koszuli wysuwały się tylko sinawe, jakby plamami węgla pokryte nogi i ramiona śnieżnej białości, odcinające się wyraźnie od ziemistego koloru twarzy, której skóra codziennie gryziona czarnym, ostrym mydłem pokryła się zmarszczkami i zniszczyła. Ziewnęła, ukazując w oprawie za szerokich nieco ust przepyszne białe zęby i blade, anemiczne dziąsła. Walczyła ze snem. W szarych jej oczach mających wyraz bólu i wyczerpania ukazały się łzy. Łamało się całe jej ciało, usiłując opaść na pościel.

Z łóżka rodziców rozległ się pomruk. Zakatarzonym głosem począł gderać Maheu.

— Tam do diabła! Już czas! Zapaliłeś światło, Katarzyno?

— Zapaliłam, ojcie. Wybiła właśnie czwarta.

— Prędko, prędko, śpiesz się leniu! Gdybyś była wczoraj mniej tańczyła, zbudziłabyś nas wcześniej dzisiaj. A to próżniak! — Mruczał dalej, ale sen go wnet zmorzył, słowa stawały się coraz mniej wyraźne, począł chrapać.

Dziewczyna wstała i poczęła boso, w koszuli krzątać się po izbie. Przechodząc obok łóżka malców, narzuciła na nich kołdrę, która się zsunęła. Nie zbudzili się pogrążeni w głębokim śnie. Alzira otworzyła oczy i nie wyrzekłszy ani słowa obróciła się, zajmując ciepłe jeszcze miejsce po starszej siostrze.

— Hej, Zachariaszu, i ty, Jeanlin! — zawołała Katarzyna, stojąc przy łóżku braci, którzy spali twarzami w poduszce.

Musiła wziąć starszego za ramię i trząść nim. Począł kląć półgłosem, więc przyszło jej co innego na myśl. Jednym pociągnięciem zerwała z obu kołdrę i poczęła się śmiać na widok, jak obaj fikają niecierpliwie gołymi nogami.

— Idź, nie rób głupstw! — zawołał Zachariasz, siadając na łóżku. — Nie lubię żartów! Psiakrew... że też wyspać się nawet nie można.

Był chudy, cienki, długi, na twarzy jego rosły kępki włosów, wyglądające jak rude plamy, i sterczał na niej duży, bezkrwisty nos. Ściągnął koszulę, która mu się aż pod brodę zsunęła, nie dlatego, by nakryć nagi brzuch, ale dlatego, że poczuł chłód.

— Wybiła czwarta! — powtarzała Katarzyna. — Dalej, wstawajcie! Ojciec będzie się gniewał!

Jeanlin zwinął się w kłębek, zamknął oczy i rzekł:

— Idź sobie... chce mi się spać!

Zaśmiała się dobrodusznie. Jeanlin był mały, członki jego o nabrzmiałych skutkiem skrofulów stawach były tak drobne, dziecięce, że objawwszy go ramionami podniosła bez trudu z łóżka. Począł się wyrывać, ziemista twarz jego, na której świeciły zielone oczy,

---

<sup>7</sup>miednica — tu: miska do mycia.

pobladła ze złości. Czuł się upokorzony, słaby. Nie rzekł nic, tylko wilczkiem ukąsił ją w prawą pierś.

— Szkaradniku jakiś! — zawołała tłumiąc okrzyk bólu, i postawiła go na ziemi.

Alzira, podciągając koldrę pod samą brodę, spoglądała dokoła. Mądrymi oczyma śledziła każde poruszenie braci i siostry, ubierających się teraz. Powstał na nowo spór przy miednicy. Chłopcy szturchali dziewczynę, gdyż za długo się myła. Bez ceremonii podnosili koszule i posługiwali się nocnikiem, z obojętnością psów chowających się razem. Katarzyna ubrała się pierwsza. Wdźiała spodnie robocze, kaftan płócienny, czapkę niebieską i wyglądała w tym, przy poniedziałku jeszcze czystym ubraniu, na młodego, ładnego chłopca. Płeć jej zdradzało tylko lekkie kołysanie w biodrach, gdy chodziła.

— Będzie kontent stary, znalazłszy za powrotem zimne łóżko! — mruczał Zachariasz ze złością. — Powiem, żeś ty to zrobiła. Pamiętaj sobie!

Miał na myśli dziadka Bonnemort, który pracował całą noc, a spał we dnie, tak że łóżko nie było nigdy puste. Ciągłe w nim ktoś chrapał.

Nie odpowiadając, Katarzyna rozpostarła koldrę i obetkała nią siennik dokoła. Od chwili w sąsiednim mieszkaniu ruszać się poczęto. Domki robotnicze wystawiono możliwie najtaniej, mury były więc tak cienkie, że słyszeć było każde słowo, każdy szelest. Rodziny trącały się przeto niejako łokciami i żaden szczegół życia nie został w ukryciu. Nawet dzieci wiedziały wszystko szczegółowo. Na schodach rozległo się ciężkie stąpanie, potem szelest, jakby ktoś kładł się na pościeli z westchnieniem ulgi.

— Aha — odezwała się Katarzyna — Levaque schodzi po schodach, a Bouteloup kładzie się na zmianę do łóżka pani Levaque.

Jeanlin zrobił złośliwą minę, a nawet oczy Alziry zabłysły. Co rana zabawiali się historią małżeństwa we troje za ścianą u sąsiada, który był hajerem i miał robotnika ziemnego za lokatora. Żona jego miała w ten sposób dwu mężów, jednego na noc, drugiego na dzień.

— Filomena kaszle! — ciągnęła Katarzyna, dalej podsłuchując pod ścianą.

Mówiła o najstarszej córce Levaque'ów, wysokiej, dziewiętnastoletniej kochance Zachariasza, z którym miała już dwoje dzieci. Była chora na piersi. Dano jej zajęcie w sortowni, gdyż nie byłaby zniosła pracy w kopalni.

— E, co tam Filomena! Ona sobie nic z tego nie robi. Śpi do szóstej. A to dopiero próżniacze życie!

Ubrał się, poszedł do okna i tknięty nagle jakąś myślą otworzył je. Dzień wstawał. Kolonia robotnicza budziła się. W każdym oknie ukazywały się światła. Zachariasz wychylił się, sądząc, że może ujrzy, jak z domku mieszkającego naprzeciwko Pierrona wyjdzie Dansaert, zarządca kopalni. Utrzymywała się bowiem w kolonii plotka, że ów Dansaert dotrzymuje pani Pierron towarzystwa w nocy. Ale Katarzyna zauważyła, że Pierron od wczoraj zajęty jest we dnie, więc Dansaert spać musiał u siebie. I poczęli się klócić, gdyż każde upierało się przy swoim. Lodowate powietrze wdzierало się tymczasem do izby, ale nie czuli tego rozgrzani rozterką słowną. Dopiero krzyk Estelli, która się zbudziła skutkiem zimna, przypomniał im otwarte okno.

Maheu zerwał się nagle z pościeli. Cóż to mu się znowu stało? Znowu zaspał jak ostatni nicpoń. Począł kląć tak dosadnie, że dzieci umilkły, nie śmiejąc ust otworzyć. Zachariasz i Jeanlin kończyli się myć. Ruszali się przy tym powoli, jak gdyby nigdy nie mieli skończyć. Alzira wciąż patrzyła dokoła wielkimi, mądrymi oczyma. Tylko Lenora i Henryś spali dalej we wzajemnych uściskach i oddychali równo, nie słysząc wcale zgielku.

— Katarzyno, podaj mi świecę! — zawołał Maheu.

Zapięła kaftanik i zaniósła ojcu świecę. Bracia mogli skończyć się ubierać przy świetle wpadającym przez szklane drzwi. Ojciec wyskoczył z łóżka. Katarzyna jeszcze bez trzewików, w grubych wełnianych pończochach, zeszła po omacku do drugiej izby na dole i zapaliła świecę. Poczęła przyrządzać śniadanie. Saboty całej rodziny leżały tutaj pod szafarnią<sup>8</sup>.

— Stulisz ty gębę, bębnie! — wrzasnął Maheu rozwścieczony ustawicznym krzykiem Estelli.

Małego wzrostu, jak stary Bonnemort, podobny był doń zresztą zupełnie. Taką samą miał wielką głowę, płaską ziemistą twarz i żółte, krótko ostrzyżone włosy. Dziecko

<sup>8</sup>szafarnia — tu: spiżarnia; szafka na jedzenie.

przeżalone wielkim muskularnym ramieniem, które ujrzało ponad sobą, krzyczało jeszcze mocniej.

— Daj jej spokój! Wiesz, że to na nic! — odezwała się jego żona i rozłożyła się na środku łóżka.

Zbudziła się od chwili i poczęła narzekać, że nigdy nie dadzą jej się wyspać. Czyż nie mogą wstać cicho i iść do roboty? Zatonęła cała pod kołdrą i widać było tylko jej twarz o grubych rysach. Musiała być niegdyś piękna, ale dziś ta trzydziestodwuletnia kobieta skutkiem długich lat niedostatku i siedmiorga dzieci była ruiną.

Z oczyma utkwionymi w sufit mówiła do ubierającego się męża. Żadne zresztą nie zwracało uwagi na małą, siniejącą od krzyku.

— Wiesz — mówiła pani Maheu — że nie ma w domu ni grosza, a dziś dopiero poniedziałek. Sześć dni jeszcze do wypłaty dwutygodniowej. Tak iść dalej nie może. Wszyscy razem przynosicie do domu dziewięć franków. Jakże ma to wystarczyć? Przecież nas jest dziesięcioro?

— O — zawołał Maheu — jak to? Dziewięć franków? Ja i Zachariasz po trzy, to znaczy sześć, Katarzyna i ojciec po dwa, to jest cztery... sześć i cztery to dziesięć, a Jeanlin franka, to razem czyni jedenaście!

— Tak, jedenaście, ale nie liczysz świąt i niedziel. Nigdy nie dostaję więcej jak dziewięć... rozumiesz?

Nie odpowiadał, zajęty szukaniem po ziemi swego skózanego paska.

Po chwili wyprostował się i rzekł:

— No, no, nie trzeba się skarżyć. Jestem jeszcze zdrow i silny. Niejeden, co ma jak ja czterdzieści dwa lata, ruszać już nie może nogami.

— Rozumie się, mój stary — odparła żona — ale to nam nie przysporzy chleba... No powiedz, co mam począć... Może ty masz jeszcze co pieniędzy?

— Mam dwa sous.

— Schowaj je sobie na szklankę piwa! Mój Boże, co ja pocznę? Sześć dni jeszcze, to okropność. Maigrat pokazał mi wczoraj drzwi, winniśmy mu już sześćdziesiąt franków. Ha, cóż robić, pójdę do niego jeszcze raz, ale jeśli się uprze i odmówi nam kredytu?

I skarżyła się dalej nie ruszając się z pościeli, przymykając tylko chwilowo oczy, gdyż ją raziło światło. Opowiadała szeroko o pustej szafarni<sup>9</sup>, o tym, że malcy domagają się podwieczorku, że kaszy już nawet nie ma w domu, że z wody tutejszej dostają ludzie kolek, że wreszcie chyba przez te sześć dni żyć będą chyba liśćmi kapusty gotowanymi w wodzie. Musiała podnieść głos, gdyż krzyk Estelki głużył jej słowa. Krzyk ten stał się wreszcie niemożliwym do zniesienia. Maheu rozwścieklony porwał dziecko z kołyski, rzucił je na łóżko i wrzasnął wściekły:

— Weź ją, bo chyba zabiję gadzinę! Przeklęty bęben! Nic temu nie brak, może ssać, a drze się głośniejsze od innych.

Estelka szukała też już piersi matczynej. Gdy ją matka wzięła pod kołdrę, uspokoiła się zaraz i słychać było już tylko mlaskanie chciwych pokarmu warg.

— Pamiętasz przecież, że właściciele Piolaine kazali ci przyjść! — poczał ojciec po krótkim milczeniu.

— Tak, spotkałam ich. Rozdają biednym dzieciom suknie.

Zrobiła gest niechęci i zwątpienia.

— Zresztą zaprowadzę tam dziś Lenorę i Henrysia. Ach, gdyby mi tak dali pięć franków!

Znowu zapanowało milczenie. Maheu skończył się ubierać. Chwilę stał bez ruchu, potem zakończył rozmowę.

— Ha, cóż chcesz... inaczej być widać nie może. Trzeba się z tym pogodzić. I na cóż się zresztą przyda gadanie... lepiej pójdę do roboty.

— Pewnie — odparła żona. — Zgaś tylko świecę, nie potrzebuję przecież wiedzieć, jakiego koloru są moje myśli.

Zgasił świecę i poszedł za Zachariaszem i Jeanlinem na dół.

Schody zatrzęsły się pod ich nogami, ubranymi w grube, wełniane pończochy. Izba górna pograżyła się znów w ciemności. Dzieci spały... nawet Alziry powieki zamknęły się,

---

<sup>9</sup>szafarnia — tu: spiżarnia.

tylko matka leżała w ciemności z oczyma utkwionymi w powałę i rozmyślała, podczas gdy Estelka ssła jej zwiędłą, wiotką pierś mrużąc jak kocię.

Na dole Katarzyna gotowała śniadanie. Na blasze małej kuchenki tły bez przerwy na żelaznym ruszcie węgle. Kompania wydzielala co miesiąca dla każdej rodziny osiem hektolitrow niewyżytków węgla. Twarde węgle nie chciały się palić, więc dziewczyna nie gasiła ognia na wieczór, ale przykrywała go, by rano rozniecić dodając parę kawałków dobrego węgla. Postawiwszy na ruszcie sagan z wodą, otworzyła szafarnię.

Izba dolna była dość obszerna, zajmowała bowiem całą szerokość domu. Ściany były malowane jasnozielono, podłoga czysto wymyta, posypana piaskiem. Panowała tu iście holenderska czystość. Prócz szafarni z lakierowanej jedliny stał tu jeszcze stół i kilka krzeseł. Na ścianach widniały jaskrawe obrazki. Były to dane przez Kompanię portrety cesarza i cesarzowej, ryciny przedstawiające żołnierzy i świętych w obficie złożonych obwódkach, odcinające się ostro od nagich ścian. Izbę zdobił tylko zegar z kukułką jaskrawo malowany, którego tykot rozlegał się ciągle, oraz różowe pudełko stojące na szafarni. Obok drzwi wiodących do sypialni na górę były drzwi do piwnicy. Mimo wzorowego porządku w powietrzu czuć było duszący odór cebuli oraz zaduch z węgla.

Katarzyna zamyśliła się przed otwartą szafarnią. Była tam już tylko resztki chleba i spory kawałek sera. Ale masła nie było więcej jak na jedną kromkę. A trzeba było zrobić dla wszystkich czworga *kanapki*. Wreszcie wzięła nóż, ukroiła kromkę, położyła na niej ser, potem ukroiła drugą, pociągnęła ją odrobiną masła i zlepiła razem. Była to *kanapka*, jaką każdy robotnik brał ze sobą rano do kopalni. Niebawem na stole leżały wszystkie cztery, począwszy od wielkiej dla ojca, skończywszy na małej dla Jeanlina, ukrojone najsprawiedliwiej w świecie.

Mimo że była bardzo zajęta swą robotą, nie zapomniła widzieć historii o nadzorcy i pani Pierron, o której mówił Zachariasz, gdyż uchyliła drzwi wejściowych i wyjrzała ciekawie.

Wiatr dął lodowaty. W każdym domu kolonii robotniczej błyszczwały światła i dolatywał szmer budzących się do pracy ludzi. Tu i ówdzie drzwi się otwierały i czarne szeregi robotników snuły się już po ulicach, ginąc w mrocznej jeszcze dali. Przyszło jej na myśl, że daremnie naraża się na przeziębienie, bo nakładacz Pierron śpi sobie najspokojniej, gdyż dopiero o szóstej wstać ma do roboty. Mimo to jednak stała, spoglądając po kolei na domy. Jakies drzwi się otworzyły... właśnie u Pierronów... zaczerwieniła się z ciekawości. Ale to nie był Dansaert, tylko mała Lidia idąca do kopalni.

Syk wody pryskającej na węgle przypomniał jej o śniadaniu. Zamknęła drzwi i podbiegła do kuchni, gdzie woda z sagana rozlewała się na ogień, gasząc go. Nie było w domu kawy, musiała więc zalać wodą wczorajsze fusy. Osłodziła potem tę kawę nędznym, żółtym cukrem i w tejże chwili weszli do izby bracia i ojciec.

— Psiakrew! — zaklął Maheu powąchawszy swą kawę. — Nie ma się co obawiać, by nas z tego miała głowa rozboleć.

Wzruszył z rezygnacją ramionami i rzekł:

— Ha, przynajmniej gorące... i to coś warte!

Jeanlin pozgarniał okruchy chleba, wsypał sobie do kawy, robiąc z niej w ten sposób rodzaj zupy. Katarzyna, skończywszy swą porcję, resztę kawy zalała do blaszanych manierek. Wszyscy czworo jedli i pili szybko przy migotliwym świetle kopającej świecy.

— No, wreszcie jesteśmy gotowi! — zawołał ojciec. — Wcale dobre... wcale... najedliśmy się niby rentierzy.

Wtem z górnej izby, od której drzwi nie zamknięto, rozległ się głos matki:

— Weźcie resztę chleba ze sobą... mam dla dzieci trochę klusek.

— Dobrze, dobrze! — odparła Katarzyna.

Przykryła na nowo ogień i postawiła na ruszcie resztę wczorajszej zupy dla dziadka, gdy wróci do domu o szóstej. Wszyscy włożyli saboty, zarzucili manierki z kawą na plecy i powkładali swe *kanapki* między koszule a kaftany. Każde miało teraz na plecach mały garb z chleba. Wyszli, mężczyźni naprzód, dziewczyna za nimi, zgasiwszy po drodze świecę i przekręciwszy klucz w zamku. W domu zapanowały znów ciemności i cisza.

— Ha, ha, ha, znowu wychodzimy razem! — zaśmiał się ktoś zamykający drzwi sąsiedniego domu.

Chleb

Był to Levaque idący do roboty wraz z synem Bébertem, wielkim przyjacielem Jeanlina. Katarzyna zdziwiona stłumiła śmiech i szepnęła Zachariaszowi do ucha:

— A to wyśmienite! Więc Bouteloup nie czeka nawet na odejście Levaque'a, by wleźć do łóżka jego żony!

Światła w kolonii pogasły. Zamknęły się ostatnie drzwi i za chwilę znowu w izbach spały dzieci i kobiety w wygodniejszych teraz, obszerniejszych łóżkach. A drogami wiodącymi do kopalni snuły się szeregi cieniów. Wiatr dął z wściekłością, szarpiąc kaftanami idących do pracy robotników. Szli z rękami założonymi na piersiach, drżąc z zimna, a na plecach każdego sterczała *kanapka*. Ale smagani lodowatym wiatrem nie przyśpieszali kroku. Obojętni, pochyleni tłoczyli się po drogach niby wielki tabun bydła pędzony kędyś daleko.

### III

Stefan zstąpił ze wzgórza i wszedł na terytorium kopalni. Ludzie, których się pytał o pracę, kręcili głowami i mówili, by czekał na przybycie dozorczy. Błąkał się więc pomiędzy budynkami. Były słabo oświetlone, mimo to jednak dostrzegł mnóstwo otworów czarnych, wielkich drzwi wiodących do labiryntu krużganków, sal, pięter. Wszedł na jakieś chwiejące się wółprzegnięte schody i dostał się na wąską ścieżkę z desek. Przeszedł przez sortownie, tak dotąd ciemne, że musiał wyciągnąć przed siebie ręce, by się o coś nie uderzyć. Nagle w ciemności zabłysła para ogromnych żółtych oczu i Stefan znalazł się pod wieżą szachtu, w hali kontrolnej u samego wejścia do kopalni.

Dozorca, ojciec Richomme, grubas o wyglądzie dobrotliwego żandarma, z siwym wąsem, zbliżył się właśnie do biura kontrolera.

— Może potrzeba robotnika... do jakiegokolwiek roboty! — odezwał się Stefan.

Richomme chciał powiedzieć: nie — ale namyślił się i nie zatrzymując się rzekł jak inni:

— Proszę zaczekać na pana Dansaerta, starszego nadzorcę.

Świeciły tu cztery latarnie, których potężne reflektory całe światło kierowały na wejście do kopalni. W ich blasku ostro odcinały się kontury żelaznych ramp, dźwigni sygnałowych, zasuw i bierwion dębowych stanowiących rusztowanie, wśród którego ślizgały się klatki windy, zapadając i ukazując się znowu nad ziemią. Reszta olbrzymiej budowli, podobnej do nawy kościoła, ciemna była, ale wypełniały ją ruchome cienie. W głębi błyszczał magazyn lamp, w biurze zaś kontrolera paliła się żółta mała lampka podobna do gasnącej gwiazdy. Zjazd rozpoczął się właśnie, a żelazna podłoga budynku tętniła ciągle krokami ludzkimi i trzęsła się pod kołami wózków, za którymi biegli przesuwacze pochyleni tak, że tylko ich pośladki dostrzec było można w ruchliwym chaosie cieniów.

Przez chwilę Stefan stał nieruchomy, olśniony, odurzony. Czuł, że drętwieje, gdyż lodowate powietrze płynęło tu ze wszystkich stron.

Potem pociągnął go widok maszyny, której stalowe i mosiężne członki połyskiwały jak złoto i srebro. Stała wyżej trochę, może ze dwadzieścia metrów nad poziomem hali w głębi zjazdu i spoczywała tak mocno na swoim kamiennym fundamencie, że, mimo iż szła pełną parą, pracując siłą swych czterystu koni parowych, nie trzęsły się mury budynku przy wznoszeniu się i opadaniu jej olbrzymich dźwigni. Maszynista stał z ręką na korbie, zasluchany w dźwięk dzwonka sygnałowego, z oczyma utkwionymi w indykator, na którym wyrysowana była kopalnia z wszystkimi swoimi piętrami. Wisiały na nim na nitkach kawałki ołowiu i poruszały się w górę i na dół, obrazując w ten sposób ruch samej windy. Za każdym zjazdem i wyjazdem obracały się potężne pięciometrowe koła, na których osi osadzone były grube walce. Na walce te nawijała się lina stalowa i rozwijała znowu z taką szybkością, że wydawała się oczom szarym pyłem.

— Baczność! Na bok! — krzyknęło Stefanowi za uchem trzech robotników dźwigających olbrzymią drabinę.

Mało go nie rozgnietli. Powoli jednak oczy jego oswoiły się z półmrokiem i ujrzał, jak długie, trzydziestometrowe liny snuły się w górę wieży, przepływały na walce, by po drugiej stronie zanurzyć się pod ziemię z klatkami napelnionymi ludźmi. Walce spoczywały na potężnym rusztowaniu żelaznym, podobnym do wiązania dzwonnicy. Śmiało, pewnie, odbywały się te ruchy jak lot ptaka, gładko bez najmniejszego wstrząśnienia, przeszkody.

Maszyna

Jak strzała mknęła tam i nazad olbrzymia lina, robiąc do dziesięciu metrów w sekundzie i dźwigając przeszło dwanaście tysięcy kilogramów.

— Baczność! Do wszystkich diabłów! Na bok! — krzyknęli znowu robotnicy, przenoszący drabinę na drugą stronę, by zbadać walce po lewej.

Stefan wolnym krokiem zawrócił do biura kontrolnego. Ten zgłęb i zawrotny ruch ponad głową przelatujących lin oszałamiał go. Drżąc z zimna, znużonym wzrokiem spoglądał na znikające i wynurzające się z ciemności klatki, a uszy rozdzierał mu huk przelatujących wózków.

U wylotu szachtu funkcjonował sygnał, ciężki młot osadzony na dźwigni poruszanej liną z dołu. Gdy raz opadł z przeraźliwym dźwiękiem na kowadło, znaczyło to: Stać! Gdy dwa razy: Jazda w dół! Trzy razy wreszcie: Do góry. Były to jakby uderzenia maczuga, połączone z przeraźliwym dźwiękiem głuszącym cały zgłęb. Jakby jeszcze tego było mało, robotnik stojący przy sygnale przez tubę krzyczał do maszynisty podając mu rozkazy. Wśród tego hałasu zapadały i ukazywały się klatki, opróżniały się i napełniały z taką szybkością, że Stefan nie mógł sobie zdać sprawy z całej tej manipulacji.

Jedno tylko pojął. Oto kopalnia pochłaniała ludzi, po dwudziestu, trzydziestu na jeden łyk i to z taką łatwością, jakby nie czuła tej porcji. Od czwartej począł się zjazd robotników. Schodzili się pojedynczo z lampkami w ręku i w małych grupkach oczekiwali, aż zbierze się dostateczna liczba. Cicho, jak zwierz nocny zjawiała się klatka czteropiętrowa, zahaczała się żelaznymi pazurami, z każdego przedziału wyciągano po dwa wózki napełnione, w ich miejsce zataczając próżne lub napełnione klockami drzewa. W próżne wózki wsiadali górnicy po pięciu w każdy, tak że klatka mieściła czterdziestu. Rozlegała się komenda, potem głuchy, niewyraźny pomruk, młot opadał cztery razy, co oznaczało: *Materiał ludzki*, którego przybycie sygnalizowano na dół, klatka zapadała, jak kamień w wodzie ginąc, a tylko lekkie drżenie liny wskazywało, gdzie znikła.

— Czy tu głęboko? — spytał Stefan jakiegoś górnika, który na pół zaspany stał obok niego.

— Pięćset pięćdziesiąt cztery metry! — odpowiedział. — Ale są cztery piętra, pierwsze na głębokości trzystu dwudziestu metrów.

Zamilkli obaj i utkwili oczy w linę. Niebawem ukazała się klatka.

Stefan spytał jeszcze:

— A gdyby się lina urwała?

— A... gdyby się urwała...

Górnik dokończył wymownym gestem i podszedł do klatki, gdyż przyszła nań kolej. Usiadł wraz z kilku innymi w pustym wózku i zniknął. Za małą chwilę, niespełna cztery minuty, klatka wróciła po nowy ładunek *materiału ludzkiego*.

I przez pół godziny kopalnia pochłaniała istoty ludzkie z mniejszą lub większą żarłocznością, stosownie do głębokości, w jakiej mieli pracować, ale nie ustawała ani na chwilę ciągle głodna, nie mogąc napełnić olbrzymiego żołądka, gotowa całe plemię pożreć. Ludzie napływali ciągle i znikali w cichym łonie ziemi, a klatka wracała ciągle cicho, jak zwierz, którego żarłoczność nie ma granic.

Stefan doznał znowu niemiłego uczucia, jakie go opanowało już tam na wzgórzu. I na cóż czekać? Starszy nadzorca powie mu niewątpliwie to samo, co wszyscy. Nie-wytlumaczona trwoga doprowadziła go do tego postanowienia. Poszedł. Ale przed hałą maszyn zatrzymał się znowu. Przez otwarte drzwi ujrzał tam siedem kotłów parowych i dwa ogromne piece. W obłokach białej, syczącej pary pracowali ludzie. Jeden z nich dosypywał do pieca węgla. Gorąco buchało stamtąd takie, że odczuł żar stojąc na progu. Owiany miłym ciepłem chciał już wejść do środka, gdy dostrzegł grupę górników zbliżających się do kopalni. Był to Maheu ze swoimi i Levaque. Stefan ujrzał na czele idącą Katarzynę i na widok jej łagodnej chłopięcej twarzy przyszło mu na myśl, by ją zapytać o robotę.

— Powiedz no bracie... nie potrzeba tu robotnika? Do jakiegokolwiek pracy... ha?

Spojrzała nań, przerażona nieco tym pytaniem wychodzącym z ciemności. Ale Maheu idący za nią dosłyszał. Odpowiedział, przystanął i wdał się z obcym w krótką rozmowę. Niestety pracy tu nie było. Ale tułający się po świecie, bezdomny robotnik wzbudził w nim sympatię. Rozłączywszy się z nim rzekł do swoich:

— Widzicie... nie trzeba narzekać... temu biedakowi jeszcze gorzej, nie ma dość pracy nawet dla tych, którzy by pragnęli zapracować się na śmierć.

Gromadka skierowała się prosto do ogrzewalni, obszernej sali ze ścianami z grubsza tylko otynkowanymi, gdzie stały szafy z narzędziami i materiałami zamknięte na kłódki. Pośrodku sali stał otwarty na wszystkie strony piec tak naładowany rozżarzonym węglem, że kawałki jego z trzaskiem wypadały na udeptaną ziemię podłogi. Salę oświecał tylko ten piec siejący czerwoną lunę po ścianach, powale i brudnych szafach pokrytych czarną sadzą.

W chwili, gdy wszedł Maheu ze swoimi, dokoła pieca rozlegał się głośny śmiech. Około trzydziestu górników stało plecami do ognia, z lubością smażąc sobie kości. Schodzili się tutaj przed zjazdem, by nasycić się ciepłem i zabrać go nieco z sobą do zimnej, wilgotnej kopalni. Właśnie śmiano się z Mouquette<sup>10</sup>, małej osiemnastoletniej przesuwaczki, dobrej zresztą dziewczyny, której tłuste pośladki i piersi rozpierały kaftan i spodnie górnicze tak, iż zdawało się, że lada chwila pękną. Mieszkała w Requillart wraz z ojcem, starym stajennym Mouque'em i bratem, który był też przesuwaczem. Ale sama zawsze szła do kopalni, ojciec i brat pracowali w innych godzinach. W porze letniej w pszenicy, w zimie gdzieś pod szopą zabawiała się z jednym z licznych kochanków, których zmieniała co tydzień. Cała kopalnia przeszła przez jej ręce, wszyscy ją posiadali i opuszczali bez dalszych ceregieli. Gdy ją pewnego dnia prześladowano jakimś robotnikiem z fabryki gwoździ z Marchiennes, rozgniewała się na dobre i krzyczała w pasji, że to posądzenie jej ubliża, że da sobie ramię odciąć, gdyby jej udowodniono, że wdaje się z kim innym prócz górników.

Właśnie dziś droczono się z nią.

— Więc już koniec z Chavalem? — mówił jeden robotnik. — Wzięłaś sobie dla odmiany tego malego. Ależ on musi chyba wylazić na drabinę!.... Widziałem was pod Requillart i mogę przysięgać, że wlaź na kamień...

— No i cóż z tego? — odparła wesoło Mouquette. — Cóż cię to obchodzi? Czym cię prosiła, byś popychał?

Śmiech zahuczał potężny. Robotnicy śmiali się, trzymając się za brzuchy. Śmiała się też i Mouquette wyglądająca bardzo nieprzyzwoicie i prowokująco w swym ciasnym ubraniu, z którego wypływać zdawały się piersi i pośladki. Była ona chorobliwie niemal tłusta.

Ale śmiech ustał, gdy Mouquette zawiadomiła ojca Maheu, że wielka Florka nie przyjdzie. Znalaziono ją wczoraj w łóżku zmarłą i skostniałą już. Jedni twierdzili, że to nastąpiło skutkiem wady serca, inni zaś, że zmarła z powodu, iż zbyt szybko wypila litr jałowcówki. Maheu był zrozpaczony. Prawdziwe nieszczęście. Stracił przesuwaczkę, a nie było pod ręką zastępczyni. Pracował na akord wraz z trzema hajerami, Zachariaszem, Levaque'iem i Chavalem. Cóż teraz będzie? Sama Katarzyna przesuwaniu nie podola i zarobek się zmniejszy. Nagle zawołał:

— Mam już! Biegnij no po człowieka, który pytał o robotę.

Właśnie przechodził Dansaert koło ogrzewalni. Maheu powiedział mu, co się stało, i prosił o pozwolenie wzięcia do roboty nieznajomego, wskazując na to, że Kompania i tak dążyła do zastąpienia przesuwaczek chłopcami, w ślad za swą konkurentką w Anzin. Starszy nadzorca uśmiechnął się, gdyż myśl wykluczenia dziewcząt była dotychczas niechętnie przyjmowana przez górników, którym zależało, by ich córki zarabiały w kopalni, bez względu, jakie to miało skutki pod względem moralnym i higienicznym. Po krótkim wahaniu dał swe przyzwolenie, zastrzegając sobie jednak, że przyjęcie zależy jeszcze od potwierdzenia pana inżyniera Négrela.

— Ale co tam z tego! — zauważył Zachariasz. — Człowiek ten musi już być daleko stąd. Odszedł przed dobrą chwilą!

— Nie — odezwała się Katarzyna — widziałam, jak zatrzymał się obok kotłowni.

— To leć, próżniaczko... a prędko! — krzyknął ojciec.

Wybiegła, a tymczasem górnicy opuścili ogrzewalnię, robiąc miejsce innym. Jeanlin, nie czekając na ojca, wziął swą lampę i spuścił się na dół wraz z Bébertem i małą, słabowitą, dziesięcioletnią Lidią. Niebawem rozległ się głos Mouquette, która wymyślała z klatki chłopcom i groziła, że każdemu da w twarz, jeśli nie przestaną jej szczypać.

Kobieta "upadła", Obyczaje

<sup>10</sup>Mouquette — córka pana Mouque; dziś w jęz. fr. nazwiska żon i dzieci nie różnią się formą od nazwiska męża i ojca.

Katarzyna nie omyliła się. Stefan stał jeszcze u drzwi kotłowni i rozmawiał z palaczami. Czuł teraz dreszcz na samą myśl, że będzie musiał iść znowu precz i błąkać się po świecie w taki czas. Mimo to zabierał się już, gdy nagle uczuł czyjąś rękę na ramieniu.

— Chodź pan! — rzekła dziewczyna. — Znalazło się miejsce dla pana!

Zrazu nie zrozumiał. Potem radość jego objawiła się wybuchem wdzięczności i ścisnął mocno dziewczynie rękę.

— Dziękuję ci, bracie... Dziękuję!... Dobry z ciebie chłopak.

Poczęła się śmiać, spoglądając na jego twarz zaczerwienioną od blasku ognisk kotłowni. Śmieszyło ją, że ją bierze za chłopca, zwiedziony dziewczęcą jeszcze piersią i ukrytymi pod czapką włosami. Stefan uradowany śmiał się także i stali przez chwilę oboje, spoglądając życzliwie na siebie.

Tymczasem Maheu kucnął przed szafą, zdjął saboty i wełniane pończochy. Gdy Stefan przyszedł, załatwiono sprawę w dwu słowach. Dostanie półtora franka dziennie, a choć praca jest wyczerpująca, to za to prędko się wyuczy wszystkiego co potrzeba. Stary hajer radził mu nie zdejmować butów, które miał na nogach, i pożyczył mu swej starej skórzanej czapki dla ochrony głowy od uderzeń o skały, bez czego on sam i jego towarzysze obchodzili się już teraz doskonale. Wyjęto narzędzia z szafy, w której znalazła się też i łopata Florki. Maheu, zamknąwszy w szafie swe saboty, pończochy i zawiniątko Stefana, pocałował się niecierpliwie.

— Cóż robi znowu ten gałgan Chaval? Znowu gdzieś gzi się pewnie z jakąś dziewczyną! Już pół godziny spóźnienia!

Zachariasz i Levaque grzali się spokojnie u ognia. Wreszcie Zachariasz rzekł:

— Czekasz, ojcie, na Chawala?... Ależ on przyszedł jeszcze przed nami i zaraz zjechał na dół!

— Jak to? Wiesz o tym i nic nie mówisz? Dalej... prędko... śpieszmy się... a to straszne rzeczy!...

Katarzyna grzejąca sobie ręce musiała się też zabierać razem z nimi. Stefan puścił ją przodem i szedł z tyłu.

Zanurzyli się znów w labirynt schodów i ciemnych korytarzy, gdzie stąpanie ich bosych nóg rozlegało się donośnie, podobne do kłapania po błocie starych rozdeptanych kaloszy. Wreszcie zabłysnęła przed nimi lampiarnia, wielka sala o szklanych ścianach, w której na stelarzach stały setki lamp górniczych systemu Davy'ego. Poprzedniego wieczoru oczyszczono i zbadano je dokładnie. Teraz świeciły się wszystkie, niby świece przy katafalku. U wejścia dostawał każdy górnik swoją, opatrzoną jego numerem, oglądał ją i zamykał sam, podczas gdy siedzący przy stole kontroler zapisywał godzinę zjazdu do osobnego rejestru. Maheu wystarał się dla swego nowego pomocnika o lampę. Potem odbyła się jeszcze jedna ceremonia. Górnicy defilowali znowu przed innym kontrolerem, który badał, czy wszystkie lampy są należycie zamknięte.

— Brr! Jak tu zimno! — rzekła Katarzyna, drżąc na całym ciele.

Stefan skinął głową i nie odezwał się wcale. Znaleźli się teraz u zjazdu. Dął tutaj wiatr silny i lodowaty. Stefanowi ścisnęło się gardło, gdy stanął znowu wobec kręcących się walców i przebiegających z zawrotną chyżością lin. Ogłuszony turkotem pędzących po szynach wózków, przerażliwymi uderzeniami sygnałowego młota, wrzaskiem tuby, spoglądał z przestachem na znikające i pojawiające się klatki, które w nienasyconą gardziel kopalni ciskały ludzi całymi kupami. A maszyna szła ciągle całą parą. Gdy przyszła nań kolej, był na pół tylko przytomny. Drżał na całym ciele z zimna, ale milczał nerwowo, tak że aż Zachariasz i Levaque poczęli z niego drwić. Obaj byli niezadowoleni z przyjęcia obcego, zwłaszcza Levaque zły był, że go stary Maheu nie spytał o zdanie. Ale Katarzyna cieszyła się słysząc, jak ojciec objaśniał Stefana.

— Widzi pan — mówił — ponad klatką jest spadochron... ot te żelazne klamry. Gdy się lina urywa, wbijają się w bierwona<sup>11</sup> szachtu. To działa... zwykle... ale nie zawsze... o, nie zawsze. Tak... tak... szacht podzielony jest na trzy piętra i od dołu do góry obity deskami. Pośrodku idzie winda, z boku schody.

Urwał i począł mruczeć, ale nie śmiał podnieść głosu.

— Psia krew! Czyż będziemy tu nocowali? To łajdactwo kazać tak marznąć ludziom.

---

<sup>11</sup>bierwono — tu: belka.

Dozorca Richomme, który też zjeżdżać miał, stał obok z lampą zawieszoną u czapki. Usłyszał słowa ojca Maheu i rzekł cicho, dobrotliwym głosem:

— Uważaj no, stary, i stul głębie. Gotów kto usłyszeć.

Był on dawniej hajerem i utrzymywał przyjacielskie stosunki z dawnymi kolegami, o ile tylko pozwalała na to nowa godność.

— Widzisz — dodał — wszystko ma swój czas... Oto i twoje pudło! Właż ze swą czeredą!

Klatka otoczona poręczą żelazną i gęsto okratowana czekała już oparta na hakach.

Maheu, Zachariasz, Levaque i Katarzyna weszli w jeden z dolnych wózków, a że miejsce przeznaczone było na pięć osób, wszedł więc też i Stefan. Lepsze miejsca były już zajęte, więc musiał się wcisnąć w kąt obok Katarzyny, której łokieć począł go gniesć. Zawadzała mu też lampka. Górnicy radzili, by ją zawiesił u guzika kaftana, ale nie dosłyszał i trzymał ją dalej niezgrabnie w ręku. Wsiadano dalej. Tłoczyli się ludzie w przedziałach pod i nad nimi, jak bydło wpędzone do wagonu. Klatka nie ruszyła się z miejsca. Cóż się stało? Zdawało mu się, że długą już chwilę czeka. Nagle uczuł wstrząśnienie, i wszystko stało się czarne. Znikły otaczające przedmioty i uczuł, że wpada w przepaść. Zadrżał na całym ciele i doznał zawrotu głowy. Trwało to tak długo, jak długo mijając pierwsze dwa piętra hali zjazdowej dostrzegał w przyćmionym świetle zawrotny ruch desek okrywających boki studni, ale gdy wpadł w ciemność szachtu, stracił możliwość kontrolowania swych wrażeń i stał na pół przytomny z oczyma wytrzeszczonymi.

— Teraz zjeżdżamy w dół! — odezwał się Maheu spokojnym głosem.

Żadne z nich nie doznawało przykrego uczucia spadku, ale Stefan stracił kierunek i pytał się siebie samego, czy spada, czy się wznosi w górę. Gdy klatka nie dotykając ścian pędziła na dół, zdawało się, że wisi bez ruchu. Ale za chwilę uderzała o boki i drżenie ich udzielało się wiązaniu, klatce i zamkniętym w niej ludziom, napawając ich nerwowym strachem katastrofy. Pęd wzmógł się teraz tak, że Stefan nie mógł już dostrzec tragarzy<sup>12</sup> i poprzecznic rusztowania poprzez gęstą siatkę ochronną, choć przyciskał do niej twarz rozgorączkowaną. Lampy mdło oświecały ściśnionych, tylko otwarta lampka dozorczy w górnym wozie błyszczała jak latarnia morska.

— Ten szacht ma cztery metry średnicy — objaśniał dalej Maheu. — Właściwie Kompania powinna odnowić szalowanie, gdyż woda wciska się tutaj ze wszystkich stron... O, słyszy pan... teraz.... Właśnie zesliśmy na linię wodną.

Od chwili już Stefan zadawał sobie pytanie, co to za szelest podobny do szelestu deszczu po dachu. Kilka grubych kropli padło mu na czoło, teraz poczęła po dachu bębnić ulewa, której siła szybko wzrastała, jak podczas oberwania chmury. Dach klatki był snadź dobrze dziurawy, gdyż deszcz począł lać się kilku cienkimi strumieniami. Jeden z nich w krótkim czasie przemoczył mu ubranie na ramieniu i przejął dreszczem. Zimno się teraz zrobiło i jeszcze straszniej. Nagle błyskawica przedarła noc oślepiając Stefana. Wydawało się, że pękła ziemia, a przez otwór błysło piekło. Na tle jasności dostrzegł jakieś kształty, sylwetki ludzkie, ale za sekundę wszystko znów pograżyło się w ciemnościach.

— To jest pierwsze piętro! — objaśnił Maheu. Jesteśmy teraz na głębokości trzystu dwudziestu metrów. Widzi pan, jak to prędko idzie...

I podnosząc swą lampę, oświecił jedną z prostopadłych belek dębowych, która mknęła z szybkością szyny pod kołami pociągu pośpiesznego. Dwa następne piętra błysły i znikły. Ulewa szalała dalej wśród nieprzebitych ciemności.

— Jakaż to głębia — mruknął Stefan.

Zdawało mu się, że od kilku już godzin spada w głąb. Niewygodnie mu było bardzo w pozycji, którą przybrał. Zwłaszcza łokieć Katarzyny sprawiał mu męki straszliwe. Nie odzywała się i Stefan czuł tylko ciepło jej ciała, które obejmowało go gorącą falą. Gdy wreszcie winda stanęła w głębokości pięciuset pięćdziesięciu czterech metrów, zdumiał się, usłyszawszy, że zjazd trwał dokładnie jedną minutę. Ale łoskot haków bezpieczeństwa wbijających się w drzewo i uczucie, że stąpa po twardej ziemi, wprawiły go w wesołe usposobienie i poufale odezwał się do Katarzyny:

— Cóż to masz pod skórą, że od ciebie taki żar bucha? Aleś mi łokciem wywiercił potężną dziurę w brzuchu.

<sup>12</sup>tragarz — tu: belka, na której opierają się inne elementy konstrukcji.

Roześmiała się wesoło. Ten głuptas brał ją ciągle jeszcze za chłopca. Czyż miał bielmo na oczach?

— W oczach masz mój łokieć, nie w brzuchu! — odparła. Wywołało to wybuch śmiechu, którego sobie Stefan w żaden sposób wytłumaczyć nie mógł.

Klatka opróżniła się wreszcie, górnicy przeszli w poprzek hałę przyjazdową, wielką, w skałę wykutą i wyłożoną kwadratami ciosu grotę, oświetloną trzema potężnymi lampami. Po żelaznych szynach turkotały wózki, uderzając z hałasem o tarcze zwrotnic. Ze ścian wydzielał się odór piwniczny, powietrze było chłodne, przesiąknięte wyziewami saletry, tylko ze stajni pobliskiej szła fala ciepła wyziewów końskich. Cztery galerie otwierały tu swe czarne paszcze.

— Tędy! — powiedział Maheu do Stefana. — Nie jesteśmy jeszcze na miejscu. Mamy ze dwa kilometry przed sobą.

Robotnicy podzielili się na gromadki i znikli po kolei w czterech otworach. Około piętnastu poszło na lewo, a Stefan szedł ostatni za ojcem Maheu, przed którym kroczyli Katarzyna, Zachariasz i Levaque. Dostali się w przepyszną galerię jezdnią, wykutą w tak twardej skałę, że tylko tu i ówdzie potrzebowała obmurowania ciosowego. Jedno za drugim szli ciągle bez słowa w mdłym świetle lamp. Stefan potykał się o kilka kroków na szynach. Od chwili już poczęło mu dudnić w uszach. Był to jakiś dziwny odgłos, jakby szum dalekiej burzy, głuchy grzmot, który szedł jakby z wnętrza ziemi, zbliżając się z zaskakującą szybkością. Czyżby to był łoskot walących się olbrzymich mas skalnych setki metrów wysokich, dzielących ich od powierzchni ziemi? Błyskawica przedarła ciemności, ściany galerii zadrgały. Stefan, instynktownie naśladując ruch ojca Maheu, przylgnął plecami do ściany i zaraz ujrzał blisko przed sobą dużego białego konia zaprzęzonego do pociągu wózków. Koń stąpał powoli. Na pierwszym wózku siedział Bébert, trzymając w ręku cugle, a Jeanlin biegł z tyłu boso z rękami opartymi o brzeg ostatniego wózka.

Szli ciągle naprzód i doszli do rozstaju, gdzie się otwierały dwie nowe galerie. Grupa podzieliła się znowu. W ten sposób górnicy dostawali się we wszystkie punkty kopalni.

Teraz obmurowanie znikło, a ukazały się dębowe poprzecznice na powale galerii i belki na ścianach. Skała była tu krucha.

Przez szerokie szpary w drzewie połyskiwał łupek mikowy i białe płyty piaskowca. Ciągle mijały ich pociągi próżnych i pełnych wózków. Z łoskotem grzmotu, ciągnięte przez konie, w niepewnym świetle wyglądające na widziadła nocne, wyłaniały się z otchłani i ginęły w niej znowu. Na bocznym torze jakby zaśniony wąż leżał w jednym miejscu szereg wykolejonych wózków, a koń tak mało odcinał się od czarnych ścian, że wyglądał, jak leżący na ziemi ogromny złom węgla. Wentylatory funkcjonowały bez przestanku z łoskotem blaszanych pokrywek na garnkach z gotującą się wodą.

W miarę oddalania się od hali przyjazdowej, galeria stawała się coraz węższa, a zwieszające się z góry złomy skalne zmuszały do schylania się bez przestanku. Stefan uderzył raz głową straszliwie w blok piaskowca. Gdyby nie gruba, skórzana czapka, byłby sobie roztrzaskał niewątpliwie głowę. Od tej chwili zwracał pilną uwagę na najmniejszy ruch idącego przed nim ojca Maheu, którego sylwetka dziwacznie podskakiwała i kurczyła się w świetle lampy.

Żaden z górników nie uderzył się w głowę, ani nie potknął się. Znali widocznie doskonale każdą skałę, każdy występ skalny i każdą dziurę w chodniku. Stefan począł się teraz ślizgać na przesiąkłej wodą ziemi. Często brodził w istnych bagniskach, o których obecności świadczył tylko chłupot nóg. Nie widział ich i nie mógł ominąć. Ale największą dlań niespodzianką była zmiana ciepłoty powietrza. Tam, u stóp zjazdu było chłodno, w galerii głównej, którędy płynęło całe powietrze do kopalni, dął mroźny wiatr, który w węższych przejściach potęgował się w orkan, im dalej jednak zapuszczano się w chodniki boczne, które pośrednio tylko uczestniczyły w wentylacji, tym lżejszy stawał się powiew. Gorąco wzmagало się i stawało ciężkie, dławiące.

Maheu dotąd nie otwierał ust. W jednym miejscu skręcił do chodnika na prawo i nie obracając się rzekł do Stefana:

— Pokład Wilhelma.

W tym pokładzie pracowali właśnie. Już za drugim krokiem Stefan uderzył się w głowę i obtarł sobie bok o ścianę. Powąła spuszczała się tutaj tak nisko, że nieraz dwadzieścia i trzydzieści metrów iść trzeba było w postawie pochylonej, dotykając niemal rękami

ziemi. Woda tymczasem sięgała do kostek. Uszli w ten sposób ze dwieście metrów. Naraz Stefanowi znikli z oczu Katarzyna, Zachariasz i Levaque. Wsunęli się niezawodnie w szczelinę rozwartą przed nimi.

— Teraz jazda do góry! — zawołał Maheu. — Zawieś pan lampę na guziku i trzymaj się mocno drzewa.

Zniknął, a Stefan musiał iść za nim. Był to rodzaj komina wykutego w pokładzie. Przeznaczony był tylko dla pracujących tutaj i wiodł do chodników poprzecznych. Był tylko tak szeroki jak pokład węgla w tym miejscu, to jest sześćdziesiąt centymetrów. Stefan był smukły i tylko dzięki temu powiodło mu się wdrapać do góry. Nie byłby tego uczynił inaczej, gdyż mu brakło wprawy. Wielkim wysiłkiem mięśni podniósł się w górę, opierając się biodrami o ściany i trzymając belek. Piętnaście metrów wyżej był pierwszy chodnik poprzeczny, ale Maheu pracował ze swą rodziną wyżej, w szóstym chodniku, *w jamie*, jak mówił. Co piętnaście metrów znajdowały się chodniki. Wędrówka wydawała się Stefanowi nieskończenie długą, bolały go piersi, plecy, biodra, ręce. Dyszał, zdawało mu się, iż wałą się nań skały przygniatając go swym ciężarem, przede wszystkim brakowało mu powietrza do oddychania i krew uderzała mu do głowy. Był pewny, że lada chwila buchnie wszystkimi porami skóry. W jednym z chodników ujrzał dwie pochylone postacie pchające przed sobą wózki. Jedna była mała, druga większa. To Lidia i Mouquette pracowały. Musiał iść o dwa piętnastometrowe stopnie wyżej. Pot ciekący z czoła zasłaniał mu oczy, zwątpił, by mógł doścignąć tamtych, co szli przed nim i tak wprawnie, lekko ślizgali się w górę szczeliną.

— Odwagi! Już blisko! — zawołała Katarzyna.

Ale gdy dotarł wreszcie na miejsce, usłyszał z głębi szczeliny dochodzący inny głos, który krzyczał:

— No, cóż to ma znaczyć? Cóż to za robota? Mam z Montsou dwa kilometry, a jestem pierwszy na miejscu!

Był to Chaval, wysoki, chudy, kościsty chłopak dwudziestopięcioletni o grubych rysach twarzy. Gniewał się, że musiał czekać. Gdy spostrzegł Stefana, spytał tonem pogardliwym:

— A to co znowu?

A gdy mu rzecz Maheu objaśnił, zamruczał przez zęby:

— A więc teraz chłopcy zabierają dziewczętom chleb spod nosa!

Stefan zamienił z Chawalem spojrzenia instynktownej nienawiści, czuł obrazę, chociaż jej zrozumieć nie mógł. W milczeniu wzięli się wszyscy do roboty.

Sztolnie na wszystkich piętrach były teraz w ruchu. Pełno było robotników wszędzie. Kopalnia pochłonęła chciwie swą dzienną rację strawy, to jest blisko siedmiuset ludzi, którzy jak mrówki w olbrzymim mrowisku pracowali teraz, wierząc ziemię we wszystkich możliwych kierunkach, jak robaki starą szafę. Gdyby ktoś przyłożył ucho do ściany skalnej jakiegoś opuszczonego chodnika, byłby niezawodnie w głębokiej ciszy usłyszał gryzienie tych ludzi-owadów wnętrza ziemi. Wszystkie odgłosy by mógł rozeznaczyć, od drżenia pędzącej w dół i do góry liny windy, aż do skrzypu kilofów wyrębiających w sztolniach węgiel.

Stefan obrócił się i w ciasnocie sztolni uczuł się znowu przyciśnionym do Katarzyny. Ale tymczasem dotknął jej piersi poczynających się zaokrąglać i nagle zrozumiał żar, który od niej bił obejmując go rozkoszną falą.

— Więc ty jesteś dziewczyną? — spytał zmieszany.

Odpowiedziała wesoło, bez rumieńca na twarzy:

— Naturalnie!... Doprawdy, długo trwało, nimeś to spostrzegł.

#### IV

Czterej hajerzy umieścili się jeden za drugim w małej, wąskiej szyi sztolni. Jeden od drugiego oddzielony był deskami, które nie pozwalały odłupanym kawałkom węgla stoczyć się niżej. Przedziały poszczególne miały około czterech metrów długości, a wąskie były nadzwyczaj, gdyż cały pokład miał w tym miejscu szerokości pół metra zaledwie. Górnicy kulić się musieli, czołgać na rękach i kolanach, i obracając się, uderzali plecami o ściany.

Nie mogli użyć kilofów inaczej, jak kładąc się na boku z przekrzywioną szyją i wzniesionymi rękami. Tylko w ten sposób mieli dość miejsca na zamach krótkiej pikli, rodzaju kilofa na krótkiej rękojeści.

Na samym dole pracował Zachariasz, Levaque i Chaval mieścili się ponad nim, u samego zaś szczytu znajdował się Maheu. Odkuto naprzód warstwę łupku, potem każdy w ścianie robił dwa prostopadłe wcięcia i wbijał od góry żelazny klin, w ten sposób wylupując blok węgla. Węgiel był twardy, za każdym razem blok spadający pękał na drobne części i spadał na brzuch i kolana pracujących. Gdy nałupanych odłamków zebrało się sporo u dołu na deskach, hajerzy znikali wówczas sobie wzajem z oczu, jak zamurowani w ciasnej komórce.

Ojcu Maheu było najgorzej. U góry sięgała ciepłota trzydziestu pięciu stopni, świeższe powietrze nie dochodziło tam i chwilami dusiło go w gardle. Dla oświecenia sobie ściany zawiesił lampę górniczą na gwoździu tuż nad głową i lampa ta prażyła mu czaszkę, podnosząc przy tym ciepłotę w sposób nieznośny. Męki jego potęgowała jeszcze wilgoć. Skala ponad nim wisząca, o kilka centymetrów od twarzy, ociekała wodą. Bez ustanku, w szybkim tempie z upartą regularnością spadały nań duże, ciężkie krople, ciągle w to samo miejsce. Choć kręcił karkiem na wszystkie strony, ciągle padały mu na twarz z pluskiem i spływały po brodzie. Po kwadransie był przemoczony, spocony i kurzyło się z niego jak z garnka. Tego ranka kłął bez końca kroplę spadającą mu ciągle na oko. Ale to nie pomagało i kuć musiał dalej skały, pośród których leżał jak ćma między kartkami książki, co chwila mogąc się spodziewać zgniecenia.

Pracowano w milczeniu, wszyscy kuli i nie było słychać nic prócz tych nieregularnych, głuchych, jakby z oddali dochodzących ciosów. Dźwięk był tu raczej ostrym szelestem bez echa, w zduszonym gorącym powietrzu. Pył unoszący się chmurą, gazy wyciskające lży z oczu czyniły atmosferę niemożliwą prawie do oddychania. Lampy palące się w siatkach metalowych błyszcząły jak czerwone punkty, nie oświetlając prawie sztolni podobnej do wąskiego skośnego komina, w którym sadza z dziesięciu lat uczyniła pomrok nieprzebitą. W słabym półświecie poruszały się cienie dziwaczne. Tu i ówdzie zjawiała się muskularna ręka bez ramienia, lędzka olbrzymich rozmiarów, głowa, jakby głowa zbrodniarza, uczerniona dla niepoznaki. Czasem odrywające się od powały i ścian bloki węgla i odłamki skalnego muru rozbłyskiwały jak kryształ olbrzymie diamentu zapadając za sekundę w czarną nicłość. Hajerzy tłukli bez przerwy silnie, a prócz tych głuchych uderzeń słychać było tylko astmatyczny oddech górników i wykrzyki wyczerpania i niezadowolenia wywołane zaduchem i sączącymi się kroplami wody.

Zachariasz osłabiony nieco wczorajszą pohulanką niedługo przestał kuć pod pozorem stemplowania ścian, co mu pozwalało świstać pod nosem i wpatrywać się bezmyślnie w ciemności. Rzeczywiście leżąca poza górnikami trzechmetrowa może przestrzeń jeszcze nie miała podparcia. Chcąc oszczędzić czasu, bez względu na możliwość niebezpieczeństwa nie popodpierałi zwisających skał powały opróżnionej z węgla sztolni.

— Hej! — krzyknął Zachariasz do Stefana. — Podaj no drzewo!

Stefan, którego Katarzyna uczyła właśnie, jak ma władać łopatą, musiał przyciągnąć kłoc drewna, których mała jeszcze kupka leżała u wejścia do sztolni. Zazwyczaj przywożono je tutaj zaraz z rana, przycięte odpowiednio do rozmiarów pokładu.

— Prędej, do stu diabłów, prędej! — krzyczał Zachariasz, widząc, jak niezgrabnie nowy przesuwacz przedziera się przez stopy węgla, ciągnąc cztery ciężkie kłoc dębowe.

Potem kilofem zrobił zacięcie w powale, drugie w ścianie i zaklinował w nich końce kłoca dębowego, który w ten sposób podpierał strop. Po południu zwykle wypełniali robotnicy ziemni żwirem skalnym przestrzeń pomiędzy kłocami opróżnionej arterii, zostawiając tylko tyle miejsca, by się mógł przesunąć wózek.

Maheu przestał stękać. Wylał nareszcie swój blok i ocierał rękawem koszuli spotałą twarz. Potem na widok Zachariasza wpadł w gniew.

— Zostaw to! — krzyknął. — Po śniadaniu będzie dość czasu... weź raczej kilof, bo nie dobijemy do zwykłej liczby wózków.

— Ależ tu się obniża powała! — zawołał chłopak. — Popatrz ojciec... tu jest wielka szczelina. Boję się, że spadnie!

— Głupstwo! Niech się wali! Albo to pierwszy raz! Już my sobie jakoś poradzimy!

Rozgniewał się na dobre, zwymyślał syna i kazał mu iść do roboty.

Praca

Za chwilę wszyscy przestali pracować i przeciągali się ziewając. Levaque leżąc na plecach i klnąc oglądał palec lewej ręki, skaleczony kawałkiem skały, który spadł z nienacka. Chaval z wściekłością zdarł z siebie koszulę i obnażył się po pas dla ochłody. Czarni już byli od pyłu węglowego, który pokrywał ich ciała grubą warstwą i zmieszany z potem cienkimi wstążeczkami spływał na dół.

Maheu począł pierwszy kuć na nowo. Tym razem wyłamywał blok głębiej, tak że głową oparł się o ścianę. Krople wody ciekły mu teraz na czoło z taką straszną, upartą jednostajnością, iż miał wrażenie, że wywiercą mu dziurę w czasce.

— Nie zważaj na to — mówiła Katarzyna do Stefana. — Oni muszą się wygadać. To tak zawsze.

Poczęła uczyć go znowu, uradowana rolą nauczycielki. Każdy napęczniony wózek wydostawał się na światło dzienne tą samą drogą, którą tutaj przybył, oznaczony specjalną marką, w celu, by kontroler zapisał go na dobro właściwego robotnika. Ale musiał być starannie naładowany, węglem dobrej jakości, wolnym od odłamków skalnych, gdyż inaczej nie zostałby przyjęty.

Stefan przywykł do ciemności i patrzył na Katarzynę, której twarz bezkrwista i teraz jeszcze była biała. Nie mógł odgadnąć, ile ma lat. Była tak drobna, że wyglądała najwyżej na dwanaście. Ale chwilami wahał się i czuł tylko pewne zmieszanie na widok swobody jej ruchów. Zachowywała się jak chłopiec i to go drażniło, odpychało nawet, a twarz jej, okolona niebieską czapką, nie wyglądała zgoła na twarz dziewczyny. Prędzej była to fizjonomia cyrkowego, osypanego mąką Pierrota. Dziwiła go natomiast fizyczna siła tego dzieciaka, połączona z niezwykłą zręcznością. Prędzej dużo niż on nabierała po trochu węgla na łopatę i jednostajnym, szybkim ruchem napęcznie wózek. Szło jej to tak łatwo. A potem, jednym pchnięciem posuwała go daleko, aż do miejsca, gdzie się poczyniała pochylnia, po której toczył się sam dalej. Nie wypadł nigdy z szyn, pchnięcie było mistrzowskie. Z nieczwinną zręcznością poruszała się też w wąskiej szyi sztolni, podczas gdy Stefan męczył się strasznie. Wózki jego toczyć się nie chciały, co go napęcznie gniewem i zniechęceniem.

I w samej rzeczy nie była to wygodna droga. Miała około sześćdziesięciu metrów długości, licząc od miejsca pracy do pochylni, a kawałek nie rozszerzony jeszcze przez hajerów był wąski jak kiszka i bardzo nierówny. W niektórych miejscach wózek napęczniony ledwo się mógł przecisnąć, a przesuwacz był zmuszony kulić się, czołgać na kolanach, by nie uderzyć w skałę głową. W dodatku gdzieś tam pogięły się i połamały klocki dębowe stanowiące rusztowanie. Widać było złamane pośrodku, na innych widniały długie, białe pęknięcia. Trzeba było uważać, by się nie poranić na drzazgach drzewa i pod sklepieniem, którego nacisk powolny ale ustawiczny łamał jak zapalki kłoc dębowe, czołgać się trzeba było na brzuchu, nad słuchując, czy nie zacznie własny grzbiet trzeszczeć.

— Znowu! — zawołała ze śmiechem Katarzyna.

Wózek Stefana wykoleił się w najgorszym miejscu. Nie potrafił go równo przesuwacz po szynach, które nie znajdując miejscami na zwilgotniałym gruncie dostatecznego oparcia, powyginały się falisto. Stefan wpadł w gniew, ale choć czynił rozpaczliwe wysiłki, nie mógł wózka wydostać na szyny.

— Daj spokój — powiedziała Katarzyna. — Złość tu nie zda się na nic.

Szybkim ruchem wślizgnęła się pod pudło wózka, wcisnęła pod nie pośladki i nagłym szarpnięciem mięśni stosu pacierzowego dźwignęła w górę, tak że spadł na szyny. Wózek ważył około siedmiuset kilogramów. Stefan zdumiony i zawstydzony mruczał słowa podziękowań.

Musiła mu teraz pokazać, jak się to robi, jak trzeba rozkraczać nogi, opierać stopy o belki stemplowania, po obu stronach chodnika, by mieć silny punkt oparcia. Potem uczyła, że musi się zginać, wyciągnąć ręce, by móc pchnąć naraz wszystkimi mięśniami ramion, pleców i łędźwi. Szedł za nią, gdy toczyła swój wózek, i widział, jak stąpa zgięta, z opuszczonymi w dół rękami, jak gdyby szła na czworakach, niby mały, cyrkowy niedźwiedź. Potniała, stękała, stawy jej trzeszczały, mimo to jednak nie poskarżyła się i nie wyszła ze stanu obojętności nabytej przyzwyczajeniem. Zdawało się, iż uważa za wspólny nieunikniony los całej ludzkości ugięcie się pod straszne jarzmo takiej pracy. Nie zdołał robić jak ona. Zawadzały mu trzewiki, a grzbiet mu pękał, gdy szedł chwilę ze spuszczoną

Praca

nisko głową. Po kilku minutach już pozycja ta stawała się dlań męką nieznosną i musiał co czas jakiś klękać, by wyprostować się i odetchnąć swobodnie.

Ale u pochylni czekała go trudność nowa. Katarzyna uczyć go musiała, jak szybko ekspediować wózek. Na początku tej kolei łączącej wszystkie chodniki i piętra znajdowali się hamownicy.

Mali chłopcy dwunasto- i piętnastoletni, nicponie co się zowie, przeklinali się wzajem na cały głos i trzeba było głośno z góry krzyczeć, by usłyszeli. Gdy należało wyciągnąć do góry pusty wózek, chłopak stojący na dole dawał znak, a przesuwaczka ekspediowała swój pełny wózek, którego ciężar, po opuszczeniu przez hamowniczego, windował do góry wózek próżny. Na dolnej galerii piętra łączono potem wózki w pociągi i transportowano końmi, aż do szachtu, gdzie wyciągała je winda na powierzchnię kopalni.

— Hej, gałgany! — krzyczała Katarzyna jakby w tubę, w stumetrowy niemal, obmurowany chodnik, a głos rozchodził się donośnie.

Malcy odpoczywali zapewne, gdyż ani jeden, ani drugi się nie odzywał.

Na wszystkich piętrach tej partii ustało dudnienie wózków po szynach.

Naraz rozległ się cienki głosik dziewczęcy.

— Pewnie odpoczywa sobie który na Mouquette.

Rozległy się głośne śmiechy, przesuwaczki całego pokładu śmiały się trzymając za brzuchy.

— Kto powiedział? — spytał Stefan Katarzyny.

Katarzyna wymieniła imię Lidii, małej dziewczynki, bardzo jednak bieglej w sprawach tego rodzaju, która swymi cieniutkimi rączkami popychała wózki jak dorosła kobieta. Nikt nie wątpił zresztą, że Mouquette może przygarnąć obu chłopców naraz.

Ale nagle chłopcy poczęli wołać, by ekspediowano wózki. Widocznie pojawił się gdzieś w pobliżu dozorca. Zaraz też we wszystkich dziewięciu sztolniach poczęło się na nowo przesuwanie wózków, brzmiał w miarowych odstępach głos chłopców i dyszały oddechy przesuwaczek, które dochodząc do pochylni sapaly i parślały jak pomećzone konie.

W kopalni drzemały zwierzęce instynkty i budziła się nagle samcza żądza w Stefanie, gdy spotkał którąś z tych dziewcząt biegących na czworakach z pośladkami w górę wznieśzionymi, obciśnionymi w męskie spodnie pękające niemal pod naporem bioder i lędźwi kobiecych.

Ilekróć Stefan wracał do miejsca, gdzie pracowali hajerzy, uderzała go jak obuch fala zgęstniałego, rozpalonego powietrza, słyszał ich ostre chrapliwe oddechy i głuche uderzenia kilofów. Wszyscy czterej rozebrali się teraz do naga, zagrzebani byli niemal w węglu i czarni aż po czapkę górniczą. Raz musiano odsuwać deski, zwałać na dół węgiel, który się na nich nazbierał pod ojcem Maheu, a jego samego na poły uduszonego wydobywać z ciasnej nory. Levaque i Zachariasz kłeli pokład, który był tak twardy, że czynił niemożliwym dotrzymanie zobowiązania, jakie wzięli na siebie wobec Kompanii. Chaval obrócił się też na chwilę i leżąc na grzbiecie w kłątwach dał upust swej złości, w jaką go wprowadziła obecność Stefana.

— Nędzny robak! Nie ma siły tyle nawet co dziewczyna! Żal ci rąk? Czekaj, niech no mi tylko nie przyjmą jednego... potrącę ci, jak mi Bóg miły, pół franka!

Stefan nie odezwał się nawet, kontent, że znalazł tę pracę, zbyt straszną nawet dla galernika, i poddał się zwyczajnemu niewolniczemu stosunkowi pomocnika do robotnika. Ale poczuł, że nie ma już sił. Nogi miał pokrwawione, członki wszystkie rozbite, całe ciało jakby rozpięte na torturze. Na szczęście była właśnie godzina dziesiąta i postanowiono zjeść śniadanie.

Maheu miał zegarek, na który nigdy nie spoglądał. Mimo to w tej czerni nieprzebitej nie omylił się nigdy ni o pięć minut.

Wszyscy wdziali koszule i kaftany, powyłazili ze swoich jam i przykucnęli we właściwej górnikom postawie, siadając na piętach i opierając łokcie na kolanach. W tej postawie spotkać można górnika nawet poza kopalnią, nie potrzebuje on do siedzenia kamienia ni belki. Każdy wyciągnął swą *kanapkę* i wbił zęby w grubą kromkę chleba. O robocie nie rozmawiano wcale prawie. Katarzyna, która nie usiadła, zbliżyła się do Stefana, który opodał wyciągnął się na szynach, opierając plecy o belkowanie ścian. Było tam, gdzie leżał, sucho niemal.

Seks, Erotyzm, Obyczaje

— A ty nie jesz? — spytała z pełnymi ustami chleba, trzymając w ręku swą *kanąpkę*. Nagle przypomniała sobie, że Stefan błąkał się przez całą noc po polach nie mając ani grosza na chleb.

— Chcesz... podzielimy się?

Stefan odmówił drżącym głosem, choć mu głód skręcał kiszkę, i zapewniał ją, że mu się jeść nie chce. Ale Katarzyna mówiła dalej wesoło:

— A może się brzydzisz po mnie? Ale patrz, ugryzłam z tej strony, a dam ci ten kawałek.

Rozłamała kromkę na dwie części. Stefan wziął jedną w rękę i całą siłą woli wstrzymywał się, by jej nie połknąć od razu. Oparł na kolanach ręce, by nie dostrzegła, że drżą. Jak dobry towarzysz pracy położyła się przy nim spokojnie na brzuchu i oparła brodę na jednej dłoni, drugą wsuwając powoli chleb do ust.

Lampy stojące pośrodku oświecały teraz dość jasno oboje. Katarzyna spoglądała nań przez chwilę w milczeniu. Zapewne podobał jej się. Miał delikatne rysy twarzy i czarny wąs. Lekki uśmiech pojawił się na jej wargach.

— Więc byłeś maszynistą... i wygnano cię z kolei?... A czemuż to?

— Dałem w twarz przełożonemu.

Zdumiała się niezmiernie, gdyż wrodzone miała poczucie konieczności poddańczego, ślepego posłuszeństwa. Nie mogła tego po prostu pojąć.

— Muszę dodać — ciągnął dalej Stefan — że byłem pijany. Gdy się napiję, wpadam w szal i zabić bym gotów siebie i wszystkich. Tak, wystarczy mi wypić tylko dwa kieliszki, a czuję już ochotę do awantur. Potem choruję dwa dni.

— Nie powinienes pić! — rzekła poważnie.

— O, nie bój się, nie robię tego często... znam siebie!

Potrząsnął głową. Czuł do wódki nienawiść, straszną nienawiść ostatniego potomka rasy pijaków, który odziedziczył po przodkach krew zdegenerowaną, do tego stopnia zdenerwowany organizm, że kropla alkoholu stawała się dlań trucizną.

— Żal mi tylko matki, bo wyrzucić ją musiano pewnie na ulicę! — rzekł, przełknąwszy spory kęs chleba. — Dawniej posyłałem jej od czasu do czasu po pięć franków... teraz... skądże bym wziął!

— A gdzie jest twoja matka?

— W Paryżu... jest praczką przy ulicy de la Goutte d'Or.

Zapanowało milczenie. Stefan zapadł w rozpamiętywanie swego minionego życia, a w oczach jego pojawił się jak zazwyczaj strach, strach przed czymś nieznanym, drzemący mimo młodych lat na dnie jego duszy.

Chwilę wpatrywał się w ciemności chodnika, a przez duszę osępioną tą czernią, duszną atmosferą płynęły mu wspomnienia młodości. Widział swą matkę, gdy młoda jeszcze była i wesoła... Potem opuścił ją ojciec... a w jakiś czas, gdy już połączyła się z innym, wrócił. Wiodła teraz życie smutne, z dwoma mężami, którzy ją zabijali, i zbliżała się z wolna do rynsztoka. Co za życie! Wódka, wino i klątwy. Przed, oczyma stanęła mu czarna, cuchnąca nora... ujrzał ją najdokładniej zawieszoną bielizną i cuchnącą wódką, poczuł znów na twarzy i głowie razy pięści.

— Teraz — począł powoli — nie będę jej mógł posłać ani trzydziestu sous. Zmarnieje z nędzy... to rzecz pewna.

Z rozpaczą wzruszył ramionami i wbił zęby w chleb.

— Chcesz się napić? — spytała Katarzyna, odkorkowując blaszaną flaszkę. — Nie bój się, to kawa... nie zaszkodzi. Człowiek się może udławić, gdy je, nie popijając.

Stefan odmówił. Już dość było, że pozbawił ją połowy chleba. Ale Katarzyna namawiała go serdecznie i wreszcie rzekła:

— No dobrze... skoroś taki uprzejmy, to napiję się pierwsza, ale potem odmówić już nie możesz, to by było nieładnie.

Podala mu flaszkę. Uklękła teraz blisko. Lampa oświecała dokładnie jej twarz i Stefan dziwił się, czemu wydawała mu się przed paru godzinami brzydką. Ponętna teraz była dlań, z twarzą pokrytą warstwą węgla. Połyskiwały na niej białe zęby poprawne w za szerokie może trochę usta, a oczy miały ton zielony jak oczy kota. Zwój rudych włosów wymknął się spod czapki górniczej i laskotał ją za uchem, co ją pobudzało do śmiechu. Nie wydawała mu się teraz tak młodą i ocenił ją na lat czternaście.

Pijaństwo

Obyczaje, Uroda, Zmysły

— Za twoje zdrowie! — rzekł, napił się i oddał jej flaszkę. Przyłożyła ją do ust, a potem zmusiła go do napicia się powtórnie i ta krążąca od ust do ust flaszką sprawiała im wielką radość. Stefan już zadał sobie pytanie, czy nie mógłby jej objąć ramieniem i ucałować w usta. Wargi jej duże, blade, zwałane węglem poczęły go nęcić. Mimo wzrastającego pożądanego nie ośmielił się jednak uczynić tego. Obcował w Lille z samymi tylko istotami upadłymi i nie wiedział, na co sobie pozwolić można z mieszkającą u rodziców, uczciwą robotnicą.

— Musisz mieć już ze czternaście lat? — spytał polykając ostatni kęs chleba. Zdumiała się, rozgniewała niemal.

— Jak to, czternaście? Mam już przecież piętnaście! To prawda, nie wyrosłam bar-dzo... ale u nas dziewczęta dorastają późno.

Pytał ją dalej o różne rzeczy, a dziewczyna odpowiadała bez cynizmu, ale także bez zbytecznej wstydlivosti. Była zresztą doskonale poinformowana o wszystkim, co się od-nosiło do stosunków mężczyzny z kobietą, choć sama zachowała dziewiczość ciała i była dotąd dzieckiem nierozwiniętym dostatecznie płciowo skutkiem życia spędzonego w złym powietrzu przy ciężkiej pracy. Gdy wreszcie, chcąc ją wprowadzić w zakłopotanie, roz-pytywać począł o Mouquette, opowiadała mu spokojnym głosem, śmiejąc się kilka hi-storyjek, od których włosy mu stanęły na głowie. Ach, Mouquette! Dużo by można opowiedzieć jeszcze. A gdy Stefan spytał, czy sama Katarzyna nie ma dotąd kochanka, odparła śmiejąc się, że nie chce robić matce przykrości, ale pewnie niedługo przyjdzie do tego, zresztą dzieje się tak zawsze. Mówiąc to kulila się od chłodu w swym przemoczo-nym od potu ubraniu i miała minę potulną, zrezygnowaną, świadczącą, że gotowa przyjąć wszystko, co ją spotka, zarówno kochanka, jak los każdy.

— Łatwo o kochanka, gdy się tak zawsze razem żyje... prawda? — spytał Stefan.

— Rozumie się.

— A zresztą cóż to komu szkodzi... proboszczowi nie mówi się o tym.

— O, proboszcz! Cóż mnie obchodzi proboszcz... Gorszy Czarny Hajer.

— Co za Czarny Hajer?

— Stary górnik, który chodzi po całej kopalni i skręca karki rozpustnym dziewczę-tom.

Spojrzał na nią, sądząc, że kpi z niego.

— Ty wierzysz — spytał — w takie brednie? Tak więc ograniczona jesteś?

— O nie, umiem czytać i pisać... to bardzo nieraz potrzebne, bo ojciec i matka nie uczyli się za młodu.

Podobała się Stefanowi i postanowił, gdy skończy chleb, wziąć ją w ramiona i ucałować w usta. Walka z onieśmieleniem i myśl o przemocy, której wobec niej użyje, zdławiły mu głos w gardle. Podniecał go męski ubiór dziewczyny, kaftan i spodnie na ciele jej wznęcały jego pożądanego. Pociągnął z flaszki tyk i oddał ją Katarzynie, by wypić resztę.

Teraz trzeba było działać, rzucił więc przelotne spojrzenie ku siedzącym w głębi gór-nikom i wyciągnął już miał ręce, gdy w otworze sztolni zjawił się cień.

Od chwili już Chaval obserwował ich z odległości. Zbliżył się, upewnił, że ojciec Maheu nie widzi, objął ramieniem dziewczynę siedzącą na ziemi, przegiął jej w tył głowę i spokojnie, jakby Stefana nie było, wycisnął na jej wargach pocałunek. W pocałunku tym mieściło się wzięcie w posiadanie, postanowienie, które dojrzało widocznie pod wpływem zazdrości.

Ale dziewczyna oburzyła się.

— Puść mnie! Słyszysz? — zawołała.

Trzymał jej głowę i patrzył w oczy. Na czarnej jego twarzy czerwono odcinały się rude wąsy i broda i sterczał nos podobny do orlego dzioba. Puścił ją wreszcie i odszedł nie rzekłszy słowa.

Zimny dreszcz wstrząsnął Stefanem. Jakież głupi był, że czekał. Teraz nie może jej pocałować, bo myślałaby, że naśladować chce tylko tamtego. Duma jego była zraniona i popadł w rozpacz.

— Czemu skłamałaś? — spytał cicho. — On jest twoim kochankiem.

— Nie, nie, przysięgam ci! — krzyknęła. — Nie ma pomiędzy nami nic takiego. On żartuje tylko czasem. Zresztą on nie jest tutejszy, przed pół rokiem przyjechał z Pas-de-Calais.

Zabobony

Pocałunek

Wstali oboje, gdyż trzeba się było wziąć na nowo do roboty. Katarzyna posmutniała widząc, że Stefan ma wyraz niezadowolenia na twarzy. Widocznie podobał się jej lepiej niż tamten i wolałaby go była. Dręczyła ją myśl, jakby mu nagrodzić przykrość, toteż gdy Stefan ze zdziwieniem zauważył, że lampa jego pali się niebieskawym płomieniem otoczonym szeroką, mglistą aureolą, skorzystała z tego, by go nieco rozerwać.

— Chodź, pokażę ci coś! — powiedziała przyjaznym głosem.

Zaprowadziła go na drugi koniec sztolni i pokazała szczelinę w pokładzie węgla. Wydobywało się stamtąd coś z sykiem i bulgotem cichym, podobnym do ćwierkania małego ptaszka.

— Przyłóż rękę, a poczujesz, jak ciągnie... To jest gaz.

Zdumiał się. Więc to był ów straszny gaz kopalniany, który tylu spustoszeń był przyczyną? Dziewczyna zaśmiała się i wyjaśniła, że dlatego lampy palą się niebiesko, bo dziś silnie ciągną gazy.

— Przestaniecie raz trajkotać? — krzyknął ojciec Maheu ostro.

Oboje wrócili do roboty, poczęli znowu napełniać wózki i pchać je z trudem, na czworakach pełzając pod niskim sklepieniem skalnym ku pochylni. Nim zatoczyli drugi wózek, oblał ich znowu pot i trzeszczały stawy od wytężenia.

W sztolni hajerzy wzięli się na nowo do pracy. Często skracali czas śniadania, by się nie przeziębici, a połknięte szybko kanapki ciążyły im w żołądkach jak ołów. Leżąc na boku rąbali ze wzmogłą zaciekłością, opanowani jedną tylko myślą, mianowicie, by wydobyć jak największą ilość wózków. Wszystko nikło wobec nadziei zarobku, tak twardą okupionego pracą. Nie czuli już wody ciekącej ze skał, nie czuli kurczu karku, spowodowanego pozycją nieznośną, gazów dławiących i strasznych ciemności, w których bledli i marnieli, jak rośliny posadzone do piwnicy. Powietrze stawało się coraz gorsze, im bardziej zbliżało się południe. Przesycał je kopeć lamp, zatrute wyziewy tyłu płuc i wreszcie dławiące, kłujące w oczy gazy. Dopiero wieczorna wentylacja mogła to usunąć. W kreciej jamie, na którą cisnęło olbrzymie brzemie kilkusetmetrowej warstwy skał, gdzie piersi nie miały czym oddychać, kuli hajerzy bez przestanku, by zarobić na chleb powszedni.

Praca

## V

Wreszcie ojciec Maheu wstrzymał się i rzekł nie patrząc na tkwiący w kieszeni kaftana zegarek.

— Niedługo pierwsza... Zachariasz... jakże tam?

Od chwili chłopak znowu wziął się do stemplowania. Ale zaraz przerwał robotę, położył się na grzbiecie i wpatrując się w ciemności myślał o wczorajszej grze w piłkę. Głos ojca ocucił go z zamyślenia.

— To wystarczy — odparł — jutro zobaczymy, co robić dalej.

I wrócił na swe miejsce w sztolni. Levaque i Chaval odłożyli także kilofy. Odpoczywano. Wszyscy obcierali sobie nagimi ramionami pot z twarzy i spoglądali na skałę sklepienia, w której łupkowej masie pojawiły się pęknięcia. Rozmawiali o pracy.

— A to znowu miła rzecz — zauważył Chaval — dostać się w pokłady, które mogą człowieka lada chwila zasypać.

Układając się o akord z Kompanią nie wzięli tego naturalnie w rachubę.

— Łajdaki! — mruczał Levaque. — Naturalnie, cóż im to szkodzi, gdy my tu wszyscy pozdychamy!

Zachariasz począł się śmiać. Nie troszczył się wiele ani o robotę, ani o nic innego, ale cieszył się, gdy słyszał, że ktoś klnie Kompanię. Maheu tłumaczył spokojnie, że tu nie ma niczyjej winy, gdyż pokłady co dziesięć metrów zmieniają się. Trzeba być sprawiedliwym! Któż może przewidzieć? A gdy mimo to tamci nie przestawali wymyślać przełożonym, obejrzał się zaniepokojony i rzekł stanowczo:

— Milczeć! Dość tego!

— Masz słuszość! — zauważył Levaque. — Z tego nie wyniknie nic dobrego!

Obawa szpiegów ciążyła na nich nawet w tej jeszcze głębokości, zdawało się im, że węgiel akcjonariuszów, tkwiący jeszcze w pokładzie, ma uszy i może ich zdradzić.

— To mnie nie obchodzi! — krzyknął Chaval bardzo głośno, wyzywającym tonem. — Niech no ta świnia Dansaert pozwoli sobie jeszcze kiedy mówić ze mną jak onegdaj, a dostanie kamieniem w łeb! Czy ja przeszkadzam mu zabawiać się z blondynkami?

Zachariasz wybuchnął teraz głośnym śmiechem. Miłostki głównego nadzorcy z panią Pierron były niewyczerpanym tematem rozmów i dowcipkowań w całej kopalni. Nawet Katarzyna stojąca poniżej, oparta na łopacie śmiała się do rozpuku i w kilku słowach objaśniła Stefana o tym stosunku. Ojciec Maheu natomiast był zły i nie mogąc ukryć obawy rzekł:

— Milcz! Milcz! Jeśli chcesz wywoływać wilka z lasu, to zaczekaj, aż będziesz robił sam na siebie.

Jeszcze nie skończył, gdy od górnej galerii doszedł ich odgłos kroków i zaraz potem ukazał się inżynier kopalni, zwany przez górników małym Négrelem, w towarzystwie Dansaerta.

— A co, nie mówiłem? — mruknął Maheu. — Zawsze są gdzieś w pobliżu i wyrastają spod ziemi.

Paweł Négrel, siostrzeniec pana Hennebeau, był młodym dwudziestosześcioletnim człowiekiem, smukłym, przystojnym, o ciemnych wąsach i starannie zawsze ufryzowanych włosach. Spiczasty nos i mądre, przenikliwe oczy nadawały mu wygląd oswojonej łasicy. Niedowierzający był, mądry i postępował z robotnikami bardzo surowo. Ubrany był jak inni i tak samo uwalany w węgiel. By wpoić w nich szacunek dla siebie, nie cofał się przed żadnym niebezpieczeństwem, w każdym wypadku, czy to załamania się skał, czy wybuchu gazów, zawsze pierwszy stając na zagrożonym miejscu.

— To tutaj? Prawda, Dansaert? — spytał.

Dansaert, Belg o grubych rysach twarzy i zmysłowym nosie, odpowiedział z przesadną grzecznością.

— Tak panie inżynierze! Oto człowiek, którego przyjęto dziś rano.

Obaj wczolęli się do sztolni. Zawołano Stefana. Inżynier podniósł lampę i obejrzał go od stóp do głowy bez jednego słowa.

— Dobrze! — rzekł wreszcie i dodał. — Nie lubię nieznajomych, zbieranych po ulicy... W każdym razie ostatni raz tak się stało.

Nie słuchał wyjaśnień ojca Maheu, który tłumaczył się konieczną potrzebą i wskazywał na życzenie samej dyrekcji zastąpienia przesuwaczek mężczyznami. Badał sklepienie, podczas gdy hajerzy pochwycili na nowo kilofy. Nagle zawołał:

— Słuchajcie no, Maheu! Nie zależy wam widać na życiu!...

— O, to mocne! — odparł spokojnie górnik.

— Co, to mocne? Ależ to się już teraz obsuwa. Doprawdy wydaje się, jakby wam żal było drzewa, podpieracie w odstępach dwu przeszło metrów! Ach, zawszeście ci sami. Żal wam minuty czasu i wolicie ryzykować życie, jak stracić jeden wózek na to, by porządnie podstemplować sklepienie! Natychmiast brać mi się do tego! W tym miejscu muszą być założone podwójne belki!

A gdy robotnicy przedstawiali, iż tak groźnie nie jest, iż sami przecież ocenić to potrafią ze względu na własne niebezpieczeństwo, wpadł w gniew i począł krzyczeć:

— Ha, a któż to ponosi szkodę, gdy wam kości pogniecie, może wy? Nie wy! Kompania musi wówczas płacić pensje<sup>13</sup> waszym żonom i dzieciom! Znam ja was! Znam! Za jeden wózek więcej, narazicie się bez namysłu! Natychmiast brać się do roboty! Słyszycie?

Maheu, mimo wzbierającego gniewu, powiedział jeszcze spokojnie, z namysłem:

— Gdyby nam lepiej płacono, stemplowalibyśmy też lepiej.

Inżynier za całą odpowiedź wzruszył ramionami. Spuścił się już ze sztolni i dodał jeszcze z dołu:

— Macie jeszcze godzinę czasu. Zaraz mi się brać do roboty! Zapowiadam wam też, że za to, co się dziś stało, macie trzy franki kary.

Głuchy pomruk hajerów był odpowiedzią na te słowa. Powstrzymywała ich w karchach tylko surowa kasarniana<sup>14</sup> dyscyplina, która od przesuwacza aż do głównego nadzorcy uginała wszystkich pod jarzmo hierarchicznego, ślepego posłuszeństwa.

<sup>13</sup>pensja — tu: renta.

<sup>14</sup>kasarniany (daw.) — koszarowy.

Levaque i Chaval grozili pięściami, Zachariasz ironicznie się uśmiechał, wzruszając ramionami, a Maheu spoglądał po kolei na wszystkich, wzywając ich wzrokiem do milczenia. Wściekłość wezbrała najbardziej w Stefanie. Od czasu, kiedy dostał się do sztolni, ciągle wzrastało w nim oburzenie. Spojrzał na Katarzynę, stała z pochyloną głową pokorna, uległa. Czyż to możebne, myślał, by ludzie zabijali się piekielną pracą w tych ciemnościach, nie mając nawet pewności, że zarobią na suchy kawałek codziennego chleba?

Négrel i Dansaert odeszli. Dansaert nie odezwał się już, kiwając na wszystko głową, co mówił przełożony. Za chwilę usłyszano w sztolni znowu ich głosy. Stanęli niedaleko i badali belkowanie stropu, które w promieniu dziesięciu metrów od miejsca pracy powinni byli utrzymać w dobrym stanie górnicy.

— A co, nie mówiłem, ci ludzie nie troszczą się o nic! A pan, do stu diabłów, gdzież pan masz oczy?

— Chodzę, doglądam, panie inżynierze! — bąkał Dansaert. — Człowiek ochrypl już od samego powtarzania jednej rzeczy po dziesięć razy na dzień.

Négrel rozwścieklony począł wołać:

— Maheu! Maheu!

Wszyscy podeszli szybkim krokiem do inżyniera.

— Patrzcie — mówił Négrel — jakże to może trzymać. To wygląda na robotę dziecka. Oto belka, która się całkiem nie trzyma w zacięciu... wsadzona jak na kpiny... Na miłość boską, co wy robicie? Ha, teraz już wiem, czemu nam poprawki pochłaniają takie kolosalne sumy. Wam wystarczy, by się od biedy trzymało, jak długo za to jesteście odpowiedzialni! Potem wszystko się do diabła zapada, a Kompania musi trzymać całą armię ludzi, którzy wszystko robią na nowo... o patrzcie tu na przykład... tu u dołu! Psiakrew... cóż za łajdacka robota!

Chaval chciał mówić, ale nakazał mu milczenie.

— Wiem, wiem już, co chcesz powiedzieć, znam tę piosenkę... Podwyższenie płacy! Prawda? Ha, ha, a ja wam mówię, że jeśli tak dalej pójdzie, zmusicie dyrekcję do tego, że wam będzie osobno płacić za stemplowanie, równocześnie w odpowiednim stosunku zniżając płacę od wózka. Zobaczymy, czy zyskacie na tym... Ale dość tego... stąd dotąd macie podstemplować na nowo! Jutro zobaczę, czy zrobione.

I odszedł, zostawiając górników pogrążonych w rozpacz i zdumieniu. Dansaert, który w obecności inżyniera był tak skromny, zatrzymał się na małą chwilę i wrzasnął na górników:

— Przez was muszę tego wszystkiego słuchać! Ale czekajcie, już ja wam wlepię coś więcej, jak marne trzy franki kary! Poznacie mnie!

Gdy odszedł, wybuchnął stary Maheu.

— Psiakrew! Co za wiele, to za wiele! Ja pierwszy obstaję przy tym, by się nie unosić, bo tylko w ten sposób może przyjść do porozumienia, ale w końcu muszą człowieka diabli brać! Słyszeliście? Zniżyć chcą płacę za wózek, a osobno płacić stemplowanie! Ha, to wyborny pozór, by jeszcze mniej płacić! Psiakrew!

Szukał oczami kogoś, na kogo by wylać swą żołąć, i spostrzegł Katarzynę i Stefana stojących bezczynnie.

— Dalej, marsz po drzewo! To was nie tyczy wcale? Marsz, albo dam wam kopniaka gdzieś!

Stefan, nie czując urazy do starego, pospieszył po drzewo. Sam był wściekły na Négrela i górnicę wydawali mu się zbyt ulegli jeszcze i spokojni w stosunku do zachowania się przełożonych.

Levaque i Chaval nakłeli też co wlażło, a potem wszyscy wzięli się do roboty. Nawet Zachariasz nie lenił się tym razem i przez pół godziny słychać było tylko stuk kilofów o drzewo i trzask zacinanych toporami belek. Robotnicy nie otwierali ust, ale dyszeli i wrzeli złością na skałę, którą byliby chętnie dźwignęli na własnych ramionach, albo roztrzaskali pięścią, gdyby to było możliwe.

— Dość tego! — rzekł w końcu Maheu wyczerpany złością i pracą.

— Pół do drugiej!... Ha, piękny będzie nasz dzisiejszy zarobek, nie będziemy mieli ani pięćdziesięciu sous wszyscy razem. Ale mniejsza z tym... idę już! Mam tego dość.

I chociaż mieli jeszcze pół godziny pracy przed sobą, ojciec Maheu ubrał się, a inni poszli za jego przykładem. Nie mogli po prostu patrzeć dłużej na sztolnię bez wewnętrznego

nego wzburzenia. Katarzyna poczęła znowu napełniać wózek, odwołali ją, gniewając się, że nagle taka pilna. Niech sobie węgiel sam idzie, jeśli ma nogi! Wszyscy wzięli pod pachę narzędzia i wyszli. Mieli przed sobą jeszcze dwa kilometry do szachtu.

Hajerzy poszli przodem, a Katarzyna i Stefan pozostali nieco w tyle. Spotkali Li-dię, zatrzymała wózek, by im zrobić miejsce, i powiedziała, że Mouquette gdzieś znikła. Dostała przed godziną gwałtownego krwotoku z nosa i poszła szukać zimnej wody na okłady. Od tej pory nikt jej nie widział. Pożegnali się z nią wreszcie, a dziecko poczęło dalej popychać wózki cienkimi rączkami, podobne do wielkiej czarnej mrówki, walczącej mężnie z brzemieniem, którego dźwignąć nie może. Stefan i Katarzyna zjechali na plecach po pochyłości komina, z taką szybkością, że musieli chwytac się od czasu do czasu osłaniających ściany belek, by, jak mówiła ze śmiechem Katarzyna, pośladki ich nie zapaliły się od tarcia o wypolerowaną przez tyłu już górników skalę.

Dotarlszy do galerii dolnej spostrzegli, że są sami. Lampy hajerów zniknęły właśnie w dali. Wesołość ich zagasała i ociężałym krokiem szli, ona naprzód, on za nią. Lampy kopciły tak, że Stefan ledwie mógł w obłoku dymu dojrzeć swą przewodniczkę. Świadomość, że była dziewczyną, sprawiała mu przykrość. Uważał się za durnia ostatniego, iż jej nie obejmie ramieniem i nie pocałuje, a jednak na myśl o Chavalu nie czuł się na siłach uczynić tego. Pewnie okłamała go, a tamten był jej kochankiem. Pewnie zabawiają się nieraz, gdziekolwiek, na pierwszej lepszej kupce żwiru. To jasne! Kołysze się w biodrach jak każda rozpustnica. I złościł się na nią, jak gdyby go oszukała, ona zaś obracała się co chwila, zwracała jego uwagę na najmniejszą przeszkodę i zdawała się zachęcać go, by się do niej zbliżył. Byli w całej galerii sami, można było tak ładnie porozmawiać, pośmiać się, pożartować po przyjacielsku! Wreszcie skręcili do galerii głównej, kędy szły pociągi, i to uczyniło mu ulgę, położyło koniec męce wahania się. Ona zaś, obracając się po raz ostatni, rzuciła mu spojrzenie smutne, w którym odczytać mógł żal za utraconym może na zawsze szczęściem.

Teraz pulsowało dokoła nich życie podziemia. Dozorcy chodzili bezustannie tam i na powrót, przesuwali się pociągi w tę i w tamtą stronę i rozlegał się tętent kopyt końskich. Ciągłe rozbłyskiwały w ciemnościach lampy. Musieli się ciągle przyciskać do ściany, by zrobić miejsce ceniom ludzi i zwierząt, których oddech czuli na twarzach. Jeanlin, biegnący boso za swym pociągiem, krzyknął im nad głowami jakąś złośliwą uwagę, której jednak w zgiełku toczących się po szynach wózków nie dosłyszeli. Szli ciągle naprzód, a Stefan nie mógł rozpoznać drogi, którą szedł rano. Zdawało mu się, że zstępuje coraz głębiej pod ziemię. Najbardziej mu się teraz dawało we znaki zimno, ciągle wzrastające zimno, które przeniknęło go już zaraz po wyjściu ze sztolni. Drżał coraz bardziej w miarę zbliżania się do hali wjazdowej. Wąskim korytarzem dał wicher lodowaty z siłą huraganu. Już zwątpił, czy dojdzie kiedy do końca galerii, gdy nagle znaleźli się w hali.

Chaval spojrzał na nich podejrzliwie. Stali tu wszyscy przepoceni, drżąc od zimna, w milczeniu pasując się z gniewem. Przyszli za wcześnie i nie chciano ich wyciągnąć aż za pół godziny, tym więcej, że wszyscy u windy zajęci byli trudną pracą spuszczenia na dół konia. Ładownicy wsuwali wózki do klatek ze strasznym łoskotem i klatki znikwały w czarnym otworze, z którego lała się strumieniami woda, wpadając do zbiornika, to jest do wielkiej, dziesięć metrów głębokiej studni, skąd rozchodziły się wilgotne wyziewy po całej hali.

Dokoła szachtu biegali bez przerwy ludzie, ciągnęli za sznury sygnałowe, naciskali drągi dźwigni, nic sobie nie robiąc z unoszącego się w powietrzu gęstego pyłu wodnego, który przemacał ubranie. Trzy ogromne lampy rzuciły oślepiające smugi światła na wielkie, ruchome cienie i nadawały hali wygląd piekła czy kuźni potwornych bandytów założonej u stóp wodospadu.

Maheu spróbował po raz ostatni, czy mu się nie uda wydostać na wierzch, i zbliżył się do Pierrona, który rozpoczął swą służbę o szóstej.

— Słuchaj no, mógłbyś kazać nas wyciągnąć.

Ale Pierron, ładny, silny chłopak o łagodnym wyrazie twarzy, zrobił gest odmowny i spojrzał nań z przestradchem.

— Niemożliwe! Proś dozorcę... dostałbym karę.

Znowu głuchy pomruk przebiegł szeregi czekających, Katarzyna zbliżyła się do Stefana i szepnęła mu w ucho:

— Chodź, pokażę ci stajnię! Tam ciepło.

Do stajni nie wolno było chodzić, więc musieli iść tam ukradkiem. Znajdowała się ona na końcu długiego korytarza. Miała dwadzieścia pięć metrów długości, cztery wysokości, wykuta była w skale i wymurowana. Mogła pomieścić około dwudziestu koni. Miło tam było istotnie i ciepło od ciał końskich, pachniała czysta mierzwa<sup>15</sup>, jedyna lampa spokojnym światłem oblewała drzemiące u żłobów zwierzęta. Na odgłos kroków wszystkie głowy zwróciły się ku drzwiom, a kilkanaście par wielkich, dziecięcych oczu spojrzało z ciekawością na wchodzących. Potem konie zwróciły się znowu do swego owsa, powoli, bez pośpiechu, jako dobrze odżywiani pracownicy, którym nie zbywa na niczym.

Katarzyna odczytywała głośno imiona koni wypisane na cynowych tabliczkach ponad żłobami. Naraz wydała okrzyk przestachu na widok podnoszącej się z mierzwy jakiejś postaci. Była to Mouquette. Spała tutaj od dwu godzin przeszło i zerwała się teraz na równe nogi. Co poniedziałku, czując się po niedzielnych wybrykach zbyt zmęczona, by pracować, dawała sobie potężnego szturchańca pięścią w nos i gdy krew płynąć poczęła, opuszczała wózki, by ją zatamować. Pod tym pozorem kryła się w stajni, zagrzebywała w ciepłą mierzwę i spała aż do ukończenia dnia roboczego. Ojciec jej, bardzo pobłażliwy dla córki, nie bronił jej tego, chociaż obawiał się kary.

Właśnie wszedł do stajni stary Mouque. Był to wiekowy, mały, łysy, spracowany człowieczek. Dziwne było, że tuszę posiadał znaczną, rzecz niezwykłą u górnika, który pracował w kopalni już od pięćdziesięciu lat. Od czasu, gdy został stajennym, przyzwyczaił się tak bardzo do żucia tytoniu, że mu od tego aż dziąsła krwawiły.

Ujrawszy Katarzynę i Stefana obok swej córki rozgniewał się.

— Czegoż tu chcecie? Dalej! Marsz! Wynosić mi się. A to dranie, sprowadziły sobie chłopca! To byłoby ładnie, gdybym wam pozwolił gzić się tu na mojej słomie! Dalej, wynoście się!

Mouquette poczęła się śmiać, tak że aż się za boki trzymała. Posądzenie starego wydało jej się komiczne. Katarzyna uśmiechnęła się do Stefana, ale on był zmieszany i prędko wyszedł ze stajni. Gdy wszyscy troje znaleźli się znowu u windy, spotkali tam też Jeanlina z pociągiem. Nastąpiła mała przerwa w pracy, spowodowana załadowaniem wózków do klatki, a Katarzyna korzystając z tego zbliżyła się do konia, pogłaskała go i poczęła opowiadać jego dzieje Stefanowi. Był to Bataille, najstarszy koń kopalni, siwek, który od dziesięciu już lat nie widział słońca. Od tak długiego czasu zajmował ten sam kąt w stajni, spełniał tę samą pracę w ciemnych krużgankach i dobrze mu się powodziło. Był bardzo tłusty, sierść na nim polyskiwała i miał dobrotliwą minę mędrca żyjącego tutaj w cichości z dala od wszystkich cierpień i dolegliwości, prześladowanych konie na powierzchni ziemi. Bataille stał się tutaj w ciemności bardzo przebiegły i inteligentny. Poznał z biegiem czasu galerię, w której pracował, tak dokładnie, że otwierał głowę drzwi od wentylu, pochylał się w miejscach niskich, by nie uderzyć o sklepienie, a nawet niewątpliwie umiał liczyć także, ile razy nawracał, gdyż dokonawszy swej pracy dziennej nie chciał ciągnąć dłużej i musiano go odprowadzić do żłobu. Ale postarzał się już i teraz kocie jego, widzące w ciemności oczy zachodziły często mgłą melancholii. Może marzył mu się młyn pod Marchiennes, gdzie się urodził, brzegi Skarpy, zielone łąki i drzewa kołysane podmuchem wiatru. Coś wówczas paliło się na niebie, jakaś wielka lampa... Ale nie mógł sobie dokładnie tego przypomnieć, zwierzęcą jego pamięć przysłonił opar lat odległych. Stał ze spuszczoną głową, drżąc na starych nogach, i czynił daremne wysiłki, by sobie jasno uświadomić, jak wygląda słońce.

Tymczasem w szachcie zjazdowym ukończono rozliczne przygotowania, sygnał uderzył cztery razy, poczęsto spuszczać konia. Robiło to zawsze wrażenie i zaciekało wszystkich. Często zdarzało się, że zwierzę tak się przeraziło, iż dochodziło na dół nieżywe. Na górze zawiązywano konia do wielkiej sieci, kopał zrazu z rozpaczą, potem czując, że mu brak pod nogami stałego gruntu, drętwiał i jak skamieniały, bez drgnienia zapadał się pod ziemię, wpatrując się tylko w ciemności szeroko rozwartymi oczyma. Tym razem zwierzę było za wielkie, by prześlizgnąć się przez rusztowanie szachtu, musiano mu więc przekreślić na

<sup>15</sup>mierzwa — słoma, którą rzuca się pod nogi koni w stajni, aby utrzymać czystość.

bok głowę i przywiązać w tej pozycji u spodu klatki, gdzie też uczepiono sieć. Zjazd trwał blisko trzy minuty. Przez ostrożność maszyna szła pomału i to wywołało na dole wielkie podniecenie. Cóż się stać mogło, pytano dokoła? Czyż może zaczął się gdzieś i zawisnął tak między ziemią a niebem w ciemnościach? Nareszcie ukazał się skrępowany, zdrętwiały ze strachu, z oczyma wychodzącymi z orbit. Był to kasztan trzyletni zaledwie, ochrzczony imieniem: Trompette.

— Baczność! — krzyknął ojciec Mouque, który miał polecenie objąć go w swą opiekę. — Przysuńcie go tu... Nie rozwiązuje jeszcze.

Niebawem biedny Trompette leżał jak martwa masa na kamiennej podłodze. Nie ruszał się. Ta wielka czarna dziura w górze, ta nieskończenie długa droga przez ciemności, wreszcie wielka, jasna, hałaśliwa hala, wszystko wydało mu się strasznym snem.

Poczęto go rozwiązywać, gdy Bataille, którego właśnie odprzęgnięto, podszedł i wyciągnął szyję, by obwąchać towarzysza spuszczonego tu z powierzchni ziemi. Robotnicy rozstąpili się ze śmiechem. Cóż to pachniało tak od Trompette? Ale Bataille głuchy na drwiny parsknął i obwąchiwał go dalej. Tak, bez wątpienia pachniało świeże, zdrowe powietrze, kwiaty oblane promieniami słońca, o jakże dawno nie wachał ich Bataille! Stary siwek podniósł głowę i zarżał radośnie, ale w głosie jego czuć było zarazem utajone łkanie. Pozdrowiał towarzysza doli, cieszył się wspomnieniem czegoś dawno zapomnianego, co wdarło się tutaj w głębię ziemi wraz z przybysem, i oplakiwał go, wiedząc, że już nie ujrzy słońca... nigdy.

— Ach, ta bestia Bataille! — wołali robotnicy. — Słuchajcie no, jak to on rozmawia z kolegą! — I śmiali się rozweseleni komicznym zachowaniem się ulubieńca.

Trompette nie ruszał się jeszcze, choć był zupełnie wolny. Czuł widać dotąd sznury, krępujące go ze wszystkich stron, i bał się jeszcze. Brutalny cios bicia postawił go na nogi. Stał teraz i drżał na całym ciele. Ale ojciec Mouque nie bawiąc się dłużej zabrał oba konie, zawierające ze sobą znajomość, i zaprowadził je do stajni.

— No, teraz my? — spytał ojciec Maheu.

Ale jeszcze nie mogli wyjeżdżać. Musiano windę opróżnić z wózków, a przy tym brakowało jeszcze dziesięciu minut do czasu wyjazdu. Powoli opróżniały się wszystkie sztolnie, z wszystkich chodników schodzili się górnicy grupami. Było ich już około pięćdziesięciu, wszyscy spotniali i drżący czekać musieli w hali, gdzie hulał lodowaty wiatr i można było bardzo łatwo dostać zapalenia płuc. Pierron, tak dobrodusznie wyglądający Pierron, dał w twarz swej córce Lidii za to, że opuściła sztolnię na chwilę przed końcem pracy. Zachariasz ukradkiem uszczypnął Mouquette, tak że rozczzerwieniła się zaraz. Niezadowolenie wzrastało z każdą chwilą i doszło do swego kulminacyjnego punktu, gdy Levaque i Chaval powiedzieli o pogroźce inżyniera, że dyrekcja będzie płaciła osobno stemplowanie stropu, zniżając w zamian płacę od wózka. Wykrzyki oburzenia przywitały tę nowinę i zdawało się, że lada chwila wybuchnie tu, sześćset metrów pod ziemią, otwarty bunt. Wrzawa rosła. Już nie krępowali się teraz biedacy spotniali, okryci warstwą węgla, złodowaciali z zimna i oskarżali głośno dyrekcję, że dąży do tego, by połowę robotników pozbawić życia tu w głębi, a drugą połowę na jej powierzchni zamorzyć głodem. Stefan słuchał przejęty grozą.

— Prędkiej! Prędkiej! — wołał nadzorca Richomme na ładowniczych.

Chciał przyspieszyć wyjazd. Nie chciał występować surowo wobec robotników i udawał, że nie słyszy. Ale w końcu wykrzyki stały się tak głośne, że musiał wdać się w to. Rozległy się już pogroźki, że tak dalej iść nie może i że lepiej całą mordownię wysadzić dynamitem w powietrze.

— Tyś stary — rzekł do Maheu — i rozumny, każ im więc, by milczeli. Gdy się nie jest silniejszym, trzeba być mądrzejszym.

Ale Maheu, którego gniew opuścił a obsiadła troska, nie potrzebował zachęcać do spokoju. Głosy nagle zamilkły. Z bocznego chodnika wyszli Négrel i Dansaert wracający z inspekcji. Dyscyplina sprawiła, że robotnicy rozstąpili się tworząc szpaler, którym przeszedł inżynier nie wyrzekłszy ni słowa. Wsiadł do próżnego wózka, nadzorca do drugiego, sygnał uderzył pięć razy, co znaczyło *gruba zwierzyna*, wyrażenie utarte o przełożonych. Wśród ponurego milczenia klatka wzniosła się w górę i znikła w czeluści szachtu.

Skulony w klatce wraz z czterema innymi, Stefan postanowił rozpocząć na nowo żywot wagarów włóczącego się po gościńcach o głodzie. Raczej zginąć z głodu, myślał, jak wracać do tego piekła, gdzie zarobić nie można nawet na chleb powszedni. Nie było teraz koło niego Katarzyny, nie czuł miłego, kojącego ciepła. Siedziała ponad nim w jednym z wózków. Tak, tak, zamiast myśleć o głupstwach, lepiej iść stąd precz. Czuł, że ze swym wyższym wykształceniem nigdy nie potrafi zdobyć się na rezygnację, jaką posiada ta trzoda ludzka, i że prędzej czy później rozwali lećb któremu przełożonemu.

Nagle oślepiło go światło. Winda biegła z taką szybkością, że nie spostrzegł się, gdy już był na powierzchni ziemi. Oślepiiony jasnością, od której odwykł już, mrugał powiekami. Ale wielką pociechą było dlań, gdy usłyszał, że haki klatki zabiły się w drzewo. Po chwili chłopak otworzył drzwi i Stefan wyszedł wraz z innymi z szachtu.

— Hej, Mouquet<sup>16</sup> — odezwał się Zachariasz do syna starego stajennego, który stał w pobliżu. — Pójdziemy dziś do Wulkanu?

Wulkan, była to kawiarnia w Montsou, gdzie się odbywały koncerty. Mouquet przyrmużył lewe oko i uśmiechnął się w milczeniu, potem zrobił małpi grymas. Mały, gruby jak ojciec i siostra, miał zadarty nos i minę chłopaka, który trwoni zarobiony grosz, nie troszcząc się o jutro. Właśnie ukazała się Mouquette, a brat na powitanie pchnął ją pięścią w plecy.

Stefan ledwie mógł rozpoznać halę kontrolną, której wysokie rusztowanie wyglądało rano przy mdłym świetle latarni tak niepokojąco. Była pusta i brudna. Słabe światło dnia przesiewało się przez zapyłone okna. Jedna tylko maszyna polyskiwała jak srebro i złoto, stała i mosiądzem swych części składowych, liny zaś obmazane czarnym tłuszczem wyglądały jak długie wstęgi zanurzone w atramencie. Wszystko zresztą, bębny umieszczone wysoko i podtrzymujące je potężne żelazne rusztowanie, winda, wózki, wszystko miało kolor mdły, szary, starego żelazniwa. Bez przestanku podłoga trzęsła się od uderzeń kół, zaś z miejsca, gdzie wysypywano wyciągnięty węgiel w celu przewiezienia go dalej, wznosił się słup czarnego, ciężkiego pyłu, który osiadał na ziemi, murach, narzędziach, na wszystkich aż do samego szczytu wieży szachtowej.

Chaval tymczasem spojrział na rejestr umieszczony w oszklonej budce kontrolera i wrócił zapieniony z gniewu. Przekonał się tam, że strącono im dwa wózki, jeden z powodu, że nie był dostatecznie napełniony, drugi, ponieważ zawierał węgiel nie całkiem wolny od złomków skalnych.

— Ładny dzień mamy dziś! — wrzeszczał. — Jeszcze o dwadzieścia sous mniej! Ale dobrze nam tak... po cóż brać włóczęgów, próżniaków, którzy ruszają rękami jak świnia ogonem.

Spojrzeniem zjadliwym na Stefana uzupełnił swą przemowę.

Stefan w pierwszej chwili miał zamiar odpowiedzieć pięścią, ale pomyślał, że nie warto, bo wszak i tak ma sobie iść precz. To utwierdziło go tylko w postanowieniu.

— Nie można od pierwszego zaraz dnia wszystkiego robić doskonale! — łagodził ojciec Maheu dla miłego spokoju. — Jutro będzie robił lepiej.

Ale we wszystkich wrzało i wzrastała chęć do kłótni. W lampiarni, przy oddawaniu lamp Levaque pokłócił się z robotnikiem zapalającym je o to, iż lampy umyślnie źle czyści. Uspokoili się dopiero w ogrzewalni, gdzie ciągle palił się ogień. Musiano nawet za wiele dosypać węgla, gdyż piec rozżarzony był strasznie, a wielka izba bez okien oblana była jaskrawą łuną, jakby paliły jej brudne mury. Rozległy się okrzyki weselsze, wszyscy smażyć sobie poczęli plecy stojąc dookoła w pewnej odległości od pieca i kurzyło się z nich jak z garnków. Gdy któregoś poczęło zbyt mocno palić w plecy, obracał się i nadstawiał brzuch. Mouquette w prostocie ducha spuściła spodnie i suszyła sobie koszulę. Chłopcy poczęli tłuste<sup>17</sup> żarty i rozległ się chóralski śmiech, gdy zniecierpliwiona odwidła się i pokazała im tyłek, co było u niej gestem najgłębszej pogardy.

— Idę! — rzekł Chaval, zamknawszy w szafie narzędzia. Nikt się nie ruszył z miejsca prócz Mouquette, która się wyslizgnęła szybko pod pozorem, że idzie w tę samą stronę,

<sup>16</sup>Mouquet — syn pana Mouque; dziś w jęz. fr. nazwiska żon i dzieci nie różnią się formą od nazwiska męża i ojca.

<sup>17</sup>tłuste — tu: pikantne.

to jest do Montsou. Żartowano sobie z niej dalej, gdyż wiadano, że Chaval nie chce już nic z nią mieć do czynienia.

Tymczasem Katarzyna powzięła pewną myśl i od chwili już szeptała coś do ucha ojcu. Stary zdumiał się naprzód, potem jednak kiwnął głową na znak zgody, zawołał Stefana i rzekł półgłosem oddając mu zawiniątko, które wyjął z szafy.

— Słuchaj no pan, jeśli nie masz grosza w kieszeni, to możesz łatwo, nim nadejdzie wypłata, umrzeć z głodu. Czy chcesz, abym ci gdzieś wyrobił kredyt?

Przez chwilę chłopak stał niemy, zmieszany. Właśnie chciał zażądać swoich trzydziestu sous i iść precz. Ale w obecności Katarzyny uczynić tego nie śmiał. Wstydził się, czując jej wzrok na sobie. — Może pomyśli, że boję się pracy — myślał.

— Rozumie się, na pewne obiecywać nie mogę niczego — mówił stary dalej — musimy być przygotowani na odmowę.

Stefan nie zaprzeczył. Był pewny odmowy. Zresztą to przecież do niczego nie obowiązuje, przelknie coś i pójdzie sobie. Ale opanowało go niezadowolenie, gdy dostrzegł wesół uśmiech Katarzyny, uradowanej, iż mu pomogła. I na cóż to wszystko?

Ubrawszy się w saboty i zamknawszy narzędzia w szafie, Maheu ze swoimi skierował się ku wyjściu, robiąc z kolei miejsce innym, którzy przychodzili się rozgrzać. Stefan szedł za nimi, a Levaque z synem przyłączyli się także. Ale jeszcze nie minęli sortowni, gdy gwałtowna scena wstrzymała ich na chwilę.

Sortownia była to wielka szopa o belkowaniu pokrytym grubą warstwą pyłu węglowego i wielkich żaluzjach, przez które dął ciągle wiatr. Wózki z węglem wprost od kontrolera dostawały się tutaj. Pomocnicy wysypywali ich zawartość na skośne, długie, blaszane rynny, a stojące na podwyższeniach kobiety i dziewczęta uzbrojone w grabie i gracie wydobywały kamienie, posuwały dalej czysty węgiel, który przez ogromne lejki spadał w wagony kolejowe, stojące na torze poniżej sortowni.

Pracowała tu Filomena Levaque, blada, chora na suchoty dziewczyna, o głupim wyrazie twarzy. Głowę miała owiniętą szafirową chustką, ręce uczernione w węglu aż po łokcie i stała obok starej czarownicy, matki pani Pierron, zwanej *Brûlé*, strasznie wyglądającej ze swymi sowimi oczyma i ustami zaciśniętymi jak sakiewka skąpca. Wściekle były obie na siebie. Młoda oskarżała starą o to, że jej zabiera sprzed nosa kamienie, tak że nie może ani co dziesięć minut napełnić kosza. Płacono je od kosza i to było powodem bezustannych kłótni. Wydierały sobie codziennie garściami włosy, na zaczerwienionych twarzach zostawiały czarne odciski rąk, policzkując się zapamiętane.

— Rozbij jej czerep! — krzyknął przechodząc Zachariasz do swej łubej.

Wśród robotnic rozległy się okrzyki potakiwania. Ale *Brûlé* rzuciła się jak furia na chłopca.

— Słuchaj, smarkaczu, lepiej byś zrobił, uznając swoje dwa bękarty, któreś jej zmajstrował. Śliczna żonka... taka glista, która w osiemnastu latach nie może się utrzymać na nogach... ha, ha, ha!

Maheu musiał z całej siły trzymać syna, który chciał koniecznie temu staremu kościotrupowi pokazać co należy. Zjawił się dozorca, gracie poczęły znowu poruszać się miarowo, rozgarniając węgiel, i z góry nie widać było teraz nic prócz pochylonych pleców kobiet, wysiłających się na to, by sobie wzajem porywać kamienie.

Pogoda się zmieniła. Wiatr ustał nagle i zimna, wilgotna mgła zawisła nisko ponad ziemią. Górnicy skulili się, pozakładali ręce na piersiach i szybko szli ku domom, kołysząc się w biodrach, co uwydatniało jeszcze bardziej grube kości okryte lekką tylko materią ubrania. Przy jasnym dniu można by ich było wziąć za gromadę Murzynów, którzy się nurzali w błocie. Niektórzy nie zjedli swych *kanapek* i teraz resztki jedzenia wsunięte pomiędzy koszulę i kaftan na plecach nadawały im wygląd garbatych.

— Patrzcie, idzie Bouteloup! — rzekł ze śmiechem Zachariasz.

Levaque, nie zatrzymując się, zamienił kilka słów ze swym lokatorem, wysmukłym, ciemnowłosym, trzydziestopięcioletnim mężczyzną, o spokojnym, uczciwym wyrazie twarzy.

— Czy zupa gotowa, Ludwiku?

— Tak, zdaje się.

— A żona moja w dobrym humorze?

— Tak, zdaje się w dobrym.

Spotkali grupy górników i robotników ziemnych, którzy szli do pracy. Mijali ich i niknęli w bramie kopalni. Zjeżdżali o trzeciej, w większej jeszcze liczbie jak robotnicy ranni. Byli to robotnicy na zmianę, przeznaczeni do zastąpienia tamtych przy robotach ziemnych w głębi. Kopalnia nie świętowała nigdy, w dzień i w nocy chmary ludzkich robaków wierciły wewnątrz ziemi w głębokości sześciuset metrów pod polami burakowymi.

Młodzi poszli przodem. Jeanlin tłumaczył Bébertowi kunsztowny plan zmierzający do tego, by dostać na kredyt tytoniu za cztery sous. Lidia pełna szacunku dla ich pomysłu szła w milczeniu, a za nią Katarzyna z Zachariaszem i Stefanem.

Milczeli wszyscy. Dopiero u drzwi kantyny *Pod nadzieją* dogonili ich Levaque i Maheu.

— No, jesteście na miejscu — rzekł Maheu do Stefana — wejdź pan.

Rozłączono się. Katarzyna stała przez chwilę bez poruszenia i patrzyła na chłopca swymi łagodnymi oczyma. Uśmiechnęła się i znikła wraz z innymi na drodze wiodącej na wzgórze, gdzie leżała kolonia robotnicza.

Kantyna stała pomiędzy wsią i kopalnią na rozdrożu. Był to dwupiętrowy budynek z cegły, pobielony od góry do dołu i ozdobiony szerokim niebieskim obramieniem okien. Na drewnianym szyldzie wiszącym ponad drzwiami wypisane było żółtymi literami: *Pod nadzieją, kantyna Rasseneura*. Z tyłu poza domem była kregielnia obsadzona żywopłotem. Kompania uczyniła wszystko, co było w jej mocy, by kupić ten mały skrawek gruntu, wciskający się klinem w jej obszerne posiadłości i wściekała się na kantynę sterczącą bezczelnie tutaj, pośród pól, u samego niemal wejścia do Voreux.

— Wejdź pan! — powtórzył Maheu, zwracając się do Stefana.

Szynkownia była ciasna i pusta, o ścianach nagich, białych. Niczego tu nie było prócz trzech stolików, tuzina krzeseł i małego bufetu z jodłowego ciemno lakierowanego drzewa. Na bufecie stało może z dziesięć kuflów, trzy flaszki z wódką, karafka z wodą i mały cynowy rezerwuar z kurkiem. Prócz tego nie było nic. W żelaznym polerowanym i błyszczącym piecyku palił się słaby ogień, deski podłogi wysypano białym piaskiem, w który wsiąkała wilgoć ustawicznie wodą ociekającego gruntu tych okolic.

— Kufel dla mnie! — rozkazał Maheu wysokiej jasnowłosej dziewczynie, sąsiadce, posługującej tu czasem. — Czy Rasseneur w domu?

Dziewczyna odwróciła kurek i powiedziała, że pan zaraz nadejdzie. Powolnym, długim haustem wychylił Maheu do połowy szklanekę, by splukać pył obsiadający mu gardło. Nie poczęstował swego towarzysza. Prócz nich był tu jeden jeszcze tylko górnik. Siedział przy drugim stoliku pogrążony, jak się zdawało, w głębokim rozmyśleniu i pił powoli piwo. Trzeci wszedł, uczynił gest, dostał kieliszek wódki i wyszedł bez słowa.

Ale za chwilę ukazał się wysoki mężczyzna około trzydziestu ośmiu lat, o pełnej, starannie ogolonej twarzy, dobrotliwie uśmiechniętej. Był to Rasseneur, dawniej hajer oddalony trzy lata temu przez Kompanię skutkiem strajku. Był dobrym robotnikiem, umiał mówić, ujmował się za pokrzywdzonymi robotnikami i został niebawem przywódcą malkontentów. Żona jego, jak wiele żon górników, miała mały szynk, toteż Rasseneur, gdy go wypędzono, został szynkarzem, uciulał trochę grosza, resztę dopożyzył i wystawił kantynę niemal u wrót Voreux. Było to swego rodzaju wyzwanie pod adresem Kompanii. Przedsiębiorstwo rozkwitło w krótkim czasie, a Rasseneur stał się doradcą pokrzywdzonych, rozżarzał ich gniew i bogacił się na tym.

— Oto młody człowiek, którego zgodziłem dziś rano — zaczął prosto z mostu Maheu. — Czy masz wolną stancję i czy chcesz mu udzielić dwutygodniowego kredytu?

Pełna twarz Rasseneura przybrała od razu pełen nieufności wyraz. Obrzucił Stefana podejrzliwym spojrzeniem i odparł, nie starając się nawet usprawiedliwić odmowy.

— Oba moje pokoje gościnne zajęte, nie mogę.

Stefan spodziewał się tego, mimo to jednak zabolą go odmowa. Nagle żal mu było odchodzić stąd. Zdziwił się, skąd się ten żal wziął. No, mniejsza z tym, pójdzie, gdy tylko dostanie swoje trzydzieści sous. Górnik pijący przy drugim stoliku poszedł. Inni wchodzili jeden po drugim po to tylko, by sobie popłukać gardło, i wynosili się zaraz ociężałym krokiem. Nie było w tym żadnej ochoty, żadnej przyjemności ni namiętności. Ot proste spełnienie potrzeby, o czym i mówić nie warto.

Karczma

Alkohol, Karczma,  
Robotnik, Przyjemność

— Co słysząc? — spytał tajemniczym tonem Rasseneur ojca Maheu, który kończył powoli piwo.

Maheu obejrzał się dokoła i widząc, że prócz Stefana nie ma nikogo, rzekł:

— To słysząc, że znowu była kłótnia... o stemplowanie!

Opowiedział wydarzenie. Twarz szynkarza zaczerwieniła się, krew mu uderzyła do głowy, a oczy poczęły błyskać. Wybuchnął w końcu:

— Dobrze, dobrze, niech tylko spróbują zniżyć płace... już po nich!

Nie na rękę mu była obecność Stefana. Mówił dalej, ale rzucał nań często ukradkowe spojrzenia. Mówił zawile, opisywał, obchodził, natrącał, mówił o dyrektorze, panu Hennebeau, jego żonie, siostrzeńcu, małym Négrelu, nie wymieniając jednak nazwisk. Zapewniał, że tak dalej być nie może, bo prędzej czy później musi nastąpić katastrofa. Nędza przeszła wszelką miarę. Wyliczał fabryki, które zawiesiły czynności, tłumy robotników, które rozbiegły się za pracą. Od miesiąca rozdawać musi więcej jak sześć funtów chleba dziennie. Niedawno doniesiono mu, że pan Deneulin, właściciel sąsiedniej kopalni, zbankrutuje lada dzień. Wreszcie przed paru dniami dostał z Lille list pełen niepokojących wieści.

— Wiesz — szeptał — od tego człowieka, któregoś tutaj raz wieczorem widział...

Przerwano mu. Weszła do sklepu żona, wysoka, sucha, popędliwa kobieta o długim nosie i sinawych policzkach. Była w polityce dużo radykalniejsza od męża.

— List od Plucharta! — powiedziała. — O, gdyby on przyszedł do władzy, poczęłoby się dziać inaczej.

Stefan nadśluchiwał od chwili, zrozumiał o co idzie i na myśl o nędzy i możliwości zemsty rozpalil się sam. Na dźwięk tego nazwiska zadrżał. Potem, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, powiedział głośno:

— Znam Plucharta.

Wszyscy spojrzeli nań, musiał więc dodać:

— Tak, jestem maszynistą, on był moim przełożonym w Lille. Rozumny człowiek, często z nim rozmawiałem.

Rasseneur obejrzał przybysza po raz drugi od stóp do głowy i twarz jego przybrała całkiem inny wyraz. Pojawiło się na niej współczucie. Wreszcie rzekł do żony:

— Maheu przyprowadził tego pana, który jest chwilowo jego przesuwaczem. Pyta, czy nie mamy wolnego pokoju na górze i czy możemy mu otworzyć rachunek na przeciąg czternastu dni.

Sprawę załatwiono potem w dwu słowach. Był wolny pokój. Lokator właśnie dziś rano wyjechał. Teraz gospodarz puścił wodze swej wymowy i dał wyraz oburzeniu, chociaż ciągle powtarzał, że nie żąda od pracodawców rzeczy niemożliwych do spełnienia, jak tylu innych, którzy chcą nie wiedzieć czego. Żona wzruszyła ramionami, ona chciała wszystkiego.

— Dobranoc! — powiedział Maheu, przerywając jej litanie. — Wszystko to nie zmieni faktu, że ludzie będą się spuszczać do kopalni, a jak długo to nie ustanie, muszą marnieć... Przejrzyj się, Rasseneur, w lustrze i przekonaj się, jak się zmienił od czasu, gdyś zerwał z tym wszystkim.

— To prawda, przyszedłem trochę do siebie! — przyświadczył gospodarz.

Stefan odprowadził wychodzącego ojca Maheu do drzwi i podziękował mu. Stary potrząsnął głową i wyszedł bez słowa, a Stefan widział go jeszcze długo idącego w górę ku kolonii ociężałym krokiem. Pani Rasseneur zmuszona właśnie obsługiwać gości poprosiła, by się chwilę wstrzymał, a zaraz zaprowadzi go do komórki, gdzie będzie się mógł umyć.

Wahał się teraz znowu, czy ma zostać. Opanował go nagle żal za swobodną włóczęgą po świecie, za głodem nawet, byle na powietrzu, w blaskach słońca, za niezależnością i tym nieokreślonym poczuciem, że nikt nie ma prawa niczego mu nakazać, do niczego zmusić. Wydało mu się, że upłynęły już całe lata od jego przybycia na pobliski wzgórek w ciemną wietrzną noc, do godzin spędzonych pod ziemią w niewygodnej pozycji przesuwacza. Czuł odrazę do podjęcia tej pracy na nowo, była ona za twarda, za okrutna. Cała jego duma męska burzyła się na myśl, że będzie musiał żyć tam w ciemnościach jak zwierzę, które oślepieno po to, by je deptać nogami.

Stefan rozmyślał, a oczy jego błądziły po niezmierzonej płaszczyźnie. Po chwili poczęł spoglądać z zaciekawieniem. Zdumiał się. Tak sobie nie wyobrażał okolicy wówczas, gdy

Bonnemort wskazywał mu w ciemnościach różne punkty. Przed nim w zagłębiu leżała Voreux ze swymi drewnianymi i murowanymi budynkami, obciążonymi dziegiem sortowniami, wieżą krytą łupkiem, halą maszyn i chaosem natłoczonych na małej przestrzeni przeróżnych zabudowań, smutno i brzydko wyglądających. Ale dokoła tych budowli ciągnął się prostokąt, którego rozmiary wprawiły patrzącego w zdumienie. Wyglądało to na jezioro atramentu, widać było nawet niby fale ułożone nierówno zasy pyłu węgla, dokoła nich sterczały wysokie rusztowania dźwigające kładki, a w jednym kącie widniały zapasy drzewa. Zdawało się, że ściąć musiano chyba całe mile lasu, by nagromadzić tyle kłoców. Od prawej strony wielkie usypisko miało skalnego i węglowego zapierało widok. Była to niby niezmierna, przez olbrzymów usypana barykada. Starsze jej partie porastała rzadka trawa, drugi zaś koniec palił się już od roku. Buchał też stamtąd ciągle gęsty dym i pojawiały się na powierzchni złożonej z odłamków łupku i grubego gruzu piaskowcowego czerwone żyłki ognia. Dalej widniały olbrzymie pola pszeniczne i burakowe, nagie o tej porze roku, jeszcze dalej bagna, pokryte przegniłym szuwarem, tu i ówdzie płoty łożowe i wreszcie na skraju horyzontu wielkie pastwiska pocięte liniami cienkich topól. Białe, małe plamki w wielkiej dali wskazywały na północy miasto Marchiennes, na południu Montsou, a od wschodu las Vandame obrzeżał horyzont fioletową linią swych bezlistnych drzew. Na wszystkim leżała brudna mgła, ciążyło pochmurne niebo i zdawało się, w półświecie zimowego południa, jakoby cały węglowy pył Voreux przypadł na tę ogromną równię zasnuwając czarną powłoką drzewa, drogi i całą ziemię.

Stefan patrzył i najbardziej zdumiał go kanał, którego w nocy nie dostrzegł.

Ujęto w sztuczne brzegi rzekę Skarpę i kanał ten ciągnął się w prostej linii z Voreux do Marchiennes, dwie mile długą taśmą srebrną pośród dwu szeregów drzew, drzew wysokich, sterczących ponad niskie wały brzegów. Była to droga wodna, gościniec handlowy, a na błoniebieskiej wodzie odcinały się ostro czerwone dzioby cynobrem pomalowanych łodzi. W pobliżu kopalni znajdował się plac do naładowywania ze stojącymi na kotwicy statkami pontonowymi, na które ładowano węgiel wprost z wózków, zataczając je po pomostach. Kanał załamywał się w tym miejscu i biegł dalej poprzez bagna, a ta ciągnąca się geometryczną linią nić wody zdawała się być jedyną arterią życia całej nagiej równi... wielkim gościńcem, którym wywożono stąd węgiel i żelazo.

Oczy Stefana od kanału zwróciły się ku leżącej na płaskowzgórzu kolonii robotniczej, której jedynie czerwone dachy widać stąd było, potem poszły ku Voreux i zatrzymały się w dole na urwisku gliniastego gruntu, obok którego widniały dwa olbrzymie czworoboki nagromadzonych cegieł, które tutaj wyrabiano i wypalano na miejscu. Odnoga kolei, będącej własnością Kompanii, biegła wtedy ku kopalni osłonięta drewnianym parkanem. Tamtędy zjeżdżali zapewne robotnicy ziemni. Wagon popychany przez kilku ludzi turkotał i skrzypiał po szynach i to był jedyny odgłos, jaki pochwycić można było uchem. Okolica przestała być teraz dla Stefana niezbadaną ciemnością, z której dochodził dziwny grzmot i błyskało światło nieznanych, czerwonych gwiazd. Piece pierścieniowe i baterie koksowe przygasły już równo ze świtem i dolatywał tylko zadyszany oddech pompy parowej, płuc owego potwora, którego czarne wnętrza przewędrował, potwora, którego nic nasycić nie mogło.

I nagle skrzystalizowało się w jego mózgu postanowienie. Może chciał znowu ujrzeć niebieskie oczy Katarzyny, a może sprawiło to wydzierające się z czeluści Voreux tchnienie buntu. Nie wiedział, czuł tylko, że musi znowu znaleźć się tam na dole, że chce i musi tu cierpieć i walczyć, i z nienawiścią pomyślał o ludziach, o których opowiadał Bonnemort, o owym sytych, przyczajonym gdzieś bożyszczu, dla którego dziesięć tysięcy zgłodniałych ludzi naraża codziennie życie.

Buntownik, Pozycja  
społeczna, Walka klas

## CZĘŚĆ DRUGA

### I

Piolaine, posiadłość rodziny Gregoire, położona była o dwa kilometry na wschód od Montsou przy drodze do Joiselle. Pośrodku ogrodu stał wielki dom, nie posiadający żadnego wyraźnego stylu, zbudowany na początku minionego wieku.

Z obszernych gruntów, stanowiących dawniej część integralną Piolaine, pozostało teraz ledwo trzydzieści hektarów otoczonych murem, których uprawa nie sprawiała wiele trudności. Ogród warzywny i owocowy służył w całej okolicy i nie miał sobie równego, natomiast brakło posiadłości parku, po którym pozostało tylko trochę drzew i krzaków. Stara lipowa aleja, wiodąca od bramy wjazdowej do drzwi domu, długa na trzydzieści może metrów, stanowiła osobiliwość na tej nagiej bezbrzeżnej płaszczynie ciągnącej się od Marchiennes do Beaugnies.

Państwo Gregoire wstali tego dnia o godzinie ósmej, co należało do rzadkości, zwykle bowiem podnosili się o dziewiątej, namiętnie lubiąc spać długo. Zdenerwował ich silny wiatr, który dął przez całą noc. Pan Gregoire wstawszy udał się na wędrowkę dokoła domu i ogrodu, dla zbadania, czy wichura nie wyrządziła jakiej szkody, pani zaś w pantoflach i flanelowym szlafroku poszła do kuchni. Pani Gregoire miała lat pięćdziesiąt osiem, była niska, pulchna, miała białe włosy i lalkowatą twarz, z której nie schodził wyraz zdumienia.

— Melanio — odezwała się do kucharki — ciasto gotowe, mogłabyś, jak sądzę, upiec brioszek. Panienska wstanie najwcześniej za jakie pół godziny, miałyby więc coś świeżego do czekolady. To by dopiero była dla niej niespodzianka!

Kucharka, stara, chuda kobieta, służąca od trzydziestu lat u Gregoire'ów, poczęła się śmiać.

— To prawda, to byłaby niespodzianka! Rozpaliłam jak się należy, rura gorąca. Zresztą Honorka może mi pomóc trochę.

Honorka, dziewczyna dwudziestoletnia, dzieckiem wzięta do domu i wychowana tutaj, służyła za pokojówkę, a prócz nich obu do służby domowej liczył się jeszcze stary furman Franciszek spełniający zarazem cięższe prace. Ogrodem zajmowali się ogrodnik i ogrodniczka, odpowiedzialni za owoce, kwiaty, warzywa i drób. Stosunki pracodawców ze służbą były patriarchalne i cały ten mały światek żył sobie w spokoju i miłej zgodzie.

Pani Gregoire, której w łóżku jeszcze przyszedł do głowy genialny pomysł upieczenia brioszek, została w kuchni, by widzieć, jak Melania będzie wsuwała do pieca małe, płasko-wypukłe bułeczki. Kuchnia była ogromna, a jak ważną rzeczą była w Piolaine, dowodziła wzorowa czystość w niej panująca, cały arsenał rondli, garnków i garnuszków, rozlicznych naczyń i przyborów. Można było wiedzieć z góry, gdy się tu zajrzało, że w Piolaine dobrze dawano jeść. Na półkach szafarń pełno było zapasów.

— Tylko pamiętaj je ładnie przyrumienić! — dodała pani Gregoire, wychodząc do jadalni.

Pałił się tu na kominku wesoły ogień, mimo że pokój, jak i cały dom, ogrzewany był parą. Jadalnia zresztą nie miała zbytowego umeblowania. Stał tu tylko wielki stół, stoliki, kredens mahoniowy i dwa wygodne fotele świadczące, że państwo Gregoire'owie są zwolennikami wygody i dobrego, długiego trawienia. Po jedzeniu przesiadywano tu zwykle długo, nie udając się do salonu.

Niebawem wrócił pan Gregoire. Ubrany był w ciepłą, flanelową kamizelkę, miał jak żona białe włosy i mimo sześćdziesięciu lat pogodną, rumianą twarz, o grubych rysach i dobrotliwym wyrazie. Przeprowadził właśnie konferencję z furmanem i ogrodnikiem. Wicher nie uczynił żadnej poważniejszej szkody, spadło tylko parę cegieł z komina, co można było łatwo naprawić. Pan Gregoire lubił obchodzić co rana dokoła swą posiadłość, która nie była zbyt rozległa, by mu sprawiać kłopot, a dostatecznie duża, by dać miłe zajęcie i ambicję właściciela ziemskiego.

— Gdzież Cecylka? — spytał. — Czy może nie myśli dziś wstać z łóżka?

— Doprawdy — odparła żona — pojąć tego nie mogę. Przed chwilą zdawało mi się, że słyszę ruch w jej pokoju. Pewnie się ubiera.

Kuchnia

Nakryto do śniadania, na białym obrusie zjawiły się trzy filiżanki. Wysłano Honorkę, by dowiedziała się, co się dzieje z panienką. Wróciła zaraz i wstrzymując śmiech, oznajmiła półgłosem, jakby obawiając się, by nie dosłyszano jej słów w sypialni.

— O gdyby też wielmożny pan i pani widzieli panienkę! Śpi... śpi... jak Jezusek! Trudno sobie wyobrazić... aż radość patrzeć, jak wygląda.

Ojciec i matka zamienili czule spojrzenia. Gregoire uśmiechnął się i rzekł:

— Chodźmy zobaczyć.

— Biedne małeństwo! — szepnęła matka. — Chodźmy!

I udali się oboje na górę. Pokój Cecylki był jedynym zbyt kownie urządzonym pokojem w całym domu. Obity był niebieskim jedwabiem i miał lakierowane białe meble pokryte materią białą w niebieski deseń. Tak obmyśliła sobie sypialnię rozpieszczona jedynaczka, a rodzice szczęśliwi byli, że mogą spełnić jej kaprys. Półświatło przysłoniętych muslinowymi firankami okien padało na białe łóżko, gdzie na haftowanej pościeli spała Cecylka, z twarzą opartą na dłoni. Nie była ładna, gdyż robiła wrażenie zanadto rozwiniętej fizycznie, niemal zapasionej i zbyt dojrzałej na dziewczynę osiemnastoletnią, ale cerę miała piękną i zdrową, ciemnobraunatne włosy i okrągłą twarzyczkę z arogancko zadartym w górę nosem. Kołdra zsunęła się, pełne już, krągłe piersi dziewczyny nie podnosiły się nawet, tak lekko oddychała.

— Ta przebrzydła burza nie dała jej pewnie zmrużyć oczu przez całą noc! — szepnęła matka.

Ojciec gestem nakazał jej milczenie. Oboje pochylili się nad śpiącą i wpatrywali się z zachwytem w tak bardzo upragnione dziecko, które przyszło na świat, gdy się go już przestali spodziewać. W ich oczach Cecylka była doskonałością i zdumieliby się, gdyby im ktoś powiedział, że jest za tłusta. Przeciwnie, oboje raczej by utrzymywali, że jest za delikatna. Dziewczyna spała dalej, nie czując spojrzeń rodzicielskich. Nagle lekka chmurka przebiegła nieruchomą jej twarz. Zadrżeli z obawy, że może się przebudzić, i wyszli z pokoju na palcach.

— Cicho! — szepnął ojciec już za drzwiami — jeśli spać nie mogła, to niech sobie powetuje teraz. Niech śpi.

— Naturalnie, jak długo tylko chce biedne małeństwo! — odparła pani Gregoire. — Zaczekamy.

Zeszli na dół, usiedli w fotelach w jadalni, a służące śmiejąc się z ciężkiego snu panienki zabrały do kuchni czekoladę. Pan Gregoire wziął do ręki dziennik, żona jego zabrała się do roboty na drutach. Pracowała nad ciepłą wełnianą kołdrą. W pokoju było ciepło i zacisznie, w całym domu panował głęboki spokój.

Majątek Gregoire'ów dawał około czterdziestu tysięcy franków dochodu i złożony był wyłącznie w akcjach kopalni Montsou. Z zadowoleniem opowiadali nieraz, w jaki sposób powstał. Stało się to już dawno, na samym początku powstania Kompanii.

Na początku minionego wieku opanowała nagle wszystkich gorączka poszukiwania węgla na przestrzeni od Lille do Valenciennes. Powodzenie koncesjonariuszów, którzy potem założyli konsorcjum w Anzin, zawróciło ludziom w głowach. Przedsiębrano próbne wiercenia w każdej gminie i koncesje, jak grzyby po deszczu, wyrastały z dnia na dzień! Ale pośród ludzi opanowanych tą gorączką pozostawił po sobie pamięć najzagorzalszego i najdzielniejszego poszukiwacza baron Desrumeaux. Walczył bez przerwy z niegasnącym nigdy zapalem przez całe lat czterdzieści, przewyciężając mnóstwo przeszkód. Pierwsze wiercenia dały rezultat ujemny, po kilkumiesięcznej nieraz pracy musiano opuszczać założone świeżo kopalnie, chodniki i galerie zapadały się nagle, gwałtowne wylewy podziemnych żył wodnych zatapiały robotników, setki tysięcy franków znikwały w ziemi bezpowrotnie. Zarząd miał mnóstwo kłopotów, ciągle wybuchała panika pośród akcjonariuszów, spory z właścicielami gruntów, którzy nie chcieli uznać królewskich koncesji, o ile poprzednio nie zrobiono z nimi umowy. Wreszcie doszło do skutku konsorcjum *Desrumeaux Fauquenoix et Cie* dla eksploatacji koncesji w Montsou i niebawem kopalnia poczęła dawać niewielki dochód. Ale w bardzo krótkim czasie wyrosły pod bokiem Montsou konkurentki, kopalnie w Cougny należące do hrabiego Cougny i przedsiębiorstwo *Cornille et Jenard* w Joiselle. Te dwa przedsiębiorstwa zagroziły ruiną Montsou i stałoby się to niewątpliwie, ale na szczęście dnia 24 sierpnia 1760 po długich pertraktacjach

doprowadzono do ugody, wszystkie trzy przedsiębiorstwa zwały się w jedno i założono wielkie konsorcjum *Spółka węglowa w Montsou*! W tej ostatniej formie przetrwała aż do naszych czasów.

W celu obliczenia udziałów poszczególnych wspólników wedle ówczesnej stopy monetarnej podzielono cały majątek na dwadzieścia cztery sous<sup>18</sup>, każdy zaś sou na dwanaście denarów, co razem dało 288 denarów. Że zaś każdy denar przedstawiał wartość 10.000 franków, ogólny przeto kapitał wynosił około trzech milionów franków. Desrumeaux, który leżał wówczas na łożu śmiertelnym, ale wyszedł z walki zwyciężcą, otrzymał przy podziale sześć sous i trzy denary.

Około tego czasu baron miał posiadłość Piolaine, liczącą przeszło trzy tysiące hektarów ziemi. Rządcą u niego był młody człowiek z Pikardii pochodzący, Honoriusz Gregoire. Porwany zapalem swego chlebobawcy, drząc jednak na całym ciele z obawy, że okrada swe dzieci, wyciągnął z pończochy, gdzie trzymał zarobionych około pięćdziesięciu tysięcy, 10.000 franków i kupił jeden denar kopalni. Syn jego rzeczywiście pobierał bardzo skromną dywidendę. Doszedł do pełnoletności, stracił resztę spadku po ojcu w hazardownych<sup>19</sup> spekulacjach i żył niemal w nędzy z tych dochodów. Ale denar Montsou począł iść w górę. Niedługo pan Felicjan Gregoire ujrzał się w posiadaniu pewnej sumki i mógł ziszczyć marzenie, które snuło się jeszcze po głowie dziada, mianowicie mógł kupić Piolaine, która tymczasem straciła przeważną część swych gruntów i ogłoszona za własność narodową poszła za śmiesznie niską cenę. Ale następne lata nie były pomyślne, katastrofy rewolucji, upadek Napoleona, wszystko tamowało rozwój przemysłu. Dopiero Leon Gregoire mógł obficie zbierać plony, dopiero jemu poczęły przynosić obfity zysk włożone w przedsiębiorstwo pieniądze, o które drżał pradziad i dziad jego. Nędzne 10.000 franków rosły z wzrostem przedsiębiorstwa. Od roku 1820 począwszy, dawać poczęły sto procent to jest 10.000 rocznie, w roku 1844 przyniosły 20.000, w 1856 40.000, a zdarzyło się nawet, że przez dwa lata dały po 50.000 franków.

Na giełdzie w Lille wzrósł kurs jednego denara Montsou do miliona franków, to jest w ciągu stulecia zwiększyła się stokrotnie jego wartość.

Gdy wówczas doradzano panu Gregoire, by sprzedał swój udział, uśmiechnął się pobłaźliwie i nie zgodził się. W pół roku potem nastąpił przełom i wartość denara spadła do 600.000 franków. Ale pan Gregoire dalej się uśmiechał pobłaźliwie i nie żałował, gdyż odziedziczył po przodkach ślepą wiarę w kopalnię. Pewny był, że kurs na nowo się poprawi. Sam Bóg w niebie nie był tak bezpieczny. Z nieugiętą, religijną niemal wiarą złączyła się głęboka wdzięczność dla przedsiębiorstwa, które od stu lat utrzymywało całą rodzinę, tak że żaden z jej członków nie potrzebował ni palcem ruszyć. Kopalnia stała się dla nich bóstwem, które w egoizmie swym otoczyli wprost kultem i modlili się do niej, jako do dobroczynnej wróżki ogniska domowego pozwalającej, by gnuśnieli w wygodach i tuczyli się łakociami. Trwało to już od paru pokoleń, na cóż więc było wątpić i wyzywać los? W dodatku pan Gregoire wierzył zabobonnie, że denar zamieniony na gotówkę byłby znikł z szuflady jak kamfora. Bezpieczniejszy był on stokroć w łonie ziemi, skąd cała armia górników, całe pokolenia głodomorów codziennie wydobywały na powierzchnię ziemi trochę złota, by mu napęłnić sakiewkę.

Ani słowa, wiodło się panu Gregoire. Ożenił się on w młodym wieku z córką aptekarza z Marchiennes. Była to arcybrzydka panna bez grosza, ale kochał ją, a ona odpłacała mu tę miłość i wniosła do domu niezmarzone szczęście i pokój. Zatopiona w gospodarstwie domowym, ubóstwiała męża i nie miała swej woli, odgadując jedynie jego zachcenia. Nigdy nie wydarzyło się tam, by przyszło do sporu, pragnienia mieli wspólne, ideałem ich był spokój i wygoda i w serdecznych stosunkach żyli od lat czterdziestu.

Było to życie regularne, ciche, spożywali w spokoju ducha owe czterdzieści tysięcy rocznie, uskładane oszczędności wydając na zachcianki Cecylki, której późne i nieoczekiwane zgoła urodzenie zachwiało trochę równowagę budżetu. Kaprys dziewczyny był im rozkazem, kupili drugiego konia, dwa powozy, sprowadzali jej toalety z Paryża, ale doznawali przy tym niebiańskich rozkoszy, przekonani, że nic nie było za piękne i za drogie dla ich córki. Ograniczyli tylko wydatki osobiste, do tego stopnia, że czując wstręt

Bogactwo, Córka

<sup>18</sup>W celu obliczenia udziałów poszczególnych wspólników wedle ówczesnej stopy monetarnej podzielono cały majątek na dwadzieścia cztery sous — dawny sou liczący 12 denarów.

<sup>19</sup>hazardowny (daw.) — ryzykowny; hazardowy.

do stroju, pozostali wierni modzie swych lat młodych. Grzechem wydawał im się każdy wydatek, który nie był wydatkiem na Cecylkę.

Drzwi się otwały i silny głos zawołał:

— A to co znowu? Śniadanie beze mnie?

Weszła Cecylka zaspana jeszcze, gdyż ledwo co wstała z łóżka. Zapięła tylko włosy i narzuciła szlafroczek z białej wełny.

— Ależ nie, widzisz przecież, duszko, że czekamy. Cóż? Pewnie wicher nie pozwolił ci w nocy zmrużyć oczu?

Dziewczyna spojrzała na matkę ze zdumieniem.

— Wicher?... Nic o tym nie wiem, spałam całą noc wybornie.

Wydawało się jej to tak komiczne, że poczęła się śmiać. Śmiali się też ojciec i matka, śmiały się służące wnoszące śniadanie z tego, że panienka spała jak kamień przez dwanaście godzin. Twarze rozjaśniły się na dobre na widok rumianych brioszek.

— Co? Już upieczone? — zawołała Cecylka. — A to dopiero niespodzianka! Wyborne do czekolady, jeszcze gorące!

Usiedli przy stole. Czekolada w filiżankach parowała. Mówiono długi czas tylko o brioszkach. Melania i Honorka pozostały w pokoju, szeroko opisywały cały proceder pieczenia, przyglądały się, jak państwo napychali się ciastem, aż im tłuszcz ciekł z warg, wreszcie oświadczyły, że jest to prawdziwa radość piec brioski, gdy się widzi, z jakim apetytem państwo je zjadają.

Rozległo się szczekanie psów. Zrazu mniemano, że to nic... Pewnie tylko nauczycielka muzyki przyjeżdżająca z Marchiennes każdego poniedziałku i piątku. Dziewczyna uczyła się wszystkiego w domu, nie wiedząc nic o bożym świecie, a cała nauka dopasowana była do jej kaprysu. Toteż gdy znudził ją któryś przedmiot, wyrzucała książkę przez okno.

— Przyjechał pan Deneulin! — oznajmiła Honorka.

Deneulin zjawił się równocześnie i wszedł bez ceremonii. Był to kuzyn Gregoire'a, męczyzna mówiący głośno, o wyrazistych, żywych gestach i zachowaniu się dymisjonowanego oficera artylerii. Mimo że przekroczył pięćdziesiątkę, krótko ostrzyżone włosy jego i broda były czarne jak węgiel.

— Tak, to ja... dzień dobry! Nie przeszkadzam?

Powitano się, Deneulin usiadł, a państwo Gregoire i Cecylka wzięły się znowu do czekolady.

— Masz może jaki interes? — spytał Gregoire.

— O nie! — odparł szybko przybyły. — Zrobiłem tylko spacer konno dla odświeżenia się i wstąpiłem, gdyż wypadła mi droga przez Piolaine.

Cecylka zapytała o jego córki, Joannę i Łucję. Miały się doskonale, Joannę trudno oderwać od malarstwa, a Łucja od rana do wieczora siedzi przy fortepianie i kształci się w śpiewie. Głos Deneulina drżał trochę lekkim rozdrażnieniem, które starał się ukryć pod pozorami hałaśliwej wesołości.

— Co słychać w kopalni? — spytał Gregoire.

— A do stu diabłów! Ten przekłety kryzys daje mi się we znaki podobnie jak wszystkim. Trudno, musimy widać odpokutować za lata pomyślności. Pobudowano za wiele fabryk, za wiele kolei, uwięziono olbrzymie kapitały w nadziei na szaloną produkcję. Toteż kapitał śpi i trudno dostać dość pieniędzy na sam zwyczajny ruch... No, zresztą nic nie ma straconego, wybrnę jakoś...

Deneulin, podobnie jak Gregoire, odziedziczył denar Montsou. Ale był to przedsiębiorczy inżynier, pożerała go żądza królewskiej fortuny, toteż sprzedał swój denar, gdy osiągnął kurs miliona. Przez kilka miesięcy nosił się z planem. Żona jego odziedziczyła po wuju koncesję na mały węglowy obszar w Vandame, gdzie dotąd istniały dwie niewielkie kopalnie Jean-Bart i Gaston-Marie. Ale znajdowały się obie w tak opłakanym stanie, posiadały tak nędzne urządzenia i maszyny, że eksploatacja ich ledwie się opłacała. Deneulin marzył o eksploatowaniu na wielką skalę Jean-Barta, sprawieniu maszyn i rozszerzeniu szachtu, a kopalnię Gaston-Marie chciał prowadzić w dotychczasowych rozmiarach. Był pewny, że pieniądze będą wpływać mu workami. Plan był dobry, ale właśnie kiedy włożył w instalację swój milion, nastąpił ten przekłety kryzys. Zresztą był złym administratorem, za miękkie miał serce, nie chciał zbyt gnębić robotników, toteż urzędnicy jego,

Jedzenie, Sługa, Sielanka

poznawszy się na tym, okradali go w straszny sposób. Od śmierci żony piekło miał w domu. Dręczyły go córki, starsza codziennie wybierała się do teatru, a obrazy młodszej trzy razy już zostały przez dyrektkę Salonu... odrzucone. Żadna z nich zresztą nic sobie nie robiła z wiszącej nad głową ojca katastrofy, mogącej pogrążyć go w nędzy, jak gdyby miał się stać nagle cud, który uczyniłby z nich osoby zdolne do pracowania na życie.

— Widzisz, Leonie — mówił kuzyn — źleś zrobił, nie chcąc sprzedać razem ze mną. Teraz wszystko diabli biorą i gdzież twoje pieniądze? Gdybyś mi był zaufał, cuda bylibyśmy wspólnie zrobili z Vandame.

Pan Gregoire dokończył spokojnie swej filiżanki czekolady i odparł:

— Za nic w świecie! Wiesz przecież, że nie myślę spekulować. Żyję sobie spokojnie i ani mi się śni trapić się interesami. Co się tyczy Montsou, to choćby akcje spadały dalej, nigdy mi przecież nie zabraknie na rzeczy najkonieczniejsze. Nie trzeba być tak chciwym. Cóż u licha? Zobaczysz jeszcze, że pożałujesz, a wnuki Cecylki będą sobie spokojnie żyły dalej z Montsou jak my.

Deneulin słuchał uśmiechając się z zakłopotaniem.

— Więc nie uważałyś za korzystne włożyć 100 tysięcy w moje przedsiębiorstwo? — spytał.

Ale widząc zaniepokojenie na twarzach Gregoire'ów pożałował pośpiechu i postanowił odsunąć pożyczkę na później, rezerwując ją sobie na ostateczną konieczność.

— O, mnie tego właściwie nie potrzeba! — dodał szybko. — Żartowałem tylko. To prawda, mój drogi, najszybciej tyje się dziś z pieniędzy, na które za nas inni pracują.

Rozmowa zesłała na inne tory. Cecylka poczęła znowu rozpytywać o kuzynki, których dziwactwa zajmowały ją, mimo że oburzała się na nie nieraz... Pani Gregoire przyrzekła, że w pierwszy pogodny dzień odwiedzi te kochane dziewczątka. Pan Gregoire nie odzywał się zatopiony w myślach, aż wreszcie powiedział głośno:

— Mój drogi, na twoim miejscu porzuciłbym upór i rozpocząłbym pertraktacje z Montsou. Oni mają wielką ochotę nabyć twe grunta, a ty w ten sposób odzyskałbyś pieniądze.

Miał na myśli spór dawny pomiędzy koncesjonariuszami Montsou i Vandame.

Pomimo niewielkiego znaczenia tej kopalni, potężną sąsiadkę gniewało to bardzo, że musi tolerować pośród swych obszarów rozciągających się na sześćdziesiąt siedem gmin wokoło tę małą jedną milę kwadratową, która była własnością cudzą. Długo usiłowano zniszczyć konkurentkę, nie przebierając w środkach, teraz poczęto intrygować wiedząc, że tam poczyną źle iść. Chciano ją tanio kupić. Wojna wrzała bez ustanku i zawieszenia broni. Każdy nowy chodnik zbliżał przeciwników o paręset metrów do siebie. Była to walka na śmierć i życie, mimo że stosunki wzajemne dyrektorów i urzędników pełne kurtuazji nie zdradzały tego.

Oczy Deneulina rozgorzały.

— Nigdy! — wykrzyknął. — Póki żyję, Montsou nie dostanie Vandame! Byłem we czwartek na obiedzie u Hennebeau i zauważyłem, jak koło mnie chodził. Już zeszłego roku w jesieni podczas rewizji administracyjnej skakali wszyscy ci wielcy panowie koło mnie. O, znam ja owych markizów, książąt, ministrów, generałów! To są rozbójnicy, którzy by radzi ściągnąć z człowieka ostatnią koszulę!

Nie przestawał na nich napadać! Zresztą i pan Gregoire nie stawał w obronie zarządu Montsou. Owych sześciu, ugodą z r. 1760 ustanowionych radców rządziło przedsiębiorstwem w sposób absolutny, w razie śmierci któregoś uzupełniając się w ten sposób, że dobierali sobie jednego spośród najbogatszych akcjonariuszów. Pan Gregoire, będący zwolennikiem tego, *co wypada*, miał przekonanie, że ci panowie zbyt nieraz daleko posuwają się w pogoni za zyskami i dają się porywać nieraz bezwzględności i brutalności.

Melania weszła, by zebrać naczynia. Psy znowu szczekać poczęły zapamiętałe i Honorka skierowała się ku drzwiom, by zobaczyć, co się stało. Ale Cecylka, dusząc się z gorąca i zbyt obfitego posiłku, wstała, mówiąc:

— Nie, nie, nie chodź, to pewnie moja lekcja.

Deneulin powstał również. Spojrzał na dziewczynę wychodzącą właśnie i spytał ze śmiechem:

— I jakże stoi sprawa z małym Négrelem?

— O, to jeszcze bardzo niepewne! — odparła pani Gregoire. — To dopiero pomysł bliżej nieokreślony, musimy się zastanowić.

— Niewątpliwie — ciągnął dalej Deneulin z szelmowskim śmiechem. — Coś słyszałem, jakoby siostrzeniec i ciocia... byli ze sobą... hm! Co mnie jednak zastanawia to to, że właśnie pani Hennebeau rzuca się na szyję Cecylce.

Pan Gregoire przyjął to kwaśno. Taka dystygowana dama... i do tego o czternaście lat starsza... nie, to niemożliwe. Zresztą nie znosi, by żartować sobie z tak poważnych rzeczy. Deneulin, śmiejąc się ciągle, uściśnął mu rękę i wyszedł.

— Nie, to nie to, com myślała! — odezwała się Cecylia wchodząc. — Przyszła stara kobieta z dziećmi, wiesz, mam, żona górnika, którąśmy raz spotkały. Czy ma tu przyjść?

Państwo Gregoire'owie zawahali się. Czy bardzo brudna? Nie, nie była bardzo brudna i dzieci także nie, zresztą saboty zostawią w sieni. Pan i pani rozparli się już w fotelach dla trawienia, ruszać im się nie chciało i to przeważało szaleć:

— Wpuść ich tu, Honorciu.

Zjawiała się Maheude<sup>20</sup> z dziećmi. Wszyscy troje zdrętwiali z zimna stanęli przy drzwiach i rozglądać się poczęli po pokoju, gdzie było tak pięknie, ciepło i gdzie tak pachniały brioszki.

## II

Do zamkniętego mieszkania rodziny Maheuów poczał poprzez zamknięte okiennice wiskać się szparami świt, ścieląc się powoli jasnymi smugami.

Wszyscy spali, a powietrze stało się jeszcze cięższe. Lenora i Henryś trzymali się ciągle za szyję, Alzira leżała z głową w tył odrzuconą, spoczywającą na garbie, zaś dziadek Bonnemort zajmujący łóżko Zachariasza i Jeanlina chrapał z otwartymi ustami. Z sionki też nie dochodził żaden głos. Maheude zasnęła podczas karmienia dziecka, które napojone spało w poprzek tłustego brzucha matki, na pół zduszone jej jedną zwisającą na bok piersią.

Kukułka zegaru oznajmiła godzinę szóstą. Dał się słyszeć wszędzie łoskot zamykanych drzwi, potem stuk drewnianych sabotów po bruku.

To kobiety i dziewczęta szły do roboty w sortowni. Potem ucichło znowu wszystko aż do godziny siódmej. Potem poczęto otwierać okiennice, rozległy się poziewania i kaszel poprzez cienkie ściany mieszkań. Długi czas skrzypiały młynki trące kawę, w izbie Maheuów nikt się nie budził.

Ale niebawem rozległo się kłaśnięcie policzka i krzyk za ścianą i to zbudziło Alzirę. Odgadła, że już późno być musi, zerwała się więc i boso podeszła do łóżka matki.

— Mam! Mam! Już późno. Masz dziś gdzieś iść!... Uważaj, bo zadusisz Stelkę.

I wydobyła wpół uduszone dziecko spod piersi matczynej.

— Do stu tysięcy... człowiek tak zmęczy się przez cały dzień, że spałby nie wiem jak długo — wybąknęła, przecierając sobie oczy. — Ubierz Henrysia i Lenorę, wezmę ich ze sobą, a ty pobawisz Stelkę. Nie mogę jej przecież wlec taki kawał drogi. Zresztą boję się wynosić jej na takie zimno.

Umyła się pośpiesznie, ubrała w starą niebieską spódnicę, najlepszą jaką posiadała, i wdziała kaftan z szarej wełny, na którym poprzedniego wieczora załatała dwie dziury.

— A zupa... trzeba iść! — zamruczała i zeszła śpiesznie na dół, potrącając wszystko, co jej stało w drodze.

Alzira wróciła do nyży i wzięła na ręce krzyczącą znowu Stelkę. Ale umiała lepiej niż matka poradzić sobie z dzieckiem. Mając osiem lat była doświadczona jak dorosła, położyła siostrę do ciepłego jeszcze łóżka i uściła, dając jej do ssania palec. A było to bardzo na czasie, gdyż właśnie rozległ się nowy krzyk i bójka, którą musiała załagodzić. Obudzili się Henryś i Lenora, którzy we śnie tylko trzymali się czule za szyję, na jawie natomiast wydzielali sobie garściami włosy i podbijali wzajem oczy. Dziś stroną napastującą była sześciolatnia Lenora, chłopiec przyjmował szturchańce, nie oddając ich. Alzira musiała porwać ją za nogi i odciągnąć grożąc, że jej zbije skórę. Gdy przyszło do mycia, powstał wrzask nowy powtarzający się zresztą za wkładaniem każdej części ubrania z osobna. Nie

<sup>20</sup>Maheude (fr. daw.) — żona pana Maheu; dziś w jęz. fr. nazwiska żon i dzieci nie różnią się formą od nazwiska męża i ojca.

otwierano okiennic, by nie zbudzić dziadka Bonnemort, który wśród krzyku chrapał dalej w najlepsze.

— Jestem gotowa... Czy dzieci ubrane? — spytała z dołu matka.

W izbie parterowej otwarła okiennice, rozdmuchała ogień, dołożyła węgla. Miała nadzieję, że stary może nie wszystką zupę połknął, ale w garnku nie znalazła nic. Był jak wylizany. Ugotowała więc garść klusek, które miała w zapasie z dnia poprzedniego. Ugotowała je w czystej wodzie bez masła sądząc, że z tej odrobiny, która została w szafarni, nie zostało nic po zrobieniu czterech *kanapek* rano. Zdumiała się jednak, otwórzszy szafę. Okazało się, że Katarzyna potrafiła dokonać tego cudu i zostawić jeszcze kawałek masła wielkości orzecha laskowego. Prócz tego nic jednak więcej nie znalazła, ani skórki chleba, ani nawet kości do ogryzienia. Cóż zrobić, jeśli Maigrat trwał będzie dalej w uporze i nie da im kredytu, a mieszkańcy Piolaine odmówią pięciu franków? Gdy wrócą z kopalni mężczyźni i Katarzyna, musi im przecież dać jeść, bo nieszczęściem nie wynaleziono dotąd sposobu, by żyć, nie jedząc.

— Przyjdziecie raz? — krzyknęła ze złością. — Powinnam była już wyjść.

Rozdzieliła kluski na trzy małe porcje. Sama jeść nie chciała, twierdząc, że nie jest głodna. Mimo że Katarzyna wygotowała już raz wczorajsze fusy, zalała je ponownie gorącą wodą i wypila chciwie dwie szklanki kawy, która wyglądała jak czerwonożółta woda i była całkiem przezroczysta. Zawsze to podtrzymać ją trochę powinno, mówiła do siebie.

— Słuchaj — powtarzała Alzirze. — Nie będziesz budziła dziadka, niech śpi! A uważaj na Stelkę, by sobie co nie zrobiła i nie krzyczała, gdy się zbudzi. W najgorszym razie weź kawałek cukru, rozpuść w wodzie i dawaj jej po łyżeczce. Wiem, żeś rozumna i nie zjesz sama cukru.

— A szkoła, mamó?

— Szkoła? Dość będzie czasu jutro iść do szkoły... potrzebuję cię w domu.

— A czy mam ugotować zupę? Może mama wróci późno...

— Zupę... zupę... Nie, czekaj, aż wrócę.

Alzira, przedwcześnie rozwinięta, jak wiele ułomnych dzieci, umiała gotować zupę, ale nie nastawała, musiała się domyślić wszystkiego.

Kolonia robotnicza już była teraz na nogach, gromadki dzieci szły do szkoły, stukając głośno sabotami po bruku. Wybiła godzina ósma. Z mieszkania Levaque'ów dochodziła głośna rozmowa. Kobiety krzątały się koło gospodarstwa i garnków z kawą. Oparłszy dłonie na biodrach, puściły w ruch języki, jak młyńskie koła trajkoczące. Twarz ziemista z rozpląszczonym nosem i wydatnymi wargami pojawiła się w oknie. Ktoś zawołał:

— Nowina, nowina, chodź posłuchać!

— Nie, nie, potem — odparła Maheude — muszę wyjść z domu!

I obawiając się, że ulegnie zaproszeniu na szklankę gorącej kawy, wyszła popychając przed sobą Lenorę i Henrysia. W izbie na górze chrapał dalej ojciec Bonnemort tak równo, że od tego chrapania zdawał się cały dom zasypiać na nowo.

Maheude zdziwiła się. Wiatr na dworze ustał zupełnie, nastała gwałtowna odwilż, niebo było ołowiane, na mury domów wystąpiła lepka, zielonawa wilgoć, ulice pełne były charakterystycznego dla tej węglonośnej okolicy czarnego, lepkiego błota. Wyglądało jak zarobiona z wodą na papkę sadza i przylepiało się tak, że obawiać się można było, iż ugrzęzną w nim trzewiki i nogę wyciągnie się z samą tylko pończochą. Maheude za pierwszym niemal krokiem musiała dać w twarz Lenorze, gdyż nabierała błoto na końce sabotów niby na łopatę. Wydostawszy się z kolonii robotniczej, poszła wzdłuż wału zsyipska, przeszła ponad kanałem, a potem dla skrócenia drogi zwróciła się na grząskie ścieżki biegnące przez pola wśród parkanów z przegniłych desek i szła ciągle, mijając wozownie, warsztaty i wysokie kominy ziejące dymem, który zanieczyszczał daleko i szeroko powietrze, zwisając szarą chmurą ponad równią oszpeconą już i tak tyloma ponurymi, niezgrabnymi, brudnymi budowlami fabrycznymi. Spoza grupy topól wychyliła się stara, opuszczona kopalnia w Requillart ze szczątkami wieży szybowej, z której pozostało samo tylko główne rusztowanie. Potem skręciwszy na prawo, znalazła się na gościńcu.

— Czekaj, nauczę ja cię, ty świniu jakaś, robić galki z błota! — krzyknęła na Henrysia, który w dłoni gniótł czarną kulę... Dostawszy swą porcję uspokoił się i jakby zadowolony, że i on nie został bez policzka, szedł obok siostry zezując tylko w tył za siebie, by

widzieć ślady sabotów na błocie. Wszyscy troje szli teraz ociężale, znużeni wyciąganiem nóg z lepkiej gęstwy.

W kierunku ku Marchiennes czarna droga biegła prosto, jak kolejowy tor pośród zoranych pól, przecinając Montsou. W północnej części kraju drogi ciągną się przeważnie prostolinijnie, jeśli mają krzywizny, to łagodne i niewielkie spadki. Wzdłuż nich stoją domy w coraz większej liczbie i widoczna jest tendencja zamienienia z czasem olbrzymich obszarów całego departamentu w jedno niezmierne robotnicze miasto. Małe domki były różnobarwnie malowane pewnie dla ożywienia ponurego krajobrazu, przeważały kolory żółty i niebieski, niektóre jednak były czarne. Stawało się to zresztą w końcu z każdym innym kolorem, było przeto najpraktyczniejsze. Domków tych stało mnóstwo na prawo i lewo i monotonię przerywały tylko większe, dwupiętrowe domy dozorców i majstrów, oraz zabudowania takie, jak sale tańca, knajpy, szynki, których było tak wiele, że stanowiły trzecią część wszystkich domów i zabudowań, nagromadzonych na stosunkowo małej przestrzeni, fabryk cukru, fabryk lin i młynów parowych.

Maheude, dotarłszy do zabudowań należących do Spółki węglowej Voreux, długiego szeregu magazynów i warsztatów, wzięła dzieci za ręce i prowadziła teraz jedno po lewej, drugie po prawej stronie. Widać stąd już było dom dyrektora, pana Hennebeau, obszerną willę, oddzieloną od drogi kratą i otoczoną ogrodem, w którym nędznie wegetowały cienkopienne drzewa. Pod bramą stanął właśnie powóz, w którym siedział starszy mężczyzna z wstążeczką orderową w butonierce i dama w futrzanym płaszczu. Byli to zapewne goście z Paryża, gdyż pani Hennebeau widzialna w półświecie przedsiionka wydała okrzyk zdumienia i radości.

— Prędzej, prędzej! — zamruczała Maheude, szarpiąc za ręce dzieci, które zapatrzone z otwartymi ustami stanęły w błocie na środku drogi, nie myśląc się ruszyć.

Znalazła się wreszcie u Maigrata w usposobieniu bardzo podnieconym. Maigrat sąsiadował z willą dyrektora, oddzielony od niej tylko murem. Dom jego był niski, bardzo długi i po stronie drogi miał sklep bez wystawowego okna. Dostać tu można było drobiazgów różnego rodzaju, kielbas, jarzyn, chleba, piwa, rondli, garnków, słowem wszystkiego. Maigrat, dawniej nadzorca w Voreux, zaczął od małego kramu, potem porósł w pierze dzięki protekcji przełożonych i z wolna doprowadził do ruiny wszystkich konkurentów, zagarniając dla siebie handel miejscowy. Miał wszystko, a posiadanie mnóstwa odbiorców z wszystkich kolonii robotniczych sprawiło, że mógł sprzedawać taniej i udzielać większego kredytu. Zresztą był i teraz zawisły od Spółki węglowej, która mu wystawiła dom i skład na towary.

— Przychodzę jeszcze raz, panie Maigrat! — odezwała się Maheude pokornie, ujrawszy go przed drzwiami sklepu.

Spojrzał na nią i nie odpowiedział nic. Był otyły, sztywny, oziębły i miał ambicję nie odstępować od tego, co raz postanowił.

— Przecież nie odprawi mnie pan z niczym jak wczoraj. Musimy mieć choć chleb do soboty... To prawda, to prawda, winniśmy panu od dwu lat sześćdziesiąt franków...

Chciała go przekonać o konieczności otrzymania chleba. Mówiła z trudnością urywanymi zdaniem. Dług powstał w czasie ostatniego strajku. Już ze dwadzieścia razy obiecała go zapłacić, ale było niepodobieństwem ani czterdzieści sous spłacać co dwa tygodnie. W dodatku spotkało ją nieszczęście, musiała niedawno zapłacić dwadzieścia franków szewcowi, który groził, że jej zafantuje rzeczy. Dlatego to dziś są bez grosza. Inaczej dociągnęliby do soboty jak i inni robotnicy.

Maigrat wypiął brzuch, skrzyżował na piersiach ręce i na wszystkie przedstawienia odpowiadał jedynie przeczącym ruchem głowy.

— Proszę, daj mi pan tylko dwa bochenki chleba. Nie mam zachcianek nierozumnych, nie chcę kawy... tylko dwa funtowe bochenki chleba codziennie do soboty.

— Nie dam! — wrzasnął wreszcie na całe gardło.

Ze sklepu wyjrzała pani Maigrat, osoba o chorowitym wyglądzie, która dnie całe spędzała nad książkami handlowymi, nie śmiejąc podnieść znad ich kart głowy. Cofnęła się zaraz przerażona spostrzegłszy, że Maheude zwraca się do niej z błagalnym spojrzeniem. Opowiadano sobie, że łoża małżeńskie ustępować musi córkom odbiorców, przesuwaczkom. I było ogólnie znaną rzeczą, że jeśli górnik chciał uzyskać przedłużenie kredytu, to

wystarczyło, by posłał do sklepu swą córkę albo żonę, bez względu czy była ładna, czy brzydka, byle nie zanadto surowa na punkcie cnoty niewieściej.

Maheude żebrząca jeszcze o chleb, pod bezczelnym, zimnym spojrzeniem jego poczęła się nagle mieszać. Wreszcie zawrzał w niej gniew. Byłaby może jeszcze wybaczyła mu to dawniej, nim miała siedmioro dzieci, gdy była młoda, ale teraz!... I zdecydowała się odejść, zabierając dzieci, które znalazłszy w rynsztoku garść łupin z orzechów, poczęły je zbierać i badać skrupulatnie.

— To panu nie przyniesie szczęścia, panie Maigrat... pamiętaj pan!

Ostatnią nadzieją byli teraz właściciele Piolaine. Jeśli oni nie dadzą pięciu franków, to wszyscy członkowie rodziny Maheu mogli się położyć i czekać śmierci głodowej. Skręciła na lewo na drogę wiodącą do Joiselle. Na skrzyżowaniu dróg stał pałac rady administracyjnej, wielki i okazały budynek, gdzie wielcy panowie z Paryża, książęta, ministrowie, generałowie i różne wysokie figury rządowe zjeżdżali się każdej jesieni i wydawali wielkie obiady. Maheude rozmyślała po drodze, co kupi za owe pięć franków. Przede wszystkim chleba, dalej kawy, ćwierć funta masła, miarkę ziemniaków na zupę ranną i wieczorną, a wreszcie może odrobinę głowizny wieprzowej, bo mąż musi mieć czasem mięso.

Ksiądz Joire, proboszcz Montsou, zjawił się na drodze. Szedł drobnym kroczkiem unosząc wysoko sutannę i skakał przez kałuże jak dobrze wykarmiony pieszczony kot, który boi się zawałać sobie ogon. Był uosobieniem dobrotliwości i udawał, że niczego nie dostrzega, nie chcąc narazić się ni robotnikom, ni chlebobdawcom.

— Dzień dobry, księżu proboszczu! — zawołała uradowana.

Przeszedł mimo niej bez słowa, uśmiechając się do dzieci. Nie wierzyła w nic, ale przyszło jej nagle do głowy, że ten ksiądz da jej coś!

Ruszyła dalej po czarnym, lepkim błocie. Miała przed sobą jeszcze dwa kilometry, dzieci ustawały, trzeba je było ciągnąć, nie robiły już zbytków, wlokły się smutne i wystraszone. Na prawo i lewo leżały rudawe pola poprzecinane płotami omszałymi i pomniejsze budynki fabryczne równie zawsze czarne od dymu. Dalej były już same tylko pola, jedna wielka płaszczyna zagonów podobna do tafli oceanu, na którym, aż po fioletową linię lasu Vandame nie było ni jednego masztu.

— Weź mnie na ręce, mamó!

Niosła dzieci na przemian. Na gościńcu stały kałuże wody, podgięła więc wysoko spódnicę z obawy, by nie przyjąć nadto zabłoconą. Trzy razy ledwo nie upadła, tak śliski był grunt. Gdy wreszcie znalazła się u bramy Piolaine, rzuciły się na nią dwa psy tak gwałtownie, że malcy poczęli krzyczeć na całe gardła ze strachu. Rozbestwione zwierzęta musiał odpędzić furman batogiem.

— Zostawcie w sieni saboty i wejdźcie! — powiedziała Honorka.

W jadalni matka i dzieci stanęły oniemiale przy drzwiach. Mieszał ich widok niespodziany, ciepło, wzrok tej pani i pana wygodnie rozpartych w fotelach.

— Moja córko, spełń swe zadania zwyczajne.

Gregoire'owie powierzyli córce wydzielanie jałmużny. Było to częścią integralną tro-skliwego wychowania, jakie jej dawali. Powinno się być dobroczynnym i państwo Gregoire byli dobroczynni, mawiali nawet, że dom ich jest domem Pana Boga. Obok tego pochlebiali sobie, że są rozsądnie dobroczynni, dręczyła ich zawsze obawa, że zostaną oszukani i wesprą występnego. Dlatego nie dawali nigdy pieniędzy. Nigdy, ni dziesięciu sous, ni nawet dwu, gdyż rzecz to wiadoma, że skoro tylko żebrak dostanie dwa sous, upije się w najbliższej karczmie. Jałmużnę dawali państwo Gregoire w naturze, zazwyczaj w postaci ciepłych sukien, rozdzielanych w zimie pomiędzy dzieci biednych robotników.

— O, biedne maleństwa! — wykrzyknęła Cecylia — aż pobladły ze zmęczenia i zimna! Honorciu, przynieś no pakiet z szafy.

Służące spoglądały na dzieci także z litością i zaniepokojeniem osób, które nigdy nie były zmuszone troszczyć się, czy będą miały co na obiad. Pokojówka wyszła, a kucharka, zapomniawszy o robocie, postawiła pozostałe brioszki na stole i gapiała się założywszy ręce na piersiach.

— Mam jeszcze dwa ubranka wełniane i chustkę — ciągnęła dalej Cecylka. — Zobaczycie, będzie im ciepło w tym!

Maheude nareszcie zdobyła się na podziękowanie i bąkała:

— Dziękuję bardzo pańciece... Państwo tacy dobrzy...

Ksiądz

Łzy napłynęły jej do oczu, była pewna swych pięciu franków, rozmyślała tylko, jak o nie poprosi, jeśli sami państwo nie dadzą. Pokojowa nie wracała, nastała chwila kłopotliwego milczenia. Uczępieni do spódnicy matki Henryś i Lenora stali z wlepionymi w brioszki oczami.

— Macie tylko dwoje dzieci? — spytała pani Gregoire, by przerwać milczenie.

— O nie, wielmożna pani, mam siedmioro!

Pan Gregoire, który siedział zasłonięty dziennikiem, zachnął się.

— Siedmioro? Ależ na co, miły Boże!

— To lekkomyślność! — mruknęła pani.

Maheude uczyniła gest, jakby się tłumaczyła. Ha, cóż robić! Człowiek nie myśli o tym, samo jakoś przychodzi do tego! A zresztą, gdy to dorośnie, przynosi do domu pieniądze, pomaga. Mimo to żyliby jeszcze jakoś, ale mają dziadka, który nie może chodzić, i także spośród wszystkich dzieci troje tylko, to jest córka i dwaj synowie, są w tym wieku, że mogą pracować w kopalni. A malcy, choć z nich nie ma korzyści, jeść też wolają.

— A długo pracujecie już w kopalni? — spytała pani.

Uśmiech przebiegł przez bladą twarz kobiety.

— O długo... długo... Ja do dwudziestu lat pracowałam na dole. Potem, po drugim połogu, doktor powiedział, że przypłacę życiem, jeśli nie przestanę. Zdaje się, że coś się popsuło w kościach. Zresztą właśnie wówczas akuratnie wyszłam za męża i dość było roboty w domu. Ale mężczyźni z rodziny mego męża pracują już od wieków zda mi się w kopalni. Od prapradziada, od samego początku, gdy to jeszcze w Requillart rozpoczynano.

Pan Gregoire rozmarzonym wzrokiem spojrzał na tę kobietę i strasznie wyglądające dzieci, o woskowych twarzach, wypłowiałych jakby włosach, zmarniałych skutkiem zwyrodnienia od całych pokoleń członkach, na te istoty niedokrewne i brzydkie, jak wszyscy bliscy śmierci z wycieńczenia i głodu.

Nastało ponowne milczenie przerywane jedynie trzaskaniem ognia na kominku. Nadmierne ciepło wytwarzało tu, jak w każdym mieszkaniu bogatego filistra, atmosferę ospałości, od której zasypiać się zdają meble w każdym kącie pokoju z osobna.

— Czegóż ona tam szuka tak długo? — zawołała z niecierpliwością Cecylka. — Melanio, idź na górę i powiedz jej, że pakiet leży w szafie na dole po lewej stronie!

Pan Gregoire zakończył głośno myśli, jakie w nim obudził widok tych nieszczęśliwych.

— Trudno, różne są troski na tym świecie... to prawda. Ale, dobra kobieto, należy także powiedzieć sobie, że robotnicy są bardzo często nierozsądni... i tak na przykład, zamiast, jak czynią wieśniacy, odkładać na bok po parę sous, górnicy piją, robią długi i w końcu nie mają sposobu utrzymania swych rodzin.

— Wielmożny pan ma zupełną słuszość! — odpowiedziała spokojnie. — Wielu nie żyje, jak należy. Oto co powtarzam bez końca tym gałganom, ile razy się skarżą! Ale mąż mój nie pije. Co najwyżej w wielkie święto łyknie sobie trochę za wiele, ale nigdy indziej. To tym więcej należy u niego ocenić, że przed ślubem pił jak... z przeproszeniem pańskim... jak ostatnia świnia... Ale widzi wielmożny pan, to nie na wiele się przydaje. Są czasem dni, jak dziś na przykład, że mogłabym przewrócić wszystkie szuflady, a z żadnej ni grosz by nie wypadł.

Chciała w ten sposób przypomnieć panu Gregoire, by jej dał pięć franków. Mówiła dalej, opowiadała, jak powstał ów fatalny dług, który zrazu mały rósł coraz bardziej i teraz mowy nie ma o zapłaceniu go. Z początku spłacał regularnie co dwa tygodnie po trochu, ale raz zabrakło i od tej pory nie mogą sobie dać w żaden sposób rady. Dziura zwiększa się coraz bardziej, a mężczyźni tracą coraz bardziej ochotę do pracy, przy której nie można nawet tyle zarobić, by wyżyć bez długów. Niech to lichy bierze... Do śmierci człowiek nie wyjdzie z biedy. A zresztą uwzględnić też trzeba, że górnik musi wypić kufelek, by splukać pył. Od tego się zaczyna, a gdy troska zagości w domu i bieda, to go już ni wyciągnąć z szynku. Ona nie skarży się wcale ani nie buntuje, ale być może, że robotnicy jednak za małe mają płace.

— Mówiono mi — odezwała się pani — że Kompania daje wam mieszkanie i opał.

Kobieta rzuciła okiem na płonące na kominku węgle.

— Tak, tak, dają nam węgiel! Wprawdzie nie bardzo dobry, ale pali się w końcu od biedy. Co się tyczy czynszu, to płacimy sześć franków miesięcznie. To się zdaje prawie nic

— ale często bardzo człowiekowi przychodzi trudno zapłacić. I zdarza się... jak dziś, na przykład, że choćby mnie kto krajać chciał, nie mogłabym się wykupić dwoma sousami. Z próżnego i Salomon nie naleje!

Pani i pan, rozparci w swych fotelach, pod wrażeniem tego obrazu nędzy roztaczanego przed nimi poczęli doznawać niemiłego uczucia niepokoju i nudy zarazem. Maheude przeleżała się, że ich może obraziła, więc dodała jako praktyczna kobieta:

— Nie mówię tego wszystkiego, bym miała oskarżać kogo. Skoro raz się tak rzecz ma, trzeba się zgodzić, tym więcej, że wszelka walka byłaby prawdopodobnie bezskuteczna. Wszak prawda, wielmożni państwo, że najlepiej, gdy człowiek stara się spełnić swój obowiązek, gdziekolwiek mu Bóg żyć przeznaczy.

Pan Gregoire był tego samego zdania.

— O, niewątpliwie, dobra moja kobieto — powiedział — z takimi poglądami powinniście się czuć wyższą ponad wszelkie przeciwności losu.

Nareszcie obie służące przyniosły pakiet. Cecylka rozwinęła go i wyjęła dwa ubrania dziecięce, dodała jeszcze chustki, pończochy i rękawice. Wszystko to, mówiła, będzie w sam raz. Pośpiesznie kazała swe dary zapakować Honorce. Właśnie przyszła nauczycielka muzyki, więc czasu nie miała i parła wprost Maheude i dzieci ku drzwiom.

— Wszystkie pieniądze wyszły nam... — poczęła jękać się kobieta. — Gdybyśmy mieli choć pięć franków.

Słowa jej grzęzły w gardle, bo żebrać nie umiała. Cecylka niespokojnie spojrzała na ojca, ale on odmówił wprost bez ogródek i z uroczystą miną rzekł:

— Nie, nie mamy tego zwyczaju. Nie możemy.

Cecylka, poruszona desperacką miną kobiety, chciała przynajmniej dla dzieci coś uczynić. Stały ciągle jeszcze wpatrzone w brioszki, więc Cecylka wzięła nóż, odcięła dwie bułeczki i dała im.

— Macie, to dla was!

Zaraz wyjęła im jednak brioszki z rąk i zawinęła w starą gazetę.

— Zjecie w domu — powiedziała — a podzielcie się z rodzeństwem.

Rodzice wodzili za nią rozkochanym wzrokiem, podczas gdy wypychała za drzwi matkę i głodne dzieci trzymające z uszanowaniem w skostniałych jeszcze rękach wyborne pieczywo.

Maheude wracała, ciągnąc za sobą dzieci. Nie widziała już ani nagich pól, ani czarnego błota i ołowianego nieba. W głowie jej się kręciło. Znalazłszy się w Montsou weszła odważnie do sklepu Maigrata i prosiła tak natarczywie, że dał jej wreszcie dwa chleby, kawy, masła, a nawet ową upragnioną pięciofrankówkę, bo pożyczał też i pieniądze na lichwiarski procent. Maigrat nie jej pożyądał, jak się okazało, tylko Katarzyny. Zrozumiała to, gdy jej zalecił, by przysłała po zapasy córkę. — No, no, pokaże się — pomyślała. Była pewna, że za pierwszym zbliżeniem się dostanie w twarz od dziewczyny.

Chleb

### III

Jedenasta godzina ozwała się z wieży kościółka kolonii robotniczej. Była to niewielka kaplica, gdzie ksiądz Joire co niedziela odprawiał mszę. Z pobliskiej szkoły, mimo zamkniętych z powodu zimna okien słychać było jękliwe głosy dzieci. Chodniki ciągnące się wzdłuż czterech ciężkich długich bloków domostw i ogródki leżące przed nimi puste były całkiem. Ogródki te smutny przedstawiały widok. W zmarzłej ziemi tkwiły brudne i ponachylane w różne strony resztki jarzyn, niby plamy zgniłozielonej barwy. Z kominów unosił się dym, wszędzie gotowano zupę. Tu i ówdzie otwarły się drzwi, kobieta stanęła w progu i zniknęła zaraz. Na początku i końcu każdego chodnika stały wielkie kadzie, w które ściekała woda z rynien, bo chociaż deszcz nie padał, para wodna przesycająca powietrze skraplała się ciągle na dachach. Cała zbudowana na płaskowzgórzu kolonia nie miała w sobie nic pociągającego. Żałobnie przerzynały ją pokryte czarnym błotem drogi, a jedynie czerwone cegły nowych jeszcze domów ustawicznie splukiwane deszczem odbijały czerwono od ponurego tła.

Maheude musiała nałożyć drogi, by kupić ziemniaków u żony dozorczy, która miała ich dotąd mały zapas z lata. Za grupą cienkich topól widniała grupa odosobnionych domów stojących po cztery razem w ogrodzie. Dyrekcja mieszkania te zbudowane na próbę, wedle

nowego systemu, zarezerwowała dla nadzorców, toteż robotnicy to miejsce nazwali *wsią jedwabnych pończoch*, swą zaś kolonię z dziecięcą iście ironią: *Zapłać dług*.

— Ha, nareszcie jesteście! — powiedziała obładowana sprawunkami Maheude, popychając przed sobą Lenorę i Henrysia obłożonych strasznie i trzymających się ledwie na nogach.

Alzira stała przy kuchni i bujała na rękach Stelkę, daremnie starając się ją uspokoić. Dziecko wrzeszczało wniebogłosy. Alzira, gdy jej zabrakło cukru, a mała poczęła płakać, postanowiła spróbować sposobu, jakiego się czasem chwytła z niejakim powodzeniem. Rozpięła stanik i przytuliła usta dziecka do swej piersi. Ale Stelka rozgniewana, że nie wyssać nie może z piersi małego, chorowitego dziecka, nie przestawała drzeć się.

— Daj mi ją! — zawołała matka, pozbywszy się ładunku. — Inaczej nie da nam bachor przyjść do słowa.

Wydobyła z kaftana ogromną swą, ciężką pierś, a gdy malec uczepił się jej i zamilkł od razu, można było rozmawiać. Wszystko było w porządku, mała gospoia podsyłała ogień, zamiotła izbę, uporządkowała rzeczy. Gdy cicho się zrobiło, słychać było już tylko miarowe chrapanie dziadka śpiącego ciągle bez przerwy mimo krzyku dziecka, który trwał kilka godzin.

— Co tu wszystkiego? — wyszeptała Alzira i uśmiechnęła się na widok zapasów. — Jeśli chcesz, mamu, ugotuję zupy.

Cały stół założony był pakunkami. Leżał tu pakiet z ubraniami, dwa chleby, ziemniaki, masło, kawa, cykoria i pół funta główizny wieprzowej.

— Ach, zupa! — odparła matka znużonym głosem. — Trzeba by dopiero zbierać szczaw, szukać w ogrodzie czosnku! Nie, potem ugotuję dla nich zupy. Połóż na węglach ziemniaków, zjemy je z masłem. I kawy zrób! Nie zapomnij o kawie!

Nagle przypomniała sobie o briozkach. Spojrzała na dzieci, które już nieco przyszedłszy do siebie, były się na ziemi. Masz tobie, zjadły briozki po drodze. Wymierzyła każdemu po jednym policzku, a starała się ją uspokoić Alzira krzątająca się przy kuchni.

— Daj, mamu, spokój. Jeśli o mnie idzie, to mniejsza z tym. Wiesz, że mi na briozkach nie zależy. Zgłodnieli pewno oboje, gdyż szli taki kawał drogi.

Wybiła dwunasta. Poczęły stukać saboty wracających ze szkoły dzieci. Kartofle były upieczone, kawa, do której dodano sporą porcję cykorii, sączyła się przez sitko, dudniąc głośno o dno garnka. Opróżniono róg stołu, ale tylko matka tam jadła, dzieciom za stół starczyły własne kolana. Przez cały czas Henryś, małowówny i żarłoczny niezmiennie, obracał głowę w stronę, gdzie leżała zawinięta w papier główizna. Zatluszczony papier drażnił go niewymownie.

Maheude małymi łykami piła swą kawę, obejmując oburącz szklankę, by ogrzać ręce, gdy zszedł na dół ojciec Bonnemort. Zazwyczaj wstawał później i jedzenie czekało już na ogniu. Toteż począł mruczeć, nie zastawszy zupy. Ale zamilkł, gdy mu synowa powiedziała, że nie zawsze można zrobić to, co się chce, i począł jeść ziemniaki. Od czasu do czasu wstawał, szedł splunąć na popiół, by nie walać podłogi, wracał i przeżuwał jedzenie ze spuszczoną głową i zagasłym spojrzeniem.

— Ach, zapomniałam powiedzieć mamie, była tu sąsiadka...

— Nudzi mnie ta baba!... — przerwała matka.

Zła była w głębi duszy na panią Levaque, która skarżyła się jej wczoraj na swą nędzę po to, by nic nie pożyczyć, choć Maheude doskonale wiedziała, że mają pieniądze, gdyż lokator Bouteloup zapłacił za utrzymanie za dwa tygodnie naprzód. W kolonii niechętnie pożyczano sobie wzajem.

— Ale przypomniawszy mi — odezwała się znowu matka — nasyp do młynka pełno kawy, muszę oddać Pierronce<sup>21</sup>, winnam jej od przedwczoraj.

Alzira nasypała kawy, a matka zapowiedziawszy, że zaraz wróci, by ugotować zupy dla wracających z kopalni, wyszła ze Stelką u piersi. Dziadek żuł dalej ziemniaki, a dzieci były się na ziemi, wydzierając sobie łupy ziemniaczane, które pospadały ze stołu.

Maheude poszła wprost przez ogród. Skręciła z chodnika z obawy, że ją zawoła Levaque. Ogród jej przytykał do ogrodu pani Pierron i miał wielką dziurę w kracie służącą za

<sup>21</sup> *Pierronka* (fr. *Pierronne*) — żona pana Pierron; tłumacz wykorzystał polską formę gwarową na -ka, a nie daw. ogólnopolską formę na -owa; dziś w jęz. fr. nazwiska żon i dzieci nie różnią się formą od nazwiska męża i ojca.

furtkę sąsiadom. Była tam zarazem wspólna studnia czterech rodzin. Na lewo za niskim krzakiem bzu była komórka na króliki. Służyła też za skład narzędzi i miała otwór w dachu, którego wyciągano króliki za uszy, gdy przyszło wielkie święto i chciano się uraczyć pieczenią na obiad. Uderzyła godzina pierwsza. Była to pora picia kawy i ani żywej duszy widać nie było w drzwiach ni w oknach. Tylko jakiś robotnik korzystając z chwili wolnej kopał w swoim ogrodzie. Gdy Maheude znalazła się przed domem sąsiadki, ujrzała ze zdziwieniem jakiegoś pana i dwie damy w pobliżu kościoła. Stała na chwilę i poznała ich. Była to pani Hennebeau pokazująca kolonię robotniczą swym gościom, panu z orderem i damie w futrzanym płaszczu.

— O, i po cóż się było fatygować! — zawołała Pierronka, gdy Maheude oddała jej kawę. — To przecież nie jest pilne!

Miała lat dwadzieścia osiem, ciemne włosy, niskie czoło, wielkie oczy i wąskie usta. Uchodziła za piękność w całej kolonii. Była zalotna, czysta jak kotka i miała piękny biust, ponieważ była bezdzietna. Matka jej, stara Brûlé, wdowa po hajerze, który zginął, kazała córce pracować w kopalni i przysiąc, że nie wyjdzie nigdy za górnik. Toteż nie posiadała się ze złości, gdy dziewczyna wyszła za Pierrona, który nie tylko był górnikiem, ale do tego wdowcem mającym ośmioletnią córkę. Jednak małżeństwo żyło w zgodzie i szczęśliwie mimo plotek o usłużności męża i kochankach żony. Nie mieli długów, jadal dwa razy w tygodniu mięso, a dom był tak porządnie utrzymany, że przeglądać się można było jak w lustrze w każdym rondlu. W dodatku ciesząc się protekcją dyrekcji pani Pierron uzyskała pozwolenie na sprzedaż cukierków i ciastek. Ustawiła je w oknie w szklanych stojakach i sprzedawała za sześć do siedmiu sous dziennie, w niedzielę osiągając nieraz nawet dwanaście sous. Szczęście mąciły tylko dwie okoliczności, wybuchy gniewu matki Brûlé, która nie przestawała się odgrażać, że musi śmierć męża pomścić na pracodawcach, oraz mała Lidia, która za żywe usposobienie całej rodziny pokutować musiała, odbierając co dnia obficie policzki.

— O, jaka już duża! — mówiła pani Pierron, łaskotając Stelkę.

— O, nie wspominaj mi o tym bachorze. Nie masz pojęcia, co to za męka. Szczęśliwa czuć się powinnaś, że nie masz dzieci. Możesz przynajmniej wszystko utrzymać w porządku.

Mimo że i u niej było porządnie i podłoga co soboty wmyta, obrzuciła zawistnym spojrzeniem gospodyni tę tak czystą stancję, gdzie znajdowały się nawet przedmioty zbyt-kowne, złożone wazoniki na kredensie, lustro i trzy sztychy w ramach.

W tej chwili właśnie pani Pierron piła kawę i w domu nie było nikogo.

— Napijesz się ze mną szklaneczkę... prawda? — spytała.

— Nie, dziękuję ci, dopiero co piłam w domu.

— A cóż to szkodzi.

Naturalnie nie stanowiło to żadnej przeszkody. Zasiadły obie i piły powoli, a spojrzenia ich wybiegły przez okno na pół zasłonięte stojakami cukierków i ciastek i zawisły na domach naprzeciwko stojących, których okna zawieszane mniej lub więcej czystymi firankami dawały świadectwo o nawyczkach i charakterach gospodyń. Firanki pani Levaque były strasznie brudne, zdawało się, że są to ścierki, którymi kilka miesięcy obcierano garnki.

— Nie pojmuję, jak można żyć w takim brudzie! — rzekła pani Pierron.

Ta uwaga rozwiązała język Maheudy. Ach, co by ona dała za takiego jak Bouteloup lokatora. Gdy tylko człowiek umie wziąć się do rzeczy, jest to wyborny interes... można żyć po książęcemu. Naturalnie nie trzeba zaraz brać go do swego łóżka. Prócz tego, mąż pani Levaque to gałgan, pijak, bije żonę i ugania się za subretkami<sup>22</sup> po kawiarniach w Montsou.

Pani Pierron nie kryła swego obrzydzenia. Te istoty... to plaga... od nich zarażają się mężczyźni w sposób straszny. W Joiselle jest jedna, która zaraziła całą kopalnię.

W końcu dodała:

— Dziwi mnie tylko, żeś pozwoliła, by syn twój wdawał się z ich córką.

— Dobrze ci tak mówić... ale spróbuj nie pozwolić... Ogród jej przytyka do naszego. W lecie siedział Zachariasz ciągle z Filomeną za krzakiem bzu, albo na dachu szopy z kró-

Ciąża, Dziecko, Rodzina,  
Obyczaje

<sup>22</sup>subretka (z fr.) — pokojówka, służąca.

likami. Nie żenowali się wcale i nie podobna było zaczerpnąć wody, by ich nie schwycić na gorącym uczynku.

To były skutki życia wspólnego obok siebie robotników w kolonii.

Chłopcy i dziewczęta widywali się ciągle, dojrzewali razem i bez przeszkody, gdy tylko noc nadeszła, mogli z zupełną swobodą obcować z sobą. Ulubionym miejscem był płaski dach stajni króliczej.

Wszystkie przesuwaczki przynosiły sobie stamtąd swe pierwsze dziecko, o ile nie wołały w tym samym celu udać się na starą kopalnię w Requillart lub ulokować się w zbożu. Nie było w tym nic zdrożnego, pobierano się potem, tylko matki gniewały się, gdy chłopcy poczynali za wcześnie, gdyż syn żeniący się był stracony dla rodziny.

— Na twoim miejscu skończyłabym już raz z tym! — poczęła znowu pani Pierron głosem nabrzmiałym świętym oburzeniem. — Mają już dwoje dzieci, a nie przestaną jeszcze rychło zadawać się z sobą. Zresztą krzyżyk już i tak musisz położyć na jego piądzie.

Maheude wzniosła do góry pięści.

— Słuchaj! Przeklnę ich, jeśli nie przestaną!... Czyż Zachariasz nie jest obowiązany szanować rodziców? Kosztował nas tyle! Teraz musi nam odrobić choć trochę, nim sobie weźmie na kark żonę. Powiedz sama, co byśmy poczęli, gdyby dzieci, gdy tylko nauczą się pracować, pracowały zaraz na siebie? Lepiej by położyć się i zdechnąć!

Niebawem uspokoiła się i dodała:

— Mówię tak w ogóle tylko... pokaże się, co z tego wszystkiego będzie... Wyborna ta twoja kawa. Nie szcędzisz do niej, widzę, niczego.

Rozmawiała jeszcze z kwadrans, a potem wybiegła szybko narzekając, że zupa dotąd nie gotowa. Dzieci szły znowu do szkoły, a w drzwiach półotwartych mieszkań widać było głowy ciekawych kobiet spoglądających na panią Hennebeau, która szła chodnikiem z gośćmi i wskazywała im różne rzeczy, tłumacząc urządzenie kolonii robotniczych. Robotnik kopiący w ogrodzie podniósł na chwilę głowę, kilka kur spłoszonych przebiegło przez ogrody.

Maheude wracając do domu spotkała się nos w nos z panią Levaque, która wyszła z domu, by schwytać w przelocie doktora Vanderhaghen, lekarza kolonii, małego, wiecznie śpieszącego się czelczka, który z powodu przeciążenia pracą, porad lekarskich udzielał nie zatrzymując się wcale.

— Panie doktorze — mówiła Levaque — sypiać całkiem nie mogę, wszystko mnie boli, chciałabym się poradzić.

Mówił wszystkim *ty*. Rzekł więc, nie zatrzymując się:

— Daj mi spokój! Pijesz za wiele kawy!

— Panie doktorze, proszę odwiedzić mego męża — ozwała się Maheude — ciągle go bolą nogi, czuje się słabym...

— To ty go osłabiasz! Daj mi święty spokój!

Obie kobiety wzruszyły ramionami, spoglądając za oddalającym się lekarzem.

— Wstąp do mnie! — poczęła Levaque. — Mam ci coś powiedzieć, a przy tym musisz się ze mną napić kawy. Świeżo zrobiłam.

Maheude wzbraniała się, ale w końcu uległa. Cóż to znaczy? Ot łyk jeden, by nie obrazić odmową.

Izba czarna była od brudu, na podłodze i ścianach świeciły tłuste plamy, kredens i stół pokryte były obrzydliwymi warstwami błota, a odór tego niechlujstwa zapierał oddech w piersiach. U ognia z łokciami wspartymi o stół siedział Bouteloup z nosem zwieszonym nad talerzem. Był barczysty, ruchy miał dobroduszne, pełne prostoty i młodo wyglądał bardzo na swoje trzydzieści pięć lat. Kończył jeść zupę, spoglądając na małego Achilla, starszego syna Filomeny, który poczynął właśnie trzeci rok życia, stojącego przed nim z miną natrętnego, łakomego psa. Lokator z uśmiechem wtykał mu od czasu do czasu kawałki mięsa do ust.

— Czekaj, zaraz osłodzę! — rzekła Levaque wchodząc i wysypała wprost do imbryka trochę cukru.

Była starsza o dziesięć lat od Bouteloupa, bardzo brzydka, zniszczona, piersi jej zwisały na brzuch, a brzuch na łędzwie, twarz miała płaską i poczynające siwieć, nigdy nie

Matka, Pieniądz

Brud

Kochanek

czesane włosy. Bouteloup przystał na panią Levaque nie przyglądając się jej bardzo, jak nie przyglądał się zupie, w której odkryłby inaczej włosy, i pościeli nie zmienianej nieraz przez całe trzy miesiące. Pani Levaque wstawiona była już w rachunek, a mąż lubił powtarzać, że przyjaźń przyjaźnią, a rachunek rachunkiem.

— Otóż chciałam ci powiedzieć, że widziano wczoraj Pierronkę włóczącą się po dzielnicy *jedwabnych pończoch*. Poza gospodą Rasseneura czekał na nią.... wiesz już kto... i poszli razem wzdłuż kanału... I cóż, jakże ci się to podoba... mężatka... to wstyd doprawdy!

— Ha, ha, ha — roześmiała się Maheude — zanim Pierron ożenił się, ofiarowywał dozorczy króliki w prezencie, teraz kosztuje go mniej pożyczanie żony.

Bouteloup wybuchnął głośnym śmiechem i rzucił kawałek zamaczanego w sosie chleba prosto w usta Achilla. Obie kobiety poczęły się zabawiać kosztem biednej Pierronki. Ta kokietka nie ładniejsza od innych, ale ciągle stoi przed lustrem, ogląda się od stóp do głowy, myje, pomaduje. W końcu jest to rzecz męża, jeśli się godzi, tym gorzej. To prawda, trafiają się mężczyźni, którzy chętnie podtarliby ... przełożonemu, byle usłyszeć *dziękuję*. Przerwało im wejście sąsiadki, która przyniosła małą Désirée, młodsze dziecko Filomeny. Matka jadła śniadanie w sortowni, zanoszono jej więc małą, by trochę poszała.

— A ja nie mogę zostawić na minutę mego baka, by nie zaczął drzeć się wniebogłosy — pożałowała się Maheude spoglądając na Stelkę uspioną na jej rękę.

Czytała już od chwili w oczach pani Levaque, że wystąpi z kwestią drażliwą. Nie było sposobu uniknąć tego.

— Słuchaj no — poczęła gospodyni domu — trzeba by z tym skończyć.

Dawniej bez słowa porozumiały się co do tego, że nie trzeba dopuścić do małżeństwa Zachariasza z Filomeną. Podobnie jak matka Zachariasza możliwie długo zatrzymać chciała zarobek swego syna, pani Levaque nie chciała tracić zarobku córki. Gniewała ją już sama myśl o tym.

Do ślubu nic nie pędziło, a Levaque wołała już małego Achilla chować sama. Ale od czasu, kiedy malec podrośł i musiał się żywić chlebem a nie mlekiem matki, gdy dalej przybyło drugie dziecko, spostrzegła Levaque, że poczyną tracić, poczęła więc naglić o małżeństwo z uporczywością kobiety chcącej się pozbyć co prędzej obcych dzieci z domu.

— Zachariasza uwolniono od wojska — mówiła — nic nie przeszkadza, by się po-brali... no kiedyż by to mogło nastąpić?

— Odlóży my to do lata! — odparła Maheude z zakłopotaniem. — A to głupia sprawa! Nie mogła zaczekać do ślubu? Przysięgam, że zatłukłabym Katarzynę, gdyby zrobiła podobne głupstwo.

Levaque wzruszyła ramionami.

— Daj spokój, i na nią przyjdzie kolej, zrobi, jak wszystkie robią.

Bouteloup spokojnie, jak człowiek czujący się u siebie, przeszukał cały kredens za chlebem. Zielenina do zupy Levaque'a i na pół obrane kartofle leżały na stole. Z dziesięć razy brała je pani Levaque do rąk i kładła znowu, by robić plotki. I teraz wzięła do rąk czosnek, ale zaraz rzuciła i podbiegła do okna.

— A to co? Pani Hennebeau z jakimiś obcymi. O, patrz, wchodzą do Pierronki!

I wzięły się znowu do Pierronki. Ani razu nie zdarzyło się, by tam nie zaprowadzono gości zwiedzających kolonię, a to dlatego, że było u niej czysto. Ale pewnie im nie opowiadano historii z nadzorczą. Phi! Cóż to za sztuka trzymać wszystko w porządku, gdy się ma kochanka dostającego trzy tysiące rocznie, prócz mieszkania, opału i podarków. Ale tam tylko z wierzchu porządnie, za to gdzie indziej wcale nie. Przez cały czas wizyty dostojnych gości kobiety klepały na ten temat.

— Wychodzą, wychodzą! — zawołała Levaque. — Idą w tę stronę.... Popatrz no moja droga, zdaje mi się, że zmierzają do ciebie.

Maheude przeraziła się. Czy też Alzira starła ze stołu? I zupa nie gotowa. Bąknęła *do widzenia* i pobiegła jak strzała prosto ku domowi, nie oglądając się za siebie.

Wszystko było w porządku. Alzira z zapalem gotowała zupę, zawiąawszy u pasa ścierekę. Wzięła się do tego widząc, że matka nie wraca. Znalazła w ogrodzie trochę czosnku, narwała szczawiu i właśnie czyściła zieleninę, a na ogniu wrzała w wielkim garnku woda na kąpiel dla wracających o trzeciej z kopalni. Henryś i Lenora dziwnym trafem nie

bili się, w zupełnej zgodzie drąc na kawałki stary kalendarz gdzieś znaleziony, a dziadek w milczeniu palił fajkę.

Ledwo Maheude odsapnęła, rozległo się pukanie do drzwi.

— Pozwoli pani, pani Maheu... nieprawdaż?

Thusta, ociężała już nieco, czterdziestoletnia pani Hennebeau zmuszała się do przyjaznego uśmiechu i starała się ukryć obawę, że powala sobie brązową, jedwabną suknię i czarny, aksamitny płaszcz.

— Proszę, wejdźcie państwo — mówiła do przybyłych — nie przeszkadzamy w niczym, jak widzicie sami... No i cóż? Jakże wam się wydaje, prawda, że i tutaj czysto? A ta zacna kobieta ma siedmioro dzieci. Wszystkie mieszkania naszych robotników tak wyglądają... Wspominałam państwu już, że Spółka liczy im sześć franków miesięcznie za mieszkanie składające się z wielkiego pokoju na dole, dwu pokojów na piętrze, piwnicy i ogrodu.

Pan z orderem i dama w futrzanym płaszczu przybyli rannym pociągiem z Paryża, mieli trochę zakłopotane twarze i zdziwienie malowało się w ich szeroko otwartych oczach.

— I ogrodu... — powtórzyła dama. — Ależ tu warto by zamieszkać, to wyśmienite.

— Dostają więcej węgla, jak im potrzeba — ciągnęła dalej pani Hennebeau — lekarz przychodzi dwa razy w tygodniu, a na starość dyrekcja daje im pensje<sup>23</sup>, mimo że nie odciąga się im nic z zarobku.

— Raj, istny raj! Jak w bajce! — zamruczał pan w zachwyceniu.

Maheude podsunęła krzesła i prosiła siadać. Ale panie podziękowały. Pani Hennebeau miała już tego widocznie dosyć, choć zrazu rozerwała ją trochę rola przewodnika po menażerii. Specyficzny odór nędzy panujący w domach robotniczych, do których się wejść odważyła, mimo czystości ich, raził ją. Powtarzała zresztą tylko posłyszane frazesy, sama nie troszczyła się wcale losem ludzi żyjących i cierpiących tutaj w bezpośrednim sąsiedztwie.

— Śliczne dzieciaki! — wybąknęła dama w płaszczu futrzanym, a w głębi duszy poczuła odrazę do ich brzydkich, za wielkich głów pokrytych twardym, rudym włosiem.

Maheude musiała mówić, ile lat mają. Damy z grzeczności zapytały o Stelkę. Ojciec Bonnemort z uszanowania wielkiego odłożył fajkę, mimo to jednak był gościom straszny zjawiskiem. Widoczne były na nim okropne skutki czterdziestoletniej pracy w kopalni. Ukryć się nie dały okaleczone nogi, złamany pracą grzbiet i bezkrwista ołowiana twarz. Porwał go właśnie kaszel, więc wyszedł, by odpłuć na polu, gdyż domyślił się, że jego czarne płwociny wstręt by wzbudzić mogły w wytwornych gościach.

Na Alzirę spadły wszystkie niemal pochwały. Cóż to za śliczna mała gosposia z czystą ściereczką u pasa? Winszowano matce, że ma córkę tak nad swój wiek rozwiniętą. Nikt nie wspominał o garbie, ale niezręcznie litościwe, niespokojne spojrzenia podkreślały to aż nadto dokładnie.

— Teraz — rzekła pani Hennebeau — gdy państwa zapyta ktoś w Paryżu, jak mieszkają górnicy Voreux, będziecie wiedzieli, co powiedzieć? Wszędzie jak tutaj patriarchalne stosunki i obyczaje, wszyscy spokojni, szczęśliwi, nikomu nie brak niczego. Doprawdy, powinniście państwo tu przyjechać odpocząć w spokoju na świeżym powietrzu.

— To przedziwne! Przedziwne! — wykrzyknął pan z orderem z wybuchem zachwyty.

Wyszli rozpromienieni, jak gdyby wychodzili z wystawy okazów egzotycznych. Maheude wyprowadziła ich i stanęła w progu patrząc, jak szli powoli, głośno rozmawiając. Ulice ludne teraz były, dostojni państwo mijali teraz grupy kobiet, które na wieść podawaną od domu do domu zbiegły się zewsząd ciekawe widowiska.

Levaque przed samymi swymi drzwiami natknęła się na panią Pierron, która także przyszła się pogapić. Obie udawały zdziwienie. Ha, cóż to, czy ci państwo zamyślają nocować u Maheuów? No, nie byłoby im wesoło!

— Nigdy nie ma u nich w domu grosza, choć zarabiają wszyscy! Ha, trudno, tak być musi, gdy się ma nawyczki złe.

— Powiedziano mi, że Maheude dziś rano była po zebraniu u właścicieli Piolaine i także że Maigrat, który odmówił im kredytu, zdecydował się i dał chleba i różnych rzeczy. Wiadomo, czym się płaci Maigrata.

Bieda, Brud

Plotka

<sup>23</sup> pensja — tu: emerytura.

— Chyba nie na nią ma ochotę! Na to trzeba by odwagi!.... Zagiał parol na Katarzynę, to jasne.

— Pomyśl tylko, moja droga! Ta kobieta jest do tego stopnia bezczelna, że odgrażała się przed chwilą u mnie, iż zatłukłaby Katarzynę, gdyby się z kimś wdała. Co za obluda, jak gdyby Chaval dawno już nie wyobrażał jej na wszystkie strony na dachu królikarni!

— Cicho! Wychodzą!

Obie kobiety, udając spokój, niby to bez ciekawości patrzyły ukradkiem na odchodzących. Dały znak i Maheude ze Stelką na rękę przyłączyła się do nich niebawem. Wszystkie trzy spoglądały teraz w milczeniu na oddalające się, pięknymi materiami pokryte plecy pani Hennebeau i jej gości. Gdy dostojnicy oddalili się o jakieś trzydzieści kroków, języki poczęły latać.

— Mają na sobie ubrania wartające więcej od nich samych!

— Niewątpliwie!... Tej drugiej nie znam, ale za tę naszą nie dałabym czterech sous, choć taka tłusta. Opowiadają rozmaitości.

— Podobno ma kochanków!... Przede wszystkim inżyniera...

— Tego chudego malca... Ależ to pchła... może zginąć w prześcieradłach!

— Cóż to szkodzi, jeśli jej dogadza! O, ja nie dowierzam żadnej takiej damie, co ciągle kręci nosem i robi miny niezadowolenia, gdziekolwiek się znajdzie.... Patrzcie no jak kręci zadkiem, jak gdyby chciała wyrazić w ten sposób, że pogardza nami wszystkimi. Czy to przyzwoite?

Pani Hennebeau i jej goście uszli tymczasem powoli, ciągle rozmawiając, spory kawalek drogi. Nagle ukazała się karetka i zatrzymała na gościńcu przy kościele. Wysiadł z niej mężczyzna może pięćdziesięcioletni z ogorzałą, surową, energiczną twarzą, ubrany w czarny długi surdut.

— Patrzcie, mąż! — szepnęła Levaque zniżając głos, jak gdyby mógł usłyszeć. Strachem przejęło ją zjawienie się generalnego dyrektora, przed którym drżało dziesięć tysięcy robotników. — Czyż może być, by ten człowiek miał rogi?

Cała kolonia wyległa na dwór. Wzrastała ciekawość kobiet, poszczególne grupy poczęły się z sobą zlewać i utworzyły wreszcie tłum, a gromada zasmarkanych dzieci z otwartymi ustami obiegnęła drogę.

Spoza parkanu okalającego szkołę wyjrzała nawet raz twarz nauczyciela. Kapiący w swoim ogrodzie robotnik przerwał pracę, otworzył szeroko oczy i gapił się stojąc z nogą opartą o żelazo łopaty.

Pomruk plotkujących kobiet rósł, nabrzmiewał podobny do szumu wiatru w kupie suchych liści.

Ścisk był największy przed drzwiami pani Levaque. Zbliżyły się naprzód dwie kobiety, potem dziesięć, potem dwadzieścia. Przezorna Pierronka milczała teraz, gdyż było za dużo słuchaczek. Maheude, będąca jedną z rozsądniejszych, poprzestała na patrzeniu i by uspokoić rozbudzoną i krzyczącą na nowo Stelkę, wyjęła w oczach wszystkich ze staniaka swą ogromną obwisłą od mleka pierś i jak pocziwa krowa cielę, poczęła niemowlę karmić.

Pan Hennebeau wsadził wreszcie do powozu damy i pana z orderem i odjechał z nimi w stronę Marchiennes.

Teraz rozlała się szeroko fala wymowy. Kobiety gadały, wymachując rękami, krzyczały sobie wzajem w uszy i rzucały się jak opętane, a całość przedstawiała się z pewnej odległości jak mrowisko, w którym wybuchała rewolucja.

Wybiła godzina trzecia. Robotnik kapiący w ogrodzie i Bouteloup poszli wraz z innymi do roboty. Nagle zza węgła kościoła wyszli pierwsi wracający z kopalni robotnicy o twarzach poczerwionych, w przemoczonych odzieży, zgarbieni, z rękami założonymi na piersiach. Kobiety rozbiegły się na wszystkie strony, gnały co tchu do domów zdesperowane, że za wiele kawy i plotek doprowadziło je do zaniedbania obowiązków gospodarskich.

Zewsząd dolatywały rozpaczliwe wykrzyki:

— O Boże, mój Boże, co ja pocznę nieszczęsna? Zupa nie gotowa!

Gdy ojciec Maheu, zostawiwszy Stefana u Rasseneura, wrócił do domu, zastał Katarzynę, Zachariasza i Jeanlina siedzących już przy jedzeniu. Wracający z kopalni górnicy byli zazwyczaj tak zgłodniałymi, że zabierali się zaraz do obiadu, nie zdejmując przemoczonego odzienia, nie myjąc się. Każdy szedł prosto do stołu i połykał szybko swą porcję. Od rana do wieczora siedział ktoś i jadł, doczekawszy się wreszcie swej porcji obiadowej.

Już od drzwi zobaczył Maheu zapasy żywności. Nie rzekł nic, ale stroskana twarz jego rozpoznała go. Przez cały ranek dręczyła go myśl o pustej szafarni bez chleba, kawy, masła i dławiąc się złym powietrzem w głębi sztolni przy pracy, jeszcze rozmyślał, skąd by wziąć pieniędzy. Ciekawość go paliła, ale nie pytał żony. I cóż by było, gdyby wróciła z próżnymi rękami? Dzięki Bogu jest po trochu wszystkiego. Potem się dowiem, skąd się to wzięło, pomyślał i uśmiechnął się.

Katarzyna i Jeanlin wstali już i kończyli stojąc kawę, Zachariasz zaś nie nabrał jeszcze zupy i właśnie ukroiwszy sobie potężną kromkę chleba począł ją smarować masłem. Widział on na jednym talerzu głowiznę wieprzową, ale jej nie tknął. Mięso, gdy go było tylko dla jednego, przeznaczone było dla ojca. Wszyscy skończyli zupę, wychylili po szklance wody, tego napoju górnik przed wypłatą.

— Nie ma piwa! — odezwała się matka, gdy ojciec zasiadł przy stole. — Chciałam zostawić sobie jeszcze trochę pieniędzy, ale jeśli chcesz Alzira pójdzie po kufel.

Spojrzał na nią zdziwiony. Jak to? Ma także i pieniądze?

— Nie, nie — odparł — piłem już, to wystarczy.

Zabrał się do zupy będącej mieszaniną chleba, ziemniaków, czosnku i szczawiu, a Maheude nie wypuszczając z rąk Stelki pomagała Alzirze w obsłudze ojca, przysuwała mu masło i głowiznę i doglądała kawy stojącej na blasze, by była gorąca.

Tymczasem poczęła się kąpiel w służącym za wannę półbeczku. Pierwsza kąpała się Katarzyna. Napelniła beczkę letnią wodą i rozebrała się. Najspokojniej w świecie zdjęła czapkę, bluzę, spodnie, wreszcie koszulę, przywykła do tego od małości, nie widząc w tym nic złego. Obróciła się tylko twarzą do ognia, a potem cała natarła się silnie czarnym mydłem.

Nikt nie zwracał na nią uwagi, nawet Henryś i Lenora nie byli ciekawi, jak wygląda starsza siostra. Umywszy się, zupełnie naga poszła po schodach na górę, zostawiwszy brudne i przemoczone ubranie na ziemi. Teraz począł się spór między braćmi o to, który z nich ma się pierwszy kąpać. Jeanlin, pod pozorem, że Zachariasz jeszcze je, wskoczył pierwszy do wody, ale Zachariasz go odepchnął twierdząc, że dość już zrobił odstępując pierwszeństwa Katarzynie, a wodą, w której by się wykąpał taki brudas jak Jeanlin, można by napelnić kałamarze w szkole. Wreszcie odwróceniu do ognia poczęli się kąpać razem, pomagając sobie nawet wzajemnie i nacierając sobie plecy mydłem. Potem, podobnie jak siostra poszli nago na górę.

— Ależ nachlapali — odezwała się matka i pozbierała z ziemi przemoczone ubrania, by je wysuszyć. — Alzira, zbierz wodę gąbką.

Przerwał jej hałas dolatujący zza ściany. Słychać było kłótnię mężczyzny i płacz kobiety, potem łoskot bójki, tupanie nóg i głucho uderzenia, jakby bił ktoś pięścią w wydrążoną dynię.

— O, biedna Levaque dostaje swą porcję! — powiedziała Maheude spokojnie zajęta wyskrobywaniem łyżką garnka.

— A to komiczne, Bouteloup zapewniał, że zupa gotowa.

— Aha, gotowa! — odparła Maheude. — Widziałam zieleninę na stole jeszcze nie obmytą nawet.

Krzyki wzmogły się, potem nastąpiło straszne uderzenie, od którego zatrząsły się mury, i zapadła cisza.

Maheu połknął ostatnią łyżkę i rzekł spokojnie, jakby ogłaszał wyrok:

— To całkiem naturalne, jeśli zupa nie była gotowa.

Wypił szklankę wody i wziął się do głowizny. Krajał ją w kostkę, nabierał na nóż i jadł na chlebie, nie używając widelca. Ojciec nie lubił, by mówiono podczas jedzenia, nikt się przeto nie odzywał, sam Maheu nawet, choć poznał, że nie jest to głowizna ze sklepu

Przemoc, Żona,  
Obowiązek, Obyczaje

Maigrata, nie pytał żony, skąd ją wzięła. Spytał tylko, czy stary jeszcze śpi, i zamilkł znówu, dowiedziawszy się, że dziadek wybrał się już na zwyczajną swą przechadzkę.

Zapach mięsa zwałił Henrysia i Lenorę zajętych do tej pory robieniem rzek z kałuży stojącej na podłodze. Przybiegli zaraz i stanęli przed ojcem śledząc oczyma każdy kawałek. Gdy ojciec brał go z talerza, oczy malców połyskiwały nadzieją, ale zasłaniały się chmurą rozczarowania, gdy ginął w jego ustach. W końcu spostrzegł ich żarłoczne miny i pobladłe twarze.

— Czy dzieci jadły mięso? — spytał.

Maheude zawahała się.

— Wiesz — ciągnął dalej — że nie lubię niesprawiedliwości. Odbiera mi apetyt, gdy stoją tak żebrząc o kęs jedzenia.

— Ależ naturalnie! — zawołała z gniewem. — Miały, rozumie się. Cóż to, czy ich nie znasz? Połknęłyby wszystko i jeszcze by chciały więcej! Alziro, powiedz... wszak prawda, że wszyscy jedliśmy mięso?

— Jedliśmy wszyscy, ojczule! — odparła garbuska, kłamiąc w takich razach ze spokojem dorosłej osoby.

Lenora i Henryś zdrętwieli ze zdumienia i oburzenia na kłamstwo beczelne, za co zawsze dostawali różgi. Małe ich dusze poczęły się buntować, chciały zaprotestować i powiedzieć, że może ktoś jadł, ale ich przy tym nie było.

— Wynoście mi się precz! — krzyknęła matka i odpędziła dzieci w drugi kąt izby. — Wstydzicie się państwo jak psy natrętnie cisnąć się do ojca, gdy je. A gdyby nawet sam tylko miał mięso, to czyż za to nie pracuje, gdy wy nicponie, gałgany kosztujecie tylko rodziców... i to więcej nawet jak dorośli.

Maheu przywołał dzieci do siebie, posadził każde na jednym kolanie i podzielił się z nimi resztą głowizny. Każde dostało swą porcję. Krajał im mięso w małe kostki, a malcy połykali je chciwie.

Skończywszy odezwał się do żony:

— Nie będę teraz pił kawy. Wolę wprzód się umyć... Pomóż mi wylać brudną wodę.

Wzięła beczkę za uszy i wylała jej zawartość do zlewu przed domem. Jeanlin zszedł z góry. Ubrany był w suchą odzież, miał na sobie płócienne spodnie i bluzkę brata, za wielką nań trochę. Gdy matka spostrzegła, że wymyka się przez na pół otwarte drzwi, zatrzymała go i spytała:

— Dokąd idziesz?

— A tam!

— Gdzie... tam?... Słuchaj, musisz mi na wieczór postarać się o trochę zimowej sałaty. Rozumiesz? Spróbuj tylko nie przynieść, to już ja się z tobą rozmówię.

— Dobrze, dobrze!

Jeanlin poszedł z rękami w kieszeniach, powłócząc sabotami. Był to chudy, nikły chłopak. Przyszedł na świat przedwcześnie, nierozwinięty był, a słabe kości uległy już zawodowemu zdeformowaniu. Idąc chwiały się w biodrach jak stary spracowany górnik. Niedługo potem zjawił się Zachariasz. Był starannie ubrany, miał na sobie kaftan wełniany czarny w siwe paski. Ojciec upominał go, by nie wrócił późno. Skinął tylko głową i poszedł milcząc, z fajką w zębach.

Beczkę napełniono świeżą letnią wodą. Maheu powoli zdjął bluzę. Na jego skinienie wyprowadziła żona Lenorę i Henrysia na pole, bo ojciec nie lubił myć się przy nich, jak to czyniła większość jego kolegów. Nie przyganiał tego nikomu, mówiąc tylko, że dzieci jedynie kąpią się razem.

— Cóż robisz tam na górze? — spytała Maheude córkę, podnosząc głos.

— Naprawiam sobie suknię, bom ją wczoraj rozdarła — odpowiedziała Katarzyna.

— Dobrze, dobrze, nie schodź tylko na dół, ojciec się kąpie.

Maheu został sam z żoną. Maheude położyła Stelkę na krześle, a mała jakoś tym razem była cicho. Leżała blisko ognia i zadowolona patrzyła na rodziców wielkimi bezrozumnymi oczyma. Ojciec rozebrał się do naga, przykucnął przy wannie, zanurzył naprzód w wodzie głowę i natarł ją czarnym, ostrym mydłem, którego używanie bezustanne przez wiek mogło wreszcie wybielić i odbarwić włosy całych pokoleń. Potem wszedł do wody, zamaczał piersi, brzuch i ramiona nacierając je kolejno mydłem. Żona stała opodal i przyglądała mu się.

Kłamstwo, Bieda, Ojciec,  
Jedzenie

— Słuchaj teraz — zaczęła — widziałam twoje zdziwienie, gdyś wrócił. Pewnie dręczyła cię troska o dom... i dlatego rozpogodziłeś się, ujrawszy zapasy. Wyobraź sobie, te tuczne wieprze z Piolaine odmówiły, nie dostałam ani grosza. Z wielką łaskawością obdarzono mnie tylko sukniami dla dzieci, a ja wstydziłam się żebrnąć... słowa dławiły mnie w gardle... nie mogłam.

Przerwała na chwilę i poszła poprawić Stelkę na krześle, obawiając się, by nie spadła. Ojciec mydlił się dalej, nie podniecając jej do dalszego opowiadania pytaniem. Czekał cierpliwie, aż pojmie, jak się to stało.

— Zapomniałam ci jeszcze powiedzieć, że Maigrat odprowadził mnie z niczym i to stanowczo, odpędził jak psa... Wyobraź sobie, w jakiej byłam pułapce! I na cóż się zdadzą ciepłe suknie, gdy nie ma co jeść.

Maheu podniósł głowę i milczał dalej. Jak to, pomyślał, nic nie dostała w Piolainie, nic u Maigrata, skądże więc wzięła to wszystko? Maheude zawinęła teraz rękawy, jak to czyniła codziennie, i zaczęła nacierać mydłem miejsca, do których nie mógł sam dostać. Lubiał, gdy go mydliła i nacierała tak silnie, że aż jej stawy trzeszczały. Obrabiała mu plecy, a on zaparł się nogami w beczce, by nie upaść pod naciskiem jej rąk.

— Wróciłam więc do Maigrata i nagadałam mu co wlało... że nie ma serca, że jeśli istnieje jaka sprawiedliwość, to mu ten upór szczęścia nie przyniesie. To go złościło, przewracał oczyma i rad by był uciec lub schować się pod ziemię...

Od pleców przeszła do pośladków i w zapale myła, mydliła, szorowała wszędzie nie pomijając żadnego miejsca, jakby czyściła swe rondle w sobotę. Spociła się, zadyszała przy tej robocie tak, że jej słowa utknęły w gardle.

— Wreszcie powiedział, że jestem jak wesz, obiecał, że do soboty będzie nam dawał co dnia chleba i co najważniejsze dał mi pięć franków. Zażądałam jeszcze masła, kawy, cykori... i chciałam także wziąć mięsa i ziemniaków, ale spostrzegłam, że zaczyna być zły na nowo. Zresztą wydałam tylko siedem sous na głowiznę i osiemnaście na ziemniaki, więc mam jeszcze trzy franki siedemdziesiąt pięć centimów na kości i mięso do rosołu... A co, dobrze użyłam ranka?

Obcierała go teraz, obsuszając miejsca, gdzie nie mógł dosięgnąć i gdzie woda trudniej wysychała. Rozweselony, nie myśląc wcale o następstwach nowego długu, wybuchnął głośnym śmiechem i objął żonę rękami.

— Daj mi spokój... jesteś mokry, powalasz mnie... znowu czepiają ci się głupstwa... Wiesz co, przyszło mi na myśl, że Maigrat musi mieć chętkę...

Już miała powiedzieć o Katarzynie, ale zamilczała. I na cóż zda się martwić ojca? Rozpaczaliby się cały szereg scen, których końca trudno nawet przewidzieć.

— Jaką chętkę? — spytał.

— Chętkę oszukania nas. Katarzyna musi zbadać rachunki.

Wziął ją w ramiona i już nie puścił. Kąpiel zawsze tak się kończyła. Maheu czuł się po takim natarciu silniejszy, zdrowszy i podniecony. Zresztą działo się tak wszędzie we wszystkich domach. Była to godzina czułości małżeńskich, płodzono więcej dzieci, niż można było wyżywić. W nocy nie było swobody, bo dokoła spały dzieci podrosłe już. Przechylił ją na stół i począł żartować, jak żartuje prosty człek w godzinach wolnych od pracy. Zwał to *swoim deserem*, który *nic nie kosztuje*. A Maheude, stara Mahude z obwisłymi piersiami i brzuchem, broniła się trochę na żarty.

— Czyś oszalał... mój Boże... czyś oszalał! Patrz, Stelka widzi nas! Czekaj, obrócę ją do ściany.

— Głupstwo... czyż trzymiesięczne dziecko wie, co to jest...

Potem Maheu spokojnie wdział suche gacie. Lubiał bardzo po umyciu i pobarszkowaniu ze swą żoną czas jakiś jeszcze chodzić bez koszuli, obnażony do pasa. Na białej jego skórze, podobnej do skóry anemicznej dziewczyny, widoczne były blizny i zadrąśnięcia głębokie, pozostałe po ranach, jakie mu zadały obrywające się skały i bloki węglowe. Było to *pismo*, jak mówili górnicy, a Maheu pysznił się tym, wyciągał ręce i wydymał pierś białą, jakby wykutą z marmuru o niebieskawych żyłkach. W lecie wszyscy górnicy wychodzili tak do ogrodu. Maheu wyszedł i dziś na chwilę mimo wilgotnego, zimnego powietrza i rzucił żart koledze naprzeciwno, który również półnagi ukazał się w drzwiach swego mieszkania. Pojawiło się więcej porozbieranych górników, a dzieci bawiące się na

Seks

chodnikach popodnosiły głowy i z zaciekawieniem patrzyły na te nagie, rozkoszujące się powietrzem, spracowane ciała.

Nie wdzierając koszuli, pił kawę i opowiadał żonie o zajściu z inżynierem i jego pogroźce. Uspokoił się już, gniew go opuścił i przytakiwał głową wywodom żony, która bardzo rozsądnie zapatrywała się na te sprawy. Powtarzała mu ciągle, że buntowanie się przeciw Kompanii do niczego doprowadzić nie może. Potem opowiedziała mu o bytności pani Hennebeau.

Byli oboje dumni, choć nie mówili o tym.

— Czy można zejść? — spytała z góry Katarzyna.

— Można, można, ojciec już po kąpieli.

Dziewczyna ubrana była w starą suknię bawełnianą, spelzłą już i poprzecieraną w fałdach. Na głowie miała skromny kapelusik z czarnego tiulu.

— Ho, ho, takeś się wystroiła! Gdzież to idziesz?

— Do Montsou, kupić sobie wstążkę do kapelusza... odprułam starą, bo była już całkiem brudna.

— Skądżeś wzięła pieniądze?

— Jeszcze nie mam, ale Mouquette obiecała mi pożyczyć dziesięć sous.

Matka pozwoliła jej pójść, ale gdy już była pod samymi drzwiami, powiedziała jeszcze:

— Słuchaj, nie chodź kupować wstążki do Maigrata. Oszukałby cię... a przy tym pomyślał, że nużamy się w złocie.

Ojciec który kucnął przy ogniu, by osuszyć się do reszty, dodał:

— I pamiętaj wrócić wcześniej. Żebyś mi się po nocy nie włóczyła!

Maheu po południu pracował w swoim ogrodzie. Posadził już ziemniaki, również fasolę i posiał bób, a w pogotowiu miał wysadki kapusty i innych jarzyn, by posadzić je wczesną wiosną. Warzyw dostarczał ten mały ogród w ilości dostatecznej, ziemniaków tylko zawsze brakło. Maheu znał się doskonale na uprawie jarzyn i miał wszystko, nawet karczochy, co w oczach sąsiadów było wielką pyszałkowatością. Podczas gdy pracował koło grządek, wyszedł Levaque do swego ogrodu, by wypalić fajkę a zarazem spojrzeć, czy przyjęła się sałata włoska wysadzona do gruntu przez Bouteloupa, bez którego starań w ogrodzie nie rosłoby nic prócz ostu. Poczęli rozmawiać przez parkan. Levaque podrażniony i zmęczony biciem żony, kusił ojca Maheu, by poszedł z nim na piwo do Rasseneura. Cóż to, czy się znów boi szklanki piwa? Zagrają partię kregli, pogadają z kolegami, przejdą się i wrócą na kolację. Tak się zabawiano zazwyczaj po skończeniu pracy w kopalni. Niewątpliwie, nie było w tym nic złego, ale Maheu uparł się i twierdził, że jeśli nie posadzi dziś kapusty, to zwiednie do jutra. W gruncie rzeczy miał inny powód, nie chciał prosić żony o pieniądze, ni o jednego sous z owych pożyczonych pięciu franków.

Była już piąta, gdy Pierronka przyszła spytać, czy nie wiedzą, gdzie się podziła Lidia. Levaque odparł, że bardzo być może iż poszła z Jeanlinem, bo i Bébert znikł, a te urwisze trzymają się zawsze razem. Maheude uspokoiła ją wyjaśniając, że poleciła Jeanlinowi, by jej skąd przyniósł sałaty zimowej, więc pewnie szukają jej we troje... Levaque i Maheu poczęli się droczyć i żartować z młodą kobietą. Udawała z początku, że się gniewa, ale ponieważ jej to w gruncie rzeczy pochlebiało, niebawem śmiała się głośno i trzymała się za brzuch. Pośpieszyła jej z pomocą chuda baba o szczekliwym głosie, przechodzącym, gdy się rozniewała, w gdakanie kury. Inne kobiety pojawiły się też we drzwiach domów i z oburzeniem robiły uwagi nad postępowaniem Pierronki. Właśnie skończyła się szkoła, mnóstwo dzieci z krzykiem rozbiegło się po kolonii, bijąc się, przewracając po ziemi, a ojcowie, którzy nie poszli do szynku, w grupach po kilku przysiedli na piętach pod murami domów w pozycji, do jakiej nawykli w kopalni, i palili fajki. Wreszcie Pierronka rozniewała się na dobre, gdy Levaque spróbował namacalnie się przekonać, czy ma twarde biodra, i poszła, on zaś także wyruszył do Rasseneura, pocieszając się myślą, że zastanie tam innych znajomych. Maheu krzątał się dalej po ogrodzie.

Wieczór zapadł szybko, a Maheude zapaliła lampę, zła, że nie ma ani córki, ani synów. Narzekała, że ani razu do roku nie siadają do kolacji wszyscy razem. Czekala przy tym na sałatę. A to smarkacz! Jakże może rwać ją o tej godzinie po ciemku! A właśnie doskonale nadawałaby się sałata do potrawy, jaką przyrządziła na kolację. Była to mieszanka ziemniaków, szczawiu i smażonej cebuli. Odór cebuli napelniał cały dom. Jest to zapach bardzo mdły, niestety zbyt szybko przechodzi w zjelczały i jako taki przesiąknął

w mury mieszkań robotniczych kolonii do tego stopnia, że w całej okolicy, dość daleko wkoło czuć się dawał ten odór specyficzny kuchni nędzarzy.

Maheu opuścił ogród, gdy się ściemniło, usiadł na krześle, oparł głowę o ścianę i natychmiast zasnął. Spał w ten sposób co wieczora aż do uderzenia siódmej. Dziś wydarzyło się tak nieszczęśliwie, że gdy Lenora i Henryś w przystępie nadzwyczajnej usłużności chcieli koniecznie pomóc Alzirze nakrywać do stołu... stłukli talerz. Niebawem wrócił też dziadek Bonnemort, by zjeść pośpiesznie kolację i pójść do kopalni. Teraz Maheude zbudziła męża.

— Siadajmy do jedzenia... mniejsza, że ich nie ma! Już mają dość rozumu, by bez pomocy trafić do domu. Zła jestem tylko, że ten smarkacz nie przyniósł sałaty!

## V

Stefan, zjadłszy zupę, położył się, nie rozbierając wcale, w swej ciasnej izdebce na poddaszu i zasnął. Znużony był strasznie, gdyż w ciągu dwóch nocy nie spał więcej jak cztery godziny. Zbudziwszy się o zmroku wodził zaspanymi oczyma dokoła, nie mogąc rozpoznać, gdzie się znajduje. Czuł się jak rozbity, głowa mu ciążyła, ledwo utrzymać mógł się na nogach, ale przemógł się i ruszył na przechadzkę przed kolacją.

Pocieplało teraz na dworze i szare niebo nabrało miedzanego koloru, co było znakiem niemyślnym, że od północy nadciągają chmury deszczowe i ulewa potrwa długie dni. Już czuć było w powietrzu wilgoć, a noc zstępowała szybko, zatapiając w ciemności dalsze punkty równiny. Niebo ciemniało coraz to bardziej i zdawało się opuszczać coraz to niżej jak całun, nieporuszony i najłżejszym powiewem wiatru. Ponuro było wokół i smutno jak na pogrzebie.

Stefan szedł bez celu, gdzie go oczy niosły. Chciał się tylko pozbyć gorączki. Mijając wejście do Voreux przystanął, chcąc ujrzeć wychodzących górników. Ciemno już było w kopalni. Długie, czarne łachy cieniów leżały na wszystkim, bo latarni jeszcze nie zapalono. Minęła już widocznie szósta, gdyż z bramy wysypywali się gromadkami przesuwacze, ładowniczy, stajenni, hajerzy. Majaczyli w mroku ledwie widzialni, tylko tu i ówdzie rozbrzmiewał wesoły śmiech dziewcząt z sortowni.

Właśnie mijali Stefana Pierron i Brûlé, jego teściowa. Klócili się, a raczej Brûlé wymyślała mu i czyniła wymówki, iż nie sekundował jej w sporze, który miała przed chwilą z kontrolerem.

— Nędzny tchórz! Gadzie, co płaszczysz się przed łajdakami wyzyskującymi nas!

Pierron szedł chwilę w milczeniu, a potem rzekł:

— Czy może miałem rzucić się na kontrolera z pięściami? Dziękuję, miałbym kłopotów co niemiara. Nie ma głupich!

— Więc pełzaj przed nimi na brzuchu! — krzyknęła. — Ach, gdyby córka moja była mnie usłuchała... Więc nie dość, że mi zabili męża, mam im jeszcze dziękować za to? O nie... raczej wszystkim oczy wydrapię paznokciami!

Głosy przycichły. Stefan widział jeszcze przez chwilę białe, rozwiane włosy Brûlé i gwałtowne gesty chudych ramion, potem znikła w ciemności. Ale z tyłu za nim szło dwu młodych hajerów rozmawiając. Był to Zachariasz ze swym przyjacielem Mouquetem.

— Wiesz — mówił Mouquet — zjemy teraz podwieczorek, a potem do Wulkanu... dobrze?

— I owszem, ale za małą chwilkę, mam pewien interes.

— Jaki?

Mouquet obrócił się i ujrzał wychodzącą ze sortowni Filomenę. Zrozumiał.

— Ach, tak... no, to pójde naprzód.

— Dobrze, za małą chwilkę przyjdę tam.

Mouquet odszedł. Niebawem spotkał swego ojca, starego Mouque'a, wychodzącego z kopalni. Ojciec i syn powiedzieli sobie dobry wieczór i każdy poszedł w swą stronę, syn gościńcem ku Montsou, ojciec nad kanałem biegnącą przez pola ścieżką.

Zachariasz popychał Filomenę w tę samą stronę. Opierała się, nie chciała teraz... mówiła, że nie ma czasu. Zresztą cóż za przyjemność widywać się ciągle tylko na polu, zwłaszcza w zimie, gdy błoto, a nie ma zboża, by się w nim położyć.

— Ale nie o to idzie! — szeptał zniecierpliwiony — Mam ci coś powiedzieć.

Otoczył ją ramieniem i łagodnie prowadził w parów, a gdy znikła im z oczu kopalnia, zapytał, czy ma pieniądze.

— A to na co? — spytała.

Zmieszał się bardzo i począł opowiadać, że winien jest komuś dwa franki, a rodzinę jego doprowadziłoby do rozpacz, gdyby prosił o pieniądze.

— Nie pleć! — zawołała — Widziałam przecież doskonale Mouqueta. Chcesz z nim iść do Wulkanu, do tych obrzydliwych śpiewaczek... no przyznaj się!

Zapierał się, bił w piersi, dawał słowo honoru. Wreszcie wzruszył na wszystko to ramionami i rzekł z ciężkim westchnieniem:

— Chodź więc z nami. Przekonasz się, że tam wesoło. I cóż bym robił ze śpiewaczkami... no pójdiesz?

— A dziecko? — odparła — Czyż można brać dziecko, ciągle wrzeszczące? Puść mnie już, czuję, że tam w domu znowu piekło.

Powstrzymywał ją i prosił usilnie, by zważyła, że obiecał Mouquetowi i musiałby się go wstydzić teraz. Mężczyzna nie może przecież kłaść się codziennie spać razem z kurami. Przekonana nareszcie rozpięła kaftanik, paznokciem rozerwała nitkę szwu na podszewce i ze schowku wyjęła monety półfrankowe. Z obawy przed matką chowała w ten sposób zarobione za pracę poza godzinami pieniądze.

— Patrz, mam wszystkiego pięć, ale dam ci trzy, tylko musisz mi przysiąc, że nakłoniś matkę, by się zgodziła na nasz ślub. Mam już dosyć tego małżeńskiego pożycia pod gołym niebem! A przy tym wymawia mi moja matka każdy kawałek chleba, który do ust biorę. No, przysięgaj!

Mówiła apatycznie, beznamiętnie, znużona życiem, jakie dotąd wiodła. Zachariasz zaklinał się, że to rzecz przyrzeczona, a więc święta. Potem, gdy dostał trzy półfrankówki, całował dziewczynę, laskotał ją, pobudzał do śmiechu i byłby niezawodnie położył ją na ziemi w parowie służącym im już tyle razy za łóżko małżeńskie, gdyby nie to, że wyraźnie mu kilkakrotnie powtórzyła, iż jej to nie sprawia żadnej przyjemności. Filomena wróciła sama do kolonii robotniczej, a Zachariasz poszedł drogą przez pola ku Montsou.

Stefan, nie zdając sobie z tego sprawy, siedł za obojgiem w pewnej odległości, myśląc, że jest to zwykła schadzka miłosna. Dziewczęta z kopalni, mimo że dojrzewały późno, oddawały się kochankom swym bardzo prędko. Stefan przypomniał sobie tłum małoletnich rozpustnic czekających pod fabrykami w Lille. Udziałem ich zazwyczaj była rychła śmierć w ostatecznej nędzy. Nagle Stefan ujrzał coś dużo ciekawszego.

W parowie siedział na kamieniu Jeanlin i gniewał się za coś na Lidię i Béberta, którzy przycupnęli obok niego. Stefan słyszał każde słowo.

— Co? Powiecie?... Ha no spróbujcie... popuchną wam gęby! Mówcie smarkacze... czyj to był pomysł?

Istotnie Jeanlin był autorem całej wyprawy. Bił się i bawił ze swymi małymi przyjaciółmi na łące nad kanałem całe popołudnie, zbierając dla odpoczynku dziką sałatę, jak mu kazała matka. Ujrawszy, że zebrało się jej dużo, osądził, że takiej masy chyba w domu nie potrzeba. Toteż zamiast wracać do kolonii, poszedł do Montsou, postawił Béberta na straży, a Lidię zmusił do tego, iż pukała po kolei do mieszkań robotniczych, proponując kupno sałaty. Był już bardzo doświadczony i wiedział, że dziewczyna potrafi wszystko sprzedać, co chce. Malcy handlowali z takim zapalem, że w końcu nie zostało z całego zapasu ni listka, ale za to Lidia zebrała jedenaście sous. Teraz, pozbywszy się towaru, zasiedli, by dzielić się zyskiem.

— To jest niesprawiedliwość! — mówił Bébert. — Podzielić trzeba na trzy równe części. Jeśli ty chcesz wziąć siedem sous, to nam zostanie po dwa.

— Jak to niesprawiedliwość? — krzyknął czerwony z gniewu Jeanlin. — Przede wszystkim nazbierałem więcej niż wy.

Bébert z trwożną miną podziwiał zawsze sprytniejszego od siebie Jeanlina, a lekko-myślność wrodzona skazywała go na to, iż zawsze musiał być ofiarą. Toteż choć młodszy, Jeanlin często bił go po twarzy i uczynił swym podwładnym.

Ale dziś żądza pieniędzy podniecała go do oporu.

— Prawda, Lidio, że on nas oszukuje? Ale jeżeli nie podzieli sprawiedliwie, to poskarżymy jego matce.

Jeanlin podsunął mu pięść pod nos.

Pieniądz

— Powtórz jeszcze raz! Piśnij słówko jeszcze, a idę zaraz sam do mojej matki i powiem, żeście sprzedali sałatę, która była jej własnością... Ha, zresztą, mądrało, może mi powiesz, kiedyś taki przebiegły, jak podzielić jedenaście sous na trzy równe części? Spróbuj, ośle jakiś! No, macie tu każde po dwa sous i milczeć! Bierzcie prędko, bo się rozmyślę i schowam wszystko do kieszeni.

Bébert zmieszany wziął dwa sous. Lidia przysłuchiwała się kłótni drząc, gdyż bała się Jeanlina i spokojnie znosiła jego kaprysy, z uległością kochającej męża a często bitej żony. Gdy jej podał dwa sous, wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się przychlebnie. Ale Jeanlin rozmyślił się już.

— Ha, i cóż zrobisz z pieniędzmi? Matka zabierze ci je na pewno, bo nie potrafisz dobrze schować. Wiesz co, lepiej ja ci je przechowam. Gdy ci będzie potrzeba, powiesz mi.

I schował dziewięć sous do kieszeni. By zamknąć jej usta, objął małą i śmiejąc się przewrócił ją na ziemię. Próbowali oni już owej miłości, którą zabawiali się starsi. Przez szpary w drzwiach i ścianach podpatrywali, jak się to robi, i naśladowali potem ruchy dorosłych, kryjąc się po kątach. Wiedzieli już wszystko, nie mogli jednak dokazać niczego, próbowali nieraz całymi godzinami, bawiąc się jak młode psy. Jeanlin nazywał to zabawą *w ojca i matkę*, a ile razy brał ze sobą Lidię, dziewczyna nie posiadała się z radości. Drząc na całym ciele, instynktownie oddawała mu się, czasem nawet gniewając się już, ale zawsze czekając z utęsknieniem na to coś... do czego nigdy nie dochodziło.

Béberta nie dopuszczano do tej zabawy i ile razy chciał dotknąć Lidii, dostawał potężnego kuku w bok. Patrzył zły, rozgorączkowany, jak się tarzali po ziemi, nie zwracając nań wcale uwagi. Toteż największą przyjemnością było dlań, gdy mógł im przeszkodzić, przerazić ich, krzycząc, że ktoś ich widzi.

— Hej, jakiś pan się patrzy.

Tym razem nie kłamał, gdyż widział ich Stefan. Dzieci uciekły, a on obszedł parów i poszedł dalej drogą ponad kanałem, śmiejąc się ze strachu, jakiego tym występny malcom napędził. Wcześniej zaczynali, to prawda, ale jakże mogło być inaczej? Widzieli to ciągle dokoła siebie, słyszeli bez przestanku tłuste żarty i opowiadania. Chybaby ich trzeba uwiązać na łańcuchu. Ale nastroiło go to smutnie.

O sto kroków dalej napotkał znowu parę gruchającą. Znajdował się właśnie w Requilart, gdzie dziewczęta zabawiać się zwykły ze swymi kochankami. Było to miejsce zborne, pełne krzaków, zakątków, skąd przesuwaczki przynosiły sobie zawsze swe pierwsze dzieci.

Rozleciały się do reszty ogrodu starej kopalni i każdy miał teraz przystęp wolny na plac zarzucony gruzem i szczątkami starych szop, pośród których sterczały jeszcze szkielety wież szachtowych. Leżały tu stare, niezdatne do użytku wózki, stosy przegniłego drzewa, a bujna roślinność pokryła ten zakątek opuszczony. Rosła tu wysoka trawa i kępy młodych, ale silnych już drzewek. Każdej z dziewcząt było tu jak w domu, nie brakło dla nikogo ciemnych zakamarków, zresztą załatwiano się najspokojniej w świetle na stosach belek, za kupami gruzu, w wózkach, kładziono się obok siebie, tak że nieraz trącano się łokciami, ale każdy zajęty był sobą i nie zwracał uwagi na sąsiada. Tutaj właśnie, dokoła wygasłych pieców i szachtów znużonych wyrzucaniem węgla ze swych głębi, życie z podwójną siłą wrzało, kwitła wolna, żadnymi więzami nie skrzepowana miłość w łonach ledwie dojrzałych dziewcząt płodziła dzieci, nie troszcząc się o los, jaki je czeka, ślepa na ból i nędzę człowieka.

Na pustkowiu tym jednak mieszkał człowiek. Staremu Mouque'owi wyznaczyła Kompania dwie izdebki tuż pod starą wieżą szachtu grożącą ciągle zawaleniem. Mouque, zainstalowany jako dozorca, podparł część porysowanej powaly i zamieszkał tu z synem, drugą izbę oddawszy córce. Ponieważ w oknach nie było ni jednej całej szyby, pozabijał je deskami i chociaż teraz było ciemno, za to wiatr nie hulał po mieszkaniu. Zresztą Mouque nie dozorował niczego, karmił konie w kopalni, a o ruiny Requilart nie troszczył się wcale, bo i nie było potrzeby. Na całej przestrzeni dawnej kopalni utrzymywano w możliwym stanie sam tylko szacht, a to w tym celu, by służył za wentylator dla sąsiedniej w Voreux.

Mouque żył i starzał się tu, a wkoło niego kwitła miłość. Mouquette, ledwo skończyła jedenaście lat, uprawiać ją też poczęła z wielkim zamięłowaniem i zapalem zdumiewającym. Ale nie była ona już wówczas słabowitą, trwożną dziewczyną jak Lidia, rozrosła

Seks, Dzieciństwo,  
Obyczaje

się bardzo prędko i stanowiła od pierwszej chwili ponętny kąsek dla wąsatych, podrosłych chłopców. Ojciec nie miał nic przeciw temu, zwłaszcza, że Mouquette okazywała mu należny szacunek i nie wprowadzała nigdy do domu swych przygodnych kochanków. Zresztą nawykł do takiego stanu rzeczy. Ile razy szedł do Voreux lub stamtąd wracał, to znaczy ilekroć wychodził ze swej nory, musiał uważać, by nie nadeptać na jakąś parękę leżącą w trawie. Jeszcze gorzej było, gdy szedł po drzewo do kuchni lub kapustę dla królików na drugi koniec placu. Wówczas z trawy jedna po drugiej podnosiły się głowy wszystkich dziewcząt z Montsou, a stary bardzo uważać musiał, by nie potknąć się o jakąś nogę leżącą w poprzek ścieżki. Z wolna i Mouque, i dziewczęta nawykli wzajem do tych spotkań. Stary uważał już tylko, by nie upaść, i oddalał się cichym, dyskretnym krokiem jako człowiek doświadczony i pobłażliwy, dziewczęta zaś nie zadawały sobie nawet trudu przerywania zabawy na jego widok. Ale poznał w ten sposób wszystkie i one go poznały i były mu wdzięczne, że nie zwraca na nie więcej uwagi jak na sroki używające życia wśród gałęzi rozłożystych grusz po ogrodach. O ta młodość, jak ona umie się urządzać i korzystać z czasu! Tylko czasem, zwłaszcza wieczorem podnosił głowę i nadśluchiwał ze współczuciem, gdy któraś z rozkochanych dziewcząt zbyt głośno sapała i dyszała w zaroślach. Jedno go tylko gniewało. Oto jakaś para miała brzydkie przyzwyczajenie romansowania w sposób odmienny od innych i to pod murem jego domu. Nie przeszkadzało mu to zgoła do spania, tylko mur był bardzo lichey, a tręcali weń silnie, tak że za każdym razem trząsł się od podstaw. Mogło to kiedy jeszcze spowodować katastrofę.

Co wieczora przychodził przed kolacją do Mouque'a ojciec Bonnemort. Starcy niewiele z sobą mówili, przez cały ciąg półgodzinnej wizyty nie zamienili często i dziesięciu słów. Cieszyło ich samo to, że mogą widzieć się, dumać, przeżuwać stare wspomnienia, mówić już nie potrzebowali. Siadali na belce obok siebie, bąknęli czasem słowo i opuściwszy głowy zapadali w zadumę. Dokoła pieścili się kochankowie, rozlegały się pocałunki i śmiechy, falą bił w niebo zapach zdeptanej trawy i rozgrzanych miłosnymi uściskami ciał kobiecych. Obaj ongi wzięli tutaj swe żony w posiadanie. Przed czterdziestu trzema laty ojciec Bonnemort położył swą żonę na jednym wózku, gdyż była tak mała, że inaczej nie mógłby był jej posiąść. Ach, piękne to były czasy! Kiwali chwilę głowami i rozstawiali się zazwyczaj bez pożegnania.

Dziś jednak, właśnie w chwili gdy zjawił się Stefan, ojciec Bonnemort wstał z belki i odchodząc rzekł do swego przyjaciela:

— Dobranoc, stary!... Słuchaj no, a pamiętasz tę rudą?

Mouque przez chwilę milczał, potem wzruszył ramionami i zawracając do domu, mruknął:

— Dobranoc, dobranoc, stary.

Stefan usiadł na belce. Posmutniał jeszcze bardziej czegoś. Patrzył na zgarbione plecy starca, tak rozmownego dziś rano. Co za nędza!

A te upadające przez cały dzień pod ciężarem pracy dziewczęta. I po cóż wieczorem płodzą znowu dzieci, żer dla cierpienia i pracy nowy. Nie skończy się to nigdy, póki nie przestaną wydawać na świat ciągle nowych głodomorów. Lepiej by zrobiły ściskając kolana, gdy zbliża się kochanek niosący to nieszczęście. Dziwne obsiadły go myśli i to dlatego może właśnie, że sam był i nie miał z kim płodzić nędzarzów. Duszo było teraz, a wielkie krople poczęły mu padać na gorące ręce. Rozkosz opętała wszystkich, rozkoszy żądza silniejsza jak rozum.

Siedział tak bez ruchu w cieniu, aż nagle przeszła mimo niego jakaś para.

Kochankowie szli od Montsou, dziewczyna była widocznie jeszcze dziewicą, gdyż gorącym szeptem tłumaczyła coś i opierała się mężczyźnie, który ją ciągnął pod starą szopę, gdzie na ziemi leżała kupa zbutwiałych lin. Była to Katarzyna z Chavalem. Ale Stefan ich nie poznał i mimo woli ogarnięty zmysłowością poczał śledzić, jak się to skończy. I po cóż było ratować dziewczynę, po co przeszkadzać, wszak często dziewczęta mówią... nie, właśnie gdy mają największą ochotę.

Katarzyna, wyszedłszy z domu, poszła gościńcem ku Montsou.

Od dziesiątego roku życia, to jest od chwili gdy poczęła pracować w kopalni, zażywała nieograniczonej swobody, chodziła sama wszędzie, jak zresztą wszystkie dziewczęta w jej wieku, a nie oddała się dotąd żadnemu mężczyźnie jedynie dlatego, że była nikła, płciowo nie dojrzała, przeto żaden nie uczuł do niej pociągu. Doszedłszy do stolarń Kompanii,

Bieda, Cięża, Dziecko

przeszła drogę i wstąpiła do pewnej praczki, pewna, że tam zastanie Mouquette, gdyż w domu tej praczki był rodzaj kasyna, gdzie od rana do wieczora różne kumoszki fundowały sobie wzajem kawę i robiły plotki. Ale spotkało ją rozczarowanie. Kolej fundowania przyszła właśnie na Mouquette i dziewczyna tak się wyszastała, że obiecanych dziesięciu sous nie mogła pożyczyć Katarzynie. Daremnie starała się ją pocieszyć, traktując szklanką gorącej kawy, ale Katarzyna sama nie chciała, by Mouquette zadłużyła się u innych dla niej.

Szybko więc wyszła i zwróciła się ku domowi. Właśnie gdy mijała ostatnie domy Montsou, pod gospodą Piquetta spotkała Chawała.

— Hej, gdzież to tak biegniesz? — spytał.

Wydał jej się wstrętny, zwłaszcza dziś, gdyż nie miała ochoty z nim rozmawiać.

— Wstąp na kieliszek słodkiej... na jeden kieliszek tylko!

Odmówiła. Poczyna się ściemniać, czekają na nią w domu. Zbliżył się i stojąc na środku drogi począł ją namawiać półgłosem. Od dawna już chciał ją skłonić, by poszła z nim do jego stancjki na pierwszym piętrze gospody Piquette'a, gdzie było łóżko w sam raz na dwoje. Ale zawsze wzbraniała się, bała się go. Teraz roześmiała się i przyrzekła, że pójdzie w owym tygodniu, kiedy to żadna dziewczyna nie może być zapłodniona. Od słowa do słowa wygadała się nareszcie, że nie może sobie kupić wstążki, bo nie ma pieniędzy.

— Ależ ja ci kupię! — zawołał.

Zarumieniła się, czując dobrze, że powinna odmówić. A jednak opanowała ją teraz właśnie żądza posiadania wstążki. Przyjęła więc pod warunkiem, że mu zwróci pieniądze. Począł żartować i powiedział, że albo pójdzie do niego na noc, albo zwróci dziesięć sous. Ale gdy namawiał, by poszli do Maigrata, nasunęła się nowa trudność.

— Nie, nie do Maigrata! Matka zakazała mi tam chodzić.

— Głupstwo, nie powiesz, gdzieś kupiła, i koniec. Maigrat ma najładniejsze wstążki w całym Montsou.

Maigrat poczerwieniał, ujrawszy Katarzynę z Chawałem w roli dwojga kochanków kupujących podarunki ślubne i pokazywał wstążki z wściekłością człowieka, z którego sobie zadrwiono. Potem, gdy wyszli ze sklepu, śledził za nimi, póki nie znikli w zmierzchu. Właśnie zjawiła się jego żona, prosząc o jakieś wyjaśnienie. Napadł na nieboraczkę, zbieszał ją wrzeszcząc, że ta hołota nie poczuwająca się do wdzięczności popamięta sobie go i zginie z głodu, choćby leżała w prochu i lizała jego trzewiki.

Chawal siedł obok Katarzyny z rękami na piersiach skrzyżowanymi i kierował ją biodrem tylko, tak, że tego nie zauważyła. Nagle spostrzegła, że zeszedli z drogi i znaleźli się na ścieżce wiodącej do Requillart. Ale nie dał jej czasu na gniewanie się, objął ją wpół i wszystkie zarzuty i wahania zbijał silnymi argumentami szeptanymi do ucha.

Jakaż głupia, że się go boi. Czyż mógłby zrobić coś złego takiemu słodkiemu małżeństwu, istocie delikatnej i miękkiej jak jedwab. Pocałował ją w kark tuż za uchem, aż zadrżała na całym ciele. Dławiło ją w gardle i nie wiedziała, co mówić. Więc to prawda, kocha ją. W sobotę w nocy zgasiwszy świecę zadała sobie właśnie pytanie, co by się stało, gdyby ją tak objął. Zasnęła zaraz, ale pamiętała, że nie postanowiła wówczas powiedzieć: nie.... ogarnięta żądzą miłości. I czemuż teraz odczuwa na tę samą myśl wstręt i wyrzuty sumienia? Łaskotała ją po karku wąsami. Czy jej się same zamknęły i nagle zjawił się przed nią ów człowiek, ów przesuwach, którego rano zgodził ojciec do roboty.

Obejrzała się dokoła. Chawal zaprowadził ją do ruin Requillart pod szepę, której szkielet czarny przejął ją dziwnym strachem.

— O, nie, proszę cię... puść mnie!

Ogarnął ją instynktowny strach przed mężczyzną, strach, który ściąga kurczowo muskuły dziewczyny za zbliżeniem się zdobywcy-mężczyzny, wówczas nawet, gdy go kocha. Dziewictwo jej, mimo że wiedziała wszystko, wzdrygało się wobec ciosu ostatecznego, wobec bólu nieznanego, zranienia mającego nastąpić.

— Nie, nie chcę! Mówię ci, jestem jeszcze za młoda... Później, gdy dojrzeję... to dobrze... ale nie dziś!

Zamruczał głucho.

— Głupia!... Nie bój się... nic ci nie zrobię.

Przestał mówić, chwycił ją i obalił na ziemię. Padła plecami na stos leżących tam przegniłych lin. Nie bronila się i oddała mu się z pokorą odziedziczoną po przodkach,

z uległością, która nakazywała niedojrzałym dziewczętom oddawać się w biały dzień na polu w zbożu. Głos jej ucichł, słysząc było teraz już tylko gorący, chrapliwy oddech mężczyzny.

Stefan nadłuchiwał nieporuszony. Jedna więcej... mniejsza z tym.

Teraz, gdy widział całą komedię, doznawał niemiłego uczucia, jakieś opanowało go zazdrosne podniecenie graniczące z wściekłością. Nie zważając na kochanków wstał i przeskoczył stos belek. Byli oni zresztą w tej chwili zbyt zajęci, by sobie z niego coś robić. Uszedł ze sto kroków i obejrzawszy się ze zdumieniem spostrzegł, że załatwili się już i idą w tę samą stronę, ku kolonii robotniczej. Mężczyzna objął znowu ramieniem kochankę, tulił ją do siebie jakby z wdzięczności, szeptał jej ciągle do ucha, a ona nagliła, śpiesząc do domu nierada, że się spóźniła.

Stefan uczuł chęć spojrzenia im w oczy. Głupia to była chęć, toteż przyśpieszył kroku, by jej nie ulec. Ale nogi same wypowiedziały mu posłuszeństwo, przystanął przy pierwszej latarni na drodze i skrył się w cieniu. Zakreśliło mu się w głowie, gdy poznał Katarzynę i Chavala, i zatoczył się. Nie chciał wierzyć oczom. Więc to była Katarzyna, którą po męsku ubraną widział w kopalni? Jakże się to stało, że jej nie poznał przedtem? Tak, to była ona, nie zapomniał przecież jej zielonych, przezroczystych i głębokich jak woda oczu. Poczuł, że ogarnia go żądza zemsty a zarazem pogarda dla niej. Dziewka rozpustna!

Katarzyna i Chaval minęli go, nie widząc, że na nich patrzy.

Chaval pod latarnią pocałował ją w kark, a dziewczyna zaśmiała się nerwowo i zwolniła kroku. Stefan miał teraz drogę zamkniętą, musiał iść za nimi i patrzeć na pieszczoty, które go doprowadzały do wściekłości. Więc mówiła prawdę, dziś rano jeszcze była dziewicą, a on, osioł, nie wierzył i wahał się zrobić to, co zrobił teraz drugi. Dał sobie dziewczynę zdmuchnąć sprzed nosa, a co więcej, zrobił jeszcze to głupstwo, że zabawiał się przyglądaniem wszystkim szczegółom swej kłęski. Wzbierała w nim wściekłość, ścisnął pięści, chciał się rzucić na przeciwnika, a czerwone płaty latały mu przed oczyma.

Przechadzka trwała pół godziny. Kochankowie, zbliżywszy się do Voreux, zwolnili jeszcze kroku, przystawali dwa razy nad kanałem, rozmawiając i dając sobie pieszczotliwe przezwiska. Stefan musiał też zatrzymać się z obawy, by nie być poznanym. Teraz wmawiał w siebie już tylko brutalny żal. Ma nauczkę, by drugi raz nie krępował się wobec dziewcząt! Gdy minęli Voreux, mógł już swobodnie pójść do Rasseneura na kolację, ale nie zrobił tego i poszedł dalej za nimi, aż do kolonii, czekał jeszcze z kwadrans w cieniu, aż Chaval puścił kochankę i pozwolił jej wejść do domu, i dopiero upewniwszy się, że nie są już razem, ruszył z powrotem. Szedł bez myśli, bez celu i opamiętał się aż gdzieś daleko na pół drogi do Marchiennes.

Dopiero około dziewiątej wrócił, przypomniał sobie, że musi coś zjeść i pójść spać, jeśli jutro ma wstać o czwartej. Kolonia spała, ani jedno światło nie błyskało przez otwory okiennic, w cieniu zapadły długie szeregi domów, z których dolatywało miarowe chrapanie śpiących. Napotkał tylko kota, który uciekł w puste ogrody. Dzień się skończył. Wyczerpani pracą ludzie po kolacji rzucili się od razu do łóżek, tylko u Rasseneura siedzieli u stołu maszynista i dwaj robotnicy dzienni. Stefan, nim wszedł, jeszcze raz ogarnął spojrzeniem czarny horyzont. Wyglądał teraz znowu jak rano. Przed nim jak zwierzę przyczajony leżała Voreux, na której czarnym cielsku błyszczał tu i ówdzie żółty punkt latarni. Trzy ogniska węglowe na wzgórzu paliły się znowu, jak czerwone księżycy, a na tym tle rysowała się chwilami ogromna sylwetka ojca Bonnemort i jego konia. Dalej nie było widać nic. Znikło Montsou, Marchiennes, las Vandames, olbrzymia płaszczyna pól buraczanych i pszenicznych i tylko w dali piec wapienne tliły czerwono, a niebieskawo baterie koksowe. Noc zapadła i począł mżyć drobny, monotony deszcz, szmerem kropel napełniając tę pustkę i nicość, z której dochodziło tylko głośnie, ciężkie sapanie pompy pracującej dniem i nocą bez przestanku.

Zazdrość

## CZĘŚĆ TRZECIA

### I

Stefan co dnia wstawał o trzeciej i szedł do pracy. Przyzwyczał się do niej, uregulował wedle tego swe życie, porzucił dawne nawyczki i nie wydawała mu się ta praca teraz tak ciężka, jak dnia pierwszego. Monotonie życia przerwała mu tylko słabość. W pierwszych dwu tygodniach zapadł na gorączkę i musiał przez dwa dni leżeć w łóżku. Bolały go wszystkie członki, głowa pałała i zwidywało mu się, że pcha wózek chodnikiem zbyt ciastnym, którego przejeść jego ciało nie może. Było to frycowe, skutek nadmiernego wysiłku i przemęczenia. Ale przyszedł rychło do siebie.

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Jak inni budził się o trzeciej, wypijał kawę, brał przygotowaną przez panią Rasseneur kanapkę i szedł, co rano regularnie spotykając Bonnemorta, który szedł spać, i Bouteloupa udającego się do kopalni, gdy wracał po południu do domu. Nosił jak inni czapkę górniczą, spodnie i kaftan płócienny, marzył jak oni i grzał się przy piecu w ogrzewalni, czekał boso przed okienkiem biura, czując w kościach łamanie od przeciągu. Tylko nie zwracał już uwagi na połyskującą jak srebro maszynę, czarne, cicho jak sowy przelatujące klatki, nie słyszał zgrzytu sygnałów, wrzasku podawanych rozkazów i szczęku wózków o szyny. Przeklęty lampista źle czyścił jego lampę, było mu to obojętne, a z odrętwienia budził się jedynie, gdy młody Mouquet wypychał ich do klatki klepiąc dziewczęta po pośladkach. Klatka odczepiała się i spadała w głąb jak kamień, a Stefan nie podniósł nawet głowy, by spojrzeć, jak znika światło dzienne. Nie przyszło mu nawet na myśl, że może zdarzyć się wypadek. Oswoił się też zupełnie z wodą bijącą o dach i ciekącą mu na głowę. Wsiadali potem wypuszczeni przez Pierrona i szli gęśiego na miejsce pracy ociężałym krokiem. Co dnia tak było.

Stefan znał teraz lepiej wszystkie chodniki, jak ulice Montsou, wiedział, gdzie się nachylić, przeskoczyć kałużę, i owe dwa kilometry pod ziemią mógł teraz przebyć bez lampy z rękami w kieszeniach. Spotykał ciągle te same postacie. To dozorcę, oświecającego w przechodzie twarze górników, to ojca Mouque'a wiodącego konia, to Béberta biegnącego za parsającym siwkim Bataille, to znów zamykającego wentyle Jeanlina, chudą Lidię lub tłustą Mouquette.

Przyzwyczał się też do wilgoci i zaduchu. Komin wiodący do sztolni wydawał mu się teraz wygodny, jak gdyby on sam skurczył się i mieścił teraz tam, gdzie przedtem nie mógł włożyć ręki. Wdychał pył węglowy bez szkody, widział w ciemności, pocił się w spokoju ducha i nauczył się chodzić przez pół dnia w mokrej odzieży. Nie marnował teraz sił i nabył wprawy, której dziwili się jego współkoledzy. Po trzech tygodniach był najlepszym przesuwaczem kopalni i nikt mu nie mógł sprostać w szybkości i wzorowym napełnianiu wózków. Szczupłym i małym będąc, mógł się wszędzie przecisnąć, a białe jego, kobiece ręce stalowymi się zdały przy robocie. Nie skarżył się nigdy, choć upadał ze zmęczenia. Był na to za dumny. Zarzucano mu tylko, że nie zna się na żartach i wpada w wściekłość za lada słowem. Był teraz przyjęty na stałe i pracował w owym kieracie mechanicznej pracy, tracąc co dnia po atomie swej indywidualności.

Maheu polubił serdecznie zdolnego robotnika. Zresztą jak inni poznał, że Stefan ma wyższe wykształcenie. Widział, jak czyta, pisze, rysuje plany, słyszał go, gdy opowiadał o rzeczach, których istnienia nawet nie przypuszczał. To go nie dziwiło, wiedział bowiem, że górnicy są głupszy od maszynistów, zastanowiła go natomiast odwaga tego chłopca, stanowczość, z jaką jął się górnictwa, by nie zemrzeć z głodu.

Gdy szło o stemplowanie, a hajer nie chciał się odrywać od pracy, brał się do tego Stefan i robił dużo lepiej. Ojciec Maheu ciągle dręczył się tym przeklętym stemplowaniem, bał się, że każdej chwili zjawić się może Négrel, Dansaert, dozorca i że poczną kłąć i wrzeszczeć. Była to istna plaga. Ze zdumieniem przekonał się, że Stefan potrafi prędzej zadowolić tych panów, choć nie chwalili nigdy, zawsze wykrzykując pogroźkę o płaceniu oddzielnym za stemplowanie. Trwało to już dość długo, w kopalni wrzała teraz głucha niechęć, sam nawet rozsądny Maheu począł wreszcie zaciskać pięści.

Zrazu Stefan był na bakier z Zachariaszem, przyszło nawet do pogrózek, ale Zachariasz, chłopiec dobroduszny, żartował tylko i wnet przy szklance piwa zawarli obaj przyjaźń, a Zachariasz uznał wyższość Stefana. Inaczej było z Chavalem. Od razu poznajomili

Praca

Zazdrość

się i nie gadali sobie głupstw, ale została na dnie tego stosunku cicha nienawiść i nawet żartując, mierzyli się wzrokiem jak dwaj wrogowie. Katarzyna pracowała jak dawniej z uległością nikłej dziewczyny, pchała wózek, uprzejma dla Stefana, uległa wobec kochanka, którego karesy przyjmowała teraz jawnie wobec wszystkich. Stosunek ten został milcząco zatwierdzony. Chaval co wieczora szedł z Katarzyną do Requillart, a potem odprowadzał ją do kolonii, całując w oczach wszystkich. Stefan uspokoił się też i drażnił się z dziewczyną, używając ordynarnych wyrażen przyjętych w kopalni. Odpowiadała w tym samym tonie, a czasem posuwała się nawet dalej i opowiadała, co robi z nią kochanek. Gdy jednak Stefan spojrzał jej w oczy, mieszała się, bladła, po czym oboje odwracali się od siebie, po całych godzinach nie rozmawiając i czując do siebie nienawiść z powodu czegoś, o czym nie mówili, a co leżało na dnie ich dusz.

Nastala wiosna. Za każdym wyjściem z kopali Stefan wciągał teraz w piersi wonną falę powietrza przesiąkniętego zapachem kielkujących pędów, co dnia wonniejszą falę budzącego się życia, które nie przenikało tam, gdzie pracował, do krainy zimy, ciemności i wilgoci wiekuistej nie umajonej nigdy latem, nie ogrzanej słońcem. Dni stały się dłuższe.

W maju już przy świetle dziennym spuszczał się Stefan do szachtu, żegnając wzrokiem lunę wschodu, od której różowiła się biała para buchająca z maszyny. Przestali wszyscy dygotać z zimna, po równi szła ciepła fala, a skowronki śpiewały na niebie. Potem o trzeciej widziało się już słońce, pałał cały horyzont, jaskrawiło wszystko kolorami mimo dymu i pyłu węglowego. W czerwcu kołysały się łany pszenicy, odbijając matową zielenią od ciemnego seledynu łąk i pól burakowych. Było to morze bezbrzeżne chybotające się za łada powiewem, a Stefan za każdym wyjazdem z kopalni widział różnicę w dojrzewaniu kłosów. Topole wzdłuż kanału pokryły się liśćmi, trawa osłoniła do połowy wał zypiska węglowego, na łąkach zakwitły kwiaty, rozbijało się życie, a tylko tam w głębi ziemi ciągle rozlegały się westchnienia nędzy i wyczerpania.

Stefan teraz nie ploszył par miłosnych, gdy przechadzał się po Requillart. Widział ślady ich stóp na polach pszenicznych, a gniazdko rozpustników zdradzało kołysanie się dojrzewających już kłosów i czerwonego maku. Zachariasz z Filomeną przenieśli się także do pszenicy, a w ślad za nimi Lidia z Jeanlinem. Brûlé chodziła za Lidią bez przestanku, plosząc nieraz swawolników, którzy tak byli zagłębieni w swej zabawie, że trzeba było niemal nastąpić na nich, nim zdecydowali się na ucieczkę. Mouquette zwłaszcza używała jak ryba w wodzie. Gdzie się spojrzało, widać było wśród zboża jej głowę, która potem znikwała, a ukazywały się nogi sterczące w górę. Stefan spoglądał na to wszystko pobłażliwie, znieść tylko nie mógł widoku Chavala i Katarzyny. Dwa razy widział ich leżących w zbożu, na którego żdźbła pogniecione patrzył potem z wściekłością. Raz znowu idąc wąską ścieżyną wśród pól, ujrzał poprzez kłosa oczy Katarzyny, które nagle znikły. Wówczas wydało mu się za ciasno na tej równi ogromnej, zawrócił i poszedł do Rasseneura, by tam spędzić wieczór.

— Pani Rasseneur, proszę o kufelek — powiedział — — dziś nie wyjdę już, czuję się zmęczony.

Zwrócił się do towarzysza siedzącego zazwyczaj w kącie z głową o ścianę opartą.

— Souvarine.... napijesz się?

— Dziękuję, nie pijam wcale.

Stefan poznał się z Souvarinem, gdyż zajmował sąsiedni pokój w gospodzie Rasseneura. Był on maszynistą w Voreux, miał około trzydziestu lat, był szczupły, włosy miał długie, jasne, drobne rysy twarzy i małą bródkę. Wyglądał z twarzy jak dziewczyna, ale w oczach jego tlił płomień dziki, luskający czasem jak stal. W ubogim jego pokoju stała tylko paka z papierami i książkami. Był Rosjaninem, nie mówił nigdy o sobie i nie troszczył się o to, co ludzie o nim mówią. Górnicy, widząc jego białe, delikatne ręce, domyślali się, że pochodzi z wyższego stanu i puścili zrazu plotkę, że skutkiem jakiegoś wypadku, morderstwa może, uciekł ze swej ojczyzny. Ale podbił ich niebawem przyjacielskim obejściem, rozdawaniem drobnej monety między dzieci i niebawem legenda o nim przybrała inną postać. Uważano go teraz za przestępcę politycznego, który schronił się tutaj przed nagonką władz. Lubiano go bardzo i okazywano mu wielki szacunek.

W pierwszych tygodniach stronił od Stefana i później dopiero przy jakiejś okazji opowiedział mu historię swego życia. Był potomkiem ostatnim szlacheckiej bogatej rodziny z guberni tulskiej. W Petersburgu, gdzie studiował medycynę, stał się zwolennikiem so-

Rosjanin

cialnej demokracji i jak bardzo wielu synów rodzin zamożnych wyuczył się rzemiosła, by iść między lud uświadamiać i agitować. Teraz po nieudanym zamachu na cara zmuszony był utrzymywać się ze swego rzemiosła. Raz mieszkał przez miesiąc w piwnicy handlarza owocami i kopał tunel pod ulicą w celu założenia miny. Żył tak w ciągłym niebezpieczeństwie, pod grozą wylecenia wraz z domem w powietrze. Rodzina go odepchnęła, bez pieniędzy więc, na pół zgłodzony chciał wstąpić do francuskich warsztatów rządowych, ale nie przyjęto go, posadzając, iż jest szpiegiem. Dopiero w Montsou, gdy raz chwilowo brakło maszynisty, dostał miejsce. I odtąd pracował na przemian w dzień i w nocy co drugi tydzień, a przełożeni stawiali go za wzór innym.

— Nie chce ci się nigdy pić? — spytał ze śmiechem Stefan.

— Piję przy jedzeniu.

Stefan poczał go drażnić — zaręczał, że widział go w zbożu z pewną przesuwaczką. Wzruszył ramionami z zupełną obojętnością... Z przesuwaczką? A to na co? Kobiętę, o ile była odważna i miała charakter, uważał za kolegę, przyjaciela, jeśli nie, nie wdawał się z nią. I na cóż obciążać sumienie podłym uczynkiem! Nie uznawał żadnych węzłów trwałych, ni rodzinnych, ni żadnych innych, chciał się czuć wolnym w całym tego słowa znaczeniu.

Każdego wieczora, gdy opróżnił się pokój gościnny, Stefan rozmawiał poufnie z Souvarinem. Stefan pił piwo, maszynista palił bez ustanku papierosy, od których położył mu już palce. Wzrokiem śledził chmury dymu, a lewa jego ręka szukała dla siebie nerwowo oparcia. Zazwyczaj brał na kolana wielką, zawsze niemal ciężarną królicę, którą nazwał *Pologne*<sup>24</sup>. Zwierzątko zaprzyjaźniło się z nim do tego stopnia, że, gdy się tylko ukazał, biegło, obwachiwało jego spodnie, stawiało na tylnych nogach i skrobało pęty pazurami, aż je wziął na kolana. Potem przytulone doń zasypiało najspokojniej, a Souvarine mimowolnym ruchem gładził jedwabistą szarą sierść.

— Wiecie, dostałem list od Plucharta — rzekł jednego wieczora Stefan.

Prócz nich i Rasseunera nie było nikogo. Wszyscy górnicy poszli już spać.

— Ach! — wykrzyknął gospodarz i przybiegł do swych lokatorów. — I cóż pisze?

Od dwu miesięcy Stefan prowadził z nim ożywioną korespondencję, a Pluchart uczył go, jak ma agitować pośród robotników w Voreux.

— Pisze, że związek prosperuje doskonale. Mnóstwo robotników wpisuje się ciągle.

— I cóż ty na to? — spytał gospodarz Souvarina.

— Ot niewinne głupstwo! — odpowiedział, gładząc czule łeb *Pologne*.

Stefan zaperzył się. Był nowicjuszem, zapalonym, a mało czytany neofita. Idzie tu przecie o olbrzymi związek robotników całego świata, o młodą a słynną już Międzynarodówkę niedawno założoną w Londynie. To nie głupstwo, to początek walki, którą uwieńczy zwycięstwo sprawiedliwości. Upadną szranki dzielące proletariat różnych narodowości, stan robotniczy całego świata powstanie i zażąda chleba, na który zarabia swą ciężką pracą. Co za prosta a cudna w swej prostocie gigantyczna organizacja. Oparta jest na zasadzie sekcji reprezentujących gminy, potem federacja obejmuje wszystkie sekcje danej prowincji, potem grupa narodu całego, a na szczycie rada naczelna, w której każda narodowość ma swego sekretarza. Nie minie i sześć miesięcy, a socjaliści zdobędą świat, podyktują prawa pracodawcom i złamią opornych.

— Głupstwo! — powtórzył Souvarine. — Wasz Karol Marx wierzy w mechaniczne działanie sił przyrodzonych. Potępia wszelką politykę, spiski... prawda? Wszystko ma się odbywać jawnie... i cała korzyść, to podwyższenie płac?... Mówię wam, niech piorun trzaśnie w tę waszą rewolucję! Podpalcie świat na czterech rogach, usuńcie z ziemi połowę ludzkości, potem drugą połowę, zniszczcie wszystko, a gdy z tego świata nie zostanie nic, to może na gruzach jego powstanie lepszy!

Stefan roześmiał się. Nie rozumiał, o co idzie Souvarinowi, i sądził zawsze, że mówi tak dla samego tylko efektu. Rasseneur także pragnął tylko rzeczy możliwych, chciał nawet, by się wszystko odbyło spokojnie, cicho, jak przystało pragnąć człowiekowi dobrze się mającemu. Toteż wzruszał ramionami. Chciał tylko wyklarować i poprawić to, co złe.

— No i cóż? Może zechcesz założyć w Montsou sekcję?

Tego właśnie chciał Pluchart, który był sekretarzem federacji północnej. Wskazywał na specjalne korzyści, które by odnieśli górnicy w razie strajku. A zdaniem Stefana strajk

Społecznik

Rewolucja, Walka klas,  
Idealista

<sup>24</sup>*Pologne* (fr.) — Polska.

mógł wybuchnąć lada dzień. Sprawa oddzielnego płacenia za stemplowanie skończyć się dobrze nie może. Wystarczy jeden jeszcze krok Kompanii w tym kierunku, a wszystkie kopalnie staną.

— Najwięcej kłopotu będzie ze składkami — począł poważnie Rasseneur.

— Cóż to jest pięćdziesiąt centimów rocznie na fundusz rezerwowy, a dwa franki do sekcji! A jednak obawiam się, że wielu nie zapłaci i tego.

— Tym bardziej — dodał Stefan — że wprawdzie powinniśmy tu założyć kasę wsparć, którą by można zamienić w danym razie na kasę strajkową. Zresztą pomyślimy nad tym... Ja jestem gotów... ale co powiedzą inni?

Przez otwarte drzwi słychać było zgrzyt łopaty, którą palacz w Voreux zgarniał pod kocioł węgle. Stojąca na bufecie lampa kopciła.

— Wszystko takie drogie! — odezwała się pani Rasseneur, która weszła przed chwilą. Wciąż ubrana w swą czarną suknię wydawała się wysoka niezmiernie.

— Czy uwierzycie... płaciłam dziś jaja po dwadzieścia dwa sous! Musi przyjść do krachu, tak być nie może.

Rewolucja

Na to zgodzili się wszyscy. Każdy czynił swe uwagi, wyliczano krzywdy. Rewolucja nie poprawiła losu robotnika, przeciwnie powiększyła jego nędzę, a burżuazja pasie się od roku 1789 zagarniając ostatnie kęsy biedaków. Trudno doszukać się jednego punktu, gdzie by robotnik korzystał z należnych mu praw, miał udział w bogactwach nagromadzonych w ostatnich stu latach. Zadrwiono z nich, ogłaszając ich za wolnych obywateli. Nie wystarcza prawo wybierania posłów, którzy potem opływają we wszystko, nie troszcząc się o nędzarzy więcej jak o stare trzewiki. Nie, tak czy owak koniec temu położyć trzeba, wszystko jedno czy pokojowo, czy przez anarchię. Niechby się świat spalił, a człowiek pożarł człowieka. Dzieci chyba dożyją i doczekają się lepszej doli. Trudno pomyśleć, by wiek ten nie miał ujrzeć wielkiej rewolucji, prawdziwej rewolucji, która by oczyściła społeczeństwo od podstawy do wierzchołka i urządziła je lepiej, sprawiedliwiej.

— Musi przyjść do krachu! — powtórzyła pani Rasseneur stanowczo.

— Tak, tak — zawołali wszyscy trzej — musi przyjść do krachu.

Souvarine pogłaskał znów łeb Pologne, która aż nos kurczyła z rozkoszy, i zapatrzony gdzieś w dal, rzekł półgłosem:

— Czyż można podnieść płace? Jakże wyłamać się spod żelaznego prawa płacy, mocą którego ustanowione są na minimum i wystarczają ledwo na to, by robotnik miał suchy chleb i mógł płodzić dzieci. Jeśli spadną poniżej tej normy, robotnicy giną z głodu, a popyt za nowymi podnosi znowu płace. I znowu gdy dojdą do pewnej wysokości, podaź robotników obniża je na powrót do normalnej stopy. Jest to niewzruszona równowaga głodomorów, przekleństwo przymusowej pracy.

Ilekcję Souvarine zapomniał się i wygłaszał takie zdania teoretyczne, wprawiał tym w wielkie zakłopotanie Stefana i Rasseneura, którzy nie umieli mu odpowiedzieć.

— Widzicie więc — dodał, spoglądając na nich — że trzeba pierwej wszystko zniszczyć. Tak, nie ma innej rady. Ziemię należy obmyć krwią i oczyścić ogniem! Potem... zobaczymy!

— Pan ma słuszość! — potakiwała pani Rasseneur, mimo swego radykalizmu rewolucyjnego osoba nader ugrzecznioma.

Stefan zawstydzony, nie mogąc sprostować Souvarinowi, przerwał dyskusję. Powstał i rzekł:

— Chodźmy spać. Wszystko to nie zmienia faktu, że muszę wstać o trzeciej.

Souvarine odrzucił niedopałek papierosa, ujął grubą królicę ostrożnie pod brzuch i postawił na ziemi.

Rasseneur zamknął drzwi wejściowe i rozeszli się, ważąc w głowach myśli.

Co wieczora toczono takie rozmowy w pustej izbie. Stefan, siedząc godzinę nad jednym kuflem, słuchał i myślał, i myślał, a drzemające w nim idee budziły się i nabierały wyraźnych kształtów. Poczł chęć do czytania i zwrócił się do sąsiada z prośbą o książki. Ale na nieszczęście Souvarine miał niewiele francuskich, a same prawie tylko niemieckie i rosyjskie. W końcu dostał dzieło o stowarzyszeniach spółdzielczych, które zresztą Souvarine skwalifikował jako *głupstwo*. Prócz tego pilnie czytywał pismo, które abonował jego sąsiad. Była to „Walka”, anarchistyczny tygodnik wychodzący w Genewie. Souvari-

ne był ciągle jednak zamknięty w sobie, zobojętniały na wszystko, jakby życie było dlań rzeczą uboczną. O czym rozmyślał, odgadnąć było trudno.

W pierwszych dniach lipca zaszła znaczna zmiana w położeniu Stefana. Zdarzyło się coś, co przerwało monotonię życia górników. Oto hajerzy w sztolni Wilhelma natrafili na pusty chodnik, co dowodziło, że w tej stronie węgla spodziewać się już nie można. Stało się to pewnością po kilku dniach, ku wielkiej konsternacji inżynierów. Cała kopalnia nie mówiła o niczym innym. Pokład musiał w tym miejscu załamywać się i iść gdzieś poniżej chodnika, w kierunku przeciwnym. Starzy hajerzy rzucili się na jego poszukiwanie jak gończe psy, ale tymczasem robotnicy rąk założyć nie mogli, dykcja przeto ogłosiła submisyjną licytację akordów w innym pokładzie. Jednego dnia po wyjściu z kopalni ojciec Maheu zaproponował Stefanowi, by przystąpił z nim do spółki jako hajer na miejsce Levaque'a, który zgodził się do roboty gdzie indziej. Sprawę załatwiono i uzyskano zgodę dozorczy i inżyniera, którzy byli ze Stefana bardzo zadowoleni.

Tęgo samego wieczora udali się do kopalni, by przeczytać ogłoszenie. Przeznaczone do licytacji partie leżały w pokładzie Filonnière i nie wydawały się korzystne. Stefan czytał, a stary potrząsał głową. Gdy nazajutrz zjechali i oglądali nowy chodnik, Stefan zwracał uwagę ojca Maheu na oddalenie jego od szachtu, na kruchość sklepienia, twardość węgla, małą objętość żyły. Ale należało pracować dla chleba, więc następnego dnia stanęli do licytacji w ogrzewalni. Zastali tu już paruset robotników natłoczonych przed małą estradą, na której zasiedli inżynierowie i dozorczy. Licytacja odbywała się tak prędko, że słychać było tylko głuchoe warczenie głosów, wykrzykiwanie cyfr, przygłuszane nowymi wykrzykami i nowymi cyframi.

Czas jakiś drżał ojciec Maheu na myśl, że nie złapie ani jednego z licytowanych miejsc. Współzawodnicy zbijali do niemożliwości ceny, podkupywali się wzajem przerażeni kryzysem przemysłowym i myślą, że braknie im pracy. Widząc natłok, inżynier Négrel nie śpieszył się, pozwalał cenom spadać jak najniżej, a pomocnicy jego obchodzili grupy, opowiadając o doskonałości licytowanych miejsc. Ojciec Maheu, by dostać swe pięćdziesiąt metrów sztolni, musiał stoczyć o to zaciętą walkę z przeciwnikiem, który również uparł się na to miejsce. Obaj współzawodnicy opuszczali po centymie z ceny wózka, a gdy wreszcie zwyciężył Maheu, uczuł, że go za łokieć pociąga dozorca Richomme i usłyszał jego gniewny szept, którym mu tłumaczył, że przy postawionej cenie w żaden sposób na swoje wyjść nie będzie mógł.

Gdy odchodzili, Stefan kłął, a gniew jego wybuchnął całą siłą, gdy zobaczył Chavala wracającego z Katarzyną z pszenicy, gdzie się zabawiali, podczas gdy teść *in spe* musiał walczyć ciężko o chleb dla nich wszystkich.

— Psiakrew! — krzyknął Stefan. — To ostatnie łotrostwo! Puszczają robotników wzajem na siebie jak dzikie zwierzęta, by się gryzły na śmierć.

I Chaval zaperzył się i przysięgał, że na miejscu ojca Maheu i jego konkurenta nigdy by nie licytował cen. Nadbiegł z ciekawości i Zachariasz i oświadczył, że to jest podle, ale przerwał mu Stefan, wołając gwałtownie:

— To się wnet skończy! Przyjdzie dzień, kiedy staniemy się panami sytuacji... zobaczcie!

A Maheu, który od chwili ukończenia licytacji ust nie otworzył, zbudził się jakby z ciężkiego snu i powtórzył:

— Panami... Do kroćset tysięcy! Już czas najwyższy!

## II

W ostatnią niedzielę lipca przypadało święto górników. Już w sobotę wieczorem wymyły gospodynie kolonii podłogi i ściany swych mieszkań, wylały ogromne ilości wody, a potem mokre jeszcze deski posypały białym piaskiem, co było istnym zbytkiem dla biedaków. Zbliżyło się południe, upał rósł z każdą chwilą, a powietrze stawało się ciężkie, dławilo w gardle. Bezdrzewne równie Francji północnej nie znają innego lata.

W święto wstawano u Maheuów późno. Sam Maheu wprawdzie zrywał się już o piątej i ubierał, ale dzieci wylegiwały się do dziesiątej. Maheu szedł do ogrodu, palił fajkę i czekając na dzieci, zazwyczaj sam jadł śniadanie. Ranek mijał w ten sposób niepostrzeżenie. Dziś Maheu naprawił ciekącą wannę i przylepił na ścianie pod zegarem portret następcy

Święto

tronu, który malcy skądś przynieśli. Pomału poczęli schodzić na dół inni członkowie rodziny, a stary Bonnemort zasiadł przed domem i grzał się na słońcu. Alzira i matka zabrały się do gotowania, zapach smażącego się królika rozszedł się po izbie. Katarzyna ubrała malców i zeszła też, a za nią Jeanlin i Zachariasz zaspani jeszcze i poziewający.

W kolonii wrzało. Wszyscy śpieszyli się, by przełknąć obiad i pójść potem gromadnie do Montsou. Dzieci biegały po podwórzach, mężczyźni powoli chodzili tu i tam z podkasanymi rękawami koszul, człapiąc sabotami. Drzwi i okna stały otworem, widać było izby napelnione ludźmi, a po całej kolonii rozchodził się świętalny<sup>25</sup> zapach smażonego mięsa walczący o lepsze z przenikliwą wonią cebuli.

Obiad u Maheuów podano o dwunastej. Stosunkowo było tam jeszcze najmniej hałasu, choć cała kolonia tętniła przeróżnymi krzykami, łajaniem dzieci, szczękiem roznoszonych pożyczanych naczyń, trajkotaniem kobiet. Zresztą rodzina Maheu żyła teraz w nieco naciągniętych stosunkach z sąsiadami. Zwłaszcza przyjaźń z Levaque'ami bardzo ostygła. Mężczyźni nie zmieniali postępowania, ale kobiety udawały, że się nie widzą. Kamieniem obrazy był projekt małżeństwa Filomeny z Zachariaszem. Skutkiem tego zmienił się też stosunek do pani Pierron, której zresztą dziś nie było, gdyż zostawiła męża i Lidię u matki, a sama poszła do Marchiennes do swej kuzynki. Żartowano sobie z tej kuzynki. Mówiono, że ma wąsy zupełnie jak starszy nadzorca z Voreux, a Maheude potępiała surowo to opuszczanie rodziny w dniu uroczystym. Obiad był obfity, prócz tuczonego od paru tygodni królika Maheude zastawiła wołowinę i mięsną zupę. Nie pamiętano już takiego zbytku... było dużo więcej jak roku zeszłego na św. Barbarę, toteż dziesięć sztuk pracowało dzielnie, od Stelki począwszy, której się wykluwały zęby, skończywszy na ojcu Bonnemort, który potracił już swoje. Zmieciono wszystko, nie oszczędzając nawet kości. Został tylko kawałek sztuki mięsa na wieczór, gdyby ktoś miał jeszcze ochotę jeść.

Jeanlin znikł pierwszy. Cekał nań Bébert poza szkołą. Długo się wałesali, nim im się udało zwabić Lidię, pilnie strzeżoną przez Brülé. Gdy stara spostrzegła ucieczkę, poczęła wymachiwać chudymi ramionami i kląć straszliwie, a Pierron, mając tego dość, wymknął się z czystym sumieniem człowieka, który idzie się zabawić, pewny, że żona jego ma także swą rozrywkę.

Dziadek Bonnemort poszedł, a w ślad za nim Maheu, spytawszy żonę, czy przyjdzie za nim do Montsou. Odparła, że pewnie nie, a to z powodu tej utrapionej Stelki, zresztą namyśli się, w każdym razie zastanie go jeszcze w którejś gospodzie. Wyszedłszy, Maheu zawahał się chwilę, a potem wstąpił do sąsiada zobaczyć, czy Levaque już gotów. Zastał tu Zachariasza oczekującego na Filomenę. Zaraz od progu poczęła mówić pani Levaque o małżeństwie, uniosła się i zaczęła wykrzykiwać, że kpią sobie z niej, ale ona nie głupia dalej czekać i musi rozmówić się nareszcie z Maheudą. Czyż to jej rola wychowywać dzieci bez ojca, podczas gdy matka przewraca się po zbożu z kochankiem. Filomena wdziała tymczasem kapelusz i odeszła z Zachariaszem, który zaręczał, że ożeni się najchętniej, byle tylko matka chciała się zgodzić. Levaque już wyszedł, więc zabrał się też Maheu, odsyłając rozgniewaną sąsiadkę z pretensjami do żony. Namawiał do pójścia Bouteloupa siedzącego przy stole z kawałkiem sera w ręku, ale ten odmówił, wyrzekł się piwa i został w domu jako przykładowy mąż.

Powoli opróżniała się kolonia, mężczyźni poszli, a dziewczęta, zbadawszy przez uchylone drzwi, czy droga wolna, ruszyły też w inną stronę połączyć się z oczekującymi na nie kochankami. Katarzyna wyczekała, aż ojciec zniknie poza kościołem, i pobiegła do Chawała, by udać się wraz z nim do Montsou. Matka, zostawszy w domu z malcami, tak była zmęczona, że nie wstała od stołu nawet, nalała sobie tylko nową szklankę kawy i piła małymi łykami. Nie chciało jej się ruszyć, choć była to pora, kiedy kobiety zapraszały się wzajem, wysuszając do kropli swe dzbanki z kawą.

Maheu, przypuszczając, że zastanie Levaque'a u Rasseneura, poszedł tam i rzeczywiście Levaque grał ze znajomymi w kręgle w ogródku poza domem. Dziadek Bonnemort i Mouque nie brali udziału w grze, stali tylko, przypatrując się, i tak byli zatopieni w kontemplacji, że zapomnieli nawet trącać się łokciami. Pionowo padające promienie słońca paliły strasznie, a w całym ogródku był tylko jeden wąski pas cienia. Był tu i Stefan. Siedział przy stoliku, trzymając kufel piwa za ucho, i popijał zły na Souvarina, że go opuścił

<sup>25</sup>świętalny (daw. a. reg.) — święteczny.

i zamknął się w swej izdebce. Souvarine korzystał z każdego święta, szedł do siebie, czytał i pisał listy.

— Zagramy obaj może? — spytał Maheua Levaque.

Odmówił. Za gorąco i pić mu się chce ogromnie.

— Rasseneur! — zawołał Stefan. — Przynieś no kufel! — A zwracając się do ojca Maheu dodał: — Ja dziś funduję, mój stary!

Byli z sobą teraz na ty. Rasseneur nie bardzo się śpieszył. Trzeba go było wołać trzy razy, nim wreszcie przyniósł ciepłe, mętne piwo. Stefan żalić się począł na niego. Zwłaszcza piwo i zupy diabła były warte. Byłby już dawno wyniósł się, odstręczało go tylko to, że będzie musiał iść kawał drogi do Voreux. Ale zamierza w najbliższym czasie ulokować się przy jakiejś rodzinie.

— O niezawodnie! — zamruczał Maheu. — Przy rodzinie byłoby ci dużo lepiej.

Przerwał im wrzask. Levaque zwałil dziewięć kregli. Wszyscy mu winszowali, tylko Bonnemort i Mouque milcząco wyrażali swe uznanie. A inni dowcipkowali, zwłaszcza wówczas, gdy ponad parkanem zjawiało się wesołe oblicze Mouquette. Zwabiły ją tu wrzaski i śmiech, a już od godziny wałęsała się wokoło gospody.

— Jak to, jesteś sama? — spytał Levaque. — A gdzież twoi kochankowie?

— Rzuciłam wszystkich, szukam teraz jednego na stałe — odparła wesoło.

Ofiarowywali jej się wszyscy po kolei i dowcipkowali. Ale potrząsnęła przecząco głową, zaśmiała głośno i poczęła kokietować mężczyzn. Ojciec jej stał o dwa kroki i nie odwrócił nawet głowy od obalonych kregli.

— Wiem ja, wiem! — począł Levaque, rzuciwszy okiem na Stefana. — Wiem, kogo ci się zachciewa, moja droga! Ale tego będziesz musiała chyba wziąć siłą.

Stefana to ubawiło. Rzeczywiście Mouquette uwzięła się na niego, ale nie uczuwał do niej żadnego pociągu. Przez chwilę jeszcze patrzyła nań swymi wielkimi oczami, potem nagle spowaźniała i odeszła osmucona i jakby przygnębiona.

Stefan począł teraz tłumaczyć szeroko ojcu Maheu, że niezbędna jest dla górników w Montsou kasa wsparć.

— Kompania — mówił — zachowuje się, jakby nam nie broniła tego, czegoś się więc obawiać? Od Kompanii więcej się spodziewać nie możemy w razie potrzeby jak tylko jakiejś małej pensyjki<sup>26</sup>. Zresztą rozdział tych pensji jest tak dowolny, że nie ma o tym co i mówić. Trzeba więc założyć stowarzyszenie oparte na wzajemności, które wspomagałoby każdego, gdy przyjdzie zła chwila.

Zagłębił się w szczegóły, omawiał organizację, obiecywał, że całą pracę weźmie na siebie.

— Zgoda! — rzekł nagle Maheu, zupełnie przekonany. — Idzie teraz o innych... przekonaj ich.

Levaque wygrał partię, ruszono z kregielni, by się napić. Maheu nie chciał, odkładając na potem. Wszak jeszcze słońce wysoko. Przyszedł mu na myśl Pierron. Niezawodnie jest w Café Lenfant. Ruszyli więc we trójkę, ustępując miejsca innym graczom. Po drodze leżała kawiarnia *Pod Postępem*. Koledzy wołali ich przez otwarte okna. Niepodobna minąć, trzeba wypić kufelek, zafundować drugi. Wypili, pogadali, uwolnili się od piwa w sposób przyrodzony i poszli spokojnie. Znali oni to piwo, wiedzieli, że im nie zaszkodzi, gdy tylko uwolnią pęcherz od nadmiaru wody. W Café Lenfant spotkali Pierrona przy drugim kufelku. Dla towarzystwa musiał wlać w brzuch trzeci. Teraz było ich już czterech, postanowili więc ruszyć do Café Tison, zobaczyć, czy jest tam Zachariasz. Nie zastali nikogo i siedli przy kufelkach, by odpocząć i poczekać. Przyszło któremuś na myśl, by zajrzeć do Café Saint Eloi. Poszli i zostali utraktowani przez nadzorcę Richomme'a. W pięciu już potem włoczyli się bez celu z knajpy do knajpy.

— Musimy iść do Wulkanu! — wykrzyknął Levaque, któremu jednak piwo mimo wszystko uderzyło do głowy.

Wzbraniaли się trochę, ale wreszcie poszli przeciskając się przez ciżbę świątkujących. W ciasnej głębokiej salce Wulkanu stało na drewnianej estradzie pięć śpiewaczek rekrutowanych zawsze z wybiórków domów publicznych w Lille. Były strasznie chude, bezczelnie wydekoltowane i wstrętne miały ruchy. Za estradą była oszalowana deskami nora,

Alkohol, Święto

<sup>26</sup> pensyjka — tu: mała emerytura.

gdzie szli goście chcący zabawić się z którąś ze śpiewaczek, co kosztowało dziesięć sous. Pełno tu było przesuwaczy, ładowniczych, cała młodzież kopalni, aż do czternastoletnich chłopców. Pito tu więcej jałowcówki jak piwa. Ze starszych zachodzili tu tylko hajerzy, źle żyjący z żonami, których rodziny żyły w nędzy.

Usiedli przy stoliku, a Stefan począł wyklądać Levaque'owi swój projekt kasy wsparć. Mówił z zapalem neofity propagatora.

— Każdy członek — powtarzał — zapłaci co miesiąc franka, a za cztery lub pięć lat urosną z tego skarby ogromne. Gdy się ma pieniądze, drwi człek ze wszystkiego — nieprawdaż? No, więc cóż ty na to?

— Mówię — odparł Levaque z roztargnieniem — że ani nie, ani tak... pomyślę nad tym... pomyślę.

Zajął się bardzo jakąś blondynką i mimo że tamci, wypiwszy swoje, chcieli iść dalej, uparł się zostać, by usłyszeć następną piosenkę.

Gdy wyszli, Stefan ujrzał znów Mouquette. Śledziła go, patrzyła nań swymi wielkimi oczyma i uśmiechała się, jakby chciała zapytać: — Cóż, chcesz? — Powiedział jej jakiś dowcip i wzruszył ramionami, a Mouquette machnęła ręką ze złością i znikła w tłumie.

— A gdzie jest Chaval? — spytał Pierron.

— Tak... prawda, zginął gdzieś... — odparł Maheu. — Już wiem, gdzie będzie, pewnie u Piquette'a. Chodźmy do Piquette'a.

U drzwi Piquette'a zatrzymali się z powodu jakiejś głośnej kłótni. Zachariasz wygrażał pięściami jakiemuś flegmatycznemu, barczystemu walońskiemu robotnikowi z fabryki gwoździ, a Chaval przyglądał się z rękami w kieszeniach spodni.

— Ot, tam stoi Chaval — rzekł Maheu spokojnie — jest i Katarzyna.

Od pięciu już godzin wałęsały się przesuwaczki pod rękę ze swymi kochankami po szerokiej ulicy Montsou, obstawionej niskimi, jaskrawo malowanymi domkami. Tłum był tu mimo upału gęsty. Przelewała się fala ludzi niby pasmo mrówek, tonąc gdzieś w dali równi bezdrzewnej. Czarne błoto zeschło teraz, a czarny pył unosił się spod nóg chmurą, nisko zwieszając się nad głowami. Szyunki pełne były ludzi, a dla tych, co miejsca wewnątrz nie znaleźli, ustawiono stoliki na ulicy, zatłoczonej już i tak kramami i bazarami, gdzie można było dostać lusterek i chustek na szyję dla dziewcząt, a czapek i kozików dla chłopców, nie mówiąc już o słodyczach wszelkiego rodzaju, cukierkach i ciastkach. Przed kościołem odbywało się strzelanie z łuku. Naprzeciw składu drzewa rzucano kulami. Na rogu ulicy wiodącej do Joiselle oparkano placyk przeznaczony na walkę kogutów. Tłoczył się tam też tłum ludzi żądnych ujrzenia dwu czerwonych kogutów uzbrojonych w ostrogi i oblanых krwią. Dalej można było u Maigrata wygrać w bilard spodnie lub fartuszek. Chwilami przycichały rozmowy i cały ten tłum lał w siebie piwo, a na twarzach malowała się walka z kurczami żołądka spowodowanymi przejedzeniem się mięsem, od którego odwyknęto, i zalanymi zimnym piwem pieczonymi ziemniakami. Upał zdawał się jeszcze wzrastać, co pogarszało humory.

Chaval kupił Katarzynie lusterko za dziewiętnaście sous i chusteczkę na szyję za trzy franki. Co krok niemal natykali się oboje na Bonnemorta i Mouque'a kroczących powoli w milczeniu, wśród największej ciżby. Ale większe na nich uczyniło wrażenie inne spotkanie. Oto zobaczyli, że Jeanlin, Bébert i Lidia wykradają flaszki jałowcówki ze stojącej na boku budy wędrowniej, okrytej płótnem. Katarzyna zdążyła dać w twarz bratu, ale w tejże chwili Lidia uciekła z flaszką wódki pod pachą. Te gałgany skończą na galerach, zaopiniowała Katarzyna.

Gdy stanęli obok kawiarni *Pod trupią głową*, przyszło na myśl Chawalowi wprowadzić tam kochankę, by przysłuchała się i przypatrzyła turniejowi zięb, który już od ośmiu dni zapowiedziano wielkimi plakatami. Do zapasów stanęło piętnastu gwoździarzy z fabryki gwoździ w Marchiennes, a każdy przyniósł po tuzinie klatek, które zawieszono w rzędach na parkanie okalającym kawiarnię. Szło o skontrolowanie, które zięby w ciągu godziny największą osiągną liczbę ćwierkań i jakich czy: *sziszujoszi*, czy *batisekuik*. Każdy gwoździarz miał mały notes i ołówek, stał przy swych klatkach i notował, równocześnie pilnie bacząc na swych przeciwników. Zięby, zrazu przestraszone, poczęły niebawem śpiewać. Z początku rzadko, potem coraz częściej ćwierkały swe *sziszujoszi*, grubszy głosem, a potem cieńszym, przenikliwszym: *batisekuik*. Rozgrzewały się z wolna, wpadały w coraz

Święto

Ptak

szybsze tempo i w końcu ogarnął je taki szal emulacji, że kilka spadło z prętów i zdechło. Gwoździarze podnieceni głosem, przemawiając po walońsku, a widzowie, około stu osób, z zapartym oddechem czekali na wynik, wśród ogłuszającego wrzasku stu osiemdziesięciu ptaków powtarzających ciągle jedno w kółko. Wreszcie zwyciężył *batisekuik* i zwycięzca dostał dzbanek na kawę z prasowanego metalu.

Niebawem zjawił się Zachariasz z Filomeną i zajęli miejsce obok Katarzyny i Chawała. Ale nagle Zachariasz wpadł w pasję, dostrzegł bowiem, że jeden z gwoździarzy uszczypnął Katarzynę w pośladek. Zacerwieniła się, ale uspokajała brata z obawy, że przyjdzie do krwawej bójki, jeśli Chawałowi spodoba się upomnieć o to. Czuła wybornie uszczypnięcie, ale... gwoździarzy było za dużo. Zresztą Chawał nie pogniewał się, roześmiał się tylko i wszyscy czworo wyszli. Ale ledwo znaleźli się u Piquette'a, wyrósł nagle jak spod ziemi gwoździarz i nic sobie nie robiąc z groźnych min mężczyzn poczał im w nos gwizdać. Zachariasz uczuł się na nowo dotknięty i rzucił się na Walończyka.

— Ty świni! Wiedz, że to moja siostra. Nauczę ja cię szacunku!

Rzucono się między nich, a Chawał rzekł spokojnie:

— Daj spokój... przecież to rzecz moja! Mówię ci, że ja sobie kpię z niego!

Nadszedł też Maheu i uspokoił Filomenę i Katarzynę, które już poczęły płakać. Rozległ się śmiech w tłumie, albowiem gwoździarza wyrzucono za drzwi. By sprawę do reszty zatuszować, poczał fundować całemu towarzystwu Chawał, który czuł się w domu. Stefan musiał się trącić z Katarzyną, wszyscy pili w miłej harmonii, ojciec, córka, jej kochanek, syn i jego kochanka, trącali się kuflami i mówili:

— Za zdrowie całej kompanii!

Potem traktował Pierron i wszystko szło jak najlepiej, gdy nagle opanowała ponownie wściekłość Zachariasza, gdy ujrzał przyjaciela swego Mouqueta.

Przywołał go i oświadczył, że obaj pójdą porachować się z gwoździarzem.

— Muszę go ubić! Słuchaj, Chawał, pilnuj Filomeny. Przyjdę niezadługo.

Maheu kazał teraz dać piwa. W gruncie rzeczy ładnie to ze strony tego chłopca, że chce pomścić siostrę. Ale Filomena, ujrawszy Mouqueta, zaniepokoiła się. Nie uległa dla niej żadnej wątpliwości, że obaj urwisze poszli do Wulkanu.

Zabawa kończyła się zazwyczaj balem w Bon-Joyeux. Lokal balowy był własnością wdowy Désir, pięćdziesięcioletniej, grubej jak faska kobiety, która jednak miała jeszcze tyle temperamentu, że posiadała sześciu kochanków, jednego, jak mawiała, na każdy dzień tygodnia, a wszystkich razem na niedzielę. Wszystkich górników nazywała swoimi dziećmi i serdeczna dla nich była, myśląc o rzece piwa, którą w nich wlała przez trzydzieści lat swej działalności. Chlubiła się też, że ani jedna przesuwaczka Montsou nie zaszła w ciążę nie zaproszwszy sobie wpiętej głowy u niej. Bon-Joyeux składał się z dwu salek, to jest kawiarni, gdzie był bufet i stoliki, oraz właściwej sali balowej. Sala ta była dość obszerna, miała tylko na środku podłogę, a wzdłuż ścian chodniki z cegieł. Powale zdobity festony róż papierowych ujęte pośrodku w misterny węzeł. Na ścianach wisiały tarcze herbowe z imionami świętych, a więc św. Eliasza, patrona robotników żelaznych Kryspina, patrona szewców, św. Barbary, patronki górników, cały tam wisiał kalendarz przemysłowy. Powala zwieszała się tak nisko, że umieszczeni na rodzaju ambony muzykanci uderzali w nią głowami. Wieczorem oświetlenie stanowiły cztery lampy naftowe, zawieszane w czterech rogach sali.

Dnia tego tańczono od piątej po południu, a więc przy świetle dziennym, ale dopiero koło siódmej sale wypełniły się szczelnie.

Właśnie powiał silny wiatr podnoszący tumany czarnego pyłu, więc kto żył chronił się pod dach. Niebawem znaleźli się tu Maheu, Stefan, Pierron, i zastali Chawała, Katarzynę i Filomenę. Levaque i Zachariasz zgubili się gdzieś. Ponieważ nie było ławek w sali balowej, więc Katarzyna po każdym tańcu przysiadła u stolika ojca dla wypoczynku. Wołano Filomenę, ale wołała stać. Wieczór zapadał, muzyka różnęła od ucha, w sali balowej wirowały pary, chaos tam był straszny. Rykiem powitano światło lamp, które oświeciły rozgorzałe twarze o włosach rozburzonych, przyklepionych do skroni, latające w powietrzu suknie, a z całego tego wirującego kłębu wydzielał się ostry odór potu. Maheu pokazał Stefanowi Mouquette, tłustą i okrągłą jak gałka łożu, wirującą zaciekle w objęciach wysokiego, chudego przesuwacza. A więc pocieszyła się i wzięła sobie innego.

Karczmą

Około ósmej zjawiała się Maheude ze Stelką u piersi, prowadząc ze sobą Alzirę, Henrysia i Lenorę. Przyszła prosto tu nie wątpiąc, że zastanie męża. Na kolację, mówiła, czas jeszcze, nikt bowiem nie głodny, mając pełen żołądek kawy i piwa. Przyszły i inne kobiety, śmiać się poczęto, ujrawszy panią Levaque wchodzącą pod rękę z Bouteloupem, który wiódł Achilla i Désirée, dzieci Filomeny. Sąsiadki pogodziły się znowu widocznie, gdyż Maheude usunęła się, by zrobić miejsce pani Levaque i zaczęła z nią pogadankę. Po drodze wyklóciły się do woli i Maheude złożyła broń, choć żal jej było zarobku syna, którego jednak przywłaszczając sobie dłużej już nie mogła. Byłoby to niesprawiedliwością. Nadrabiała więc miną, ale rozmyślała, co pocnie bez dochodu, na który jako najpewniejszy liczyła zawsze.

— Siadaj, sąsiadko — rzekła.

— A męża mego tu nie ma? — spytała Levaque.

Mężczyźni odparli, że wyszedł i zjawi się niebawem, zsunięto się, by zrobić miejsce przybyłym. Zawołano o piwo. Filomena, ujrawszy matkę i dzieci swoje, zdecydowała się zbliżyć. Ucieszyła się, słysząc, że chcą ją nareszcie wydać za mąż, a pytana o Zachariasza, odparła łagodnie:

— Czekam na niego, wyszedł gdzieś na chwilę.

Maheu spojrział na żonę. A więc zgodziła się? Spoważniał i zatroskany siedział bez słowa, paląc fajkę i rozmyślając nad niewdzięcznością dzieci, które żenią się, zostawiając rodziców na pastwę nędzy.

Tańczono bez ustanku. Kurz zwisał chmurą nad głowami, deski podłogi trzeszczały, klarnet wydawał piskliwy ton lokomotywy sygnalizującej katastrofę, a z tancerzy kurzyło się, gdy przystanęli na chwilę.

— Pamiętasz — spytała Levaque, pochylając się do ucha Maheudy — jak raz mówiłaś, że zadławiłabyś Katarzynę, gdyby popełniła głupstwo.

Chaval wrócił właśnie z kochanką z sali. Stali oboje za plecami siedzących i pili piwo.

— Ha, cóż począć — odparła zrezygnowana — ot mówi się tak czasem! Pocieszam się tylko tym, że nie może jeszcze teraz zająć w ciążę... wiesz, jeszcze nie dojrzała. O, pewna tego jestem! Ach, gdyby urodziła i gdybym musiała ją wydać... zginęlibyśmy z głodu!

Muzyka poczęła polkę, a przy ogłuszającym beku klarnetu zwierzył się Maheu żonie ze swego planu. Czemużby nie mieli wziąć lokatora? Miejsca będzie dosyć, gdy Zachariasz odejdzie, a właśnie Stefan szuka mieszkania. W ten sposób dochód wyrównałby się znowu. Twarz Maheudy pojaśniała. To była świetna istotnie myśl i koniecznie trzeba ją wprowadzić w życie. Zdawało się biedaczce, że wyratowała się od śmierci głodowej i humor wrócił jej tak szybko, że zafundowała nową kolejkę piwa.

Stefan przekonał już tymczasem Pierrona o potrzebie kasy wsparć, ale popuścił języka i wygadał się wreszcie, o co mu głównie idzie.

— Widzisz, kasa wsparć największe by nam oddała usługi na wypadek strajku. Cóż by nas wówczas obchodziła Kompania! Z kasy czerpalibyśmy zasoby do oporu. No cóż, godzisz się?

Pierron spuścił oczy i pobladł. Wreszcie wyksztusił.

— Pomyślę... pomyślę nad tym.

Maheu przystąpił do Stefana i otwarcie, szczerze uczynił mu propozycję, by zamieszkał u niego. Stefan chętnie się zgodził, tym bardziej, że zbliżało go to do wszystkich mieszkańców kolonii, których chciał pozyskać dla swego projektu kasy wsparć. Załatwiono się w paru słowach, a Maheude zawarowała sobie tylko, by nastąpiło to aż po ślubie Zachariasza.

Przyszedł wreszcie Zachariasz w towarzystwie Levaque'a i Mouqueta, wnosząc ze sobą odór jałowcówki i piżmowych perfum.

Mieli dobrze w czubku, ale rozradowani tręcali się łokciami. Gdy Zachariasz usłyszał, że wnet się ma żenić, począł się śmiać na całe gardło, a Filomena oświadczyła, iż woli, że się śmieje, niżli gdyby płakał. Nie było krzesel, więc Bouteloup usunął się, by Levaque mógł się przysiąść. Siadł i widząc, jak wszyscy rozmawiają zgodnie, rozczulił się do tego stopnia, iż postawił kolejkę piwa.

— Tam do licha, jak zabawa, to zabawa.

Siedziano tak aż do dziesiątej. Wchodziły kobiety, przychodziły po mężów, wlokąc za sobą chmary dzieci, niosąc na rękach niemowlęta uczone ustami u żółtych piersi

Święto, Alkohol

obwisłych jak torby sieczki. Mleko kapalo, zalewając twarze maleństw, dzieci umięjące już biegać ożłopane piwem jak kufy laziły na czworakach pod stołami, bez ceremonii odlewając się na podłogę. Zalew piwny płynął szeroką falą z beczek pani Désir, wzdymał brzuchy i sączył się kroplami z nosów, oczu, wszystkich otworów ciała. Napęcznieli, zduszeni w jeden kłębek, wgniatali w siebie wzajem łokcie, kolana i wydawało im się to komiczne. Gęby wszystkie w bezustannym śmiechu rozwarły się szeroko, a spoceni, rozpaleni opoje rozpinali surduty i koszule, obnażając uwędzone dymem na brunatno ciało. Czuli się wszyscy bardzo dobrze, to ich tylko niecierpliwiło, że od czasu do czasu musieli usuwać się, by zrobić miejsce dziewczętom, które szły w głąb ogrodu pod pompę, podkasywały się i wracały za chwilę. Tańczący nie widzieli się już wzajem poprzez tuman pary zmieszanej z kurzem i to ośmieliło niektórych do tego stopnia, że przewracali swe danserki na ziemię, nie zważając na kopnięcia otrzymywane od tańczących. Zresztą odgłos przygłuszał klarnet, a resztę zakrywały suknie wirujących kobiet.

Ktoś powiadomił Pierrona, że córka jego Lidia leży pod drzwiami w poprzek trotuaru. Wypiła swą porcję skradzionej jałowcówki i upiła się tak, że musiano ją zanieść do domu na rękach. Jeanlin i Bébert szli z tyłu, śmiejąc się do rozpuku.

To skłoniło wszystkich do odwrotu, wiele rodzin zabierało się do odejścia, ruszając więc tłumnie z innymi i wiecznie zatopionymi w rozmyślaniach Mouque'em i Bonnemortem. Mijano kolejno miejsca uciechy, gdzie teraz tłuszcz zastygał na patelniach, a ostatnie kufle pijanych opróżniały się na ziemię, ciekąc wąskimi strumieniami po trotuarze. Rozlegały się śmiechy w korowodzie, a gdy minęto ostatnie domy i pograżono się w ciemności pól, buchnęła ku idącym z niezmierzonych łąnów pszenicznych duszna, gorąca fala. Musiano wiele dzieci napłodzić tej nocy. Nikomu się jeść nie chciało, Levaque padł od razu na łóżko i spał już, gdy u Maheuów dogryzano jeszcze mechanicznie bez potrzeby resztek mięsa pozostałego z obiadu.

Stefan z Chavalem zawrócili jeszcze do Rasseneura.

— Zgoda! — wykrzyknął Chaval, wysłuchawszy projektu kasy wsparć. — Daj rękę, jesteś dzielny chłop!

Stefana oczy połyskiwały już pijackim blaskiem. Wykrzyknął:

— Dobrze, idźmy ręką w rękę! Wiesz, bracie, za dobrą sprawę oddam wszystko, piwo i dziewczęta! Jedna myśl mnie tylko upaja... to jest myśl, że niedaleka chwila, w której zmieciemy z powierzchni ziemi klasy posiadające.

Rewolucja, Walka klas

### III

Okolo połowy sierpnia Stefan sprowadził się do Maheuów. Zachariaszowi po ślubie Kompania wyznaczyła inne mieszkanie w kolonii, gdzie już teraz królowała Filomena z dziećmi.

W pierwszych dniach czuł się Stefan zmieszany. Żył teraz obok Katarzyny tak blisko, zajął miejsce jej brata, spał z Jeanlinem w łóżku, stojącym naprzeciw jej łóżka. Widział, jak się rozbierała i ubierała. Zrzuciwszy spódnice zostawała w cienkiej koszuli biała, wątła, a Stefan bezustannie był podniecony, gdy patrzył na jej białe, jakby pobielone nogi i ręce, od których odbijała jaskrawo opalona słońcem twarz. Odwracał się z początku, udawał, że nie widzi, ale widział. Z początku ujrzał jej nogi, potem czasem, gdy się kładła, dostrzegł przelotnie kolano, rano, gdy się pochyliła nad miednicą, małe okrągłe piersi o niedokształconych sutkach. Śpieszyła się, odwracając od niego oczy. W dziesięciu sekundach była rozebrana, zrzucała trzewiki, węzowym ruchem wsuwała się pod kołdrę i odwracała od patrzącego tak, iż widział tylko bujne sploty rudych włosów.

Stefan nie dawał jej zresztą powodu do gniewu. Chociaż teraz śledził ją wzrokiem, to jednak nie posuwał się dalej, nie zażartował, nie tknął jej nigdy. Rodzice spali w pobliżu, przy tym Stefan miał dla niej dziwne jakieś uczucie przyjaźni połączonej z urazą i to wstrzymywało go od wszelkiej akcji zaczepnej, mimo że żyli ciągle razem, w domu, przy pracy i nawet konieczne potrzeby załatwiali wobec siebie. Wszystko działo się po staremu. Cała odmiana polegała na tym, że teraz Katarzyna myślała się po robocie na górze, a mężczyźni na dole.

Nim upłynął miesiąc przestali na siebie zważać. Chodzili rozebrani po pokoju, nim zgasił wieczór świecę. Katarzyna nie śpieszyła się już teraz i po dawnemu, siedząc na

Pożądanie

łóżku z koszulą wyżej kolan i wzniesionymi w górę rękami, zaplatała włosy, a Stefan bez kałesonów pomagał jej, szukając pogubionych szpilek po ziemi. Zatracili poczucie wstydu, wydawało im się to naturalne, zresztą nie ich było winą, że żyć się nie dało inaczej w ciasnym mieszkaniu. Mimo to nawet w chwilach, gdy o żadnym zbliżeniu nie myśleli, opanowywał ich niepokój. Zdarzały się wieczory, że Stefan nagle dostrzegał jej nagość i wówczas siłą woli odwracał się do ściany, by nie ulec pokusie. Katarzyna miewała też czasem napady wstydlivosti i kryła się w łóżko, jak gdyby czuła wyciągające się po nią ręce chłopca. Gasili świecę i leżeli, czując, że nie zasną oboje, że mimo znużenia będą czuwać, myśląc bez przestanku o sobie. Małomówni wtedy byli rankiem i woleli wieczory, kiedy mogli swobodnie rozmawiać jako dwaj koledzy.

Stefanowi byłoby zresztą dobrze spać, gdyby nie Jeanlin, który był dość niespokojny. Alzira oddychała lekko, a Henryś i Leonora do rana nie poruszyli się nawet. W całym domu było słychać chrapanie Maheua i jego żony podobne do syku poruszanego miarowo miecha. W ogóle Stefanowi lepiej tu było jak u Rasseneura, łóżko miał wygodniejsze i zmieniano mu co miesiąc pościel. Zupy też bez porównania lepiej mu smakowały, a choć dawał się czasem we znaki brak mięsa, to pocieszał się myślą, że za czterdzieści pięć franków miesięcznie nie może żądać na każdy obiad królika. Ta kwota uregulowała w zupełności budżet Maheuów, żyli teraz spokojniej, chociaż popłacić dawnych długów nie zdołali. Poczuli się za to do wdzięczności wobec swego lokatora. Stefan miał zawsze czystą bieliznę, przyszyte guziki, drobiazgi w porządku i czuł wszędzie troskliwą kobiecą rękę.

W tym to czasie wyjaśniło mu się w głowie. Idee krążące mu w niej dotychczas były to raczej odczucia niż myśli. Teraz wszedł w dziedzinę jasno sformułowanych problemów. Gdzie przyczyna bogactwa jednych i nędzy innych? Czemu jeden człowiek depce drugiego, który nie ma nadziei wyrwać się spod przemocy? Pierwszym nabytkiem było uświadomienie sobie swej niewiedzy. Uczuł wstyd i od tej pory nie śmiał ust otworzyć, gdy rozmawiano o trapiących go pytaniach. Opanowała go istna żądza wiedzy, rzucił się więc do niej na oślep i bez metody. Prowadził ożywioną korespondencję z bardziej czytelnym i z ruchem społecznym obeznanym Pluchartem. Sprowadzał teraz książki i pożerał je trawiony gorączką. Oddziało nań zwłaszcza dzieło medyczne pt.: *Higiena górników*. Autor, lekarz belgijski, wyliczał wszystkie cierpienia niszczące całe pokolenia górników. Czytał prócz tego wiele socjalno-politycznych artykułów, których nie rozumiał, jak również pożyczał od Souvarina broszury anarchistyczne i gazety, które składał pilnie jako cenny materiał do przyszłych dyskusji. Dzieło o towarzystwach spółdzielczych gorączkowało go przez miesiąc i Stefan marzył o olbrzymiej, cały świat ogarniającej organizacji produkcyjno-konsumpcyjnej, która by usunęła pieniądza i oparła ustrój społeczeństwa na pracy. Powoli stawiał się śmielszy, czuł, że jest teraz więcej wart, bo myśli.

Rozgorzał zapalem neofity, nienawiścią do gnębicieli i nadzieją, że wstąpi w pierwsze szeregi gnębionych, walczących o swe ludzkie prawa. Jak się wziąć do tego, nie wiedział jednak. Co wieczór wiódł długie dysputy z Rasseneurem, który pragnął rzecz załatwić pokojowo, i Souvarinem, który chciał wszystko niszczyć. W głowie mu huczało i leżąc w łóżku, konstruował różne plany odwetu. Skłaniał się do teorii pokojowej, mawiał, że polityki nie należy wprowadzać do czysto ekonomicznej kwestii społecznej. Było to gdzieś wycytane zdanie, które najodpowiedniejsze mu się wydało do zastosowania tutaj pośród flegmatycznych górników. Ale jak zreformować społeczeństwo, by przy tej okazji nie wyleciała ni jedna szyba, nie wiedział.

I w domu u Maheuów kładziono się teraz spać później, a Stefan zwracał rozmowę ciągle na zajmujący go temat.

Odkąd począł się uświadamiać, zaczęło mu ciążyć to życie kolonii, gdzie ludzie natłoczeni byli jak śledzie w beczce. Czyż byli zwierzętami w klatce, czyż dokoła nie było olbrzymiej równi, mogącej całe miasta pomieścić? Czemuż żyć tak, że nie można zmienić koszuli, by gołego ciała nie pokazać drugiemu? A jakie z tego skutki dla zdrowia i moralności!

— Tam do licha! — wykrzyknął Maheu. — Byle tylko więcej pieniędzy, zaraz by się można wygodniej urządzić. To prawda, wcale niezdrowo tak żyć jedno na drugim. Kończy się zawsze na tym, że chłopcy się psują, a dziewczęta rodzą dzieci!

Cała rodzina brała udział w dyspacie, każdy dorzucał swą uwagę, a lampa kopciła, zatruwając do reszty powietrze przesycone już i tak odorem smażonej cebuli.

To prawda, życie niewesołe! Człek musi jak zwierzę obracać kierat, co dawniej było karą galernika, narażać się bez przestanku, a wreszcie, gdy zechce jeść, nie ma wieczorem kawałka mięsa w domu. Z głodu się nie umrze i tyle. Suchym chlebem żyj, człowieku, i to jeszcze w ciągłych długach, pod ustawiczną grozą jak zbrodniarz. Gdy przyjdzie niedziela, ruszać się nie można ze znużenia, a cała przyjemność polega na upiciu się i zmajstrowaniu żonie dziecka. Ot, psie życie! Nie ma co mówić!

Maheude wtrącała też swoje trzy grosze.

— A co najsmutniejsze, to przekonanie, że tak będzie ciągle... Póki człek młody, wygląda szczęścia, wygląda, a szczęście nie przychodzi. Nie życzę nikomu nic złego, ale doprawdy czasem porywa mnie oburzenie.

Wszyscy milczeli. Czuli w chwilach takich cały ogromny ciężar życia. Dławiły ich chmury oblegające ciasny horyzont poznania i odczucia. Tylko dziadek Bonnemort spoglądał zdziwiony... Za jego czasów ludzie nie trapił się podobnymi myślami. Człek się rodził pośród węgla, kuł pokład i koniec. Po cóż czegoś pragnąć? Skąd się brał ten prąd żądań?

— Nie należy się buntować — mruczał — dobry kufelek też coś wart. Przełożeni są nieraz źli, ale tak jest i było od początku świata, kto by tam sobie łamał głowę, by wymyślić co innego!

Stefan zapalił się. Co, i myśleć nie wolno robotnikowi? Ho, ho, właśnie dlatego, że robotnik dziś poczyną myśleć, będzie niedługo całkiem inaczej. Za czasów dziadka człek żył w kopalni, jak bydlę, jak maszyna do rąbania węgla, ślepa i głucha na wszystko. Ale dziś budzi się górnik, z głębi kopalni poczyną kielkować ziarno, a niezdługo zobaczycie, co z niego wyrośnie. Powstaną ludzie, armia ogromna ludzi, która upomni się o swe prawa. Czyż od czasów rewolucji nie są wszyscy obywatele równi? Dziś, gdy każdy, biedny czy ubogi, ma prawa polityczne, dziś robotnik ma być niewolnikiem tego, kto kupił jego czas i siły? Kompanie przemysłowe gnębią nędzarzy w straszny sposób, a nie ma już nawet dawnych cechów, gdzie robotnicy jednego zawodu mogliby znaleźć oparcie i ochronę wobec przemocy. Ale przyjdzie oświata, a z nią czasy lepsze. Wystarczy spojrzeć tu i tam, rodzice i dziadkowie nie umieją się podpisać, dzieci i wnuki piszą i czytają jak profesorowie. Kielkuje już posiew, rośnie armia ludzi, którzy zawołają: światła i praw! I czyż nie walczyć o przyspieszenie tej chwili, czyż nie trzeba czynić tego, choćby przyszło użyć siły?

Maheu, mimo że całkiem przekonany, wątpił w powodzenie.

— Odprawia, gdy się tylko ruszymy. Stary ma słuszość. Nie ma nadziei, nigdy nie zabraknie górników, co zechcą sprzedać swą pracę za nędzny zarobek. Nie ma nadziei!

Milczano chwilę, wreszcie ozwała się Maheude, jakby budząc się ze snu.

— Gdyby choć prawdą było, co mówią księża, że tam spotka nas nagroda!

Przerwał jej głośny śmiech. Nawet dzieci wzruszały ramionami. Przestały wierzyć pod wpływem warunków, w jakich żyły, ale nie wierząc w niebo, bały się jednak duchów ziemi. Był to jakby powrót do pierwotnego kultu.

— Księża! Ha, ha, ha — śmiał się Maheu — gdyby w to sami wierzyli, to mniej by jedli, a więcej pracowali, w celu zapewnienia sobie tam lepszego miejsca. O nie, po śmierci nie ma nic!

Maheude ciężko wdychała.

— Mój Boże! Mój Boże!

Opuściła ręce na kolana i rzekła z rozpaczą:

— A więc nie ma nadziei!

Wszyscy spojrzeli po sobie. Dziadek Bonnemort splunął w chustkę do nosa, a Maheu zapomniał fajki w ustach. Dwoje malców usnęło, a siedząca między nimi Alzira słuchała pilnie. Katarzyna oparłszy twarz na pięściach wpatrywała się w Stefana swymi wielkimi oczyma. Byłaby słuchała do rana. W całej kolonii cisza panowała, przerywana tylko krzykiem dziecka w odległym domu i pijaka zapóźnionego w szynku. Zegar ścienny na dole tykał miarowo, a z mokrej, posypanej piaskiem podłogi wznosiła się fala wilgoci.

— A cóż to znowu za poglądy! — zawołał Stefan — czyż nam koniecznie do szczęścia potrzeba Boga i raj? Nie możemy to sobie sami wywalczyć szczęścia na tej ziemi?

Marzenie, Rewolucja,  
Bieda, Robotnik

Wierzenia, Religia, Książd

Mówił z zapalem, rozdzierał mgły zacieśniające horyzont, a jasnego światła snopy oblewały dusze słuchaczy. Pierzchła nędza, nie byli to już ludzie w beznadziejnej rezygnacji, jako owce co dnia pędzone do strzyży, oddające swą wełnę bez myśli i oporu. Byli to teraz ludzie roztęsknieni za swobodą. Bóg zmarł, ale nie zmarła *sprawiedliwość* i wystarczy ona do ugruntowania szczęścia ludzkości. Zapanuje kiedyś równość, braterstwo, i dnia tego wstanie nowy świat, ogromna, ogarniająca ziemię całą organizacja pozwalająca, by każdy obywatel żył pełnią życia i jego rozkoszy. Stary świat w gruzy się rozleci, a ludzkość oczyszczona z win dawnych utworzy jedną olbrzymią rzeszę pracowników pracującą na podstawie zasady: Nagroda wedle pracy!

I snuł coraz dalej fantazję, tym piękniejszą, im wyżej unosiła się w chmury.

Maheude zrazu wierzyć nie chciała. Bała się. Nie, nie, tak pięknie być nie może, to tylko życie codzienne czyni nieznośnym i napelnia pasją, że człek by potrzaskał wszystko, co tej szczęśliwości stoi na zawadzie! Gdy widziała, że oczy męża poczynają błyszczeć, przerywała Stefanowi, wołając zapalczywie:

— Maheu, nie słuchaj go! Sam czujesz, że opowiada bajki! Gdzieżby kiedy bogacze chcieli pracować?

— Poprosimy ich grzecznie! — odparł Stefan.

Czar jednak działał. Maheude poczęła się uśmiechać zrazu trwożliwie, potem śmielej. Zbudziła się w niej wyobraźnia i stara, apatyczna kobieta przekroczyła wreszcie próg przybytku cudów. Rada była, że może na godzinę zapomnieć o rzeczywistości, pomarzyć, miała teraz swój kącik, dokąd schronić się mogła przed nędzą życia. W jednym zgadzała się tylko bez zastrzeżeń ze Stefanem i mężem. *Sprawiedliwość* zapanować musi. Urodził się nowy Mesjasz w jej sercu.

— Tutaj masz słuszność! — wołała. — Dobra sprawa zwycięży! Sprawiedliwość przyjdzie musi! Za to dałabym się porąbać na kawałki. A czyż nie jest sprawiedliwe, by nareszcie na nas kolej przyszła... ha?

Maheu więc pofolgował też swemu zapałowi.

— Psia krew! Nie jestem bogaczem, ale dałabym pięć franków, by dożyć tego! Co to będą za awantury! Ho, ho! Słuchaj no, jak myślisz, daleko to jeszcze?

Stefan wpadł znowu w ferwor oratorski. Gmach kapitalizmu trzeszczy we wszystkich wiązaniach, nie przetrzyma pewnie i paru miesięcy. Ale gdy przyszło mówić o środkach do osiągnięcia celu, znikła jego pewność siebie. Mieszało mu się w głowie wszystko, co dotychczas czytał, toteż skąpił objaśnień, nie chcąc się zdradzić. Dawał im tylko wyciąg ze wszystkich systemów osłodzony pewnością szybkiego tryumfu. Pocałunkiem braterskim załagodził się wszystko i nastanie równość klas, choć co prawda pewną liczbę zacierzwionych trzeba będzie pewnie nauczyć rozumu. Maheuowie pojmowali teraz najciemniejsze rzeczy, przyjmując najdziwniejsze przypuszczenia ze ślepą wiarą nawróconych, przekonani jak pierwsi chrześcijanie, że świat stary runie, a na jego gruzach zajaśnieje lepszy, królestwo boże na ziemi. Alzira, pozbierawszy okruchy zdań, zbudowała sobie własny obraz szczęśliwości niedalekiej pod postacią ciepłego domu, gdzie każde dziecko sypia w osobnym łóżku i może jeść i bawić się do syta, zaś aniołowie gotują obiad i sprzątają. Katarzyna nieruchoma z oczyma utkwionymi w opowiadającego słuchała, a gdy Stefan mówić przestawał, ciało jej przebiegał dreszcz.

Maheude opamiętywała się zazwyczaj pierwsza.

— Oho, minęła dziewiąta, jutro się nie zwlecze nikt z łóżka!

Wstawali od stołu zrozpaczeni. Zdawało im się, że byli magnatami, a teraz nagle ubierać się muszą w lachmany.

Szli po schodach na górę, czuli kopeć i zaduch czyniące powietrze ciężkim, a dziadek Bonnemort idący do kopalni mruczał, że oddałby ten raj za kawałek mięsa pływającego w zupie. Rozbierali się wszyscy, gaszono świecę, a Stefan słyszał, jak Katarzyna przewraca się niespokojnie, nie mogąc zasnąć.

Często w rozmowach brali udział sąsiedzi, Levaque zwłaszcza z furią czepił się myśli podziału dóbr, w czym mu wtórował Pierron, na tyle jednak ostrożny, że szedł spać, ile razy poczęto rzucać gromy na Kompanię. Czasem wpadł też Zachariasz, ale nie bawił długo znudzony *tą polityką*. Wołał iść do Rasseneura na kufelek. Chwał wysunął się od razu na pierwszy plan. Był najradykalniejszy, chciał krwi! Co dnia przepędzał godzinę u Maheuów niby dla rozmowy, ale w gruncie rzeczy pędzony zazdrością. Znudził się już

Marzenie

Katarzyną, ale odkąd wiedział, że śpi w jednej izbie ze Stefanem, ciągle narażona na jego pieszczoty, nie mógł sobie dać rady.

Wpływ Stefana rósł z dniem każdym. Zrewolucjonizował on powoli całą kolonię, a propaganda jego była tym skuteczniejsza, że równocześnie wzbudzał szacunek ogółu. Maheu okazywał mu wielki szacunek, gdyż Stefan płacił regularnie, nie pił, nie grał i wołał ponad wszystko siedzieć w książkach. Sława jego, jako wykształconego młodego człowieka, rozeszła się wnet szeroko, a sąsiadki objawiały mu swe uznanie, obarczając go pisaniem listów. Stał się niejako pisarzem miejscowym i adwokatem, załatwiając korespondencje i rozstrzygając drażliwe kwestie. Wreszcie we wrześniu założył swą kasę wsparć, która była wprawdzie jeszcze nikła, licząc pośród członków samych tylko mieszkańców kolonii, ale rokowała nadzieję, że obejmie górników wszystkich kopalń miejscowych, zwłaszcza gdyby zachowująca się dotąd biernie Kompania nie stawiała i nadal przeszkód. Stefan został niedługo potem sekretarzem związku i pobierał za związaną z tym pisaniną małą kwotę, co go uczyniło niemal bogaczem. Nieżonaty trzeźwy robotnik, o ile zwłaszcza nie posiadał żadnych zobowiązań, mógł nieźle żyć z zarobku, niestety takich było w Voreux niewielu.

Stefan zmienił się i powierzchownie. Zgłuszony nędzą pociąg do elegancji wrócił teraz. Sprawił sobie sukienne ubranie, cienkie trzewiki i wkrótce tym zadziałał na umysły. Kupiono<sup>27</sup> się do niego jako przywódcy, co mu sprawiało wielką radość. Upajał się nektarem popularności. Dumny czuł się, że może stać na czele, rozkazywać, on, który przybył tu niedawno jako prosty przesuwacz. Wierzył ślepo w bliskość rewolucji i był pewny, że odegra w niej wybitną rolę. Spoważniał też, przemawiał często z coraz mniejszą tremą i utwierdził się ostatecznie w poglądzie, że konieczny będzie gwałtowny przewrót.

Tymczasem kończyła się jesień, a przymrozki październikowe zwarzyły rośliny. Po dachu królikarni nie przewracali się już chłopcy z przesuwaczkami, w ogródkach rosły jeszcze tylko buraki, czosnek i sałata zimowa, a ze zwieszonych nisko chmur zaczął padać po całych dniach deszcz, splukując czerwone mury domów, dudniąc w rynnach i przelewając się przez górne brzegi kadzi. W izbach tlały bez przerwy węgle w piecykach, zatruwając powietrze. Nastął znowu czas wielkiej nędzy.

Stefan nie mógł spać po nocach, gdyż kładł się rozgorączkowany mowami. Słyszał, jak Katarzyna rozbiera się po ciemku i wślizguje pod kołdrę. Właśnie napadła ją na nowo wstydlivość, śpieszyła się ogromnie z rozbieraniem i to tak niezręcznie, że odkrywała się jeszcze coraz więcej. Leżąc już w łóżku, bała się odetchnąć, ale Stefan czuł doskonale, że nie śpi i myśli o nim. Leżeli oboje wysilając się, by nie uczynić najłżejszego szelestu, ale wysiłki te nie zdawały się na nic. Stefan dwa razy już miał się zerwać i iść do niej. Co za głupota opierać się instynktownemu pociągowi, walczyć? Dzieci spały, wiedział, że czeka nań, że bez słowa obejmie go ramionami i przycisnie usta do jego ust. Mijały z wolna kwadransy. Nie wstał i nie poszedł do niej, a Katarzyna nie poruszyła się z obawy, że może go tym zwabić. Im dłużej żyli blisko siebie, tym grubszy oddzielał ich mur wstydlivości i serdecznej przyjaźni. Czemu się tak działo, nie zdołaliby sobie tego objaśnić.

#### IV

— Słuchaj no! — rzekła Maheude do męża. — Wracając z Montsou z wypłaty, kup mi funt kawy i kilo cukru.

Maheu latał właśnie trzewik, by oszczędzić wydatku na szewca.

— Dobrze! — odparł, nie przerywając roboty.

— A może byś też wstąpił do rzeźnika. Rada bym mieć trochę cielőciny, od niepa-miętnych czasów nie jedliśmy mięsa.

Podniósł głowę.

— Wydaje ci się pewnie, że mam odebrać tysiące, czy setki! Dwutygodniowa płaca nie wystarczy, zwłaszcza przy milej modzie teraźniejszej przerywania ciągle pracy.

Zamilkli. Była to sobota przy końcu października. Kompania zawiesiła roboty pod pozorem, że wypłata przeszkadza normalnej pracy. Wobec kryzysu przemysłowego, nie chciała zwiększać już swych i tak olbrzymich zapasów i korzystała z każdej sposobności, by dziesięć tysięcy górników nie pracowało.

<sup>27</sup>kupić się (daw.) — zbierać się gdzieś tłumnie, ciągnąć do kogoś gromadnie.

— Wstąp do Rasseneura po Stefana i idźcie obaj. Stefan umie lepiej rachować i bronić się, gdyby wam źle obliczano wózki.

Maheu skinął głową.

— A pomów tam z nim o dziadku. Lekarz trzyma z dyrekcją... prawda? Więc to, co mówi, nie jest prawdą. Dziadek może jeszcze pracować? — zwróciła się do Bonnemorta.

Od dziesięciu dni dziadek Bonnemort siedział na stolku z obezwładnionymi nogami. Musiała powtórzyć, nim zamruczał.

— Naturalnie, że mogę. To minie. Oni umyślnie nastawili lekarza, by mi nie płacić stu osiemdziesięciu franków pensji<sup>28</sup>.

Maheude, na myśl, że może jej w domu braknąć zarobku starego, wydała okrzyk przerażenia.

— Boże miłosierny! Trzeba będzie pomrzeć z głodu, gdy tak dalej pójdzie!

— To prawda — odparł Maheu — umarłemu jeść się nie chce.

Wbił jeszcze parę gwoździ w podszewę, wreszcie wstał i wyszedł. Kolonia miała wypłatę dopiero około czwartej, więc górnikom się nie śpieszyło. Przystawali, rozmawiali lub wlekli się powoli, a za nimi szły żony, upominając, by zaraz po wypłacie wrócili do domu. Niektóre dawały różne zlecenia w tym celu, by mężowie nie mieli czasu iść do szynku.

U Rasseneura dowiedział się Stefan czegoś nowego. Coraz bardziej niezadowolona ze stemplowania, dyrekcja gnębiła górników karami, konflikt wisiał na włosku, zwłaszcza że owo stemplowanie było tylko widocznie pozorem, poza którym kryło się o wiele więcej przyczyn.

Właśnie gdy Stefan wszedł, jeden hajer wracający z wypłaty opowiadał, że nad okienkiem kasjera przybito ogłoszenie. Co to było, nie wiedział. Każdy z nowo przybywających przynosił inne wieści. Pewnym było tylko, że Kompania z czymś nowym wystąpiła.

— I cóż ty na to? — spytał Stefan Souvarina siedzącego przy stole, na którym leżała tylko paczka tytoniu.

— Było to do przewidzenia, chcą nas doprowadzić do ostateczności.

Dla niego sytuacja była całkiem jasna, mówił spokojnie, objaśniając, że Kompania wobec kryzysu przemysłowego musi zredukować koszty produkcji, by nie upaść. Naturalnie na głodomorach się to odbije, pod jakimkolwiek pozorem obetną im płace. Od dwu miesięcy gromadzą się zapasy węgla, gdyż w wielu fabrykach robota spoczywa, Kompania nie chce zatrzymać ruchu, z obawy kosztów spowodowanych tą bezczynnością, więc idzie drogą pośrednią, może chce nawet wywołać strajk, z którego robotnicy wyszliby pobici, to jest z obniżonymi jeszcze płacami. Wreszcie być może że Kompanię niepokoi kasa wsparć, jako pogrożka na przyszłość, prze więc do strajku, by ją opróżnić, póki w niej jeszcze mało grosza.

Rasseneur usiadł obok Stefana i obaj słuchali strapieni. Można było mówić głośno, gdyż prócz pani Rasseneur nie było nikogo.

— Cóż za myśl — mruczał szynkarz. — Kompania nie zyska na strajku, robotnicy też, najlepiej więc porozumieć się.

Wydawało się to rozsądnym. Rasseneur od czasu popularności swego dawnego lokatora podkreślał coraz dobitniej swe tendencje pokojowe i powtarzał, że domagając się wszystkiego, nie można niczego osiągnąć. Obok dobrośliwości utuczonego piwem grubasa, powodem owych enuncjacji była tajemna zazdrość oraz uraza, że coraz mniej robotników przychodzi *pod Nadzieję*, by go słuchać i rad jego zasięgać. Dochodziło teraz do tego, że zapominając, iż został wydalony, stawał często w obronie Kompanii.

— Więc jesteś przeciwnikiem strajku? — spytała męża pani Rasseneur.

— Tak.

Wobec tego kałała mu milczeć i słuchać, co tamci mówią.

Stefan rozmyślał z oczyma utkwionymi w kufel, wreszcie rzekł.

— To, co, kolego, mówicie, zdaje mi się słuszne i naprawdę będziemy musieli rozpocząć strajk, do którego nas zmuszają. Bardzo trafne słowa co do tego znalazłem w liście Plucharta, który także jest przeciwnikiem strajków, gdyż robotnik traci na nich tyle, co pracodawca, a przy tym nawet w razie zwycięstwa robotnik nie uzyskuje nic pewnego.

---

<sup>28</sup> pensja — tu: emerytura.

Ale widzi on w strajku co innego, mianowicie: wielką siłę agitacyjną, środek do osiągnięcia u robotników uświadomienia sobie większych i ogólniejszych celów... Oto jego list, czytajcie sami.

Pluchart zrozpaczony był, że Międzynarodówka nie znalazła uznania górników Montsou, a sądził, że sam opór stawiany solidarnie przez czas jakiś potężnej Kompanii rozjaśni im w głowach i skłoni do masowego zapisywania się do tej, światowej już sławy, organizacji proletariackiej. Stefan zresztą główny nacisk kładł na dużo popularniejszą kasę wsparć, która jednak była jeszcze bardzo szczupła. Nie było wykluczone, że strajkujący przystąpią do Międzynarodówki, pragnąc pomocy współbraci innych krajów po wyczerpaniu swej kasy.

— Wieleż macie gotówki? — spytał Rasseneur.

— Ledwie trzy tysiące franków. Wiecie, wczoraj zawezwano mnie do dyrekcji i zapewniono bardzo uprzejmie, że Kompania nie ma nic przeciw temu, by robotnicy gromadzili kapitał rezerwowy. Ale mniemam, że Kompania zmierza do tego, by nad tymi pieniędzmi mieć pewien rodzaj kontroli. Przeczuję, że wywiążą się stąd w przyszłości zacięte walki.

Rasseneur począł chodzić po izbie i gwizdać pogardliwie: — Trzy tysiące! I cóż począć z tą odrobiną grosza? Nie wystarczy na chleb przez tydzień, a ten, co liczy na obcokrajowców, Anglików i tak dalej, może się od razu powiesić, to najprostsze. Strajk jest ostatecznym głupstwem!

Poczęli się spierać coraz to zajadlej, ci ludzie, których do niedawna łączyła wspólna nienawiść do kapitału.

— I cóż ty na to? — spytał Stefan Souvarina.

Odpowiedział jak zawsze z pogardliwym wzruszeniem ramion.

— Strajk? Dzieciństwo! Głupstwo!

Zapanowało milczenie, a Souvarine po chwili począł łagodniej:

— W gruncie rzeczy nie oponuję. Strajkujcie, jeśli was to bawi. To zawsze coś, niszczy jednych, zabija drugich i jest do pewnego stopnia sanacją. Ale postępując w ten sposób, do odbudowania świata na nowych zasadach będziecie potrzebowali z jakich tysiąc lat. Czemuż nie wysadzić raczej katorgi w powietrze? To dużo prostsze.

Gestem wskazał na Voreux widzialną przez uchylone drzwi. Przerwało mu niespodziane zajście. Pologne wpadła do stancji, zmykając przed kamieniami, którymi ciskali na nią urwisze. Przerażona, z opuszczonymi uszami, zadartym ogonem schroniła się między nogi Souvarina i poczęła drapać błagając, by ją wziął na kolana. Wziął zwierzątko, nakrył obiema dłońmi i jak zwykle zapadł w półsenną odrętwiałość.

Równocześnie niemal ukazał się Maheu. Mimo nalegań pani Rasseneur, która sprzedawała piwo tak, jakby je ofiarowywała za darmo, górnik pić nie chciał. Stefan wstał i obaj udali się do Montsou.

W dni wypłaty miasto miało świątlny<sup>29</sup> wygląd, ożywione było jak w niedzielę. Chmary robotników z wszystkich kolonii czekały u drzwi biura kasjera, tłocząc się i zamykając dostęp. Korzystając z tego, handlarze ustawiali prymitywne swe kramy, w których dostać można było nawet naczyń kuchennych i wędlin. Najlepsze interesy robiły jednak kawiarnie i szynki, gdyż górnicy czekali tam na swą kolej wypłaty. Potem, czując w kieszeni pieniądze, wracali, by oddać zarobek. Wielką roz wagę objawiali już, jeśli nie przepili go od razu w Wulkanie.

Im głębiej zanurzali się Stefan i Maheu w ciżbę, tym wyraźniej odczuwali rozpaczliwy nastrój robotników tego dnia. Nie byli dziś jak zwyczajnie lekkomyślnie usposobieni, myśląc jedynie, w której knajpie puścić część zarobku. Widać było tu i ówdzie zaciśnięte pięści, słychać było przekleństwa i pogroźki.

— Więc stało się? — spytał Maheu Chawała, którego napotkał u Piquette'a. — Popełnili to łajdactwo?

Chaval zamruczał tylko z wściekłością i ogarnął nienawistnym spojrzeniem Stefana. Przy nowym akordzie wszedł w spółkę z kim innym, Stefana zaś nienawidził coraz bardziej za to, że niedawno był tylko przesuwaczem, a teraz, jak mówił, udaje pana i cała kolonia leży u jego nóg. Łączyła się z tym zazdrość. Ile razy szedł z Katarzyną do Requillart,

<sup>29</sup> świątlny (daw. a. reg.) — odświętny, świąteczny.

ordynarnie kłął ją, obwiniając o to, że sypia z lokatorem swej matki, a potem dławił niemal w namiętnych uściskach opanowany dziką żądzą.

Maheu spytał go, czy kolej wypłaty przyszła na Voreux. Chaval kiwnął głową i zwrócił się do wyjścia, więc obaj poszli za nim w kierunku biura. Kasa mieściła się w małym pokoiku przedzielonym kratą na dwie części. Na ławkach pod ścianami siedzieli rzędem robotnicy, a kasjer z pomocnikiem wypłacali właśnie jakiemuś górnikowi stojącemu u kraty z czapką w ręku. Ponad ławką po lewej stronie drzwi widniał przylepiony widocznie świeżo żółty afisz, odbijający jaskrawo od zakurzonej, okopconej ściany. Od rana stawali przed nim górnicy. Przychodzili po dwu, trzech, zadzierali głowy i postawszy chwilę, wychodzili bez słowa z wzruszeniem ramion, zataczając się, jakby im przetrącono krzyż.

Właśnie stali przed ogłoszeniem dwaj górnicy, młody niski o twarzy kwadratowej jak u byczka i stary chudy o mętnych oczach bez wyrazu. Żaden czytać nie umiał, młodszy tylko sylabizował poruszając ustami. Stary patrzył bezmyślnie. Wchodzili ciągle nowi, patrzyli i wychodzili nie wiedząc, o co idzie.

— Przeczytajcie nam! — rzekł do swego towarzysza Maheu, także nie bardzo biegły w czytaniu.

Stefan przeczytał głośno. Było to ogłoszenie Kompanii dotyczące górników wszystkich kopalń, a streszczało się w tym, że dyrekcja wobec braku starania odnośnie do stemplowania chodników, znużona ciągłym nakładaniem kar na opieszłych, widzi się zmuszona wprowadzić we wszystkich kopalniach inny od dotychczasowego system płacy. Od tej pory za stemplowanie płacić się będzie osobno, mianowicie od metra kubicznego drzewa użytego na ten cel, płaca zaś od wózka węgla stosownie do odległości sztolni zniża się równocześnie z pięćdziesięciu na czterdzieści centymów. Następował dalej zawiły rachunek mający na celu dowieść, że nowy system płacy, mimo zniżki na wózku, nie zmniejszy ogólnej stopy zarobkowania. W końcowym ustępie dyrekcja dawała każdemu czas, by się przekonał o zaletach nowego sposobu płacy, dlatego odsuwała termin wprowadzenia go na grudzień.

— Hej! — krzyknął kasjer. — Moglibyście tam ciszej czytać! Człowiek własnych słów nie słyszy!

Stefan, nie zwracając na to uwagi, doczytał afisz do końca. Głos mu drżał, a gdy skończył, oczy słuchających wpatrywały się dalej w papier. Młody i stary górnik stali, jakby czekając na coś jeszcze, po chwili jednak wyszli pochyleni ku ziemi.

— Psiakrew! — zamruczał Maheu.

Siedział ze Stefanem na ławce i obaj liczyli w myśli, a przed afiszem stawali coraz to inni i wychodzili znowu. Czyż chciano sobie z nich zadrwić?

Nigdy nie będą w stanie powetować sobie owych dziesięciu centymów traconych na każdym wózku. Nie licząc straty czasu, za staranną robotę ciesielską, przy największej pilności zdołają odbić osiem centymów, dwa zaś skradnie najspokojniej dyrekcja. A więc o to szło? Był to ukryty sposób zniżenia płac. Kompania poczyną oszczędności ich kosztem.

— Psiakrew! Psiakrew! — mruczał prostując się Maheu — Bylibyśmy ostatnimi głupcami, godząc się na to!

Okienko kasy było właśnie wolne, przystąpił doń przeto, by wziąć pieniądze. Zgłaszali się do kasy tylko przedsiębiorcy akordowi, a otrzymane pieniądze dzielili pomiędzy członków swej grupy. To ułatwiało wypłatę.

— Maheu i towarzysze! — zawołał pomocnik kasjera. — Szacht Filonnière, sztolnia numer 7, sto trzydzieści pięć franków.

Kasjer wyliczył pieniądze.

— Niech pan wybacz — wykrztusił Maheu przerażony — ale czy pan pewny, że nie ma pomyłki?

Patrzył na pieniądze, nie tykając ich, a dreszcz nim wstrząsał zimny. Był przygotowany na niski zarobek, ale tak mało chyba wynosić nie mógł, pewnie była omyłka. Gdy wypłaci kwoty należne Zachariaszowi, Stefanowi i innemu hajerowi, który z nim pracował w zastępstwie Chavala, to zostanie najwyżej pięćdziesiąt franków dla niego, ojca, Katarzyny i Jeanlina.

— Nie, nie ma pomyłki! — odparł urzędnik. — Odpadają dwie niedziele, cztery dni bastówki, więc zostaje tylko dziesięć dni roboczych.

Maheu po cichu liczył, dodawał. Dziesięć dni powinno mu było przynieść około trzydziestu franków, Katarzynie osiemnaście, a Jeanlinowi dziewięć. Dziadek Bonnemort pracował tylko trzy dni. Ale i tak dodawszy należne Stefanowi, Zachariaszowi i temu trzeciemu pięćdziesiąt franków, suma powinna była być większa.

— Proszę nie zapomnieć o karach! Dwadzieścia franków kary za złe stemplowanie.

Maheu machnął rozpaczliwie ręką. Dwadzieścia franków kary, cztery dni przymusowego bezrobocia! Ach, w ten sposób rzeczywiście pomyłki nie było! Trafiły się wypłaty, gdy dziadek Bonnemort pracował, a Zachariasz był jeszcze w domu, że brano razem po sto pięćdziesiąt franków... ale dziś!... Ach, tak źle nie było jeszcze.

— Bierzecie raz, czy nie? — krzyknął zniecierpliwiony kasjer. — Widzicie przecie, że drudzy czekają. Jeśli nie chcecie, to mówicie!

Maheu zgarniał drżącymi rękami pieniądze i chciał odchodzić, gdy go powstrzymał urzędnik.

— Czekajcie no jeszcze, mam tu zanotowane wasze nazwisko. Toussaint Maheu, prawda? Pan sekretarz naczelny chce się z wami rozmówić. Wejdźcie, nikogo nie ma.

Oszołomiony Maheu wszedł do gabinetu, gdzie stały stare, zielonym, wypłowiałym rypsem pokryte meble i przez pięć minut słuchał naczelnego sekretarza, człowieka bladego, który, nie wstając, mówił doń sponad stosów papieru zalegających biurko. Dudniło mu w uszach, więc nie słyszał dobrze. Zdawało mu się tylko, że idzie o jego ojca, starego Bonnemorta, którego miano oddalić po pięćdziesięciu latach pracy z pensją<sup>30</sup> stu pięćdziesięciu franków rocznie. Nagle sekretarz zaczął mówić surowo. Zbeształ go za to, że zajmuje się polityką, wyrzucał zadawanie się ze swoim lokatorem i kasą wsparć, wreszcie udzielił rady, by nie robił głupstw, gdyż to nie przystoi takiemu dobremu jak on robotnikowi. Maheu chciał protestować, bąkał słowa bez związku, gniótł nerwowo czapkę w rękach i wyszedł wreszcie bełkocząc:

— Naturalnie, panie sekretarzu... Zaręczam panu sekretarzowi...

Gdy się znalazł znowu ze Stefanem na ulicy, wybuchnął:

— Jestem gałgan, powinienem był mówić... Nie dadzą nawet tyle, by wyżyć, i bieszczają w dodatku. Była o tobie mowa, powiedział, żeś zatrul całą kolonię... Cóż począć... psiakrew! Kłaniać się jeszcze, dziękować? On ma słuszość, to jeszcze jedyne!

Zamilkł zarazem z oburzenia i strachu. Stefan słuchał z ponurą miną. Mijali ciągle nowe grupy robotników. Rosło wzburzenie, objawiające się nie gwałtownymi krzykami, ale głuchym, strasznym, zwiastującym burzę pomrukiem ogromnego tłumu. Ci, co umieli rachować, wyliczyli, że przy nowym sposobie płacenia Kompania skradnie po dwa centymy na każdym wózku. Zrozumieli to nawet najgłupszy i zakipieli oburzeniem. Ale najbardziej zgniewała wszystkich dzisiejsza wypłata. Groziła rewolta głodomorów przeciwko przymusowemu bezrobociu i karom. Dziś już nie ma często co jeść, coś będzie dopiero później, gdy płace spadną jeszcze. Wykrzykiwano głośno po knajpach i pito więcej jak kiedy indziej z gniewu wysuszającego gardła.

Maheu w milczeniu wracał do kolonii ze Stefanem. Gdy weszli, Maheude dostrzegła, że mąż wraca z pustymi rękami.

— To ładnie! — zawołała. — A gdzież moja kawa, cukier i mięso? Mogłeś przynieść kawałek cielęciny, nie byłbyś przez to zbankrutował! — Nie odrzekł nic, pasując się z rozpaczą. Wreszcie drgnęła jego pomarszczona twarz o grubych rysach, wielkie łzy pojawiły się w oczach i poczęły cieknać po policzkach. Padł na krzesło, zapłakał jak dziecko i rzucając na stół pięćdziesiąt franków, zawołał:

— Patrz, com ci przyniósł. To jest nasz wspólny zarobek.

Maheude spojrzała na Stefana, a widząc, że stoi milczący, przygarbiony, wybuchnęła także płaczem. Jakże mogło wyżyć dziewięć osób przez dwa tygodnie za pięćdziesiąt franków? Najstarszy syn poszedł na swoje, dziadek nie mógł się poruszyć nawet. Zemrą niezawodnie wszyscy z głodu! Alzira rzuciła się matce na szyję zrozpaczona, że płacze, Stelka wrzeszczała, Henryś nawet i Lenora szlochali.

W całej kolonii odbywały się sceny podobne. Mężczyźni wrócili, a kobiety zawodziły głośno zrozpaczone, nie widząc wyjścia ni sposobu nakarmienia członków rodziny. Drzwi jedne po drugich otwierały się i kobiety wybiegały głośno lamentując, jak gdyby skargi

<sup>30</sup>pensja — tu: emerytura.

ich zmieścić się nie mogły w ciasnej przestrzeni mieszkań. Deszcz począł sieć drobny, nie zważały nań, ale nawoływały się wzajemnie, pokazując na dłoni drobne kwoty otrzymane na domowe wydatki.

— Patrz, co mojemu wypłacili! Czyż to nie kpiny z człowieka?

— A ja dopiero... ja.... nie wiem, czy wystarczy nam na chleb przez dwa tygodnie!

— Porachuj no, co ja dostałam. Bedę musiała chyba sprzedać koszule!

Maheude wyszła też i zaraz utworzyła się koło niej grupa, w której najgłośniejszą krzyczała Levaque, gdyż jej mąż pijanica nie wrócił nawet i była pewna, że mały czy dłuży zarobek utopi w Wulkanie. Filomena pilnowała Maheua, by Zachariasz nie dostał do rąk swoich pieniędzy. Pierronka zachowywała się spokojnie. Mąż jej potrafił jakoś tak urządzić, że miał w księdze kontrolera zawsze więcej zapisanych godzin pracy jak koledzy. Ale Brûlé zwała to podłością i stała po stronie klnących. Wyprostowana, chuda groziła pięścią w kierunku Montsou i krzyczała:

— I pomyśleć tylko, że widziałam dziś ich kucharkę jadącą kareta dwukonną do Marchiennes po ryby.

Nie wymieniła nazwiska Hennebeau, ale wszyscy się domyślili i krzyki rozległy się na nowo. Oburzenie ogarnęło robotników na służącą jadącą na targ do miasteczka pojazdem państwa. Gdy robotnik przymiera z głodu, im ryb się zachciewa. Ale niedługo już będą zjadali. Niebawem role się zmienią. Idee rozsiewane przez Stefana bujały teraz silnie na podatnym gruncie. Było to namiętne, niecierpliwe pożądanie obiecanego złotego wieku, żądza pochwycenia swego udziału w szczęśliwości ogólnej, leżącej gdzieś poza czarnym horyzontem nędzy dni dzisiejszych. niesprawiedliwość przekroczyła wszelkie granice i gdy braknie chleba ich ustom, głodomory zdobędą ziemię obiecaną. Kobiety gotowe były wziąć szturmem ową idealną krainę, gdzie nie ma nędzy, łez i troski.

Zrobiło się już późno, wybiła północ, deszcz lał jak z cebra, a kobiety kolonii zawodziły jeszcze i dyskutowały przy akompaniamencie ogłuszającego krzyku dzieci.

*Pod Nadzieją* tego wieczora zdecydowano strajk. Rasseneur nie zwalczał go już, a Souvarine nazywał pierwszym krokiem naprzód. Stefan streścił sytuację w tych kilku słowach: Kompania dąży do strajku, więc będzie miała strajk.

## V

Minął tydzień, pracowano w posępnym wyczekiwaniu wybuchu konfliktu.

Następna wypłata zapowiadała się Maheuom jeszcze gorzej. Mimo zwykłej swej rozgoryczności Maheude wpadła w rozgoryczenie. Bo też nie wiodło się. Katarzyna raz nie wróciła na noc do domu. Rano przyszła chora i tak zmęczona, że nie mogła wcale iść do kopalni. Dziewczyna płakała i zaręczała, że winien jest wyłącznie Chaval, który ją zatrzymał i zagroził biciem, gdyby uciekać chciała. Rozszalały był zazdrością i chciał nie dopuścić, by wracała do Stefana, z którym śpi w oczach całej rodziny. Tak mówił. Maheude rozwścieklona zakazała córce wdawać się z brutalem i przysięgała, że pójdzie do Montsou i da mu w twarz. Ale cóż było robić, dzień pracy i tak stracony, a gdy Katarzyna ma go za kochanka, to lepiej nie szukać innego.

W dwa dni potem wydarzyło się coś nowego. W poniedziałek i wtorek Jeanlin, zamiast iść do roboty, ruszył do lasu Vandame na wycieczkę z Bébertem i Lidią. Namówił ich oboje, a jakich się tam dopuszczali rzeczy, o tym nie wiedział nikt. Dostał porządnie różgą od matki na dworze w oczach zdumionych i przerażonych dzieci całej kolonii.

Maheude była w rozpacz. Więc tak teraz odwiedzają się dzieci, które od urodzenia tyle kosztują, gdy przyjdą do lat, w których coś mogłyby dopomóc rodzicom! W tym wykrzyku zawarła biedaczka wspomnienia własnego dzieciństwa, dziedzicznej nędzy, która z dzieci robi narzędzia pracy dla tych, którzy im dali życie.

Gdy tego ranka mężczyźni wychodzili do roboty, siadła Maheude na łóżku i krzyknęła za Jeanlinem:

— A spróbuj jeszcze raz, gałganie, to ci kości kijem połamię!

W nowej sztolni Maheua praca była ciężka. Pokład zwęzał się tutaj tak nagle, że hajerzy wciśnięci między ścianę skalną i powalę przy uderzaniu kilofami ranili sobie łokcie. Przy tym było tam bardzo mokro i lada chwila mogła trysnąć woda jakiegoś podziemnego zbiornika, rozsadzająca tak często skały chodników. Dnia poprzedniego, gdy Stefan

wydobył z węgła silnie wbity kilof woda obryzgała go całego. Ale nic się na razie nie stało, szacht stał się tylko bardziej wilgotny i niezdrowy.

Stefan zresztą zubożał na niebezpieczeństwo jak wszyscy, nie myślał o nim. Ciągłe przebywał w atmosferze gazu i nie czuł już ucisku jego na oczach i owej jakby pajęczyny zasłaniającej wzrok. Czasem przychodziło to któremuś z hajerów na myśl, gdy lampy paliły się niebiesko, i przykładano ucho do skały, by posłyszeć, jak wydobywają się ze szczeliny gazy. Ciągłym też niebezpieczeństwem zasypania groziło usuwanie się ziemi, która była przesiąknięta wodą i nie mogła oprzeć się dostatecznie na bierwionach drzewa niedbale pozakładanych.

Trzy razy już dziś Maheu poprawiał stemplowanie. Było już po wpół do trzeciej, Stefan leżąc na boku wyrąbywał blok, ludzie poczęli wyjeżdżać, gdy nagle grzmot podziemny wstrząsnął całą kopalnią.

— A to co? — krzyknął, wypuszczając kilof i nadstawiając ucha.

Zdawało mu się, że załamało się sklepienie chodnika tuż za nim. Maheu tymczasem spuścił się na dół kominem i począł wołać:

— Oberwanie ziemi! Prędeż! Prędeż!

Wszyscy biegli w kierunku miejsca katastrofy opanowani chęcią ratowania kolegów. Cisza była grobowa, lampy tylko podskakiwały w ciemnościach. Wszyscy biegli pochyleni chodnikami, na czworakach niemal i nie ustając rzucali pytania i odpowiedzi.

— Gdzie, nie wiecie?... W sztolni?... Nie, gdzieś w dole... Pewnie w galerii jezdnej.

Natrafil na pochylnię, wielu poślizgnęło się i upadło, ale nie zważali na to, że się pokaleczyli, i pobiegli dalej.

Jeanlina bolała jeszcze skóra od wczorajszych plag, toteż dziś pracował, drepcił za swoim pociągiem boso i zamykał jedne drzwi wentylowe za drugimi, czasem tylko, gdy w pobliżu nie było nadzorca, siadał na ostatnim wózku, czego mu zabraniano z obawy, że zaśnie. Najwyższą jego przyjemnością było, że mógł zbliżyć się do Béberta, który powoził, gdy pociąg wszedł na skrzyżowanie szyn i musiał chwilę czekać, by wyminąć się z drugim. Przybiegał po cichu, szczypał przyjaciela do krwi, wykrzykiwał mu się jak małpa. Był on też podobny bardzo do tego zwierzęcia, miał bowiem rude włosy, wielkie uszy, cienki nos i małe zielone oczy. Posiadał przy tym całą chytryść i instynkty uwsteczniłego, aż do zwierzęcości zwyrodniałego człowieka.

Tego popołudnia drugi pociąg ciągnął młody Trompette. Gdy pociąg przeciwny począł się zbliżać, stary Bataille stał się niespokojny. Poczuł on z dala przyjaciela, do którego czuł wielki afekt od dnia, w którym widział jego przybycie do kopalni. Był to rodzaj współczucia starego doświadczonego filozofa, chcącego młodemu osłodzić los i wpoić rezygnację i cierpliwość. Trompette nie pogodził się bowiem dotąd z koniecznością, nie chciał ciągnąć, zwieszał głowę, widocznie tęskniąc ciągle za słońcem. Ile razy się spotykali, Bataille wyciągał szyję i serdecznie obwąchiwał go, parszkając przy tym.

— Psiakrew! — zaklął Bébert — znowu się liżą bydłeta.

Potem, gdy Trompette odszedł w przeciwną stronę z pociągiem, spytał Jeanlin:

— Cóż ta szkapa ciągle dzisiaj staje?

— Daj mu spokój — odparł Bébert — staruszek ma swoje grymasy. Ile razy staje, widzi coś złego, dziurę lub kamień, a nie chce sobie nóg połamać. Nie wiem, co widział dziś tam pod drzwiami, otworzył je, i nie chciał ruszyć dalej. Widziałeś?

— Nic, pełno tam wody, jestem do nitki przemoczony.

Pociąg ruszył, ale przy pierwszych drzwiach Bataille stanął. Otworzył je głową jak zawsze i nie chciał iść, drżąc tylko i rżąc. Wreszcie po chwili zdecydował się i przebiegł klusem.

Jeanlin zamknął drzwi i pozostał w tyle. Pochylił się i począł chlapać się w kałuży, potem podniósł lampę i ujrzał, że bierwiona powały ustąpiły pod ciągłym naporem wody kapiącej na dół kroplami. Właśnie nadszedł jeden hajer, Berlaque, którego przezwano Chicot. Opuścił sztolnię i siedł do domu, gdyż żona leżała właśnie w połogu. Zatrzymał się i spojrzał na sklepienie. Jeanlin miał już pobiegnąć za pociągiem, gdy nagle rozległ się straszny trzask i gruz spadającego sklepienia przysypał ich obu.

Nastała głęboka cisza. Tumany pyłu wyrzucone ze szczelin popłynęły galerią by rozlać się po wszystkich chodnikach, a wśród tego pyłu z najdalszych sztolni biegli na pół oślepieni robotnicy na miejsce wypadku. W ciemnościach ogromnego kretowiska jak

Niebezpieczeństwo,  
Katastrofa

punkciki czerwone tańczyły ich lampy, nie oświecając niczego. Przybiegłszy na miejsce, poczęli wołać tych, co byli po przeciwnej stronie zasypanej galerii i przybiegli później z głębszego chodnika. Stwierdzono, że na przestrzeni dwunastu metrów oberwało się sklepienie. Szkoda była nieznaczna, ale wszystkim biły przyspieszonym tętnem serca, gdyż spod gruzu dolatywało śmiertelne charczenie człowieka.

Bébert opuścił swój pociąg, nadbiegł i zawołał:

— Jeanlin jest pod gruzem, Jeanlin!

W tej chwili zjawił się Maheu ze Stefanem i Zachariaszem. W rozpacz klął tylko.

— Psiakrew! Psiakrew! Psiakrew!

Katarzyna, Mouquette i Lidia przybiegły także i zaczęły płakać i głośno krzyczeć ze strachu, co zwiększało jeszcze zamieszanie. Starano się je uspokoić, ale za każdym razem, gdy posłyszały charczenie konającego, wybuchały na nowo.

Richomme nadbiegł zrozpaczony, że właśnie nikogo nie było w kopalni, ani Dansa-erta, ani Nagrela. Przyłożył ucho do gruzu i oświadczył, że jest to głos dorosłego mężczyzny, a nie dziecka. Maheu wołał Jeanlina bez ustanku, ale nie było odpowiedzi. Pewnie chłopak zginął.

Ciągle rozlegało się miarowe charczenie. Wołano na umierającego, by podał swe nazwisko. Odpowiadało ciągle charczenie.

— Dalej, dalej! — wołał Richomme, sposobiąc wszystko do ratunku. — Na gadanie będzie czas potem.

Z dwu stron górnicy uzbrojeni w pikle i łopaty rzucili się na gruzy. Chaval bez słowa pracował obok Maheua, Stefana i Zachariasza, usuwał wraz z innymi ziemię. Nadszedł czas wyjazdu, ale mimo że zgłodnieli, nikt nie biegł na obiad i nie opuścił towarzyszków. Przyszło tylko wszystkim na myśl, że w domu niepokoić się będą widząc, że nikt nie wraca. Postanowiono więc wyprowadzić dziewczęta. Ale ani Katarzyna, ani Mouquette, ani Lidia nie chciały iść, więc poselstwa podjął się Levaque. Miał powiedzieć, że naprawiają nieznaczne uszkodzenie. Około czwartej wykonano pracę całego dnia i połowę gruzu usunięto. Ale jak na złość poczęły spadać nowe bryły. Maheu pracował z wściekłością, odpychając dziko tych, którzy chcieli go złuzować na chwilę.

— Ostrożnie — zawołał nareszcie Richomme. — Dochodzimy do nich! Ostrożnie, by nie skaleczyć!

Charczenie stało się wyraźniejsze i wedle niego kierowali się pracujący. Teraz odzywało się jakby spod samych łopat i pikli. Nagle ustało.

Robotnicy spojrzeli po sobie i zadrżeli. Powiało tchnienie śmierci po czarnym państwie węgla. Pracowano jednak dalej, choć wszyscy oblani byli potem. Wreszcie ukazała się noga. Teraz usuwano gruz i ziemię rękami i odkopano powoli całe ciało. Głowa nie była uszkodzona, przysunięto do niej lampy i przezwisko: Chicot, przebiegło z ust do ust. Ciało było jeszcze ciepłe, kawałek skały strzaskał nieszczęśnikowi stos kręgowy.

— Owińcie go w płachtę i połóżcie na wózku! — rozkazał dozorca. — Teraz szukajmy chłopca.

Maheu uderzył jeszcze parę razy pikłą i zaraz zrobił się otwór, przez który ujrzano drugą partię robotników zajętych usuwaniem ziemi. Poczęli wołać, że właśnie znaleźli Jeanlina omdlałego z połamanymi nogami, ale żywego. Ojciec wziął syna na ręce i z zaciśniętymi zębami, bez słowa, wyrzucając tylko od czasu do czasu klątwę, poniosł go, a Katarzyna i inne kobiety poczęły na nowo lamentować.

Przyprowadzono dwa wózki, do których Bébert zaprzągnął Bataille'a. W pierwszym leżały zwłoki Chicota złożone tam przez Stefana, w drugi wsiadł Maheu z omdlałym Jeanlinem owiniętym w płótno zdarte z któregoś wentylatora. Orszak posuwał się z wolna, a lampy postawione na wózkach połyskiwały czerwono. Z tyłu szło około pięćdziesięciu górników. Uczuli teraz znużenie i ociężałym krokiem wlekli się, poślizgując w błocie powoli, smutnie, jak opanowana zarazą trzoda bydła. By dojść do szachtu zjazdowego, potrzebowano pół godziny czasu, korowód żałobny włókł się długo, mijając połyskujące w półmroku odgałęzienia szyn, czarne otwory galerii i chodników bocznych i zdawało się, że nigdy nie zajdzie na miejsce.

Richomme poszedł przodem, by zarządzić co potrzeba i zarezerwować jedną klatkę windy. Pierron wsunął zaraz oba wózki do windy. W jednym siedział Maheu z ciężko rannym synem, w drugim Stefan, trzymając w objęciach ciało, które inaczej nie byłoby

się zmieściło. Inne klatki pomieściły górników i rozpoczął się wyjazd. Trwał dwie minuty. Woda strumieniami lała się na dach, a robotnicy spoglądali w górę, pragnąc jak najprędzej wydostać się na ziemię.

Szczęściem chłopiec wysłany przodem po doktora Vaderhaghena znalazł go i przyprowadził do poczekalni dozorców, gdzie złożono zwłoki i rannego na materacach rozłożonych na ziemi. W izbie pozostali tylko Maheu i Stefan, na dworze zgromadził się tłum przesuwarek, hajerów, chłopców. Szeptano ze sobą żywo.

Lekarz spojrzął na Chicota i rzekł cicho:

— Z tym już koniec! Można umyć ciało.

Dwaj stróże rozebrali ciało czarne od węgla, okryte jeszcze lepkiem potem pracy i poczęli je smarować wielkimi gąbkami.

Lekarz uklęknął teraz przy Jeanlinie.

— Głowa cała — mówił — klatka piersiowa *idem*<sup>31</sup>. Ha, nogi coś szwankują.

Sam rozebrał chłopca, zdjął mu czapkę górniczą, kaftan, spodnie i koszule ze zrzętnością dozorczyń. Ukazało się teraz nędzne ciało, nikłe jakby ciało owada, powalane żółtą gliną, upstrzone tu i ówdzie czarnymi plamami krwi. Nie można było niczego znaleźć, trzeba go było również umyć. Po myciu wydał się jeszcze nędzniej, ciało było białe, przezroczyste, tak, że przez skórę widać było niemal wszystkie kości. Smutny przedstawiał widok ten potomek zdegenerowanej rasy, szkielet na pół zgnieciony. Po oczyszczeniu skóry wyszło na jaw, że ma złamane obie nogi. Przyszedł teraz do przytomności i począł jęczeć. U stóp jego ojciec łamał ręce, a grube łzy spływały mu po policzkach.

— Więc tyś jest ojcem? — spytał lekarz spoglądając nań. — Nie płacz, widzisz przecież, że żyje! Pomóż mi raczej.

Skonstatował dwa proste złamania. Prawa noga niepokoiła go więcej i wyraził mniemanie, iż ją pewnie trzeba będzie amputować.

W tej chwili przyszli Négrel i Dansaert. Négrel wysłuchał raportu dozorczy z kwaśną miną, a potem wybuchnął:

— Zawsze to przekłete stemplowanie! Czyż tysiąc razy nie ostrzegałem, że może przyjść do ofiar w ludziach. A te osły mówią zaraz o strajku, gdy się ich nagania, by lepiej stemplowali. Najpiękniejsze w tym wszystkim to, że Kompania musi teraz płacić za potłuczone garnki. Ucieszy się pan Hennebeau, nie ma co mówić!

— Jak się ten nazywa? — spytał Dansaerta stojącego w milczeniu obok zwłok, które zawijano teraz w prześcieradło.

— Chicot, jeden z najlepszych robotników. Ma troje dzieci biedaczysko!

Lekarz kazał, by Jeanlina natychmiast przeniesiono do domu. Już po szóstej ściemnia się, więc dobrze by było zawieźć też i ciało. Inżynier kazał zaprząć do wozu ciężarowego i przyniesiono lektykę. Na niej położono chłopca, a materac z ciałem wsunięto na wóz.

Przed bramą stały jeszcze dziewczęta i rozmawiały z górnikami, którzy chcieli widzieć, co się stanie dalej. Gdy otwarto drzwi pokoju dozorców, nastała cisza. Potem utworzył się pochód. Przodem jechał wóz, za nim niesiono lektykę, a z tyłu postępowali ludzie. Między podwórze kopalni i wydostano się na drogę wiodącą pod górę do kolonii. Pierwsze przymrozki październikowe огоłociły również z zieloności, a noc zstępowała powoli niby spuszczaający się z wysoka całun pogrzebny.

Stefan szeptem polecił Katarzynie, by pobiegła przodem i przygotowała Maheudę. Maheu, złamany, stąpający za lektyką usłyszał, skinął głową i dziewczyna pobiegła. Zbliżano się do wsi i mieszkańcy kolonii spostrzegli wóz, dobrze sobie znany wóz. Kobiety wypadły przerażone, kilka poczęło biec ku niemu. W jednej chwili zebrało się ich trzydzieści, pięćdziesiąt, a wszystkie równie przerażone. Więc były ofiary. Któż to? Ach, pewnie więcej jest trupów, a wóz wiezie je po jednym!

Katarzyna zastała matkę przeczuwającą nieszczęście. Od progu zawołała do niej:

— Ojciec zabity?

Daremnie dziewczyna protestowała, mówiła o Jeanlinie. Nie słuchając, Maheude wybiegła i, ujrawszy, że wóz skręca koło kościoła, zachwiała się na nogach i pobladła straszliwie. U drzwi mieszkań stały kobiety z wyciągniętymi szyciami i drząc czekały, przed którymi drzwiami wóz się zatrzyma.

<sup>31</sup>*idem* (łac.) — tak samo.

Ale wóz pojechał dalej, a za nim ujrzała Maheude kroczącego przy lektyce męża. Ale gdy postawiono lektykę u jej drzwi i ujrzała Jeanlina żywego, z połamanymi nogami, strach jej zmienił się w gniew i bez łez, ogarnięta wściekłością poczęła wołać:

— Tak więc szanowna Kompania postępuje z nami? Dzieci nasze czyni kalekami! Obie nogi! Mój Boże! I cóż ja nieszczęśliwa pocznę z nim teraz?

— Milcz no, moja droga! — powiedział doktor Vanderhaghen, który przyszedł także, by założyć opatrunek. — Czyż wołałabyś, by ci przywieziono zwłoki?

Alzira i dzieci szlochały, a Maheude szalała coraz bardziej. Złorzecząc swemu losowi, podawała lekarzowi różne rzeczy potrzebne, zawodziła i pytała, skąd teraz weźmie pieniędzy, by wyżywić chorego. Nic, że dziadek nieużyteczny, musiał jeszcze ten chłopak postradać nogi. Nie mogła się uspokoić, a krzyk jej mieszał się z lamentem dochodzącym z pobliskiego domu, gdzie żona i dzieci Chicota oplakiwały śmierć ojca.

Noc była ciemna, gdy wreszcie śmiertelnie znużeni górnicy siedli do zupy, a zjadłszy, udali się na spoczynek. Teraz ciszę przerywał tylko płacz rzewny dwu rodzin unieszczęśliwionych.

Minęły trzy tygodnie. Zdołano uniknąć amputacji i Jeanlin nie utracił nogi, ale miał pozostać kulawym do śmierci. Kompania po zbadaniu wypadku raczyła wypłacić Maheuom wsparcie w kwocie pięćdziesięciu franków i obiecała ponadto wyszukać dla chłopca robotę poza kopalnią, gdy przyjdzie do siebie. Ale mimo to nędza u Maheuów nie zmniejszała się, gdyż sam Maheu po wypadku zasłabł ciężko i długo miał gorączkę.

Od czwartku pracował znowu w kopalni, a dziś właśnie była niedziela. Wieczorem debatowano nad tym, co się stanie pierwszego grudnia. Spierano się trochę o to, czy Kompania wykona swą pogroźkę i od tego terminu obniży płace. Siedziano do dziesiątej i czekano na Katarzynę, ale nie przyszła. Wściekły ze złości, bez słowa Maheu zasunął rygiel u drzwi wejściowych, a Stefan długo nie mógł zasnąć, myśląc o tym pustym łóżku obok siebie, w którym Alzira zajmowała tak mało miejsca.

Dnia następnego Katarzyna nie wróciła i dopiero po południu, po robocie dowiedzieli się Maheuowie, że Chaval zatrzymał ją u siebie. Robił jej obrzydliwe sceny zazdrości, tak że w końcu zdecydowała się z nim zamieszkać. By uniknąć wymówek, Chaval porzucił nagle Voreux, przeniósł się do Jean-Bart, do kopalni pana Deneulin, a Katarzyna poszła z nim jako przesuwaczka. Stadło osiadło w Montsou u Piquette'a, gdzie mieszkał od dawna Chaval.

Maheu odgrażał się zrazu, że nabije Chawala, a Katarzynę przyprowadzi za kark do domu, ale wnet wzruszył ramionami i oświadczył, że nie przydałoby się to na nic. Zawsze tak się dzieje, a nie można wstrzymać dziewczyny, gdy raz postanowiła odejść. Dużo lepiej spokojnie wyczekać małżeństwa. Ale Maheude była rozżalona.

— Czyż broniłam jej zadawać się z Chawalem? — mówiła, zwracając się do Stefana, który słuchał pobladły. — Nie broniłam. Osądź pan sam... wszak jesteś człowiek mądry... Zostawiliśmy jej zupełną swobodę. Mój Boże, wszystkie dziewczęta muszą przejść przez to. To trudno... ja sama byłam przy nadziei, gdyśmy brali ślub z moim starym. Ale nie uciekałam z domu rodzicielskiego, nie okradłam ich z zarobku swego, nie oddałam go już jako dziecko mężczyźnie, który go nie potrzebuje wcale. To łajdactwo, mówię panu! Dojdzie do tego, że człowiek będzie się strzegł posiadania dzieci... jak ognia!

Stefan kiwał tylko głową, a kobieta ciągnęła dalej:

— Pozwalałam jej na wszystko. Ach, co za gałgan z tej dziewczyny! Nie mogła to zaczekać do ślubu, a tymczasem pomóc nam trochę wygrzebać się z nędzy. Źle się stało! Nie trzeba było pozwolić, bo takie stworzenie chwyta zaraz za całą rękę, gdy mu się mu poda palec.

Alzira potakiwała głową, malcy płakali z cicha, a Maheude wyliczała klęski, jakie na nich spadły w krótkim przeciągu czasu. Najpierw ożenił się Zachariasz, potem zasłabł na nogi dziadek i dotąd siedzi jak kłoc na stołku, dalej Jeanlin, który jeszcze dziesięć dni nie wyjdzie z domu, a choćby i wyszedł, to niewielka zeń pociecha... na koniec jeszcze ten cios, ta ucieczka Katarzyny. Cała rodzina się rozlatuje. Sam ojciec tylko pracuje w kopalni, ale jakże wyżyć ma siedem osób, nie licząc już Stelki, z trzech franków ojca. Czyż nie lepiej by było, by od razu skoczyli wszyscy do kanału?

— I na cóż się zda, że się martwić będziesz? — spytał głucho Maheu. — Może jeszcze jakoś sobie poradzimy.

Stefan patrzył w ziemię, teraz podniósł głowę i szepnął jakby do zjawy złotej przyszłości majaczącej kędyś w dali:

— O, czas już, czas!

## CZĘŚĆ CZWARTA

### I

Tego poniedziałku właśnie państwo Hennebeau zaprosili do siebie Gregoire'ów z córką. Po jedzeniu miał Négrel pokazać paniom kopalnię Saint-Thomas odrestaurowaną właśnie ze znacznym nakładem. Był to tylko pretekst, a pani Hennebeau, która ten spacer wymyśliła, miała na celu przyspieszenie małżeństwa Pawła Négrela z Cecylką.

I nagle tegoż poniedziałku o czwartej rano wybuchł strajk.

Gdy dyrekcja z dniem pierwszego grudnia wprowadziła nową płacę, nie wywołało to żadnego rozruchu. Cały personel wraz z dyrektorem uważał więc nową taryfę za przyjętą, toteż wielkie było zdziwienie, gdy dzisiejszego ranka wypowiedziano wojnę. Taktyka robotników i solidarność kazały przypuszczać, że istnieje sprężyste kierownictwo ruchu.

O piątej zbudził Dansaert pana Hennebeau i zaraportował mu, że w Voreux nie stawili się do roboty ani jeden górnik, a kolonie robotnicze śpią najspokojniej. Dyrektor na pół zaspany wyskoczył z łóżka i zaraz poczęły się sypać nań przykrości. Co kwadrans przynoszono mu nowe raporty, depesze i listy gromadziły się na jego biurku. Zrazu sądził, że bezrobocie ograniczy się do Voreux, ale z chwilą każdą wieści nadchodziły gorsze. Strajkowano nie na żarty w Mirou w Crèvecoeur, w Madeleine stawili się do pracy tylko stajenni, w najkarniejszych kopalniach jak Victoire i Feutry-Cantel zjechała ledwie trzecia część górników. Jedna tylko Saint-Thomas nie była objęta strajkiem i miała komplet sił roboczych.

Do dziewiątej dyrektor dyktował depesze. Telegrafował na wszystkie strony, do prefekta w Lille, do rady nadzorczej Kompanii, do władz z doniesieniem i prośbą o wskazówki. Wreszcie wysłał Négrela do sąsiedniej kopalni, by uzyskać pewne wiadomości.

Nagle przypomniał sobie o dzisiejszym śniadaniu i chciał posłać lokaja do Gregoire'ów, by ich przeprosić i odłożyć zaproszenie na inny dzień, ale nagle człowieka tego, który przed chwilą sposobił się energicznie do walki, ogarnęło wahanie. Poszedł na górę do żony, którą fryzowała właśnie garderobiana.

— Strajkują? — rzekła spokojnie. — No to niech sobie strajkują. Cóż nas to obchodzi. Przecież z tego powodu nie możemy przestać jadać?

Nie ustąpiła, chociaż tłumaczył, że śniadanie nie odbędzie się spokojnie, a zwiedzenie kopalni jest wykluczone. Znalazła argumenty na wszystko. I na cóż niszczyć śniadanie już niemal gotowe? Zwiedzenie kopalni odłożyć co prawda można, jeśli nie jest to dzisiaj możliwe.

— Zresztą — ciągnęła dalej, gdy garderobiana wyszła — wiesz, czemu chcę przyjaść tych ludzi. Małżeństwo to powinno by bardziej cię interesować jak wybryki robotników. Przy tym, chcę tego, proszę mi się nie opierać...

Spojrzała nań. Zadrżał na całym ciele, a rysy twarzy tego zamkniętego w sobie, żelaznego człowieka wyrażały teraz ból i rozpacz.

Siedziała z odkrytymi ramionami, ponętna, choć nieco przejrzała, a mąż uczył na chwilę gwałtowną chęć pochwycenia jej w ramiona, złożenia głowy na piersiach tej zmysłowej kobiety. W pokoju panowała wysoka temperatura przesycona drażniącym zapachem piżma. Ale powstrzymał się. Od dziesięciu lat pani Hennebeau nie była jego żoną.

— Dobrze — odparł wychodząc — więc zostaje wszystko, jak było.

Pan Hennebeau urodził się w Ardenach. Jako sierota na paryskim bruku ciężkie przeszedł chwile i w niedostatku ukończył akademię górniczą, ale za to jako dwudziestoczteroletni chłopak został inżynierem w kopalni św. Barbary w Grand Combe. W trzy lata potem został naczelnym inżynierem kopalni Marles w Pas-de-Calais i tutaj ożenił się dzięki przypadkowi, który się często zdarza inżynierom górniczym, z córką bogatego właściciela tkalni z Arras. Przez piętnaście lat mieszkał z żoną w małym miasteczku prowincjonalnym, a monotonii ich życia nie przerwało nawet urodzenie dziecka. Pani Hennebeau czuwała coraz to większą niechęć do męża. Wychowana w kulcie złota pogardzała człowiekiem, który nie mógł zaspokoić jej marzeń wysnionych jeszcze w pensjonacie i pracować musiał z wysiłkiem za skromną pensję.

Był bardzo uczciwy i nie spekulował, ograniczając się jedynie na tym, że spełniał wierne obowiązki swego stanowiska. Coraz większa odraza do męża ogarniała panią Henne-

beau, która jak wiele blondynek była silnie zmysłowa, a on ją kochał dalej po swojemu. Doszło do rozdziału małżeńskiego, a pani wzięła sobie kochanka, o czym mąż nie wiedział. Wreszcie wyjechali do Paryża, gdzie Hennebeau dostał biurową posadę i był pewny, że żona mu za to będzie wdzięczna. Ale właśnie w Paryżu nastąpił ostateczny rozłam. Marzyła o tym świecie od dzieciństwa i w ciągu tygodnia stała się paryżanką z krwi i kości, ubierała wspaniale, wyrzucała pieniądze i wpadła w wir kosztownych zabaw i rozrywek. Dziesięć lat pobytu w stolicy wypełniła namiętność, jawny prawie stosunek z pewnym człowiekiem, a zerwanieomal jej nie zabiło. Tym razem mąż musiał się dowiedzieć, ale po kilku gwałtownych scenach pogodził się ze swym losem rozbrojony obojętnością i spokojem żony, która postanowiła żyć i używać na swoją rękę. Hennebeau, widząc, że choruje z rozpaczypo stracie kochanka, przyjął miejsce dyrektora kopalń Montsou w nadziei, że w ciszy i samotności prowincji pocznie inne życie.

Od chwili jednak zamieszkania w Montsou wróciła tylko nuda i podrażnienie pierwszych lat. Zrazu działała na nią uspokajająco ta olbrzymia równia. Uczuła się starą oderwaną od świata kobietą, której serce już zamarło. Ale zaraz potem wróciła gorączka, poczucie potrzeby życia, którą oszukiwała przez sześć miesięcy, meblując i urządzając mały domek dyrekcyjny. Mówiła, że jest obrzydliwy, i napełniła go błyskotkami bez wartości i zbyt kosztownymi sprzętami, tak że mówiono o tym dziesięć mil wokoło. Teraz patrząc na pustą, огоłoconą z drzew równię, wieczneczarne drogi, pełne ludności budzącej w niej obrzydzenie, wpadła w rozpacz. Poczęła oskarżać męża, że za nędzne czterdzieści tysięcy rocznej pensji, za marną jałmużnę nie wystarczającą na pokrycie wydatków domowych skazał ją na wygnanie. Czy nie mógł robić interesów jak inni, uzyskać udziału w interesach, wreszcie dojść do czegoś przez spekulację. Okrył się pancerzem chłodu urzędniczego, a w głębi serca pożałował tej kobiety coraz gwałtowniej. Obudziła się w nim późna namiętność, która zazwyczaj wyrasta z biegiem lat. Nie posiadał jej nigdy jako kochanki i dręczył się marzeniem, by mu się kiedyś oddała jak innym. Co rana marzył o tym, że zdobędzie ją wieczorem, ale spotkawszy zimny wzrok, poznawszy, że go nie cierpi, nie śmiał dotknąć nawet jej ręki. Było to cierpienie nieuleczalnie, ukryte pod pozorami sztywności i ugrzecznienia, ból trawiącej się samej w sobie miękkiej natury, którą ominęła szczęśliwość życia. Po urządzeniu domu pani Hennebeau zapadła w taką prostrację i nudę, że była przekonana, iż ją to zabije. Czowała nawet zadowolenie, że się tak stanie.

W tym czasie przybył do Montsou Paweł Négrel. Matka jego, wdowa po kapitanie z Prowansji, żyjąca w Awinionie ze szczupłej renty, musiała zadowolić się chlebem i wodą, by syna przepchać przez politechnikę. Opuścił ją ze złym świadectwem, a wuj Hennebeau wezwał go, by osiadł w Voreux jako inżynier kopalni. Odtąd Paweł traktowany był jak syn rodzony, miał swój pokój, stołował się tutaj, żył tu, tak że połowę pensji znacznej mógł posyłać matce. Dla utajenia tych dobrodziejstw pan Hennebeau mówił, że uciążliwe jest dla bezżennego człowieka prowadzić własne gospodarstwo w szczupłym domku dla inżynierów przeznaczonym. Pani Hennebeau przejęła się zaraz rolą czulej ciotki. Mówiła siostrzeńcowi: ty i czuwała nad nim. Zwłaszcza w pierwszych miesiącach troskliwość jej nie miała granic. Nie przestała być jednak kobietą i przekroczyła niedługo granice przyjaźni. Paweł, młody, praktyczny człowiek nie mający skrupułów, posiadający tak swobodne poglądy na miłość, bawił ją swym oryginalnym pesymizmem. Naturalnie padli sobie pewnego wieczora w objęcia, a pani Hennebeau zdawało się, że oddaje się z życzliwości, gdyż serce jej już wystygło, i może być tylko przyjaciółką Pawła. Nie była też zazdrosna, przesładowała go przesuwaczkami, które uważał za wstrętne, i gniewała się po prostu, że nie opowiada jej swych awanturek miłosnych. Potem z namiętnością chwyciła się myśli ożenienia go. Chciała się poświęcić i odstąpić go bogatej dziewczynie. Ale stosunek ich trwał dalej, pani Hennebeau uważała to za miłą rozrywkę i oddawała się jej z lekkomyślnością starzejącej się, beczynnej a namiętej kobiety.

Minęły w ten sposób dwa lata. Pewnej nocy usłyszał pan Hennebeau pod swymi drzwiami stąpanie bosych nóg i powziął podejrzenie. Oburzyła go nowa awantura miłosna żony w jego własnym domu, z człowiekiem, którego mogłaby być matką. Ale właśnie nazajutrz sama powiedziała mu, że wybrała Cecylkę za żonę dla siostrzeńca. Zajęła się tym małżeństwem z takim zapalem, że zarumienił się sam, iż mógł ją posądzać. I uczuł wdzięczność dla Pawła, od przybycia którego w domu nie było tak bardzo smutno.

Wracając z garderoby żony, Hennebeau spotkał w przedsionku Pawła. Wracał właśnie z kopalni i był wesoły. Ten strajk bawił go.

— No? — spytał go wuj.

— Wszyscy zachowują się bardzo spokojnie. Cisza wszędzie, okna pozamykane, pewnie śpią. Przypuszczam tylko, że wysła deputację.

W tej chwili zawołała go pani Hennebeau z pierwszego piętra.

— To ty, Pawle? Chodź no tu, opowiedz mi, co słyhać nowego! Cóż to napadło tych ludzi, którym tak dobrze?

I dyrektor musiał zrezygnować z dalszych wieści, gdyż żona zabrała mu Pawła. Powrócił do swego biurka, na którym leżał znowu stos depesz.

Gdy Gregoire'owie pojawili się około jedenastej, oczekujący przed drzwiami wejściowymi lokaj Hipolit poprosił, by szybko weszli. Rozglądał się przy tym na prawo i lewo z taką trwogą, że pootwierali usta zdumieni. Żaluzje pokoju jadalnego były spuszczone, a gości poproszono do pracowni. Pan Hennebeau przeproszał za to uchybienie przepisom etykiety, ale nie należało ludzi prowokować, a właśnie okna jadalni wychodzą na ulicę. Gregoire'owie poczęli pytać przerażeni.

Ale uspokoili się wnet, dowiedziawszy się, że wybuchł strajk. Pan Gregoire wzruszył ramionami. Ba! To nic. Ludność tutejsza tak pocziwa! Żona jego przytakiwała także w zupełnym zaufaniu do stułetniej poddańczości górników, a Cecylka wyglądająca w swej ciemnej toalecie z sukna jak uosobienie zdrowia wesoła była bardzo i uśmiechnęła się, słysząc o strajku. Przyszły jej na myśl wizyty dobroczynne po koloniach.

Ukazała się niebawem pani Hennebeau, a za nią Paweł. Ubrana była w czarny jedwab. Od drzwi już mówić zaczęła.

— A to doprawdy obrzydliwi ludzie! Mogli przecież zaczekać. Wyobraźcie sobie, Paweł mówi, że nie możemy dzisiaj zwiedzić kopalni.

— Więc zostaniemy tutaj — odparł pan Gregoire z kurtuazją — i sprawi nam to doprawdy daleko większą przyjemność.

Paweł dość chłodno powitał Gregoire'ów i Cecylkę i dopiero, gdy ciotka spojrzała nań wymownie, wskazując oczyma dziewczynę, zbliżył się do niej. Za chwilę rozmawiali i śmiali się, a oczy pani Hennebeau spoczywały na nich z wyrazem macierzyńskiej czułości.

Tymczasem wśród ogólnej rozmowy kończył dyrektor przeglądanie depesz i pisanie odpowiedzi, a pani Hennebeau tłumaczyła gościom, że gabinet ten nie posiada nowego urządzenia, gdyż jej się wziąć do tego nie chciało. W istocie obicia były stare, wyblakłe, meble zużyte, staromodne mahoniowe i obrazy przyciemniałe.

Siedziano tu około trzech kwadransów, gdy kamerdyner zaanonsował pana Deneulin.

— A, jesteście? — rzekł ujrawszy Gregoire'ów. Potem żywo zwrócił się do dyrektora:

— Więc do tego doszło? Właśnie dowiedziałem się od mego inżyniera. U minie dzisiaj robota nie stanęła, ale bezrobocie rozszerzyć się może łatwo... to mnie nie uspokaja. No i cóż słyhać u was?

Przyjechał konno, a podniecenie jego zdradzało się w zbyt głośnej mowie i ruchach przypominających bardziej niż zazwyczaj wysłużonego oficera konnicy.

Pan Hennebeau począł mu opowiadać, co się dzieje, ale Hipolit otworzył drzwi do jadalni. Przerwał przeto i rzekł:

— Proszę, siadź pan z nami do stołu. Opowiem resztę przy deserze.

— I owszem, jeśli pan łaskaw — odparł Deneulin tak zajęty, że zapomniał o ceregielach.

Przypominał sobie zaraz swój nietakt i zwrócił się do pani domu z przeproszeniem. Była dziś nader łaskawa. Położono siódme nakrycie i wskazano gościom miejsca. Pani Hennebeau rzekła z uśmiechem, gdy po zupie poczęto roznosić przystawki.

— Wybaczcie moi państwo, chciałam wam dzisiaj zastawić ostrygi, bo właśnie w poniedziałki przywożą do Marchiennes świeże z Ostendy, umyśliłam więc posłać powozem kucharkę... Ale bała się, że ją obrzucą kamieniami.

Przerwał jej śmiech chóralny. Wszystkim prócz pana Hennebeau wydało się to komiczne.

— Pst! — szepnął zaniepokojony, wskazując na okna. — Lepiej, by ci ludzie nie wiedzieli, że mamy u siebie gości.

— No, no, jednak widzę tu kawałeczek kielbasy, którego oni nie dostaną.

Rewolucja, Walka klas,  
Pozycja społeczna

Zaśmiano się znowu, ale dużo ciszej. Goście czuli się doskonale w tej sali pokrytej holenderskimi tapetami, zastawionej starymi doborowymi meblami. Srebra połyskiwały poprzez szklane tafle kredensu, a nad stołem zwisała miedziana lampa, w której bani polerowanej odbijały się kwiaty zdobiące stół. Na dworze wiał zimny, północny wiatr, tu jednak nie dochodził jego powiew, gorąco było jak w cieplarni i pachniały ananasy pokrajane w plasterki leżące na kryształowej misie.

— Czy można spuścić firanki? — spytał Paweł, chcąc napędzić strachu Gregoire'om.

Pomagająca lokajowi pokojówka wzięła to za rozkaz i zasłoniła okna. Dało to hasło do nieustannych żartów, poczęto z nadzwyczajną ostrożnością brać do rąk i stawiać szklanki, noże, widelce, a każdą nową potrawę witano jakby coś cennego, co uszło grabieży w złupionym mieście. Ale na dnie tej sztucznej wesołości leżał głuchy niepokój, co się przejawiało ukradkowymi spojrzeciami rzucanymi do okna, jak gdyby przez nie zaglądał tłum zgłodniałych.

Po jajach z truflami podano pstrągi rzeczne, a rozmowa zesła na kryzys przemysłowy, który zaostrzał się ciągle od osiemnastu miesięcy.

— Musiało dojść do tego — mówił Deneulin. — Zbyt nagły rozkwit ostatnich lat jest przyczyną katastrofy. Pomyśli pan tylko, jak olbrzymie kapitały utopiono w kolejach, portach, kanałach i wszystkich innych szalonych spekulacjach. W naszych stronach na przykład założono tyle cukrowni, że nie wystarczyłyby i trzykrotny zbiór roczny buraków. I dlatego pieniądź diabelnie podrożał. Czekać trzeba, aż miliardy włożone w grynderstwa poczną dawać procent. Stąd śmiertelna stagnacja i zastój w interesach.

Pan Hennebeau zwalczał tę teorię i twierdził, że lata pomyślności przewróciły robotnikom w głowach.

— To strach pomyśleć — zawołał — że robotnicy w naszych kopalniach zarabiać mogli po sześć franków dziennie, to jest dwa razy tyle, co biorą teraz. Naturalnie nabrali złych nawyczek i rozumiem doskonale, że trudno im wrócić do dawniejszego prostego życia.

— Panie Gregoire — ozwała się, przerywając, pani domu — proszę, niech pan weźmie jeszcze pstrąga. Myślę, że złe nie są... prawda?

A dyrektor ciągnął dalej:

— Nie nasza to zatem wina. Kryzys zawziął się na nas. Z najwyższym tylko wysiłkiem możemy się pozbyć zapasów od czasu, jak fabryki poczęły padać jedna po drugiej. Więc naturalnie w miarę zmniejszania się popytu musimy ograniczać nasze koszty produkcji. A właśnie tego robotnicy w żaden sposób pojąć nie chcą.

Nastąpiła cisza. Lokaj obnosił smażone kuropatwy, a pokojowa nalewała Chambertina.

— W Indiach grasowała klęska głodu — począł jakby do siebie, półgłosem Deneulin. — Ameryka, cofając zamówienia na stal, zadała straszny cios naszym hutom. Wszystko wiąże się z sobą wzajem, kataklizm na drugiej półkuli wstrząsa nami i całym światem... I pomyśleć, że cesarstwo tak dumne było z tego nagłego rozkwitu!

Wziął się do kuropatwy. Po chwili ciągnął dalej:

— Najgorsze jest to, że chcąc zniżyć koszty produkcji, konsekwentnie należałoby produkować więcej. Tak byłoby rozsądnie. Inaczej cała oszczędność spada na płace robotnicze i robotnik ma słuszną rację, twierdząc, że z jego kieszeni płacimy za całą zabawę.

Ta uwaga, która mu się ze szczerego serca wymknęła, wywołała dyskusję. Damy nudzić się poczynęły. Zresztą każdy wolałby być zająć się swym talerzem. Służący zjawił się w pokoju z miną, jakby chciał coś mówić, zawahał się jednak.

— I cóż tam takiego? — spytał dyrektor. — Jeśli przyszły depesze, to dawaj, czekam na nie.

— Nie, panie dyrektorze, to pan Dansaert przyszedł i czeka w przedpokoju. Ale nie chce przeszkadzać.

Dyrektor przeprosił gości i kazał wpuścić Dansaerta. Dozorca wszedł i zatrzymał się w pobliżu drzwi wysoki, barczysty, zadyszany, podniecony tym, z czym przychodził. Wszyscy zwrócili nań oczy. Kolonie zachowywały się spokojnie, ale uchwalono wysłać deputację. Zjawi się ona zaraz, może już idzie nawet.

— Dobrze, dobrze! — odparł dyrektor. — Proszę o raporty rano i wieczór.

Dansaert wyszedł, a goście poczęli znowu żartować. Rzucono się na włoską salate, by ją uratować póki czas. Każda minuta była droga. Wesołość doszła do zenitu, gdy Paweł

poprosił pokojówkę o chleb, a dziewczyna powiedziała: służę panu... głosem tak drżącym, jak gdyby u drzwi stała horda rozpasanych, krwi żądnych zbirów.

— Możesz jeszcze, moja droga, głośno mówić — rzekła pani Hennebeau uprzejmie — jeszcze nie przyszli.

Dyrektorowi przyniesiono świeżą paczkę listów i depesz. Jeden z listów odczytał głośno. Pochodził od Pierrona, który w pełnych szacunku wyrazach dowodził, że zmuszony jest przyłączyć się do strajku, gdyż w przeciwnym razie naraziłby się na niebezpieczeństwo, co więcej wybrany został do deputacji, chociaż uznaje niewłaściwość tego kroku.

— Oto jak robotnicy szanują wolność osobistą! — zawołał pan Hennebeau. Poczęto mówić o strajku, pytano, co o tym myśli.

— O — odparł — nie nowina to dla nas. Popróbnij z tydzień lub dwa jak zeszyłym razem, pobawią się w knajpach, a zgłodniawszy wrócą do roboty.

Deneulin potrząsnął głową.

— Nie czuję się tak pewny. Zdaje mi się, że tym razem lepiej są zorganizowani i marą kasę wsparć.

— Tak, a w tej kasie niespełna trzy tysiące franków! Daleko z tym zajdą. Podejrzewam niejakiego Stefana Lantier, że jest ich przywódcą. Jest to doskonały robotnik i przykro by mi było, gdybym był zmuszony go oddalić jak swego czasu owego sławetnego Rasseneura, który dotąd nie przestaje truć mi ludzi swymi ideałami i swym piwem. Ale to nic, nim minie tydzień, połowa będzie przy pracy, za dwa, wszyscy się upokorzą.

To był jego pogląd na sytuację, troszczył się tylko o to, by nie popaść w niełaskę u rady nadzorczej, co się stać może, jeśli zrobią go odpowiedzialnym za strajk. Od niejakiego czasu traktowano go, w rzeczy samej, dużo chłodniej. Nie dojadłszy przeto sałaty leżącej na talerzu przebiegać oczyma poczał depesze z Paryża wysłane w odpowiedzi na jego raporty, starając się przeniknąć istotny sens każdego słowa. Musiano mu wybaczyć, choć śniadanie zmieniło się na rodzaj przekąski obozowej na polu bitwy, bezpośrednio przed pierwszymi strzałami.

Damy wmiszały się teraz do rozmowy. Pani Gregoire żałowała biedaków, którzy cierpieć będą głód, a Cecylka wyobrażała sobie już siebie w roli anioła pocieszyciela rozdającego kwitki na chleb do sklepu. Pani Hennebeau zdumiała się posłyszawszy o nędzy górników w Montsou. Więc nie czuli się zadowolonymi ludzie otrzymujący od Kompanii mieszkania, opał i poradę lekarską? Obojętna jej była ta trzoda i nie wiedziała o niej nic poza wyuczoną lekcją, która niedawno wprawiła w zachwyt przybyłych z Paryża gości. W końcu uwierzyła sama, że tak jest, i oburzała się teraz na niewdzięczność ludu.

Paweł nie przestawał tymczasem straszyć pana Gregoire.

Cecylka podobała mu się dosyć i godził się na małżeństwo, by zrobić przyjemność ciotce. Ale jak przystało na doświadczonego młodzieńca, nie okazywał zbytniego zapału, nie chcąc, jak mówił *zasypać się*. Podawał się za republikanina, co mu jednak nie przeszkadzało surowo postępować z robotnikami i drwić z nich wobec kobiet.

— Nie podzielam — mówił — optymizmu wuja. Obawiam się ciężkich zakłóceń i rozruchów. Radziłbym też panu, panie Gregoire, dobrze zaryglować Piolaine. Inaczej splądrują ją na pewno.

Przed chwilą dopiero pan Gregoire, z którego ust nie znikał dobrotliwy uśmiech, rywalizował z żoną w wychwalaniu robotników z Montsou.

— Splądrują Piolaine? — krzyknął przerażony. — I czemuż to?

— Czyż nie jesteś pan akcjonariuszem Montsou? Nic pan nie robisz, żyjesz z pracy innych. Wreszcie jesteś pan przedstawicielem owego znienawidzonego kapitału. To im wystarczy. Bądź pan pewny, że gdyby rewolucja odniosła zwycięstwo, zabrano by panu majątek jako skradzione dobro ogółu.

Z twarzy Gregoire'a znikł uśmiech i dziecięca ufność. Wybąknął blady, przerażony:

— Mój majątek... skradzione dobro ogółu? Czyż nie zapracował ciężko mój pradziad na pieniądze, za które swego czasu kupił udział w Montsou? Czyż nie ponosiliśmy ryzyka przedsięwzięcia? Czy ja trwonię moją rentę na zbytki?

Pani Hennebeau postanowiła zapośredniczyć, widząc, że matka i córka zbłądły także.

— Ależ moi państwo — rzekła — Paweł żartuje tylko!

Pan Gregoire jednak nie mógł przyjść do siebie. Lokaj podał mu półmisek raków, wziął więc trzy, nie wiedząc, co robi, i poczał szcypce rozgryzać zębami.

— Ach — wykrzyknął po chwili, rzucając gorącego raka. — Wiem ja dobrze, że wśród akcjonariuszów zdarzają się nicponie. Wiem też, że dawano ministrom denary za usługi oddawane Kompanii. Znam sam wysoko postawioną osobistość, której nazwisko przemilczę, zadowolając się tylko wzmianką, że jest to książę krwi, największy spośród akcjonariuszów. Życie tego człowieka jest jednym wielkim skandalem, jednym ciągiem szalonego wyrzucania pieniędzy na kobiety, wybryki i bezpożyteczny zbytek. Ten — jest winien. Ale my, ludzie skromni, żyjący cicho, bez zgorszenia innych, my, ludzie uczciwi, nie wdaję się w spekulacje, zadowolając się małym i oddając część dochodu biednym!... Ha, ha, ha... nie kpj pan. Wasi robotnicy musieliby być ostatnimi szubrawcami, gdyby mi zabrali choćby jedną szpilkę!

Négrel, którego ubawił strach Gregoire'a, począł go teraz sam uspakajać. Obnoszono raki, słychać było chrzęst skorup, a rozmowa zeszła na politykę. Drżący jeszcze mimo wszystko pan Gregoire oświadczył, że jest liberałem i żałuje mocno ustąpienia Ludwika Filipa. Deneulin przeciwnie był zwolennikiem żelaznej ręki i biadał, że cesarz wszedł na śliską drogę koncesji.

— Wspomnijcie państwo rok 1789 — prawil. — Wówczas szlachta była współwinna, bo poczęła gustować w nowinkach filozoficznych i umożliwiała rewolucję. Dziś podobnie postępuje mieszczaństwo, entuzjazmując się nierozsądnie liberalizmem i podobnymi ideami dążącymi do obalenia wszystkiego, co istnieje. Owo kokietowanie z ludem zemści się niechybnie. Lud, ten potwór nienasycony, ostrzy już zęby, którymi nas poszarpie. O, możecie być państwo pewni, że zębów tych nie ujdziemy!

Damy przerwały mu i pragnąc zmienić temat rozmowy, poczęły pytać o córki. Łucja pojechała do Marchiennes do swej przyjaciółki śpiewać, Janka maluje głowę starego żebraka.

Odpowiadał z roztargnieniem, nie odrywając oczu od dyrektora, który nie biorąc udziału w rozmowie, zagłębił się w depeszach. Deneulin czuł, że są to rozkazy rady nadzorczej, że zadecydują o losach strajku, więc nie mógł powstrzymać się i spytał:

— Cóż pan zamierza?

Hennebeau drgnął, a po chwili dał wymijającą odpowiedź:

— Nie wiem, zobaczmy.

— To prawda — odparł Deneulin myśląc głośno — wy macie twarde kości, możecie czekać, ale ja zgine, jeśli strajk obejmie Vandames. Cóż mi z tego, że wyreparowałem Jean-Bart! Utrzymać się mogę jedynie produkując bez przestanku. Ach, wiercie mi państwo, nie mam powodu radować się... o nie!

To mimowolne wyznanie uczyniło wrażenie na dyrektorze. Na wypadek, gdyby strajk miał przybrać groźne rozmiary, można by go wyzyskać w ten sposób, by przeciągnął się aż do ruiny sąsiada, a potem kupić tanio jego koncesję. To sposób wyborny wkupienia się w łaski rady nadzorczej, pałającej od szeregu lat chęcią nabycia Vandames.

— Jeśli panu Jean-Bart sprawia kłopot — rzekł — czemuż go pan nam nie sprzeda?

Deneulin pożałował już swej skargi i krzyknął:

— Póki żyję... nie!

Roześmiano się z jego gwałtowności, a przy deserze zapomniano już niemal o strajku. Chwalono niezmiennie tort jabłczany z kremem, potem przy wybornych również ananasach zalecały sobie damy wzajem różne recepty kucharskie. Winogrona i gruszki zamknęły śniadanie. Mówiono teraz razem, śmiano się, zapanował swobodny nastrój, jak zazwyczaj po obfitym jedzeniu, a służba napełniła kieliszki winem reńskim wysokiej marki zamiast szampana, który uznano za ordynarny.

Plan małżeństwa Cecylii z Pawłem dojrzał widocznie.

Dobra ciocia rzucała siostrzeńcowi tak wymowne spojrzenia, że począł asystować gorliwiej i pozyskał sobie na nowo pochlebstwami Gregoire'a, którego przedtem zniechęcił do siebie straszeniem rewolucją. Na chwilę zdawało się panu Hennebeau, że czyta w spojrzeniach żony i Pawła poufalość wielką, i podejrzenie jego zbudziło się na nowo, ale uspokoił się znowu tym, że w jego oczach załatwiali przecież sprawę tego małżeństwa.

Hipolit roznosił kawę, gdy wpadła przerażona pokojówka:

— Proszę pana! Proszę pana! Przyszli!

Przyszła deputacja strajkujących. Słychać było trzask drzwi i okrzyki trwogi w sąsiednich pokojach.

Lud

— Wpuścić ich do salonu! — rozkazał dyrektor.

Siedzący przy stole zamienili niespokojne spojrzenia.

Wszyscy zamilkli. Po chwili popróbowano żartów, udawano chowanie do kieszeni resztek cukru, mówiono o kryciu srebra stołowego. Dyrektor jeden nie śmiał się i wnet żarty ustały, głosy zniżyły się do szeptu, a po dywanie salonu zadudniły ciężkie, twarde kroki robotników.

Pani Hennebeau szepnęła do męża:

— Sądzę, że wypijesz naprzód kawę.

— Rozumie się — odparł — mogą poczekać.

Pozornie zajęty tylko filiżanką drżał z niecierpliwości i nadśluchiwał toczoną w sąsiednim pokoju rozmowę.

Paweł skłonił Cecylkę, że wstała i zajrzała przez dziurkę od klucza. Tłumili śmiech i szeptali bardzo cicho.

— Widzi ich pani?

— Widzę wielkiego, a za nim trzech mniejszych.

— No, prawda, jacy obrzydliwi? Jak zbóje!

— Ależ nie, przeciwnie, bardzo mi się podobają.

Nagle pan Hennebeau wstał z krzesła i powiedział, że kawę wypije potem, gdyż jest za gorąca. Wychodząc z pokoju położył palec na ustach, zalecając w ten sposób ostrożność. Wszyscy siedzieli znowu przy stole niemi, nie śmiejąc się poruszyć, nadśluchując z natężeniem męskich, szorstkich głosów, rażących ich uszy.

## II

Dzień przedtem Stefan i kilku górników uchwalili na zgromadzeniu u Rasseneura wysłać deputację do dyrekcji i wybrać jej członków. Maheude, dowiedziawszy się wieczorem, że mąż wszedł w skład deputacji, poczęła lamentować i wyrzekać, że pewnie chce, by ich wygnali wszystkich z mieszkania. Sam Maheu opierał się wyborowi. Oboje, mimo oburzenia na niesprawiedliwość, w chwili czynu popadli znowu w służalczość wrodzoną i woleliby byli raczej wyrzec się wszystkiego i ograniczyć jeszcze bardziej. Maheu słuchający zazwyczaj w sprawach ważnych rad żony na jej lamentey wpadł tym razem w złość, tym więcej, że podzielał jej obawy.

— Daj mi spokój! — rzekł kładąc się w łóżko obrócony do niej tyłem. — Pięknie by było opuszczać kolegów... Spełnię swój obowiązek.

Maheude położyła się też i długo milczeli oboje, aż wreszcie kobieta przemówiła.

— Masz słuszość... idź! Ale wiedz, mój stary, że już po nas.

Obiad jedzono w samo południe, gdyż o pierwszej miano się zgromadzić u Rasseneura i stamtąd ruszyć do pana Hennebeau. Obiad składał się z ziemniaków. Został tylko mały kawałek masła, więc nikt go nie tknął. Pocieszano się, że wieczorem będzie chleb z masłem.

— Pamiętaj — rzekł Stefan do Maheua — liczymy na ciebie, że przemówisz.

Maheu zdumiał się i głosu mu nie stało.

— O nie, tego już za wiele! — krzyknęła Maheude. — Niech idzie, ale zabraniam mu, by występował w roli przywódcy. Niech mówi inny, czemuż to na niego zwalacie?

Stefan wymownie i z zapalem powiedział jej powody. Oto Maheu jest najlepszym górnikiem kopalni, najbardziej lubianym i z powodu swej rozwagi i zdrowego rozsądku stawianym za przykład. Dlatego zażalenie robotników nabierze wagi, gdy je wniesie on, a nie kto inny. Rozpocząłby sam, ale niedawno tu jest, chętnie będzie dyrektor słuchał górnika, którego przodkowie już pracowali w kopalni. Wreszcie robotnicy powierzają obronę swych interesów najgodniejszemu i byłoby tchórzostwem odmawiać.

Maheude machnęła ręką rozpaczliwie i odparła:

— Idź, mów, przepadnij, poświęć się za innych. Zgadza się.

— Ale nie umiem mówić! Będę plótł głupstwa — bąkał Maheu.

Stefan, uszczęśliwiony, że go przekonał, uderzył go w plecy.

— Powiesz, co czujesz, i to będzie znakomite.

Dziadek Bonnemort słuchał z ustami napchanymi ziemniakami. Czuł się nieco lepiej. Dzieci, najadłszy się, nie hałasowały. Cisza się zrobiła. Wreszcie Bonnemort przełknął ziemniaki, potrząsł głową i począł bełkotać powoli.

— Powiedz, co chcesz, a będzie, jakbyś nie rzekł nic. Doświadczyłem różności... oj, doświadczyłem! Przed czterdziestu laty wygnali nas z dyrekcji szablami. Dziś inaczej... przyjmą pewnie... ale gadaj do ściany! Psiakrew! Mają złoto, to cóż im tam ludzie!

Znowu nastała cisza. Maheu i Stefan wstali i wyszli, zostawiając resztę nad pustymi talerzami. Po drodze zabrali ze sobą Pierrona i Levaque'a i niebawem znaleźli się w gospodzie, gdzie już czekali delegaci innych kolonii. Gdy się zebrało wszystkich dwudziestu, określono raz jeszcze warunki płacy, które miano przeciwstawić nowej taryfie Kompanii, i udano się do Montsou. Wybiła druga, gdy przybyli na miejsce.

Przed wszystkim lokaj kazał im czekać i zamknął im przed nosem drzwi na klucz. Potem wrócił, zaprowadził ich do salonu i odsłonił franki. Pokój zalało światło słoneczne wpadające przez jedwabne przysłonki u okien. Pozostawszy sami, górnicy uczuli się zakłopotani. Mimo że czysto ubrani, świeżo ogoleni i uczesani, nie śmieli usiąść. Stali, obracali czapki w rękach i skośnymi spojrzeniami obrzucali meble różnorodnych stylów, którymi bez odrobiny smaku, wedle mody panującej u burżuazji zubożonej, pani Hennebeau oszpeciła pokój. Były tam fotele w stylu Henryka II, krzesła Ludwika XV, stała włoska serwantka z XVII wieku, jakiś mebel hiszpański z wieku XV, stara kapa z ołtarza zwieszała się z gzymsu kominka a brzegi portier obszyte były frędzlą szat liturgicznych. Stare złoto, matowe, wypłowiałe brokaty nadawały temu bazarowi wygląd kaplicy i napełniały szacunkiem biedaków, których nogi grzęzły w wysoko strzyżonych dywanach wschodnich. Ale najbardziej dokuczało im gorąco tropikalne. Odurzyło ich po prostu, tym więcej, że przyszli wprost z mrozu i twarze mieli jeszcze od wiatru zaczerwienione. Minęło jeszcze z pięć minut, w ciągu których wzrastało ciągle pomieszanie delegatów.

Wreszcie wszedł pan Hennabeau, w zapiętym po wojskowemu surducie z wstążeczką orderową w butonierce. Przemówił pierwszy.

— A, przyszliście? Słyszałem, że zaczynacie rewolucję... co?

Urwał i z zimną grzecznością wskazując fotele rzekł:

— Siadajcież, właśnie chciałem z wami pomówić.

Górnicy obejrżeli kosztowne fotele. Kilku usiadło, inni przerażeni widokiem obić jedwabnych pokrytych haftem woleli stać.

Zapanowała cisza. Pan Hennebeau zanurzył się w fotel pod kominkiem stojący, szybko przeliczył górników, starając się sobie przy tym zapamiętać ich twarze. Poznał naprzód Pierrona kulącego się z tyłu, a potem zawisł wzrokiem na twarzy Stefana, który siedział naprzeciw niego.

— No i cóż mi powiecie? — spytał.

Był pewny, że Stefan pocznie przemowę, i zdziwił się widząc, że naprzód występuje Maheu. Nie mógł się powstrzymać i rzekł:

— Jak to? To wy, Maheu... wy, najlepszy robotnik, człek rozumny i rozważny, weteran Montsou, którego rodzina pracuje od czasu pierwszego ruszenia kilofem. O, to mnie martwi, bardzo martwi, że wy stajecie na czele niezadowolonych.

Maheu słuchał, patrząc w ziemię, potem zaczął mówić głucho, jękając się:

— Panie dyrektorze! Właśnie dlatego, że jestem człowiekiem uczciwym i spokojnym, wybrali mnie koledzy, bym przemawiał. To panu dyrektorowi powinno być dowodem, że nie idzie nam o bunt ani nieporządk, jakie wznecają ludzie źli, by wywołać rozruchy. Chcemy tylko sprawiedliwości, znużył nas ciągły głód i wydaje się nam, że przyszedł czas przedsięwzięcia czegoś, co by nam zapewniło choćby chleb powszedni.

Głos jego stał się pewniejszy. Podniósł głowę i patrząc w oczy dyrektorowi ciągnął dalej.

— Wie pan zapewne już, że nie przystajemy na nowy system płacy. Obwiniają nas, że źle stemplujemy. To prawda, że nie poświęcamy na tę robotę dość czasu, ale gdybyśmy to uczynili, to zarobek nasz wyniósłby jeszcze mniej, a że i teraz nie wystarcza na wyżywienie, więc byłby to już koniec naszej nędzy i poginęlibyśmy głodową śmiercią wszyscy do jednego... Niech nam lepiej płacą, a będziemy lepiej stemplowali, poświęcimy na to czas i nie będziemy tylko myśleli o ładowaniu jak największej ilości wózków, co nam jeszcze coś przynosi. Inaczej zapobiec się temu nie uda. Za pracę należy się zapłata... a cóżcieście

Walka klas

to panowie miast tego obmyślili? Coś, czego nie możemy ani rusz pojąć... widzi pan dyrektor! Zniżyliście panowie płacę od wózka i wmawiacie, że to się wyrówna z zapłatą za stemplowanie. Gdyby nawet tak było, to i tak byśmy stracili, bo stemplowanie zabiera więcej czasu. Ale oburzenie nas ogarnia największe na to, że o wyrównaniu ani mowy nie ma. Kompania nie wyrównuje nam zarobków do kwoty dawniejszej, ale chowa po prostu po dwa centymy od każdego wózka do kieszeni.

— Tak, tak, to prawda — zamruczeli inni, widząc, że pan Hennebeau zrobił gest gwałtowny, jakby chciał przerwać mówcy.

Maheu zresztą nie dał mu przyjść do słowa. Rozmachał się i słowa płynęły gładko z ust jego. Chwilami zdumienie go ogarniało, zdawało mu się, że to ktoś inny za niego mówi. Nagle, gwałtowne wzruszenie wyzwoliło z jego duszy wszystko, co gromadziło się tam od dawna, choć o tym nie wiedział. Mówił o ogólnej nędzy, ciężkiej pracy katorżniczej, marnym życiu, mówił o kobietach i dzieciach płaczących z głodu, wspominał o dniach wypłaty, kiedy to robotnik przynosi do domu jak na drwiny resztki zarobku pozostałe po strąceniu kar dowolnie wymierzanych i dniach przymusowego, a równie dowolnego bezrobocia. Czyż postanowiono ich zamorzyć głodem?

— Więc też — konkludował — przyszliśmy tutaj, by panu oznajmić, że jeśli już mamy paść z głodu, to wolimy umierać nie pracując. Przynajmniej się człek nie namęczy... Opuściliśmy kopalnię i nie zjedziemy pierwej, aż Kompania przyjmie nasze warunki. Kompania chce zniżyć płacę za wózek i płacić osobno za robotę ciesielską, my zaś chcemy, by zostało przy dawnym, z tym jednak, by nam podniesiono płacę o pięć centymów od wózka. Teraz na panów kolej pokazać, czy stoicie po stronie sprawiedliwości i robotników, czy nie.

Pośród górników podniosły się głosy.

— Tak, tak! Powiedział to, czego domagamy się wszyscy. Niczego niemożliwego nie żądamy.

Niektórzy kiwali bez słowa głowami na znak solidarności.

Znikł im sprzed oczu zbytkownie umeblowany salon, nie widzieli ni starej, ni nowej tandety, haftów, ni złota, ni dywanu wschodniego, który miażdżyli ciężkim obuwiem.

— Dajcież mi przyjść do słowa! — zawołał wreszcie rozgniewany dyrektor. — Przede wszystkim nie jest prawdą, jakoby Kompania chowała do kieszeni różnicę dwu centymów... to łatwo policzyć...

Rozpoczęła się chaotyczna dysputa. Dyrektor, by wywołać rozdwojenie wśród górników, wywołał naprzód Pierrona kryjącego się po kątach, ale górnik dygotał, natomiast wydierał się na czoło Levaque, perorował i mącił sprawę, wygadując niestworzone rzeczy. Gwar zmieszanych głosów głużyły firanki i upalne ciężkie powietrze salonu.

— Nigdy się nie porozumiemy, gdy będziecie mówili wszyscy naraz! — zawołał ze złością dyrektor.

Zapanował już nad podnieceniem. Był teraz znowu grzecznym, chłodnym urzędnikiem, który otrzymał instrukcję i potrafi wymusić poszanowanie dla niej. Od pierwszej chwili nie spuścił oczu ze Stefana i starał się wszelkimi sposobami skłonić go do przemówienia. W tym celu porzucił spór o dwa centymy i nadał rozmowie zwrot ogólniejszy.

— Przynajmniej jedno, moi drodzy. Słuchacie złych podszeptów wicherzycieli. Zaraza jakaś powiała wśród robotników i ogarnęła nawet najlepszych. O, nie potrzebuję nawet, byście się przyznawali. Odmieniło coś was, do niedawna tak spokojnych. Prawda, obiecano wam miast chleba z masłem, masło z chlebem, powiedziano, że teraz na was przyszła kolej zabawić się w panów! I wicherzyciele ci werbują was do Międzynarodówki, owej szajki rozbójników, którzy marzą o obaleniu porządku społecznego...

Przerwał mu Stefan.

— Myli się pan, panie dyrektorze. Do tej pory nie należy do Międzynarodówki ni jeden górnik z Montsou, ale zdaje mi się, że przy takim poparciu Kompanii niezadługo przystąpią do niej wszyscy górnicy Zagłębia. To zależy od was, panowie.

Od tej chwili rozpoczął się pojedynek pana Hennebeau ze Stefanem, reszta górników przestała istnieć.

— Kompania jest dla was Opatrznością i dopuszczacie się nadużycia, atakując ją. W tym roku wydano przeszło 300.000 franków na samą budowę mieszkań tanich, a kwo-

Walka klas, Robotnik

ta ta nie przynosi ani dwu procent. Nie mówię już o pensjach<sup>32</sup> wypłacanych na starość, o węglu i lekach. Pan, który zdajesz się inteligentny i zdołałeś w ciągu kilkunastu zaledwie miesięcy zostać najlepszym robotnikiem kopalni, powinien być raczej szerzyć uznanie dla Kompanii, jak rujnować swą przyszłość i wdawać się z ludźmi złymi... mam na myśli takiego Rasseneura, któregośmy oddalić musieli, by ochronić kopalnię od zarazy socjalistycznej. Przesiadujesz pan ciągle u niego i on to oczywiście podmówił, podmówił pana do założenia owej kasy wsparć, którą tolerowalibyśmy wreszcie, gdyby była zwyczajną kasą oszczędności, a nie kasą wojenną, gromadzącą kapitały dla prowadzenia przeciw nam wojny. Przy sposobności dodaję, że o ile kasa ma istnieć, Kompania wymaga, by miała kontrolę nad pieniędzmi tam składanymi.

Stefan nie przerywał, patrzył dyrektorowi prosto w oczy i tylko kąty ust drgały mu nerwowo. Uśmiechnął się na ostatnie słowa i odparł:

— A więc jest to nowe żądanie, bo do tej pory nie domagał się pan dyrektor kontroli. Naszym jednak żądaniem jest, by Kompania raczyła mniej się nami opiekować i miast uzurpować sobie szczytną rolę Opatrzności, zadość uczyniła najpierwszym zasadom uczciwości i sprawiedliwości, to jest dała to, co się nam należy, nasz zarobek, miast tuczyć nim akcjonariuszów. Czyż to uczciwie, by miast ratować w porze kryzysu robotnika od śmierci głodowej, sztucznie bronić się od spadku dywidendy? Pan dyrektor może mówić co chce, ale nowa taryfa jest ukrytym sposobem obniżania płac i to nas właśnie oburza. Jeśli Kompania musi oszczędzać, to niech szuka dróg innych, a nie zwała całego ciężaru na robotników.

— Nareszcie doszliśmy do jądra kwestii — wykrzyknął pan Hennebeau. — Spodziewałem się tego oskarżenia, że oglądamy robotnika i żyjemy z jego krwi i potu. Jakże pan możesz takie brednie pleść, pan, który powinieneś wiedzieć, na jak szalone ryzyko wystawiony jest kapitał w przemyśle górniczym zwłaszcza! Urządzenie kopalni kosztuje dziś półtora do dwu milionów, więc jakichże potrzeba wysiłków, by suma dała choćby skromny procent! Prawie połowa spółek akcyjnych węglowych we Francji ogłosiła upadłość... i głupstwem jest oskarżać tych, co się jeszcze trzymają, o okrucieństwo. Jeśli robotnicy cierpią niedostatek, to nie nasza wina. My sami narażeni jesteśmy przy obecnym kryzysie na olbrzymie straty. Uregulowanie płac nie leży w naszym ręku, gdyż my, nie chcąc się zrujnować, musimy poddać się warunkom stworzonym przez konkurencję. Obwiniajcie te warunki, nie nas... Ale wy nie chcecie niczego słuchać... nic pojąć...

— Owszem — odparł Stefan — pojmujemy bardzo dobrze, że nie ma dla nas zwolnienia z katorgi, dopóki trwa obecny stan rzeczy, i dlatego niedaleki już czas, w którym postarają się robotnicy, by było inaczej.

Oświadczenie to było wypowiedziane półgłosem i w formie bardzo umiarkowanej, jednakże tonem przekonania, który brzmiał jak pogrożka.

Nastąpiła cisza. Dreszcz jakiś przebiegł po salonie. Robotnicy nie zrozumieli, przeczuli jednak instynktownie, że Stefan upomina się o udział w bogactwach tego świata, więc poczęli skośnymi spojrzzeniami obrzucać urządzenie pokoju, firanki i fotele, z których najtańszy wystarczyłby po sprzedaniu dla każdego na całomiesięczne utrzymanie.

Wreszcie zbudził się z zamyślenia pan Hennebeau i wstał na znak, że posłuchanie skończone. Wszyscy poszli za jego przykładem. Stefan trącił Maheua łokciem, a stary począł znowu, jękając się:

— Więc to cała odpowiedź pańska, panie dyrektorze? Musimy chyba powiedzieć tym, którzy nas wysłali, że pan odrzuca nasze warunki.

— Ja, mój stary, niczego nie odrzucam! — wykrzyknął dyrektor. — Jestem urzędnikiem i nie mam więcej praw tutaj, jak najmłodszy z przesuwaczy w kopalni. Dostaję rozkazy i spełniam je, co jest moim obowiązkiem. Powiedziałem wam, com uważał za potrzebne, ale rozstrzygać?... Nie, ja nie mogę rozstrzygać! Przynosicie mi swe żądania, powiadomię o tym zarząd Kompanii i odpowiedź wam dam.

Mówił tonem zimnym wzorowego urzędnika, który spełnia swój obowiązek, nie dając się unieść temperamentowi, który sam jest tylko narzędziem potęgi wyższej i winien jej ślepe posłuszeństwo. Robotnicy poczęli nań spoglądać podejrzliwie, zadając sobie pytanie, kim jest ten człowiek, czemu ma interes mówić kłamstwa i dlaczego zależy mu na stawianiu

Urzędnik, Pan, Pozycja społeczna

<sup>32</sup>pensja — tu: emerytura.

po między nimi a istotnymi posiadaczami kopalń. Może to jest intrygant żyjący dostatnio, bo przekupiony?

Stefan podniósł jeszcze jeden zarzut.

— Widzi pan, panie dyrektorze, bardzo to smutne, że nie możemy bronić naszej sprawy osobiście. Wiele rzeczy objaśnilibyśmy, wiele udowodnić by się dało, gdybyśmy wiedzieli, do kogo się zwrócić.

Pan Hennebeau nie rozgniewał się, uśmiechnął się nawet.

— Ha, jeśli do mnie nie macie zaufania, to, przyznaję, sprawę powikłać może... Ha, w takim razie zwróćcie się sami tam...

Wskazał ręką na okno, a spojrzenia delegatów poszły w tym kierunku.

Cóż znaczyło to: tam? Paryż zapewne. Nie znali go, leżał dla nich gdzieś w bezmiernej dali niedostępnej, święty, kryjąc w swym wnętrzu owo tajemnicze, straszne bóstwo. Nie ujrzą go nigdy pewnie, tylko ucisk jego łap strasznych czuć będą przez wielki całe jeszcze ogromne rzesze robotnicze Montsou. Gdy dyrektor mówił, stało za nim to niewidzialne bóstwo i przez jego usta głośliło swe wyrocznie.

Zwątpili we wszystko, Stefan też wzruszył ramionami, jakby chcąc powiedzieć, że należy się wynosić. Pan Hennebeau poklepał przyjaźnie po plecach Maheua i spytał, jak się ma Jeanlin.

— Straszna to była nauczka... a wy, Maheu, bronicie jeszcze złego stemplowania? No, moi przyjaciele, myślę, że rozważycie i namyślicie się. Strajk byłby dla stron obu nieszczęściem. Nim minie tydzień, głód was wielki przycisnie. Cóż poczniecie wówczas? Ale ufam waszemu rozsądkowi i pewny jestem, że najpóźniej w poniedziałek rozpocznie się regularna praca.

Wyszli, tłocząc się we drzwiach salonu jak trzoda. Pochyleni, biegli niemal, nic nie odrzekłszy na wyrażoną przez dyrektora nadzieję, że się poddadzą. Pan Hennebeau wyprowadzając ich uznał za potrzebne zreasumować rezultat rozmowy. Kompania ze swej strony proponuje nową taryfę, robotnicy zaś żądają podwyższenia płacy od wózka o pięć centimów. Nie chcąc, by się łudzili, ze swej strony czuje obowiązek uprzedzenia ich, że warunki zostaną niewątpliwie przez zarząd odrzucone.

— Namyślcie się, nim wejdziecie na złą drogę! — powtarzał zaniepokojony ich milczeniem. W przedśionku skłonił się Pierron bardzo głęboko, a Levaque przeciwnie ostentacyjnie włożył czapkę na głowę. Maheu dumał nad tym, jakby się pożegnać z dyrektorem i począł coś bąkać, ale Stefan trącił go łokciem. Wyszli w milczeniu pełnym groźby i ciszę zmącił tylko łoskot drzwi zamykanych na klucz poza ich plecami.

Gdy pan Hennebeau wrócił do jadalni, zastał gości milczących i siedzących bez poruszenia nad kieliskami z likierem. W kilku słowach powiadomił Deneulina o tym, co zaszło, a twarz jego zasępiła się jeszcze bardziej. Pan Hennebeau popijał zimną kawę i usiłował mówić o czymś innym. Ale sami Gregoire'owie wrócili do strajku i wyrazili zdumienie, że nie ma ustaw zabraniających robotnikom przerywania pracy. Paweł uspokajał Cecylkę, powiadamiając ją, że lada chwila nadejdą żandarmi.

Wreszcie pani Hennebeau ozwała się do lokaja.

— Hipolicie, zanim przejdziemy do salonu, trzeba pootwierać tam okna i wywietrzyć.

### III

Minęły dwa tygodnie, a w poniedziałek tygodnia trzeciego przekonał się pan Hennebeau z nadesłanych mu arkuszy kontrolnych, że liczba pracujących górników zmniejszyła się jeszcze. Liczono na to, że dziś rozpocznie się robota, ale opór zarządu drażnił robotników. Już teraz strajkowały nie tylko Voreux, Crèvecoeur, Mirou i Madeleine, także w Victoire i Feutry-Cantel stawiała się do pracy ledwo czwarta część górników, a zaraza objęła także kopalnię Saint-Thomas. Strajk stawał się powoli ogólny.

Voreux była cicha, wymarła, wielkie place puste, praca spoczywała.

Na tle szarego grudniowego nieba czarno rysowało się w górze na pomoście kilka zapomnianych wózków. W dole, wśród sieci drewnianych rusztowań topniał z dniem każdym zapas węgla, poczęła już przeglądać tu i ówdzie czarna ziemia, a przeciwnie, zapas bierwion służących do stemplowania gnił na deszczu. U przystani w kanale stał do połowy naladowany statek węglowy i spał w mętnej wodzie, tylko ze zsypana mimo sloty kurzyło

się, a u stóp jego stał próżny wóz z dyszlem zadartym melancholijnie do góry. Budynki zwłaszcza zdawały się spoczywać snem głębokim, sortownie o pozapuszczanych żaluzjach, wieża szachtowa, w której przestały dudnić wózki, więc się pasy lin, znikać i ukazywać klatki, kotły oziębły, snuł się tylko cienki pas dymu z wysokiego komina. Puszczano maszynę w ruch rano tylko, by spuścić stajennych, którzy dostarczali żywności koniom, i dozorców, którzy zamienili się teraz w górników i pilnowali sklepień, które zawały się codziennie pozostawione bez ciągłych naprawek. Począwszy od dziewiątej komunikacja odbywała się tylko za pomocą drabin. Ciszę przerywało tylko głuche ociężałe sapanie pompy, jedynie funkcjonującej jeszcze, bez czego woda zalałaby kopalnię w ciągu dni paru.

Kolonia robotnicza na wzgórzu leżała także w odrętwieniu. Prefekt z Lille zjawił się natychmiast, żandarmi wałęsali się po całym zagłębiu, ale widząc, że wszędzie panuje wzorowy spokój, namyślili się, że nie mają tu nic do roboty, i wrócili do domu. Nigdy jeszcze nie zachowywano się w kolonii tak wzorowo. Mężczyźni nie zaglądali do szynków i spali po dniach całych, kobiety ograniczały się w konsumowaniu kawy i stały rozważniejsze, mniej gadając i plotkując, a wydawało się, że i dzieci pojmują położenie, gdyż zaprzestały wrzasków i chodziły boso, by nie robić hałasu, a jeśli się były nawet, to w milczeniu. Z ust do ust podawano sobie hasło: Zachowywać się spokojnie.

Ale w mieszkaniu Maheuów drzwi się nie zamykały. Stefan, jako sekretarz kasy, rozdzielił trzy tysiące franków pomiędzy dotkniętych nędzą, a prócz tego jeszcze zebrane drogą subskrypcji i składek paręset franków. Dziś jednakże wyczerpały się już pieniądze, górnicy nie mieli za co żyć i strajkować dalej, głód począł zaglądać przez szyby do mieszkań. Maigrat obiecał kredyt czterotygodniowy, ale po tygodniu rozmyślił się już i przestał dostarczać żywności. Zazwyczaj powodował się rozkazami Kompanii, która teraz widocznie umyśliła zagłodzić górników i złamać w ten sposób ich opór. Maigrat postępował teraz jak kapryśny tyran, dawał chleb lub odmawiał go, stosownie do tego, czy mu się podołała dziewczyna wysłana przez rodziców po żywność, czy nie. Przed Maheudą stanowczo zamknął drzwi, był nieubłagany. Chciał w ten sposób zemścić się za figla spletanego mu z Katarzyną.

Miarę klęski dopełniły jeszcze mrozy, które ścisnęły nagle, a kobiety z trwogą spoglądały na znikające zapasy węgla, pewne, że nie wydadzą im paliwa w kopalni, jak długo mężczyźni strajkować nie przestaną. Więc nie dość, że mają ginąć z głodu, trzeba będzie nacierpieć się jeszcze przedtem z powodu zimna.

U Maheuów zabrakło już wszystkiego, Levaque'owie żyli z dwudziestu franków pożyczonych od Bouteloupa, Pierronowie mieli dość pieniędzy, jak zawsze, ale chcąc sobie nadać pozory, że cierpią niedostatek na równi z innymi, brali wszystko na kredyt u Maigrata. Bali się, by ich nie nachodzono o pożyczkę. Od soboty wiele rodzin szło spać bez kolacji, a jednak mimo strasznego widma długich głodnych dni nie dała się słyszeć ni jedna skarga. Wszyscy mężnie trwali przy raz wydanym hasle. Co więcej, nabrali takiego zaufania, że zmieniło się ono w ślepą fanatyczną wiarę. Przyrzeczono im, że nastaną czasy sprawiedliwości, więc zdecydowali się cierpieć dla osiągnięcia szczęśliwości powszechnej. Głód zawracał głowy, nigdy też nędzarzom nie przedstawiały się takie szerokie horyzonty, nigdy też tak nie upajano się obrazami złotej niedalekiej przyszłości. Przysłonionymi mgłą wycieńczenia oczyma oglądali tam cuda wyśnione i kraina szczęścia, gdzie wszyscy będą braćmi, wydała im się rzeczywista i bliska, zdawało im się, że już żyją w złotym wieku wspólnej braterskiej pracy i wspólnego używania. Nic nie mogło zachwiać wiary. Tymczasem wyczerpała się kasa, Kompania nie ustępowała, każdy dzień musiał pogarszać sytuację. Mimo to nie tracił nikt nadziei, a na wszystko ruszano tylko ramionami i uśmiechano się pogardliwie. Gdyby nawet ziemia usuwać się teraz im spod nóg zaczęła, nastąpiłoby ocalenie przez cud. Ta wiara zastępowała im chleb i grzała przemarzłe ciała. Strawiwszy bardzo szybko wodziankę zapadali w oszołomienie i w tej ekstazie wiary w lepsze życie podobni byli męczennikom, dzikim zwierzętom niegdyś na pożarcie rzuconym.

Stefan przewodził. W wieczornych rozmowach objawiał swe wyrocznie i w miarę wiadomości nabywanych z książek rozstrzygał wszystkie kwestie. Noce spędzał na czytaniu, prowadził bardzo rozległą korespondencję, zaabonował nawet „Mściciela” (Vengeur), belgijskie pismo socjalistyczne, co w kolonii ostatecznie ugruntowało jego powagę. Upa-

Głód

jał się popularnością ten dawny maszynista, później hajer z wiecznie brudnymi rękami, szczęśliwy był, że może rozprawiać o losach górników prowincji całej, kierować Voreux i być osiłą wszystkiego. Jedno dręczyło go tylko, czuł, że za mało wie i nieraz mieszał się, jak gdyby spotkał wielkiego pana w długim surducie i cylindrze. Pochłaniał książki i gazety, ale czynił to bez metody i trudno mu było pojąć pewne jasne rzeczy, a przeciwnie o innych, o wiele trudniejszych pozwalał sobie mówić z taką swobodą, jakby je doskonale rozumiał. Miał też chwile zwątpienia i niepokoił się, czy podoła swej misji. Może nie był człowiekiem stosownym do tego. Może trzeba by tu adwokata, który by tak umiał postępować, by nie skompromitować kolegów. Ale przychodziła rozważa, a z nią ufność. Nie, za nic w świecie adwokata! To są szubrawcy, którzy używają swej wiedzy na to, by żyć kosztem ludu. Niech się dzieje co chce. Robotnicy sami muszą bronić swych praw. I znowu rozkosznie marzyć mu się poczynano. Widział się sławnym... Kto wie, może aż w Paryżu dowiedzą się o nim, zjawi się deputacja... pojedzie i tam, w wielkiej wspaniałej sali pocznie z trybuny ciskać gromy, jako pierwszy robotnik w parlamencie.

Od kilku dni miał Stefan kłopoty. Pluchart pisał list za listem, ofiarując się przyjechać, by zagrzać zapal strajkujących. Miano urządzić tajne zgromadzenie, Pluchart miał przewodniczyć, a potem przemówić i wyzyskać strajk dla zwerbowania górników do Międzynarodówki, względem której dotąd zachowywali się opornie. Stefan obawiał się rozruchów, ale byłby już wreszcie sprowadził Plucharta, gdyby nie protesty Rasseneura. A nie mógł się przestać liczyć mimo swego wzięcia z szynkarzem, którego zasługi były dawniejszej daty i który miał wielu zwolenników. Dlatego wahał się i nie wiedział, co odpisać.

Właśnie tego poniedziałku przyszedł nowy list z Lille. Był sam z Maheudą w domu. Maheu znudzony beczynnością poszedł pod szluzę kanału łapać ryby. Gdyby mu się udało, można by sprzedać i mieć za to talerz zupy. Stary Bonnemort i Jeanlin poszli próbować swych świeżo wyreparowanych nóg, a dzieci i Alzirę wysłała matka na wał zsympiska, by zbierały kawałki węgla. Przy dogasającym ognisku siedziała Maheude sama ze Stelką u piersi.

Gdy Stefan list skończył czytać, spytała:

— Cóż, dobre wieści? Przyślą pieniędzy?

Zaprzeczył głową, a Maheude rzekła:

— Nie wiem, jak przetrwamy ten tydzień... No jakoś się musi przetrzymać! Gdy się ma słuszność, nie brak odwagi... bo zawsze w końcu zwyciężyć się musi... prawda?

Była teraz za wytrwałym strajkowaniem. Naturalnie o wiele lepiej by było, gdyby Kompanię można zmusić bez tego do podwyższenia płac, ale gdy się już raz złożyło kilofy, to brać ich do ręki nie można przed uzyskaniem tego, czego się żąda.

Energia jej była niezłomna. Wołała raczej zginąć, jak poddać się.

— Ach! — wykrzyknął Stefan. — Chciałbym, by wybuchła porządna cholera i uwolniła nas od tych wyzyskiwaczy.

— Nie, nie — odparła — nie należy nikomu życzyć śmierci. Zresztą nie na wiele by się to zdało, miejsca zmarłych zajęliby drudzy, gorsi może jeszcze. Ja pragnę, by przyszedł do rozumu i mam na to nadzieję! Przecież wszędzie trafiają się ludzie dobrzy... Wie pan, że jestem przeciwna pańskiej polityce.

Nie pochwałała gwałtownych przemówień Stefana. Chciała tylko, by za pracę płacono, ile warta... i po cóż się troszczyć o sprawy takie, jak bogacze... rząd?... To są cudze sprawy, a miesząc się do nich, można jeszcze co oberwać. Szanowała zresztą młodego człowieka za jego trzeźwość i punktualność w płaceniu, więc przebaczała mu jego politykę.

Stefan począł mówić o republice, która dałaby chleba wszystkim. Ale Maheude potrząsała głową. Pamiętała rok 1848, rok republiki, głodu, rok ich małżeństwa i wielkiej nędzy. Opowiadała smutne dzieje tych czasów z wzrokiem w dal utkwionym, a Stelka spała, nie wypuściwszy z ust piersi matczynej.

— Ni liarda nie było — mruczała — ni co wziąć w usta, a wszystkie kopalnie stały. I cóż był za koniec tych cierpień, jaki skutek tego, że ludzie przymierali głodem jak teraz?...

W tej chwili otwały się drzwi i oboje ujrzeni ze zdumieniem wchodzącą Katarzynę. Od ucieczki z Chavalem nie pokazywała się w kolonii. Zmieszana była bardzo, tak że zapomniiała drzwi zamknąć za sobą. Spodziewała się zastać matkę samą, obecność Stefana nie pozwalała jej wykrztusić słów, które sobie ułożyła po drodze.

Polityka

— Czegóż tu chcesz? — wrzasnęła Maheude, nie wstając ze stolka. — Nie chcę cię widzieć na oczy, wynoś mi się zaraz. — Katarzyna szukała słów.

— Przyniosłam mamie kawy i cukru... dla dzieci... robiłam poza godzinami.... myślałam o was...

Wyjęła z kieszeni funt kawy i funt cukru i drżącą ręką położyła obie paczki na stole. Strajk w Voreux zaniepokoił ją i zapragnęła trochę dopomóc rodzicom. Ale dobroć serca nie ułagodziła matki.

— Zamiast nam znosić łakocie — odparła — lepiej było zostać z nami i zarabiać.

Posypały się na głowę dziewczyny wyrzuty. Maheuda wylała na nią całą gorycz serca, jaka się tam nagromadziła od miesiąca. Uciekać z kochankiem mając lat szesnaście i to gdy się ma rodzinę żyjącą w nędzy! Na to trzeba być urodzoną kryminalistką, potworem w ludzkim ciele! Jakież tam głupstwo wybaczyć można, ale takiego postępu nigdy. Czyż zabraniała jej wdawać się z Chavałem? Nie, była wolna jak ptak, żądała tylko, by sypiała w domu.

— Powiedz, dziewczyno — krzyczała — gdzie ty masz serce?

Katarzyna stała przy stole i słuchała wyrzutów, spuściwszy głowę na piersi. Milczała, tylko dreszcz wstrząsał jej drobnym, dziecięcym ciałem. Spróbowała po długiej chwili odpowiadać, wyrzucała oderwane frazesy.

— O, gdyby o to szło, co człowiek chce?!... To on... Każe i słuchać muszę, bo widzisz... jest mocniejszy.... nie wiadomo, co by się stało. Trudno zmieniać coś, co się zmienić nie da... zresztą ten, czy inny... Musi się przecież kiedyś ożenić.

Broniła się bez gniewu z biernością dziecka przedwcześnie zgwałconego. Takie było prawo. Nigdy sobie inaczej miłości nie wyobrażała jak gwałt pod zsypaniem, dziecko w szesnastym roku życia, a potem po ślubie dożywotnia nędza w domu. Nie rumieniała się... drżała tylko z przerażenia, że ją matka traktuje jak upadłą dziewczynę wobec człowieka, którego obecność mieszała ją i zbijała z tropu.

Stefan wstał tymczasem i, by nie przeszkadzać, udawał, że poprawia węgle w kuchni. Ale spojrzenia ich spotkały się. Ujrzał, że jest błada, wycieńczona, ale mimo to ładna, z głębokimi oczami na bezkrwistej twarzy. Dziwnego doznawał uczucia, pragnął teraz, nie czując zgoła urazy, by szczęśliwa była z człowiekiem, z którym ją los połączył. Rad by był jej pomóc. Gotów był iść do Montsou i zmusić Chawała, by się z nią lepiej obchodził. Ale Katarzyna nie dopatrzyła się w jego wzroku niczego prócz pogardy. Tak, nie patrzyłby w ten sposób. Pogardał nią. Gardło jej się ścisnęło i nie mogła wyrzec już ani słowa na swe usprawiedliwienie.

— Dobrze robisz, że milczysz! — ciągnęła dalej nieugięta Maheude. — Jeśli przyszłaś, by zostać, to dobrze, jeśli nie, wynoś się i bądź kontenta, że z powodu Stelki nie mogę ci dać kopniaka!

Jakby w wykonaniu tej pogroźki dostała Katarzyna brutalne kopnięcie z tyłu, aż się zatoczyła na pół ogluszona. Chawal jednym skokiem przesadził próg i kopnął ją. Od chwili już szpiegował z pola, co się dzieje w izbie.

— Zmijo jadowita! — zaryczał. — Szedłem za tobą, bo pewny byłem, że idziesz do swego kochanka. Płacisz mu za to... prawda? Tuczysz go za moje pieniądze!

Maheude ni Stefan nie drgnęli zaskoczeni niespodzianką. Chawal ruchem ręki wskazał dziewczynie drzwi.

— Wynoś się!

Uciekła w kąt izby, a Chawal zwrócił się do matki.

— Ładne zajęcie stać na straży, gdy ta suka zabawia się na górze z kochankiem.

Chwycił Katarzynę za ramię, potrząsnął nią i pociągnął drzwiom. Stojąc w progu zwrócił się raz jeszcze do Maheudy, która z odkrytą piersią siedziała nieporuszona, jak skamieniała. Stelka zasnęła z twarzą w kaftaniku matki.

— W braku córki, mamusia! — krzyknął. — Wesołej zabawy! Pokazuj mu, ścierwo, pokazuj... jego to nie mierzi, tego wieprza sprośnego!

Stefan chciał już od dłuższej chwili rzucić się na Chawała i zdławić go. Ale powstrzymała go obawa, że narobi hałasu i rozdrażni całą kolonię. Dlatego nie wyrwał też Katarzyny z jego rąk. Ale nie mógł teraz wytrzymać, poskoczył naprzód i dwaj mężczyźni stanęli naprzeciw siebie mierząc się rozplamionym wzrokiem. Była to stara nienawiść, tłumiona długo zazdrość. Miała teraz wybuchnąć. Jednego było za wiele na świecie.

Wzrok

— Pilnuj swego języka! — wyrzucił Stefan przez zaciśnięte zęby. — Zatlukę cię.

— Spróbuj! — odkrzyknął Chaval.

Przez kilka sekund patrzyli sobie w oczy stojąc tak blisko, że czuli wzajemnie swe gorące oddechy na twarzach. Nagle Katarzyna chwyciła za rękę swego tyrana i poczęła póty szarpać, aż go wyciągnęła z kolonii na drogę. Nie odwróciła nawet głowy i znikli oboje.

— Co za zwierzę! — wykrzyknął Stefan zatraskując drzwi. Musiał usiąść, gdyż ze wzburzenia chwiał się na nogach. Maheude nie poruszyła się do tej chwili. Podniosła tylko pięść i groziła nią w kierunku drzwi. Oboje milczeli, rozgniewani i przygnębieni tym, co usłyszeli. Mimo woli oczy Stefana padły na jej pierś i ten widok zmieszał go nagle. Miała przeszło czterdzieści lat i kształty jej ucierpiały bardzo z powodu licznych porodów i ciągłego karmienia, ale wielu ludziom wydawała się jeszcze przystojną. Była wysoka, barczysta, a na twarzy pozostały ślady dawnej piękności. Z wolna, spokojnie zapięła kaftanik, a teraz już po szyję tkwiła w czarnej starej sukni.

— Ot, zwierzę! — rzekła wreszcie. — Tylko świni mogą przyjść podobnie obrzydliwe myśli. Cóż mnie to obchodzi... szkoda odpowiadać...

Potem, spoglądając śmiało w oczy Stefanowi, mówiła:

— Nie jestem bez błędu, ale tej wady nie mam... Miałam do czynienia w życiu tylko z dwoma mężczyznami, przesuwaczem, który mnie zgwałcił, gdym miała lat piętnaście, a potem opuścił... no i z Maheu. Gdyby Maheu był mnie opuścił jak tamten, to nie wiem, co by było. Nie jestem zarozumiała z tego powodu, żem dotrzymała wiary małżeńskiej... bo czy się jest uczciwą, czy nie... to zależy od sposobności. Mówię, jak było, a wiem, że nie wszystkie sąsiadki mogłyby się otwarcie jak ja wypowiadać...

— To prawda — powiedział Stefan i wstał.

Wyszedł z domu, a Maheude, położywszy Stelkę na dwu zsuniętych krzesłach, porwalił ogień na kominie. Może Maheu złapie rybę, to się sprzeda i ugotuje zupy.

Noc zapadła mroźna, czarna. Stefan siedł smutny i zniechęcony. Nie gniewał się już na Chavala, żał mu było tylko biednej brutalizowanej dziewczyny. Ale po chwili zbladła mu w pamięci ta scena, zlała się z ogólnym obrazem strasznego położenia. Kolonia bez chleba, dzieci, kobiety głodne, wszyscy ci ludzie walczący uparcie a pozbawieni środków do życia. Wątpliwości dawniejsze opadły go znowu, silniejsze, bardziej bójące wśród czarnej nocy. Czyż zagrzewać do dalszego oporu wobec braku chleba i kredytu? I cóż się stanie, jeśli pomoc nie nadejdzie, a głód złamie męstwo? Ujrzał okropności końca, dzieci umierające, łkające matki i bladych mężczyzn wracających do pracy. Szedł i potykał się gnany myślą, że Kompania wygra, a on winien będzie nędzy towarzyszy pracy i niedoli.

Podniósł głowę, stał przed Voreux. Czarne masy budynków zdawały się rosnąć w niebo. Stojącemu na podwórzu zdawało się, że jest to jakaś stara, opuszczona twierdza. I czemuż ma zwyciężyć w tej walce pracy z kapitałem? Zwycięstwo w każdym razie drogo opłaci. Ogarnęła go znowu żądza walki, skończenia z tą nędzą, choćby za cenę życia. Wszystko jedno, czy zginąć od razu, czy mrzeć pokoleniami całymi przez wieki. Przychodziły mu na myśl rzeczy, o których czytał, przykłady mieszkańców podpalających miasto, by nie wpadło w ręce wroga, matek rozbijających głowy swych synów o bruk, byle nie dostali się do niewoli, mężczyzn ginących z głodu, nie chcących mimo to tknąć chleba tyrana. Wszystko to gdzieś znalazł w książkach i bezkrytycznie, nie przetrawiwszy, stosował do chwili obecnej. Poweselał, znikł czarny pesymizm wątpliwości, pozostał tylko wstyd, że mógł zwątpić. Ogarnęła go też zaraz duma wraz z powrotem wiary w przyszłość. Będzie przywódcą, którego się słucha, ponosząc nawet ofiary. Począł marzyć o potęgę swej i bliskim tryumfie, a fantazja nasunęła mu obraz cudny. Ujrzał siebie u szczytu władzy, składającego tę władzę w ręce ludu.

Drgnął, zbudził go głos Maheua. Górnik wesoło opowiedział mu o swym szczęściu. Udało mu się złapać prześlicznego pstrąga, za którego dostał trzy franki, nie pójdą więc spać bez kolacji. Odszedł ku kolonii, a Stefan obiecał, że zaraz przyjdzie, i poszedł prosto *pod Nadzieję*. Siedział i czekał, póki nie wyjdzie ostatni gość, a potem oświadczył szynkarzowi kategorycznie, że natychmiast napisze Pluchartowi, by przyjeżdżał. Powziął postanowienie zwołania wielkiego, tajnego zgromadzenia i był pewny zwycięstwa, gdy tylko górnicy przystąpią masowo do Międzynarodówki.

Przywódcą

Zwołano zgromadzenie w Bon-Joyeux u wdowy Désir na czwartek, godzinę drugą po południu. Wdowa oburzona była na nędzę, w którą pogrążono *jej dzieci*, tj. górników, i nie przestawała kląć zwłaszcza od czasu, kiedy jej lokal opustoszał. Żaden strajk nie odbywał się jeszcze tak na sucho, nawet nałogowi pijacy siedzieli po domach, by nie sprzeniewierzyć się wydanemu hasłu. Szerokie ulice Montsou zatłoczone ludźmi czasu świąt górniczych puste teraz były, nieme i smutne. Piwo przestało łać się z beczek i brzuchów, a ścieki uliczne wyschły całkiem. W progach gospód *Casimira* i *pod Postępem* stali szynkarze pobladli, patrząc na puste ulice, na których nie było żywego ducha od Café Lenfant do Café Tison i od Café Piquette aż po gospodę *Pod trupią głową*. W jednej z Café St. Eloi, gdzie przesiadywali dozorczy, szło po kilka kufelków dziennie. Opustoszał, o dziwo, nawet Wulkan, a damy tej instytucji strajkowały też z braku wielbicieli, choć przy tych złych czasach chętnie by były przyjęły niższą płac z dziesięciu na pięć sous. W całym mieście zapanowała żałoba.

— Do stu tysięcy! — wrzeszczała wdowa, bijąc się obiema rękami po biodrach. — Wszystkiemu winni żandarmi! Niech mnie wsadzą do furdygi, i tak nie przestanę twierdzić, że żandarmi winni!

Zwała tak wszystkie władze, urzędników, tą pogardliwą nazwą obejmowała w ogóle wszystkich wrogów ludu. Z radością zgodziła się oddać salę na zgromadzenie. Cały jej dom jest do użytku górników, oddałaby nawet salę balową i sama rozniosła uczestnikom zaproszenia imienne, jak chce ustawa. A jeśliby miało się dziać coś wbrew ustawom, to jeszcze lepiej! Niech no się który żandarm zjawi... pogada sobie z nimi po swojemu. Nazajutrz przyniósł jej Stefan pięćdziesiąt listów do podpisania. Listy te z listu jego przekopowali umiejący pisać górnicy kolonii... Zawierały wezwanie na zgromadzenie, na którym będzie dyskusja co do dalszego prowadzenia strajku. W gruncie rzeczy jednak spodziewano się Plucharta i tego, że po jego przemówieniu górnicy masowo przystąpią do Międzynarodówki. Rozesłano je do różnych kolonii robotniczych, do delegatów i w ogóle ludzi pewnych.

Rano we czwartek ogarnął Stefana niepokój, gdyż dawny przełożony jego z Lille nie przyjechał, mimo że telegramem zapowiedział swe przybycie w środę wieczorem. Cóż się stało? Stefan był zrozpaczony, że nie będzie mógł rozmówić się z Pluchartem przed zgromadzeniem. O dziewiątej poszedł do Montsou przypuszczając, że może tam od razu zajechał, nie zatrzymując się w Voreux.

— Nie, nie widziałam pańskiego przyjaciela — odparła wdowa — ale wszystko już gotowe, chodź pan!

Zaprowadziła go do sali balowej. Dekoracja nie uległa zmianie, te same festony róż zdobiły powale i te same tarcze herbowe z imionami świętych wisiały na ścianach. Tylko estradę dla muzyki zastąpiono stołem i trzema krzesłami oraz powstawiano ławki.

— Doskonale! — rzekł Stefan.

— Będziecie jak u siebie. Piorunujcie, co wlezie... gdyby przyszli żandarmi, to muszą chyba przejść po moim ciebie, nim się tu dostaną.

Mimo strapienia uśmiechnął się, spojrzawszy na wielką jak kufa piwa szynkarkę.

Zdumiał się, ujrzawszy wchodzących Rasseneura z Souvarinem i, gdy wdowa wyszła, spytał:

— Co, jużście przyszli?

Souvarine, który pracował całą noc, gdyż maszyniści nie strajkowali, przyszedł z ciekawości, Rasseneur zaś od paru dni był zakłopotany i przestał się dobrodusnie uśmiechać.

— Plucharta nie ma, bardzo jestem niespokojny! — rzekł Stefan.

Rasseneur odwrócił głowę i bąknął przez zęby:

— Nie dziwi mnie to, nie spodziewam się tego.

— Czemu?

Rasseneur zmusił się do spojrzenia mu w oczy i rzekł:

— Temu, że pisałem doń, a jeśli już chcesz wiedzieć, to ci mówię, iż go prosiłem, by nie przyjeżdżał. Tak zrobiłem. Myślę, że możemy sami załatwić nasze sprawy bez mieszania w to obcych.

Stefan wpadł w szal, drżał z gniewu i wpijając się oczyma w Rasseneura, począł wołać:

— Ty to zrobiłeś? Ty to zrobiłeś?

— Tak, naturalnie ja. Wiesz, że ufam Pluchartowi. Jest to lis, a przy tym człek mądry. Ale nie cierpię tej waszej polityki, tego szarpania rządu. Żądam, by lepiej traktowano robotnika... oto wszystko. Przez lat dwadzieścia pracowałem w sztolni, wiem, co to jest nędza i cierpienie, i dlatego poprzysiągłem sobie zrobić coś dla tych nieszczęśników. A widzę, że te wasze fantazje nie tylko do niczego nie doprowadzą, ale jeszcze pogorszą los nędzarzy... Niech no wróci do roboty zagnany głodem... już sobie użyje na nim Kompania! Zapłaci mu kijem! Jak psa dręczyć pocznie zbiegłego, którego się na nowo do komórki zamyka! I temu właśnie chcę zapobiec, wiedz o tym!

Mówił głośno rozkraczony na grubych nogach, z brzuchem wypiętym. Słowa płynęły mu gładko i szybko i w nich malował się charakter tego spokojnego, praktycznego człowieka. Czyż nie absurdem jest mniemać, że świat się przerobi z dnia na dzień, że się na miejscu panów postawi nędzarzy, podzieli bogactwa jak jabłka i zapanuje od razu szczęście! Nim coś podobnego się stanie, mogą upłynąć lat tysiące. Więc lepiej milczeć, jak pleść o tych cudach. Najmądrzej jest, nie narażając się na rozbicie nosa, wziąć pod uwagę cel najbliższy, starać się o reformy i wykorzystać każdą sposobność, by poprawić los robotnika. Do tego zabierze się chętnie i pokaże, że skoro weźmie sprawę w rękę, skłoni dyrekcję do przyznania pewnych ulg. Inaczej wszystko na nic i robotnicy razem ze swym męstwem poginą z głodu.

Stefan nie przerywał, gdyż gniew obezwładnił mu język. Wreszcie wykrzyknął:

— Ależ człowieku, nie masz chyba krwi w żyłach!

Przez mgnienie oka walczył z chętką wymierzenia szynkarzowi policzka, ale opamiętał się i by nie ulec pokusie, począł biegać po sali, roztrącając niewinne ławki.

— Zamknijcież przynajmniej drzwi! — ozwał się Souvarine. — Nie potrzebują wszyscy tego słuchać.

Zamknął sam, usiadł przy stole, skręcił papierosa i spoglądał na obu łagodnym wzrokiem, w którym tlał uśmiech.

— Nie gniewaj się, w ten sposób nie dojdiesz do niczego — ciągnął spokojnie Ras-seneur. — Myślałem długi czas, że ci nie zbywa na rozsądku. Bardzo mądrze postąpiłeś, przykazując spokój i używając swego wpływu na utrzymanie porządku. Ale teraz chcesz wszystko popsuć...

Za każdym nawrotem przyskakiwał teraz Stefan do szynkarza, chwycił go za ramię, trząsł nim i krzyczał mu w nos swe odpowiedzi.

— Tak, do stu tysięcy diabłów, chcę spokoju, nakazałem spokój, pilnuję spokoju... ale nie pozwolę, by drwiono sobie z nas! Zazdroszczę ci doprawdy, że w tym wszystkim możesz zachować zimną krew, ja myślę chwilami, że oszaleję.

Było to wyznanie. Kajał się sam, iż ludził się do niedawna jeszcze, jak smarkacz, że wnet nastaną czasy szczęścia i sprawiedliwości. Byłoby z tym bardzo wygodnie... założyć ręce i czekać cudu, i patrzeć, jak ludzie pożerają ludzi niby wilki. O nie, trzeba do poprawy świata przyłożyć ręki, bo inaczej wiecznie by panowała niesprawiedliwość i bogacze ssaliby ciągle krew nędzarzy. Nie może sobie też darować, że dawniej chciał odłączyć politykę od kwestii społecznej. Wówczas nie wiedział nic jeszcze, od czasu tego wiele czytał i myśli jego się wyklarowały. Ale systemu, jaki sobie stworzył, wyłożyć jasno nie umiał, pełno w nim było śladów różnych przyjętych raz i znowu odrzuconych teorii. Jedno tylko było niewzruszone, idea Karola Marxa, że kapitał jest rezultatem grabieży, więc praca ma prawo i obowiązek odzyskać skradzione bogactwa. Zrazu zapalił się do utopii Proudhona wzajemnego kredytu, wielkiego wszystko ogarniającego banku światowego, potem byłby się dał pokrajać za Lasalowskie wyposażone przez państwo towarzystwa spółdzielcze, które powoli świat cały zamieniłyby w olbrzymie miasto przemysłowe. Nie mógł tylko sobie wyobrazić, jak by można wykonywać tam kontrolę. Teraz wreszcie doszedł do kolektywizmu i żądał, by wszystkie środki produkcji oddano społeczeństwu. Ale jeszcze nie wie dokładnie, w jaki sposób ideał ten urzeczywistnić, jeszcze ma wątpliwości i nie śmie działać wedle stanowczych zresztą zapewnień tej grupy socjalistycznej. To jedno nie ulega w jego oczach wątpliwości, że w pierwszej linii trzeba opanować rządy. Potem zobaczy się, co dalej.

— Nie rozumiem jednak, co ciebie opętało? Czemu przechodzisz na stronę bogaczy?

Konflikt, Społecznik,  
Idealista

— krzyknął na całe gardło, stając przed Rasseneurem. — Sam przecież powiedziałeś, że to musi paść!

Rasseneur zarumienił się z lekka.

— Powiedziałem, i gdy padnie, to zobaczysz, że nie gorzej od innych będę się uwijał. Ale dziś nie chcę należeć do tych, którzy zwiększają nędzę i po karkach nieszczęśników wspinają się coraz wyżej, by zrobić karierę.

Teraz Stefan zarumienił się. Dwaj przeciwnicy przestali krzyczeć, słowa ich stały się za to ostre jak strzały. Dotknęli kwestii rywalizacji swej, to jest tajemnej sprężyny, która jednego pędziła w dziedzinę najsłabszych fantazji społecznych, a drugiego w biegunowo przeciwnym kierunku zimnej, wyrafinowanej przebiegłości. Obaj poszli dalej, jak zamierzali, grali role, tym niebezpieczniejsze, że nie obrali ich sobie sami, ale narzuciło im je współzawodnictwo. Toteż na dziewczęcej twarzy Souvarina pojawił się wyraz pogardy, głębokiej niemej pogardy człowieka, który wyrzekając się sławy męczennika, gotów każdej chwili dać życie za umiłowaną ideę.

— To do mnie pite? Więc zazdrościsz mi, widzę? — rzekł Stefan.

— Zazdrościsz? A czegoż bym miał zazdrościć ci? — odparł szynkarz. — Przecież ja nie pnę się w górę, nie chcę zakładać sekcji w Montsou na to, by zostać jej sekretarzem.

Stefan chciał mu przerwać, ale Rasseneur mówił dalej:

— Nie owijaj rzeczy w bawełnę, mój drogi! Przyznaj, że w gruncie rzeczy zgoda cię nie obchodzi ta cała Międzynarodówka, ale pałaszą żądzą stania na czele nas, bawienia się w pana, korespondowania ze sławną Radą Związku Północnego.

Zapanowało milczenie. Stefan dygotał z gniewu. Po długiej chwili począł wreszcie:

— Mniejsza z tym. Zdaje mi się, że nie masz mi nic do zarzucenia. Zawsze pytałem cię o radę, wiedząc, że działałeś na tym gruncie przede mną. Ale teraz, gdy się przekonałem, że nie możesz znieść nikogo obok siebie, pocznę działać na własną rękę. Więc przede wszystkim racz przyjąć do wiadomości, że zgromadzenie odbędzie się, choćby Pluchart nie przybył, i że górnicy przystąpią do Międzynarodówki, choćby stanął na głowie.

— Przystąpią... przystąpią! — drwił Rasseneur. — Nie jest to naprzód tak całkiem pewne, a po wtóre trzeba ich skłonić, by zapłacili składkę.

— Wcale nie. Rada naczelna nie będzie nagliła. Zapłacimy potem, a pomoc otrzymamy natychmiast.

Rasseneur wpadł w gniew.

— Ano, zobaczymy! Wiedź, że stawię się na tym twoim zgromadzeniu i przemówię. Tak... nie pozwolę, byś moim przyjaciółom zwracał głowy, objaśnię ich, jakie są ich własne interesy. Zobaczymy, za kim się oświadczą, czy za mną, który tu działam od przeszło trzydziestu już lat, czy za tobą, któryś w ciągu niespełna roku wszystko przewrócił do góry nogami. Tak, tak... zmierzmy się i zobaczymy, który którego połknie.

Wyszedł, tak zatraskując drzwi za sobą, że zadrżały aż festony róż na powale, a tarcze herbowe z imionami świętych uderzyły o ścianę. Potem w wielkiej sali zapanowała cisza.

Souvarine, jakby nic nie zaszło, siedział przy stole i palił papierosa. Stefan chodził tam i na powrót zamyślony. Po chwili wybuchnął. Cóż za fatalność, że ten gruby próżniak rozpoczyna z nim teraz walkę zamiast współdziałać. Zastrzegł się przeciw temu, jakoby czyhał na popularność. Stało się to jakoś samo, sam nie wie jak. Mimo woli zyskał przyjaźń całej kolonii, ufność górników i wpływ na nich. Oburzał się na przypuszczenie, jakoby miał dla zaspokojenia ambicji własnej innych spychać w nędzę, bił się w piersi, przysięgał, że jego intencje są i były czyste. W końcu stanął przed Souvarinem i rzekł:

— Słuchaj, gdybym przypuszczał, że z mojej przyczyny miałyby się przelać choćby kropla krwi, dziś jeszcze ruszyłbym do Ameryki.

Maszynista wzruszył ramionami i uśmiechnął się:

— Krwi? — mruknął. — I czemu by nie? Ziemia krwi łaknie.

Stefan uspokoił się, wziął stołek, usiadł po drugiej stronie stołu i pochylił się ku Souvarinowi. Pociągała go mimo woli ta twarz okolona jasnymi włosami, te oczy luskające teraz krwawo. Milczał, a Stefan wpatrywał się w niego, czując jego magnetyczny wpływ.

— No, i cóż byś uczynił, na moim będąc miejscu? Czyż nie należy działać? Najlepiej przyłączyć się do związku... prawda?

Souvarine puścił kłód dymu i począł:

— Głupstwo!... Zresztą... niech i tak będzie... to początek... Niezadługo Międzynarodówka rozwinie się. On poczyną się nią zajmować.

— Któż to?

— On!

Wymówił to słowo półgłosem z czcią mistyczną, zwracając oczy na wschód. Miał na myśli mistrza Bakunina, Wielkiego Niszczyciela.

— On jeden zdolny wymierzyć wielki cios! — ciągnął dalej. — Twoi uczeni, plotący o powolnym rozwoju, to pluskwy. Nim miną trzy lata, Międzynarodówka stanie się w jego ręku narzędziem, mieczem, który zniweczy zgniłe społeczeństwo.

Stefan wytyżył słuch, chciał się dowiedzieć coś bliższego o tym kulcie zniszczenia, o którym mówił maszynista tak niejasno, jakby chciał zachować dla siebie tajemnicę.

— Powiedzcie mi nareszcie... Jaki macie cel?

— Zniszczyć wszystko... narodowości, rządy, własność, Boga, religię!

— Dobrze, ale cóż z tego wyniknie?

— Powróci komunizm pierwotny, bez form, wstanie nowy świat i wszystko zacznie się od początku.

— A środki do celu? Jak chcecie to osiągnąć?

— Ogniem, trucizną, sztyletem! Zabójca jest prawdziwym bohaterem, mścicielem społecznym, jedynym rewolucjonistą czynu, nie czerpiącym myśli z bibuły. Powódź zamachów musi przerazić mocarzy i zbudzić lud ze snu!

Twarz Souvarina stała się straszną. W uniesieniu wstał z krzesła, oczy jego miotają pioruny, a ręce wpiły się w brzeg stołu. Z przerażeniem patrzył nań Stefan, a na myśl mu przyszły zasłyszane pogłoski o minie pod pałacem carskim, o zarżnięciu dyrektora policji, o kochance Souvarina, jedynej kobiecie, którą kochał, powieszzonej w Moskwie pewnego jesiennego poranka, o tym, jak ponad głowami tłumu zamieniła ze swym ukochanym ostatnie miłosne spojrzenie.

— Nie, nie! — wymruczał, energicznym gestem odpędzić usiłując straszne obrazy.

— Do tegośmy jeszcze nie doszli! Zabijać? Palić? Przenigdy! Nie, to jest podle, niesprawiedliwe! Robotnicy oburzyliby się i sami zamordowali takiego potwora.

Nie mógł tego pojąć, rasowe instynkty sprzeciwiały się idei zniszczenia, zmiecienia życia z ziemi. I cóż potem? Jak powstanie świat nowy?

— Objaśnij mi swój program. Chcę wiedzieć, do czego zmierza, nim go uznam.

Ale Souvarine zamknął dyskusję. Znowu łagodny, rozmarzony spoglądał kędyś w dal i rzekł:

— Zbrodnią jest wszelkie konstruowanie sztucznej przyszłości, gdyż to przeszkadza niszczeniu, tamuje rozmach rewolucji.

Stefan roześmiał się, choć równocześnie wstrząsnął nim dreszcz zimny. Wyznać sobie przy tym musiał, że było w tym wiele prawdy, pociągała go przy tym owa straszliwa prostota czynu. Tylko zalecając podobne postępowanie strajkującym, dałoby się zbyt łatwe zwycięstwo Rasseneurowi. Teraz należy być praktycznym.

Pani Désir zaprosiła ich na śniadanie. Poszli do bufetu oddzielonego w dni powszednie przepierzeniem od sali balowej. Zjedli jajecznicę i ser, a Souvarine mimo prośb Stefana wybierał się do domu.

— I po cóż mam słuchać waszych dzieciństw i głupstw? Mam tego dość. Bądź zdrów! I poszedł, ćmiąc papierosa, jak zawsze uparty i łagodny zarazem.

Stefan był coraz niespokojniejszy. Wybiła pierwsza. Pluchart pewnie zawiedzie. Około pół do drugiej poczęli schodzić się delegowani, musiał ich więc przyjmować i kontrolować zaproszenia, gdyż obawiał się, że Kompania naśle swych szpiegów. Bez zaproszenia wpuszczał tylko znanych dobrze osobiście górników. O drugiej ujrzał Rasseneura, który wypalił sobie spokojnie fajkę u bufetu, nim wszedł do sali. Oburzyła go do reszty owa pewność siebie, będąca wyzwaniem, zwłaszcza że zjawilo się równocześnie kilku dowcipnisiów jak Zachariasz, Mouquet i ich paczka, którym nie był w głowie strajk, tylko wybryki wszelakie. Radzi, że nic nie robią, zasiedli u stołów, przepijając ostatnie grosze i kpiąc z innych, biorących sprawę z tragicznej strony.

Czas mijał, poczynano się już niecierpliwie w sali. Stefan machnął ręką rozpaczliwie i już miał otworzyć zgromadzenie, gdy pani Désir wyglądając oknem krzyknęła:

— Jest, jest, przyjechał!

Rewolucja, Idealista, Krew

Istotnie przyjechał Pluchart bryczką. Z koni buchała para. Wyskoczył i począł się witać. Był to szczupły, nieco pretensjonalny człowiek, o za wielkiej nieco może, kwadratowej głowie, ubrany w czarne sukienne ubranie dobrze się mającego robotnika. Od pięciu lat nie wziął w rękę pilnika, fryzował się, muskał i dumny był ze swej swady. Pozostała mu tylko pewna niezręczność ruchów i paznokcie u wielkich rąk, spiłowane swego czasu, rosnąć już nie chciały. Czynny, sprytny niezmordowanie jeździł po całym kraju i agitował bez wytchnienia.

— Nie bierzcie mi za złe! — począł, uprzedzając zarzuty. — Wczoraj konferencja w Preuilly, wieczór zgromadzenie w Valencay, dziś rano jadłem śniadanie z Sauvagnatem w Marchiennes... Ledwo dopadłem wózka. Wyczerpany jestem, zachrypły, ale to nic, będę mówił.

Miał wejść, gdy coś mu wpadło do głowy.

— Ach, gdzież legitymacje, byłbym zapomniał! A to byłoby pięknie!

Pobiegł do wózka zataczanego właśnie do stajni, wyjął szkatułkę czarną i wziął ją pod pachę.

Stefan siedł za nim rozpromieniony, zaś Rasseneur ledwie śmiał podnieść oczy na Plucharta, który zbliżył się doń i przelotnie podając mu rękę, szepnął: — Co za śmieszny pomysł. Dlaczegoż nie zwoływać zgromadzeń? Ile razy trafia się sposobność, trzeba to robić zawsze! Pani Désir zapraszała, by coś przekąsił lub wypił, ale powiedział, że niegłodny, a z zasady nie pije przemawiając. Zresztą śpieszno mu bardzo, gdyż wieczór ma stanąć w Joiselle, by omówić różne sprawy z obywatelem Legoujeux. — Gromadką wraz z Maheu i Levaque'em, którzy właśnie nadeszli, wkroczyli do sali, po czym zamknięto ją na klucz, by ktoś niepowołany nie wtargnął. Dało to dowcipnisiom asumpt do żarcików, że pewnie tam w sali porodzi zgromadzenie dziecko. Zachariasz i Mouquet śmiali się najgłośniej.

Około stu górników czekało, siedząc na ławkach w obszernej izbie balowej, z której podłogi i ścian wydzieliał się duszny odór potu ludzkiego. Głowy zwróciły się do drzwi i szept przebiegł z ust do ust, gdy gromadka przybyłych, przeszedłszy szybko salę, usadowiła się na próżnych miejscach. Czarny płaszcz przybysza z Lille wywołał zdumienie i zrobił wrażenie niekorzystne.

Na wniosek Stefana wybrano zaraz prezydium. Wybierano przez podniesienie rąk, Pluchart został przewodniczącym, Maheu i Stefan sekretarzami. Przesuwano krzesła, prezydium zasiadło do stołu, a przewodniczący znikł na chwilę. Ze zdumieniem zauważono, że wsuwa pod stół czarną szkatułkę. Wynurzył się po chwili i zastukał pięścią, by zwrócić uwagę, i począł zachrypłym głosem:

— Obywatele!

Małe, boczne drzwi uchyliły się. Musiał przestać. Zjawiła się pani Désir wnosząca z kuchni na tacy sześć kufli piwa.

— Nie przeszkadzam — ozwała się — przyniosłam tylko coś do przeplukania gardła. Maheu wziął z jej rąk tacę, a Pluchart mógł już mówić.

Zapewnił, że uradowało go niezmiernie gorące powitanie, jakie mu zgotowali górnicy Montsou, usprawiedliwiał swe spóźnienie zmęczeniem i przepraszał za chrypkę swą. Potem oddał głos obywatelowi Rasseneurowi, który o to prosił.

Rasseneur stał od chwili opodal stołu, wylał teraz na stół, odchrząknął i począł pełnym głosem.

— Towarzysze!

Wpływ swój na górników zawdzięczał głównie płynnej, łatwej wymowie i jowialności, z jaką mógł godzinami przemawiać, nie nużąc słuchaczy. Nie robił gestów, minę miał ciągle dobroduszną, uśmiech na twarzy, i póty zasypywał audytorium słowami, aż poczęło wołać: Tak, tak, on ma słuszość. Ale dziś od pierwszych słów poczuł, że trafił na niemy opór, dlatego też wziął się sprytnie do rzeczy. Mówił zrazu tylko o dalszym prowadzeniu strajku i czekał na potakiwania, nim zaatakuje Międzynarodówkę. Nie ulega kwestii, że honor nie pozwala ustąpić Kompanii, ale cóż za straszna nędza czeka wszystkich w niedalekiej przyszłości, gdyby miano walczyć dalej. Nie wspominając o kapitulacji, usiłował zachwiać męstwem, malował głód, który pocznie grasować po koloniach, i prosił o informacje, na jakie źródła ratunku liczy stronnictwo upierających się przy strajku. Kilka głosów poczęło mu potakiwać, ale brzmiały one głucho w ogólnej ciszy i podkreślały tylko

wyrażniej niechęć większości, z jaką przyjmowała jego słowa. Zważył w to, by ich mógł porwać, i ogarnięty gniewem prorokował nieszczęścia wszelkiego rodzaju, jeśli dadzą się oszołomić i podjudzić obcym, przybłędom. Dwie trzecie zgromadzonych powstało z ław. Chciano mu przeszkodzić, gdyż wymyślał delegatom i traktował ich jak nieletnie dzieci. Nie zważał na to, popijał piwo i krzyczał wśród głośnego rozgwaru, że nie urodził się jeszcze ten, kto by mu przeszkodzić mógł w spełnieniu obowiązku.

Pluchart powstał też. W braku dzwonka bił pięścią w stół i powtarzał ochryple: Obywatele! Obywatele!

Po długiej chwili zdołał przywrócić spokój, a zgromadzenie uchwaliło, by Rasseurowi odebrać głos. Przewodzili delegaci, którzy konferowali z dyrekcją. Wszyscy podnieceni byli głodem i zapaleni do nowych idei. Można było naprzód przewidzieć ten nastrój.

— Tobie to obojętne! Masz co jeść! — ryczał Levaque, grożąc szynkarzowi pięścią.

Poza plecami przewodniczącego pochylił się Stefan ku czerwonemu ze złości Maheuowi, by go uspokoić.

— Obywatele! — mówił Pluchart. — Dajcie mi przyjść do słowa!

Nastała cisza. Począł mówić głosem skrzypiącym, od nie opuszczającej go niemal nigdy chrypki zawodowej, którą wraz z programem obwoził po całym kraju. Potem głos mu się oczyścił, mówił patetycznie, z obliczonymi efektami. Rozpostarł szeroko ręce, chwiał nimi, machał, rozplomieniał się jak kaznodzieja nowej sekty religijnej, a kończąc zdanie zniżał głos wedle wszelkich reguł sztuki oratorskiej.

Mówił o potędze i dobrodziejstwach Międzynarodówki, a mowę tę wygłaszał zawsze w miejscowościach, gdzie zjawiał się po raz pierwszy. Objaśniał cel tego wielkiego związku, który dążył do wyzwolenia proletariatu. Wchodził w szczegóły organizacji. Na samym dole — komuna, wyżej — prowincja, wyżej jeszcze — naród, a na samym szczycie ludzkość. Poruszał ramionami, ilustrując stopniowanie to, kreśląc plan olbrzymiej katedry przyszłości. Potem przeszedł do wewnętrznej administracji, odczytywał statuty, wspominał o kongresach, powoływał się na potężny rozwój dzieła, rozrastanie się programu, który poczynawszy od walki o podwyżkę płac teraz dochodzi powoli już do idei społecznego obrachunku i zniesienia pracy najemnej. Z kolei omawiał kwestię solidarności robotników wszystkich narodowości, którzy wówczas osiągną taką potęgę, taką uczują potrzebę sprawiedliwości, że zmiotą z powierzchni ziemi zgniłą burżuazję i stworzą nowe, wolne społeczeństwo, oparte na pracy, w którym nie będzie miejsca dla darmozjadów. Grzmiał teraz tak, że drżały festony róż papierowych na zadymionej powale.

Słuchacze rozgrzali się na dobre. Wylatywały z tłumu okrzyki:

— Oto idzie! Wiwat! Przyłączamy się wszyscy!

Nie przestawał mówić. Nim miną trzy lata, zapewniał, świat zostanie zdobyty. Wyliczał członków wszystkich narodowości. Tysiące stowarzyszeń przystępowały masowo. Nie widziano dotąd, by religia jakaś tak się szerzyła. Niebawem Międzynarodówka osiągnie przewagę nad kapitałem, podyktuje pracodawcom warunki, postawi im z kolei nogę na gardle.

— Tak, tak! Zemsta! Zemsta!

Ruchem ręki nakazał milczenie. Począł mówić o strajku. W zasadzie nie był za strajkami. Jest to środek działający zbyt powoli, a przy tym sprowadza na robotnika zazwyczaj wiele złego. Nim jednak nastąpi coś lepszego, strajkować trzeba, gdyż jest to rzecz nieunikniona, a kapitał ponosi przy tym także znaczne straty. Międzynarodówka była zawsze Opatrznością dla strajkujących, dawał przykłady. I tak na przykład, kiedy w Paryżu zastrajkowali brązownicy, pracodawcy zgodzili się od razu na wszystkie żądania, dowiedziawszy się, że Międzynarodówka przysyła strajkującym pieniądze. Dalej w Londynie Międzynarodówka uratowała górników, odesławszy na swój koszt przybyłych umyślnym pociągami, sprowadzonych przez kapitalistów robotników belgijskich. Wystarczy przystąpić, a pracodawcy zadrżą, gdyż robotnicy wejdą tym samym w skład olbrzymiej armii pracy, której hasłem jest: *Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego*, armii ludzi zdecydowanych raczej na śmierć niż jęczenie w niewoli kapitału.

Przerwały mu okrzyki zapalu. Ocierał pot z czoła, odsuwając zarazem szklankę, którą mu podawał Maheu. Gdy chciał ciągnąć dalej, zagłuszyły go oklaski.

— Podziało! — szepnął do Stefana. — Już są nasi! Prędko legitymacje!

Znikł pod stołem i wynurzył się po chwali ze szkatułką w rękach.

— Towarzysze! — huknął, aż zadudniało i głos jego wybił się nad zgłęb. — Oto karty legitymacyjne członków Międzynarodówki! Niech przystąpią bliżej delegaci, wręczę im je dla rozdania... kwestię pieniężną załatwi się potem.

Rasseneur przyskoczył do stołu z protestem ponownym. Stefan rozgorączkowany chciał mówić. Powstał chaos. Levaque miotał w powietrze ciosy pięści, jakby się z kimś boksował. Maheu wstał i mówił, choć nie było słyhać ani słowa. Tumult rósł ciągle, a z podłogi wstrząsanej uderzeniami nóg podniosła się kurzawa pyłu, pozostałość po odbywających się tu tańcach, przesycona potem przesuwaczek i górników. Nagle otwarły się boczne drzwi i ukazała się pani Désir, wypełniając otwór biustem swym i brzuchem. Potężnym głosem wrzasnęła:

— Milczcie! Milczcie, do stu tysięcy diabłów! Żandarmi przyszli!

Trochę za późno, zjawił się jednak komisarz okręgowy w celu spisania protokołu i rozwiązania zgromadzenia. Przywiózł ze sobą czterech żandarmów. Od pięciu już minut trzymała go pani Désir u drzwi, twierdząc, że ona tu ma jedynie coś do gadania, że zresztą chyba wolno jej przyjąć u siebie znajomych. Ale odepchnięto ją na bok, więc przybiegła ostrzec *swe dzieci*.

— Tędy, tędy — wołała — musicie uciekać! Jeden żandarm pilnuje podwórza, ale to nic, z drewnutni drzwi wychodzą na uliczkę boczną. Prędko! Prędko!

Komisarz dobijał się do drzwi, wałąc w nie pięściami i grożąc, że każe je wysadzić, jeśli nie otworzą. Niezawodnie zakradł się do sali szpieg i doniósł komisarzowi, że wielu robotników nie ma zaproszeń imiennych, przeto zgromadzenie jest nielegalne.

Tumult w sali wzrósł jeszcze. Nie można się było rozejść, nie głosowano jeszcze nad wnioskiem o przystąpieniu do Międzynarodówki ani czy strajk ma trwać, czy upaść. Wszyscy gadali razem. Przewodniczącemu przyszło na myśl oba wnioski postawić do przyjęcia przez aklamację. Czas naglił. Wszystkich ręce podniosły się w górę, delegaci i robotnicy oświadczyli się więc w imieniu swoim i swych kolegów za przystąpieniem do Związku i w ten sposób dziesięć tysięcy górników Montsou i okolicy zastało członkami Międzynarodówki.

Zgromadzenie skończyło się. Pani Désir, kryjąc odwrót, podparła drzwi wejściowe, wstrząsane już silnymi uderzeniami kolb żandarmskich. Górnicy przeskakiwali ławki i wymykali się na ulicę przez kuchnię i drewnutnię. Rasseneur znikł jeden z pierwszych, a za nim chyłkiem podążył Levaque, mimo pogroźek miotanych na głowę szynkarza mając nadzieję, że poczęstuje go przecież może kufelkiem piwa. Stefan wziął pod pachę szkatułkę i wraz z Pluchartem i Maheu czekał, aż wszyscy wyjdą, uważając za swój obowiązek pozostać do końca. Gdy wyszli, otwarły się nagle drzwi od sali i komisarz wpadł na nową barykadę utworzoną z piersi i brzucha pani Désir.

— I cóż wam przyjdzie z tego — krzyczała wdowa — że wszystko porozbijacie? Widzicie przecież, że nie ma nikogo!

Komisarz był człkiem flegmatycznym, nienawidzącym scen wszelakich, zagroził przeto wdowie tylko, że ją każe zamknąć, zabrał swych czterech żandarmów i poszedł spisać protokół. Za ich plecami drwili sobie na potęgę z całej policji Zachariasz, Mouquet i inni, uradowani, że koledzy wyprowadzili komisarza w pole.

Ulicami Montsou biegli Stefan trzymający szkatułkę wraz z Pluchartem i Maheu. Stefanowi przyszło na myśl, czemu nie widział Pierrona, Maheu biegnąc odparł, że Pierron choruje na arcywygodną chorobę, obawy kompromitacji. Chcieli obaj zatrzymać Plucharta, ale oświadczył, że musi natychmiast jechać do Joiselle, gdzie ważna go czeka konferencja z obywatelem Legoujeux. Krzyknęli mu obaj w biegu: Dobrej drogi!... i szli dalej, ile nóg starczyło, przez Montsou. Stefan i Maheu zadyszani wyrzucali krótkie zdania. Cieszyli się. Niech tylko Międzynarodówka przyśle pieniędzy, kolej przyjdzie na akcjonariuszy prosić, by podjęto pracę. A w tym galopie i tętencie po bruku miasteczka ciężkich butów robotniczych leżało jeszcze coś więcej, coś, jakby ponura zapowiedź burzy, która rozszać się miała niebawem po wszystkich koloniach zagłębia węglowego.

## V

Upłynęły dwa tygodnie, rozpoczął się styczeń, a mgły zimne przysłoniły pustą, skostniałą równię. Nędza wzrosła jeszcze po koloniach, głód skręcał robotnikom kiszkę. Cztery ty-

siące franków nadesłane z Londynu przez Międzynarodówkę wystarczyły ledwie na parę dni i to tylko na suchy chleb. Potem nie nadpłynęło nic. Rozwianie się największej nadziei rozpaczą napęliło serca biedaków, na kogoś liczyć, gdy opuścili ich bracia. Odcięci od świata wśród mroźnej zimy zwątpili we wszystko.

Był właśnie wtorek, w koloniach brakło chleba. Stefan z delegatami powzięli pomysł chodzenia za składkami po miastach sąsiednich. Wygłaszano też mowy. Ale nie na wiele się to zdało. Ogół zrazu życzliwy zobojętniał, gdyż strajk odbywał się cicho, bez scen dramatycznych. Skape jałmużny podtrzymywały jedynie najbiedniejszych. Inni sztuka po sztuce sprzedawali sprzęty domowe. Wszystko przeszło w ręce przekupniów starzyny, włosie z materaców, garnki i meble. Na czas krótki odetchnięto, drobni bowiem kupcy oprymowani przez Maigrata ofiarowali kredyt, by zyskać odbiorców. Kilku, jak Verdonk i dwaj piekarze Carouble i Smelten, otwarli sklepy, ale wnet zapasy ich się wyczerpały i musieli przestać dawać, nie mając pieniędzy na świeży towar.

Stefan był gotów oddać ciało i duszę za sprawę, poszedł do Marchiennes, zastawił swe ubranie sukienne, by przynajmniej Maheuowie mieli zupę. Zostały mu tylko buty, zachował je, by móc chodzić. Zrozpaczony był, że strajk wybuchł za wcześnie, gdy kasa wsparć była jeszcze pusta niemal. Uważał to za jedyną przyczynę niepowodzenia. Niewątpliwie górnicy zwyciężyliby, mając środki. Wspomniał Souvarina oskarżającego Kompanię, że prze do strajku, by zniszczyć ledwo co założoną kasę.

Drażnił go niezmiernie widok nędzarzy bez chleba i ognia. Wędrował daleko nieraz, aż do zmęczenia. Przechodząc raz koło Requillart ujrzał leżącą na ziemi zemdlałą starą kobietę. Podniósł ją i zawołał do pomocy dziewczynę stojącą pod parkanem.

— A, to ty — rzekł, poznawszy Mouquette — pomóżże mi! Trzeba jej dać czegoś napić się.

Wzruszona do łez pobiegła do rudery, gdzie mieszkała z ojcem, i przyniosła wódkę i kawałek chleba. Starowina przyszła do siebie po wódcę i poczęła chciwie jeść chleb. Była to matka jednego górnika z okolicy Cougny. Poszła do Joiselle, by pożyczyć od swej siostry dziesięć sous, ale nie otrzymała pieniędzy i wracając padła ot tutaj. Zjadłszy, odeszła na pół oszołomiona jeszcze.

— Może wstąpisz na kieliszek? — zapraszała go Mouquette uprzejmie.

Wahał się.

— Więc boisz się mnie jeszcze? — spytała.

Zwyciężony jej uśmiechem poszedł. Usposobiła go dla niej dobrze ofiarność, z jaką dała chleba staruszce. Zaprowadziła go do swojej stancjyki i nalała dwa kieliszki jałowcówki. W stancjyce było czysto i Stefan złożył jej gratulacje z tego powodu. Zresztą rodzinie tej nie brakło środków do życia, stary Mouque nie opuścił swej służby w Voreux, jako stajenny zjeżdżał co dnia w dół, a Mouquette brała bieliznę do prania, co jej przynosiło trzydzieści sous dziennie. Można pobaraszkować czasem z chłopcami, ale nie musi zaraz przez to człek rozpróżniaczyć się.

— Powiedz — szepnęła mu do ucha, podchodząc i obejmując go serdecznie w pół — czemu nie chcesz mnie kochać?

Musiał się roześmiać, tak go ubawił ton jej słów.

— Ależ kocham cię przecież! — odparł.

— Nie, nie, ja chcę inaczej! Wiesz, że schnę z tęsknoty za tym. Taką by mi to sprawiło radość!

Istotnie, od pół roku prosiła, by ją kochał. Przytulała się doń coraz to silniej, oplatała rękami, wznosiła nań oczy z takim błaganiem o miłość, iż go to rozczuliło. Okrągła pełna twarzyczka jej o cerze zniszczonej węglem nie miała w sobie nic pociągającego, ale oczy błyszczały, a od całej postaci bił taki żar pożądania, iż wydała mu się ładna. Nie miał zresztą siły odmawiać tak pokornie wyrażonej prośbie.

— Godzisz się! Nareszcie się godzisz! — zawołała.

Oddała mu się z taką niezręcznością i dziewiczym zakłopotaniem, jak gdyby pierwszy raz miała do czynienia z mężczyzną. Gdy odchodził, obsypywała go wyrazami wdzięczności, dziękowała, całowała go po rękach.

Stefan wstydził się poniekąd tej przygody. Nie było się co chwalić, iż posiadał Mouquette. Odchodząc poprzysiągł sobie, że nie wróci. Mimo to jednak wdzięczność czuła pewną dla tej dobrej dziewczyny.

Kobieta "upadła", Pożądanie

Wróciwszy do kolonii, usłyszał nowinę, wobec której zapomniał o wszystkim. Rozeszła się pogłoska, że Kompania zgodziłaby się na ustępstwa, gdyby delegaci raz jeszcze zgłosili się do dyrekcji. W rzeczy samej w walce tej traciło towarzystwo więcej jeszcze jak mrący z głodu górnicy. Zapamiętałość spowodowała obustronną ruinę. Każdy dzień strajku kosztował setki tysięcy. Maszyny obumarłe nie amortyzowały się, narzędzia niszczały, unieruchomiony ogromny kapitał znikł, jakby go pochłonęła ziemia. Po wyczerpaniu się zapasów odbiorcy poczęli grozić, że zwrócą się do Belgii, co stanowiło wielkie niebezpieczeństwo na przyszłość. Co jednak głównie panicznym strachem przejmowało dyrekcję, choć starała się to ukryć, to ciągle psucie się i częściowe zapadanie galerii i sztolni. Dozorców było za mało, belki pękały, skały rysowały się i spadały co godzina niemal. Niedługo szkody urosną do tego stopnia, że cały miesiąc zejdzie na naprawkach, nim się zacznie wydobywać węgiel. Obiegały po okolicy wieści. W Crèvecoeur miał się zapaść chodnik na przestrzeni trzystu metrów i zamknął dostęp do sztolni Cinque Paumes, w Madeleine sklepienie sztolni Maugrétout spękało i chodnik napełnił się wodą. Dyrekcja kryła to długo, aż w końcu prawda wyszła na jaw wobec dwu wypadków, które zdarzyły się jeden po drugim w krótkich odstępach czasu. Jednego dnia, niedaleko Piolaine pękła powierzchnia ziemi wprost nad północną galerią kopalni Mirou i zasypała ją, a niedługo potem nastąpiło w Voreux wewnętrzne oberwanie się skał i zatrzęsło całym Montsou, tak że zapadły się niemal całkiem w głąb ziemi dwa domy.

Stefan i delegaci wahali się uczynić ponowny krok, nie znając zamiarów dyrekcji. Dansaert zapytany dawał wymijające odpowiedzi. Rzeczywiście dyrektor ubolewa nad tym, będzie się starał doprowadzić do ugody, ale bliższych szczegółów nie zna. W końcu postanowili pójść do pana Hennebeau, by nie mieć na sumieniu, że zaniedbali czegoś, że nie dali sposobności przeciwnikom do wyznania, iż nie mieli słuszności. Zaprzysięgli tylko przedtem, że od żądań nie ustąpią i utrzymają je w całej rozciągłości.

Spotkanie odbyło się we wtorek, w dzień kiedy nędza górników doszła do zenitu. Przemawiano do siebie mniej uprzejmie niżli za pierwszym razem. Maheu przemawiał znów i oświadczył, że wysłano ich, by zapytali, czy dyrekcja nie ma im co nowego do powiedzenia. Pan Hennebeau wyraził zrazu swe zdziwienie.

Nic nowego się nie stało i stać się nie może, póki robotnicy trwać będą w swym uporze. To szorstkie oświadczenie wytworzyło najgorszy nastrój i gdyby nawet delegaci przyszli z najlepszymi zamiarami, musiałoby ich podniecić do wytrwania przy swoim. W końcu dyrektor oświadczył, że chcąc stworzyć podstawę do ugody proponuje, by górnicy przyjęli oddzielną zapłatę za stemplowanie, a Kompania podniesie płace od wózka o te dwa centymy, które rzekomo zarabia przy nowej taryfie. Dodał zaraz, że proponuje jedynie od siebie, bo nic nie postanowiono, ale ma nadzieję uzyskać tę koncesję w Paryżu. Delegaci odrzucili propozycję i powtórzyli swe żądania przywrócenia dawnej taryfy i podwyższenia płacy od wózka o pięć centymów. Wobec tego przyznał się pan Hennebeau, że jest upoważniony zawrzeć ugodę wedle swej propozycji i namawiał, by się zgodzili i nie skazywali żon i dzieci na śmierć głodową. Z oczami w podłogę utkwionymi, nie ustępowali i na wszystko odpowiadali zdzierzałymi, twardymi głosami: Nie. Pożegnanie nie było przyjacielskie, pan Hennebeau zatrzęsął drzwiami, a delegaci odeszli, dudniąc po bruku trzewikami z wściekłością zwyciężonych, doprowadzonych do ostateczności.

Okolo drugiej kobiety kolonii uczyniły krok dla skłonienia do uległości Maigrata. Nie było innej nadziei, jak zmiękczenie serca tego człowieka i uzyskanie kredytu. Taki pomysł przyszedł do głowy Maheudy ufającej dobroci serca ludzkiego. Namówiła Brûlé i Levaque, ale napotkała na odmowę pani Pierron, która się tłumaczyła, że nie może zostawić męża ciągle jeszcze chorego. Przyłączyły się do nich inne kobiety i ruszyły w dwadzieścia może, a mężczyźni, widząc, jak kroczą ulicą nędzne i ponure, potrząsali z niepokojem głowami.

Drzwi zamykano z pośpiechem, jakaś mieszcza schowała srebro.

Widziano je w takiej sytuacji po raz pierwszy i obawiano się, że rzecz skończy się źle. Zazwyczaj śmiano się, widząc włóczące się po ulicach kobiety. U Maigrata rozegrała się gwałtowna scena. Zrazu zaprosił je uprzejmie, by weszły, śmiał się zjadliwie i udawał, iż myśli, że przyszły popłacić dług. Pięknie to doprawdy, że zebrały się razem, by mu zapłacić i podziękować. Po rozmowie z Maheudą udał, że wpada w gniew. Co? Czyż drwią z niego? Żądają kredytu, chcą go puścić z torbami? Nie, nie da ni ziemniaka, ni okruszyny chleba! Niech idą do Verdonka i obu piekarzy skoro tam poczęły teraz brać.

Kobiety słuchały trwożnie, pokornie, tłumaczyły się, patrzyły mu w oczy, szukając tam nadziei, że się da ubłagać. Począł znów żartować i ofiarował Brûlé cały sklep, jeśli go weźmie za kochanka. Tak straciły męstwo, że się roześmiały, a Levaque poszła nawet dalej i ofiarowała się zastąpić Brûlé. Począł gadać grubiaństwa i popychać kobiety ku drzwiom. Gdy nie ustępowały, dał jednej w twarz. Wyszły, ale z daleka krzyczały, że się zaprzedał Kompanii, a Maheude, wzniosłszy ręce w górę, przeklinała go i życzyła śmierci, bo człowiek taki nie wart, by miał co jeść.

Powrót był smutny. Mężczyźni spojrzeli na ich puste ręce i zwiesili głowy. Wieczór zapadał, więc znowu kłaść się trzeba bez łyżki stawy! Przyszłość wydała im się straszną, czarna, bez promyka nadziei. Ale sami tego chcieli, toteż nikt nie pisał o poddaniu się, nadmiar nędzy uczynił ich tylko dzikimi, jak zwierzęta ścigane, i woleliby byli teraz umrzeć, jak wyjść z domu. Poprzysięgli solidarność i tej solidarności dotrzymywali zarówno tu, jak i w kopalni, gdy jednemu koledze zdarzyło się nieszczęście. Inaczej być nie mogło, przeszli dobrą szkołę i umieli walczyć z losem. Od dwunastego roku życia hartowali się w ciężkiej pracy, więc nietrudno im było dać sobie radę z buntującym się żołądkiem, przeciwnie umacniało ich to jeszcze w wierze w swe siły i dumie i zagrzewało do ofiarności i walki.

Wieczór ten był dla Maheuów ciężki. Siedząc dokoła wygasłego ogniska, na którym tliły ostatnie kawałki węgla, milczeli wszyscy. Wypróżniwszy materace, zdecydowano się przed dwoma dniami sprzedać zegar z kukułką, a izba bez jego tykotu wydawała się tym zimniejsza i pustsza. Na pustej szafarni stało już tylko różowe pudełko, skarb Maheudy, podarek od męża. Oba lepsze stołki sprzedano, a dziadek i dzieci siedzieli ściśnieni na starej, omszonej ławce przyniesionej z ogrodu. Zapadał zmierzch szary, od którego zimniej się jeszcze robiło.

— Co począć? — spytała Maheude skulona w kącie na ziemi pod kominkiem.

Stefan patrzył na portrety cesarza i cesarzowej przyklepione na ścianie. Byłby je dawno sprzedał, gdyby nie opór ojca Maheu. Syknął tylko przez zęby.

— Prawda, za te głupie mordy, które gapią się na naszą nędzę, nie dałby nikt ni dwu sous.

— Może by sprzedać pudełko? — rzekła po chwili z wahaniem Maheude.

Maheu, siedzący na brzegu stołu ze zwieszonymi nogami i opuszczoną na piersi głową, wyprostował się i odparł:

— Nie, nie chcę.

Maheude powstała z trudem i poczęła chodzić po izbie. Czyż podobna było przypuścić, iż przyjdzie do takiej nędzy! Pusto wszędzie, ni okruszyny chleba, nie ma do kogo zwrócić się, ogień dogasa!

Ogarnął ją gniew na Alzirę, którą rano wysłała na zsepisko, by zbierała kawałki węgla. Dziecko wróciło bez niczego i powiedziało, że Kompania nie pozwala zbierać. Niech diabli wezmą Kompanię! Czyż się przez to kogo okrada? Alzira rozplakała się i przyrzekła, że jutro pójdzie, choćby miała dostać bicie od dozorczy, który jej dzisiaj tym groził.

— A gdzież ten gałgan, pytam się? Miał przynieść sałaty! Przynajmniej mógłby człek gryźć jak zwierzę. Zobaczycie, ta szelma znowu nie wróci na noc jak wczoraj. Nie wiem, co on robi, ale wygląda, jak gdyby miał zawsze pełny żołądek.

— Może — odparł Stefan — żebrze po ulicach.

Maheude podniosła w górę pięści.

— O gdyby tak było!... Dzieci moje... żebrać po ulicach! Raczej wolałabym je pozabijać i zginać potem.

Maheu skulił się znów na brzegu stołu, dzieci zdziwione, że nie podają im wieczerzy, poczęły płakać, a Bonnemort cmokał językiem usiłując w ten sposób pozbyć się uczucia głodu. Wszyscy siedzieli i kostnieli coraz bardziej. Wszystko, na co cierpieli, dawało im się teraz coraz bardziej we znaki. Dziadek kaszlał coraz bardziej i splotwał czarno, a przy tym zapadł na reumatyzm graniczący z wodną puchliną, ojciec dostał astmy i opuchły mu kolana, matka i dzieci cierpiały na skrofuły i dziedziczną blednicę. Póki była praca i środki utrzymania, nie zważano na te zawodowe choroby, ale teraz po koloniach marli już ludzie jak muchy. Koniecznien trzeba było coś znaleźć na kolację. Ale gdzie szukać, dokąd iść?

Gdy się ściemniło i smutek począł bardziej jeszcze ciężyć, Stefan walczący ze sobą już od chwili wstał zdecydowany i rzekł:

— Niedługo wrócę. Spróbuję, może co przyniosę.

Wyszedł. Przyszła mu na myśl Mouquette. Może ma kawałek chleba, jeśli ma, da z radością. Ale smuciło go, że to go zmusza do powrotu do Requillart. Ha, trudno, będzie go znów całowała po rękach, a on będzie dla niej czuły, jeśli się okaże potrzeba! Nie wolno opuszczać przyjaciół w potrzebie.

— I ja spróbuję! — ozwała się Maheude. — Już wytrzymać trudno.

Zatrzasnęła drzwi za sobą, zostawiając tamtych przy kawałeczku świecy, który Alzira znalazła właśnie i zaświeciła. Znalazszy się na dworze, stanęła na chwilę, pomyślała i wstąpiła do sąsiadki Levaque.

— Słuchaj — rzekła — pożyczyłam ci niedawno bochenek chleba, może byś teraz oddała.

Przerwała. To, co ujrzała, odebrało jej nadzieję. W izbie panowała nędza gorsza jeszcze jak u niej.

Kobieta tępo patrzyła w wygasłe ognisko, a mąż jej spojony przez gwoździarzy spał z głową na stole. Oparty o ścianę stał Bouteloup i drapał się mechanicznie po piersiach z ogłupiałą miną pocziwca, który dziwi się, że zabrano mu oszczędności, a teraz każą głodować.

— Bochenek chleba? — zawołała Levaque. — Ależ właśnie miałam iść prosić cię o drugi.

Mąż jej zajęczał przez sen. Pchnęła go pięścią, aż uderzył głową o stół.

— Milcz, wieprzu. Dobrze ci tak, niech ci popali wnętrzności. Zamiast dać się spoić, mogłeś pożyczyć od którego dwadzieścia sous!

Kłęła i to jej sprawiało ulgę, pozwalało zapomnieć o strasznym brudzie i fetorze wydzielającym się ze wszystkiego. Niech biorą diabli cały kram, cóż ją to obchodzi! Béberta nie ma od rana. Tym lepiej! Co za ulga byłaby, gdyby nie wrócił całkiem. Oświadczyła, że idzie spać, przynajmniej ogrzeje się. Trąciła Bouteloupa.

— No, chodźmy spać! Ogień zgasł. Mniejsza z tym, i tak nie warto patrzeć na puste garnki. Ludwiku, rusz się raz. Słyszysz, idziemy spać, przytulimy się do siebie i będzie nam ciepło. A ten pijanica niech sobie tu zdycha.

Maheude wyszła i poszła prosto do Pierronki. Śmiechy dolatywały poprzez drzwi. Zapukała i uchłó zaraz. Długo trwało, nim jej otworzono.

— A, to ty! — zawołała, udając zdziwienie. — Sądziłam, że to lekarz. — Nie dając jej przyjść do słowa, mówiła dalej, wskazując na męża siedzącego u sutego ognia.

— Ciągłe chory, ciągle kwęka. Wygląda nieźle, ale z żołądkiem kiepsko ciągle. Dlatego musi mieć ogień i człek wydawać musi ostatki na węgiel.

Pierron istotnie wyglądał doskonale, tłusty był, rumiany, choć kaszłał, by udawać chorego. Maheude poczuła zapach pieczeni. Niezawodnie pochowano półmiski. Okruchy chleba wały się po stole, na którym stała zapomniana flaszką wina.

— Matka poszła do Montsou za chlebem — mówiła dalej Pierronka — czekamy z upragnieniem jej powrotu.

Ale słowa uwięzły jej w gardle, gdy idąc za spojrzeniem sąsiadki zobaczyła flaszkę zapomnianą. Połapała się zaraz i zmyśliła historyjkę. Tak, to wino, właściciele Piolaine przynieśli je dla męża, któremu lekarz zalecił bordeaux. Poczęła się rozwodzić nad ich dobrocią i sercem Cecylki, która roznosi sama po koloniach dary swe.

— Wiem, znam ich! — odparła Maheuda.

Serce jej ścisnęło się na myśl, że dary owe dochodzą zawsze rąk ludzi, którzy ich nie potrzebują. Właściciele Piolaine leją więc wodę do rzeki. Ale czemuż ich dziś nie widziała w kolonii? Może by się dało co uprosić.

— Przyszłam tu — rzekła — by zobaczyć, czy wam trochę lepiej jak nam. Może masz choć garść klusek? Oddam ci z całą pewnością.

Pierronka udała rozpacz.

— Nie mam nic, moja droga. Ani garstki grysiku. Jeśli matka wróci bez niczego, będziemy musieli kłaść się bez wierzery.

W tej chwili doszedł płacz z piwnicy, a Pierronka wpadła w pasję i poczęła walić pięściami w drzwi. Zamknęła tam tę rozpustnicę Lidię za karę, że włóczyła się cały dzień Bóg wie gdzie. Nie można sobie z tą dziewczyną dać rady, ciągle gdzieś przepada.

Głód, Sąsiad

Maheude nie mogła się zdecydować odejść. Ciepło ją objęło słodkie, a na myśl, że tu ludzie jedzą, poczęły jej dokuczać kurcze żołądka. Niewątpliwie wyprawili starą i zamknęli Lidię, by zjeść w spokoju królika. Ach, niech mówi kto co chce, ale rozpustnej kobiecie wiedzie się zawsze.

— Dobranoc! — rzekła nagle.

Noc zapadła, a księżyc świecił poprzez chmury. Maheude nie poszła wprost przez ogrody, ale skręciła na drogę. Nie miała odwagi wracać. Domy stały czarne, zamknięte, wszędzie widny był głód. I na cóż pukać? W ostatnich tygodniach nawet zapach cebuli, ów zapach zwiastujący z dala mieszkania ubogich, znikł i teraz czuć było tylko piwniczny zaduch nor niezamieszkałych. Przygłuszone kłatwy gasły powoli, robiła się cisza, nędzarze padali na barłogi wyczerpani, a we śnie nawet wygłodniałych trapiły zmory skutkiem pustych żołądków.

Mijając kościół, ujrzała przemykający cień. Poznała księdza Joire, proboszcza Montsou, i podbiegła żywo. Pewnie miał coś do roboty w zakrystii i wracał teraz do domu. Poznała po wypukłych plecach pocziwca, który chciał żyć w zgodzie z wszystkimi. Chodził nocami widocznie dlatego, by nie zostać dostrzeżonym i nie znaleźć się w sytuacji, gdzie trzeba by oświadczyć się po stronie jednych lub drugich. Zresztą został już przeniesiony gdzie indziej i niedawno oprowadzał po Montsou swego następcę, chudego księdza o połyskujących krwawo oczach.

— Księżu proboszczu! — zawołała Maheude.

Nie zatrzymał się nawet.

— Dobry wieczór! Dobry wieczór, droga pani!

Maheude znalazła się znów pod drzwiami swego mieszkania. Weszła, gdyż nogi się pod nią ugiwały. Nikt się z miejsca dotąd nie ruszył. Maheu siedział na kraju stołu, Bonnemort i dzieci na ławce przytuleni do siebie dla rozgrzania. Nie przemówił nikt przez cały czas słowa, a kawałek świecy spalił się niemal cały i rzucał ostatnie już błyski. Na skrzyp drzwi dzieci odwróciły głowy, ale poopuszczały je znowu widząc, że matka wróciła z niczym, tłumiły łkanie z obawy gniewu rodziców. Maheude usiadła znowu na swoim miejscu. Nikt nie przerwał milczenia pytaniem. Rozumiano się bez pytań i nie chcąc się nimi męczyć, czekano bez nadziei na pomoc Stefana. Czas mijał, zdawało się, że i Stefan nie wróci.

Ale wrócił i przyniósł w chustce tuzin gotowanych, ostygłych ziemniaków.

— Więcej nic zdobyć nie mogłem — rzekł.

Była to kolacja Mouquette. Chleba nie miała. Ucałowała go serdecznie i zmusiła, by wziął ziemniaki.

— Dziękuję — rzekł do Maheude, która chciała mu wydzielić porcję. — Jadłem już.

Kłamał i przymglonym wzrokiem patrzył na dzieci, rzucające się na jedzenie. Ojciec i matka nie jedli też, by im więcej zostawić, ale dziadek pożerał łapczywie, tak że z trudem ocalono jeden ziemniak dla Alziry.

Stefan przyniósł także nowiny. Dyrekcja, oburzona uporem górników, zamierza zwrócić książki robotnicze kierownikom akordów. Wyzywano na walkę. Obiegała też gorsza jeszcze pogłoska. Oto dyrekcja chlubiła się, że zdołała skłonić znaczną część górników do podjęcia pracy. Nazajutrz miał zjechać cały personel kopalń Victoire i Feutry-Cantel, a w Madelaine i Mirou zgłosiła się podobno do roboty trzecia część robotników.

— Do stu tysięcy diabłów! — krzyknął Maheu — ze zdrajcami trzeba zrobić porządek!

Zeskoczył ze stołu i z rozpaczliwą gwałtownością krzyknął:

— Jutro wieczór w lesie! Przeszkodzili nam w Bon-Joyeux, to urządzimy zgromadzenie w lesie.

Wykrzyk ten ocucił zajętego jedzeniem dziadka. Było to hasło dawne, robotników górniczych konspiracyjnych przeciw wojskom królewskim.

— Tak, tak, w Vandame! I ja się stawię!

— Wszyscy się stawimy! — krzyknęła Maheude. — Musi raz skończyć się ta niesprawiedliwość i zdrada!

Stefan podjął się powiadomić kolonie, by stawily się w Vandame wieczorem, a że właśnie światło zagasło, przeto po omacku udano się do zimnych łóżek. Dzieci płakały.

Jeanlin wydobrał i mógł chodzić, ale nogi tak lichy złożone były, że kulał na obie. Dziwnie wyglądał, zataczał się jak beczka, ale to nie przeszkadzało mu biegać jak dawniej i pełniać mnóstwa szelmstw.

Tęgo wieczora stał Jeanlin na czatach przy drodze wiodącej do Requillart, a u boku miał swych nieodstępnych towarzyszy, Béberta i Lidię. Schowali się wszyscy troje za płot, naprzeciw kramu stojącego na rozstaju, gdzie ścieżka zbiegała się z drogą. Stara, na pół oślepla kobieta miała tam na sprzedaż parę worków soczewicy i bobu, ale Jeanlin głównie miał apetyt na wiszący na drzwiach stary kawał sztokfisz oprószonej z lata jeszcze i popstrzonej przez muchy. Dwa razy już wysłał Béberta, by go porwał, ale zawsze ktoś zjawił się na zakręcie drogi. Ciągłe przeszkody, a człek nie może spokojnie załatwiać swych spraw.

Ukazał się jeździec na koniu, a urwipolcie przykucnęli za płotem poznawszy pana Hennebeau. Jeździł często sam poprzez strajkujące kolonie, by przekonać się naocznie o stanie rzeczy. Nigdy nie przeleciał mu mimo uszu kamień, wszędzie panowało milczenie, spotykał czasem małe grupki robotników, kłaniali mu się nawet, choć z pewnym wahaniem, najczęściej zaś widywał miłosne pary, które nie troszcząc się o politykę używały życia i wolnego czasu. Spokojnym klusem, nie patrząc ni w prawo, ani lewo, by im nie przeszkadzać, przejeżdżał mimo, a serce mu wzbierało zazdrością. Dostrzegł urwisów skulonych za płotem, uprawiających swe zwyczajne igraszki. Więc nawet ci malcy, ci nędzarze mogli się oddawać miłości jemu wzbronionej. Oczy mu zaszyły łzami, ale ani drgnął, sztywny, zapięty po wojskowemu w obcisły surdut pojechał dalej.

— Przekłeta robota... nie skończy się dziś to wałęsanie? — syknął Jeanlin. — No teraz idź, Bébert, pociągnij za ogon... tylko mocno!

Ale zjawilo się dwu mężczyzn i Jeanlin zaklął, rozpoznawszy Zachariasza z Mouquetem. Zachariasz opowiadał przyjacielowi, że znalazł zaszytą w sukni żony dwufrankówkę. Klepali się po plecach, a Mouquetowi przyszło na myśl, by jutro urządzić grę w piłkę na wielką skalę. Zaproponował, by wyruszyli o drugiej po południu od Rasseneura i poszli na Montoire do Marchiennes. Zachariasz przystał. Nudny był ten cały strajk i po cóż zresztą domagać się czegoś, czego wymusić nie można? Skręcili w bok i spotkali Stefana wracającego z Montsou drogą ponad kanałem. Stanęli i poczęli z nim rozmawiać.

— Psiakrew, chcą tu nocować widocznie! — burknął Jeanlin. — Niedługo nadejdzie czas zamykania i stara pozabiera swoje rupiecie!

Drogą ku Requillart nadszedł inny robotnik. Stefan przyłączył się doń i gdy obaj przechodzili koło płotu, Jeanlin usłyszał, że mówią o zgromadzeniu w lesie. Musiano odłożyć je na jutro, skutkiem niemożności zawiadomienia wszystkich kolonii w tak krótkim czasie.

— Słyszycie? — szepnął Jeanlin swym współnikom. — Jutro będzie ta wielka awantura w lesie. Musimy tam iść. Ruszemy zaraz po południu.

Na drodze nikogo teraz nie było, popchnął więc Béberta i rzekł:

— Ostro tylko! Szarpnij za ogon i w nogi! Pamiętaj, że stara ma kij!

Na szczęście ściemniło się bardzo. Bébert skoczył, zawisł u ogona ryby. Sznurek pod jego ciężarem urwał się, a chłopak umknął wywijając w powietrzu zdobyczą. Reszta współników pobiegła w jego ślady. Kramarka zdziwiona ukazała się w progu. Nie wiedziała, co zaszło, i nie mogła dostrzec rabusiów, gdyż znikli w mroku.

Nicponie stali się postrachem całej okolicy. Zagony swe rozpuszczali coraz to szerzej, kradli jak banda rabusiów. Zrazu operowali w samej tylko Voreux, staczali się po zboczach stosów węgla, a potem czarni jak Murzyni bawili w chowanego wśród ogromnych zapasów gnijącego na deszczu drzewa, gdzie zgubić się można było jak w lesie. Brali szturmem wał zypyska i na pośladkach zsuwali po jego stokach gorących od tlejącego w głębi miału węglowego. Wreszcie kryli się w zaroślach porastających starsze partie wału i oddawali się po całych dniach różnym zabawom, jakie im na myśl przyszły. Potem poczęli zapuszczać się coraz dalej, zabawiali się pośród cegieł, rzucali nimi do celu, raniąc się przy tym nieraz, zbierali po łąkach i jedli bez chleba nawet przeróżne zielska, wybierali ze zbiorników ryby i pożerali je na surowo, i zachodzili nieraz aż do położonego o kilka kilometrów lasu

Vandame, gdzie objadali się poziomkami na wiosnę, a orzechami i różnymi jagodami w lecie i jesieni.

Jak młode wilki, chwyтали wszystko, co im wpadło w rękę, i złodziejskie ich sztuczki były nieraz niezwykle chytrze obmyślane. Przywódcą był Jeanlin. Urządzał wyprawy, operował swą armią, która niszczyła grządki w ogrodach, wystawy sklepowe, i grasował z taką gorliwością, że w całej okolicy poczęły podnosić się skargi, narzekania i ogólnie obwiniano strajkujących o te rabunki. Wydawało się wszystkim, że mają do czynienia z wielką dobrze zorganizowaną bandą. Raz Jeanlin zmusił Lidię do okradzenia swej matki. Wysłał ją, by skradła kilka tuzinów karmelków, które pani Pierron trzymała za oknem. Matka wybiła dziewczynę, ale mała nie zdradziła Jeanlina, którego bała się niezmiernie. Najgorsze było jednak to, że brał zawsze z łupu lwią część. Bébert musiał mu oddawać też swą zdobycz i czuć się jeszcze zadowolony, jeśli nie dostał przy tej okazji w twarz.

W ostatnich czasach Jeanlin przebrał już miarkę. Bił Lidię, jak bić zwykło się swą legalną małżonkę, a Béberta wikłał naumyślnie w nieprzyjemne sprawy. Sprawiało mu radość, gdy wyzyskując łatwowierność chłopca dużo od siebie silniejszego, mógł go wyklarować na durnia. Pogardzał obojgiem i traktował ich jak swych niewolników. Opowiadał, że jego kochanką jest księżniczka, przed którą stanąć nawet nie są godni. W istocie zachowywał się dziwacznie. Zabierał zazwyczaj zdobycz, nakazywał im ze srogą miną wracać do domu, a sam nikł gdzieś nagle, jakby wpadał w ziemię.

I dziś się tak stało.

— Oddaj! — krzyknął i wydarł rybę z rąk Béberta, gdy zatrzymali się nareszcie na zakręcie drogi do Requillart wiodącej.

Bébert protestował.

— Wiedz o tym, że musisz mi dać kawalek! Ja przecież zdobyłem, a nie ty!

— Ha... co? — wykrzyknął Jeanlin. — Dostaniesz, jeśli co zostanie z tego, ale jutro... nie dziś!

Potrącił Lidię, ustawił ich w rząd jak żołnierzy. Potem stanął z tyłu i rozkazał:

— Macie tak stać przez pięć minut... nie oglądając się... Do licha, gdyby się które obejrzało, wypadną dzikie zwierzęta i pożrą was. A po pięciu minutach pójdziecie prosto do kolonii. Gdybyś, Bébert, tknął tylko Lidię, natychmiast dowiem się o tym i zbiję cię na kwaśne jabłko!

Znikł w ciemnościach tak zwinnie, że nie słyhać było nawet stąpania jego bosych nóg. Dzieci stały bez ruchu długą chwilę, drżąc ze strachu, że wyłoni się z ciemności ręka i zbije oboje w razie nieposłuszeństwa. Pod wpływem obawy przed Jeanlinem wytworzył się między Lidią a Bébertem rodzaj sympatii. Bébert rad by był objąć dziewczynę, jak to czynili inni, a ona też nie byłaby od tego, przeczuwając, że kochałby ją czule i traktował inaczej jak Jeanlin. Ale żadne nie odważyło się na opór. Poszli, nie dotknąwszy się nawet, w ciemności kroczyli obok siebie smutni i pewni, że za pierwszym pocałunkiem tyran ich wypadłby skądś i ukarał ich.

Stefan właśnie o tym czasie stanął w Requillart. Mouquette prosiła go, by przyszedł, i uczynił to mimo pewnego wstydu. Nie przyznawał się wobec siebie, że poczyną nabierać upodobania do tej dziewczyny, która go ubóstwiała. Przyszedł zresztą po to, by zerwać, by jej wyjaśnić, że wdawać się z nią nie może, ze względu na towarzyszy. Nie czas teraz oddawać się rozkoszom miłości, gdy oni przymierają głodem. Ale nie zastał jej w domu, postanowił więc zaczekać w pobliżu. U stóp starej wieży znajdował się na pół zatkany otwór szachtu opuszczonego. Jedna belka sterczała jak szubienica nad dziurą, z której wyrastały dwa spore już drzewa. Wejście było zarosłe i dzikie jak urwisko nad przepaścią. Walały się tu po ziemi belki, liny, śmieci i odpadki wszelkiego rodzaju. Stary szacht miało niedługo zasypać, ale chciano przedtem ukończyć budowę wielkiego wentylatora dla Voreux, której sztolnie dochodziły aż tutaj. Na razie więc inwalida służył za wentylator. Poprzestano na podparciu stemplowania ścian tu i ówdzie poprzecznikami, co nie dozwalało zarazem na wydobywanie węgla, górne galerie zostawiono własnemu ich losowi, w dolnej tylko zapalono ogromne ognisko, co wytwarzało tak piekielny żar i przeciąg, że powietrze z sąsiedniej kopalni pędziło tutaj z szybkością huraganu.

By dostać się w razie potrzeby na dół, zostawiono drabiny i miano je nawet od czasu do czasu naprawiać, ale nikt się o to bardzo nie troszczył, toteż gniły powoli, tak, że chcąc

Przywódca

się dostać do pierwszej, trzeba było uchwycić się korzeni drzew rosnących nad otworem i szukać nogami szczebla.

Stefan stał ukryty za krzakiem, gdy nagle usłyszał szelest. Myślał zrazu, że to jaszczurka spłoszona ucieka, ale po chwili ujrzał błysk zapalonej zapalki i ze zdumieniem zobaczył Jeanlina. Chłopak zapalił świecę i znikł po chwili w szachcie.

Ciekawość ogarnęła Stefana. Zbliżył się i dojrzał światło i malca już na drugiej drabinie. Zawahał się potem chwycił się korzeni drzewa i zawisł nad przepaścią. Już myślał, że będzie musiał skoczyć w niezmierną głąb, już poczęły mu cierpnąć ramiona, gdy dotknął nogą szczebla. Pomału począł schodzić w dół. Jeanlin widocznie nie dosłyszał żadnego hałasu, gdyż zląził dalej spokojnie. Świeca rzuciła migotliwe błyski na ściany, a sylwetka chłopca rysowała się na nich poczwarnie jak kształt stwory jakiejś o olbrzymiej głowie i powykręcanych członkach. Ze zręcznością małpy dzieciak czepiał się szczebli to rękami, to nogami, często zwisając na zrębie. Co siedem metrów poczynala się nowa drabina. Jedne były całe, jeszcze inne trzeszczały i chwiały się jakby miały zaraz się zapaść. Tu i ówdzie widniały zielonawe otwory chodników poziomych, grunt był rozkisły i miękki jak mech, a z każdą drabiną nową upał rósł w zatrważający sposób. Szczęściem teraz w czasie strajku ognisko tliło ledwie, niepodobna było sobie wyobrazić żaru panującego tutaj, gdy w czasie pełnej pracy codziennie podsycano je pięciu tysiącami kilogramów węgla.

— Przekłeta żmija! — syczał przez zęby Stefan. — Gdzież on lezie?

Dwa razy omal że nie spadł Stefan. Nogi ślizgały mu się po przegniłych szczeblach. Nie mając światła, uderzał się ciągle o skały. Nikły blask świecy posuwającej się ciągle w dół nie dochodził do niego. Już przebył ze dwadzieścia drabin, a wędrówka trwała dalej. Począł liczyć, naliczył kilka nowych, Jeanlin szedł dalej. Wreszcie gdy minął trzydziestą, ujrzał, że światło zwróciło się w jedną z bocznych galerii. Trzydzieści drabin, to znaczyło mniej więcej głębokość 210 metrów.

— Ciekawym, jak daleko jeszcze pójdziesz? Pewnie chce się skryć w stajni.

Ale drogę na lewo, wiodącą do stajni, zabarykadowały oberwane ze sklepienia skały. Rozpoczęła się nowa podróż trudniejsza jeszcze. Spłoszone nietoperze zrywały się ze sklepień. Stefan musiał się śpieszyć, by nie stracić go z oczu. Wbiegł w galerię, ale gdzie Jeanlin prześlizgiwał się jak wąż, Stefan, człowiek dorosły, kaleczył się i nabijał sobie sińce. Jak wszystkie stare galerie, tak i ta, którą szedł Stefan, uległa zgnieceniowi częściowemu pod naporem ustawicznym ogromnych mas skalnych i miejscami pozostała tylko wąska kiszka, a łatwo było przewidzieć, że niedługo zamknąć się musi. Przy tym popękane stemple ostrymi jak noże złomkami zagradzały często drogę. Posuwać się musiał teraz z najwyższą ostrożnością na kolanach, często na brzuchu i rękami macać drogi w ciemności. Nagle stado szczurów w szalonej ucieczce przebiegło przez niego.

— Do stu tysięcy! Kiedyż będzie koniec tego wreszcie! — mruknął zdławionym głosem.

Już właśnie byli na miejscu. Galeria rozszerzyła się nagle. Była to w wyśmienitym stanie znajdująca się droga jezdną, tworząca wśród pozgniatanych partii dalszych rodzaj groty. Stefan zobaczył, że malec przystanął, świecę wstawił między kamienie i rozgląda się po grocie z lubością, jak człowiek, który wreszcie znajduje się u siebie. Jeanlin istotnie zmienił galerię w przyzwoite mieszkanie. W kącie kupa siana zapraszała do spoczynku, na stole utworzonym z kawałków drzewa było dużo smakołyków, chleb, jabłka, kilka flaszek jałowcówki, jaja. Była to jaskinia złodziejska z nagromadzonym od tygodni łupem, wśród którego znajdowały się też rzeczy zgoła niepotrzebne, ściągnięte tylko dla przyjemności, a więc mydło i czernidło do butów. Malec siedział i z rozkoszą spoglądał na swe skarby.

— A hultaju jeden! — krzyknął Stefan, wysapawszy się. — To ty opływasz tu we wszystko, gdy my tam przymieramy głodem?

Jeanlin, zrazu przerażony, uspokoił się, poznawszy Stefana.

— Przekąsisz co? — spytał. — Smakowałby ci może kawałeczek sztokfiszka i kieliszeczek gorzkiej?

Począł zaraz oskrobywać rybę z brudu i pomiotu muszego ładnym, nowym nożykiem w rodzaju sztyletu o kościanej ręczce. Nożyki takie zwykle noszą różne napisy. Na nożyku chłopca widniało wycięte słowo: Miłość.

— Ładny masz nożyk — zauważył Stefan.

— Dała mi go Lidia — odparł, nie wspominając o tym, że z jego nakazu skradła go z kramiku stojącego w Montsou niedaleko gospody *Pod trupią głową*. Skrobiąc rybę, rzekł:

— Prawda, że ładnie tu u mnie. Lepiej w każdym razie jak tam na górze.

Stefan siadł, ciekawie przypatrując się. Gniew go opuścił i ze zdziwieniem patrzył na nicponia, który okazał się tak zręcznym i przemyślnym. Istotnie miło było w tej kryjówce, a upał nie dokuczał zbyt. Podczas gdy na ziemi dygotało wszystko z zimna, tu panowała temperatura ciepłej kąpieli, niezależna od pory roku. Z galerii i całej kopalni z biegiem czasu uszedł cały gaz, ulotnił się nawet odór węgla, czuć było tylko woń gnijącego drzewa. Drzewo belkowania pożółkłe było i piękne jak stary marmur okryte koronką pierzastych kryształów saletry. Niektóre belki obsiadły gęsto wielkie grzyby. Pod sklepieniem fruwały białe motyle, mole, po ścianach łaziły pająki bezbarwne. Żył tu cały świat zwierzęcy, któremu do istnienia nie potrzeba słońca.

— Nie boisz się? — spytał Stefan.

Jeanlin spojrzał zdumiony.

— Czegóż mam się bać? Wszak jestem tutaj sam jeden.

Mięso było gotowe. Rozniecił ogień, postawił na nim ruszt i upiekł. Potem rozciął bochenek chleba na dwoje. Była to uczta wspaniała, choć sztokfisz diablo był słony.

— Nie dziwię się, że tak dobrze wyglądasz, gdy my chudniemy — ozwał się Stefan, zając swą porcję. — Nie wstyd ci myśleć tylko o sobie?

— A czemuż inni tacy głupi?

— Zresztą słuszność masz, że się obawiasz. Dałby ci ojciec za te kradzieże!

— A czyż burzuje nie okradają nas? Ty sam to ciągle powtarzasz. Ukradłem dziś Maigratowi akurat tylko ten bochenek chleba, który mnie się należał.

Stefan, słysząc, w jaki sposób chłopak w praktyce stosuje jego nauki, zaczerwienił się po uszy i nie odpowiedział nic ze zmieszania a zarazem dlatego, że pełne miał usta jedzenia. Patrzył tylko na twarz Jeanlina, jego wielkie, odstające uszy, zielone oczy i myślał o jego chytrłości, co wszystko razem wzięwszy dawało pełny obraz człowieka zdegenerowanego niemal do zwierzęcia. Kopalnia uczyniła go takim i jeszcze okaleczyła to zwierzątko, a potem dała mu w swych korytarzach podziemnych schronisko.

— A czy przyprowadzasz tu czasem Lidię? — spytał.

Jeanlin zaśmiał się pogardliwie.

— Ha, ha, ha, a po co? Żeby wypaplała? Wszystkie kobiety mają długie języki.

I śmiał się dalej z Lidii i Béberta. Nikt nie widział głębszych błędów. Cieszyła go myśl, że wszystkie jego drwiny biorą za dobrą monetę i dają się okpiwać, podczas gdy on siedzi sobie w cieple, zając rybę pieczoną. Wreszcie dodał filozoficznie:

— Lepiej być samemu, nie ma powodów do kłótni.

Stefan zjadł, napił się wódki i przyszło mu na myśl, czy w zamian za gościnność nie należałoby wyciągnąć Jeanlina za uszy na wierzch i zabronić mu kradzieży pod grozą wydania ojcu jego kryjówki. Ale na widok tego wybornego schroniska przyszło mu na myśl, że go może potrzebować kiedyś dla siebie i dla innych, gdyby sprawy kiepsko poszły tam na górze. Kazał więc przysiąc chłopcu, że będzie wracał na noc do domu, i wzięwszy świecę, poszedł, zostawiając Jeanlina zajętego swoimi gospodarskimi sprawami.

Mouquette mimo zimna oczekiwała go. Rzuciła mu się na szyję i uczuła niby pchnięcie nożem, gdy jej oświadczył, że przychodzi po raz ostatni. Dlaczego to? Czyż go nie kocha? Nie chcąc jej ulec, wyprowadził ją na drogę i możliwie łagodnie wyjaśnił, że to kompromituje sprawę. Zdziwiła się. Cóż miał strajk do jej miłości? Ale wnet przyszło jej na myśl, że Stefan wstydzi się stosunku z nią. Nie zdziwiona tym wcale zaproponowała mu, by dla zadokumentowania zerwania dał jej publicznie w twarz, byle potem odwiedzał ją skrycie. Obiecowała kryć się, strzec pilnie. Wzruszony tym, odmówił jednak. Przed rozstaniem chciał ją jeszcze pocałować. Objął ją wpół i szli tak drogą, a księżyc ich oświecał. Nagle, gdy zbliżyli się do pierwszych domów Montsou, natknęli się na kogoś, co ich mijał. Kobieta jakaś zachwiała się, jakby potknąwszy się o kamień.

— Któż to? — spytał Stefan zaniepokojony.

— To Katarzyna. Wraca z Jean-Bart.

Samolubstwo, Złodziej,  
Krzywda

Dziewczyna poszła dalej ze zwieszoną głową, zataczając się jakby z wielkiego znużenia, a Stefan patrzył na nią zrozpaczony, wstydząc się, że go widziała. Nie wiadomo z jakiego powodu uczuł wyrzuty sumienia. Czyż nie żyła z tamtym? Czyż nie zrobiła mu tej strasznej krzywdy, że w jego oczach tu, w Requillart, oddała się innemu? Ale mimo wszystko bolało go, że jej równą miarką odpłacił.

— Wiem, czemu mnie nie chcesz — rzekła Mouquette z płaczem. — Bo kochasz tamtą!

Następnego dnia ścisnął lekki mróz, niebo było jasne, a ziemia dudniła pod nogami. Jeanlin wymknął się już o pierwszej z domu, ale musiał czekać za kościołem na Béberta i mało co nie poszli już bez Lidii, która siedziała zamknięta w piwnicy za karę. Ale w krytycznej chwili wypuściła ją matka, dała w rękę koszyk i obiecała, że jeśli nie napelni go dużą sałatą zimową, to pójdzie nocować ze szczurami. Chciała zaraz iść po sałatę, ale Jeanlin odwiódł ją od tej myśli, pocieszając, że czasu jest dość jeszcze. Od dawna miał już apetyt na Pologne, tłustą królicę Rasseneura, a właśnie zwierzątko wymknęło się na dwór w chwili, gdy mijali gospodę *Pod nadzieją*. Jeanlin skoczył, złapał królicę za uszy, włożył do koszyka Lidii i wszyscy troje uciekli co sił w nogach. Obiecywali sobie uciechę wielką. Chcieli zmusić zwierzę, by aż do lasu biegło przed nimi niby pies.

Ale zatrzymali się na chwilę, by się przyjrzeć grze w piłkę, którą rozpoczęli Zachariasz i Mouquet i dwaj inni chłopcy, pokrzepiwszy się przedtem kufelkiem piwa. Stawkę stanowiła nowiuteńka czapka i jedwabna chustka na szyję. Złożono te przedmioty w ręce Rasseneura. Gracze podzielili się na dwie partie po dwu i oznaczyli za pierwszą metę przestrzeń od Voreux do folwarku Pillot. Wynosiła ona ze trzy kilometry i Zachariasz założył się, że osiągnie metę w siedmiu uderzeniach, gdy Mouquet wymagał ośmiu. Położono piłkę z drzewa bukowego, kształtu jajka, na środku drogi, a gracze oparli o ziemię swe drewniane maczugi ścięte skośnie i zaopatrzone na końcu w metalowe owalne blaszki, u rękojeści zaś silnie oplecione sznurkiem. Rozpoczęto grę z uderzeniem godziny drugiej, Zachariasz podrzucił piłkę, trzy razy podbił ją maczugą w powietrzu, a potem mistrzowskim ciosem posłał ją w powietrze na jakieś czterysta metrów w skos poprzez pole burakowe. Grać po drogach nie było wolno, gdyż zdarzało się, iż piłka zabijała ludzi. Mouquet, przyszedłszy teraz do bicia, cofnął piłkę o dobre sto pięćdziesiąt metrów w tył. I poczęła się gra. Jedna partia podbijała piłkę w kierunku wytkniętego celu, druga cofała ją do punktu wyjścia. Biegano, ile starczyło nóg, które miały nie lada pracę w tej szalonej gonitwie po grudzie zmarzłej i kamieniach.

Trójka urwisów zachwycona potężnymi ciosami maczug biegła czas jakiś za graczami. Ale wnet tłukące się w koszyczku zwierzę przypomniało im się. Wypuścili je, ciekawi, czy prędko umie biegać. Rozpoczęła się zajadła gonitwa, której towarzyszyły piekielne wrzaski i klaskanie w ręce, by królicę przestraszyć. Gdyby nie to, że znowu była w ciąży, byłaby im niezawodnie uciekła.

Zatrzymali się na chwilę dla złapania oddechu i zaraz usłyszeli za sobą przekleństwa i krzyki. Grający wpadli na nich i Zachariasz omal że nie roztrzaskał bratu czaszki piłką. Brali teraz już czwartą metę. Od folwarku Pillot ruszyli do Quatre-Chemins, stamtąd do Montoire, a teraz postanowili w siedmiu uderzeniach stanąć w Prédés-Vaches. Zrobili więc w godzinie dwie i pół mili, wliczając w to już czas potrzebny na wypicie w szynkowni Vincent i gospodzie *Pod trzema królami* po kufelku piwa. Mouquet miał teraz szansę wygranej. Brakło mu tylko dwu uderzeń, gdy Zachariasz z uśmiechem, korzystając z reguły gry, odbił piłkę tak zręcznie, że wpadła do głębokiego rowu. Partner Mouqueta nie mógł jej wyrzucić stamtąd maczugą. Był to cios dla nich wielki.

Wszyscy czterej poczęli krzyczeć i wpadli w wielkie rozdrażnienie, bo grę całą rozpocząć musiano na nowo. Z Pré-des-Vaches do Herbes Rousses nie było więcej jak dwa kilometry. Postanowiono osiągnąć tę metę w pięciu uderzeniach, a potem odpocząć przy kufelku w gospodzie Lerenarda.

Jeanlinowi wpadło teraz co innego do głowy. Przestał się interesować grą, wyciągnął z kieszeni sznurek i uwiązał go do lewej łapy Pologne. To było tak śmieszne. Biedne zwierzę biegło przed urwipółciami ciągnąc za sobą zdrętwiałą nogę. Śmiali się do rozpuku. Potem uwiązali sznur do szyi, a wreszcie, gdy wyczerpana królicą biegać już nie mogła, ciągnęli ją za sobą na brzuchu, a potem na grzbiecie, niby mały wózek. Trwało to z godzinę.

Gra, Obyczaje

Zbliżyli się tymczasem do lasu Cruchot, a posłyszawszy z oddali głosy graczy, schowali na pół zamęczone zwierzę do koszyka.

Teraz Zachariasz i Mouquet, i dwaj inni rozszaleli się i przebiegali całe kilometry, zatrzymując się tylko tu i ówdzie na kufelek, w miejscowościach oznaczonych jako punkty końcowe każdej mety. Z Herbes Rousses zabiegli do Buchy, stamtąd do Croix de Pierre, a wreszcie do Chamblay.

Buty ich dudniły po zmarzłym gruncie, gdy pędzili za piłką. Pogoda była cudna, nie zapadano się w ziemię, ryzykując tylko co najwyżej połamanie sobie nóg. W suchym powietrzu uderzenia maczug o piłkę brzmiały jak strzały karabinowe. Muskularnymi rękami ciskali gracze owinięte sznurkiem rękojeści maczug i rzucali się całym ciałem naprzód, jakby w ataku na nieprzyjaciela. Ciągnęło się to całymi godzinami, z jednego końca równi na drugi, w szalonym biegu poprzez rowy, płoty, wały i niskie mury odgradzające pola. Gracz taki musiał mieć dobre płuca i żelazne ścięgna w nogach. W ten sposób hajerzy wytrząsali z siebie pył kopalni i wyzbywali się z piersi gazów węglowych. Zdarzali się dwudziestopięcioletni chłopcy, którzy potrafili w ciągu popołudnia przebyć dziesięć mil szalonym biegiem. Grę uprawiano do czterdziestego roku życia, potem człek był już zbyt ociężały.

Była godzina piąta i zmierzch już padać poczynął. Jeszcze jedna meta do lasu Vandame i rozstrzygnie się kwestia, kto weźmie czapkę i chustkę na szyję.

Zachariasz pokpiwał sobie ze strajku i śmiał się na myśl, jak komicznie będzie, gdy prosto od gry udadzą się na zgromadzenie. Jeanlin mimo pozornie bezcelowego biegania po polach miał też na celu las Vandame i groził Lidii, która opanowana strachem i wyrzutami sumienia chciała wracać do Voreux zbierać sałatę. Jak to, mieli nie być na zgromadzeniu? Chciał słyszeć, o czym starsi będą rozmawiać. Popchnął naprzód Béberta i zaproponował, by przez resztę drogi zabawiali się ciskaniem kamieniami za półżywą królicą. Miał przy tym myśl uboczną, że może zwierzę przy tej okazji zostanie zabite i weźmie je do swej spiżarni podziemnej w Requillart. Królicą poczęła znowu uciekać z opuszczonymi uszami. Jeden kamień skaleczył ją w grzbiet, drugi strzaskął jej kość ogonową i byłaby pewnie legła, gdyby nie ukazanie się nagle Stefana i ojca Maheu na polance leśnej. Przerażeni nicponie rzucili się na zwierzę i skryli je do koszyka. W tej chwili ostatnim uderzeniem rozegrali Zachariasz i Mouquet partię, a piłka potoczyła się w las.

Wraz ze zmierzchem zaroili się wszystkie drogi i ścieżki całej okolicy. Pojedynczo i grupami szli robotnicy w kierunku rysującego się fioletowo na horyzoncie lasu Vandame. Kolonie opróżniały się, szli wszyscy, nawet kobiety i dzieci. Ale drogi obsiadł już cień i nie można było objąć jednym rzutem oka całej tej fali ludzkiej zdążającej do wspólnego celu, słychać było ją raczej. Wzdłuż płotów, krzaków płynął szmer jakiś przygłuszony, brzmiały dziwnie w ciszy wieczoru.

Pan Hennebeau wracający właśnie z objazdu nastawił ucha na ten zgiełk niewyraźny. Spotkał kilkanaście par idących wolnym krokiem jakby na przechadzkę. Sądził, że to jak zwykle pary zakochanych idące w pole, by tam w stosownym miejscu zażyć rozkoszy miłości.

I na cóż uskarżają się ci ludzie, myślał, ci nędzarze, którym pozostała nic nie kosztująca, a ogromna rozkosz kochania się? Chętnie byłby cierpiał głód, gdyby mógł rozpocząć swe życie na nowo, z kobietą, która by mu się oddała z ciałem i duszą na kupce kamieni. Oblicze jego przysłoniła mgła smutku. Zazdrościł tym nędzaczom. Spuścił głowę na pierś i skierował konia ku domowi, a w uszach mu brzmiały szmery płynące równią, szmery, które wydawały mu się odgłosem pocałunków par miłosnych.

## VII

Tłum zebrał się w miejscowości Plan-des-dames na obszernej polance leśnej usianej pniami, opadającej łagodnym stokiem ku ścianie wysokich, wspaniałych buków, których pnie proste, białe, okryte tylko tu i ówdzie zielonymi porostami, otaczały niby kolumny wyręb leśny. Kilka ściętych olbrzymów leżało w trawie, a po lewej stronie ciągnął się długi rząd poskładanego w sęgi zrąbanego drzewa. Z nastaniem zmroku mróz się powiększył i mech zamarzył chrupał pod nogami. Polana i krzaki tonęły w ciemnościach, a na tle

pobladłego nieba rysowały się wyraźnie białe pnie osrebrzone światłem wschodzącego właśnie księżyca.

Zebrało się przeszło trzy tysiące górników z żonami i dziećmi, wypełniając całą polanę, aż po ścianę lasu, a jeszcze ciągle napływali spóźnieni. Jakby poszumem wichru zabrzmiał las rozgwarem głosów kilkutyśięcznej rzeszy.

Na małym wzgórku stał Stefan z ojcem Maheu i Rasseneurem. Zaraz rozpoczął się między nimi spór, wykrzykiwali głośno. Obok nich, nadsluchując, stali Levaque zaciskający pięści, obrócony tyłem Pierron, bardzo niekontent ze swej obecności tutaj, a nierozłączni Bonnemort i Mouque siedzieli na pniu obok siebie pogrążeni w myślach, milczący. Żartownisie, jak Zachariasz, Mouquet i inni, trzymali się w pobliżu i chichotali, natomiast kobiety stały w grupach poważne, ciche jak w kościele. Maheude na wyrzucane półgłosem przekleństwa pani Levaque odpowiadała tylko kiwaniem głową. Filomena kaszłała, bo wraz z zimą nastąpiło pogorszenie w jej zdrowiu. Tylko Mouquette z rozradowaną miną przysłuchiwała się klątwom starej Brûlé miotanym na córkę, wyrodną gadzinę, która wysłała z domu matkę, by sama mogła pożreć pieczeń z królika, nędznicę zaprzędaną panom, tuczając się łajdacką podłością męża. Na jeden z sągów wydrapali się Jeanlin, Lidia i Bébert i królowali ponad głowami wszystkich.

Spór począł Rasseneur żądaniem, by wybrano prezydium zgromadzenia. Rozwścieklony porażką w Bon-Joyeux poprzysiął sobie, że teraz odniesie zwycięstwo i odzyska wpływ stracony, przemawiając nie do delegatów już, ale do ogółu górników. Stefan oburzył się. Myśl formalizowania się tu w lesie wydała mu się głupia. Trzeba działać rewolucyjnie, mniemał, gdy prześladują ich jak dzikie zwierzęta.

Widząc, że spór trwać będzie bez końca, postanowił od razu owładnąć tłumem i wskoczywszy na pień zawołał:

— Koledzy! Koledzy!

Gwar przycichł, a podczas gdy Maheu uspokajał Rasseneura, Stefan mówił donośnym głosem:

— Koledzy! Wobec tego, że nam nie pozwalają mówić gdzie indziej, wysyłając żandarmów, zebraliśmy się tutaj w lesie, by się porozumieć. Tu chyba możemy czuć się wolni i bezpieczni od najścia i nikt nas tu nie może zmusić do milczenia, jak zmusić do tego nie może ptaków i innych zwierząt leśnych.

Odpowiedziały mu oklaski, krzyki i wołania:

— Tak, tak, las jest wolny, tu nikt nam zabronić nie może... mów!

Stefan chwilę stał na pniu w milczeniu. Księżyc ciągle jeszcze oświecał jedynie wyższe gałęzie drzew, tłum tonął w cieniu. Uspokajał się powoli. I postać samego Stefana rysowała się tylko czarną sylwetką na niebie.

Podniósł rękę i począł mówić. W głosie jego nie było już teraz gniewu, spokojnie, tonem mówcy ludowego zdającego sprawę ze swych czynności począł mowę, którą mu uniemożliwiło pojawienie się komisarza w Bon-Joyeux. Na wstępie dał pogląd na strajk, sypał faktami. Omówił naprzód swą niechęć do strajku. Ani on, ani robotnicy nie chcieli go, dyrekcja sama sprowokowała ich nową taryfą płac. Przypomnił pierwszy krok uczyniony przez delegatów, konferencję z dyrektorem, złą wolę rady nadzorczej, następnie ponowną konferencję i uczynioną pod przymusem drobną koncesję pana Hennebeau, przyznanie owych dwu centimów, o które ich chciano zrazu okraść. Przeszedł do sytuacji obecnej. Cyframi usprawiedliwił wyczerpanie się kasy wsparć, zdał sprawę z rozdziału kwot nadesłanych, wreszcie uniewinnił kilku słowami Międzynarodówkę, Plucharta i innych, że zaabsorbowani zdobywaniem świata, dla robotników tutejszych więcej uczynić nie mogli. Położenie, mówił, pogarsza się z dniem każdym. Kompania odsyła książeczki robotnicze, grozi sprowadzeniem górników z Belgii, a oprócz tego pogroźkami zdołała zastraszyć lękliwych i skłoniła część robotników do podjęcia pracy. Mówił monotonicznie, jakby umyślnie gromadząc złe nowiny, smutne fakty. Mówił o nieuniknionym zwycięstwie głodu, o ostatnich przeblyskach męstwa i poświęcenia i nagle nie podnosząc głosu zakończył.

— Tak stoją rzeczy, koledzy, i dziś musimy się namyślić, co czynić dalej. Czy chcecie strajkować, czy nie, i co czynić zamierzacie dla poprawy swej doli.

Las, Wolność

Las zaległa głęboka cisza. Tłum pogrążony w ciemnościach milczał po tych ściskających serca słowach. Słychać było tylko ciężkie westchnienia i przyspieszone oddechy ludzkie.

Ale Stefan począł po chwili innym całkiem głosem. Teraz nie przemawiał już jako sekretarz kasy wsparć, mówił jak przystało mówić przywódcy, apostołowi głoszącemu prawdę. Jak to, więc ma się patrzeć spokojnie na postęпки zdrajców wspólnej sprawy? Nadaremnie się więc przymierało od tyłu tygodni głodem? Więc wrócić do jarzma, ugiąć karki i podjąć na nowo ciężki krzyż nędzy? Czyż nie lepiej zaraz umrzeć w rozpaczliwym wysiłku złamania tyranii kapitału, niosącego śmierć głodową? Czyż wiecznie trwać ma ta igraszka okrutna, to maltretowanie głodem, posuwane do granic, gdzie ten sam głód najpokorniejszych podnieca do oporu? Udowadniał, że cały ciężar kryzysu ponoszą robotnicy i sami jedni cierpią niedostatek, gdy popyt się zmniejsza, kapitał zaś nie traci prawie nic. Nie, nowej taryfy przyjąć nie sposób. Jest to tylko przykrywka, by oszczędzić kosztów i zdrzeć tę oszczędność, kradnąc każdemu z nich jedną godzinę pracy codziennie. Ale dopełniła się już miara złego i nadchodzi czas, w którym uciskani sami wymierzają sobie sprawiedliwość!

Zamilkł na chwilę i stał z rękami w górę wzniesionymi, a tłum otrząsł się tymczasem ze strachu i przynębienia, wywołanych pierwszą częścią mowy, wybuchnął oklaskami i okrzykami.

— Sprawiedliwości! Sprawiedliwości! Już przyszedł czas!

Stefan rozgorzał cały. Nie miał daru płynnego mówienia jak Rasseneur, często brakło mu słowa, zdania trzymały się ledwie ze sobą, a okresy kończył z wysiłkiem. Ale mimo to nasuwały mu się porównania i obrazy bardzo odpowiednie i przekonujące, a ruchy, zdradzające robotnika, wyrzucanie pięści w przód, ruch szczęki dolnej jakby kasać się gotującej wywierały na górnikach wielkie wrażenie. Wszyscy przyznawali, że nie mówi pięknie, ale za to sprawiedliwie.

— System pracy najemnej — grzmiał dalej — jest to tylko nowa forma dawnego niewolnictwa. Kopalnia jest własnością górników, jak morze własnością rybaków, a ziemia robotników ziemnych! Słyszycie? Kopalnie są wasze, boście je przez sto lat spłacali krwią waszą. Zapłacone są sownie!!!

Przeszedł teraz na zawile kwestie prawne, w których się zgubił. Wszystko, co pod ziemią i na ziemi, jest własnością całego narodu, a tylko łajdacki przywilej zapewnił kilku towarzystwom monopol zysku z krzywdą ogromnej większości. A specjalnie w Montsou koncesje wydane Kompanii są bezprawiem, gdyż stoją w sprzeczności z prawami dawnych panów lennych tego okręgu, które nabyli dawniej mieszkający tu chłopci. Lud chce przeto odzyskać tylko swą własność. Wyciągnął rękę i zatoczył nią wielkie koło po równi, którą oświecał w tej chwili księżyc wzbijający się ponad korony drzew. Stefan też osrebrzony był jasnymi promieniami. Tłum, widząc go w tej aureoli rozdałego mu szczęście i spokój, zahuczał jak burza. Rozległy się oklaski i wołania.

— Tak, mówi słusznie! Brawo!

Stefan wsiadł teraz na swego konika, uspołecznienie środków produkcji. Zwięzłość i radykalizm tej formuły zachwycaly go. Ukształtował się już w jego głowie cały system. Początkowe sentymentalne idee braterstwa, właściwe nowicjuszom, a potem nasuwająca mu się myśl reformy prawa pracy najemnej znikły. Teraz chciał usunąć system pracy najemnej doszczętnie. Od czasu zgromadzenia w Bon-Joyeux jego niejasny, broniący interesów całej ludzkości kolektywizm zaostrzył się i skryształizował w pewną formułę praktyczną. Wychodził z założenia, że osiągnięcie wolności jest niemożliwe bez zniszczenia dzisiejszego ustroju państwowego. Reformy zaczną się z chwilą owładnięcia rządami. Reformy zaś te polegają na: przywróceniu dawnej wspólności posiadania, komunizmu pierwotnego, zastąpieniu dzisiejszych form współżycia rodzinnego pełnego fałszu i ucisku instytucją rodziny wolnej; równość absolutna, polityczna i ekonomiczna, gwarancja wolności osobistej przez rozporządzanie dowolne całym produktem pracy i wreszcie nauczanie bezpłatne opłacane przez komunę. By to osiągnąć, obalić należy całą zgniłą budowę dzisiejszego ustroju społecznego. Krytykował instytucję małżeństwa, dziedziczenia, określał prawa posiadania jednostki, obalał pomniki przemocy pozostałe z wieków minionych. Jedną ręką, ruchem żniwiarza koszącego dojrzały łan zboża, niweczył wszystko co stare, drugą budował przyszły gmach społeczny, przybytek prawdy, sprawiedliwości,

Idealista, Marzenie

który miał stanąć w najbliższym czasie wraz ze świtem dwudziestego wieku. Na tych wyżynach inteligencja jego ściosa się, był to już tylko zagorzały sekciarz. Skrupuły zdrowego rozsądku znikły i stworzenie świata nowego wydawało mu się teraz drobnostką, zależną jedynie od dobrej woli robotników. Byłby się podjął skonstruować tę maszynę i puścić w ruch w przeciągu dwu godzin. Szafował krwią i ogniem jak Bóg wysoko ponad ludzkością królujący.

— Na nas teraz kolej! — krzyknął ostatnim wysiłkiem. — W nasze teraz ręce przejść muszą bogactwa i władza!

Oklaski zagrzniały na całym obszarze polany osrebrzonej teraz światłem księżycowym. Widać było powódź głów aż w gęstwą leśną sięgającą. Wszystkie twarze rozgorzały mimo mrozu, oczy błyszczały, usta były otwarte, wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci gotowi byli rzucić się na zdobycie dóbr ongi posiadanych, które im wydarto. Nikt nie czuł głodu ni zimna, słowa mówcy były jak chleb i ogień. W ekstazie religijnej nie czuli ziemi pod nogami, oczyma szeroko otwartymi, rozgorzałymi fanatyzmem pierwszych chrześcijan wypatrywali, czy nie zbliża się niby słup ognia nowe królestwo boże na ziemi. Nie rozumieli wielu zdań i słów, nie mogli iść w ślad za tym rozumowaniem abstrakcyjnym i technicznym, ale niejasność rozszerzała im jeszcze horyzont obietnic, nadziei, olśniewała. Co za raj! Zapanować! Przestać cierpieć! Radować się!

— Tak, na nas kolej! Śmierć ciemierzcom!

Kobiety wpadły w szal. Maheude nawet opuścił zwykły spokój, a opanowało głodowe podniecenie, Levaque wyła, Brûlé w powietrzu wymachiwała rękami, zadając ciosy nieobecnym wrogom, Filomena dławiła się kaszlem, a Mouquette tak była zachwycona, że wykrzykiwała pod adresem Stefana najczulsze wyrazy. Wśród mężczyzn najbardziej rozpalili się Maheu i wykrzykiwał głośno, obok niego stał Pierron drżący na całym cieple i Levaque gadający jak zawsze za wiele. Zachariasz i Mouquet próbowali żartować, ale im to nie szło i poprzestali na zdumiewaniu się, iż Stefan może tak długo mówić bez przepłukania gardła. Ale największy hałas robił stojący na sągu Jeanlin. Podburzał do krzyku Lidię i Béberta i machał w powietrzu koszykiem, w którym biedna Pologne dogorywała.

Okrzykom nie było końca. Stefan zażywał w całej pełni słodczy popularności. Miał teraz w ręku potęgę, owe trzy tysiące ludzi, miał ich serca, władał nimi i zmuszał swym słowem do szybszego bicia. Sam Souvarine, gdyby raczył przyjść, ucieszyłby się z postępu, jaki Stefan zrobił w kierunku anarchizmu, z wyjątkiem rozumie się owego publicznego nauczania, gdyż potępiał je, jako ostatni objaw sentymentalnej głupoty, i sądził, że ludzkość musi wziąć zbawienną kąpiel pierwotnej niewiedzy, z której wyjdzie silna i zdrowa. Rasseneur ze swej strony pienieł się ze złości i wzruszał pogardliwie ramionami.

— No, może mi dasz dojść do słowa! — krzyknął Stefanowi.

Stefan zeskoczył z pniaka.

— Mów, zobaczymy, czy cię zechcą słuchać.

Rasseneur wstał na pień i ruchem nakazał milczenie. Ale hałas nie ustawał. Nazwisko jego obiegało z ust do ust, z pierwszych szeregów, gdzie go poznano, podawane aż do ostatnich stojących wśród drzew. Nie chciano go słuchać, przestał być ideałem, a dawniejsi zwolennicy wściekali się na sam jego widok. Płynność wymowy i dobroduszy uśmiech, które podobały się dawniej, wydały się teraz zimną herbatą dobrą dla tchórów i zdrajców. Daremnie chciał przekrzyczeć zgiełk i wypowiedzieć swą zwyczajną pokojową mowę, przekonać o niemożliwości zmienienia świata za jednym zamachem, konieczności zostawienia czasu temu światu nowemu, by się ukształtował. Żartowano sobie z niego i gwizdano. Klęska w Bon-Joyeux była wobec tego niczym. Wreszcie poczęto w niego ciskać zmarzłym mchem, a jakaś kobieta wrzasnęła mu nad uchem.

— Śmierć zdrajcy!

Rasseneur tłumaczył mimo wszystko dalej, że kopalnie nie mogą stać się własnością robotnika jak na przykład warsztat tkacki własnością tkacza i oświadczył, że wołałby, by górnik partycypował w zyskach i w ten sposób niejako stał się członkiem rodziny przedsiębiorcy.

— Śmierć zdrajcy! — powtórzyło tysiąc głosów i koło głowy nieszczęśliwego szynkarza poczęły świstać kamienie.

Zbladł i rozpacz wycisnęła mu łzy z oczu. Istnienie jego, wpływ znikły. Po dwudziestu latach pracy w celach egoistycznych wprawdzie, dla własnej sławy, ale zarazem dla dobra kolegów, legł pokonany niewdzięcznością tłum. Zlazł z pniaka, nie mając siły mówić dalej, i syknął tryumfującemu Stefanowi.

— Śmiejesz się? Życzę ci, by i ciebie to spotkało. A spotka, bądź tego pewny!

Odpowiedzialność za wszystko, co by nastąpiło, odsuwając od siebie, uczynił wymowny gest i poszedł do domu przez pola oblane jasnym światłem księżyca.

Rozległ się okrzyk pogardy, ale nagle wszyscy ucichli w zdumieniu, gdyż na pniak wylazł stary Bonnemort. Dotychczas siedział obok przyjaciela jak zawsze zadumany nad przeszłością. Widocznie dostał ataku wielomówności, jednego z owych ataków, podczas których dawne wspomnienia wydobywały się z dna jego duszy, jak lawa pozornie wygasłego wulkanu i godzinami całymi płynęły z ust jego niepowstrzymanym biegiem. Nastąpiło grobowe milczenie. Słuchano tego starca w promieniach księżyca bladego jak widziadło, opowiadającego historie nie stojące w bezpośrednim związku z tym, o co dziś szło. Bonnemort opowiadał długie historie, których nikt nie rozumiał, i to zwiększało jeszcze wrażenie. Opowiadał o swej młodości, o śmierci obu zasypanych w Voreux stryjów, o zapaleniu płuc, które zabrało mu żonę. Ale nie odbiegał od przewodniej myśli. Nie było dobrze, nie będzie dobrze. Raz zebrali się też w lesie jak teraz, było ich pięćuset, oponowali przeciw temu, że król nie chciał zniżyć czasu pracy. Ale znów przerwał i począł opowiadać o innym strajku. — Przeżył ich tyle! Kończyły się zawsze w lesie... bądź tu, bądź niedaleko stąd w Charbonnerie. Albo wreszcie w Saut-du-Loup. Czasem było zimno, czasem gorąco, a jednego wieczoru padał deszcz tak silny, że rozeszli się, nie powiedziawszy słowa. A jednak właśnie tego wieczoru nadeszli żołnierze króla i krew się poląła.

— Podnieśliśmy ręce, jak teraz podnoszę. Przysięgliśmy nie zjeżdżać... ach, przysięgłem... przysięgłem!

Tłum słuchał z otwartymi ustami, poczęło wszystkim być jakoś nieswojo, ale Stefan, który pilnie śledził przebieg sceny, wskoczył na pniak obok Bonnemorta i objął go ramieniem. Równocześnie w tłumie dostrzegł Chawała. Myśl, że jest i Katarzyna, rozplomieniła go na nowo. Chciał, by widziała jego popularność.

— Koledzy, słyszeliście opowiadanie tego starca! — począł na nowo. — Wiecie, ile wycierpiał! I tak jak on będą cierpieć wnuki nasze i prawnuki, jeśli raz końca nie zrobicie z tymi złodziejami i katami.

Straszny był w tej chwili. Nigdy tak nie przemawiał dotąd. Jak sztandar niedoli trzymał w objęciach Bonnemorta, jak symbol żywy nędzy i cierpienia wołających o pomstę. W krótkich zdaniach mówił teraz, ilustrując swe słowa przykładem rodziny Maheuów, wykazał, jak całą tę rodzinę wyssała kopalnia i wysysa teraz jeszcze po stu latach pracy. Przecistawiał potem tym nędzarzom utuczonych posiadaczy Montsou przewalających się po złocie, ową bandę akcjonariuszy, którzy dają się jak nierządnicę utrzymywać od stu lat, nie biorąc się do roboty. Czyż nie woła o pomstę, że taka masa ludzi z ojca na syna w nędzy dręczy się, pracując pod ziemią po to, by ministrowie mogli dawać bałę, a pokolenia wielkich panów i burżujów żyły w dostatku i tuczyły się jak wieprze! Stefan studiował choroby zawodowe górników i roztaczał teraz przed słuchaczami straszny, pełen wstrząsających szczegółów obraz. Niedokrewność dziedziczna, skrofuły, czarna bronchitis, dławiąca astma, obezwładniający reumatyzm. Oto nagroda za pracę. Nędzarzy rzuca się na karmę maszyn, stłacza się jak bydło po koloniach po to, by chorych i ogłupiałych wyzyskiwać, jedno pokolenie za drugim, i miliony uczynić niewolnikami tysięcy zaledwie, posiadających narzędzie tortury, to jest kapitał.

Ale nadchodzą czasy nowe, robotnik przestaje być głupim bydlęciem. W głębinach kopalni organizuje się armia obywateli. Kielkuje tam posiew, który pewnego dnia przebiję twarde skały i wydobędzie się na słońce, a wówczas zobaczymy, czy ośmieli się jakaś marna Kompania sześćdziesięcioletniemu, schorzałemu starcowi po 40 latach służby ofiarować pensji<sup>33</sup> 150 franków rocznie. Tak! Praca zażąda obrachunku od kapitału, owego tajemniczego bożyszcza, które gdzieś w świątyni swej siedzi i ssie krew nędzarzy, żywiąc

Przywódca

Robotnik, Walka klas

<sup>33</sup> pensja — tu: emerytura.

się nią. Poszukają go robotnicy, zajądą mu w twarz, a poświęci im łuna pożarów. Utopią w krwi tego wieprza plugawego, tego bożka obżartego mięsem ludzkim.

Zamilkł, ale wyciągniętą ręką wskazywał kędyś w dali nieznanej czatującego nieprzyjaciela.

Huragan oklasków i okrzyków zerwał się taki, że mieszkańcy Montsou musieli spojrzeć na Vandame sądząc, że nastąpiło nowe zapadnięcie się gruntu. Nocne ptactwo latało przerażone, migocąc jak czarne płyty na jasnym niebie.

Stefan chciał teraz dojść do konkluzji.

— Koledzy... i cóż postanawiacie? Chcecie strajkować dalej?

— Tak, tak! — zahuczało.

— A cóż postanawiacie jeszcze uczynić? Klęska nasza jest pewna, jeśli jutro tchórze i zdrajcy sprawy staną do roboty.

Tłum zaryczał:

— Śmierć zdrajcom!

— Postanawiacie więc przypomnieć im ich obowiązki, skłonić do dotrzymania słowa? Otóż myślę, że musimy pójść do kopalni i obecnością naszą powstrzymać tamtych od zjeżdżania. Będzie to zarazem dla Kompanii dowodem, że panuje pośród nas jedność i że raczej umrzeć gotowiśmy, niż poddać się.

— Tak, tak, do kopalni! Do kopalni!

Stefan ciągle oczyma szukał Katarzyny pośród rozognionych twarzy, ale nie było jej tu widocznie. Natomiast nasuwał mu się ciągle na oczy Chaval uśmiechający się drwiąco i wzruszający ramionami. Pokrywał w ten sposób zazdrość. Byłby dał nie wiem co za cząstkę popularności Stefana.

— A jeśliby się trafili wśród nas szpiedzy — mówił dalej Stefan, zerkając na Chavala — to niech wiedzą, że mają się mieć na baczności. Znamy ich! Widzę tu robotników z Vandame, którzy nie porzucili pracy!

— Czy to do mnie pite? — spytał Chaval wyzywająco.

— Do ciebie czy do innego, to wszystko jedno. Ale dobrze, gdy się sam zgłaszasz, więc wiedz, że ci, co głód cierpią, nie mają nic do czynienia z tymi, którzy pracują.

Przerwał mu drwiący głos:

— Ii... on pracować? I po cóż mu tego? Ma przecież dziewczynę, co na niego pracuje.

Chaval zaczerwienił się i zaklął.

— Do licha! — krzyknął. — Cóż to? Czy nie wolno pracować?

— Tak, nie wolno — odparł Stefan — gdy wszyscy za wspólną sprawę cierpią głód, nie wolno jest egoistą być i stawać po stronie pracodawców. Gdyby strajk był ogólny, byłibyśmy dawno panami sytuacji. Gdy Voreux i inne kopalnie stoją, czyż sprawiedliwe jest, by w Jean-Bart pracowano? Gdyby praca w całym zagłębiu stanęła, byłby to cios dla kapitalistów. Słyszysz, ci, co pracują w Jean-Bart i ty razem z nimi — to zdrajcy!

— Słuchajcie! — zawołał. — Przyjdźcie jutro do Jean-Bart i przekonajcie się, czy pracuję. Przysłało mnie właśnie do was, bym oświadczył, że idziemy ręką w rękę z wami! Ogień należy pogasić! Do strajku muszą przyłączyć się i maszyniści! Zatrzymamy pompę. Tym lepiej, jeśli woda zaleje kopalnię i zniszczy wszystko.

Klaskano mu z zapalem, większym może jeszcze jak Stefanowi. Mówcy jeden po drugim wyskakiwali na pniak, wymachiwali rękami i wśród krzyków czynili niesłychane propozycje, stawiali okropne wnioski. Fanatyzm religijny, niecierpliwy, wybuchł całą siłą. Byli to już opętanci, sekciarze spodziewający się cudów i chcący je wywołać. Głowy ogarnęła gorączka głodowa, przed oczyma wszystkich majaczyła krew i ogień, z których miała wyjść wolność i szczęście ludzkości. Urywane okrzyki ginęły w cichym poważnym lesie, którego drzewa głuche na krzyki szalejących u stóp nieszczęśników rozpościerały w powietrzu nieruchomo swe korony, czarno rysujące się na jasnym niebie.

Począł się ścisk, potracanie, wszyscy potracili głowy. Maheude potakiwała teraz Levaque'owi, który zakasował wszystkich, domagając się głów inżynierów. Pierron znikł gdzieś, Bonnemort i Mouque gadali obaj razem, pletli coś w kółko, czego nikt nie rozumiał. Zachariasz i Mouquet mieli jak zawsze wybryki w głowie, domagali się przeto niszczenia kościołów i by zwiększyć zgiełk, tłukli maczugami o kamienie leżące tu i ów-

Robotnik, Walka klas

dzie. Kobiety zwłaszcza były podniecone. Pani Levaque, podparłszy się pod boki, besztła Filomenę, oskarżając ją o to, że się śmiała.

Mouquette proponowała kopanie żandarmów w tę część ciała, na której się zazwyczaj siedzi, a Brûlé biła po twarzy ciągniętą za sobą Lidię za to, że nie tylko nie nazbierała sałaty, ale zgubiła gdzieś koszyk. Wybiwszy należycie, poczęła rozdawać policzki nieobecnym wrogom, machając rękami w powietrzu. Jeanlin zdrętwiał, usłyszawszy od jakiegoś chłopca, iż pani Rasseneur widziała ich, gdy kradli Pologne.

Ale przyszedł niedługo do siebie, umyśliwszy puścić królicę pod drzwiami gospody *pod Nadzieją*. Uspokojony tym postanowieniem począł wrzeszczeć na całe gardło i błyskać pod światło księżyca ostrzem swego nożyka.

— Towarzysze! Towarzysze! — wołał Stefan wyczerpany i zachrypły. Chciał uciszać tłum, by dojść do konkluzji.

W końcu zdecydowano się go słuchać.

— Towarzysze! Jutro rano do Jean-Bart! Zgoda?

— Tak, tak, do Jean-Bart! Śmierć zdrajcom!

Huragan trzech tysięcy głosów zerwał się, wzbił w powietrze i konał kędyś na wyżynach cichych, prześwietlonych srebrnymi promieniami księżyca.

## CZĘŚĆ PIĄTA

### I

Księżyc zaszedł, o czwartej rano jeszcze noc głęboka panowała. U Deneulina wszystko spało. Stary, ceglany dam o zamkniętych drzwiach i okiennicach cichy był i ciemny. Stał na końcu zapuszczonego ogrodu, który go oddzielał od kopalni, a po drugiej stronie ciągnęła się droga do Vandame, dużej wsi, leżącej w odległości trzech może kilometrów poza lasem.

Deneulin zmęczony, gdyż dnia poprzedniego zajęty był w kopalni, chrapał z twarzą obróconą do ściany. Nagle przyśniło mu się, że go ktoś woła. Zbudził się, posłyszał w istocie głos i pobiegł otworzyć okno. W ogrodzie stał dozorca.

— I cóż tam? — spytał Deneulin.

— Panie dyrektorze! Połowa robotników porzuciła pracę i wstrzymuje drugą połowę od zjechania w głąb.

Nie zrozumiał dobrze, co mówi dozorca, zaspany był i oszołomiony zimnym powietrzem jakby tuszem<sup>34</sup>.

— No to odpędźcie ich!

— Próbujemy już od godziny nadaremnie — odparł dozorca — i wreszcie zdecydowaliśmy się zbudzić pana. Chyba jeden pan dyrektor poradzi co jeszcze.

— Dobrze, idę.

Ubrał się prędko. Rozjaśniło mu się teraz w głowie i pojął całą groźbę sytuacji.

Ani kucharka, ani służący nie wstali jeszcze i można było spłądować z łatwością cały dom. Ale z pokoju dziewcząt słychać było gwar rozmowy i gdy Deneulin otworzył drzwi, wybiegły obie córki w narzuconych pośpiesznie negliżach.

— Co to, ojczulku?

Starsza Łucja, mająca już dwadzieścia dwa lata, była wysmukłą brunetką, o imponującej postawie i ruchach, młodsza zaś, dziewiętnastoletnia Janka, była niskiego wzrostu pełną powabną blondynką.

— Nic wielkiego — odparł, by je uspokoić. — Kilku robotników wyprawia awantury. Pójdę zobaczyć.

Zaprotestowały, nie chciały go puścić bez filiżanki gorącej kawy. Inaczej na pewno wróci chory, ze zrujnowanym żołądkiem, jak zwykle w takich razach. Odmówił i dał słowo, że na to czasu nie ma.

— Słuchaj! — rzekła Janka, zwieszając mu się u szyi. — Nie puszczę cię, jeśli nie wypijesz kieliszka wódki i nie zjesz dwu biszkoptów.

Musiał ustąpić, chociaż zapewniał, że biszkopty staną mu w gardle.

Zbiegły obie ze świecami na dół do jadalni i zajęły się nalewaniem wódki i szukaniem biszkoptów. Dziewczęta w młodych bardzo latach straciły matkę, wychowywały się same, gdyż rozpieszczania ze strony ojca za wychowanie uważać nie można było. Żyły w dostatkach i jedna marzyła o wstąpieniu do teatru, a druga miała znaczny talent malarski, zanadto tylko modernistycznie traktując swe obrazy. Ale gdy wydatki domowe musiały zostać zredukowane skutkiem złego obrotu interesów, dziewczęta wzięły się do roboty i ujawniły wiele praktyczności. Dzięki ich zabiegom dom z pozoru był nadal dostatni, a suknie ich przerabiane wyglądały przyzwoicie.

— Jedz, ojczulku! — powtarzała Łucja.

Spostrzegłszy jednak, że popadł w ponure milczenie, przeraziła się.

— Więc to coś poważnego? — mówiła. — Wobec tego zostajemy w domu. Obejdzie się bez nas na tej wycieczce.

Mówiła o umówionej przejażdżce na dziś po południu. Pani Hennebeau miała wyjechać kareta do Piolaine, zabrać Cecylkę, a potem wstąpić po panny Deneulin i zawieść wszystkie do Marchiennes do huty na śniadanie, na które je zaprosiła żona dyrektora. Była to dobra sposobność zwiedzenia warsztatów, pieców pierścieniowych i baterii kokosowych.

— Naturalnie, zostaniemy z tobą, ojcie — oświadczyła Janka.

Pogniewał się.

<sup>34</sup>tusz (tu daw.) — przysznic.

— Cóż za brednie! Mówię, że to nic nie jest!... Zróbcie mi tę przyjemność i idźcie spać, a na dziewiątą bądźcie gotowe, jak było umówione.

Ucałował je i wybiegł, a szmer jego kroków zginął wnet w oddali. Janka zatkała starannie flaszkę z wódką. Łucja schowała biszkopty i obie udały się na górę, zanotowawszy sobie w pamięci, że służący zostawił na stole serwetę, za co należała mu się bura.

Deneulin, śpiesząc poprzez ogród najkrótszą drogą, rozmyślał nad niebezpieczeństwem, jakie zagrażało jego majątkowi, owemu milionowi z Montsou, który zamienił na gotówkę w nadziei pomnożenia go. Cóż za ciąg nieprzerwany przeciwności? Niesłychane, nieprzewidziane koszty restauracji kopalni, bardzo trudne, niemal rujnujące warunki eksploatacji, potem groźny kryzys przemysłowy i to właśnie w chwili, gdy miał zacząć płynąć zysk! Otworzył małą furtkę. Zarysy budynków kopalni ledwie odcinały się na czarnym niebie. Na ciemni błyszczało kilka zaledwie latarni.

Kopalnia Jean-Bart nie miała tego znaczenia co Voreux, ale odnowiona starannie była *piękną kopalnią*, jak ją zwali inżynierowie. Nie tylko rozszerzono o półtora metra szachty, ale pogłębiono je do 708 metrów i zaopatrzono w nowe maszyny i ulepszenia wedle ostatnich wymagań techniki. Widoczne tu było nawet pewne staranie o elegancję w konstrukcji budynków. Sortownie miały ładne dachy w kształcie balonu, wież szachtu zjazdowego zdobił zegar, hale kontrolna i maszynowa miały fasady renesansowe, a komin opasywała spiralna linia z czerwonych i czarnych cegieł. Pompa położona była w innej, objętej koncesją dawnej kopalni Gaston-Marie, służącej teraz jedynie do czerpania wody. Po obu stronach szachtu zjazdowego znajdowały się dwa inne, służące do komunikacji drabinowej i wentylacji.

Wczesnym rankiem, po trzeciej, Chaval przybył do kopalni. Doczekał się przybycia innych i począł namawiać, by poszli za przykładem górników Montsou i zażądali podwyższenia płacy o pięć centimów od wózka. Niebawem przeszło czterystu robotników rzuciło się z ogrzewalni do hali zjazdowej z wielkim krzykiem. Ci, którzy chcieli pracować, trzymali w rękach lampy, kilofy i łopaty, byli bez obuwia, oporni ubrani ciepło z powodu mrozu zagrządzali drogę do windy i biura kontrolera. Dozorcy pochrypli od nawoływania do porządku i błagań, by oporni nie przeszkadzali tym, którzy mają chęć do pracy.

Chaval wpadł w złość, ujrawszy Katarzynę ubraną w spodnie, kitel płócienny i niebieską czapeczkę górniczą. Wstając z łóżka rozkazał jej brutalnie, by nie ruszała się. Ale nie posłuchała go zrozpaczona, że praca przerwy dozna i braknie środków do życia. Chaval nigdy prawie nie dawał jej pieniędzy, musiała pracować na oboje. I cóż się z nią stanie? Ciężył jej na duszy zmorą bezustanny strach przed jutrem, które przedstawiało się jej w postaci domu publicznego w Marchiennes, gdzie kończyły zazwyczaj żywot przesuwaczki pozbawione chleba i dachu nad głową.

— Psiakrew! — wrzasnął Chaval — cóż tu masz do roboty?

Wybąknęła, że nie może żyć z procentów, więc chce pracować!

— Więc zwracasz się przeciwko mnie, mało jedna! Idź mi zaraz do domu, bo inaczej dam ci takiego kopniaka, że stracisz wszystkie zęby.

Strwożona usunęła się na bok, ale nie odeszła, chcąc się dowiedzieć, jaki obrót sprawa przybierze.

Właśnie wszedł Deneulin. Mimo słabego oświetlenia jednym rzutem oka objął sytuację. Spojrzał na tłum w półcieniu stłoczony. Znał każdego hajera, ładowniczego, przesuwacza, przesuwaczkę, aż do najmniejszych chłopców i pomocników. W hali czysto było i porządknie. Maszyna mająca przepisowe ciśnienie wypuszczała parę wentylami, liny zwisały beczynne, wózki porzucone na drodze do szachtu stały na żelaznej podłodze. Z lampiarni wzięto ledwo osiemdziesiąt lamp, reszta stała nietknięta. Deneulin widział to, ale sądził, że jedno jego słowo wystarczy, by praca została na nowo podjęta.

— No cóż tam, dzieci? — spytał głośno. — O co wam idzie? Powiedźcie, a porozumiemy się.

Deneulin po ojcowsku obchodził się ze swymi robotnikami, mimo że wymagał pilnej pracy. Usiłował z początku sprawę w dobry sposób załatwić, choć w głosie jego stanowczość przebijiała. Robotnicy bali się go, ale i lubili zarazem za jego odwagę i wytrwałą pracę w kopalni. W razie niebezpieczeństwa był zawsze pierwszy na miejscu. Dwa razy

podczas wybuchu gazów opasany tylko liną spuszczał się w głąb szachtu, czego uczynić nie chcieli nawet najodważniejsi.

— Ano mówcie! Myślę, że nie zmusicie mnie, bym żałował, że za was zaręczyl. Wiecie, że odrzuciłem proponowany posterunek żandarmerii. Mówcie więc spokojnie, czego chcecie.

Wszyscy zamilkli i jeden po drugim poczęli odchodzić na bok zmieszani. Chaval wystąpił teraz naprzód i rzekł:

— Panie dyrektorze, na dotychczasowych warunkach pracować nie możemy. Żądamy po pięć centimów więcej od wózka.

Deneulin udał zdziwionego.

— Pięć centimów? I skądże to żądanie? Ja przecież nie uskarżam się na stemplowanie i nie narzucam wam nowej taryfy jak dyrekcja w Montsou.

— To prawda — odparł Chaval — ale solidaryzujemy się i tak z żądaniami górników w Montsou, którzy nie przyjmują taryfy i żądają podwyżki, gdyż niepodobieństwem jest przy płacy dotychczasowej porządnie robić. Chcemy więc o pięć centimów więcej!

Zwrócił się do tłumu.

— Prawda, że takie są nasze żądania?

Podniosły się głosy. Potakiwano. Począł się zgiewk, wielu wymachiwało rękami. Zbliżyli się wszyscy i obstąpili Deneulina zwartym półkolem.

Oczy mu rozbłysły, pięści się zacisnęły. Był zwolennikiem surowej dyscypliny i hamował się z całą siłą, by nie chwycić za kark pierwszego z brzegu i nie obić. Ale opanował się. Postanowił odwołać się naprzód do ich rozsądku.

— Chcecie pięć centimów — rzekł — przyznaję nawet, że praca warta tego. Tylko niestety nie mogę ich wam dać, gdyż zginąłbym bez żadnej wątpliwości. Zrozumiecie chyba, że żyć muszę, choćby dlatego, byście wy żyć mogli, a właśnie wyczerpałem cały mój zasób i wszelka, choćby najmniejsza zwyczaj kosztów spowoduje moją ruinę. Przed dwoma laty, podczas ostatniego strajku ustąpiłem... wszak pamiętacie? I ta podwyżka straszna się stała dla mnie, gdyż od tego właśnie czasu walczę o byt. Dziś wołałbym raczej zamknąć budę aniżeli zgodzić się, gdyż przy najbliższej wypłacie nie miałbym skąd wziąć pieniędzy dla was.

Chaval, słysząc zwierzenia swego pracodawcy, uśmiechał się złośliwie. Inni opuścili głowy na piersi, nie mogło im się pomieścić w głowach, by właściciel kopalni naprawdę nie zdzierał milionów z robotników.

Deneulin mówił dalej. Opowiadał o swej ciągłej walce z Kompanią Montsou, która czyha tylko na tę chwilę, gdy kark skręci skutkiem najlżejszej nieostrożności. Wobec tej dzikiej konkurencji zmuszony jest do ostatecznej oszczędności, tym bardziej że większa głębokość szachtów Jean-Barta zwiększa już sama przez się koszt eksploatacji, czego nie wyrównuje wcale większa miąższość<sup>35</sup> pokładów. Przyznawał się do tego, że nigdy by nie był w czasie ostatniego strajku podwyższył płac, gdyby nie był zmuszony pójść w ślad Montsou z obawy, że nie dostanie robotnika. Przedstawił im, że nic mądrego nie uczynią, zmuszając go do sprzedania kopalni, gdyż wówczas pójda pod straszliwe jarzmo Kompanii. On jest prywatnym przedsiębiorcą, nie owym tajemniczym, chciwym krwi bożkiem, to jest Kompanią, która opłaca swych dyrektorów, by zdzierali skórę z robotników. Jako chlebobawca ryzykuje swój majątek, oddaje swe zdolności, naraża swe zdrowie i życie. Zatrzymanie pracy byłoby dlań ruiną, gdyż nie ma zapasów, a obstalunki wykonać musi. Przy tym kapitał utopiony w kopalni leżeć martwo nie może, bo w takim razie jakże by zapłacił procenty od sum, które mu pożyczono, jakże by wywiązał się ze swych zobowiązań? Byłaby to ruina zupełna.

— Tak, moi drodzy — konkludował — chciałem was przekonać, dlatego szczerze i otwarcie powiedziałem wszystko. Przecież od człowieka wymagać nie można, by popełnił samobójstwo? A czy wam dam owe pięć centimów, czy zgodzę się na strajk, to wszystko jedno. Jedno i drugie równa się dla mnie ostatecznej klęsce.

Zamilkł. Szmer głuchy przebiegł tłum. Część robotników poczęła się wahać. Kilku-dziesięciu skierowało się ku otworowi zjazdu.

<sup>35</sup>miąższość — grubość złoża.

— Przynajmniej — rzekł dozorca — ci, co chcą pracować, powinni mieć swobodę pracowania. Kto chce podjąć pracę?

Jedna z pierwszych wystąpiła Katarzyna. Ale Chaval szarpnął ją za rękę, odrzucił wstecz i wrzasnął:

— Wszyscy jesteście solidarni! Szubrawcy tylko opuszczają towarzyszy!

I znowu porozumienie było niemożliwe. Zakotłowało znowu. Chętnych do podjęcia pracy odepchnięto w tył i przygnieciono ciężarem kilkuset ciał do muru hali zjazdowej. Przez chwilę jeszcze próbował zrozpaczony Deneulin walczyć i siłą zmusić do posłuchu, ale wnet spostrzegł, że to do niczego go doprowadzi, i cofnął się. Przez chwilę siedział wyczerpany, półprzytomny na stolku kontrolera, czując tylko niemoc swoją. Wreszcie uspokoił się na tyle, że kazał jednemu z dozorców zawezwać Chawała. Gdy się zjawił, ruchem ręki odprawił świadków.

Miał zamiar wy badać, co tkwi w Chawału, i po pierwszych słowach poznał, że ma do czynienia z człowiekiem zarozumiałym i pełnym zawiści. Począł więc zaraz od pochlebstwa. Udał wielkie zdziwienie, że robotnik tak zdolny jak on jest zarazem na tyle nierozważny, by sobie psuć karierę. Dał mu do zrozumienia, że od dawna zwrócił nań uwagę w zamiarze udzielenia mu szybkiego awansu i zakończył wprost ofiarowaniem mu miejsca nadzorcy. Chaval słuchał w milczeniu zrazu ze ściśniętymi pięściami, ale w miarę jak słuchał, począł się zamyślać. W głowie mu huczało. Jeśli będzie upierał się dalej przy strajku, nie zostanie nigdy niczym więcej jak narzędziem w rękach wpływowego Stefana, gdy tutaj otwierała mu się możliwość wstąpienia w szeregi przełożonych. Krew mu uderzyła do głowy, był oszołomiony. W dodatku widać, że banda strajkujących już nie przyjdzie, zaskoczyło ich coś, pewnie zatrzymali ich żandarmi. Był czas najwyższy poddać się. Ale nie przestał potrząsać głową, bić się ostentacyjnie w piersi. Wreszcie wyszedł, przyrzekłszy Deneulinowi, że uspokoi towarzyszy i namówi do podjęcia pracy. O schadzce wyznaczonej przez siebie górnikom z Montsou nie wspomniał.

Deneulin pozostał w pokoju kontrolera, dozorczy odsunęli się też na bok, a Chaval wylazł na wózek i przez całą godzinę przemawiał. Część robotników wygwizdała go, stu osiemdziesięciu, trwając przy postanowieniu, do którego ich doprowadził sam Chaval, odeszło z pogrozkami. Już była siódma, dzień wstał jasny, choć bardzo mroźny. Nagle Deneulin posłyszał codzienny szmer kopalni, przerwana pracę podjęto na nowo. Pierwsza ruszyła dźwignia maszyny, a z nią liny poczęły się zwijać na bębny. Potem zabrzmiały sygnały, klatki napełniły się, znikły pod ziemią, wróciły puste, kopalnia poczęła pożerać swą codzienną rację hajerów i przesuwaczy, a chłopcy zadudnili wózkami o żelazną podłogę hali.

— Do licha, na cóż czekasz? — krzyknął Chaval na Katarzynę oczekującą swej kolei.  
— Dalej, rusz się, próżniaczko!

Gdy o dziesiątej zajęchała pani Hennebeau z Cecylką, zastała panny Deneulin ubrane bardzo elegancko, tak że nikt by nie powiedział, iż suknie ich przerobione już były ze dwadzieścia razy. Deneulin zdziwił się, widząc Négrela towarzyszącego konno powozowi. A więc w wycieczce brali też udział panowie? Pani Hennebeau oświadczyła na to z macierzyńskim uśmiechem, że przerażała ją wieść, iż drogi pełne są dziwnych jakichś figur, więc zdecydowała się wziąć sobie obrońcę do boku. Négrel uspokajał damy, że nie ma co bać się pogroźek awanturników robiących tylko hałas, którzy nie śmieliby jednak rzucić w szybę kamieniem. Deneulin był bardzo zadowolony z odniesionego zwycięstwa i opowiadał o stłumieniu strajku w swej kopalni. Był teraz zupełnie spokojny o przyszłość. W powozie toczyła się rozmowa o przecudnej pogodzie i nikt nie przeczuwał, że z oddali nadciągała już burza, że szedł tłum, którego kroki słyszeć by można już było stąd przyłożwszy ucho do ziemi.

— Więc postanowione? — mówiła pani Hennebeau. — Wieczorem zjawisz się pan po córki i zjesz z nami obiad... pani Gregoire obiecała mi też przyjechać po Cecylkę.

— Proszę liczyć na mnie — odparł Deneulin.

Kareta odjechała w kierunku Vandame. Łucja i Janka wychyliły się jeszcze przez okno, by uśmiechem pożegnać stojącego na drodze ojca, a Négrel ruszył szarmancko za kareta.

Minęli las i skierowali się na drogę wiodącą z Vandame do Marchiennes. Gdy zbliżali się do Tartaretu, spytała Janka pani Hennebeau, czy zna Côte-Verte, a ta wyznała, że nie, mimo że mieszka już od pięciu lat w tej okolicy. Zboczono więc. Tartaret leżało na

Burza

skraju lasu. Był to szmat ziemi pokryty żużlem, nie nadający się pod uprawę, pod którym paliła się już od stuleci kopalnia węgla. Początek ognia sięgał czasów bardzo dawnych. Górnicy opowiadali, że ogień z nieba spadł na tę podziemną Sodomę, gdzie przesuwaczki oddawały się najokropniejszym występkom. Nie miały czasu uciec i do dziś dnia goreją w tym piekle.

Czerwone zwapniałe skały pokryte były jakby porostem kryształkami alunu<sup>36</sup>, a ze szczelin wydobywały się pary siarki. Śmiałkowicie, którzy ośmielili się spojrzeć w nocy w te otwory, przysięgali, że widzą płomienie i dusze potępieńców smażące się w strasznym podziemnym żarze. Ogniki miały tam tańczyć i z ziemi podnosić się gorące opary, a wszystko to były piekielne wyziewy.

I o dziwo, pośrodku tego osławionego szmatu ziemi leżało Côte-Verte. Nie wiedła tam ni latem, ni zimą trawa, odnawiały się bez przerwy liście na bukach, a pola dawały trzy zbiory rocznie. Była to naturalna ciepłarnia ogrzewana podziemnym ogniem. Nigdy nie było tam śniegu. Bezkarne, wśród mrozu tego grudniowego dnia zieleniły się krzewy tuż obok bezlistnego lasu.

Powóz skręcił niebawem znowu na gościniec. Négrel naśmiewał się z legendy i objaśniał, że ogień w głębi kopalni powstaje zazwyczaj skutkiem fermentacji miału węglowego i gdy się go nie może opanować, trwa bez końca. Wymienił nawet jedną kopalnię w Belgii, dla ugaszenia której musiano zmienić koryto rzeki i spuścić wodę w głąb. Ale niebawem Négrel zamilkł. Powóz mijał coraz to częściej liczne grupy robotników. Szli, niechętnymi spojrzeniami obrzucając zbyt kłopotliwy pojazd, przed którym schodzić musieli na bok. Coraz ich było więcej, a na mostku rzuconym przez Skarpę konie musiały iść stępa. Cóż wygnało tych ludzi na drogę? Damy poczęły się bać, a Négrel zwąchał, że w całej okolicy zanoszą się na rozruchy. Odetchnęli wszyscy przybywszy do Marchiennes. Piec pierścieniowy podobny do wieży i koksowe baterie wyrzucały z siebie wstęgi dymu, tak że rozpylona sadza nappełniała powietrze, chmurą czarną unosząc się wysoko nad ziemią aż do wyżyn, gdzie nikła jakby wessana przez słońce.

## II

W kopalni Jean-Bart Katarzyna wozila węgiel już od godziny. Pot spływał jej z czoła tak, że co chwila musiała stawiać, by obetrzeć sobie twarz.

Chaval łamiący wraz z towarzyszami węgiel w oddalonej sztolni zdziwił się, że nie słyszy turkotu wózka. Lampy paliły się lichy, pył węglowy ćmił wzrok.

— Cóż tam? — krzyknął.

Odpowiedziała mu, że ginie z gorąca i nie może pracować z powodu bicia serca.

Na to odkrzyknął rozwścieczony:

— To zdejm jak my koszulę!

Pracowali w głębokości 700 metrów, w północnej części kopalni, pierwszej sztolni pokładu Désirée oddalonego o trzy kilometry od szachtu zjazdowego. Górnicy mówili o tej miejscowości bledli i zniżali głos, jakby mówili o piekle. Milkli zazwyczaj i kiwali tylko głowami. Im dalej na północ, tym bardziej zbliżały się chodniki do gorącego Tartaretu, którego żar na powierzchni ziemi jeszcze wypalał skały na wapno. Sztolnia w tym miejscu, gdzie właśnie pracowano, miała temperaturę średnią 45°. Znajdowano się w sąsiedztwie ogniska, o którym opowiadano baśni straszliwe.

Katarzyna, pracująca już bez kaftana, po chwili wahania zdjęła także spodnie i w samej koszuli, przewiązanej jedynie tasiemką jak bluza, poczęła na nowo toczyć wózek.

— Tak może będzie mi lepiej! — powiedziała głośno.

Prócz dławiącego gorąca prześladował ją jeszcze strach. Od pięciu dni, to jest od czasu, kiedy tu pracowała, rozmyślała bezustannie o historiach zasłyszanych w dzieciństwie. Rozmyślała o karze występnych przesuwaczek w Tartarecie. Za duża była już, by wierzyć tym baśniom. Ale cóż by zrobiła, gdyby nagle ukazała jej się w szczelinie skalnej taka płomienista dziewczyna? Myśl ta ścinała jej krew w żyłach i zlewała całe ciało potem.

Kara, Piekło, Grzech, Ogień

Rośliny

<sup>36</sup> *alun* — minerał, związek chemiczny zawierający aluminium.

W odległości dwudziestu czterech metrów od sztolni luzowała ją inna przesuwaczka i przesuwała wózek o taką samą odległość dalej aż do pochylni, gdzie zbierały się wózki z różnych chodników i staczały w dół.

— O, wygodnieś się urządziła! — zauważyła luzująca Katarzynę przesuwaczka, chuda, trzydziestoletnia wdowa, ujrawszy jej strój.

— Szkoda, że ja tego zrobić nie mogę. Ale chłopcy tam w dole stroiliby sobie ze mnie żarty.

— I cóż mnie obchodzą chłopcy — odparła Katarzyna. — Nie mogę inaczej wytrzymać.

Potoczyła z powrotem wózek.

Najgorsze z wszystkiego było, że w tej sztolni prócz sąsiedztwa Tartaretu jeszcze inna była przyczyna gorąca. Biegła tędy stara, opuszczona, bardzo głęboka galeria kopalni Gaston-Marie, którą to kopalnię zapalił przed dziesięciu laty wybuch gazów. Paliła się dotąd poza *podeszwą ogniową*, to jest grubą ścianą z gliny ciągle naprawianą, która miała ograniczyć ogień. Właściwie powinien by był wygasnąć wobec odcięcia powietrza, ale widocznie podniecał go jakiś nieznany przewiew podziemny, bo ogrzewał ścianę jak komin pieca piekarskiego, tak że w przejściu parzyło człowieka. I to wzdłuż owego muru o temperaturze 60° musiała Katarzyna toczyć wózek.

Po dwu dalszych turach poczęło ją znowu dławić w gardle. Szczęściem chodnik pokładu Désirée był szeroki i wygodny, co umożliwiała wielka miąższość<sup>37</sup> żyły węglowej. Strop był blisko dwa metry wzniesiony, hajerzy mogli pracować na stojąco. Ale woleliby leżeć z przekręconym karkiem w zamian za odrobinę świeżego chłodnego powietrza.

— Cóż tam, znowu śpisz? — zawołał ponownie Chaval, nie słysząc turkotu. — Wiedział kto drugą taką leniwą ropuchę? Dalej, bierz się do roboty... słyszysz?

Katarzyna stała oparta na łopacie, chwiejąc się na nogach. Tak jej się nagle zrobiło źle, że nie mogła odpowiedzieć, spoglądała tylko głupkowato na hajerów. Nie rozumiała Chawała.

Pół przygasłym wzrokiem widziała w czerwonym świetle lamp tych podobnych do zwierząt, nagich mężczyzn, pokrytych do tego stopnia pyłem węglowym i potem, że nie zdawali się nagimi. Poczęła się dziwić tym stosom pacierzowym poruszającym się w niepojętej jakiejś czynności. Wydali jej się małpami, to znowu piekielną wizją smalonych członków potępieńców wydających jęk za każdym uderzeniem jakichś młotów niewidzialnych, bijących w nich bez ustanku.

Ale mężczyźni widzieli ją lepiej i żartowali z tego, że zdjęła spodnie.

— Ha, zaziębisz się, uważaj!

— Ale ona ma nogi! Wiesz co, Chaval, wystarczyłoby dla dwu!

— O, trzeba to zbadać. Podnieś no do góry! Wyżej! Wyżej!

Chaval, nie obrażając się za żarty, napadł na Katarzynę.

— O, ona to lubi! W sam raz do świństw wszelakich. Słuchałaby do jutra.

Z największym wysiłkiem zdołała Katarzyna napęlić swój wózek i poczęła go toczyć. Chodnik był za szeroki, by oprzeć stopy o szalowanie ścian, musiała szukać punktu oparcia na szynach żelaznych. Powoli popychała wózek, idąc z ciałem naprzód podanym. Gdy przyszła do rozpalonej ściany, poczęła się na nowo męka. Od razu oblał ją pot i ściekać począł z całego ciała jak deszcz. Ledwo uszła trzecią część drogi, pot zalał jej oczy, koszula pokryta czarnym mułem zarobionego z potem pyłu węglowego przylepiła jej się do piersi, a ruchem lędźwi zasunięta w pachwiny zbiła się tam w walek i poczęła gryźć, tak że musiała znowu stanąć.

Cóż jej dziś było? Nigdy nie czuła się tak słaba. Pewnie powietrze było dziś znowu złe. Wentylator nie zdołał wpędzić świeżego powietrza w tę odległą sztolnię. Wdychano więc wszelkiego rodzaju wyziewy wydobywające się z pokładów węgla z sykiem i szmerem strumienia. Często było ich tyle, że lampy gasły, nie mówiąc już o lekkich gazach, do których się tak przyzwyczajono, że o nich nikt nie wspominał. Katarzyna знаła ten gaz, górnicy zwali go *martwym powietrzem*. Brodziła w fali ciężkiego gazu, oddychała lekkim, któremu potrzeba było tylko iskry, by wybuchnął i zniszczył całą galerię, kopalnię nawet

<sup>37</sup>miąższość — grubość złoża.

może. Przyzwyczajona do tego od dzieciństwa, dziwiła się, dlaczego dziś właśnie szumi jej w uszach i pali w gardle.

Nie mogła się ruszyć, a przy tym czuła wielką potrzebę zdjęcia koszuli. Była na mękach. Najdrobniejszy fałd płótna palił jej skórę. Przemogła się, chciała toczyć wózek dalej, ale musiała znowu stanąć. Przyszło jej na myśl, że na miejscu luzowania ubierze się, i jednym szarpnięciem zdarła z siebie koszulę wraz z tasiemką. Zdarłaby była i skórę, gdyby mogła. Pracowała teraz nago. Wyglądała strasznie w tym poniżeniu, unurzana w pyłe węglowym, okryta potem, z ciałem obryzganym do pasa błotem jak koń dorożkarski.

Ale uczuła z rozpaczą, że zrzucenie koszuli nic jej nie ulżyło. Cóż jeszcze zdjąć. Ogłuchła już od szumu w uszach, skronie ścisnęła jej jakby jakaś twarda obręcz. Padła na kolana. Wydało jej się, że lampa zagasła. Wśród męcących się już myśli jej jedna jeszcze była jasna i określona, myśl, że trzeba podkręcić w górę knot lampy. Dwa razy brała ją do ręki, ale gdy tylko postawiła ją na ziemi przed sobą, lampa przygasła, jakby i jej brakło oddechu. Nagle zagasła. Sprzed oczu Katarzyny znikło wszystko, w głowie huczało jej jak w młynie, serce bić przestało, członkami owładnęło straszliwe znużenie. Położyła się na ziemi na grzbiecie i walczyła ze śmiercią pogrążona w trujących ciężkich gazach zalewających dolne warstwy powietrza.

— Zdaje mi się, że znowu próżnuje — warknął Chaval.

— Hej, gadzino, cóż wyrabiasz znowu?

Jego wykrzyk utonął w czarnej galerii. Odpowiedzi nie było.

— Chcesz może, bym poszedł i nauczył cię ruszać się prędko?

Znów milczenie.

Rozwścieklony porwał lampę i pobiegł w dół galerii z taką gwałtownością, że potknął się o ciało na ziemi leżące. Stał zdumiony. Czyżby sobie ucięła drzemkę jemu na złość? Ale gdy się nad nią pochylił, lampa jego przygasła. Podniósł ją, pochylił się znowu i pojął wszystko. Zatrula się *martwym powietrzem*. Podniósł ją, jak mógł najwyżej, i począł wołać na innych, by mu przynieśli koszulę dziewczyny. Cały jego gniew ulotnił się, a pozostała jedynie instynktowna potrzeba niesienia pomocy towarzyszowi pracy. Gdy górnicy zarzucili na Katarzynę odzież, objął ją jedną ręką, w drugą wziął obie lampy i począł biec galeriami zwracając się to na lewo, to na prawo, starając się dostać w sferę działania wentylatora, przynoszącego zdrowe powietrze z powierzchni ziemi. Wreszcie posłyszał szmer źródła sączącego się po skale. Znajdowało się na rozstaju wielkiej galerii jezdnej, należącej do dawnej kopalni Gaston-Marie. Szalał tu wicher lodowaty. Posadził omdlałą i oparł ją o ścianę. Dreszcz nim wstrząsnął zimny.

— Katarzyno, cóż u licha! Dość tych głupstw. Siedźże trochę sama, nim zmaczam koszulę.

Przeraził się widząc, że leci przez ręce, zmaczał koszulę i zwilżył jej twarz. Nędzne ciało spóźnionej w rozwoju, niedojrzałej ciągle jeszcze dziewczyny wyglądało jak martwe i już z ziemi wydobyte.

Po chwili jednak dreszcz przebiegł po jej dziecięcych piersiach, brzuchu i łędźwiach. Otworzyła oczy i wyjęknęła:

— Zimno mi!

— Tak, to dobrze! — zawołał Chaval uspokojony.

Ubrał ją, zarzucił koszulę i wdział spodnie, klnąc, że nie mogła się jeszcze ruszać. Oszołomiona była ciągle, nie wiedziała, gdzie jest i czemu jest naga. Gdy przyszła do siebie, uczuła wstyd. Jakże mogła zdjąć wszystko? Pytała, czy ją widziano nagą zupełnie, nawet nie przepasaną chustką? Droczył się z nią, wymyślał historyjki i mówił, że niośł ją tak przez długi szereg górników, przyglądających się i żartujących sobie z niej. Cóż za pomysł jednak miała? Przecież poradził jej tylko żartem, by się rozebrała! Wreszcie dał słowo, że tak prędko biegł, iż towarzysze nic nie widzieli.

— Do krocset!... Ależ ja zmarznę na nic! — krzyknął i ubrał się.

Nigdy nie był taki dobry. Zazwyczaj za każdym dobrym słowem wyrzucił dziesięć obelg. Jakże miło, gdy jest grzeczny. Osłabiona do omdlenia niemal, uczuła potrzebę serdeczności, uśmiechnęła się więc i poprosiła:

— Pocałuj mnie.

Pocałował ją, a widząc, że wstać nie może, położył się przy niej.

— Widzisz — mówiła — niesłusznie burczałeś mnie, doprawdy nie mogłam pracować! W sztolni dużo chłodniej, ale tam w chodniku... och, wyobrażenia nie masz, jaki tam żar!

— Naturalnie — odparł — w lesie na przechadźce dużo przyjemniej! Musiało ci tam być bardzo źle, nie wątpię, moja droga.

Rozrzewniła ją łagodność jego do tego stopnia, że chciała się okazać mężna.

— Zresztą byłabym wytrzymała... tylko dziś jest powietrze zupełnie zatrute. Pokażę ci zaraz, czy jestem leniem. Gdy trzeba pracować, to pracuję... prawda? Lepiej zginąć, jak nie spełnić swego obowiązku!

Przez chwilę milczeli oboje. Objął ją, tulił do piersi i podtrzymywał, by nie upadła. Czuła się już na siłach, by wrócić do roboty, ale nie mogła wyrwać się z tego stanu, spłoszyć tej cichej radości.

— Ach — szepnęła — bardzo chciałabym, byś był dla mnie dobry.

Jak to dobrze, jakie to szczęście, gdy ludzie się kochają!

Zapłakała cicho.

— Ależ kocham cię! — zawołał. — Wziąłem cię przecież do siebie!

Odpowiedziała tylko wstrząśnięciem głowy. Przeważnie mężczyźni biorą dziewczęta po to, by je mieć, ale nie troszczą się wcale o ich szczęście. Łzy potoczyły się obfitym. Przyszło jej na myśl szczęście, którego byłaby doznawała, gdyby była wpadła w ręce innego. Ale to już przepadło. Była zdecydowana żyć już z tym do końca, pragnęła jedynie, by jej nie poszturchiwał tak często.

— Spróbuj czasem być dla mnie taki jak teraz! — powiedziała.

Łzy zdławiły jej słowa, łkając, objęła go za szyję.

— Czyś ogłupiała? — odparł. — Słuchaj, przysięgam ci, że będę dobry. Cóż, u krocet, czyż jestem gorszy od innych?

Spojrzała nań i poczęła się przez łzy uśmiechać. A może i miał słuszość. Niewiele zdarzało się kobiet szczęśliwych! Potem oddała się radości z powodu jego zachowania się, choć nie bardzo dowierzała przysiędze. Boże, gdybyż to mogło potrwać czas jakiś!

Wstali i objęli się raz jeszcze serdecznie. Rozległy się kroki, odsunęli się więc od siebie. Trzej hajerzy widzący, jak Chaval pędził z Katarzyną, przyszli dowiedzieć się, co się dzieje.

Połączyli się i wobec tego, że była już dziesiąta, usiedli w zacisznym kątku, by zjeść drugie śniadanie. Zjedli kanapki, zapili kawą z blaszanych fiaszek i mieli iść do roboty, gdy zaniepokoił ich hałas dochodzący z dalszych chodników. Cóż to? Znowu wypadek? Pobiegli na dół. Co chwila spotykali hajerów, przesuwaczki, chłopców, ale nikt nie wiedział, co zaszło. Wszyscy krzyczeli. Musiało się zdarzyć wielkie nieszczęście. Całą kopalnię owładnęła trwoga. Z wszystkich galerii wybiegały przerażone postaci. Lampy podskakiwały i płynęły szybko ku wyjściu. Gdzież to zdarzył się wypadek? Czemuż ich nikt nie powiadomił dotąd?

Nagle przebiegł mimo nich dozorca wołając.

— Przecinają liny! Przecinają liny!

Zapanowała panika. Wszystko rzuciło się naprzód. Ludzie potracili głowy. Czemu przecinają liny? Kto je przecina? Przecież wszyscy górnicy zjechali! Wydawało się to snem.

Ale inny dozorca nadbiegł i wrzasnął w przelocie:

— Górnicy z Montsou przecinają liny. Wychodźcie! Wychodźcie!

Chaval zrozumiał i zatrzymał nagle Katarzynę. Na myśl, że stanie twarzą w twarz z górnikami z Montsou, zachwiały się pod nim nogi. A więc przyszli. A on myślał, że wpadli w ręce żandarmów! Przez chwilę wahał się, czy nie lepiej zawrócić i wydostać się przez kopalnię Gaston-Marie. Ale to było niemożliwe, kłął, zatrzymywał biegnących i tłumaczył im, że głupio jest tak pędzić. Przecież nie zostawią ich tu na dole.

Nadbiegł znowu dozorca wołając:

— Wychodźcie! Wychodźcie! Do drabin! Do drabin!

Thum porwał Chavala. Popychał Katarzynę, czynił jej wymówki, że nie dość prędko biegnie. Czyż chce, by sami zostali tutaj i pomarli z głodu? Te zbóje z Montsou byli w stanie połamać drabiny, nim wszyscy wyjdą. Ta straszna myśl doprowadzała wszystkich do rozpacz. Rozpoczął się tłok, popychanie, każdy oszalały chciał pierwszy wydostać się stąd na powierzchnię ziemi. Kilku krzyczało już, że nikt nie wyjdzie, gdyż drabiny są już

zniszczone. Gdy wszyscy znaleźli się w hali zjazdowej, powstał ścisk nieopisany. Wszyscy pchali się do szachtu, gnieli w wąskich drzwiach wiodących do drabin. Tylko stary stajenny, który właśnie umieścił konie w stajni, patrzył na nich z pogardliwą miną.

Nawykł spędzać tu noce i pewny był, że go stąd wydostaną.

— Do licha, śpiesz się! Idź przede mną! — krzyknął Chaval do Katarzyny. — Przy najmniej będę cię mógł podtrzymać, gdy osłabniesz!

Oszołomiona, oblana znowu potem po przebytych biegiem trzech kilometrach dała się porwać tłumowi. Chaval chwycił ją za ramię, aż krzyknęła. Łzy jej napłynęły do oczu. Więc już zapomniał o przysiędze! Tak prędko! Ach, nigdy nie będzie z nim szczęśliwa.

— Naprzód marsz! — krzyknął.

Ale nie usłuchała, bała się go. Wystawiłaby się na ciągłe przykrości idąc przed nim, więc odstąpiła na bok, zresztą fala napływających ludzi odtrąciła ich oboje w tył. Wielkie krople wody padały im na głowy, a pomost nad leżącym o dziesięć metrów niżej błotnistym dnem szachtu drżał pod ciężarem tylu osób. Właśnie tu niedawno zdarzył się wypadek. Urwała się lina, klatka wpadła do wody, a dwu ludzi utonęło. Wszystkim przyszło na myśl nieszczęście, grożące, gdyby deski pękły.

— Przekłeta żmija! — krzyknął Chaval. — Zresztą rób, co chcesz. Przynajmniej pozbędę się ciebie.

Począł wstępować po drabinie. Katarzyna szła za nim.

Od dołu do wylotu szachtu było sto dwie drabiny. Każda siedem metrów długa oparta była o rodzaj podestu, stopnia zajmującego całą szerokość szachtu mającego pośrodku dziurę, przez którą ledwo prześliznąć się mógł człowiek. Był to płaski komin 700 metrów długi, wciśnięty pomiędzy ścianę szachtu głównego i drewnianą ścianę szachtu wyjazdowego, jak mokry wąż, ciemny, bez końca, wzdłuż którego biegły pionowo niemal drabiny w regularnych odstępach poprzerywane stopniami. Silny człowiek musiał iść dwadzieścia pięć minut, drabin tych zresztą używano jedynie w razie katastrofy.

Z początku Katarzyna szła szybko. Bose jej nogi przywykłe do szutru, pokrywającego podłogę chodników, nie czuły nawet kanciastych szczebli okutych dla trwałości blachą. Dłonie jej zahartowane do pracy bez wysiłku chwyciły drągi drabin, których objąć nie mogły. Owo niespodziane wędrowanie sprawiło jej nawet pewną rozrywkę, pozwalało zapomnieć o trosce, bawił ją ten długi wąż ciał ludzkich, który końcem dotykać będzie jeszcze dna przepaści, gdy pierwsi wydostaną się już na światło dzienne. Pierwsi przebyli dotąd mniej więcej trzecią część drogi. Nikt nie mówił, nogi tylko stapały z głuchym łoskotem, a lampy niby sznur czerwonych tańczących gwiazd ciągnęły się z dołu do góry.

Katarzyna usłyszała za sobą szept chłopca jakiegoś liczącego drabiny i przyszło jej na myśl uczynić to samo. Minęła już piętnastą i właśnie wyszła na stopień, gdy uderzyła się o nogi Chawała. Krzyknął, by uważała. Od czasu do czasu pochód zatrzymywał się nagle. Cóż to? Co się stało? Każdy pytał z trwogą. Trwoga wzrastała wraz z ilością przebytych drabin, a piersi ścisnęły się na myśl, co czeka wychodzących tam na górze. Ktoś powiedział, że drabiny połamane i trzeba wrócić na dół. Za każdym szczeblem strach przejmował idących na przódzie, że ręka wyciągnięta trafi na próżnię. Znowu pochód zatrzymał się. Ktoś objaśnił, że spadł z drabiny hajer. Nie widziano nic, nie słyszano, wszyscy krzyczeli tylko. Ach, czyż trzeba będzie nocować tutaj, tak wysoko nad przepaścią? Pochód ruszył dalej bez objaśnienia, czemu się zatrzymano, nogi dudniły miarowo, kamienie opadały ze ścian, lampy tańczyły. Pewnie drabiny zniszczono u samej tylko góry, myśleli wszyscy.

Gdy minięto trzecią galerię na lewo, po przebyciu trzydziestej drugiej drabiny, Katarzyna czuła, że drętwieją jej nogi i ręce. Przedtem już miała wrażenie, jakby łąziły po niej mrówki. Teraz nie czuła już pod nogami ani rękami okutych żelazem szczebli. Mięśnie poczęły ją boleć, był to jakby ciągle wzrastający żar. Na pół przytomna rozmyślała nad historiami z dawnych czasów, które opowiadał dziadek Bonnemort. Dawniej, gdy jeszcze nie używano w kopalni wind, małe, dziesięcioletnie dziewczęta wynosiły węgiel na wierzch w koszykach na plecach. Toteż gdy się która pośliznęła albo upuściła kawałek węgla, spadało zaraz kilka w przepaść. Walka z własnymi członkami stała się coraz trudniejsza. Była pewna, że nie zdoła nigdy dojść do szczytu.

Pochód znowu się zatrzymał i to pozwoliło jej odetchnąć. Ale równocześnie oszłomiły ją do reszty błędnie wieści podawane z ust do ust. Wszystkich zresztą ogarnęło znużenie i każdy z górników miał już teraz zawrót głowy. Oddechy gorące dławiły ją, ma-

cała w ciemnościach i co chwila uderzała się o skalne występy komina. Spotniała i zgrzana, drżała jednak z zimna, gdyż sączące się ze skał krople przemoczyły ją na wskroś. Zbliżano się do poziomu źródeł zaskórnych, a rzęsy deszcz ledwo nie pogasił lamp.

Dwa razy odezwał się do niej Chaval, ale nie otrzymał odpowiedzi.

— Cóż znowu wyrabiasz — krzyknął — czyś upuściła w głąb szachtu język?

Podróż trwała już od pół godziny, a idący na przedzie minęli ledwo pięćdziesiątą dziewiątą drabinę. Jeszcze zostawało przeto czterdzieści trzy. Katarzyna zdołała wreszcie wybąknąć, że idzie. Nie śmiała wyznać, że jest wyczerpana. Nazwałby ją znowu leniuchem. Szczęble musiały jej poranić nogi, gdyż miała wrażenie, że ktoś je piłą ponacinał. I z rękami nie było lepiej, zdrętwiały, zakrwawiły się, ciągle jej się zdawało, że upuści drąg drabiny i spadnie w tył. Palce wprost nie chciały się zginać, a pionowo niemal ustawione drabiny zmuszały do przyciskania się całym ciałem do szczębli i wciągania się na rękach w górę. Ciężkie oddechy robiły teraz więcej hałasu jak stuk nóg o drzewo. Charczenie straszliwe grzmiało donośnie w wąskim i głos potęgującym jak tuba kominie. Rozległ się wrzask bólu i z ust do ust poszła wieść, że pomocnik jeden wybił sobie dziurę w głowie, uderzywszy o ostrą skalę.

Katarzyna wspinała się dalej. Wydostano się ponad poziom wody, deszcz ustał, ale powietrze napęlił piwniczny zaduch starego żelaza i gnijącego drzewa. Mechanicznie liczyła drabiny: osiemdziesiąt jeden, osiemdziesiąt dwa... osiemdziesiąt trzy... jeszcze dziewiętnaście. To liczenie utrzymywało ją tylko jeszcze w przytomności i automatycznym ruchu. Szła jak we śnie. Gdy podniosła głowę, lampy tańczyły jej w oczach. Zdawało jej się, że musi umrzeć. Jeszcze chwila, a spadnie. Całą kolumnę ogarnęła teraz gorączka... pchano się gwałtownie, by raz skończyć z tą piekielną wędrówką i znużeniem, by raz wydobyć się na słońce. Idący na czele wyszli już zapewne. Więc drabin nie zniszczono. Ale opętała teraz górników myśl, że może jeszcze zniszczą je napastnicy, by powstrzymać idących na ostatku. I gdy zatrzymano się na nowo, rozległy się klątwy, a silniejsi poczęli spychać słabszych i deptać po nich. Zakotłowało, ktoś trącił Katarzynę, a dziewczyna puściła drabinę, krzyknęła na Chawała i spadła. Chawal nie słyszał, sam walczył z innym, kopał go i spychał, by wyjść prędzej. Stoczyła się na dół, deptano po niej, a jej śniło się, że jest małą dziewczynką z owych dawnych czasów, że kawałek węgla strącił ją w przepaść, że spada jak wróbel trafiony kamieniem. Wędrówka trwała już godzinę, a jeszcze należało przebyć pięć drabin. Jak je przebyła dziewczyna, nie wiedziała. Pewnie zatrzymała się na stopniu, a ramiona idących wydzwignęły ją do góry... dość, że znalazła się nagle w pełnym oślepiającym świetle słonecznym pośród tłumu urągającego i wytrząsającego pięściami.

### III

Od wczesnego ranka wrzało we wszystkich koloniach robotniczych. Drogi pełne też były wzburzonych ludzi. Ale z postanowioną wycieczką do Jean-Barta nie śpieszono się, gdyż rozeszła się wieść, że żandarmi i dragoni patrolowali po całej równi. Opowiadano, że przyszli z Douai skutkiem zdrady Rasseneura, który ostrzegł pana Hennebeau. Jedna przesuwaczka przysięgała nawet, że widziała służącego dyrektora niosącego depeszę do biura telegraficznego. Górnicy ściskali pięści i wypatrywali poprzez listwy okiennic żołnierzy na horyzoncie.

Ale około wpół do ósmej zjawiła się wieść inna, która uspokoiła zniecierpliwionych. Alarm był fałszywy, dragoni odbyli jedynie jedną z owych demonstracyjnych przejażdżek, jakie prefekt z Lille nakazał od czasu wybuchu strajku. Górnicy nienawidzili tego urzędnika i zarzucali mu, iż ich oszukał, obiecując interwencję, a teraz nie robi nic, prócz straszenia ich odbywanymi co jakiś czas defiladami wojsk po ulicach Montsou. Gdy dragoni, narobiwszy hałasu końskimi kopytami po bruku, skierowali się najspokojniej do Marchiennes, chórem drwić poczęto sobie z prefekta, któremu nie śni się zapewne, by coś się stać mogło i to bezpośrednio przed awanturą. Aż do dziewiątej stojąc przed domami gapili się najspokojniej na przejeżdżających. Mieszczuchy spali jeszcze, sprzed budynku dyrekcyjnego odjechała karetka. Widocznie odjechała pani Hennebeau, zostawiając męża przy pracy, bo dom był milczący, zamknięty, jakby wymarły. Żadna z kopalń nie była strzeżona wojskiem i tu znowu okazano brak ostrożności, przewidywania, co najczęściej

powoduje wszystkie katastrofy. Biła dziewiąta, gdy górnicy wreszcie poczęli ukazywać się na drodze do Vandame.

Stefan spostrzegł zaraz, że nie zbierze się trzy tysiące górników, jak początkowo mnie- mał. Wielu sądziło, że manifestację odłożono, a gorsze jeszcze było to, że już poszły dwie czy trzy grupy i mogły wszystko popsuć, gdyby nie zdążył stanąć na ich czele. Około stu wyruszyło przed świtem i czekało na resztę w lesie. Stefan poszedł spytać jeszcze Souvarina o radę. Maszynista, jak zawsze, wzruszył ramionami i odparł:

— Głupstwo! Dziesięciu zdecydowanych zrobiłoby więcej jak ta cała banda.

Nie chciał radzić, zanurzył się w leżącej przed nim książce i ani słyszeć nie chciał o tym, by miał współdziałać. Cała rzecz, zdaniem jego, wyrodzić się musi w cikliwe protestowa- nie, apelowanie do uczuć etc. Jedyną rzeczą mądrą byłoby podpalenie Montsou. Stefan, wychodząc od Souvarina, ujrzał Rasseneura pobladłego, siedzącego przy kominie. Stała nad nim jego żona w swej wieczyście czarnej sukni i klęła go uroczystymi, grzecznymi słowami.

Maheu twierdził, że trzeba dotrzymać słowa. Uchwała jest rzeczą świętą. Chociaż wszyscy ochłodli przez noc, stary górnik bał się, by nie przyszło do nieszczęścia, i oświad- czył, że jest ich obu obowiązkiem stawieć się, by powstrzymać innych od wybryków. Ma- heude potakiwała głową. Stefan w końcu dla uspokojenia siebie i Maheuów dodał, że należy działać rewolucyjnie, nie narażając jednak życia ludzkiego. Nie chciał przyjąć por- cji chleba, jaką dlań przysposobiono, natomiast wypił jeden po drugim trzy kieliszki jałowcówki, by się zabezpieczyć przed zimnem. Wziął też trochę wódki do manierki. Al- zira miała zostać przy dzieciach. Dziadek Bonnemort, któremu pogorszyło się skutkiem wysiłków dnia poprzedniego, leżał w łóżku.

Dla ostrożności wymykali się z domu pojedynczo. Jeanlin znikł od dawna. Maheu z żoną poszli niby to ku Montsou, a Stefan wprost przez pola do lasu, by się połączyć z oczekującymi. Po drodze spotkał gromadę kobiet. Wśród nich była Brûlé i Levaque. Jadły przyniesione im przez Mouquette kasztany wraz z łupinami, by lepiej wypełnić żołądki. Stefan nie znalazł w lesie nikogo, górnicy ruszyli już do Jean-Bart. Zwrócił się więc szybko w tamtą stronę i zdążył tam właśnie w chwili, gdy kobiety i owa setka z lasu wkraczali w podwórze kopalni. Zewsząd płynęli tu górnicy bezładnie, bez przywódców, bez broni, jak woda zalewająca tamy. Stefan zobaczył Jeanlina, który wydrapał się na wysoko zawieszony pomost i usadowił się tam jak na trybunie cyrkowej. Przyspieszył kroku i jeden z pierwszych stanął na miejscu. Cały tłum liczył około trzysta głów.

Pewne wahanie ogarnęło wszystkich, gdy Deneulin ukazał się na schodach prowa- dzących do kasy.

— Czego chcecie? — krzyknął silnym głosem.

Gdy znikła mu z oczu karetą, pędzony niewytłumaczonym niepokojem wrócił do kopalni. Ale wszystko było w porządku, robotnicy zjechali, eksploatacja odbywała się normalnie. Uspokoił się więc i właśnie rozmawiał z dozorcą, gdy dano mu znać o zbliża- niu się strajkujących. Wyjrzał oknem sortowni i na widok fali ludzkiej, rozlewającej się po równi, poczuł swą niemoc. Jakże bronić tych zewsząd otwartych i łatwo dostępnych zabudowań fabrycznych. Zresztą zdołałby skupić koło siebie najwyżej dwudziestu ludzi zaufanych. Poznał, że jest zgubiony.

— Czego chcecie? — powtórzył błady z gniewu, ale zdecydowany odważnie stawieć czoło klęsce.

W tłumie ruch się począł i pomruk rozległ. Wreszcie przecisnął się naprzód Stefan i rzekł:

— Proszę pana, nie przychodzimy robić panu krzywdy, ale konieczne jest, by praca stanęła.

Deneulin od razu zaczął go traktować jak wariata.

— Czyż myślicie, że nie robicie mi krzywdy, przerywając pracę. Zupełnie, jakbyście mnie zabili skrytobójczo. To na jedno wychodzi. Ale nie, ludzie moi zjechali i pracować będą. Chcąc temu przeszkodzić, musicie mnie naprzód zabić.

Na te ostre słowa powstał w tłumie wrzask. Maheu musiał trzymać Levaque'a, który chciał się rzucić z pięściami na Deneulina, którego Stefan jeszcze usiłował przekonać o słuszności postępowania metodą rewolucyjną. Ale Deneulin odpowiedział, że każdy ma prawo do pracy. Zresztą nie chce wdawać się w dyskusję tych wszystkich teorii i chce

być u siebie panem. Żał mu tylko, że nie ma pod ręką czterech żandarmów, by hołotę wypędzić z kopalni.

— Tak, sam jestem winien! — dodał. — Na drabów jak wy najlepsza jeszcze kula. Rząd myli się, sądząc, że was ułagodzi koncesjami. Gdy wam tylko da broń w rękę, obalicie go, kanalie przeklęte!

Stefan trząsł się z gniewu, ale opanował się. Półgłosem rzekł Deneulinowi:

— Proszę pana usilnie, byś dał rozkaz wyjeżdżania. Nie mogę inaczej zaręczyć, że zdołam utrzymać w karbach moich towarzyszy. W ręku pańskim leży bezpieczeństwo kopalni.

— Nie! Wynosicie się do stu diabłów! Któż wy to jesteście? Nie jesteście moimi robotnikami, nie macie prawa stawiać żądań. Rozbójnicy tylko biegają w taki sposób po drogach! Rabusie!

Zgiełk zgłuszył ostatnie jego słowa. Kobiety miały straszne obelgi.

Trzymał się ostro i przyjemność mu nawet sprawiało, że może bez ogródek wyrażać tłumowi całą swą pogardę. Ruina nadeszła, po cóż miał się więc krępować. Strajkujących napływało coraz to więcej. Już około pięciuset parło na schody i bramę do kopalni wiodącą i Deneulin narażał się teraz osobiście na zemstę rozgoryczonych! Nadbiegł dozorca i pociągnął go odciągając.

— Na miłość boską! Panie dyrektorze! Niechybnie krew popłynie! I na cóż wywoływać mordy? Czyż to co pomoże?

Deneulin bronił się. Ostatni raz zwrócił się do tłumu i wrzasnął:

— Rozbójnicy, czekajcie! Niech tylko wojsko nadejdzie!

Odciągnięto go. Pierwsze szeregi naparły na schody tak, że poręcz pękła. Rej wodziły kobiety, wrzeszczały, piskały, by podniecić mężczyzn. Drzwi nie zaryglowane otwarły się zaraz. Ale schody były za wąskie dla tłumu i mimo pchania nie zdołano by wejść, gdyby tylne szeregi nie znalazły sobie dostępu z innej strony. Wkroczone od strony poczekalni, przez sortownię, nawet kotłownię. W niespełna pięciu minutach zalał tłum całą kopalnię. Pełno było ludzi na wszystkich trzech piętrach. Wrzeszczano, krzyczano z wielkiej radości, że udało się zdobyć kopalnię mimo oporu rozszłoszczonego dyrektora.

Maheu przybiegł przerażony do Stefana i rzekł:

— Na miłość boską, nie daj go zabić!

Stefan chciał już biec za Deneulinem, by go bronić, ale widząc, że zabarykadował się w poczekalni dozorców, odparł:

— A choćby go i zabili, czyż to nasza wina? Taki wariat!

Panował dotąd nad sobą i nie dał się owładnąć złością na dyrektora. Równocześnie bolało go, że, mimo iż był przywódcą, tłum sobie teraz nic z niego nie robił i rozgorzał zemstą, gdy należało tylko wymusić swe żądanie. Daremnie przekładał, że należy uzbroić się w zimną krew, nie dawać wrogom broni w rękę przez niszczenie bezcelowe.

— Do kotłów! Gasić ogień! — krzyknęła Brûlé.

Levaque znalezionym olbrzymim pilnikiem wywijał jak mieczem i wrzeszczał potężnym głosem:

— Przeciąć liny! Przeciąć liny!

Wszyscy powtórzyli okrzyk. Stefan i Maheu przerażeni poczęli protestować, ale nikt ich wśród hałasu nie słyszał. Schwyciwszy sposobny moment mógł wreszcie zawołać Stefan:

— Ależ ludzie są na dole!

Wrzaski wybuchały ze zdwojoną siłą.

— Tym lepiej! Po co zjeżdżali! Niech giną zdrajcy! Niech pozdychają tam na dole! Zresztą mają drabiny.

Myśl, że są drabiny, utwierdziła tłum w chęci poprzecinania lin, a wreszcie i Stefan przestał stawiać opór w nadziei zapobieżenia większemu nieszczęściu. Pobiegł jedynie do maszyny, by wyciągnąć klatki, w których mogli znajdować się ludzie. Inaczej przecięte u samej góry, siedemset metrów długie liny stalowe, padając w dół, niechybnie by je strzaskały.

Ale maszynisty nie było, palacze też znikli, więc chwycił w rękę rękojeść motoru, pociągnął maszynę w ruch i poczekał, aż liny nawiną się na bębny. Równocześnie Levaque

z kilku innymi wspinali się w górę wieży szachtowej. Ledwo klatki zaklinowały się hakami w drzewie rusztowania, rozległ się zgrzyt pilnika gryzącego stal. Nastąpiła cisza, zgrzyt przeraźliwy rozlegał się donośnie, a wszyscy podnieśli głowy i czekali z zaciekawieniem. Maheuowi stojącemu blisko wieży serce skakało z dzikiej radości. Zdawało mu się, że zębami pilnika przecinające dostęp do jednej z owych nor niedoli gryzą niedolę samą i nędzę i świat od niej oswobodzą.

Ale Brûlé nie dała za wygraną. Zbiegła po schodach do hali maszyn z okrzykiem:

— Gasić ogień! Do kotłów! Do kotłów!

Runął za nią tłum kobiet, a z tłumem Maheude z zamiarem przeszkodzenia, by wszystkiego nie zniszczono, tak jak mąż jej pilnował przecinających lin. Można przecież domagać się swego, nie niszczyć cudzej własności. Kobiety wypędziły z kotłowni palaczy, a Brûlé uzbrojona w wielką szufłę przykucnęła przed pierwszym piecem szybko nabierając węgle i wyrzucając je na ceglana posadzkę.

Było tu dziesięć pieców i pięć kotłów. Do wszystkich rzuciły się kobiety. Levaque oburącz chwyciła szufłę, Mouquette zakasała się wysoko, by spódnica jej nie zajęła się od ognia, i wszystkie z rozwianymi włosami pracowały, potniejąc w tym strasznym żarze, podobne do czarownic, zajętych jakąś tajemniczą operacją w czeluściach piekielnych. Kupy palających węgli rosły coraz to wyżej, aż wreszcie od żaru pękł sufit hali.

— Dość tego! — krzyknęła Maheude. — Buda zaczyna się palić!

— Tym lepiej! — odparła Brûlé. — Przysięgam, że pomszczę na tych drabach śmierć mego męża.

W tej chwili gdzieś z góry rozległ się głos Jeanlina:

— Na bok! Gaszę! Puszczam parę!

Wśliznął się tu jeden z pierwszych, uszczęśliwiony tym chaosem, pilnie szukając czegoś, co by mógł zniszczyć. Nagle wpadło mu na myśl odkręcić kurki i wypuścić parę z kotłów.

Strugi pary buchnęły z łoskotem salwy karabinowej. Wszystkie kotły opróżniły się z piekielnym sykiem, od którego bolało w uszach. Hala znikła w tumanie pary, a kobiety ruszały się w tej mgle niby cienie niewyraźne. Węgle przygasły. I tylko wysoko ponad białym wirami widać było Jeanlina. Siedział na drabinie z otwartymi z rozkoszy ustami, szczęśliwy, że był twórcą tej burzy straszliwej.

Trwało to z kwadrans. Wreszcie wylano na węgle kilka wiader wody i znikło niebezpieczeństwo ognia. Ale zacieklność tłumu nie zgasła, owszem rozgorzała teraz dopiero na dobre. Mężczyźni uzbroili się młotami znalezionymi w ślusarni, kobiety rozdzieliły między siebie sztaby żelazne i za czyjąś radą zabierano się do niszczenia maszyn, dziurawienia kotłów i niszczenia całej kopalni.

Stefan posłyszał o zamiarze i nadbiegł wraz z Maheuem. Już go ogarniał szal zemsty, ale walczył jeszcze z sobą, błagał towarzyszy, by wstrzymali się od wykroczeń. Wszak liny przecięte, para z kotłów wypuszczona, ogień zgaszony, więc dalsza praca uniemożliwiona. Nie słuchano go i już miał ulec, gdy nagle uwaga wszystkich skierowała się na małe drzwi zamykające wylot szachtu drabinowego. Rozległy się okrzyki:

— Precz ze zdrajcami!

— Nędznicy!

— Śmierć im!

Pierwsi górnicy stanęli w drzwiach, olśnieni światłem dziennym, odurzeni zgiełkiem. Stali ze spuszczoneymi oczyma przez chwilę, potem poczęli przedzierać się pojedynczo przez tłum, próbowali uciekać.

— Precz z tchórzami!

— Precz z obłudnikami!

Tłum strajkujących obiegił drzwi. W niespełna trzy minuty opróżniły się budynki kopalni. Pięciuset górników utworzyło szpaler, przez który przesuwali się długi korowód łamistraszków. Okrzykami pogardy witano każdego ukazującego się w otworze drzwi, okrytego pyłem węglowym i potem, z ubraniem w nieładzie skutkiem walki o pierwszeństwo wydostania się na wierzch.

— O patrzcie — wołano — na tego! Ma trzy cale nóg, a potem zaraz tylek.

— A ten! Nos mu odpadł skutkiem sprawek miłosnych w Wulkanie.

— A ta pokraka! Z oczu mu kapie woskowina, z której by można narobić świec do dziesięciu kościołów!

— A ten, a ten długi bez hydek! Patrzcie! Dłuższy jak Wielki Post!

Głośny śmiech obudziło ukazanie się jednej przesuwaczki. Gruba była niezmiernie, piersi jej wisiały na brzuchu, który wraz z pośladkami tworzył coś w rodzaju beczki. Chciano ją macać, żarty stawały się coraz to ordynarniejsze, pięści migwały w powietrzu, a biedacy szli ciągle, czekając ciosów, szczęśliwi, gdy wreszcie minęli szpaler i mogli umknąć co tchu.

— A iluż ich tam? — spytał Stefan.

Dziwił się nieprzerwanemu korowodowi i gniew w nim wzbierał na widok tłumu łamistraków. Myślał, że zjechało kilku górników zmożonych głodem, zastraszonego przez dozorców. A więc okłamano go tam w lesie. Prawie cały personel Jean-Barta stanął do pracy. Nagle wydarł mu się z piersi okrzyk. Na progu ujrzał Chawała.

— Na rany boskie! Więc na takie spotkanie nas zaprosiłeś?

Powstał zgiełk straszny, wszyscy rzucili się na zdrajcę. Co za łajdak! Wczoraj przysięgał, obiecywał odwiedzić innych od pracy, a zaraz po przysiędze zdradził. To niepojęte!

— Biercie go! Wrzucić do szachtu! Niech zdycha!

Chawal ze strachu blady jak trup bąkał coś, chciał się tłumaczyć. Ale trzęsący się ze złości Stefan nie dopuścił go do słowa.

— Chciałeś być na dole, będziesz na dole... Dalej, naprzód, psie nikczemny!

Słowa jego zgłuszył nowy wrzask. Na progu stanęła Katarzyna. Olśniona światłem, przerażona zgiełkiem, trzymała się ledwie na nogach po przebyciu stu dwu drabin, a z rąk jej ciekła krew. Jęknęła, widząc matkę rzucającą się na nią z pięściami.

— I ty, nędznico! Gdy matka twoja przymiera głodem, zdradzasz ją wraz z tym twoim wisielcem?

Maheu wstrzymał rękę żony, ale rozwścieczony także trząśł dziewczyną i gorzko wyrzucił jej postępowanie zbrodnicze. Oboje wpadli w pasję i krzyczeli głośniejsze od innych.

Widok Katarzyny do ostateczności doprowadził Stefana. Począł wołać:

— Prędej! W drogę! Idziemy do innych kopalń! A ty, nędzna bestio, idziesz z nami.

Chawal ledwie zdążył w ogrzewalni wdziać saboty i zarzucić kaftan wełniany na skostniałe plecy. Porwano go i musiał pędzić cwałem pośrodku zbitego tłumu. Katarzyna mimo oszołomienia ubrała się także i biegła tuż za swoim tyranem. Była pewna, że zginie, gdy go opuści.

Jean-Bart opróżnił się w ciągu dwu minut. Jeanlin, dorwawszy się rogu sygnałowego, trąbił na nim chrypliwie, jakby zwoływał rozpierzchną trzodę. Kobiety zakasały się wysoko, by móc biegnąć prędko, a Levaque potrząsał siekierą, jak kapelmistrz batutą. Zewsząd napływali górnicy, tak że tłum liczył już przeszło tysiąc głów. Bezludnie jak potok górski wylali się na drogę. Brama w parkanie kopalni była za wąska, obalono parkan.

— Do kopalń! Śmierć zdrajcom! Nie ma pracy!

I Jean-Bart zapadł nagle w zupełną ciszę. Nie było ni człowieka w całej kopalni. Deneulin wyszedł z pokoju dozorców, ruchem ręki nakazał, by mu nikt nie towarzyszył, i poszedł obejrzeć kopalnię. Był blady, ale spokojny. Zatrzymał się przy szachcie zjazdowym, podniósł głowę do góry i patrzył na przecięte liny. Luźno zwisały końce stalowych sznurów, świecąc w szarym otoczeniu połyskującą metalicznie raną zadaną pilnikiem. Potem poszedł Deneulin do hali maszynowej, spojrzał na nieruchome ramie dźwigni, podobne do ręki paralityka, dotknął oziębłego już metalu i wstrząsnął się, jakby dotknął trupa. Potem zszedł do kotłowni, zwiedził kolejno wszystkie piece pełne teraz wody i trącił nogą kocioł, który brzęknął donośnie jak dzwon. Tak, sprawa była skończona. Ruina nastąpiła nieodwołalnie. Choćby nawet zmienił liny, zapalił pod kotłami, gdzież znajdzie robotnika? Jeszcze czternaście dni strajku i koniec. Musi zgłosić upadłość. Teraz, uświadomiwszy sobie swą klęskę, nie czuł już nienawiści do rozbójników z Montsou. Krzywda ludzka gromadząca się od stu lat takie wydała owoce. Było to winą ogółu. Ci górnicy to niewątpliwie ordynarna hołota, ale to zarazem ludzie, których nie nauczono czytać i pozbawiono ostatniego kęsa chleba.

Upadek, Klęska, Walka klas

Tłum rozlał się po nagiej równi pobielalej od mrozu, połyskującej jasną plamą w promieniach słońca.

Począwszy od Fourche-aux-Boeufs objął znowu przywództwo Stefan. Nie zatrzymując się w biegu, wydawał rozkazy i organizował marsz. Jeanlin galopował przed wszystkimi i grał straszliwie na swoim rogu. Na przedzie pędziły kobiety zbrojne częściowo w kije, a wśród nich rozszalała Maheude z rozgorzałymi, w dal utkwionymi oczyma, jakby wypatrywała na horyzoncie miasto sprawiedliwości, o którym jej mówiono.

Tłum

Brûlé, Levaque i Mouquette maszerowały, sadząc ogromne kroki. Niechby zjawili się żandarmi. Okaże się, czy odważą się zaatakować kobiety. Za kobietami bez żadnego porządku sunęli mężczyźni, zbrojni w broń różnoraką i ciężkie sztaby żelaza, a ponad ich głowami górowała siekiera Levaque'a, w której ostrzu przeglądało się słońce. Pośrodku biegł Stefan, nie spuszczać z oka Chawała i zmuszając go, by biegł przed nim, a z tyłu pilnował go Maheu, rzucając groźne spojrzenia na Katarzynę, jedyną kobietę nie biegnącą na przedzie. Nie pozwoliła się odpędzić od Chawała, chciała go bronić. Wielu nie miało kapeluszy, wiatr szarpał ich włosami, a wszyscy biegli niby stado dzikich zwierząt w ślad za chrapliwym odgłosem rogu Jeanlina.

Nagle podniósł się okrzyk:

— Chleba! Chleba!

Stefan, który nie przyjął rano swej porcji chleba, uczył w żołądku ból szarpiący. Słońce stało już wysoko i po sześciu tygodniach strajku głód poczęł gryźć żołądki wszystkich, podniecone szybkim a długim biegiem po równi. Kilka skórek, odrobinę kasztanów Mouquette strawiono już dawno. Żołądki dopominały się pokarmu i to zaogniało jeszcze bardziej zawiść do zdrajców. Wołano:

— Do kopalń! Nie ma już pracy! Chleba!

Stefan mechanicznym ruchem podnosił od czasu do czasu do ust manierkę z jałowcówką. Drżał z zimna i zdawało mu się, że go to rozgrzeje. Policzki mu rozgorzały, oczy poczęły połyskiwać. Ale nie zakreśliło mu się w głowie, chciał powstrzymać od niszczenia. Nie dał się unieść zemście.

Gdy tłum mijał drogę do Joiselle, nadbiegł hajer z Vandame, który dla zemsty nad swym chlebobodawcą chciał pociągnąć w swą stronę strajkujących. Począł wołać:

— Do Gaston-Marie! Zniszczyć pompy, by woda zalała Jean-Bart!

Grupa biegnących skierowała się w tę stronę mimo protestów Stefana. I na cóż niszczyć galerię? Mimo wściekłości obudziła się w nim odraza do niszczenia tego, czego dokonała ciężka praca górnika. Poparł go Maheu. Czyż rozumnie jest mścić się na maszynie? Ale hajer ciągle nawoływał, tak że Stefan musiał kategorycznie rozkazać:

— Do Mirou! Tam pracują zdrajcy! Do Mirou! Do Mirou!

Ruchem ręki skierował tłum na drogę w lewo, a Jeanlin pobiegł naprzód, dmąc w róg co siły. Tłum zakotłował na miejscu, wreszcie usłuchał Stefana, Gaston-Marie na razie ocalała.

Cztery kilometry do Mirou przebyto w niespełna pół godziny. Drogę brzeżył wąski pas kanału pokrytego lodem. Monotonny krajobraz ożywiały jedynie rzadko stojące bezlistne drzewa, które mroź zmięł w wielkie kandelabry. Zresztą aż po kraj horyzontu nic, tylko biała równia, gdyż nawet Marchiennes i Montsou zasłaniały niskie, ledwo odznaczające się płaskowzgórza.

Przybyli do kopalni i ujrzeli na pomoście wiodącym do sortowni stojącego dozorcę. Wszyscy znali ojca Quandieu, najstarszego wiekiem dozorcę w całym zagłębiu. Miał białe włosy, białą skórę na twarzy i co dziwniejsze, mimo siedemdziesiątki i kilkudziesięciu lat pracy w kopalni, cieszył się wyśmienitym zdrowiem.

— Czegóż to, gałgany, chcecie... ha? — zawołał.

Wstrzymali się. To już nie był szef. Był to robotnik, osiadywał w pracy i wzbudzał szacunek.

— Ludzie są na dole! — rzekł Stefan. — Każ im wyjechać.

— To prawda, jest ich tam trochę — odparł ojciec Quandieu — nie dużo, najwięcej ze sześć tuzinów. Reszta boi się was, gałgany! Ale mówię wam, że nie pozwolę im wyjechać. Ani jeden nie wyjedzie albo... ze mną sprawa, gałgany!

Powstał hałas, tłum począł napierać, co widząc dozorca szybko przeszedł most, zamknął bramę i stanął przed nią.

Maheu chciał pośredniczyć.

— Stary, słuchaj. Mamy słuszość, chcemy poprawić swój los. Ale strajk musi być ogólny.

Stary milczał chwilę. Ale nieznamość zasad znowy była snadź u niego wielka, bo odparł:

— Może i macie słuszość, nie przeczę. Ale ja muszę spełnić swój obowiązek. Jestem tu sam, ludzie będą pracować do trzeciej i przed trzecią nie wyjedzie ani jeden.

Ostatnie słowa utonęły we wrzasku strajkujących. Grożono pięściami, kobiety przyskakiwały do starego, tak że czuł ich gorący oddech na twarzy. Mimo to nie ustąpił, podniósł głowę pokrytą białym włosiem i z piersi wezbranej męstwem krzyknął:

— Przysięgam, że nie przestąpi żaden z was progu kopalni! Przysięgam na to słońce, co świeci, że prędzej zginę, niżli wam dam tknąć lin. Usuńcie się albo w waszych oczach skoczę do szachtu.

Dreszcz przebiegł tłum. Wszyscy cofnęli się, a stary mówił:

— Któż jest tak głupi, by tego nie zrozumiał?... Ja jestem jak wy robotnikiem. Kazano mi pilnować, więc pilnuję i basta!

Dziwna logika podziałała. Trudno zresztą było coś wskórać z ojcem Quandieu, którego inteligencja nie mogła wznieść się ponad ślepe wojskowe pojmowanie obowiązku. W ciasnej czaszce starca, w jego czarnych oczach osmutniałych i zmąconych od długiej pracy w kopalni nie było miejsca na co innego. Górnicy patrzyli na starca. Wyczuli w tonie jego głosu jakby pogłos czegoś im znanego, zrozumieli owo ślepe posłuszeństwo, ową moc i poświęcenie w chwili niebezpieczeństwa. Myślał, że wahają się jeszcze, więc powtórzył:

— W oczach waszych skoczę do szachtu!

Tłum cofnął się. Każdy odwrócił się na pięcie i począł się znowu galop polami na przelaj. Z tysiąca piersi rozległ się krzyk:

— Do Madeleine! Do Crevecoeur! Nie ma już pracy! Chleba! Chleba!

Ale wśród tłumu powstało teraz szamotanie. Chaval podobno chciał skorzystać ze zwrotu i uciec. Stefan trzymał go za ramię i groził połamaniem kości, gdyby raz jeszcze spróbował zdrady. Chaval bronił się, protestował rozwścieklony.

— Daj mi spokój! Każdy człowiek jest wolny! Drżę z zimna od godziny. Muszę się umyć. Puść mnie.

Dokuczała mu istotnie skorupa pyłu węglowego i potu, która utworzyła mu się na skórze, a kaftan nie chronił go od zimna.

— Naprzód, marsz, albo... obmyjemy cię sami! — wołał Stefan. — Nic sobie nie robimy z krwi takiego nędznika.

Porwano ze sobą Chavala. Stefan zwrócił się do Katarzyny, biegnącej ciągle za nimi. Złościł go widok biedaczki drżącej z zimna, okrytej pyłem węglowym, okrytej ledwo kaftanem i powalanymi spodniami. Musiała być śmiertelnie znużona, a ustąpić nie chciała.

— Odczep się! Idź do domu! — rzekł do niej.

Zdawało się, że nie słyszy. Oczy tylko utkwiała w nim na chwilę, jakby mu czyniła wymówkę, i biegła dalej. Czemuż żąda, by opuściła kochanka? To prawda, Chaval był czasem niedobry, bił ją. Ale był jej kochankiem, posiadał ją pierwszy i oburzało ją, że było ich tysiąc przeciw jednemu. Chciała go bronić, powodowana ambicją, a nie miłością.

— Idź! — krzyknął Maheu.

Na rozkaz ojca zatrzymała się na chwilę. Zadrżała, a oczy jej napęły się łzami. Ale zaraz poczęła biec dalej mimo obawy. Nie zwracano już na nią uwagi.

Tłum minął drogę wiodącą do Joiselle, pędził czas jakiś drogą do Cron, potem skręcił ku Cougny. Na horyzoncie zarysowały się kominy fabryczne, szopy drewniane, cegielnie. Przy drodze stały niskie domki położonych tu dwu kolonii robotniczych, oznaczonych liczbami 180 i 76. Na dźwięk rogu Jeanlina wychodzili z domów robotnicy, dzieci, kobiety i łączyli się wszyscy z tłumem, który w chwili przybycia do Madeleine liczył przeszło tysiąc pięćset głów. Droga wiła się lekkim spadkiem na dół. Musiano obejść wielkie zypiska węgla, nim dotarto do kopalni.

Obowiązek

Było ledwo po drugiej. Ale już dozorczy powiadomieni zarządzili wyjazd górników, który też kończył się właśnie w chwili nadejścia strajkujących. Ostatnich dwudziestu właśnie wychodziło z klatek windy. Uciekli, a w ślad za nimi posypał się deszcz kamieni. Jednego obito, drugi zostawił w rękach napastników rękaw kaftana i w ten sposób się uratował. Pogoń za ludźmi ochroniła instalację kopalni. Nie tknięto ni lin, ni kotłów. Za chwilę tłum odpłynął ku kopalni sąsiedniej.

Crèvecoeur leżała w odległości pół kilometra od Madeleine. I tu zastano wyjazd w pełnym toku. Kobiety pochwytyły jedną przesuwaczkę, zdjęły jej spódnice i wybiły po gołej skórze, a mężczyźni śmiali się. Chłopców potraktowano policzkami, a kilku hajerów uciekło, unosząc sińce i rozbite nosy, z których ciekła krew. Żądza zemsty nie wygasła, rozległy się okrzyki zwiastujące śmierć zdrajcom, żądanie chleba, o który wołały puste żołądki. Na nowo weszła fala nienawiści, rzucono się przecinać liny, ale pilnik był tępy, więc trwało to za długo i porzucono robotę, gdyż gorączka pędziła wszystkich naprzód. Mimochodem tylko strzaskano wentyl kotła i zalano ogniska, tak nagle, że rozżarzone ruszty popękały.

Postanowiono teraz iść do Saint-Thomas. Była to kopalnia najkarniejsza, strajkiem dotąd nie objęta i obiecywano sobie złapać tam przy pracy przeszło 700 górników. Gotowano się do regularnej walki na kije i naprzód obliczano szanse zwycięstwa. Ale ktoś puścił wieść, że w Saint-Thomas są żandarmi, ci sami żandarmi, z których się naśmiewano rano. Któż tę wieść podał? Nie wiadano, ale mimo to wszyscy poczułi strach i uradzili udać się raczej do Feutry-Cantel. Ogarnął ich szal, gdy tylko mieli jasno wytknięty cel zemsty. Rozległ się na gościńcu łopot sabotów i okrzyki:

— Do Feutry-Cantel!

Tam znajdują w każdym razie ze 400 pracujących. Będzie niezła zabawa. Oddalona o trzy kilometry kopalnia Feutry-Cantel leżała skryta w zagłębieniu równi nad Skarpą. Już tłum począł płynąć płaskim stokiem wzgórza, gdy ktoś wyraził przypuszczenie, że w Feutry-Cantel są dragoni. Powtórzono tę wieść w całym tłumie, pochód zatrzymał się, zwichrzył, zapanowała panika. Istotnie jakże stać się mogło, że od kilku godzin chodząc po całej równi nie natrafili na żołnierzy. Bezkarność wydała im się dziwna. Pewnie gdzieś zrobiono zasadzkę, by ich wszystkich dostać w ręce.

Nie wiadomo, jak się stało, dość, że padło nowe hasło i powstał krzyk:

— Do Victoire! Do Victoire!

Więc tam nie było żandarmów ani dragonów? Nikt nie wiedział, ale wszyscy się uspokoiłi i zwrócili do Beaumont na przełaj przez pola, by wydostać się na drogę do Joiselle. Kolej zastąpiła im drogę, obalono otaczający ją parkan. Tłum zbliżył się do Montsou i z małej wyniosłości zobaczono to miasto i całą równię, aż po Marchiennes.

Victoire oddalona była o dobre pięć kilometrów. Wszyscy pędzili z taką furją, że nie czuli znużenia, nie bolały ich poranione nogi. Ciągłe przyłączali się nowi ochotnicy z pobliskich kolonii. Gdy przekroczono most na kanale i znaleziono się pod kopalnią Victoire, tłum liczący już dwa tysiące głów doznał rozczarowania. Minęła już trzecia i w kopalni nie było górników. Musiano zadowolić się okrzykami i poczęstowaniem gradem cegieł zaczynających właśnie pracę robotników ziemnych. Rozsypano się po zdobytej bez wysiłku kopalni. W braku zdrajców poczęto mścić się na urzędzeniu. Żądza niszczenia wzbierała ciągle jeszcze. Długie lata nędza przygotowywała ich do tego dnia, w którym mogli użyć sobie na zemście.

Za szopą zobaczył Stefan dwu ludzi, ładujących węgiel na wozy.

— Uciekajcie co prędzej! — zawołał. — Ani kawałek węgla nie wyjdzie z kopalni!

Na krzyk jego nadbiegło około stu strajkujących i ładownicy mieli ledwie czas umknąć. Wyprzęgnięto konie. Uciekli przerażone krzykami i biciem. Obalono wóz i złamano dyszel.

Levaque począł silnymi ciosami siekiery rąbać belki podtrzymujące most. Ale nie dość sporo mu to szło, wpadł przeto na myśl zniszczenia szyn kolejki okrążającej podwórze kopalni. Niebawem wszystko rzuciło się do roboty. Maheu żelazną sztabą jak dźwigarem podważał progi i wyrwał szyny, a Brulé tymczasem z innymi kobietami pośpieszyła do lampiarni. Niedługo szkło lamp pokryło podłogę. Maheude rozszalała rozbijała lampy na wypródki z panią Levaque. Wszystkie obryzgały się oliwą, a Mouquette obcierała

ręce w koszulę, rada niezmiernie, że taka brudna. Jeanlin, chcąc jej dogodzić, wylał jej za kołnierz zawartość jednej lampy.

Ale zemsta nie nasyciła próżnych żołądków, które wołały coraz to głośniejszo o jedzenie. Dominował teraz krzyk:

— Chleba! Chleba!

Opodal kopalni była kantyna jednego starego dozorca. Zapewne musiał uciec ze strachu, opuszczając swą budę. Gdy kobiety wróciły z lampiarni, a mężczyźni skończyli niszczyć kolejkę, rzucono się na kantynę. Okiennice szybko ustąpiły pod naciskiem kilkuset rąk. Ale nie znaleziono chleba, jedynie dwa kawałki surowego mięsa, worek ziemniaków i około pięćdziesięciu flaszek jałowcówki, która też znikła w oka mgnieniu, jak kropla wody w piasku.

Stefan napelnił powtórnie swą manierkę. Z wolna poczęło go ogarniać pijackie podniecenie wygłodniałego człowieka. Oczy zaszyły mu krwią, a zęby lyskały spomiędzy warg jak wilkowi. Nagle spostrzegł, że wśród zamieszania Chaval znikł. Zaklął, kilkunastu pobiegło szukać zbiega. Wyciągnięto ich oboje z Katarzyną spoza sągu drzewa, gdzie się skryli.

— Ty nikczemniku! — wrzasnął Stefan. — Uciekasz? Boisz się narazić swoim chlebobodawcom? A czemuż to wczoraj w lesie żądałeś strajku maszynistów, chciałeś, by pompy stanęły. Czekaj, wrócimy do Gaston-Marie i musisz sam zniszczyć pompę! Tak, sam musisz ją zniszczyć!

Stefan był pijany, szczerł teraz tłum na pompę, którą niedawno sam ocalił.

— Do Gaston-Marie! — krzyknęli wszyscy i rzucili się na drogę, popychając i szarpiąc Chavala, który ciągle wyrwał się i prosił, by mu pozwolono umyć się.

Maheu, widząc, że Katarzyna ciągle biegnie z nimi, krzyknął:

— Wynos się!

Nie wstrzymała się nawet, rzuciła tylko ojcu płomienne spojrzenie i biegła dalej.

I znowu przebiegano równie, to drogą ciągnącą się daleko, aż na skraj horyzontu, to na przelaj przez pola. Wybiła czwarta, słońce poczęło zachodzić, a na zamarzłej ziemi wydłużały się coraz to bardziej cienie leżących z wrzaskiem ludzi.

Obeszli Montsou, zwrócili się znowu na drogę ku Joiselle i niedługo doszli do Piolaine. Gregoire'ów nie było w domu. Przed obiadem u państwa Hennebeau wypadło im odwiedzić notariusza. Dom stał cichy, jakby opuszczony, aleja lipowa i ogród, pozbawione liści, zdawały się drzemać. Okna pozamykane zasłute były rosą, świadczącą, jak wewnątrz musi być ciepło. Patrząc na Piolaine, odczuwało się wygodę życiową tam panującą, wysmienite łóżka, doskonałą kuchnię, spokój i ciszę, w których płynęło życie właścicieli.

Strajkujący, nie zatrzymując się, rzucali ponure spojrzenia na dom, żelazne kraty i usiane złómkami szkła mury. Znowu podniósł się okrzyk:

— Chleba! Chleba!

Odpowiedziało im jedynie zapalczywe ujadanie psów, dwu dużych żółtawych duńskich dogów, rzucających się za kratą wejścia. Za firanką stały kucharka Melania i pokojówka Honorka zwabione zgiefkiem i z przerażeniem patrzyły na rozszalały tłum, pędzący ulicą. Usłyszawszy brzęk stłuczonej szyby, padły na kolana w oczekiwaniu śmierci.

Jeanlin zrobił sobie procę z kawałka sznurka i w przelocie posłał z niej na dobry wieczór kamień Gregoire'om. Za sekundę dał znów w swój róg, zapomniawszy o wszystkim. Tłum poszedł, a z dali dolatywał jeszcze okrzyk:

— Chleba! Chleba!

Gdy znaleźli się w Gaston-Marie, było ich przeszło dwa tysiące pięćset. Szalony pęd niósł ich teraz niby burzę. Niszczyli wszystko, obalali wszystko. Przed godziną byli tu żandarmi, ale zmyleni opowiadaniem chłopów popędzili ku Saint-Thomas, w pośpiechu zapomniawszy zostawić posterunku z kilku ludzi choćby złożonego. W niespełna kwadrans ognie zostały pogaszone, kotły opróżnione, budynki zalane wodą i zniszczone. Ale celem głównym wyprawy była pompa. Nie zadowolono się tym, że z wypuszczeniem pary stanęła, rzucono się na maszynę, jak na człowieka, by ją zlinczować.

— Pierwszy musisz uderzyć! — wołał Stefan, wkładając w rękę Chavala młot. — Dalej, przysiągłeś!

Chaval zadrzał, rzucił się w tył i w zamieszaniu upuścił młot. Ale inni, nie czekając, poczęli sztabami żelaza, cegłami, wszystkim, co wpadło pod rękę, walić w pompę. Śruby puściły, płyty stalowe i miedziane, pozbawione oparcia, odrywano rękami. Straszliwy cios kilofa strząsnął rezerwuar z lanego żelaza, woda trysnęła i pompa, zacharczawszy po raz ostatni, jak umierający, przestała istnieć.

Załatwiwszy się z tym, tłum zebrał się koło Stefana trzymającego ciągle Chawala. Rozległy się głosy:

— Śmierć zdrajcy! Do szachtu z nim!

Chaval śmiertelnie błady bąkał coś i ciągle prosił, by mu się dano umyć. Powtarzał jedno w koło jak wariat, opanowany manią prześladowczą.

— Ano poczekaj! — rzekł Levaque. — Możemy ci dogodzić. Patrz, oto tu jest miednica.

Woda z pompy wypuszczona utworzyła kałużę, która się pokryła już cienką warstwą lodu. Wepchnięto tam Chawala, lód się załamał. Zmuszono go zanurzyć głowę.

— Pij! — ryczała Brûlé. — Do licha, pij, bo ci pomożemy! Tak, tak... łyknij sobie jak bydlę, z nosem w wodzie.

Musiał pić na czworakach. Wszyscy śmiali się i drwili z niego w sposób barbarzyński. Jedna z kobiet ciągnęła go za uszy, inna zebrała w dłoń garść świeżego kału końskiego i rzuciła mu w twarz. Kaftan podarto na nim w strzępy, omglonym wzrokiem patrzył wokoło, szukając, którędy by mógł wymknąć się swym prześladowcom.

Maheu kopał go, Maheude wiodła rej pośród tych, którzy się nad nim znęcali. Mścili się oboje za dawne sprawki nędznika. Nawet Mouquette zwykle życzliwie usposobiona dla swych dawniejszych kochanków wpadła w pasję i radziła, by mu ściągnąć spodnie i zobaczyć, czy jest naprawdę mężczyzną.

Stefan nakazał wszystkim milczenie.

— Dość tego! — krzyknął. — Nie potrzebujecie wszyscy rzucać się na jednego... Wiesz co... możemy sprawę załatwić obaj między sobą.

Pięści mu się zaciskały kurczowo, oczy płonęły żądzą morderczą, pijany łaknął krwi.

— Czyś gotów? Jeden z nas musi zginąć... Dajcie mu nóż! Ja mam swój.

Katarzyna, mimo śmiertelnego znużenia, spojrzawszy na Stefana, zerwała się. Przypomniała sobie, co jej opowiadał. Znała tę jego żądzę zabijania, gdy wypił trochę więcej, znała ten instynkt odziedziczony po rodzicach nałogowi oddanych. Skoczyła więc, wymierzyła mu policzek i podniecona oburzeniem krzyknęła:

— Tchórze! Tchórze! Nie dość ci tego wszystkiego, coś z nim wyrabiał, chcesz go zabić, teraz, gdy nie może utrzymać się na nogach?

Zwróciła się do ojca, matki, do wszystkich.

— Wszyscyście tchórze! Rzućcie się kupą na jednego! Chcecie go zabić? Więc musicie zabić i mnie! Oczy wydrapię każdemu, kto się go tnie! Spróbujcie, tchórze!

Zasłoniła sobą Chawala, broniła go. Zapomniała o nędzy, o biciu, jedno tylko pamiętała. Była jego kochanką. Wziął ją. Więc hańba jego spada także i na nią. Stefan błady jak śmierć stał, gotów każdej chwili zabić dziewczynę. Po chwili obtarł ręką twarz i wśród głębokiej ciszy rzekł spokojnym, trzeźwym głosem:

— Ona ma słuszość. To wystarczy. Idź precz!

Chaval ruszył cwałem, a za nim Katarzyna. Widać bał się, by Stefan nie zmienił zdania. Wszyscy patrzyli za nimi w milczeniu, póki nie znikli na zakręcie drogi, tylko Maheude rzekła półgłosem:

— To nierozważny czyn. Należało go związać i przytrzymać. Jestem pewna, że zdradzi natychmiast po raz drugi.

Ale tłum już ruszył z miejsca. Wybiła piąta, a słońce stało czerwone, skośne promienie po całej równi. Przekupień wędrowny ostrzegł strajkujących, że dragoni posuwają się ku Crèvecoeur, więc padło hasło:

— Do Montsou!

— Do dyrekcji!

— Chleba! Chleba! Chleba!

Pan Hennebeau wyglądał chwilę oknem za powozem wiozącym jego żonę do Marchiennes na prośzone śniadanie i za jadącym konno u drzwiczek Négrelem, potem usiadł spokojnie przy biurku. Dom po ich odejście zapadł w milczenie, furman pojechał, Różia pokojówka miała urlop do piątej, został więc tylko kamerdyner Hipolit, cicho w pantoflach snujący się po pokojach, i kucharka zajęta od rana obiadem, na który przyjechać mieli goście. Pan Hennebeau zamierzał skorzystać z tej ciszy i pracować intensywnie do wieczora.

Okolo dziewiątej pozwolił sobie Hipolit, wbrew zakazowi wpuszczania kogokolwiek, zaanonsować Dansaerta, który przynosił ważne nowiny. Dozorca powiedział dyrektorowi o wczorajszym zgromadzeniu w lesie, a relacja Dansaerta była tak ścisła, że pan Hennebeau domyślił się, jaką drogą doń przyszła. Co tydzień niemal listy anonimowe oskarżały dozorcę o miłostki z żoną Pierrona. Naturalnie z łóżka do łóżka wieść doszła aż do dyrektora. Skorzystał z tego, by oświadczyć dozorczy, że wie o wszystkim, ale poprzestał na zaleceniu mu ostrożności i unikaniu skandalu. Dansaert dziwił się, że raport jego wywołał takie uwagi, zaczerwienił się i nie bardzo nawet wypierał, zadowolony, że na tym poprzestaje pan Hennebeau, który był niezwykle surowy w takich razach, z całym przeświadczeniem słuszności karcieł miłostki dozorców z robotnikami, sam czując się bez zarzutu pod tym względem. Rozmowa zesła na strajk i obaj wyrazili przekonanie, że zgromadzenie to dzieło kilku krzykaczy, bez większego znaczenia. Pod wrażeniem porannej defilady dragonów górnicy kilka dni co najmniej będą siedzieli cicho.

Panu Hennebeau, gdy został sam, przyszło mimo to na myśl wysłać depezę do prefekta, ale powstrzymała go obawa zdradzenia własnego niepokoju. Nie mógł sobie dotąd darować, że miał tak zły wdech i wszystkim rozpowiadał, a co gorsza napisał do rady nadzorczej, że strajk ustanie do dni czterestu. Oto trwa już niemal dwa miesiące ku jego wielkiemu zdumieniu. Z każdym dniem znaczenie upada, traci swój wpływ! Pan Hennebeau uczuł, że musi się odznaczyć czymś niezwykłym, jeśli zrehabilitować się ma w oczach rady. W ostatnim liście prosił o wskazówki na wypadek zaburzeń. Odpowiedzi nie było. Może ostatecznie nadejdzie dziś pocztą popołudniową. Będzie przecież i tak dość czasu na depezę z żądaniem wojska dla ochrony kopalń! Był pewny, że wojsko sprowokuje robotników, że krew popłynie, zrobi się wielka awantura, a mimo swej energii nie chciał brać na siebie odpowiedzialności.

Aż do jedenastej pracował bez przeszkody. Ciszę przerywał jedynie skrzyp szczotek, którymi Hipolit wycierał podłogę oddalonego pokoju na pierwszym piętrze. Nagle dostał razem niemal dwie depeze. Pierwsza donosiła o napadzie na Jean-Bart dokonanym przez strajkujących z Montsou, druga zawierała szczegóły o przecięciu lin, zgazzeniu ogni i spustoszeniu. Nie mógł pojąć. Czegoż chcieli strajkujący od Deneulina? Czemu raczej nie rzucili się na którąś z kopalń Kompanii? Zresztą tym lepiej! Niech całe Vandame przewrócą do góry nogami, to przyspieszy tylko spełnienie jego planów. O dwunastej sam zjadł śniadanie w pustej jadalni, a służący obsługiwał go tak cicho, że nawet szmeru pantofli słyszeć nie było. Zasmuciła go ta cisza, a wreszcie przeraziło wprowadzenie dozorczy, który przybiegł co sił w nogach i przyniósł mu wieść o pochodzie strajkujących na Mirou. Nim skończył kawę, dostał depezę, że Crèvecoeur i Madeleine zagrożone. To wprawilo go w desperację. Poczta z Paryża nadejść mogła dopiero po drugiej. Czy telegrafować po wojsko, czy czekać rozkazów? Poszedł do swej pracowni, by przeczytać list do prefekta zredagowany dnia poprzedniego przez Négrela. Nie znalazł go i przyszło mu na myśl, że Négrel zostawił może brulion w swym pokoju na górze, gdzie często późno w noc pisywał. Nie rozstrzygnąwszy co do depezy, myśląc o liście, poszedł go szukać do pokoju Négrela.

Pierwszą rzeczą, która go uderzyła, był nieporządek panujący w pokoju. Niezawodnie Hipolit zapomniał albo lenił się. Było tu gorąco, gdyż dotąd nie zamknięto kaloryfera i całe powietrze przepojone było silnym zapachem perfum. Pan Hennebeau przypisywał to zaperfumowaniu wody, której pełna była miednica. Nieporządek panował tu wielki, wałały się po meblach części ubrań, z poręczy krzeseł zwisały wilgotne ręczniki, łóżko rozburzone było, a prześcieradło jednym końcem dotykało dywanu leżącego na podłodze. Niewiele na to wszystko zważając, pan Hennebeau zbliżył się do stołu zarzuconego papierami i brał

do ręki jedną ćwiartkę po drugiej, szukając listu. Nie znalazł go. Gdzież u licha mógł go zapodziać ten wartogłów Paweł?

Wrócił na środek pokoju i powiódł wzrokiem po meblach. Wtem na rozburzonym łóżku dostrzegł coś połyskującego. Zbliżył się mimo woli i wziął w rękę porzucony tam złoty flakonik. Była to własność jego żony. Nie rozstawała się z tym grakiem. Nie mógł pojąć, skąd się to wzięło w łóżku Négrela? Nagle pobladł... Tak, żona jego spędziła tu noc.

— Przepraszam — ozwał się poprzez drzwi Hipolit — widziałem, że pan dyrektor idzie na górę, więc...

Hipolit wszedł. Zmartwił go nieład panujący w pokoju.

— Ach, Boże, pokój nie posprzątany! Ta Rózia wszystko spycha na mnie! Ot i dziś wyszła...

Pan Hennebeau ukrył flakonik w dłoni, ściskając go kurczowo.

— Czego chcesz?

— Panie dyrektorze! Przyszedł posłaniec z Crèvecoeur! Ma list.

A więc żona jego spędziła noc w tym łóżku? Zaryglował drzwi i otworzył dłoń, na której odcisnęły się czerwono kontury flakonika. Nagle zrozumiał wszystko, czego dawniej pojąć nie mógł. Wiarołomstwo trwało już od szeregu miesięcy. Przypomniawszy sobie owe szelesty kobiecych spódnic po korytarzu, stąpanie bosych nóg w nocy. Tak, to żona jego tu chodziła, tutaj spędzała noce.

Upadł na stołek naprzeciw łóżka i siedział zgnębiony długą chwilę. Szmer się rozległ, potem pukanie do drzwi i głos Hipolita.

— Panie dyrektorze!... Ach, pan dyrektor zamknął się!

— Cóż tam znowu? — spytał.

— Zdaje się, że sprawa nagła. Robotnicy niszczą wszystko. Jest dwu nowych posłańców. I depesze też nadeszły.

— Daj mi spokój! Idę zaraz!

Zdrętwiał na myśl, że Hipolit, sprząając rano, mógł znaleźć flakonik. Zresztą prawda. Służący musiał wiedzieć. Ze dwadzieścia już razy pewnie słał łóżko gorące jeszcze od uścisków, znalazł pewnie włosy kobiece na poduszkach, ślady na prześcieradle. Może przeszkadzał mu teraz ze złośliwości. Może nieraz zabawiał się podsłuchiowaniem pod drzwiami, delektując się wybrykami swej pani!

Nie ruszał się, patrzył na łóżko. Długa historia cierpień przemknęła mu w pamięci. Małżeństwo, potem nieporozumienia, zerwanie, kochankowie żony, o których nie wiedział, i ten kochanek, którego tolerował przez całe dziesięć lat. Dalej przyjazd do Montsou, nadzieje uleczenia, spodziewany wpływ zmiany otoczenia, wiek, który, jak mu się zdawało, położył wszystkiemu koniec. Wreszcie przyjazd Pawła, któremu chciała być matką. Jej opowiadania o sercu zmarłym, przysutym popiołem. A on, ślepy mąż, nie widzący, że żona jego!... Ubóstwiał ją z namiętności, której się wstydził. Byłby padł na kolana, gdyby chciała mu oddać jeszcze te resztki po innych. A oto te resztki ona dawała temu chłopcu.

Drgnął na odgłos dzwonka, którym kazał zawsze oznajmiać przybycie listonosza. Wstał i począł głośno wyrzucać z piersi słowa dławiące go w gardle.

— A, do licha z waszymi depeszami! Niech was biorą diabli!

Szał go ogarnął, szął rozpacz. Dom jego był więc plugawą kloaką, żona heterą! Do obłędu doprowadzała go myśl, że z taką dobrocią, z taką słodyczą zajęła się małżeństwem Pawła z Cecylką. A więc nie miłość nawet popychała ją do występku, nie czuła zazdrości! Była to przewrotna zabawka, przyzwyczajenie obrzydliwe, smakoszostwo. Całą winę jej przypisywał. Paweł był jedynie narzędziem jej zbudzonego na nowo w późnym wieku apetytu, zielonym jabłkiem, które skradła po drodze i wbiła weń zęby. Kogóż obdarzy swymi względami, gdy zbraknie jej tego siostrzeńca tak mało skrupulatnego, który przywłaszczył sobie mieszkanie, jedzenie i żonę wuja.

Szelest u drzwi rozległ się znowu. Hipolit mówił przez dziurkę od klucza.

— Panie dyrektorze... są listy! Przyszedł też pan Dansaert. Zaszedł wypadek zabójstwa.

— Do stu tysięcy diabłów, daj mi spokój! Idę zaraz!

Cóż miał uczynić? Czy wygnać ich jak psy wściekłe, gdy wrócą? Czy wziąć kija i krzyk-

Zdrada, Mąż

nać, by sobie szli gdzie indziej ze swą plugawą zabawką? Ta duszna woń pokoju, ciężkie powietrze, to ich oddechy, ich spazmy namiętne. Przenikliwy zapach piżma, który bił zawsze od jego żony, to dowód nowy jej przewrotnego, przytępionego węchu, wymagającego ostrych odurzających woni. Zmysłowość znamionowały porozstawiane naczynia, pełna miednica, porozrzucana odzież, meble tego pokoju. W bezsilnej złości rzucił się na łóżko i tłukł w nie pięściami, tam, gdzie dostrzegł odcisk kobiecego ciała. Ale puchowe poduszki i materace poddawały się miękko, bezwładnie jego uderzeniom, jakby wyczerpane całonocną orgią miłosną.

Wydało mu się, że Hipolit idzie znowu. Wstał zawstydzony. Stał chwilę zadyszany, ocierał pot z czoła. Serce jego poczęło tętnić wolniej. W lustrze widział swą pobladłą, zmienioną do niepoznania twarz. Potem, zmuszając się siłą woli do spokoju, zszedł na dół.

Czekało pięciu posłańców nie licząc Dansaerta. Wszyscy przynieśli niepokojące wieści o marszu strajkujących od kopalni do kopalni. Dansaert opowiadał szczegółowo, co zaszło w Mirou, jak Quandieu taktownym zachowaniem ocalił kopalnię. Pan Hennebeau słuchał, potrząsał głową, ale nie słyszał nic. Myśli jego były ciągle jeszcze tam na górze. Wreszcie odprawił posłańców, został sam i, usiadłszy przy biurku, wsparł głowę na rękach. Siedział tak, jakby spał. Wreszcie machinalnie wziął w rękę list rady nadzorczej. Czytał... nie rozumiał. Po chwili pojął, że ci panowie właściwie życzą sobie walki i krwi. Wprawdzie proszono, by sprawy nie zaostbrał, ale dawano do zrozumienia, że interwencja wojska zakończyłaby strajk, umożliwiając szybką represję. Ach, jeśli tylko chcą... i owszem, pomyślał i bez namysłu pchnął depeszę do Lille do prefekta do komendy w Douai, do Marchiennes po żandarmów. Na rękę mu to było, mógł się zamknąć, wszystkim rozpowszechniając, że cierpi na reumatyzm. Całe popołudnie siedział przy biurku, o niczym nie myśląc, przebiegając tylko oczyma napływające listy i depesze. W ten sposób szedł za tłumem strajkujących z Madeleine do Crèvecoeur, stamtąd do Victoire, z Victoire do Gaston-Marie. Dowiedział się też o niepowodzeniach żandarmów i dragonów, którzy źle informowani ciągle odwracali się plecami od zagrożonych kopalń i ciągle przybywali albo za wcześniej, albo za późno. A niech tam wszyscy się wymordują wzajem. Cóż go to mogło obchodzić? Siedział z twarzą w rękach ukrytą, a z kuchni dochodził szczeł garnków gotującej obiad kucharki.

Już mrok począł zapadać, gdy nagle obudził go z głębokiej zadumy hałas jakiś. Zerwał się sądząc w pierwszej chwili, że wracają Négrel i żona jego. Ale tumult rósł z każdą chwilą i właśnie gdy wyrzwał przez okno, zahuczał potężny okrzyk z trzech tysięcy piersi:

— Chleba! Chleba! Chleba!

Strajkujący zalali Montsou i oblegli budynek dyrekcji. W tejże samej chwili żandarmi, przekonani, że tłum zamierza zniszczyć Voreux, ruszyli tam galopem.

W odległości dwu kilometrów od pierwszych domów Montsou, niedaleko skrzyżowania się gościńca z drogą do Vandame, pani Hennebeau i wszyscy wycieczkowicze mieli sposobność przyjrzenia się z bardzo bliska tłumowi strajkujących. Dzień im upłynął w Marchiennes bardzo przyjemnie. Po śniadaniu u dyrektora hut zwiedzono warsztaty, przypatrzono się wyrobowi szkła i już słońce zachodziło, gdy jechali z powrotem. Po drodze Cecylka zaproponowała, by napić się mleka w małym folwarczku, gdzie właśnie dojdą krowy.

Damy wysiadły, Négrel także zeskoczył z konia, a gospodyni zaskoczona tak wykwintną wizytą chciała nakryć stół obrusem. Ale Łucja i Janka chciały przypatrzeć się dojeniu, więc wszyscy udali się do stajni z garnuszkami w rękach. Śmiano się z tej idyllicznej i wszyscy grzęźli w słomie, wędrując przez boisko otwarte, przytykające do stajni.

Pani Hennebeau z miną macierzyńskiej pobłażliwości umoczyła usta w mleku, gdy nagle zaniepokoił ją hałas dochodzący od drogi.

— Cóż się stało? — spytała.

Stodoła i stajnia stały przy samej drodze, a do nich przypierała wozownia posiadająca wielką bramę. Dziewczęta wyjrzały i ze zdumieniem ujrzały po lewej stronie ogromną falę ludzi płynącą od Vandame z wielkim krzykiem.

— A do licha! — zawołał Négrel, wyrzawszy także. — Czyżby nasi krzykacze narzeczcie zamyślali o czymś na serio?

— To pewnie górnicy — rzekła gospodyni. Już drugi raz przechodzą tędy. Niech państwo się schowają lepiej. Z nimi nie ma żartów.

Wymawiała każde słowo z rozważą i badała, jakie wrażenie wywrze na gościach. Widząc, że pobledli z przerażenia, dodała szybko:

— To draby! To draby!

Négrel, widząc, że za późno wsiadać do powozu i uciekać do Montsou, rozkazał woźnicy szybko wjechać w podwórze i skryć powóz za stodołą. Sam uwiązał też swego konia, którego dotąd trzymał chłopiec. Gdy wrócił, zastał kobiety przerażone i wybierające się z gospodynią do jej mieszkania. Ale prosił, by zostały. Tu, zdaniem jego, daleko bezpiecznie. Nikt nie mógł się domyślić, że są tutaj w stajni. Brama nie domykała się, a przez szpary można było widzieć spory kawał drogi.

— Odwagi! — rzekł Négrel. — W każdym razie drogo sprzedamy życie.

Żart ten zwiększył jeszcze przerażenie kobiet. Krzyki wzmożyły się. Nic jeszcze widać nie było, ale czuło się, że nadciąga chmura brzemienna piorunami.

— Nie, nie chcę się patrzeć! — zawołała Cecylka i poszła zagrzebać się w słomie.

Pani Hennebeau błada siedziała pod ścianą i miotła wściekle spojrzenia na bramę, a Łucja i Janka mimo strachu wyglądały przez szpary, nie chcąc stracić żadnego szczegółu.

Burza nadciągnęła, rozległ się tupot nóg, od którego zdalo się, że drży ziemia, ukazał się biegnący na czele, dmący w róg Jeanlin.

— Ma pani flakonik z perfumami? — spytał Négrel pani Hennebeau. — Lud francuski wydziela odór niezbyt miły!

Mimo zasad republikańskich lubił drwić z *holoty*.

Ale dowcipy jego zgłuszył łomot nóg i ryki rozszalałego tłumu.

Ukazały się kobiety biegnące na przedzie. Było ich z tysiąc. Leciały jak furie z rozwianym włosom, okryte łachmanami, przez które przeglądało ciało nagie, ciało nędzarek zaludniających świat głodomorami. Niektóre niosły na rękach dzieci, podnosząc je w górę i wywijając nimi niby sztandarami smutku i zemsty. Inne, młodsze, z obnażonymi piersiami potrzasały kijami, a stare wiedźmy darły się i wyły jak wilki, aż im nabrzmiały grube żyły na piersiach. Za nimi pędziło przeszło dwa tysiące rozszalałych mężczyzn w tak zbitej masie, że nie można było odróżnić ani ich wypełzłych spodni, ani podartych w strzępy kaftanów. Była to jedna plama koloru ziemi. Oczy ich pały, usta były szeroko otwarte. Śpiewali, a raczej ryczeli Marsylianek bezdźwięcznymi, ochrypłymi głosami, a śpiew głużył łomot ciężkich sabotów po twardej ziemi.

Górą sterczał las sztab żelaznych, a pośród niego w powietrzu zawieszona niby sztandar rysowała się na tle jasnego nieba jedna jedyna siekiera, ponura i krwi łakoma jak brzeszczot gilotyny.

— Co za straszne twarze! — wyjąkała pani Hennebeau.

Négrel syknął przez zęby:

— To ciekawe, nie mogę rozpoznać ani jednego z nich! Skądże się wzięli tu ci robójnicy.

Wściekłość, głód kilkutygodniowy i znużenie zmieniły w istocie dobroduszne zazwyczaj twarze górników Montsou w paszczę dzikich zwierząt. W tej chwili zachodzące słońce rzuciło na białą równię snop czerwonych blasków. Wszystko spłynęło krwią, droga, lecące jak furie kobiety, mężczyźni, siekiera, wszystko zajaśniało purpurą.

— Cudny widok! — szepnęły Łucja i Janka półgłosem, tknięte malowniczością widowiska.

Ale przerażone cofnęły się zaraz ku pani Hennebeau wspartej o dzieczę. Na myśl, że któryś z pędzących drogą mógłby je dojrzeć w stodole... zdrętwiały. Śmierć była wówczas pewna. Négrel sam, choć zazwyczaj odważny, czuł, że blednie. Nie mógł się oprzeć drżeniu, choć się go wstydził, Cecylka zakopana w sianie leżała bez ruchu, a panny Deneulin odwracały głowy od strasznego widoku, choć oczy ich rwały się patrzeć.

Była to wizja rewolucji, która kiedyś niechybnie przyjdzie i zmiecie posiadających z powierzchni ziemi. Tak, nadejdzie na pewno czas, gdy lud zleje ulice ich krwią, podrzucać będzie w górę ściętymi ich głowami, grzęznąć w błocie rozbitych kas. Kobiety

Tłum

Rewolucja

tak będą wyły, mężczyźni tak błyskać zębami będą i pędzić w łachmanach z gromowym loskotem nóg. Dzika horda zatrutym oddechem świat zamieni w grób. Nie zostanie kamień na kamieniu z tego, co było. Pożary obejmą świat, a ludzkość zamieszka w lasach i na pogorzeliśkach miast obróconych w perzynę. W ciągu jednej nocy nędzarze wypiją wino i zgwałcą córki i żony posiadających. Nic nie zostanie, ani grosz zarobiony, ani tytuł pracą zdobyty... wszystko runie... a z popiołów, niby feniks, powstanie świat nowy.

Krzyk straszny zgłuszył słowa Marsylianki.

Łucja i Janka przypadły do mdlejącej niemal pani Hennebeau, a Négrel stanął przed nimi zasłaniając je swym ciałem. Czyż, myślał, dziś już w gruzach się ma rozlecieć społeczeństwo? Tłum przebiegł mimo i pojedynczo tylko biegli opóźnieni, a wśród nich Mouquette. Pozostała w tyle, wypatrując skrytych za firankami mieszcuchów. Gdy tylko którego ujrzała, nie mogąc mu plunąć w twarz, podkasywała się i raczyła ich tym, co uważała za szczyt pogardy. Niewątpliwie dostrzegła przez szpary skrytych w stodole, gdyż nagle podniosła spódnicę wraz z koszulą, obróciła się na pięcie i ukazała im swój olbrzymi, oświetlony krwawo promieniami słońca, nagi tyłek.

Gest był tak straszliwy, tak dziki, że nikomu na myśl nie przyszła nieprzyzwoitość tego postępk.

Tłum znikł na drodze do Montsou obsiadłej gęsto przez małe domki pomalowane jaskrawo. Powóz wyjechał znowu na drogę, ale furman wyraził przekonanie, że póki strajkujący są panami drogi do Montsou, pani i panienki nie mogą jechać bez narażenia na szwank swego życia. A jak na złość nie było innej drogi.

— Musimy przecież wrócić do domu, obiad czeka na nas — rzekła pani Hennebeau drżąc jeszcze ze strachu. — Ci oberwańcy wybrali sobie właśnie dzień, w którym mam gości. I takiej hołocie ma się świadczyć dobrodziejstwa?

Łucja i Janka usiłowały wykopać Cecylkę ze słomy. Broniła się, myśląc, że dzicy idą ciągle jeszcze, i powtarzała, że nie chce patrzeć na nich.

Wreszcie damy wsiały do powozu, Négrel dosiadł konia i wpadł na pomysł, by porwać drogą na Requillart.

— Jedź ostrożnie — rzekł do furmana — droga bardzo zła. Jeślibyś widział większe gromady robotników i nie mógł zjechać na drogę pod samym domem, to stań poza starą kopalnią, dojdziemy do domu pieszo i wejdziemy furtką ogrodową. Powóz i konie umieścisz potem gdziekolwiek, w jakiej szopie czy gospodzie.

Ruszyli. W dali widać było tłum zalewający Montsou.

Mieszkańców ogarnęła panika już na sam widok przelatujących ulicami dragonów i żandarmów. Obiegały straszne pogłoski. Mówiono o plakatach grożących mieszkańcom rozpruwaniem brzuchów. Nikt ich nie czytał, a jednak cytowano ustępy *dosłownie*. Notariusza zwłaszcza ogarnął wielki strach, gdyż dostał list anonimowy z doniesieniem, że w piwnicy pod jego domem znajduje się beczka prochu i wyleci w powietrze, jeśli nie stanie po stronie ludu.

Gregoire'owie, których wizyta przeciągnęła się skutkiem tego listu, uśmiechali się i tłumaczyli mu, że list jest dziełem żartownisia, który chciał mu napędzić strachu wobec zbliżającego się tłum robotników strajkujących. Nawet patrząc na wkraczający do miasta tłum, Gregoire'owie nie czuli żadnego niebezpieczeństwa. Byli pewni, że wszystko się dobrze skończy. Była dopiero piąta, więc czekali, aż droga się opróżni, by udać się do stojącego naprzeciwko budynku dyrekcyjnego, gdzie, jak mniemali, oczekuje ich już Cecylka. Ale nikt w Montsou nie podzielał ich zapatrywań. Biegano, szeptano, zamykano drzwi i okna. Maigrat naprzeciwko zasuwiał drzwi wielkimi sztabami żelaza, a drżał przy tym tak, że mała słabowita żona musiała mu pomagać zasuwając rygle.

Tłum obiegł budynek dyrekcyjny i z wszystkich piersi podniósł się okrzyk:

— Chleba! Chleba! Chleba!

Pan Hennebeau stał właśnie przy oknie, gdy Hipolit wszedł, by zamknąć okiennice, z obawy, że kamienie mogą potłuc szyby. Zamknął wszystkie na dole i poszedł na piętro. Niebawem dobiegł szelest spuszcanych żaluzji, skrzyp okiennic obracających się na zawiasach. Niestety nie można było zamknąć okna kuchni w suterenie, a właśnie ogień pod blachą musiał zaraz wpaść w oczy oblegającym.

Pan Hennebeau, chcąc się przypatrzeć zbiegowiskowi, poszedł na drugie piętro i mimo woli wszedł do pokoju Pawła. Stąd widać było całą drogę, aż do warsztatów Kompanii.

Stanął za firanką i patrzył. Ale pokój zajął na nowo jego myśli. Miednica była pusta i czysta, łóżko wystygło, prześcieradła porządnie złożone, kołdra bez jednego fałdu. Zaciekłość jego też zmieniła się w wielkie znużenie. Dusza jego, podobnie jak ten pokój, ostygła, znikł z niej brud tego ranka, wrócił mu spokój, był poważny, sztywny jak zawsze. I po cóż miał wywoływać skandal? Czyż co zmieniło się w tym domu? Żona jego miała jednego kochanka więcej i koniec. Faktu tego nie czyniło wiele dramatyczniejszym to, że wybrała go sobie spośród członków rodziny. To lepiej nawet może, przynajmniej ludzie nie będą paplali. Hennebeau poczuł wstydić się swej zacieklej zazdrości. Tolerował tamtego, będzie znośli i tego. Jakże śmieszny był wałęszać pięściami w łóżko! Trochę więcej pogardy dla tej kobiety i koniec. Gorycz zalała mu serce. Jakże bezcelowe było to wielkie długie cierpienie całego jego życia? Jakże upadła go ta miłość i to pożądanie kobiety okrywającej go hańbą. Nagle pod oknem zagrzmiął okrzyk:

— Chleba! Chleba! Chleba!

— Ot głupcy! — mruknął przez zęby.

Słuchał, jak go przezywano próżniakiem, żarłokiem, podłą świnia zapychającą się specjami, podczas gdy nędzarze giną z głodu. Kobiety spostrzegły kuchnię i na widok piekącego się bażanta wybuchły przekleństwami. A przekleństwu towarzyszył bezustanny okrzyk:

— Chleba! Chleba! Chleba!

— Ot głupcy! — powtórzył pan Hennebeau. — Czyż ja jestem szczęśliwy?

I ogarnął go gniew na tych ludzi nie znających jego cierpień. Chętnie podarowałby im swe wielkie dochody, gdyby mógł rozpocząć życie, jakie wiedli. Chętnie by posadził ich u stołu przy bażancie, a sam poszedł szukać miłosnych przygód z jakąś przesuwaczką, która by się mu cała oddała niepodzielnie. Dałby wszystko za życie wedle instynktu, wolne od tej męki, wyrzekłby się dla niego wykształcenia, wychowania, wszystkiego. Ot i teraz, zamiast męczyć się, będąc którymś z nich, dałby po prostu żonie w twarz i poszedł do sąsiadki na noc. Chętnie zgodziłby się na głód. Zawrót głowy spowodowany pustką żołądka zgłuszyłby ból serca. Ach tak, żyć jak bydlę, nie mieć nic, snuć się po polach... wszystko, byle nie cierpieć!

— Chleba! Chleba! Chleba! — zawrzało znowu.

Rozzłościł się i krzyknął.

— Chleba? Czyż to wystarczy, głupcy?

On wszak miał dość chleba, a upadł pod ciężarem życia. Na myśl o pustce, która go otaczała w tym pięknym, zasobnym, pełnym ludzi domu, ścisnęło mu się serce. I cóż z tego, że miał co jeść? Cóż za głupcem jest ten, który sądzi, że dostatek może dać szczęście. O, ci rewolucyoniści chcący zniszczyć świat stary, by w nowym każdemu wetknąć w rękę kromkę chleba z masłem, choćby postawili na swoim, nie będą w stanie usunąć ni jednego cierpienia, ni jednego rozetlić promienia radości w sercu zbolełym. O, nie w rozszerzeniu życia i jego namiętności leży szczęście, ale w wyrzeczeniu się ich. Najlepiej byłoby nie istnieć, lub istnieć jak drzewo, jak kamień, ziarno piasku, które deptane stopą przechodnia nie spłynie krwią.

Poczucie nieuleczalności jego bólu napełniło oczy jego łzami. Mrok zapadł, a równocześnie po ścianach i okiennicach poczęły bębnić kamienie. Bez gniewu już teraz, przejęty tylko bólem własnym, powtarzał przez łyż szepem.

— Ot głupcy... głupcy!

Ale z piersi kilkutyśięcznej masy głodomorów uparcie wydierał się zawsze ten sam dziki okrzyk:

— Chleba! Chleba! Chleba!

## VI

Doprowadzony do przytomności otrzymanym od Katarzyny policzkiem, Stefan stanął znowu na czele tłumu i donośnym głosem wykrzyknął, by ruszono do Montsou. Równocześnie głos jakiś wewnętrzny poczuł mu szeptać słowa rozwagi. Nie chciał uczynić tego wszystkiego, co się stało. To dziwne! Wyruszył przecież do Jean-Bart po to, by zapobiec nadużyciom, a oto potem brał udział w szeregu gwałtów, zagrzewał do nich nawet i w tej

jeszcze ostatniej chwili rzucił hasło udania się do Montsou, by dzień okropny zakończyć obleganiem budynku dyrekcyjnego.

Mimo tego głosu wewnętrznego zatrzymał tłum przed dyрекcją, choć w drodze miał zamiar iść ku warsztatom i zapobiec zdemolowaniu, na co sobie tłum ostrzył zęby. Teraz, gdy rozpoczęła się kanonada do domu, daremnie szukał oczyma, na co by mógł skierować zawiść tłumy, daremnie myślał nad jakimś mniej karygodnym wybrykiem. Wtem zawołał nań stający w progu kawiarni Tisson człowiek jakiś. Właścicielka zamknęła okiennice, drzwi jedynie były nieco uchylone.

— Hej, to ja! Chodź no tu!

Był to Rasseneur. Około trzydziestu ludzi z kolonii robotniczych, którzy pozostali rano w domu, przyszło tutaj po nowiny. Za zbliżeniem się tłumy wpadli tutaj, by się ukryć. Siedział tu przy stole Zachariasz, Filomena i Pierron z żoną. Ci dwoje odwrócili się od wchodzącego i ukryli twarze w dłoniach.

— Niemiły ci mój widok? — mówił Rasseneur do Stefana. — Aha, rozumiem to! A co, nie mówiłem, rozpoczynają się głupstwa. Krzyczcie o chleb do końca świata... dostaniecie tylko ołowi!

Stefan tymczasem odwrócił się od niego. Rzucił przez ramię tylko:

— Niemiły mi widok tchórzów, którzy z założonymi rękami przypatrują się, jak my narażamy życie.

— Więc masz zamiar spłądować dyrekcję? — spytał Rasseneur.

— Mam zamiar wytrwać do końca z towarzyszami, choćby przyszło umrzeć.

Zrozpaczony, gotów na wszystko, wmieszał się w tłum. Na drodze troje dzieci rzucało kamieniami. Kopnął każde po kolei i mruknął, że bicie szyb do niczego nie doprowadzi.

Bébert i Lidia uczyli się od Jeanlina używać procy. Każde ciskało kamień o zakład, które zrządzi większe spustoszenie. Lidia niezręcznym rzutem nabiła guza jednej z kobiet, a chłopcy śmiali się z tego, trzymając się za brzuchy. Poza nimi siedzieli obok siebie na ławce stary Mouque i Bonnemort. Nogi Bonnemorta ledwo zdołały dostawić go tutaj. Nie wiadomo nawet, czy go to wszystko interesowało, twarz jego bowiem miała obojętny, tępy wyraz, jak zawsze w dniach, kiedy nie mówił.

Nikt nie słuchał już Stefana. Kamienie padały gradem na dom, a on stał zrozpaczony pośród rozszalałych, których gniew budził się tak powoli, ale raz zbudzony nie znał granic. Tam, na południu zapalono się łatwiej, ale wyrządzano mniej szkód, tutaj krew ludu potrzebowała miesięcy, by się rozgrzać, ale potem szalała, aż do chwili, gdy wściekłość zwierzęca znużyła się własnym szaleń. Musiał przemocą wydzierać Levaque'owi siekierę, uspokajając Maheuów rzucających oburącz kamienie. Niepokoiły go zwłaszcza kobiety, Levaque, Mouquette i inne. Opanowała je żądza mordu. Zgrzytały zębami, ścisnęły pięści i szczekały jak suki smagane dzikimi słowami starej Brûlé, która je podniecała bez przestanku.

Nagle zapanował spokój. Zdumienie dokazało tego, czego dokonać nie mogły zaklęcia Stefana. Na ulicy pojawili się Gregoire'owie. Postanowili raz wreszcie udać się do państwa Hennebeau i kroczyli z minami ludzi przekonanych, że cała awantura to tylko żart zacych górników, których pokora i rezygnacja żywiła ich od stu lat. Strajkujący zgłupieli i zaprzestali rzucać kamieniami, z obawy, by nie trafić tego jegomościa i tej damy poważnej, którzy spadli jakby z nieba. Dali im spokojnie wejść do ogrodu, na schody i zadzwonić do zabarykadowanych drzwi. Właśnie wróciła też z urlopu pokojówka Rózia. Pochodziła z Montsou, znała wszystkich górników, uśmiechała się więc do nich. Uderzeniami pięści zmusiła Hipolita do otworzenia drzwi. Ostateczny był też czas na to, bo ledwo znikli Gregoire'owie, grad kamieni sygnął się na nowo. Tłum oprzytomniał i rozszalały jeszcze bardziej krzyczał:

— Śmierć mieszcuchom! Niech żyje republika socjalistyczna!

Rózia uśmiechała się dalej, idąc korytarzem. Rozśmieszyła ją przygoda i odezwała się do przerażonego służącego:

— O, oni nie mają nic złego na myśli! Znam ich!

Pan Gregoire spokojnie zawiesił kapelusz na wieszadłach. Potem pomógł żonie zdjąć gruby, sukienny płaszcz i rzekł:

— Oczywiście, robią głupstwa, krzyczą i na tym koniec. Wykrzyczą się i pójdą potem na kolację.

Zjawił się pan Hennebeau. Widział scenę z góry. Przyjął gości ze zwyczajną chłodną grzecznością i tylko bladłość twarzy świadczyła o łzach przelanych przed chwilą. Teraz był to już tylko urzędnik, dyrektor, świadomy swych obowiązków i swej odpowiedzialności.

— Panie nie wróciły jeszcze! — rzekł.

Gregoire'ów opuścił nagle spokój. Cecylki jeszcze nie było! Cóż się z nią stanie, jeśli te głupstwa potrważą czas jakiś?

— Miałem najszczerzą chęć rozpędzić tę hałastrę — dodał pan Hennebeau — ale niestety jestem sam i nie wiem nawet, w którą stronę wysłać służącego po żandarmów.

Pokojówka Rózia, która przysłuchiwała się, wtrąciła:

— O, oni nie mają na myśli nic złego!

Dyrektor potrząsnął głową. Zgiełk wzrastał ciągle, kamienie tłukły o okiennice.

— Różnie to można brać! — odparł. — Ktoś musiał w nich wmówić, że jesteśmy ich gnębielcami. Ja tymczasem mam odpowiedzialność za spokój... a to straszne! Wiem, że żandarmi od rana jeżdżą po wszystkich drogach, i właśnie ja tylko nie mam do dyspozycji ani jednego! Ale proszę państwa do salonu. Niemilo jest tutaj w tym zgiełku.

Wtem zjawiła się kucharka. Była zrozpaczona i oświadczyła, że nie może brać na siebie odpowiedzialności za obiad, gdyż dotąd nie przybył chłopiec od pasztetnika z Manchien-nes z obstalowanymi na czwartą pasztecikami w kruchym cieście. Niezawodnie po drodze napadli go ci rozbójnicy... splądrowali jego koszyk. Zdawało jej się, że paszteciki tłum wziął szturmem, a potem pożarł je i nasycił się. Na każdy sposób ulżyła sobie. Pan dyrektor wiedział teraz, jak sprawa stoi. Jej miłość własna była ocalona. Wolałaby bowiem raczej rzucić cały obiad do pieca, jak zepsuć go.

— Cierpliwości! Cierpliwości! — odparł. — Pasztetnik może się jeszcze zjawić.

Pan Hennebeau otworzył drzwi do salonu. Wtem ujrzał w mroku korytarza siedzącego na ławce człowieka.

— To ty, Maigrat? Cóż tam nowego?

Maigrat wstał. Błada, tłusta jego twarz wyrażała przestach wielki. Stracił pewność siebie i pokornie począł mówić, że przyszedł prosić pana dyrektora o pomoc przeciw rozbójnikom.

— Jakże dam pomoc? — odparł dyrektor. — Sam, jak widzisz, jestem zagrożony i nie mam obrony. Trzeba było zostać w domu i pilnować towarów.

— O, zasunąłem żelazne wrzeliadze i zostawiłem żonę.

Dyrektor nie mógł ukryć pogardy i zniecierpliwienia. Jak to, tę nędzną, wycieńczoną biciem istotę zostawił na obronę domu?

— Mówię ci raz jeszcze — rzekł — że nie mogę nic poradzić. Próbuje się sam bronić. Radzę, idź natychmiast do domu. Słyszysz? Znowu wołają o chleb?

Zgiełk wzrósł jeszcze i Maigratowi zdało się, że słyszy, jak go wołają po nazwisku. Wracać nie mógł, byliby go rozszarpali, a do rozpacz i szaleństwa doprowadzała go myśl, że splądrują sklep. Przyłożył twarz do szyby drzwi wejściowych, pokrytej kratą, i patrzył, a Gregoire'owie przeszli do salonu.

Pan Hennebeau siłił się na spokój, zabawiał gości, ale daremnie. Tak zabarykadowany, przed nastaniem wieczoru oświetlony pokój tętnił okrzykami tłumu, a wrzaski te i uderzenia kamieni, mimo że zgłuszone okiennicami i portierami, dolatywały tu przecież, tym groźniejsze nawet i bardziej niepokojące, że głuche, niewyraźne. Rozmowa obracała się ciągle dokoła tego rozruchu niespodzianego. Pan Hennebeau mówił, że nie przeczuwał nic podobnego, ludzie bowiem jego nic takiego nie przewidywali. Niewątpliwie ten przekłety Rasseneur jest wszystkiemu winien! Zresztą za chwilę przybędą żandarmi. Jest to zgoda niemożliwe, by go miano zostawić na pastwę tłumu. Gregoire'owie myśleli o córce. Co się stanie? A ona biedaczka taka łękliwa! Może jednak wobec niebezpieczeństwa panie zawróciły do Marchiennes. Oczekiwano jeszcze z kwadrans. Wrzask wzrastał ciągle, kamienie bębniły po okiennicach, pobyt w domu stał się męką nie do zniesienia. Pan Hennebeau podał już projekt, by wyjść, rozpędzić napastników i pójść na spotkanie powozu, gdy w tejże chwili wpadł Hipolit z krzykiem:

— Panie dyrektorze! Pani wróciła! Zabijają panią!

Powóz nie mógł przebyć napelnionej groźnymi grupami drogi z Requillart. Négrel wykonał drugi pomysł, przebyto więc pieszo przestrzeń stumetrową, dzielącą ich od budynku dyrekcyjnego. Miano zapukać do bocznej furtki ogrodowej. Pewnie ogrodnik lub który inny usłyszy i otworzy. Zrazu wszystko szło dobrze. Zapukano do furtki, ale nagle kilka kobiet spostrzegło przybyłych i wpadło w uliczkę. Sprawa poczęła się psuć. Nikt nie otwierał, Négrel nie mógł mimo wysiłków drzwi wyważyć, a tłum dokoła nich wzrastał z każdą chwilą. Négrel bał się, że ich tu otoczą, a więc powziął myśl desperacką przejścia środkiem oblegających do drzwi frontowych. Popychał przed sobą damy. Ale powstał ścisk, bo zewsząd poczał napierać tłum, gapiąc się na te postrojone panie, ugrzęzłe w tłumie. Zamęt powstał taki, że stało się coś, czego sami biorący udział w zajściu pojąć nie mogli. Łucja, Janka i pani Hennebeau dotarły do drzwi półotwartych przez Rózię i wśliznęły się do środka. Za nimi wszedł Négrel i zaryglował drzwi, pewny, że widział Cecylkę wchodzącą nasamprzód. Ale nie było jej. Zginęła po drodze. Tak się przeraziła, że obróciła się tyłem do drzwi i rzuciła potem w sam tłum.

Na widok bezbronnej ofiary powstał krzyk.

— Niech żyje republika socjalistyczna! Śmierć mieszcuchom!

Niektórzy uważali dziewczynę za panią Hennebeau, inni za jej przyjaciółkę. Nie poznano Cecylki, gdyż miała woalkę na twarzy. Ale nie szło o to, kim była, wściekłość tłumy wznicił widok jej sukni jedwabnej, futra, białych piór na kapeluszu, zapach perfum, bijący od niej, zegarka, białej cery i delikatnych rąk próżniaczki, która nie tknęła się nigdy węgla.

— Czekaj! — wrzeszczała Brûlé. — Przypniemy ci gdzieś twoje koronki!

— Nam skradła to wszystko, lajdaczka! — wołała Levaque. — Patrzcie ubiera się to w futra, gdy my giniemy nieledwie z zimna. Rozbierzmy ją do naga i dajmy jej nauczkę? Nadbiegła Mouquette.

— Tak! — zawołała. — Trzeba ją osmagać!

Wyciągnęły się dłonie. Każda z nędzarek chciała dostać część toalety Cecylki. O, pewnie naga nie będzie ładniejsza od innych. Mówią, że często bogaczki jedwabiami zakrywają zgniliznę. Dość niesprawiedliwości! Teraz te damy, które płacą po pięćdziesiąt sous za upranie spódnicy, będą musiały ubierać się jak robotnice!

Cecylka drżała ze strachu. Nogi jej jakby w ziemię wrosły. Nie ruszała się, powtarzając jedynie w kółko:

— Proszę was, panie! Nie róbcie mi nic złego! Proszę was, panie!

Nagle wydała chrypliwy okrzyk. Szyję jej objęły ręce. Uczynił to stary Bonnemort, którego tłum zbliżył do Cecylki. Chwycił ją za gardło.

Głód i półwiekowa uległość uczyniły go wpół idiotą. Jakaż moc wyrwała go z tego odrętwienia i kazała zostać mścicielem? Sam nie umiałby objaśnić ten starzec, który dla ratowania towarzyszy pracy narażał wiele razy swe życie. Działał pod przymusem jakimś. Fascynowała go biała szyja dziewczyny. Bez słowa wbił pazury w jej ciało jak chora bestia jakaś, którą nawiedziło wspomnienie własnej mocy.

— Nie, nie! — wołały kobiety. — Rozebrać do naga! Rozebrać!

Négrel i pan Hennebeau, spostrzegłszy się, otworzyli drzwi i mężnie usiłowali przyjść Cecylce z pomocą. Ale tłum przyparł ich do kraty ogrodowej i ruszyć się nie mogli. Walczono, a przerażeni Gregoire'owie ukazali się na ganku.

— Puść ją, stary! — krzyknęła Maheude. — To panna z Piolaine!

Poznała Cecylkę, gdyż zdarto jej woalkę z twarzy.

I Stefan zrozpaczony był, że tłum mścić się chce na tym dziecku. Wysilał się, by odwrócić uwagę od ofiary. Nagle błysła mu myśl, podniósł w górę siekiere Levaque'a i krzyknął:

— Do Maigrata! Do Maigrata! Tam chleba dość! Do Maigrata!

Szybko poczał rąbać drzwi sklepu. Znaczna część tłumy poszła za nim, a pośród innych Levaque i Maheu.

Ale kobiety nie odstąpiły swej ofiary, która z rąk Bonnemorta przeszła teraz w ręce starej Brûlé. Na czworakach Bébert, Lidia i Jeanlin wpełzli jej pod spódnice, by zbadać, czy dama jest tak samo zbudowana jak robotnica. Poczęto ją szarpać, suknie trzeszczały

Rewolucja

już, gdy nagle zjawił się jeździec, wbił konia w tłum i walił szpicrutą tych, którzy nie dość szybko się rozstępowali.

— A kanalie! Rzucacie się więc także na nasze córki!

Był to Deneulin, przybywał na obiad proszony. Szybko zeskoczył z konia, objął Cecylkę ramieniem, a drugą ręką kierował koniem, posługując się nim niby klinem. Zwierzę poczęło wierzgać, a zwarta masa oblegających cofnęła się na przyzwoitą odległość. U bramki ogrodowej ponowiła się walka, ale przeszedł, gniotąc kilka ramion, nabijając parę sińców. Ta niespodziana pomoc uwolniła pana Hennebeau i Négrela, walczących na pięści z rozżartymi robotnikami. Négrel wziął na ręce omdlałą, a Deneulin zakrywał dyrektora potężnymi barkami. Gdy znikali w drzwiach, trafił go w ramię kamień.

— Dobrze, rozbijcie mi ramię, gdyście już porozbijali maszyny!

Zatrzasnął drzwi. Posypał się na nie grad kamieni.

— Cóż za wariaty. Minuta spóźnienia, a byłiby mi strzaskali czaszkę jak wydrażoną dynię! Nie ma z nimi co mówić. Powariowali. Strzelać, to jedyna rada.

W salonie Gregoire'owie płakali nad Cecylką, choć przyszła do siebie i nie poniosła żadnego szwanku. Przewrzenie ich wzrosło jeszcze bardziej, gdy weszła ich kucharka, Melania, i doniosła, że robotnicy zdemolowali Piolaine. Nie dostrzeżono jej, gdy wśród największego ścisku przedostała się tu i wśliznęła przez na pół uchylone drzwi. W jej wyobraźni kamień Jeanlina, który stłukł jedną szybę, zmienił się w kanonadę, która podziurawiła mury. Poglądy pana Gregoire'a uległy wstrząśnieniu. Chciano rozszarpać jego córkę, zburzono dom! Więc w istocie robotnicy mieli mu za złe, że żyje z ich pracy, jak przystało na porządnego człowieka?

Pokojówka przyniosła serwetę zmaczaną w wodzie kolońskiej i odezwała się:

— Robią głupstwa, ale nie mają nic złego na myśli.

Pani Hennebeau była bardzo blada, nie mogła dotąd przyjść do siebie i dopiero gdy poczęto winszować Négrelowi męstwa, uśmiechnęła się swobodniej. Małżeństwo było sprawą postanowioną. Pan Hennebeau spoglądał to na żonę, to na młodego człowieka, którego chciał zabić dziś rano, to znów na dziewczynę, która go od niego uwolni. Nie śpieszno mu do tego było! Bał się raczej, że po utracie kochanka żona stoczy się niżej jeszcze, może padnie w objęcia lokaja...

— A jakże wy się czujecie, dziewczęta? — spytał Deneulin córek. — Nie poturbowano was?

Bały się, ale zarazem uradowane były bardzo, że raz zdarzyło im się widzieć coś takiego. Śmiały się teraz z niebezpieczeństwa.

— Sapristi! — mówił dalej Deneulin. — Ładny to był dzień... ani słowa! Wiedzie co — moje panny córki? Jeśli chcecie mieć posagi, to musicie je sobie same zdobyć!... Ba, nie koniec na tym! Przygotujcie się na to, że będziecie musiały utrzymywać starego ojca!

Usiłował żartować, ale głos mu drżał. Dziewczęta rzuciły mu się na szyję. Łzy napęłniły jego oczy.

Pan Hennebeau posłyszał wyznanie i twarz mu pojaśniała, Vandame wpadnie w ręce Montsou! Oto nagroda za strajk, oto sposób uzyskania względów rady nadzorczej. Ilekroć trafiały go nieszczęścia życiowe, cofał się w swą skorupę urzędniczą i udziałem szczęścia swego mienił wtedy precyzyjne, gorliwe spełnianie rozkazów przełożonych.

Uspokojono się, w salonie jasno oświetlonym zapanowała cisza, słychać było jedynie niby ciosy siekiery rąbiącej drzewo. Cóż się więc stało z krzyczącymi? Kamienie nie tłukły już o okiennice. Zaciekawieni wyjrzeli wszyscy przez szyby ganku. Ale niewiele widać było, więc udano się na górę, by spojrzeć poprzez listwy żaluzji.

— O, widzisz pan tego szubrawca Rasseneura? Stoi w progu szynku naprzeciwno! — rzekł pan Hennebeau do Deneulina. — Wiedziałem, że jest wszystkiego sprężyną!

Ale nie był to Rasseneur, lecz Stefan, który rąbał drzwi sklepu Maigrata, wołając do górników, że mają wszelkie prawo odebrać złodziejowi te zapasy, szubrawcowi, który głodził ich na jedno skinienie Kompanii. Wszyscy odbiegli od budynku dyrekcyjnego i rzucili się na sklep. Ponowiły się okrzyki: Chleba! Chleba! Tam, za tymi drzwiami jest chleba dość. Głód ogarnął wszystkich. Nikt nie chciał czekać, czując, że za chwilę padnie omdlały na ziemię. Ścisk się zrobił taki, że Stefan nie mógł rąbać, bojąc się kogoś skaleczyć.

Maigrat z korytarza domu dyrektora wyniósł się do kuchni. Ale stąd nic nie widział, fantazja tylko malowała mu najokropniejsze obrazy napadu na jego magazyn. Wyszedł więc na podwórze, by skryć się za studnią. Ale posłyszał trzask drzwi własnych, wrzaski i powtarzane swe nazwisko. Więc to nie był sen? Nie widział, ale słyszał wszystko. Każdy cios siekiery czuł w sercu. Teraz pewnie puszcza deski! Jeszcze pięć minut i po wszystkim. Wyobraził sobie, co się stanie. Wpadną zbójce, wypróżnią szuflady, worki, wszystko wypiją i zjedzą, zniszczą sam nawet dom i nie zostawią mu nawet kija żebraczego, by z nim mógł chodzić od wsi do wsi. Nie mógł wytrzymać. Nie, raczej zginąć, jak dać się zrujnować. Przez szyby widocznego stąd okna swego domu widział twarz żony. Stała i czekała jak zawsze na ciosy, mające spaść na nią. Pod owym oknem stała komórka i można było po parkanie podwórza dyrekcyjnego dostać się na jej dach, a potem, po dachu i grzbiecie muru dojść aż do okna. Powziął myśl wrócenia tam, skąd oddalił się lekkomyślnie. Może czas jeszcze zabarykadować drzwi meblami? Przyszły mu na myśl bohaterskie sposoby obrony, płonąca nafta, gorący olej i inne. Chciwość walczyła w nim z tchórzostwem, aż jęczał. Wreszcie na odgłos silniejszego ciosu siekiery chciwość zwyciężyła. Tak, położy się wraz z żoną na workach z chlebem... nie ustąpi!

Za chwilę podniósł się okrzyk:

— Patrzcie! Patrzcie! Kot na dachu! Dalej w niego kamieniami!

Oblegający ujrzeni Maigrata na dachu komórki. Podniecony, mimo swej tuszy, prędko wydostał się na dach i pełzał po dachu i murze ku oknu. Ale przeprawa była trudna, brzuch mu zawadzał, więc ranił sobie ręce o cegły. Byłby się może mimo to wydrapał aż do góry, ale drżączka go napadła na myśl, że może zostać trafiony kamieniem. Nie widział tłumu pod sobą zwrócony doń grzbietem, ale słyszał krzyk:

— Kot! Dalej w niego kamieniem! Trzeba go strącić na dół!

Naraz stracił równowagę, stoczył się w dół jak kula, zrobił koziołka na rynnie, padł na mur, skośnie, tak że odrzucony ku ulicy spadł na nią, uderzając głową o kamień i zabił się na miejscu. Mózg wyprysnął, Maigrat nie żył. Spoza szyb nieruchoma patrzyła dalej żona jego.

Zrazu wszyscy zgłupieli, Stefanowi wypadła z rąk siekiera, Maheu, Levaque i inni zapomnieli o sklepie i patrzyli na mur, skąd ściekał cienki wężyk krwi. Krzyki umilkły, cisza głęboka zaległa ulicę, którą coraz bardziej zasnuwał mrok.

Ale niedługo krzyki wybuchły. Przyskoczyły do trupa kobiety rozszalałe widokiem krwi.

— Jest przecież sprawiedliwość! Nareszcie, sprośny wieprzu, przyszło ci na koniec!

Otoczyły ciepłe jeszcze zwłoki, śmiały się szyderczo, miotaly obelgi i kopały martwe ciało tego, który za życia wzbraniał się dać chleba, gdy były głodne.

— Winnam ci była sześćdziesiąt franków, złodzieju! — krzyczała rozwścieklona na równi z innymi Maheude. — Już ci śmierć za mnie zapłaciła! Nie odmówisz teraz kredytu! Ale czekaj, czekaj, teraz ja muszę cię jeszcze nakarmić!

Paznokciami wydarła trochę zmarzłej ziemi i wepchnęła mu jej garść przemocą w otwarte usta.

— Nażryj się! Nażryj się, nędzniku!

Szyderstwa i obelgi stawały się coraz to gwałtowniejsze, a umarły leżał cicho, wpatrzony otwartymi oczyma w pociemniałe niebo. Ziemia, której miał pełne usta, to był teraz chleb jego. Bronił chleba nędzaczom, teraz takim chlebem żywić się będzie. Niewiele szczęścia przyniosło głodzenie biedaków.

Kobiety jednak nie nasyciły jeszcze swej zemsty. Krążyły dokoła niego, jak żądne krwi wilczyce. Rozmyślały, jaką by zadać mu obelgę, w jaki sposób dać wyraz swemu gniewowi.

Naraz wrzasnęła Brûlé:

— Trzeba go wykastrować jak wałacha!

— Tak, tak! Za dużo nabroił łajdak!

Mouquette ściągnęła mu spodnie, a Brûlé i Levaque rozłożyły nogi, po czym Brûlé kościstymi rękami wiedźmy chwyciła genitalia. Objęła je ręką i szarpnęła, aż wygiął się jej suchy grzbiet i strzeliły stawy rąk. Ale miękkie organy oparły się. Musiała chwycić jeszcze raz i ciągnąć długo, mim wreszcie wydarła krwawy, kosmaty ochłap mięsa. Poczęła nim wywijać w powietrzu wydając okrzyki tryumfu.

— Mam! Mam!

Wrzaski powitały ohydny łup.

— Wieprzu sprośny! Nie będziesz teraz już zapładniał naszych dziewcząt!

— Tak... koniec! Już nie będziemy zmuszone nadstawiać ci, by dostać bochenek chleba!

— He... słyszysz! Winnam ci dwa franki, może chcesz... à conto? Jeśli masz ochotę, to zgoda!

Dowcipy rozweseliły bardzo kobiety. Pokazywały sobie krwawy ochłap, jak złe zwierzę, które im się dało we znaki, potwora złośliwego, którego teraz trzymały pokonanego w rękach. Pluły nań i powtarzały z dziką radością:

— Już nie może! Już nie może! Już nie jest mężczyzną! Można ścierwo cisnąć do ziemi, by tam zgniło.

Brulé zatknęła zdobycz na kij i niby z chorągwią poszła przodem, a za nią uformował się orszak wyjących wiedźm. Krople krwi ściekały po kiju, spoza szyb patrzyła bez ruchu żona Maigrata i w ostatnich przeblaskach zachodu zdawało się, iż się uśmiecha. Szyby zaszle parą widocznie zmieniły obraz jej twarzy. Chociaż uciemiężona, bita, zdradzana i wyzyskiwana co dnia, biedna kobieta w głębi serca mogła się też cieszyć widokiem śmierci tyrana.

Reszta tłumu spoglądała w niemym osłupieniu na zwierzęce kaleczenie zwłok. Ni Maheu, ni Stefan nie mieli siły przeszkodzić straszliwej zemście i tańcowi wiedźm. Z progu gospody Tisona wзираła błada z oburzenia twarz Rasseneura, zdumione twarze Zachariasza i Filomeny, obaj starzy poważnie potrząsali głowami, a Jeanlin trącał łokciem Béberta i zmuszał Lidię do patrzenia na ochłap wiszący na kiju. Kobiety zawróciły i korowodem przedelfowały popod oknami dyrekcji. Damy i panny patrzące poprzez żaluzję wyciągały szyje. Całej sceny nie widziały, gdyż przeszkadzał mur, a teraz ledwie widzieć mogły w mroku.

— Cóż te baby niosą na kiju? — spytała Cecylka, która odważyła się już patrzeć. Łucja i Janka oświadczyły, że musi to być skóra królika.

— Nie, nie — rzekła pani Hennebeau. — Splądrowali pewnie jatki, i niosą kawałek wieprzowiny.

W tej chwili zadrżała i umilkła. Pani Gregoire trąciła ją kolanem. Obie damy zdrętwiały, panny pobladły, nie pytały już i ściagały szeroko otwartymi oczyma krwawą wizję.

Stefan chwycił siekierę, ale niepodobna było rozbić sklepu. Trup zagradzał drogę. Wielu cofnęło się. Zemsta została nasycona. Wszyscy osmutnieli, Maheu stał ze spuszczoną głową, gdy nagle ktoś począł mu szeptać do ucha, by uciekał. Obejrzał się i zobaczył zadyszana, ubraną ciągle jeszcze w strój roboczy Katarzynę. Gwałtownym ruchem oddepchnął ją, nie chcąc słuchać, grożąc biciem. Spojrzała nań z rozpaczą, potem podbiegła do Stefana.

— Uciekaj, uciekaj — szepnęła. — Żandarmi idą!

Odpędzał ją też. Na jej widok przypomniał sobie otrzymany policzek. Ale nie poszła, wyrwała mu z rąk siekierę, porwała za ramię i pociągnęła za sobą.

— Mówię ci, że idą żandarmi! Słuchajże mnie! Chaval dał znać i prowadzi ich tutaj. Oburzyłam się i przybiegłam. Uciekaj! Nie chcę, by cię złapali!

I pociągnęła go za sobą w chwili, gdy w oddali rozległ się ciężki tętent pędzącego oddziału konnicy.

Zabrzmiął okrzyk:

— Żandarmi! Żandarmi!

Rzucono się do ucieczki z takim pośpiechem, że w dwie minuty droga była wolna i tak pusta, jakby przeszedł nią huragan. Na jasnym tle zmarzłej ziemi czarną plamą rysował się tylko trup Maigrata. Rasseneur, który sam jeden pozostał w gospodzie Tisona, oklaskiwał łatwe zwycięstwo siły zbrojnej, a mieszcuchy Montsou ocierali pot z czoł, drżeli na całym ciele, dzwonili zębami i za nic na świecie nie odważyliby się wyjść na ulicę. Noc otuliła czarną wielką równię, zajaśniały na niej w dali gwiazdy czerwonych pieców pierścieniowych i baterii koksowych.

Oddział mimo galopu sunął powoli i gdy zjawił się na mieście, nie można już było w ciemności rozróżnić żołnierzy. A za oddziałem, pod jego osłoną przybył nareszcie wózek pasztetnika. Zeskoczył zeń chłopiec i wyjął spokojnie zamówione pasztetniki.

Rewolucja

## CZĘŚĆ SZÓSTA

### I

Minęły pierwsze dwa tygodnie lutego. Mróz niezwykle silny nękał strajkujących. Władze zjechały do zagłębia. Zjawili się prefekt z Lille, sędzia śledczy i generał. Osądzono, że niedostateczną dla Montsou osłoną są żandarmi, odkomenderowano przeto cały pułk piechoty i rozkwaterowano go na przestrzeni od Beaugnies do Marchiennes. Teraz patrole strzegły kopalń, maszyny obstawiono żołnierzami, a budynek dyrekcyjny, warsztaty, a nawet i domy niektórych obywateli najeżone były bagnetami. Po bruku dudniły teraz kroki patroli. Na wale zsypana węglowego stał żołnierz z wzrokiem utkwionym w równię, drżąc od wichru dmącego tam bez ustanku. Co dwie godziny grzmiały słowa komendy.

— Kto idzie? Stój! Parol?

Nigdzie roboty nie podjęto, przeciwnie, strajk się rozszerzył i objął Mirou, Crèvecoeur i Madeleine. Feutry-Cantel i Victoire miały co dnia mniej robotników, a nawet nie tknięta dotąd na serio kopalnia Saint-Thomas traciła z każdym dniem ludzi. Potężde militarnej przeciwstawiono głuchy, zacięty opór. Kolonie robotnicze były jak wymarłe. Górnicy nie wychylali się z domów, czasem tylko któryś drwiąco spojrział z okna na *czzerwone pludry*<sup>38</sup>. Ponury spokój, bierny opór i nienawiść do przemocy pokrywała obłudna uległość podobna do karności dzikich zwierząt nie spuszcających z oczów pogromcy, gotowych rzucić się nań, gdy się tylko obróci plecami. Kompania, której groziła ruina, puściła wieść, że sprowadzi robotników z Belgii. Ale uczynić tego nie śmiała i dalej trwała walka. Robotnicy siedzieli cicho w domach, a opustoszałych kopalń strzegło wojsko.

Pozorny ten spokój nastał nagle, zaraz nazajutrz po strasznym zajściu z Maigratem, a dyrektor tak był przerażony, że nie odważył się ni słówkiem wspomnieć o wyrządzonych szkodach. Śledztwo wykazało, że Maigrat zginął spadłszy z dachu, okaleczenie zaś zwłok pozostało niewyjaśnione. Krążyły o tym tylko legendy. Podobnie jak Kompania o szkodach, i Gregoire'owie nie pisnęli ni słowa o napaści na Cecylkę, nie chcąc córki zaplątywać w długi, skandaliczny proces. Przyaresztowano jednak kilku ludzi, niemal niewinnych, głupców, którzy sami wpadli żołnierzom w ręce. Ale nie mogli dać żadnych zeznań. Przez pomyłkę aresztowano Pierrona i w kajdanach na rękach i nogach wędrował do Marchiennes. Puszczono go, ale górnicy naśmiali się z niego do syta. Omal nie spotkało to i Rasseneura, ale w końcu dyrekcja poprzestała na sporządzeniu listy ludzi do zwolnienia. Było ich sporo. Stracił miejsce Maheu, Levaque i trzydziestu czterech innych z ich kolonii. Najsurowsza kara spaść miała na Stefana, ale znikł, jakby się zapadł w ziemię, i dotąd nie odkryto jego śladu. Chaval go zadenuncjował, ale na prośby Katarzyny, chcącej ratować rodziców, nie wydał innych. Dni mijały, wszyscy czuli, że na tym nie koniec, i czekano z niepokojem, co dalej nastąpi.

Mieszczanie Montsou co nocy zrywali się po kilka razy z pościeli, zdawało im się bowiem, że dzwony biją na alarm i dławi ich dym prochu. Największym strachem przejął ich następca proboszcza Joire, chudy, płomiennooki ksiądz Ranvier. Niczym nie przypominał uśmiechniętego zawsze, dyskretnego księdza Joire, który żył z wszystkimi w zgodzie! Ośmielił się stanąć w obronie tych zbójów niepokojących cały okręg! Znalazł argumenty na uniewinnienie ohydnych zbrodni strajkujących i nawet zaatakował mieszczaństwo, uczynił je odpowiedzialnym za to. Twierdził, że pozbawiło Kościół wolności dawnych, zagarnęło i wypaczyło jego władzę, a ze świata uczyniło piekło niesprawiedliwości i cierpienia. Ono to, wedle niego, winno jest katastrofy i sprowadzi jeszcze dużo większe, przeciągając strunę i uciemniając, zamiast wrócić do tradycji pierwotnego chrystianizmu. Powążył się grozić bogaczom, powiedział, że jeśli będą dalej głusi na słowa boże i serca będą na nie mieć zatwardziałość, Bóg stanie po stronie nędzarzy i odda im dobra możliwych, ku większej chwale swego imienia i na znak dla niewiernych.

Pobożni drżeli, a notariusz oświadczył, że to gorsze niż socjalizm, że niebawem może ujrzą księdza Ranvier na czele bandy z krzyżem w ręku niszczącego społeczeństwo, jakie powołał do życia rok 1789.

Gdy doniesiono o tym panu Hennebeau, wzruszył ramionami i rzekł:

Ksiądz, Rewolucja

<sup>38</sup>*pludry* (daw.) — spodnie; *czzerwone pludry* — pogardliwe określenie żołnierzy; w XIX w. mundury wojskowe miały jeszcze jaskrawe kolory.

— To są brednie nieszkodliwe. Gdy się nam sprzykrzy, napiszę do biskupa.

Podczas gdy po całej równi panoszył się militarizm, Stefan mieszkał w głębi szachtu Requillart, w grocie Jeanlina. Skrył się tu, a nikomu na myśl nie przyszło, by tak bezczelnie pozostał na terytorium kopalni, i to zmyliło trop poszukiwań. Krzaki i zielska zasłaniały dostęp, zresztą nikt nie odważyłby się zejść na dół. By to uczynić, trzeba bowiem było wiedzieć, jak chwycić się korzeni drzew, jak rzucać się śmiało w głąb, by dostać do pierwszych niepołamanych szczebli, a wreszcie chroniło go jeszcze co innego, gorąco panujące w szachcie, głębokość stu dwudziestu metrów, trudność schodzenia i czołgania się na brzuchu ćwierć mili przez zgniecione naporem skał chodniki. A w ten tylko sposób dostać się było można do złodziejskiej kryjówki. Stefan żył w dostatku, znalazł tu bowiem resztkę ryby, jałowcówkę i inne zapasy. Łoże z siana było wyborne i nie czuł najłżejszego przeciągu w grocie, w której panowała ciepłota letniej łaźni. Jeanlin był jego dostawcą i dyskretny jak Indianin zacierał ręce na myśl figla, jaki spletał żandarmom. Stefan cierpiał jedynie na brak światła. Jeanlin przynosił wszystko, nawet pomadę, ale nie mógł jakoś przyłapać paczki świec.

Tymczasem świecił wyłącznie przy jedzeniu, nie mogąc po ciemku przełknąć ni jednego kęsa. Ta zupełna, jednostajna ciemność bez końca ciążyła mu niezmiernie. Zdawało mu się, że przygniata myśli jego. Żył teraz z kradzieży i dręczyło go to tak, że ograniczał się do rzeczy najkonieczniejszych. Ale cóż było robić? Żyć przecież musiał. I jeszcze gnębiło go wspomnienie owego szału pijackiego, gdy po wypiciu na czczo jałowcówki rzucić się chciał z nożem na Chawała. Niezmierny strach go opanował na myśl o tej odziedziczonej skłonności do mordu po przełknięciu kropli spirytusu. Czyż skończy jako morderca? Wyczerpany i przesycony gwałtami, przez pierwsze dwa dni leżał jak martwy i spał. Rozstrój nerwowy przeciągał się, był jak rozbity, bolała go głowa, w ustach czuł gorzkość jak po przepiciu. Doniósł Maheuom, gdzie jest, ale nie mogli mu posłać świecy, musiał więc jeść nawet po ciemku.

Po kilka godzin leżał wyciągnięty na sianie i przychodziły mu do głowy różne myśli, które w innych warunkach nigdy by nie powstały w jego mózgu. W miarę jak czytał, uczuwał co dnia wyższość nad innymi górnikami, a teraz po tym szalonym biegu od kopalni do kopalni poczuł do nich wstręt. Pytał się sam siebie, skąd się wzięło owo uczucie, i doszedł do wniosku, że zbudziła je w nim dzikość ich instynktów i uciech i wstrętny odór nędzy napędlający powietrze w koloniach. Zadrżał na myśl, że będzie zmuszony wrócić do nich. O, jakąż odrazę budziła ta czereda nędzarzy żyjących w brudzie! Ni słowa rozsądnego nie ma z kim zamienić, nic tylko głupota, odór cebuli i życie bydlęce! Pragnął teraz rozszerzyć ich światopogląd, skłonić ich do wykwinniejszego życia, wpoić im inne bardziej dystygnowane obejście, jednym słowem skalę ich życia zbliżyć do mieszczańskiej... uczynić ich panami. Ale jakże długiej pracy wymaga program taki! Nie czuł w sobie odwagi ni siły walczyć i oczekiwać zwycięstwa, żyjąc na galerach głodu. Z wolna przestał czuć się dumny z tego, że jest ich przywódcą, że za nich myśli i działa. To dziwne... Wydało mu się, że dusza jego z każdą godziną upodabnia się do dusz znieprawdzonych kapitalistów.

Pewnego dnia przyniósł mu Jeanlin świecę skradzioną z powozowej latarni i było mu to wielką ulgą. Gdy go zmora przysiadła, grożąc szaleństwem, zapalał świecę i to pomagało. Skąpił jej sobie bardziej jak chleba, była mu niezbędną do życia. Cisz dudniła mu w uszach. Nie było tu innych szmerów prócz drapania szczurów, trzasku starych belkowań i leciuchnego bardzo, ledwo dosłyszalnego skrzypu pajaków tkających sieć. Pytał się siebie ciągle, co inni mogą robić tam na powierzchni ziemi. Na myśl mu nie przyszło wypierać się ich, opuszczać. To byłaby podłość. Skrył się po to jedynie, by być wolnym, móc radzić i działać. Wśród tych marzeń rosła w nim i dojrzewała ambicja. Chciał porzucić pracę fizyczną, dążyć do czegoś wyższego jak Pluchart, pracować politycznie i dalej, jak z tego wynikało, mieć swój własny schludny pokój, gdyż praca umysłowa wymaga ciszy i spokoju.

W drugim tygodniu, upewniony przez Jeanlina, że żandarmi sądzą, iż uciekł do Belgii, odważył się opuścić swą kryjówkę. Chciał sobie zdać sprawę z sytuacji i przekonać się, czy należy wytrwać dalej w strajku. Z samego początku już uważał sprawę za straconą, teraz, gdy oprzytomniał po chwilowym upojeniu, poczuł dawne wątpliwości i pewny był, że Kompania nie ustąpi. Ale nie był w stanie przyznać się do tego, dręczony obawą nędzy, jaka teraz nastąpi, i odpowiedzialności, jaka nań spadnie. Duma jego poniosłaby klęskę,

a on sam wrócić by musiał do porażającej pracy w kopalni. Upadek strajku oznaczał koniec jego roli. Toteż nie okłamując się, usiłował rzetelnie odzyskać wiarę w powodzenie oporu, przywodząc sobie na myśl, że kapitał paść musi równocześnie z bohaterskim samobójstwem pracy.

W całej okolicy fabryki zamykano, bankructwa następowały po sobie bez przerwy i Stefan czuł tę ogólną ruinę, błędząc po polach nocą jak wilk, co się wychylił z kniei. Pod czarnym niebem stały martwe fabryki, trupy murszejące i rozpadające się w pył. Ucierpiały zwłaszcza cukrownie. Firmy Hoton i Fauvelles ogłosiły swą upadłość, w młynie parowym u Dutilleula stały maszyny od tygodnia, a dostarczająca kopalniom lin walcownia firmy Bleuze upadła zniszczona strajkiem. W kierunku Marchiennes było jeszcze gorzej. W hucie Gagebois pogaszono ognie, w fabryce ciesielskiej w Sonnevillie zredukowano produkcję, z trzech pieców fabryki kutych narzędzi żelaznych jeden tylko funkcjonował, a na całym horyzoncie nie tliła ni jedna bateria koksowa. Strajk w Montsou mający swe źródło w kryzysie przemysłowym zaostriżył go jeszcze i przyspieszył ruinę fabryk okolicznych. Do dawniejszych przyczyn kryzysu, to jest braku zamówień z Ameryki i braku kapitału przez nadmierne inwestycje pożartego, przyłączyła się jeszcze jedna... brak węgla... tego chleba codziennego maszyn... kopalnie go przestały dawać... więc mowy o produkcji być nie mogło. Kompania produkowała w nie objętych strajkiem kopalniach tak mało, że od grudnia nie miała kawałka węgla zapasowego. Jedno wywoływało drugie, klęski następowały co dnia, a katastrofa dosięgła miast pobliskich, jak Lille, Douai i Valenciennes, gdzie jeden po drugim uciekali bankierzy, podkopując byt wielu rodzin.

Stefan z rozkoszą wdychał wraz z lodowatym powietrzem nocy ów powiew nicości, a w sercu jego rozkwitała nadzieja, że nadejdzie dzień, kiedy świat stary legnie w gruzach, rozpadną się majątki i przeznaczenie skosi wszystko jak łan pszenicy. Najbardziej jednak ciekawiły go kopalnie Kompanii i w czarne noce zwiedzał jedną po drugiej, radując się bardzo, ilekroć posłyszał o nowej szkodzie. Im dłużej chodniki stały opuszczone, tym częściej następowały zgniecenia i zapadania się. I tak, ponad północną galerią Mirou ziemia tak się obniżyła, że na przestrzeni stu metrów zapadła się droga wiodąca do Joiselle. Kompania bez targowania się płaciła właścicielom za grunty, obawiając się, by nie dostały się do dzienników alarmujące wieści. Crevecoeur i Madeleine leżące w kruchych warstwach zasypywała ziemia z każdym dniem więcej, a nawet podobno w Victoire skały zgniotły w sztolni dwu nadzorców. Prócz tego, woda zalała zupełnie Feutry-Cantel, a w Saint-Thomas nowe stemplowanie okazało się tak słabe, że musiano obmurować główną galerię jezdnią, aby kiedyś przynajmniej móc rozpocząć akcję ratunkową. Wobec tego, każda niemal godzina kosztowała Kompanię sumy ogromne, a wartość denara Montsou, zwiększona stokrotnie, spadała i groziła zniknięciem zupełnym.

Na widok tyłu nieszczęść zbudziła się w duszy Stefana nadzieja. Sądził teraz, że trzeci miesiąc oporu unicestwiłby owego potwora — bożka skrytego w niedostępnym przybytku. Pomędzy dziennikami rządowymi a opozycyjnymi wrzała walka. Największe okropności opowiadano o Międzynarodówce, której cesarstwo zaczynało się obawiać, chociaż wcześniej ją popierało. Rada nadzorcza nie mogła już udawać głuchej, wysłała więc delegatów. Traktowali oni jednak całą sprawę z taką pobieżnością, że po trzech dniach, wyrażwszy swój żal, wrócili do Paryża i zdali relację, że sprawa stoi doskonale. Ale krążyły też i inne wieści. Doniesiono Stefanowi, że obojętność była obłudą, a delegaci Rady nadzorczej pracowali gorączkowo przez cały czas, nie wtajemniczając jednak nikogo. Stefanowi więc ich rychły wyjazd wydał się sromotną ucieczką i pewny był zwycięstwa, mierząc tę pewność przypuszczalną trwogą delegatów.

Ale następnej nocy zwątpił znowu. Kompania miała tęgi kark i skrócić go było trudno. Mogła rzucić miliony i ściągnąć je potem z płac głodowych górników. Tej nocy zaszedł aż do Jean-Bart i dowiedział się, że była mowa o zakupie tej kopalni przez Kompanię. Deneulin podobno znajdował się w okropnych stosunkach, był chory, postarzał się, a córki walczyły z wierzycielami, by ocalić przynajmniej rzeczy najniezbędniejsze do życia. Mniejsza była nędza po koloniach, niż u tych mieszczan, gdzie kryć się musiano z tym, że pito wodę. Kopalnia stała, mimo bowiem szybkiego naprawienia wielkim kosztem pompy w Gaston-Marie, woda ją zalała. Deneulin wreszcie poprosił Gregoire'ów o pożyczkę 100.000, a odmowa, której zresztą był pewny, pograżyła go do reszty. Motywowali odmowę tym, że chcą mu oszczędzić walki z koniecznością i radzili sprzedać.

Wzbraniał się jeszcze. Do pasji go doprowadzało, że będzie musiał opłacić koszt strajku, i był pewny, że umrze tknięty paraliżem, w ataku wściekłości. Ale nie było rady. Musiał wysłuchać propozycji. Dręczono go, obniżano wartość znakomitego łupu, kopalni nowo urządzonej, wyposażonej we wszystkie maszyny i ulepszenia, dla eksploatacji której brakło mu jedynie kapitału obrotowego. Powinien być, jak mu mówiono, szczęśliwy, że zdoła zaspokoić wierzących, klócił się przez dwa dni z delegatami, do pasji doprowadzony ich zimnym okrucieństwem i wreszcie donośnym głosem wrzasnął: Nie!

Na tym się na razie skończyło i delegaci wrócili do Paryża, by przeczekać ostatnie podrygi Deneulina. Stefan rozumiał, że ta transakcja będzie nowym nieszczęściem dla górników Montsou i zamyślił się nad niezwykłą siłą wielkiego kapitału, który pasie się klęskami mniejszych, z ich trupów ciągnąc swe odżywcze soki.

Rano przyniósł mu Jeanlin dobrą wieść. W Voreux poczęto się obawiać, by nie runęło rusztowanie szachtu zjazdowego. Z wszystkich szczelin tryska woda i stu sprowadzonych cieśli pracuje nad naprawą dzień i noc.

Dotąd omijał Stefan Voreux, niepokoiła go bowiem sylwetka stojącego na nasypie żołnierza. Nie można było obejść patrolu, tkwił jak sztandar pułkowy widoczny z dala. Widział wszystko. Ale dziś noc była czarna, więc poszedł na kopalnię, gdzie towarzysze potwierdzili mu wieści, dodając, że pogniły też deski szalowania i praca ta zajmie ze trzy miesiące. Stefan krążył długo, nadsluchując uderzeń młotów ciesielskich dochodzących z szachtu. Rana ta cieszyła go. Już świtało, gdy wracał. Żołnierz zobaczył go niewątpliwie. Stefan począł rozmyślać nad owymi synami ludu, używanych przeciw ludowi. O jakże łatwy byłby tryumf rewolucji, gdyby armia przeszła na jej stronę. Wystarczyło, by obywatel w kasarni<sup>39</sup> przypomniał sobie swe pochodzenie. To napędlano najwyższą trwogą mieszcuchów. Na myśl tę zębami dzwonił. We dwie godziny runęłaby ich egzystencja pełna użycia, oparta na przemocy. Podobno całe już pułki są uświadomione socjalistycznie! Tak mówią, ale czy to prawda? Czy rozdzielone przez burżuazję naboje obrócić się przeciw niej? Stefan począł marzyć, jakby to było pięknie, gdyby stacjonujący tu pułk pierwszy oświadczył się za strajkującymi, wystrzelał właścicieli Kompanii i oddał kopalnię górnikom.

Żołnierz

Głowa mu zapłonęła i nim się opamiętał, począł wstępować na nasyp. I czemuż by nie mógł zaczepić tego wojaka, przekonać się, co myśli? Z niewinną miną, jakby miał tylko zamiar zbierać drobne kawałki węgla, zbliżył się do nieruchomego żołnierza.

— Hej, coś tam bracie... Psie powietrze... ha? Spadnie śnieg, myślę!

Żołnierz był niskim, szczupłym blondynem o twarzy piegowatej. Stefan widząc, jak niezdarnie otula się płaszczem, poznał w nim rekruta.

— I ja tak sądzę — odparł cicho.

Spojrzał jasnymi oczyma na szare już niebo, czarne i sine chmury leżące w dali na ziemi ciężko, jak łowiane.

— To dopiero rozum — ciągnął Stefan dalej — stawiać cię tam na górze, gdzie możesz na śmierć zamarznąć! Cóż to, czy mają nadejść kozacy?

Żołnierz drżał z zimna i milczał. Stała tam wprawdzie buda, do której się czasem w burzę krył Bonnemort, ale dano rozkaz, by nie opuszczać grzbietu nasypu, i żołnierz nie ruszył się, choć mu ręce tak zeszytywniały, że nie czuł karabinu. Należał on do oddziału sześćdziesięciu ludzi strzegących Voreux i często przychodziła nań kolej stać tu. Odmroził już nogi i był półmartwy, ale dyscyplina wymagała ślepego posłuszeństwa, stał więc, bąkając słowa odpowiedzi głosem zasnętego dziecka.

Daremnie wysilał się Stefan, by poznać jego przekonania polityczne. Odpowiadał tak... i... nie... bez śladu zrozumienia, o co idzie. Kamraci mówią, że kapitan jest republikanin, ale jemu to obojętne, nie ma żadnych przekonań. Gdy każą strzelać, będzie strzelać z obawy kary. Stefan zadrżał gniewem dziecka ludu, nienawiścią do tych ludzi, którym odmieniono serca.

— Jak ci na imię, bracie?

— Julian.

— Skąd jesteś?

— Z Plogof... tam!

<sup>39</sup>kasarnia (daw.) — koszary.

Wskazał ręką, sam nie wiedząc gdzie. Było to gdzieś w Bretanii, więcej nie wiedział. Ale na wspomnienie ożywił się, począł się śmiać.

— Mam matkę i siostrę. Czekają na mnie z utęsknieniem... Ale nieprędko jeszcze wrócę! Gdym odjeżdżał, odprowadziły mnie do Pont L'Abbé... Pożyczyliśmy konia od Lepalnea. Mało sobie nóg nie połamał na stoku Audierne. Kuzyn Karol traktował nas kielbaskami, ale płakaliśmy... nie mogliśmy przełknąć... O Boże... Boże miły! Jakże to daleko moja ojczyzna!

Łzy mu napływały do oczu, choć nie przestawał się uśmiechać. Płogof, cypel Razu szarpany falami, przedstawiał mu się w aureoli słońca w porze kwitnienia wrzosów.

— Powiedz mi — dodał — czy sądzisz, że dostanę w ciągu dwuletniej służby miesiąc urlopu, gdy się będę dobrze sprawiał?

Stefan począł też opowiadać o Prowansji, którą dzieckiem opuścił. Zatopili się we wspomnieniach i nie widzieli lecących z góry gęstych płatów śniegu. Naraz Stefan ujrzał, że Jeanlin skrada się i daje mu znaki. A prawda, pomyślał, i na cóż fraternizować się z żołnierzami, potrzeba by było długich lat, by ich przekonać. Pojął teraz sygnały Jeanlina. Miano zluźować posterunek. Szybko pożegnał się i podążył do Requillart, a serce tłukło mu się, jakby poniósł klęskę. Jeanlin biegł za nim i kłął na to bydłę-kaprała, który z daleka dawał żołnierzowi znaki, by strzelał do nich obu.

Julian stał na grzbiecie nasypu nieruchomy, wpatrzony w zawieję śnieżną. Zbliżył się sierżant, zamieniono regulaminowe wyrazy.

— Kto idzie? Stój! Parol!

Kroki z wolna oddaliły się. Zupełnie jak w kraju zdobytym. Mimo że dzień się zrobił jasny, kolonie były ciche, górnicy drzemali, zgrzytając tylko przez sen zębami, gdy ich doszedł odgłos kroków żołnierskich.

## II

Śnieg syjący od dwu dni padać przestał, mróz ścisnął mocny. Czarne drogi, pola, domy, drzewa były teraz białe. Wszystko aż do skraju horyzontu pokryła śnieżna płachta. Kolonia spała pod nią, z kominów nie wznosiło się ni jedno pasmo dymu. Nie było węgla, domy zimne były jak kamienie przydrożne, a śnieg na dachach nie tajał. Wyglądały jak kwadraty białego kamienia ciche, zamarłe i tylko po drogach tętniły kroki żołnierzy.

Maheuowie spalili dnia poprzedniego ostatnią garść węgla uzbieranych na wale, nie można było i myśleć o świeżych z powodu śniegu i mrozu. Ni wróbel ziarenka byłby nie znalazł w takich warunkach. Mimo to Alzira chciała iść wygrzebywać węgiel. Ale słaba była, więc matka otuliła ją w podartą kołdrę i czekała właśnie na doktora Vanderhaghena. Była u niego dwa razy. Nie zastała, dowiedziała się natomiast od służącej doktora, że przyjdzie wieczorem do kolonii. Chora uparła się zejść na dół do wielkiej izby, jakby lepiej jej tu było przy wystyglým piecu. Drżała siedząc na stołku naprzeciwko dziadka Bonnemorta. Gorzej mu znowu było na nogi. Zdawało się, że śpi. Henrysia ni Leonory nie było, Jeanlin ich wyciągnął z domu i pewnie gdzieś zebrali po drogach. Po zimnej izbie chodził milczący Maheu, spoglądając wzrokiem zwierzęcia ogłupiałego z głodu, nie widzącego już swej klatki. Nie było również nafty, ale odbłask śniegu mimo pomroku wieczoru pozwalał rozróżnić przedmioty w izbie.

Rozległ się stukot drewnianych sabotów, Levaque otworła drzwi i wrzasła zaraz z progu.

— Powiedziałaś, że biorę od mego lokatora dwadzieścia sous za każdą noc spędzoną ze mną?

Maheude wzruszyła ramionami.

— Daj mi spokój! Nic nie mówiłam! Któż ci powiedział?

— Powiedziano mi i basta! Powiedziałaś dalej, że słyszysz przez ścianę, jak robię świństwa i brud narasta w moim domu warstwami, gdyż ciągle leżę na grzbiecie. No, zaprzecz... co?

Co dnia przychodziło do awantur z powodu plotek. Rodziny sąsiadujące z sobą kłóciły się i godziły nieustannie. Zwłaszcza teraz podczas strajku głód i niedostatek zbudziły żądę sporów pomiędzy kobietami, a spory te kończyły się zazwyczaj bitką mężczyzn.

Niebawem wpadł Levaque, wiodąc za sobą za kark Bouteloupa.

— Oto jest nasz lokator! — zawołał. — Opowie nam, czy daje mojej żonie dwadzieścia sous za noc.

Bouteloup przerażony protestował, bąkając:

— O nie! Nigdy!

Levaque podsuwał Maheuowi pięść pod nos.

— Słuchaj, tego nie zniosę. Powinieneś swej żonie połamać kości! A może wierzysz temu, co mówi?

— Do stu diabłów! — mruknął Maheu zbudzony z zadumy. — Cóż to znowu za plotki? Czy nie dość ma każdy do roboty ze swą własną nędzą? Daj mi spokój albo stłukę cię na kwaśne jabłko! Któż to oczernił mą żonę? Kto mówił, że to powiedziała?

— Kto mówił? Pierronka!

Maheude wybuchła pogardliwym śmiechem i rzekła zwrócona do pani Levaque:

— A... Pierronka! Dobrze, powiem ci więc, co ona mówiła o tobie. Powiedziała, że śpisz zawsze z dwoma na raz. Jednym pod spodem, drugim na wierzchu!

Pokojowe załatwienie sporu było już niemożliwe. Wszystkich ogarnęła wściekłość. Levaque w zamian powiedziała, że słyszała od Pierronki, iż Maheuowie sprzedali Katarzynę i wszyscy teraz, nie wyłączając małców, mają pewną chorobę weneryczną, którą Stefan przyniósł z Wulkanu.

— Tak mówiła! — ryczał Maheu. — Dobrze! Idę do niej. A jeśli przekonam się, że tak powiedziała, wybije jej zęby!

Wybiegł z domu, Levaque'owie pośpieszyli za nim, by być świadkami rozprawy, a Bouteloup bojący się wszelkich awantur pośpiesznie skrył się w domu. Maheude podniecona chciała także wybiec, ale powstrzymał ją bolesny jęk Alziry. Otuliła ją szczerzej kołdrą i poczęła wyzierać oknem.

— Ach, ten doktor... kiedyż nareszcie przyjdzie?

Pod drzwiami Pierronów ujrzeli Maheu i Levaque'owie małą Lidię grzebiącą w śniegu. Dom był zamknięty, ale przez szczelinę w okiennicy błysnęło światło. Dziewczyna z zakłopotaniem odpowiadała na pytania o rodziców. Ojca nie było, poszedł do babki Brûlé do pralni po bieliznę. Na pytanie, co robi matka, zmieszała się i zamilkła. Ale na ustach jej pojawił się złośliwy uśmiech. Matka wyгнаła ją na dwór, bo przyszedł pan Dansaert.

Mówiła, że im przeszkadza. Dozorca obchodził tego ranka kolonie z dwoma żandarmami, werbując górników i strasząc trwożliwych tym, że jeśli w poniedziałek nie stawią się do roboty w Voreux, Kompania sprowadzi robotników z Belgii. Ze zmierzchem odprawili żandarmów, a wiedząc, że Pierronka sama, wstąpił, by wypić przy ciepłym piecu kieliszek jałowcówki.

— Cicho! — szepnęła Levaque z cynicznym uśmiechem. — Cicho... a może co zobaczymy... Potem rozprawimy się z nią. Odsuń się, mała.

Lidia odstąpiła parę kroków, a Levaque przyłożył oko do szczeliny w okiennicy. Stłumił okrzyk zdziwienia, całe jego ciało trzęsło się od śmiechu. Żona jego spojrzała też, ale odstąpiła, oświadczaając, że sprawia jej to obrzydzenie. Maheu, spojrzawszy z kolei, mruknął, że nareszcie czełek ma jakieś widowisko. I patrzyli znów kolejno, jak na komedię. Ładny, wygodny pokój był jasno oświetlony, na stole stały ciastka, flaszka wina i kieliszki jak podczas uczty weselnej. Dobrobyt ten, z którego drwiono przez sześć tygodni, rozwściekił mężczyzn. To, że pozwala sobie zadzierać spódnicę do góry aż na głowę, to tylko śmieszne, ale łajdactwem jest grzać się u ognia i napychać ciastkami i winem, gdy towarzysze nie mają okruszyny chleba ni garstki węgla.

— Ojciec idzie! — zawołała Lidia i znikła.

Od strony pralni szedł spokojnie Pierron z węzłkiem bielizny na plecach. Maheu rzucił się zaraz do niego.

— Odpowiadaj no! Podobno twoja żona śmiała twierdzić o nas, że sprzedaliśmy Katarzynę i zarażeni jesteśmy wszyscy... A cóż tam u ciebie... ha? Co ci płaci ten jegomość za to, że mnie spódnice twej żony?

Perron stał zmieszany, nie rozumiejąc, o co idzie, a żona jego przerażona dźwiękiem głosów straciła głowę, pobięła do drzwi i wyjrzała, by się przekonać o przyczynie hałasu. Ujrzała ją czerwoną, z rozpiętym kaftanikiem, spódnicą zmiętą, podniesioną i zaczepioną o pasek i Dansaerta w głębi przerażonego, wciągającego pośpiesznie spodnie. Dozorca

umknął struchlały, że wieść o tym dojdzie do uszu dyrektora. Pogoniły za nim wrzaski, śmiechy i pogróżki.

— Ha, ha, ha! — wrzeszczała do Pierronki pani Levaque. — Łatwo ci gadać o czystości u innych, moja droga. U ciebie może być czysto, skoro przełożeni godzą się szorować!

— I ty śmiesz mówić o mojej żonie — wrzeszczał Levaque — że śpi z dwoma mężami, jednym pod sobą, drugim na wierzchu? Tak... powiedziano mi, że tak mówiłaś!

Ale Pierronka odzyskała zimną krew i z pogardą słuchała oskarżeń, przeświadczona, że jest najpiękniejsza i najbogatsza ze wszystkich.

— Com mówiła, tom mówiła... dajcie mi spokój!... wy! Co cię obchodzą moje sprawy, bando zazdroszcząca! Kłuje was w oczy, że składam pieniądze? Wynoście się! Możecie pleść do jutra, a mąż mój wie, po co pan Dansaert był u nas dzisiaj.

Pierron rozłościł się także i począł bronić żony. Napastnicy zwrócili się teraz przeciw niemu, zowiąc go zaprzedańcem, szpiegiem, psem gończym Kompanii tuczącym się tłustymi kęsami, którymi opłaca dyrekcja jego łajdactwa. Bronił się. Twierdził, że Maheu wsunął mu w szparę drzwi papier, na którym była wyrysowana trupia główka, dwa piszczele i sztylet, i spór zakończył się bójką mężczyzn, jak zresztą kończyły się zawsze utarczki słowne kobiet, od kiedy głód wprowadził wszystkich w nerwowe podniecenie. Maheua i Levaque'a odrywać musiano od Pierrona. Gdy nadeszła Brulé wracająca z pralni, z nosa jej zięcia płynęła krew. Dowiedziawszy się, o co idzie, rzekła tylko:

— Ten wieprz sprośny ciągle robi mi wstyd!

Opustoszała znów ulica, a kolonia zapadła w ciszę śmiertelną, kurcząc się od głodu i zimna.

— Nie było doktora? — spytał Maheu, powróciwszy.

— Nie — odparła stojąca u okna Maheude.

— A dzieci wróciły?

— Nie.

Maheu począł znowu chodzić po izbie krokiem zwierzęcia oszołomionego uderzeniem w czaszkę, dziadek Bonnemort nawet nie podniósł przez cały czas głowy, a chora Alzira usiłowała nie drzeć, by matce nie zrobić przykrości. Mimo tych usiłowań jednakże szczękały jej głośno zęby i drżała kołdra od nerwowych ruchów drobnego ciała. Oczy utkwiała w powale, od której odbity poblask śniegu padał na izbę, rozświecając ją niby bladym, księżycowym światłem.

Toczono ostateczny bój z głodem, a огоłocony ze wszystkiego dom poddać się musiał. Po kołdrach poszły do handlarza starzyzną pokrowce z materaców, potem znikły prześcieradła i w ogóle wszystko, co mogło być sprzedane. Jednego wieczora sprzedano za dwa sous chustkę do nosa dziadka Bonnemort. Każdą rzecz oplakiwano, a najwięcej łez pociekło z oczu Maheudy, gdy dnia jednego zawinięte w fartuch wyniosła owo różowe pudełko, podarunek narzeczeński męża, kryjąc się z tym, jak gdyby wynosiła dziecko, by je komuś podrzucić. Nie mieli nic prócz własnej skóry, tak zniszczonej zresztą, że nikt by ni szeląga za nią nie dał. Nie zadawali sobie już nawet trudu szukania ratunku. Wiedzieli, że nie ma dla nich już nadziei ni na naftę do lampy, ni węgla trochę lub parę ziemniaków. Czekali śmierci, oburzała ich jedynie srogość losu, który dotknął Alzirę chorobą jeszcze przed śmiercią głodową.

— Idzie! Idzie! — zawołała Maheude.

Mignęła przed oknami czarna postać, drzwi się otwały. Nie był to jednak doktor Vanderhagen, ale nowy proboszcz, ksiądz Ranvier. Zdumiał się, znalazłszy dom pozbawiony światła, ciepła, jedzenia. Był już w trzech domach, jak Dansaert z żandarmami robotników, chodził werbować zwolenników. Od progu zaraz począł mówić dobitnym tonem sekciarza.

— Cemu, dzieci moje, nie byliście wczoraj w kościele, mimo że była niedziela? Jesteście w błędzie, Kościół jedynie może was uratować. Obiecujcie, że przyjdziecie w przyszłą niedzielę!

Maheu spojrzął na wchodzącego i dalej chodził ociężałym krokiem nie rzekłszy ni słowa. Maheude odpowiedziała proboszczowi.

— Do kościoła? I po cóż, księżu proboszczu? Pan Bóg widocznie drwi sobie z nas! Cóż mu zawiniła ta oto mała, że ją dotknął chorobą? Czyż nie dość już trapił nas głód? Spuścił na nią chorobę właśnie w czasie, gdy nie mogę jej dać filiżanki gorącej herbaty...

Stojąc wyprostowany pośrodku izby, począł mówić. Tłumaczył jak misjonarz dzikim ludziom, że strąk, straszna nędza i ta rozplamiona nienawiść do bogatych, to największy tryumf wiary. Oświadczył, że kościół stoi po stronie nędzarzy, że za jego sprawą niedługo odniesie tryumf sprawiedliwość i gniew boży spali na popiół bogaczy. Dzień pomsty nadchodzi. Bogacze samowolnie zajęli miejsce Boga na ziemi, a potem go się wyparli i niesprawiedliwie długo rządzą światem. Biedacy osiągną niewątpliwie należny im udział dóbr doczesnych, ale muszą się oddać w ręce kleru, skupić się dokoła księży, jak maluczcy i ubodzy po śmierci Chrystusa skupili się dokoła apostołów. Jakąż armię wówczas miałby pod swymi rozkazami papież i kler... czegoż by wówczas dokazać nie było można! W jednym tygodniu oczyszczono by świat ze złych, wygnano by bogaczy, poczęłoby się królestwo boże na ziemi, każdy by za pracę otrzymywał sutą zapłatę i zaświtaloby szczęście ludzkości na pracy oparte.

Maheude słuchała i zdawało jej się, że słucha Stefana, prorokującego rychły koniec nędzy. Ale *sukienka duchowna* nie budziła w niej zaufania, więc odparła:

— Wszystko to bardzo piękne, księżo proboszczu, ale ksiądz pewnie posprzeczał się z panami i dlatego tak mówi. Wszyscy tutejsi proboszczowie byli zapraszani do dyrektora i dlatego grozili nam piekłem, gdyśmy domagali się chleba.

Począł mówić znowu, żalił się na nieszczęsne nieporozumienie między Kościołem a ludem. Miotał od czasu do czasu w formie dyskretnych pocisków na miejskich księży, biskupów i wysoki kler, opływający w dostatki, obżarty bogactwami, stojący po stronie liberalnej burżuazji, i płakał nad zaślepieniem, które nie pozwala im dostrzec, że to właśnie klasy posiadające wydzierają im bogactwa i władzę. Zbawienie wyjdzie od księży wiejskich, którzy wraz z ludem powstaną i ugruntują królestwo Chrystusa na ziemi. Tak się zapalił, jakby już stał na czele tłumów, wyprostowany, stercząc wysoko ponad morze głów, a oczy tego rewolucjonisty ewangelii rzucały snopy iskier i w mroku izby błyszczały jak oczy kota. Coraz bardziej się unosił, słowa jego stały się niejasne, mistyczne, toteż biedacy go nie zrozumieli, a Maheu zniecierpliwiony począł wreszcie mruczeć:

— Po cóż marnować tyle słów? Mógł ksiądz przekonać nas łatwiej, przynosząc kawałek chleba.

— Przyjdźcie w niedzielę na mszę świętą — krzyknął proboszcz — Bóg nakarmi wszystkich, którzy łakną!

Wyszedł i wstąpił zaraz do Levaque'ów, by i im pałać kazanie. Tak był zaślepiiony i tak wierzył w bliski tryumf Kościoła, że lekceważąc stosunki bieżące, nie zwracając uwagi na to, że jałmużną mógłby być wiele dokazać, z próżnymi rękami biegł od kolonii do kolonii, przeciskając się przez szereg głodomorów. Sam nędzarzem będąc, upatrywał w cierpieniach najsilniejszą gwarancję zbawienia.

Maheu chodził ciągle tam i na powrót po izbie dudniącym krokiem.

Raz rozległo się tylko splunięcie Bonnemorta i potem słychać było już wyłącznie same te kroki. Alzira w gorączce mającyla ledwo dosłyszalnie, śmiała się, gdyż wydawało jej się, że jest ciepło i grzeje się na słońcu.

— Boże miłosierny — rzekła Maheude, dotknąwszy jej policzków. — Ma teraz znowu gorączkę. Jestem pewna, że ten łajdak nie przyjdzie! Pewnie mu zabronili przyjść.

Mówiła tak o lekarzu, mimo to jednak wykrzyknęła radośnie usłyszawszy, że drzwi się otwierają, ale wnet opadły jej ręce i straciła nadzieję.

— Dobry wieczór! — rzekł Stefan, przezornie zamknąwszy drzwi za sobą.

Przychodził często po kryjomu w nocy do Maheuów, którzy we trzy dni już, po scenach pod dyktando, wiedzieli, gdzie się ukrywa. Nie zdradzili tajemnicy i nikt nie wiedział na pewno, co się z nim stało. Krążyły natomiast legendy. Dotąd nie wygasła wiara w jego obietnice, więc opowiadano sobie tajemniczo, że wróci na czele armii z worami złota i ogłosi światu, że ziszczył się ideał, że wreszcie zbudowano miasto sprawiedliwości.

Jedni mówili, że widzieli go jadącego kareta z trzema panami w kierunku Marchiennes, inni zapewniali, że jest w Anglii, skąd wróci niebawem. Gdy nieobecność przeciągała się, poczęto tracić zaufanie, a dowcipnisie twierdzili, że siedzi w piwnicy, a Mouquette go grzeje. O stosunkach jego z dziewczyną dowiedziano się i to mu zaszkodziło. Z wolna poczęto odwracać się od niego i chociaż miał jeszcze zwolenników, rozpacz i niema bezsilność mrących z głodu musiała ciągle zwiększać liczbę niechętnych.

Ksiądz

— Co za psia pogoda! — rzekł Stefan. — I cóż u was słyhać... coraz to gorzej, jak widzę! Mówiono mi, że mały Négrel pojechał do Belgii po robotników. Jeśliby to było prawdą.... przepadliśmy!

Drżał przejęty chłodem tej izby ciemnej, w której domyślać się musiał nędzarzy, do których mówił. Ogarnął go wstręt do nich, jaki ogarnia zawsze ludzi, którzy wydarli się ze swego stanu, ludzi, których subtelniejszymi uczyniła praca myśli i ambitne plany na przyszłość. Co za nędza, co za fetor w tej izbie! przemknęło mu przez głowę. Ścisnęło go w gardle i ledwie rzucił okiem na chorą dziewczynkę, doznał takiego wstrząśnienia, że począł szukać słów, by mówić o podjęciu pracy.

Ale Maheu stanął przed nim i począł gwałtownie.

— Belgijscy robotnicy?... O, nie odważą się na to hultaje! Nie wezmą ich do roboty, gdyż wówczas zniszczylibyśmy kopalnię.

Zakłopotany Stefan tłumaczył, że to teraz niemożliwe, że pod osłoną strzegącego kopalni wojska Belgowie zjadą w dół z łatwością. To rozzłościło Maheua, ścisnął pięści i mówił, że nie cierpi czuć za plecami ostrza bagnetu. Więc robotnicy nie są już ludźmi wolnymi, zmusza się ich jak galerników do pracy postrachem nabitej broni. Nawykł do swej kopalni i bolał bardzo nad tym, że od dwu już miesięcy nie może pracować. To też myśl o tych obcych, którymi grożono, wydała mu się obelgą nową. Ścisnęło go też w gardle na myśl, że już mu zwrócono książkę robotniczą.

— Właściwie nie wiem — dodał — czemu się złościę. Pewne jest i tak, że nie należą już do całej sprawy. Oddali mi książkę... wygonią stąd i zdechną pod płotem. Taki będzie koniec wszystkiego.

— O, tym się nie trap — odparł Stefan — dobry robotnik to rzecz rzadka, wezmą na powrót twą książkę, gdy tylko zechcesz.

Zdumiał się, słysząc śmiech Alziry. W ciemności dostrzegł tylko sylwetkę Bonnemorta. Ta wesołość chorego dziecka przejęła go dreszczem. To już za wiele, jeśli dzieci z tego powodu też musiały umierać.

Drżącym głosem rzekł więc:

— Widzisz sam... tak dalej iść nie może... musimy kapitulować!

Maheude siedząca dotąd cicho porwała się z siedzenia i poczęła krzyczeć, jakby była mężczyzną:

— Co? To... ty to mówisz? A do stu tysięcy diabłów!...

Chciał przytoczyć powody, ale nie dała mu mówić.

— Nie powtarzaj tego... albo, mimo że jestem kobietą... dam ci w twarz! Przez dwa miesiące głodowaliśmy, wysprzedalam wszystko, dzieci mi się pochorowały... i to wszystko miało być daremne? niesprawiedliwość i wyzysk miałyby się rozpocząć na nowo? Gdy pomyślę o tym, krew we mnie kipi. Nie! Nie! Raczej podpalę dom i wyzabijam wszystkich, niżbym się miała poddać!

Dzikim gestem wskazała na męża:

— Słuchaj, gdyby mąż mój zgodził się wrócić do pracy, stanęłabym na środku drogi, wobec wszystkich napluła mu w twarz i powiedziała, że jest nikczemnikiem!

Stefan nie widział Maheudy w ciemności, ale bił od niej taki żar, jak od zwierzęcia dzikiego gotowego szarpać. Cofnął się więc zdumiony wściekłością, którą wywołał. Nie mógł poznać dawnej Maheudy wyrzucającej mu jego gwałtowność, nie życzącej nikomu śmierci. Teraz nie słuchała rozsądnych wyjaśnień i dowodów i chciała wszystkich dokoła mordować. Teraz nie on, ale ona politykowała, chciała zmieść z powierzchni ziemi burżuazję, chciała republiki i gilotyny, by świat oczyścić z bogaczy tuczających się krwawą pracą nędzarzy.

— Tak... — wołała — rozdzierałabym ich własnymi rękami! Dość nędzy, dość cierpień, na nas teraz kolej... wszak sam to mi mówiłeś! Gdy pomyślę o wszystkich minionych pokoleniach naszej rodziny, które żyły w nędzy z ich łaski, i moich dzieciach i wnukach, które dręczyć będą, szal mnie ogarnia i szukam noża! Głupstw tylko narobiliśmy przed paru tygodniami! Trzeba było zniszczyć całe Montsou, nie zostawić kamienia na kamieniu!... I wiesz co... wiesz, czego żałuję? Oto tego, żeśmy przeszkodzili dziadkowi, gdy chciał zadusić córkę tych łajdaków z Piolaine! Moje dzieci także giną z ich winy!

Słowa te padały w mroku niby ciosy siekiery. Niebo otworzyć się nie chciało biedakom, promienny ideał zmieniał w truciznę zakażającą ich mózgi.

— Nie zrozumieliście mnie — mógł wreszcie wtrącić zabierający się do odejścia Stefan — chciałem mówić o ugodzie z Kompanią. Wiem, że kopalnie ponoszą ogromne straty z powodu strajku i z pewnością uгода doszłaby do skutku.

— Nie, nic z tego! — krzyknęła.

W tej chwili wrócił Henryś i Lenora z próżnymi rękami. Jakiś pan dał Lenorze wprawdzie dwa sous, ale poczęła się bić z bratem i pieniądz upadł w śnieg. Jeanlin szukał też razem z nimi, ale nie znaleźli monety.

— A gdzie Jeanlin?

— Poszedł, mamó! Powiedział, że ma różne interesy do załatwienia.

Stefan słuchał, a serce mu się ścisnęło boleśnie. Niedawno jeszcze Maheude groziła, że pozabija dzieci, gdyby żebrać się ośmieliły, a teraz wysyłała je sama i mówiła, że wszyscy górnicy powinni iść na żebry raczej niż podjąć pracę.

Malcy wrócili głodni, chcieli jeść. Nie mogli pojąć, czemu nie dadzą im jeść. Płacząc, włóczyli się po izbie i potracali nogi umierającej siostry, która jęczała z cicha. Matka biła na oślep po ciemku, chcąc ich ukarać. Ale gdy płakali coraz to głośniejsze, zapłakała sama. Siadła na ziemi przy tapczanie, objęła Alzirę, dzieci przytuliły się do niej i wszyscy czworo płakali rzewnie i długo. Przez lzy Maheude powtarzała raz po raz:

— O! mój Boże, czemuż nie zabierzesz wszystkich? Weź nas z litości! Połóż kres nędzy!

Dziadek siedział nieruchomy jak stary, nieczuły na wiek pień drzewa, a Maheu, nie odwracając głowy, chodził po izbie jednostajnym krokiem.

Nagle drzwi się otwarły i wszedł doktor Vanderhaghen.

— Tam do licha! — rzekł. — Trochę światła nie zaszkodziłoby wam na oczy! Prędko... śpieszno mi!

Jak zawsze mruczał i dziś gniewnie znużony nadmierną pracą. Miał zapalki, więc Maheu świecił jedną po drugiej i przy tym świetle lekarz badał chorą. Wydobyte z kołdry wątłe dziecko wyglądało jak mały wróbelek zamierający na śniegu. Tylko wielki jej garb widać było, reszta nikła wobec niego. Nieprzytomna, wzrokiem umierającej wodziła dokoła i śmiała się cicho, a ręce założone na piersiach drgały nerwowo. Matka poczęła uskarżać się na los wydzierający jej to najinteligentniejsze dziecko i pomoc w gospodarstwie, ale przerwał jej lekarz gniewnie.

— Patrz! Umiera! Ten biedny malec umiera z głodu. O, nie ona jedna zresztą! Przed chwilą widziałem to samo w sąsiedztwie. I na cóż mnie wzywacie? Cóż ja wam mogę poradzić? Mięsa wam trzeba i na tym koniec!

Maheu puścił zapalkę parzącą mu palce i ciemność zapadła, otulając całunem ciepłe jeszcze zwłoki. Lekarz wybiegł szybko. Słysząc było już tylko łkanie Maheudy, powtarzającej w zapamiętaniu:

— O mój Boże! Czemuż nie zabierzesz nas wszystkich? Weź nas z litości. Połóż kres nędzy!

### III

Następnej niedzieli wieczorem siedział Souvarine samotny w gospodzie *Pod Nadzieją* z głową opartą o ścianę. Piwo nie szło wcale, nikt nie miał dwu sous na kufelek, więc pani Rasseneur tkwiła kwaśna, nieruchoma za bufetem, a Rasseneur, stojąc pod kominkiem zamysłony, wpatrywał się w żar węgla.

Nagle rozległy się trzy stuknięcia w szybę, a Souvarine podniósł głowę, rozpoznawszy sygnał, którym się posługiwał Stefan, ile razy chciał pogadać z nim. Nim jednak maszynista zdołał się ruszyć, Rasseneur otworzył drzwi i, ujrawszy postać oświetloną światłem izby, zawołał:

— Nie boisz się chyba, bym cię zdradził! Lepiej wam będzie pogadać w cieple.

Stefan wszedł. Pani Rasseneur ofiarowała mu uprzejmie kufelek, ale odmówił skinieniem ręki, a szynkarz mówił dalej.

— Od dawna wiem, gdzie się ukrywasz. Gdybym był szpiegiem, jak twierdzą twoi zwolennicy, już bym od dwu tygodni nasłał na ciebie żandarmów.

— Nie broń się! — odparł Stefan. — Wiem, że nie uprawiasz tego rzemiosła. Można mieć różne poglądy, a szanować się mimo to wzajem.

Zapanowała znowu cisza. Souvarine oparł znów głowę o mur i zapatrzył się w dym papierosa, a ręce jego szukały nerwowo po kolanach ciepłej sierści Pologne. Królicy dziś nie było. Brakowało mu czegoś, sam nie wiedział czego.

Stefan siedzący po drugiej stronie stołu począł nareszcie:

— A więc jutro rozpoczyna się na nowo praca w Voreux. Négrel przywiózł belgijskich górników.

— Tak, przywieziono ich nocą! — potakiwał stojący pośrodku izby Rasseneur. — Robotą się rozpocznie, notabene... jeśli nie przyjdzie do walki z Belgami.

Potem dodał podnosząc głos:

— Słuchaj, Stefanie! Kłócić się z tobą nie chcę, chcę ci tylko powiedzieć, że przewiduję nieszczęście, jeśli nie porzucicie bezcelowego oporu. Widzisz, sprawa wasza stoi podobnie lichy jak sprawa Międzynarodówki. Widziałem przedwczoraj w Lille Plucharta. Sprawa jego też źle stoi.

I szczegółowo począł opowiadać, jak Międzynarodówka zrazu pozyskała miliony robotników i rozkwitła żywiołową siłą, że burzuje dotąd drżną na jej wspomnienie. Ale niebawem stała się widownią wewnętrznych sporów, współzawodnictwa przywódców o znaczenie i rozpada się teraz obecnie na stronnictwa zwalczające się wzajem. Od czasu, gdy anarchiści wyparli z zarządu rewolucjonistów, wszystko rwie się, główny cel, reforma systemu płacy najemnej, przestał istnieć, sama zasada instytucji opartej o naukowe, ekonomiczne przesłanki ustąpiła miejsca mrzonkom, waśniom i pogardzie wszelkiej dyscypliny. Już dziś przewidzieć łatwo rozchwianie się całej sprawy i rozwiązanie olbrzymiego związku pracy, który niby huragan miał zdmuchnąć z powierzchni ziemi stare, zmurszałe, oparte na wyzysku społeczeństwo.

— Pluchart słaby jest ze zmartwienia — kończył — w dodatku ochrypl do reszty. Mimo to mówi dalej, a nawet jedzie do Paryża, by tam przemawiać. Powtórzył mi trzy razy, że nasz strajk jest przegraną stawką.

Stefan słuchał, nie przerywając, zapatrzony w ziemię. Wczoraj, w rozmowie z kilku towarzyszami zauważył gniew, niechęć ich względem siebie. Były to pierwsze zwiastuny utraty popularności i klęski. Nie chciał jednak przyznać się do porażki wobec człowieka, który mu przepowiedział swego czasu, iż tłum odwróci się od niego z pogardą i pomocą na nim zawiedzione nadzieje.

— Niewątpliwie — odparł — strajk przegrany, wiem to tak dobrze, jak i Pluchart. Ale byliśmy doń zmuszeni i z góry wiedzieliśmy, że w ten sposób Kompanii nie zmusimy do ustępstw. Pamiętać tylko należy, że ludzie zwykli upajać się nadzieją, zapominają o tym, co wiedzieli z początku, i niepowodzenie uważają za jakiś piorun spadły z jasnego nieba.

— Więc — rzekł Rasseneur — skoro uważasz strajk za przegrany, mam nadzieję, że zaczniesz agitować za podjęciem pracy, że zaczniesz nakłaniać ich do opamiętania się.

Stefan spojrział mu ostro w oczy.

— Dość mówiliśmy o tym... Różnimy się w poglądach. Wszedłem do ciebie, by ci dać dowód, że cię szanuję, ale nie zmieniłem zdania i twierdzę jak zawsze, że gdybyśmy pomarli z głodu, trupy nasze więcej przysłużą się sprawie ludowej, jak cała twoja polityka przezorności. Ach... gdyby któryś z tych przeklętych żołdaków wpakował mi kulę w piersi... jakież byłby to piękny koniec.

Oczy jego napęły lzy. Był to szczery, z głębi duszy wyrrywający się okrzyk zwyciężonego, ostatnie pożądanie ucieczki od wszystkich cierpień i bólów życia.

— Ślicznie powiedziałeś! — zawołała pani Rasseneur, spoglądając z pogardą na męża.

Souvarine zadumany siedział ciągle z głową o ścianę opartą. Zdawało się, iż nie słyszał, co mówiono, ręce jego tylko szukały czegoś nerwowo po kolanach. Dziewczęcą jego twarz i oczy rozświetliła łuna, niby poblask krwawych wizji płynących korowodem przez jego duszę. Począł mówić niby przez sen, odpowiadając na to, co Rasseneur rzekł o Międzynarodówce, na słowo jakieś, które mu przypadkiem utkwilo w mózgu.

— Nikczemnicy jesteście wszyscy i tchórze... Jeden jest tylko na świecie człowiek, dla którego Międzynarodówka byłaby straszliwym narzędziem zagłady. On ma wolę. Prócz niego nikt... I dlatego z rewolucji nic nie będzie.

Skarżył się na nienawiść ludzką i ciemnotę głosem przesyconym wzdargą, a obu słuchającym zdawało się, że mówi do nich ktoś śpiący lub szalony. W Rosji, mówił Souvarine, wszystko przepadło także, dostał wieści rozpaczliwe. Wszyscy jego towarzysze, owi nihiliści, przed którymi drżała Europa, stali się politykami najmniejszego rodzaju. Ci wszyscy synowie popów, kupców i mieszcuchów, niezdolni wznieść się ponad ideę narodowego wyzwolenia, pracowali teraz nad zbawieniem świata, wierząc, że nastąpi, gdy zgładzą jednego głupiego despotę. Z bólem czuł, że go nie rozumiał nikt, gdy mówił o zżęciu życia niby łań dojrzałego żyta, z troską widział, że wówczas zaliczali go wszyscy do rzędu dawnych rewolucjonistów międzynarodowych, o których się nikt nie troszczy.

Ze ściśniętym sercem powtarzał więc swoje ulubione:

— Głupstwo!... Głupstwa te nie wyzwolą nas nigdy z nędzy.

Mówił dalej coraz bardziej rozgoryczony o swym niedośnionym śnie braterstwa. Wyrzekł się swej pozycji społecznej i swej klasy w nadziei, że doczeka ugruntowania nowego, opartego na braterstwie i pracy społeczeństwa. I teraz, podczas strajku, dzielił się z nędzarzami ostatnim groszem, traktował ich jak przyjaciół, przewyciężył początkowe niedowierzanie i podbił w końcu swym spokojem i taktem. Ale cóż z tego? Mimo iż odrzucił precz od siebie wszystkie przesady klasowe, czuł, że nie zdoła żyć się z robotnikami. Dziś zwłaszcza rozgoryczyła go notatka, którą znalazł w dziennikach.

Zwrócił się wprost do Stefana, a oczy jego rozbłysły:

— Czytałeś o tych czeladnikach kapelusznich w Marsylii, którzy mieli los, a wygrawszy główną wygraną kupili zaraz za sto tysięcy obligacji renty państwowej i oświadczyli, że chcą żyć, nie pracując. Oto wasz ideał. Tak, wszyscy wy, francuscy robotnicy, marzycie tylko o tym, by trafić gdzieś na skarb, wykopać go, skryć się w myśią dziurę i tuczyć się łakociami. Pomstujecie na bogaczów, a samym wam brak poświęcenia, ofiarności i nie jesteście w stanie oddać na cele ogółu tej odrobiny złota, którą ślepy traf rzucił wami pod nogi. Godnymi szczęścia nie staniecie się dopóty, dopóki sami będziecie dążyli do posiadania, ożywieni jedynie żądzą zajęcia miejsca burżuazji, osiągnięcia jej synekur!

Rasseneur roześmiał się na myśl, że kapelusznicy marsylscy powinni byli wyrzec się swej wygranej. Wydało mu się to głupie. Ale Souvarine rozgorzał i ogarnięty fanatyzmem krzyknął:

— Padniecie i wy wraz z waszymi wrogami! Uczynimy z was i z nich jeden śmietnik, jedną kałużę błota i krwi! Zniknie również ze świata cała rasa ludzi żądnych użycia, żeru i próżniactwa! Patrzcie na moje ręce!... Gdybym miał w nich dość siły, chwyciłbym ziemię i rozdarłbym na kawałki!... Poszarpałbym jak zgniłe jabłko!... Zgładziłbym was wszystkich!

— Ślicznie powiedziałeś! — zawołała pani Rasseneur godząca się na wszystko, co było krwawe.

Zapadła znowu cisza. Po chwili Stefan napomknął znów o robotnikach belgijskich. Pytał Souvarina, jakie rozporządzenia wydano w Voreux. Ale maszynista zapadł znowu w zadumę, bąknął więc jedynie, że rozdano żołnierzom strzegącym kopalni ostre ładunki. Ręce jego tak biegały po kolanach, że wreszcie uświadomił sobie, że szukają tam miękkiej cieplej skóry Pologne.

— Gdzież się podziała Pologne? — spytał.

Szynkarz roześmiał się i spojrzał na żonę. Po chwili wahania odparła:

— Pologne? Jest w piekarniku.

Od czasu przygód swych w rękach Jeanlina biedna króliczka, której coś się stać musiało, wydawała na świat same nieżywe małe, by więc nie żywić darmożjada, Rasseneur zdecydował się podać ją dziś na obiad w sosie z ziemniakami.

— Sam zjadłeś dziś kawałek Pologne. Smakowała ci... prawda?

Souvarine zrazu nie mógł pojąć. Potem twarz jego ściągnął kurcz nerwowy i wbrew woli dwie wielkie łzy stoczyły mu się po policzkach.

Ale nie zauważono tego, gdyż w tej chwili rozwarły się gwałtownie drzwi i wszedł Chaval popychając przodem Katarzynę. Rozbijał się od paru godzin chełpliwie po wszystkich

Rewolucja, Idealista

Zwierzę

szynkach Montsou, aż naraz przyszło mu do głowy zejść do Rasseneura, by pokazać jemu i Souvarinowi, że się ich nie boi. Wszedł i rzekł do swej kochanki:

— Do stu diabłów, mówię ci, że wypijesz tu kufel piwa. Rozbiję łeb każdemu, kto na mnie spođe łba popatrzy!

Katarzyna, ujrawszy Stefana, zbladła śmiertelnie, Chaval roześmiał się szyderczo.

— Pani Rasseneur — zawołał — dwa kufelki! Oblewamy podjęcie pracy!

Bez słowa nałala im piwo jako szynkarka będąca zawsze na usługi gości. Nastala cisza, nikt się nie ruszył.

— Znam takich — począł arogancko Chaval — którzy mówią, że jestem szpiegiem. Czekam więc, by mi to powiedziano w oczy. Rozprawię się ze śmiałkiem!

Nikt siłę nie odezwał. Mężczyźni odwrócili głowy i spoglądali po ścianach.

— Są uczciwi robotnicy i gałgany leniacy się do pracy! — wykrzykiwał dalej Chaval. — Nie kryję się z tym, że porzuciłem Deneulina i jutro zjeżdżam do Voreux z dwunastu Belgami, których powierzono memu nadzorowi, co jest dowodem, że mnie dyrekcja ceni. Jeśli się to komuś nie podoba, to... pogadać możemy.

Gdy i na to wezwanie nie odpowiedziano, wpadł we wściekłość i krzyknął na Katarzynę:

— Czemu nie pijesz? Dalej, trąć się ze mną! Na pohybel łajdakom, co robią awantury zamiast pracować uczciwie.

Trąciła o jego kufel, a tak słabo, że szkło ledwo dźwiękło. Chaval wyjął z kieszeni garść srebrnej monety i z pijacką pychą rzucił pieniądze na stół, oświadczając, że to przynosi człowiekowi rzetelna praca, podczas gdy próżniaki nie mogliby pokazać nawet dwu sous. Zachowanie się dawnych towarzyszy jątrzyło go. Przeszedł więc do zaczepiek osobistych.

— A... więc po nocy wylażą z jam krety? Dziwna rzecz, że żandarmów nie ma nigdy tam, gdzie być powinni! Śpią, czy co?

Stefan spokojny, zdecydowany wstał:

— Cicho bądź! — rzekł. — Nudzisz mnie. Tak, wiedz zatem, że pieniądze twe cuchną jakąś podłą zdradą i wstręt mnie zbiera dotknąć ręką twarzy sprzedawczyka. Ale dość tego, chcę skończyć. Już dawno jeden z nas powinien był ustąpić drugiemu ze świata.

Chaval ścisnął pięści.

— Doskonale! A... podła jucho! Długo ci trzeba było pluć w twarz, nim ci się krew rozgrzała. Czekaj, zapłacisz mi teraz za łajdactwa, jakieście robili ze mną!

Katarzyna rzuciła się pomiędzy nich, ale nie potrzebowali jej odsuwać, odstąpiła sama po małej chwili, czując, że rozprawa jest nieunikniona. Stała oparta o ścianę tak poważna, że nie drżała nawet. Szeroko rozwartymi oczyma patrzyła na mężczyzn, którzy gotowali się do śmiertelnej walki... o nią.

Pani Rasseneur zabrała spokojnie kufle, by ich nie porozbijali, potem usiadła za bufetem, nie okazując nawet nietaktownego zainteresowania się rozprawą. Rasseneur tylko oświadczył, że nie można dopuścić, by dwaj dawni towarzysze zabijali się, i chciał interweniować. Souvarine odciągnął go jednak za ramię i rzekł:

— To nie twoja rzecz... jednego z nich za wiele. Silniejszy przeżyje.

Nie czekając ataku, Chaval machnął pięściami w powietrzu. Był wyższy, ale chudszy od przeciwnika. Mierzył w jego oczy i walił obu rękami niby szablami, gadając ustawicznie, by widzów olśnić swą odwagą. Ale obelgi miotane na Stefana rozjątrzały tylko jego samego.

— Tak, gnido! Rozwalę ci nos! Będziesz laził po świecie bez nosa! No, nadstaw łeb, zrobię z twej trąby pomyje dla świń! Zobaczymy, czy potem, ..... jakiś, będą za tobą latały dziewczki!

Milcząc, zacisnąwszy zęby, stanął niższy wzrostem Stefan w pozycji, osłaniając pięściami twarz i piersi. Zważał pilnie na każdy cios przeciwnika, parował szybko i ze straszliwą siłą.

Z początku nie robili sobie wielkiej krzywdy. Walka przeciągała się. Przewrócił się jedynie stółek i biały piasek podłogi zgrzytał pod ciężkimi trzewikami zapaśników. Wreszcie jednak poczęli dyszeć ciężko, a twarze ich oblała łuna wewnętrznego, błyskawicznego ognia płomienia wściekłości.

— Masz! zdychaj! — wrzasnął Chaval.

Istotnie zdradzieckim skrytobójczym ciosemomal że nie zmiażdżył ramienia Stefana. Stefan stłumił okrzyk bólu i odpowiedział potężnym prostym ciosem w piersi przeciwnika. Byłby je strzaskał, gdyby Chaval nie był uskokczył. Ale cios trafił go w bok, a był tak silny, że uderzony stracił na chwilę oddech. Rozwścieklony, czując, że ręce mu słabną, wierzgał jak koń, celując obcasem w brzuch Stefana.

— Masz w bebechy! Czas już, by wylazły na wierzch!

Stefan uniknął kopnięcia, ale rozwścieklony naruszeniem reguł walki krzyknął:

— Milcz, nikczemniku! Nie waż się kopać, bo wezmę stołek i łeb ci rozwalę.

Walka teraz zawrzała na serio. Rasseneur oburzony chciał znowu interweniować, ale powstrzymała go żona. Wszak obaj goście mieli prawo załatwić tu swe rachunki. Stanął więc tylko u kominka, by tam nie wpadli walczący. Souvarine najspokojniej skrzył sobie papierosa, zapomniawszy go tylko zapalić, a pod ścianą blada jak trup stała Katarzyna, szarpiać nerwowo obu rękami kaftanik na piersiach. Musiała całą siłą wstrzymać się, by nie krzyknąć, nie zabić jednego z walczących, wołając, że go woli. Z przerażenia nie wiedziała już zresztą, którego woli.

Chaval walczył już teraz ostatkiem sił, spotniały walił pięściami na oślep. Mimo wściekłości, Stefan ciągle parował ciosy, kilka jednak dosięgło go. Ucho miał naderwane, paznokcie Chavala zdarł mu kawałek skóry z karku i rana piekła go tak, że, zakławszy, palnął znów przeciwnika w piersi. Chaval uskokczył, ale pochylił się przy tym, cios więc trafił go w twarz, miażdżąc nos i wbijając jedno oko w jamę oczną. Krew mu się rzuciła nosem, a oko spuchło i zsiniało. Krew go oślepiła, oszołomiło wstrząśnienie czaszki, ale machał jeszcze rękami, aż wreszcie cios w piersi położył go na ziemi. Padł ciężko jak wór gipsu.

Stefan czekał.

— Wstawaj! Może jeszcze masz ochotę? Ha?

Chaval po chwili oszołomienia poruszył się. Z trudem dźwignął się na kolana, pochylił i jedną ręką począł czegoś szukać w kieszeni. Potem zerwał się i rzucił na Stefana ze skowytym wilka.

Katarzyna śledziła jego każdy ruch i w tej chwili z piersi jej mimo woli wydarł się okrzyk, który był zarazem wyznaniem na korzyść Stefana.

— Uważaj, on ma nóż!

Stefan zdążył ledwo pierwszy cios sparować ręką. Silne ostrze, oprawne w bukową rękojeść, rozcięło szeroko gruby wełniany trykot jego kaftana. Chwycił Chavala za przegub ręki, poczęli się mocować. Stefan wiedział, że zginie, jeśli puści, a Chaval szarpał się, chcąc uwolnić rękę do sztychu. Ostrze chwiała się w tę i w tę stronę, mięśnie ręki Chavala drętwiały powoli. Dwa razy czuł Stefan ostrze noża na skórze, musiał wyteńczyć wszystkie siły, ścisnął przegub tak strasznie, że palce rozwarły się, a nóż wypadł na ziemię.

Rzucili się nań obaj. Stefan chwycił go i podniósł w górę, waląc Chavala ciosem drugiej ręki na ziemię. Klęknął na leżącym i przyłożył mu ostrze do gardła.

— Tak, zdrajco nikczemny, zginiesz teraz!

Jakaś straszna żądza przysłoniła mu oczy, nagle nim owładnęło pożądanie krwi. Nigdy atak nie był tak silny, a przecież nie był pijany. Walczył ze złem odziedziczonym, jak z szalem erotycznym walczyłby morderca-psychopata. Przewyciężył się wreszcie, rzucił nóż poza siebie i rzekł ochrypłym głosem:

— Wstań! Idź precz!

Rasseneur znowu wziął się do interweniowania, nie bardzo jednak zbliżając się do zapaśników z obawy jakiegoś ukrytego może gdzie jeszcze noża. Przy tym niezadowolony, że rozprawa odbywa się u niego, począł się złościć. Żona uspokoiła go jednak zaraz uwagą, że zawsze krzyczy przed czasem. Souvarine, którego ledwo nie skaleczył w nogę rzucony przez Stefana nóż, zdecydował się wreszcie zapalić papierosa. Sprawa została więc zakończona? Katarzyna ogłupiałym spojrzeniem wodziła po obu zapaśnikach.

Więc obaj żyli?

— Idź! — rzekł Stefan — albo dobiję cię!

Chaval wstał. Wierzchem dłoni obtarł krew płynącą z nosa i z zakrwawioną twarzą, podbitym okiem wyszedł wściekły, że poniósł porażkę. Instynktownie ruszyła za nim Katarzyna. Ale u drzwi zwrócił się i rzucił jej w twarz garść obelg:

— O nie, nie! Jeśli jego wolisz, suko, to idź spać z nim! Tylko nie waż się pokazywać u mnie, bo połamię ci kości!

Walka

Zatrzasnął za sobą drzwi i wyszedł. Cisza zapadła znowu, słychać było tylko trzaskanie węgla w kominie, na ziemi leżało przewrócone krzesło, a w piasek podłogi wsiąkała krew Chavala.

#### IV

Katarzyna i Stefan, opuściwszy gospodę Rasseneura, szli w milczeniu obok siebie. Nastąpiła odwilż, zimna odwilż, która nie topiąc śniegu, położyła go tylko i zbrukała. Niebo było zasłane poszarpanymi chmurami, poza którymi tylko domyślać się można było księżyc. Cisza była zupełna, wiatr ustał, woda jedynie ciekła z rynien i spadał miękko z dachów śnieg.

Stefan był zakłopotany, nie wiedział, co począć z tą dziewczyną, która mu nagle spadła na kark. Milczał więc niekontent. Nonsensem było brać ją ze sobą do Requillart, a nie chciała wracać do domu rodziców. O nie, wszystko raczej, mówiła, jak stać się im ciężarem, po tym, co zaszło. Nie mówili już teraz nic i szli na oślep drogą będącą jedną kałużą błota. Z początku szli ku Voreux, potem zwrócili na prawo i znaleźli się nad kanałem.

— Musisz przecie gdzieś spać! — rzekł wreszcie Stefan. — Gdybym miał izbę, zaprowadziłbym cię.

Urwał, zmieszany nie wiadomo czemu. Przeszłość stanęła mu w oczach. Wspomnił, jak się pożądali dawniej, a wstydlivość i delikatność nie dopuściła, by się posiedli. Czyżby jej pragnął jeszcze? Czuł się wzruszony i coraz bardziej wydawało mu się, że w istocie jej pragnął. Teraz myśl zabrania jej do Requillart zdawała mu się naturalna, a pomysł łatwy do wykonania.

— Zdecyduj się więc, dokąd mam cię odprowadzić? Więc tak mnie nienawidzisz, że nie chcesz iść ze mną?

Posuwała się powoli, znużona, ślizgając się po błocie. Wreszcie, nie podnosząc głowy, odparła:

— Czyż nie dość jeszcze mego nieszczęścia? Nie przyczyniaj mi jeszcze cierpień! Na cóż by się to zdało, gdy ja mam kochanka, a ty dziewczynę?

Mówiła o Mouquette, myślała, że żyje z nią, jak ogólnie sądzono, a gdy jej przysięgał, że tak nie jest, przywołała mu na pamięć ów wieczór księżycowy, gdy spotkała ich, jak się całowali.

— Szkoda, że tyle się głupstw stało!... — począł cichym głosem. — Tak by nam było dobrze razem!

Zadrżała i odparła równie cicho:

— Nie żałuj niczego. Niewiele straciłeś. O, gdybyś wiedział, jaka ze mnie marna istota... nie mam na sobie ni za dwa sous tłuszczy i jestem tak źle zbudowana, że pewnie nigdy nie zostanę kobietą, jak się należy.

Otwarcie poczęła się obwiniać, iż dotąd nie jest dojrzała, mimo że miała stosunek z mężczyzną, co degradowało ją do rzędu ulicznych małoletnich. Gdy się może rodzić dzieci, człowiek ma jeszcze coś na swe wytłumaczenie, zakończyła... ale tak...

— Biedaczko! — szepnął Stefan, ogarnięty wielkim politowaniem.

Weszli w cień, który rzucał wał zsympiska, czarna chmura zasłoniła księżyc, nie widzieli swych twarzy, ale czuli oddech ust szukających się, by się zewrzeć w długim, z dawną upragnionym pocałunku. Ale nim to zdołali uczynić, chmura przeszła, oblało ich jasne światło księżyc i ujrzeli ponad sobą szylkwach<sup>40</sup>, stojącego na szczycie wału. Odsunęli się od siebie. Jak wówczas, rozdzieliło ich poczucie wstydu i zniechęcenia złączonego z jakimś nieokreślonym porywem przyjaźni. Ruszyli dalej, brodząc w roztopach po kostki.

— Więc stanowczo nie chcesz? — spytał Stefan.

— Nie! — odparła. — Mamże brać ciebie po Chawalu, a po tobie innego znowu? O, wstręt to we mnie budzi! Zresztą nie robi mi to żadnej przyjemności, więc po cóż?

W milczeniu przeszli znów spory kawał drogi.

— A wiesz przynajmniej, gdzie idziesz? — spytał znów. — Nie zostawię cię w nocy na polu.

— Idę do Chavala! — odparła. — Jest moim mężem i u niego wolno mi tylko spać.

<sup>40</sup>szylkwach (daw.) — wartownik.

— Ale on cię zbije strasznie.

Nic nie odrzekła, wzruszyła tylko ramionami. Będzie bił, a gdy się zmęczy, to przestanie. Czyż to nie lepsze jak włóczyć się po ulicach jak ostatnia łajdaczka? Pocieszała się tym, że nawyknie do bicia, a na dziesięć dziewcząt, osiem niewątpliwie takie wiedzie życie. Gdy kochanek raczy ożenić się z nią kiedyś, będzie to już i tak z jego strony bardzo po rycersku.

Zwrócili się bezwiednie ku Montsou i pauzy coraz dłuższe przecinały ich rozmowę. Zdawało im się, że już nie są razem. Stefanowi tylko przykreść sprawiało, że Katarzyna idzie do Chawała na to, by ją bił. Ale cóż jej mógł ofiarować? Nie miał przytułku, chyba tamtą norę, z której wychodząc, mógł się zawsze spodziewać, że mu kula żołnierza przeszyje czaszkę. Może to i lepiej znosić, co raz na człowieka spadło, i nie narażać się na zmiany? Wiódł ją więc do Chawała i nie zaprotestował, gdy za węglem budynku warsztatowego, kilkanaście kroków od kawiarni Piquetta zatrzymała go i rzekła:

— Nie idź dalej! Gdyby cię zobaczył, zrobiłby nową awanturę.

Z wieży kościelnej wybiła jedenasta. Kawiarnia była zamknięta, ale poprzez okiennice błyskało światło.

— Bądź zdrow! — szepnęła.

Podawa mu rękę i długo wydzierać musiała, bo puścić jej nie chciał. Nie odwracając się, podeszła do bocznych drzwi, otworzyła je i znikła. Stefan nie odszedł i niespokojny patrzył na dom, czekając, co nastąpi... Drżał na myśl usłyszenia krzyków bólu bitej Katarzyny. Ale cicho było ciągle, tylko w oknie na pierwszym piętrze błysło światło. Po chwili otworło się to okno, wychyliła się zeń drobna postać i szepnęła:

— Nie wrócił do domu! Kładę się... proszę cię, odejdz!

Stefan poszedł. Śnieg topniał teraz szybko, z murów, dachów i płotów, budynków fabrycznych pomroką nocy otulonych ciekła strumieniami woda. Zwrócił się do Requillart, był znużony bardzo i smutny i pragnął teraz nade wszystko zniknąć pod ziemią, zapaść się, nie wychodzić nigdy. Po chwili przypomniał sobie Voreux, swych belgijskich robotników, górników Montsou rozwścieczonych na żołnierzy, nie mogących znieść myśli, by ich obcy pozbawić mieli pracy w kopalni.

Znalazłszy się znów blisko wału, podniósł oczy w górę. Niebo było jasne, gdzieś w wyższych warstwach powietrza dmący wicher przegarniał porzedniałe już chmury, tak że co chwila nikł i zjawiał się księżyc.

Naraz uwagę jego zwróciła scena rozgrywająca się na wale. Chodził po nim żołnierz tam i na powrót... regularnie.... dwadzieścia pięć kroków ku Marchiennes i również tyle ku Montsou. Odcinał się ostro na tle nieba, a na plecach jego lyskał jęczyzek bagnetu. Poza szopą, w której chronił się czasem podczas burzy dziadek Bonnemort, gdy jeszcze pracował nocami, czaił się cień jakiś. Stefan rozpoznał Jeanlina. Niezawodnie malec chciał spłatać jakiegoś figla nie widzącemu go żołnierzowi, gdyż zły był na wojsko, które tutaj zesłano niby zbójów, gotowych mordować robotników.

Stefan chciał zawołać na chłopca, obawiał się bowiem, by nie zrobił jakiego głupstwa, ale zawahał się przez chwilę. Księżyc utonął za chmurą i równocześnie Stefan ujrzał, że Jeanlin zwija się w kłębek jak do skoku. Ale rozjaśniło się znowu, a chłopak czekał przyczajony. Za każdym razem żołnierz dochodził do szopy, zwracał się do niej plecami i maszerował z powrotem. Nagle, gdy księżyc przyćmiła nowa chmura, Jeanlin rzucił się, skoczył żołnierzowi na plecy, objął go mocno rękami i utopił mu swój nóż w karku. Żołnierz mundur osłabił cios, więc Jeanlin musiał cisnąć oboma rękami i opierać się na trzonku całym ciężarem swego ciała. W ten sposób zwykle zabijał kury, które tylko mógł gdzie dopaść. Odbyło się to wszystko tak szybko, że ciszę rozdarł tylko okrzyk stłumiony i dźwięknął karabin, padłszy na ziemię. Potem zapanowała znowu cisza i księżyc zaświecił jasno.

Stefan nie mógł się ruszyć ni krzyknąć ze zdumienia. Na wale leżała teraz czarna masa, cicho było i pusto. Gdy po chwili wszedł na wierzch, znalazł Jeanlina na czworakach nad leżącym na wznak żołnierzem, którego czerwone spodnie i jasny płaszcz jasno się rysowały na nie stopionym tam jeszcze śniegu. Ni kropla krwi nie wyciekła, nóż wbity z boku tkwił po rękojeść w szyi. Bez namysłu palnął Jeanlina w plecy, aż się przewrócił na ziemię obok zwłok.

Morderstwo

— Czemu to zrobiłeś? — spytał przerażony.

Jeanlin podniósł się na rękach i nogach, niby zwierz jakiś, odsunął się od niego. Ruchy chudego ciała przypominały kota, wielkie uszy sterczały do góry, a w zielonych oczach błyskał jeszcze płomień podniecenia.

— Do stu diabłów, mów, czemu to zrobiłeś?

— Nie wiem. Napadła mnie taka chęć!...

Nie powiedział nic więcej. W istocie, od trzech dni dręczyła go żądza mordercza, dudniło mu w uszach, nie mógł myśleć o czym innym. I czemużby zresztą nie miał sobie użyć na tych łajdakach, żołnierzach nasłanych na robotników. Z gwałtownych przemówień w lesie Vandame, okrzyków, będących hasłami śmierci i zniszczenia, utkwiło mu w pamięci słów kilka. Powtarzał je sobie ciągle, jak dziecko bawiące się w rewolucję. Więcej powiedzieć nie mógł, nikt go do tego nie namawiał! Napadła go ochota, jak na przykład ochota skradzenia kilku cebul z cudzego ogrodu.

Przerażony, że dziecko to zdolne było do zbrodni, odpędził Jeanlina kopnięciem dalej od zwłok, jak odgania się zwierzę, które nie wie, co zrobiło. Bał się, że okrzyk usłyszano w Voreux, i rozglądał się, ile razy widno się zrobiło. Ale nic nie przerywało ciszy. Pochylił się nad zabitym, dotknął jego stygnących rąk, posłuchał, czy serce bije. Nie biło. Z szyi sterczała tylko kościana rączka noża z wrytym czarno napisem *Miłość*.

Naraz Stefan poznał w zabitym małego Juliana, rekruta, z którym jednego ranka rozmawiał. Ze łzami w oczach patrzył teraz na tę pokrytą piegami, okoloną jasnym włosom twarz. Oczy wpatrzone były w niebo zupełnie z takim wyrazem jak wówczas, kiedy szukał na horyzoncie dalekiej, niewidzialnej ojczyzny. Gdzieś daleko, nie wiadomo gdzie, na północy leżała ta ojczyzna bita falami morza. I może w tej chwili matka i siostra myślały wśród bezsennej nocy, co też tam gdzieś, daleko, nie wiadomo gdzie, robi ich Julek. O, długo nań będą czekały!... Co za straszna rzecz, że synowie ludu zabijać się muszą między sobą z winy bogaczy.

Należało usunąć zwłoki. Stefan chciał je zrazu rzucić do kanału, ale odwiodła go od tego myśl, że go tam znajdą. Czas nagle, coś uczynić trzeba było, ale co? Wtem przyszło mu na myśl, że gdyby zabrał ciało do Requillart, zdołałby je tam ukryć raz na zawsze.

— Chodź tu! — zawołał Jeanlina.

Ale malec bał się.

— Nie, będziesz mnie bił. Zresztą mam różne interesy. Dobranoc.

Umówił się w samej rzeczy z Lidią i Bébertem, by nań czekali w kryjówce, umyślnie na ten cel sporządzonej wśród składu drzewa w Voreux. Chcieli spędzić tu noc i być świadkami, jak robotnicy połamią kości Belgom, udającym się do pracy.

— Słuchaj! — powtórzył Stefan. — Chodź, albo zawołam żołnierzy i zastrzelą cię!

Gdy Jeanlin zbliżył się, Stefan obwiązał silnie chustką szyję zabitego, nie wyjmując noża. W ten sposób nie mogła wycieknąć ni kropla krwi. Śnieg stopniał już, na ziemi nie było ni krwi, ni śladu walki.

— Bierz za nogi!

Jeanlin wziął zabitego za nogi, Stefan, zarzuciwszy sobie karabin na plecy, wziął trupa pod pachy i obaj ostrożnie spuścili się z wału, wystrzegając się najłżejszego szmeru. Szczęściem chmura znowu przysłoniła księżyc. Ale gdy szli wzdłuż kanału, zajaśniał znowu. Cudem tylko nie dostrzegł ich szyldwach w Voreux. Bez słowa dźwigali ciało, ale chwiało się na boki, więc znużenie zmuszało ich do odpoczywania co sto kroków. Na skręcie do Requillart zdrętwieli, usłyszawszy kroki patrolu. Mieli ledwie czas skryć się za mur. Dalej spotkali jakiegoś człowieka, ale był całkiem pijany. Potraktował ich kilku przekleństwami i poszedł dalej. Wreszcie doszli do starej kopalni okryci potem i tak zdenerwowani, że im szczękały zęby.

Stefan obawiał się, że niełatwo będzie spuścić zabitego przez wąski otwór szachtu. I w istocie ciężka to była sprawa. Jeanlin spuszczał z góry ciało, a Stefan, trzymając się jedną ręką korzeni drzew, drugą podtrzymywał je. W ten sposób przedostali się przez tę część drabiny, gdzie brakło szczebli. Potem Stefan schodził o jedną drabinę w dół, a Jeanlin puszczał zwłoki, które Stefan chwycił w objęcia. Ciężka to była rzecz wytrzymać tylokrotny upadek ciała. Przy tym karabin ranił mu bok, a żal mu było świecy, cała więc przeprawa odbywała się po ciemku. Zresztą światło zawadzałoby im tylko w tym wąskim

kominie. Doszedłszy jednak do dna szachtu, posłał chłopca po świecę, a sam usiadł przy trupie i czekał na Jeanlina z bijącym sercem.

Gdy wrócił, Stefan rozpytał go o kopalnię, którą chłopiec znał na wylot, wślizgując się nawet w szczeliny na pół zasypane. Powlekli teraz ciało przeszło kilometr przez labirynt chodników, aż doszli nareszcie do miejsca, gdzie sklepienie tak się obniżyło, że musieli suwać się na kolanach pod spękanyimi skałami trzymającymi się ledwo na zmurszałych belkach. Był to rodzaj krypty i tam też złożyli ciało, a obok niego karabin. Uczyniwszy to, poczęli rękami i nogami wyrwać i podważać belki ryzykując, że skały zwałą się na nich. Rozległ się trzask i ledwo mieli czas umknąć. Gdy Stefan się obejrzał, olbrzymia masa gruzu zasypała już ciało i przygniotła je swoim ciężarem tak, że śladu nie zostało.

Jeanlin, gdy wrócił do swej groty, rzucił się na siano i śmiertelnie znużony wymruczał: — Mniejsza z tym! Te baki mogą na mnie poczekać. Prześpię się z godzinę.

Stefan zgasił świecę, której ledwo niedopalek pozostał. I on był znużony, członki miał jakby rozbite, ale zasnąć nie mógł, zmora go dręczyła. Najprzykrejsze było mu pytanie narzucające się teraz z fatalnym natręctwem. Czemu on nie zabił Chavala, choć go miał pod sztychem, a to oto dziecko zamordowało żołnierza, którego nawet nazwiska nie znało? To mąciło jego rewolucyjne poglądy o odwadze zabijania i o prawie zabijania. Czyż był tchórzem? Jeanlin chrapał jak pijak, którego sen leczy z szalu alkoholicznego. Budziło to wstręt w Stefanie. Nagle zadrżał. Zdawało mu się, że z głębi kopalni doleciało go ciężkie westchnienie. Na myśl o małym żołnierzu, który tam pod skałami leży z karabinem u boku, oblał go zimny pot i włosy podniosły się na głowie. Można było oszaleć. Całą kopalnię napęłniły szmery. Zapalił świecę i uspokoił się dopiero wtedy, widząc, że chodniki są puste.

Z kwadrans jeszcze męczył się, trapiiony zwidywaniami, zapatrzonej w dopalającą się świecę. Nagle knot się przewrócił i wszystko zapadło w ciemność. Ogarnął go znowu strach i byłby rad obudził Jeanlina policzkiem. Dławiło go w gardle i uczył tak gwałtowną potrzebę powietrza, że wysliznął się i co sił dopadł drabin, jakby upiór go ścigał.

Dopiero wśród ruin Requillart odetchnął swobodniej. Nie ma odwagi zabijać, pomyślał, więc musi sam umrzeć i myśl o śmierci, która go już raz nawiedziła, odżyła w nim na nowo, niby ostatnia nadzieja. Tak, umrze odważnie, zginie za rewolucję! To położy koniec wszystkiemu, zamknie rachunki, źle czy dobrze, mniejsza z tym, zawsze uchroni go od dalszych cierpień. Jeśli towarzysze zaatakują kolegów, stanie w pierwszym szeregu i dostanie kulę w pierś. Pewnym krokiem zwrócił się ku Voreux, by tam czekać. Wybiła godzina druga, a z poczekalni dozorców, zamienionej na kasarnię<sup>41</sup>, dochodziła wrzawa zmieszanych głosów. Zniknięcie sztyldwacha rzuciło popłoch. Posłano po kapitana i dyskutowano, domyślając się dezercji. Do tego przekonania doprowadziły oględziny miejsca tajemniczego zajścia. Stefan, przyczajony w cieniu, wspomniawszy owego kapitana-republikanina, o którym mówił sztyldwach. A kto wie? Może by go można przeciągnąć na stronę ludu? Żołnierze podnieśliby kolby karabinów do góry i to byłby sygnał wymordowania burżujów. Zatonął w nowym marzeniu, nie myślał już o śmierci i przez godzinę z nogami w błocie moknął na drobnym deszczu, gorączkując się nadzieją zwycięstwa.

Czekał na Belgów do piątej, potem jednak domyślił się, że Kompania bardzo sprytnie się urządziła i zakwaterowała ich na noc w obrębie budynków kopalni. Zjazd rozpoczął się już, gdy posłańcy wysłani z kolonii jeszcze wahali się, co robić. Powiedział im o podstępie, pobiegli, a on sam czekał w przystani przy pontonach. Była już szósta i niebo poczęło się rumienić, gdy ukazał się na drodze proboszcz Ranvier z sutanną zakasaną powyżej chudych kolan. Co poniedziałku szedł odprawiać mszę do leżącego poza kopalnią klasztoru.

— Dzień dobry, mój przyjacielu! — zawołał do Stefana, spojrzawszy nań swymi płomiennymi oczyma.

Ale Stefan nie odpowiedział. W niejakiej odległości, wśród składów drzewa Voreux ujrzał postać kobiecą. Pobiegł śpiesznie, domyślając się Katarzyny.

Od północy Katarzyna dreptała po błocie. Chaval wrócił i, znalazłszy ją w łóżku, wrzasnął tak, że się zerwała. Powiedział jej, by wynosiła się drzwiami, jeśli nie chce wynosić się oknem. Płacząca, na pół ubrana, pożegnana kopnięciem zbiegła ze schodów. Już w progu otrzymała cios w plecy. To brutalne zerwanie oszołomiło ją tak, że usiadła

<sup>41</sup>kasarnia (daw.) — koszary.

na kamieniu i wpatrywała się w okno, sądząc, że ją zawoła. To niemożliwe! Niewątpliwie wyjrzy i zobaczywszy, że siedzi tu sama, drżąca, opuszczona, każe jej wracać.

Po dwu jednak godzinach czekania niby pies wyrzucony na ulicy, wpół zamarzła, zdecydowała się iść z Montsou. Poszła i wróciła raz jeszcze... ale nie śmiała ani zawołać, ani zapukać do drzwi. Nie było co robić, musiała wracać do rodziców. Ale gdy stanęła pod domem, ogarnął ją taki wstyd, że uciekła, skradając się pod parkany, bojąc się, aby jej ktoś nie zobaczył. Zapomniała, że noc, wszystko śpi, a okiennice pozamykane. Więc włączyła się bez celu, drżała za najłżejszym szelestem, przymierając ze strachu na myśl, że może ją złapać żandarm i odstawić jako wszetecznicę do domu publicznego w Marchiennes. Od dwu miesięcy trapiła ją ta zmora. Dwa razy zapędziła się aż do Voreux, ale przerażona głosami żołnierzy uciekła, oglądając się, czy ją który nie ściga. Requillart było przytułkiem pijaków, jednak zawróciła tu, mając niejaką nadzieję spotkania tego, któremu przed paru godzinami dała odpawę.

Chaval musiał zjeżdżać z Belgami i na tę myśl wróciła znów do kopalni, chociaż czuła, że wszelkie gadanie doń na nic się nie zda. Cóż więc czynić? Iść precz, umrzeć z głodu czy stać się pastwą każdego napotkanego mężczyzny? Wlekła się dalej, potykając na szynach, znużona, zachlapana aż na plecach. Zapadała w kałuże błota, ale szła ciągle przed siebie, nie śmiejąc już nawet sięgnąć na kamieniu przydrożnym.

Dzień się zrobił. Katarzyna ujrzała plecy Chawała. Skradał się ostrożnie ku kopalni. Nagle ujrzała też głowy Béberta i Lidii, wyglądające spomiędzy kłoców drzewa. Spędzili tu noc, nie śmiejąc wracać do domu wbrew wyraźnemu rozkazowi Jeanlina, by nań czekali. Objęli się tylko dla rozgrzania, a ich tyran chrapał tymczasem w Requillart. Nie skarżyli się sobie wzajem na Jeanlina, ona na to, że ją bił, on zaś, iż mu co dnia wymierzał sporą rację policzków, ale w końcu struna została przeciągnięta, sprzykrzyło im się brać ciągle udział w szalonych wyprawach złodziejskich i nie dostawać za to najczęściej najmniejszej nawet części łupu, małe ich serduszka podniosły bunt i objęli się za szyję wbrew zakazowi, mało sobie ważąc policzki obiecane, mające spaść za karę z powietrza. Policzki zresztą nie spadły, więc poczęli się tym czulej całować, nie myśląc o niczym więcej, odszkodowując się w ten sposób za długie męczeństwo. Przez całą noc tak się zabawiali i byli tak szczęśliwi, jak nigdy jeszcze dotąd, szczęśliwsi nawet jak podczas kiermaszu na św. Barbarę, gdy mieli kradzione ciastka i wino.

Katarzyna drgnęła na odgłos trąbki. Obejrzała się i ujrzała, że oddział w Voreux staje pod bronią. Równocześnie pędem nadbiegł Stefan, Bébert i Lidia wypadli ze swej kryjówki, a w szarym świetle dnia wstającego widać było nadciągający od kolonii tłum ludzi.

## V

Zamknięto wszystkie bramy Voreux, oddział złożony z sześćdziesięciu żołnierzy z karabinami u nogi stanął u wejścia głównego i schodów, wiodących do kancelarii kontrolera. Kapitan ustawił żołnierzy w dwu szeregach pod murem w celu zabezpieczenia ich od napadu z tyłu.

Z początku robotnicy, którzy zbiegli się tu z kolonii, trzymali się w przyzwoitej odległości. Było ich najwyżej trzydziestu. Rozmawiali głośno, żywo gestykulując.

Maheude przybiegła jedna z pierwszych, zarzuciwszy pośpiesznie na nieczesane włosy chustkę. Na rękę miała spiąć Stelkę.

— Nikogo nie wypuścić z kopalni ani wpuścić do środka! Trzeba ich tam zamknąć! — zawołała.

Maheu był tego samego zdania. Ale niebawem nadszedł z Requillart stary Mouque i domagał się, by go wpuszczono, gdyż koniom jego obojętna jest rewolucja. Chcą owsa. Przy tym zdechł tam na dole koń i trzeba go wydobyć na wierzch. Stefan poparł żądanie starca, żołnierze rozstąpili się i Mouque mógł zjechać. W kwadrans potem, gdy strajkujących było już znacznie więcej i poczęli przybierać groźną postawę, otwarto bramę i ukazali się ludzie ciągnący zwierzę. Porzucono je przed bramą w kałuży błota, nie rozwiązawszy nawet liny, którą biedaka skrupowano dla wydobywania na wierzch. Wrażenie uczyniło to na patrzących tak wielkie, że nie przeszkodzono ludziom cofnąć się i zabarykadować za sobą bramy. Poznano konia, tu i ówdzie rozległo się łkanie kobiece.

— To Trompette... prawda? Trompette!

Tak, to był Trompette. Od pierwszego dnia nie mógł znieść pobytu w głębi ziemi, smutny był, nie miał ochoty do pracy, dręczyło go wspomnienie słońca. Daremnie obwąchiwał go stary Bataille, daremnie liżał go i skubał za kark. Nie mógł mu wpoić rezygnacji. I ile razy się oba konie spotkały, zdawało się, iż jeden skarży się, iż tak już długo jest tutaj, że nie może przypomnieć sobie słońca, drugi zaś, że o nim zapomnieć nie może. W stajni stały obok siebie ze zwieszonymi głowami, śniąc cuda rzeczy minionych i opowiadając sobie wzajem sny. Gdy później Trompette obłany potem dogorywał na słomie, Bataille parskał i rżał, jakby płakał, iż traci ostatnią nadzieję, ostatnią radość życia, urwał się wreszcie, gdy Trompette skonał, i zarżał donośnie ze strachu.

Od tygodnia Mouque zwracał nadzorcy uwagę, że koń chory, ale nie było teraz czasu zajmować się takimi drobiazgami. Nie lubiano wyciągać na wierzch koni, ale musiano usunąć trupa. Dnia poprzedniego włożono Trompette'a na wózek i zaprzężono Bataille, by go zawieźć do szachtu. Powoli przeciskał się stary koń przez ciasny chodnik, a skóra zdechłego Trompette'a ścierała się o belkowanie ścian. Gdy dotarli do szachtu, odprężony Bataille smutnym wzrokiem patrzył na przygotowania, widział, jak przymocowano ciało zmarłego towarzysza pod klatką windy i gdy dano sygnał odjazdu, wyciągnął szyję i osłupiały śledził ruch klatki. Gdy wreszcie wszystko znikło w czarnym otworze, nie ruszył się, kolana mu tylko drżały. Stał i rozmyślał zapewne nad tym, że i jego kiedyś w ten sposób wydobędą na powierzchnię ziemi. Po chwili zatoczył się i chwiejnym, powolnym krokiem zawrócił do stajni.

Przed kopalnią robotnicy ponuro patrzyli na zwłoki Trompette. Jakaś kobieta rzekła:

— Człowiek ma przynajmniej wolną wolę zjeżdżać lub nie zjeżdżać w dół.

Ale strajkującym przybyły w tej chwili posiłki. Na czele tłumu kroczył Levaque z żoną i Bouteloupem, krzycząc:

— Śmierć Belgom! Precz z przybłędami! Śmierć im!

Rzucono się naprzód. Stefan musiał powstrzymywać. Zbliżył się do kapitana, młodego, wysmukłego, dwudziestoosmioletniego może chłopca o zrozpaczonym, ale zdecydowanym wyrazie twarzy. Powiedział mu w krótkich słowach, jak sprawa stoi, starał go się przekonać i badał, jakie słowa jego uczynią wrażenie. I na cóż niepotrzebny mord? Czyż słuszność nie była po stronie robotników? Wszyscy są braćmi i... tylko porozumieć się trzeba. Na dźwięk słowa: Republika, kapitan drgnął, ale nie zmiękł i odparł szorstko:

— Cofnijcie się! Nie zmuszajcie mnie do spełnienia obowiązku!

Trzy razy Stefan ponawiał usiłowania. Tłum począł szemrać. Podobno pan Hennebeau był w kopalni. Mówiono o tym, by go rzucić do szachtu, by się przekonać, czy potrafi kopać węgiel wedle nowej taryfy. Ale pana Hennebeau nie było, natomiast w oknie kontrolera ukazali się na chwilę Dansaert i Négrel. Dozorca, któremu od ostatniego zajścia zrzedła mina, trzymał się w tyle, ale Négrel, jak zawsze drwiący z ludzi i rzeczy, patrzył na tłum swymi ironicznie przymrużonymi oczkami. Posypały się pogrożki i obelgi. Odstąpili, a w oknie ukazała się dziewczęca twarzyczka Souvarina. Od początku strajku nie odstąpił ani na jeden dzień swej maszyny. W ostatnich dniach przestał odżywiać się, pochłonięty myślą jakąś, której błysk niby blask ostrza miecza lśnił w jego oczach.

— Cofnąć się! — krzyknął donośnie kapitan. — Nie słucham gadań! Mam rozkaz bronić kopalni i obronię ją. Nie pchajcie się na moich ludzi albo poradzę sobie z wami!

Mimo stanowczości swej pobladł, widząc, że tłum wzrasta ciągle. Miano go zluzować o dwunastej w południe, ale obawiając się, że do tej pory nie zdoła stawić oporu, posłał jakiegoś chłopca z kopalni po posiłki. Odpowiedziały mu okrzyki i klątwy:

— Śmierć przybłędom! Śmierć Belgom! Chcemy być panami u siebie.

Stefan cofnął się zrozpaczony. Nie można było nic więcej zrobić, jak walczyć i zginąć. Nie powstrzymywał już tłumu, który napadał na żołnierzy. Liczba robotników dochodziła już do czterystu, ale kolonie opróżniały się i zewsząd płynęły gromady. Drogi pełne były górników pędzących na miejsce katastrofy. Krzyki wzmożyły się. Levaque mówił do żołnierzy:

— Idźcie sobie w swoją drogę! Nie mamy nic przeciw wam! Idźcie!

— To nie wasza rzecz! — dodała Maheude. — Idźcie, my załatwimy sami naszą sprawę!

A spoza jej pleców wykrzyknęła pani Levaque:

— Czy trzeba was kijami nakłaniać do decyzji? Prosimy was bardzo uprzejmie, byście się do stu tysięcy diabłów zabierali!

Nawet mała Lidia, która wraz z Bébertem docisnęła się aż tutaj, wrzasnęła swym cienkim głosikiem.

— Patrzcie, na murze wisi trzydzieści par kielbasek!

Katarzyna patrzyła z dala przerażona. Więc znowu musiała patrzeć na nowe nieszczęście. Cóż za los straszny... nigdy spokoju! Wczoraj jeszcze nie rozumiała zaciekłości strajkujących i sądziła, że najlepiej nie narażać się na nowe plagi, których i tak oberwało się sporo, ale w tej chwili własne jej serce wzbierało nienawiścią. Przypomniała sobie, co dawniej mówił wieczorami Stefan, i nadsluchiwała teraz, jak nazywał żołnierzy braćmi, przypominał im, że pochodzą z ludu i z nimi iść powinni na wyzyskiwaczy.

W tłumie wrzęć poczęło i wreszcie przecisnęła się do pierwszego szeregu Brûlé. Przybiegła straszna w swej chudości, z nagimi ramionami i z rozwianym, siwym włosom, spadającym w kosmykach na oczy.

— Jestem nareszcie i ja! Jestem do stu tysięcy diabłów! — wrzasnęła. — Ten szubrawiec Pierron zamknął mnie w piwnicy... ale jestem!

I nie zwlekając, poczęła miotać na żołnierzy obelgi.

— Kanalie! Bando rozbójników! Liżecie buty przełożonym, a wobec nas nędzarzy jesteście bohaterami!

Inni poczęli jej wtórować i posypały się jak grad klątwy. Jakiś głos wrzasnął:

— Niech żyją żołnierze! Do szachtu kapitana!

Ale inni wołali:

— Śmierć czerwonym pludrom!

Żołnierze, nieczuli na apel braterstwa i nie dając się odwieść od posłuszeństwa przyjaznymi namowami, pozostali równie obojętni na obelgi. Kapitan stojący przy drugim szeregu wyjął szablę i gdy tłum naciskając coraz bardziej groził zmiażdżeniem oddziału o mur, kazał wziąć broń do sztychu. Żołnierze usłuchali i ostrza bagnatów pochyliły się ku piersiom strajkujących.

— A, draby! — krzyknęła, cofając się, Brûlé.

Ale tłum począł znów napierać z ogromną pogardą śmierci. Maheude, Levaque i inne stanęły przed żołnierzami, wołając:

— Zabijcie nas! Zabijcie nas! Nie ustąpimy.

Levaque, nie bacząc, że się kaleczy, objęła rękami pęk bagnatów i poczęła szarpać, by je zedrzyć z luf. Miotła się jak szalona, a Bouteloup stał z daleka i patrzył nieraź, że przyszedł tutaj.

— Ano dalej! Kłujcie! — wołał Maheu. — Pokażcie, żeście draby! — Rozerwał kaptan, rozpiął koszulę i odsłoniwszy upstrzone plamami węgla piersi, napadł na bagnety z tak szaleńczym, ślepym męstwem, że zmusił żołnierzy do cofnięcia broni. Jedno ostrze drasnęło go, usiłował wbić je głębiej, jakby opanowany żądzą śmierci.

— Tchórze! Nikczemni tchórze! — wołał. — Nie macie odwagi! Zabijcie nas, a przyjdą inni! Za nami stoi dziesięć tysięcy robotników!

Położenie żołnierzy, którym dano rozkaz użycia broni w ostatecznej tylko konieczności, stawało się coraz to krytyczniejsze. Jakże było powstrzymać szaleńców nabijających się na bagnety? Z drugiej strony miejsca było coraz to mniej, przyparto ich całkiem niemal do muru i cofać się nie było gdzie. Ale mała garść wobec przeważających sił robotników trzymała się dobrze. Z zimną krwią wykonywano rozkazy kapitana, który zacisnąwszy wargi baczyl tylko pilnie, czy żołnierzy nie poczynają irytować obelgi tłumy. Już w sposób niepokojący mrugał oczami młody sierżant o wywoskowanych wąsikach, a stojący obok niego stary żołnierz, uczestnik dwudziestu potyczek, widząc, że kobiety szarpią za jego bagnety, pobładał jak ściana. Inny znów, widocznie rekrut wzięty wprost od roli, zaczerwienił się jak burak, słysząc, że go nazywają szubrawcem i zbójem. Klątwy i obelgi nie ustawały. Grożono pod nos pięściami, przesadzano się w dosadnych wyrażeniach i trzeba było całej surowości dyscypliny, by żołnierzy utrzymać w nieruchomości i milczeniu.

Zdawało się, że do starcia przyjąć musi, gdy spoza szeregów wystąpił nagle stary, osiwiały dozorca Richomme, podobny do dobrotliwego wysłużonego żandarma, i głośno zawołał:

— Do stu tysięcy, to szaleństwo! Kiedyż zaświta wam u licha w głowach?

Rzucił się między bagnety a górników.

— Towarzysze, posłuchajcie mnie! Wiecie, że byłem robotnikiem, nigdy nie dałem się wam we znaki, i wiecie, że zawsze stałem po waszej stronie. Słuchajcie, obiecuję, że sam powiem słowa prawdy dyrektorowi, jeśli nie postąpi z wami po sprawiedliwości! Ale to, co robicie, to rzucanie obelg niewinnym żołnierzom nie prowadzi do niczego i również szalonym głupstwem jest dobrowolne nabijanie się na bagnety.

Poczęto go słuchać, zawahano się. Ale na nieszczęście w oknie ukazał się znów ostry profil Négrela. Złościło go pewnie, że wysłał dozorcę miast iść sam, i chciał mówić. Daremnie prosił Richomme o rozwałę, daremnie namawiał, by się porozumiano, odrącono go. Był podejrzanym. Ale nie ustąpił.

— Psiakrew! — wrzasnął. — Niech mi więc rozwałą łeb, zostanę z wami, choć jesteście ostatnie bałwany!

Prosił Stefana o pomoc, ale on wzruszył ramionami. Nie miał już władzy nad tłumem. Było już zresztą za późno, wszystkie niemal kolonie zbiegły się, by odegnąć Belgów. Byli i ciekawi, dowcipnisie, których scena ta bawiła. Pośrodku jednej takiej grupy stał Zachariasz i Filomena z dwojgiem swych dzieci. Patrzyli jak na komedię i śmiali się. Od Requillart nadciągała nowa banda z Mouquetem i Mouquette na czele. Mouquet zbliżył się do Zachariasza i poklepał go po plecach, a siostra jego przepychać się poczęła do pierwszych szeregów napastników.

Kapitan spoglądał ciągle ku Montsou. Ale oczekiwanych posiłków widać nie było, a oddział jego nie mógł opierać się dłużej. Naraz przyszła mu myśl przerażenia tłumy i wobec wszystkich kazał nabić broń. Żołnierze usłuchali, ale podniecenie wzrosło jeszcze, a klątwy i obelgi posypały się obficie.

— Widzicie! Pójdą sobie strzelać do tarczy! — drwiły kobiety.

Maheude, osłaniając swe piersi rozbudzoną, krzyczącą Stelką, przystąpiła tak blisko żołnierzy, że sierżant spytał, po co się pcha tu z dzieckiem.

— A tobie co do tego? Strzelaj, jeśli śmiesz!

Górnicy potrząsali głowami. Żadnemu przez myśl nie przeszło, by miano strzelać do nich.

— Mają ślepe ładunki — zawołała Levaque.

— Czyżesmy to Kozacy? — rzekł Maheu. — Nie strzela się do swoich!

Inni oświadczyli, że brali udział w wojnie krymskiej, więc im ołów nie nowina, i wszyscy pchali się na bagnety. Gdyby w tej chwili padła salwa, ziemię zasłalyby dziesiątki trupów.

Mouquette zawrzała gniewem na myśl, że żołnierze mogliby strzelać do kobiet. Wyczerpała już cały zapas obelg i chwilę nie wiedziała, co robić. Nagle przyszedł jej pomysł. Obróciła się, podniosła obu rękami spódnicę i pokazała im swój wielki, tłusty tyłek. To była jej zdaniem największa obelga, jaką mogła w danej chwili uczynić oddziałowi wojska z bronią w ręku i kapitanem na czele.

— Macie! Macie! I to jeszcze za ładne dla was, plugawcy!

Przygięta do ziemi obracała się, każdy dostał swą porcję.

— To dla oficera! — mówiła. — To dla sierżanta! A to dla żołnierzy!

Buchnął śmiech pogardliwy. Lidia i Bébert trzymali się za brzuchy, a sam Stefan mimo grozy sytuacji nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Wszyscy dowcipnisie drwili teraz z wojska, jedna tylko Katarzyna stojąca opodal na belce milczała, zacinawszy zęby.

Poczęła się zawierucha. Kapitan postanowił wziąć do niewoli kilku awanturników, by poprawić nastrój żołnierzy. Mouquette uszła, rzuciwszy się pomiędzy nogi robotników, ale wzięto dwu górników i Levaque'a i umieszczono ich w poczekalni dozorców pod strażą. Z okna Dansaert i Négrel wołali na kapitana, by się zamknął wraz z nimi w obrębie kopalni, ale kapitan wahał się to uczynić, ze względu, iż niedobrze zamykające się drzwi łatwo mogły być otwarte, kopalnia wzięta szturmem, a wówczas naraziłby się na hańbę rozbrojenia. Żołnierze już poczęli szemrać. Nie podobna przecież uciekać przed tą zgrają w drewnianych trzewikach! Bagnety skierowały się znowu ku piersiom napastników.

Tłum po wzięciu do niewoli trzech krzykaczy osłupiał, zdumiony aktem przemocy. Potem okrzyki wybuchły na nowo. Domagano się wydania więźniów, kilku wrzasnęło, że mordują ich pewnie w poczekalni. Nagle wszyscy jakby pchnięci żądzą zemsty rzucili

się do złożonych w wielkie kwadry cegieł, które tutaj na miejscu wypalano dla potrzeb budowlanych kopalni. Niebawem każdy miał u nóg spory zapas amunicji i atak się rozpoczął.

Brûlé rzuciła pierwszą cegłę. Rozłamała ją na swym chudym kolanie i obu rękami rzuciła kawałki w wojsko. Pani Levaque rzucała także, ale gąbczaste jej ramiona bezsilne były, musiała więc podchodzić blisko, choć i tak nie robiła wielkiej szkody. Daremnie odciągał ją Bouteloup mający nadzieję nakłonić ją do zastanowienia ze względu, iż mąż był już w niewoli. Rzucała jak wściekła. Wszystkich ogarnął szal. Mouquette, nie mogąc łamać cegieł na zbyt tłustych udach, rzucała całe. Nawet malcy stanęli do walki, a Bébert uczył Lidię rzucać trafnie. Deszcz pocisków dudnił po murze. Nagle wszyscy ujrzeli Katarzynę. Podobna do furii z włosami rozpuszczonymi miotając cegły z siłą, której u niej nikt by się nie był spodziewał. Nie wiedziała, czemu to czyni. Ogarnęła ją żądza zniszczenia. Wszystko jedno, niech raz się skończy to nędzne życie! Miała już dość cierpień, upokorzeń, bicia! Wypędzona z domu kochanka, zmuszona czekać jak pies w błocie, nie śmiejąc iść do ojca żebrać o łyżkę zupy, gdyż sam jej nie miał, postanowiła skończyć z tym wszystkim. Lepiej nie było nigdy i nie będzie, więc pora umrzeć. Rzucała cegły oprowadzana żądzą zniszczenia, a oczy jej zaszyły krwią tak, że nie wiedziała, komu gruchocze kości.

Stefanowi stojącemu przed żołnierzami mało nie rozbiła głowy. Trafiła go cegła w ucho, obejrzał się i zadrżał widząc, że cios padł z ręki Katarzyny, ale bez względu na niebezpieczeństwo nie ruszył się z miejsca i patrzył na nią. Wielu patrzyło, wymachując tylko rękami, a Mouquet oceniał rzuty, jakby przy partii kręgli.

— O, ten trafił w sedno!

— Z tego nie będzie nic!

Śmiał się i trącał Zachariasza klóścącego się z żoną, która nie chciała trzymać na rękach obojga dzieci, by się mogły przyglądać.

W grupach stali widzowie tu i ówdzie, a na szczycie wzgórza już przy pierwszych domach kolonii stał oparty na kiju dziadek Bonnemort, który się aż tu zawlókł. Stał nieruchomy, rysując się wyraźnie na tle zaróżowionego nieba.

Gdy padły pierwsze cegły, Richomme stanął znowu między żołnierzami a tłumem. Ostrzegał jednych, prosił drugich, nie zważając na niebezpieczeństwo, a był tak zrozpaczony, że wielkie łzy toczyły mu się po policzkach. Nie słysząc było, co mówi, wielkie, białe jego wąsy poruszały się tylko konwulsyjnie.

Grad zaczął padać gęstszy, mężczyźni wzięli się też do rzucania.

Maheude, widząc, że mąż jej stoi z próżnymi rękami, krzyknęła:

— Cóż ci to? Boisz się? Dasz więc, by tamtych biedaków zabrano do więzienia? O, gdybym tylko nie miała dziecka, zobaczyłbyś!

Stelka zawiesiła jej się u szyi z wrzaskiem i tamowała jej ruchy. Gdy Maheu nie słuchał, nogami przysuwała mu cegły, mówiąc:

— Do kroćset diabłów, bierzesz czy nie? Czy mam ci wobec ludzi napluć w twarz, by ci się krew rozgrzała?

Zaczerwienił się bardzo, począł łamać cegły i rzucać kawałki w żołnierzy. Podjudzała go, popychała tak, że wnet znalazł się przed samymi karabinami.

Grad cegieł przysłonił niemal całkiem mały oddział wojska. Szczęściem większość pocisków trafiała tylko mur ponad głowami żołnierzy. Co czynić, myślał kapitan? Na myśl, by cofnąć się w obręb kopalni, twarz jego oblał rumieniec wstydu, a i to było już teraz niemożliwe, gdyż gdyby tylko o krok oddalił się od muru, oddział zostałby otoczony ze wszystkich stron. Kawałek cegły strzaskał daszek jego kepi, krople krwi spływały mu po czole, wielu było już rannych i czuł, że porwani instynktem samoobrony żołnierze przestaną go za chwałę słuchać. Sierżant zaklął głośno, dostawszy cegłą w ramię, rekrut, dwa razy trafiony, miał zgnieciony palec i palącą ranę na kolanie. Czyż dać się dalej masakrować? Starego wojaka cegła odbita od ziemi trafiła w brzuch, aż pozieleniał ze złości, karabin zadrżał mu w rękach i mimo woli złożył się do strzału. Już trzy razy kapitan chciał zakomenderować: Ognia! Ale słowo zamierało mu na ustach i w ciągu sekundy ciężko walczyły w jego duszy obowiązki żołnierza i poczucie ludzkości. Grad cegieł wzmógł się, kapitan otworzył usta, by wyrzec słowo komendy, gdy nagle gruchnęły strzały, naprzód

trzy, potem pięć... i dalej... ogień ciągle przeleciał szeregi, wreszcie zagrzmiął spóźniony strzał ostatni.

Nastąpiła cisza. Tłum ogarnęło głębokie zdumienie, wszyscy stali z otwartymi ustami, nie wierząc własnym uszom. Ale podniosły się straszne wrzaski, gdy zabrzmiała trąbka sygnałem powstrzymania ognia karabinowego. Tłum rzucił się do ucieczki ogarnięty paniką. Ciśnięto się, pędzono po błocie, padano...

Bébert i Lidia padli pierwsi, ona trafiona w twarz, on pod lewym ramieniem w bok. Dziewczyna nie ruszała się już, ale Bébert w spazmie konania ogarnął ją ramieniem, jakby chciał raz jeszcze objąć i ucałować, raz jeszcze zaznać rozkoszy tej nocy ostatniej wśród stosów drzewa. Właśnie nadbiegł na pół zaspany jeszcze Jeanlin i poprzez dym ujrzał, jak Bébert objął jego małą, biłą tyle razy żonę i zmarł, tuląc do piersi wbrew zakazowi swego tyrana.

Pięć następnych strzałów położyło trupem Brûlé, która trafiona w pierś padła w całości długości jak pęk chrustu i zmarła, wyrzuciwszy z ust okrwawionych ostatnią klątwę, i Richehomma. Trafiony w plecy, w chwili gdy przemawiał do napastników, padł na kolana, osunął się bokiem i charczał, a z oczu spływały mu jeszcze przez chwilę łzy.

Ogień ciągle oczyścił cały plac i aż na odległość stu kroków strzały dosięgnęły wielu, nawet spośród przypadających się zająć. Kula trafiła w usta Mouqueta. Padł u stóp Zachariasza i Filomeny, a krew jego obryzgała dzieci. W tej samej chwili dwie kule w brzuch dostała Mouquette. Ujrawszy, że żołnierze podnoszą broń do oka, porywem dobrego serca uniesiona zasłoniła sobą Katarzynę. Wydała okrzyk i padła na wznak. Stefan przybiegł na ratunek, chciał ją podnieść, zabrać stąd, ale ruchem ręki dała mu poznać, że już po niej. Patrzyła na Katarzynę i Stefana i uśmiechała się, jakby jej sprawiało przyjemność, że widzi ich razem, gdy ona konała.

Zdawało się, że już koniec. Odgłos salwy odbiegł już daleko, budząc strach i zdumienie, gdy padł ów spóźniony strzał ostatni.

Maheu trafiony w serce zakręcił się na obcasach i padł twarzą w kałużę błota.

Zdumiona pochyliła się nad nim Maheude.

— No stary, wstawaj! To nic... prawda?

Stelka jej zawadzała, musiała więc wziąć dziecko pod pachę, by ręką odwrócić głowę męża.

— Mów! Gdzie boli?

Oczy jego były szklane, na ustach miał krwawą pianę. Zrozumiała. Umarł. Nie podniosła się nawet, tylko trzymając pod pachą dziecko, niby zwitek szmat, siedziała bezmyślnie w błocie.

Kopalnia uwolniona została od strajkujących. Nerwowym ruchem kapitan zdjął z głowy podarte kepi i wdział je znowu. Wobec tej największej katastrofy swego życia zachował spokój, zbladł jedynie śmiertelnie i stał w milczeniu. Żołnierze bez komendy nabili na nowo broń. Z okna kancelarii wyjrzały przerażone twarze Négrela i Dansaerta, a za nimi błysnęła twarz Souvarina. Czoło przecinała mu głęboka, prostopadła zmarszczka, jakby widomy znak, iż skrytyzowała się w niej myśl snująca się tam już od dawna. Na szczycie wzgórza stał ciągle jeszcze stary Bonnemort jedną ręką wsparty na lasce, drugą przysłaniając oczy, by lepiej widzieć, jak tam w dole zabijano jego towarzyszy. Ranni jęczeli, zmarli kostnieli, leżąc w czarnym błocie, które zmieszało się ze śniegiem na gęstą breję, a pośród tych małych, po największej części wychudłych ciał ludzkich leżał jak wielka bryła zdechły koń.

Stefan nie raniony nawet stał obok Katarzyny, która ze strachu i zmęczenia przysiadła na belce. Nagle drgnął na dźwięk donośnego głosu i spostrzegł proboszcza Ranvier. Wracał właśnie z klasztoru i widząc pobożowisko, wznosił w górę ręce i drżącym z oburzenia głosem fanatyka błagał Boga, by cisnął pioruny na głowy morderców. Unosił się i mimo iż nie miał słuchaczy, stojąc po kostki w błocie prorokował, iż bliskim jest czas sprawiedliwości i unicestwienia burżuazji, która osiągnęła szczyt zbrodni, mordując własnych przez siebie samą, o głodzie pracujących nędzarzy.

## CZĘŚĆ SIÓDMA

### I

Echo strzałów w Montsou dobiegło aż do Paryża. Wszystkie dzienniki opozycyjne wypełniły opisy, od których czytelnikom stawały włosy na głowach. Dwudziestu pięciu rannych, czternaście trupów, wśród których dwoje dzieci i trzy kobiety! Prócz tego jeńcy! Levaque wyrósł na bohatera, słowa, których miał użyć wobec sędziego śledczego, godne były Demostenesa. Cesarstwo ugodzone własnymi kulami w własne swe ciało zachowało majestatyczny spokój, nie przyznając się do porażki, nie czując jej nawet może. Usiłowano sprawę przedstawić w przyzwoitych rozmiarach, licząc, że stolica robiąca opinie zapomni rychło o tym, co się zdarzyło *przypadkiem* gdzieś daleko, na północy, w krainie węgla. Kompania otrzymała rozkaz zatuszowania całej sprawy i natychmiastowego zakończenia strajku, który mógł się stać socjalną klęską.

Już w środę zjechali członkowie rady nadzorczej, a miejscina, która dotąd nie śmiała radować się z krwawej łaźni, odetchnęła pełną pierś. Mieszczanstwo zostało ocalone. Natura sama zdawała się radować z tego zwycięstwa, słońce przygrzewało, rośliny kielkować poczęły, otwarto okiennice pałacu posiedzeń rady, dom odżył, a z wnętrza jego dochodziły same radosne wieści. Delegaci, jak mówiono, wzruszeni katastrofą pośpieszyli na miejsce wypadku, otwierając po ojcowsku ramiona robotnikom, którzy uwieść się dali podszeptom złych, przewrotnych ludzi. Wszystko miało być naprawione.

Teraz, gdy stało się to, do czego parli, gdy padły trupy... więcej może trupów, niż pragnęli... śpieszyli wystąpić w roli wybawców i hojnie, rozrzutnie szafowali dowodami swej łaski. Przede wszystkim odprawiono Belgów, rozdymając do ogromnych rozmiarów to ustępstwo wobec robotników. Potem usunięto z kopalń wojsko, które zresztą nie było wcale potrzebne, wobec tego, że górnicy byli pokonani, a wreszcie delegaci przyczynili się do zatarcia sprawy znikłego z Voreux sztyldwacha<sup>42</sup>. Mimo skrupulatnych poszukiwań nie odkryto nigdzie zwłok i karabinu i mimo iż podejrzewano morderstwo, wpisano żołnierza na listę dezertów. W ogóle delegaci starali się przedstawić wszystko w łagodniejszym świetle i drżąc przed następstwami, starannie wystrzegali się wyznać, iż boją się tej wielkiej masy wydziedziczonych, którzy jednym zamachem mogli zmieść z powierzchni ziemi zwyrodniałe klasy posiadające. Te usiłowania kompromisowe nie przeszkadzały im też zająć się sprawami czysto finansowej natury. Widywano często pana Deneulin w pałacu rady. Całą siłą pary prowadzono układy o kupno Vandame i spodziewać się należało, że zostaną uwiecznione pomyślnym skutkiem.

Najwięcej jednak wrażenia robiły duże, żółte plakaty w wielkiej ilości rozlepione po wszystkich murach i parkanach. Widniała tam wypisana ogromnymi literami następująca:

*Odezwa!*

Robotnicy Montsou!

Nie chcemy, by fatalne nieporozumienie, którego straszliwe skutki przed paru dniami napęliły nas wszystkich grozą i żalem, miało nadal pozbawiać robotników, rozumnych i chętnych do pracy, środków do życia. Otworzymy więc w poniedziałek rano wszystkie kopalnie, a skoro tylko praca zostanie podjęta, troskliwie zbadamy stosunki i z całą przychylnością zajmiemy się kwestią, w jaki sposób poprawa losu pracujących jest możliwa. Uczynimy wszystko, co leży w granicach słuszności i możliwości.

*Zarząd Spółki węglowej Montsou*

Przez ciąg przedpołudnia predefilowało przed tymi afiszami dziesięć tysięcy górników. Nikt nie rzekł ani słowa. Jedni potrząsali głowami, inni odchodzili, powołując nogami, ani jeden muskuł twarzy nie drgnął im podczas czytania.

Kolonia Maheuów trwała w najzaciętszym oporze. Zdawało się, że krew towarzyszy, która zboczyła błoto u bram Voreux, tamuje żywym dostęp do kopalni. Do pracy stawilo się stąd ledwo dziesięciu, to jest Pierron i dziewięciu obłudników jemu podobnych. Patrzano, jak szli do kopalni i wracali i prócz ponurych wejrzeń nie doznali żadnych przeszkód. Jeszcze inny był powód, że nie dowierzano przybitej tu na kościele odezwie.

<sup>42</sup>sztyldwach (daw.) — wartownik.

Nie było w niej mowy o przyjęciu na powrót zwróconych książek robotniczych. Czy ich Kompania nie przyjmie? Obawa represji, myśl solidarnego protestu przeciw wydaleni najbardziej skompromitowanych utwierdzały resztę w opornym wyczekiwaniu. Mówiono, iż odezwa jest podejrzana i należy czekać. Wrócą wszyscy do pracy, gdy zarząd powie jasno, co uczynić zamysła. I znowu kolonia zapadła w odrętwienie. Po chrzcie krwi przestano bać się już głodu.

Zwłaszcza na dom Maheuów spadło przygnębienie. Maheude od powrotu z cmentarza nie otworzyła ust. Po masakrze zgodziła się na pobyt w domu córki, którą wpół żywą przyprowadził Stefan. Sypiał on teraz także w kolonii w jednym łóżku z Jeanlinem. Mógł zostać tutaj każdej chwili aresztowany, ale myśl powrotu do Requillart napelniała go taką odrazą, że wołał więzienie. Drżał, gdy wspominał, że może znaleźć się w ciemnościach, gdy przed oczyma miał jeszcze tyle trupów, a bał się, choć się do tego nie przyznawał, także jeszcze małego żołnierza, który tam w głębi spał pod rumowiskiem skalnym. Przy tym więzieniu, po wszystkich poniesionych klęskach, wydało mu się cichym schroniskiem. Tu w domu miał chwilowo spokój, nikt mu nie czynił wymówek, tylko Maheude spoglądała kilka razy gniewnie na niego i córkę, jakby pytała, czego chcą tutaj oboje.

Dziadek Bonnemort zajmował teraz łóżko malców, spały one z Katarzyną, której nie zawadzał już garb Alziry. Maheude uciuwała opustoszenie, zwłaszcza kładąc się w wielkie, za szerokie teraz, zimne łóżko. Daremnie brała do siebie Stelkę. Płakała po nocach po cichu. Dni mijały jedne po drugich, chleba nie było, a tu i ówdzie użebrane okruchy pogarszały tylko stan oczekiwania śmierci głodowej, która zwlekała ze swym przyjściem.

Piątego dnia Stefan, którego do rozpacz doprowadziło milczenie Maheudy, wyszedł z domu i powlókł się brukowaną ulicą do kolonii. Ciężka mu bezczynność, więc walał się dręczony ciągle jedną myślą, myślą, co dalej będzie. Od pół godziny chodził już tak, aż wzrastające ciągle niemiłe jakieś uczucie zwróciło jego uwagę na to, iż nie jest sam, ale patrzy nań kilkunastu górników stojących przed drzwiami swych mieszkań. Reszta jego popularności znikła wśród huku strzałów karabinowych i nie mógł teraz przejść koło nikogo, by spotkany nie rzucił nań płomiennego spojrzenia. Podniósłszy głowę, ujrzał groźne oczy mężczyzn, widział, jak kobiety odsunawszy firanki w oknach patrzyły nań, i pod tym gradem niemych, pełnych nienawiści spojrzeń zmieszał się i nie wiedział czy iść, czy wracać. Opanował go strach, że cała kolonia się zbiegnie i pocznie mu wyrzucać swą nędzę. Pod wpływem tej obawy zawrócił do domu.

Ale scena, jaką tu zastał, wyprowadziła go do reszty z równowagi.

Stary Bonnemort siedział nieruchomy na stołku przy zimnym kominie. Po strzałach, pamiętnego dnia, znaleźli go dwaj sąsiedzi leżącego na ziemi, a obok niego jego złamany kij. Leżał jak strzaskane piorunem drzewo. Na ziemi dzieci z ogłuszającym hałasem wydrapywały resztki ze starej rynki, w której gotowano wczoraj kapustę. Stelka siedziała na stole, a pośrodku izby stała Maheude i wygrażała pięścią Katarzynie.

— Powtórz to jeszcze raz! Powtórz, psiakrew!

Katarzyna wyraziła chęć wrócenia do pracy w Voreux. Myśl, że nie zarabia na chleb, przeświadczenie, że matka traktuje ją jak bezpożyteczne, zabierające miejsce zwierzę, czyniły jej życie co dnia nieznośniejszym i byłaby już pierwszego poniedziałku zjechała do kopalni, gdyby nie obawa przed Chavalem. Jąkając się, odparła teraz:

— Trudno, mam, nie można nie pracować. Mielibyśmy chleb przynajmniej!

Matka przerwała jej:

— Słuchaj, zadławię to spośród was, które pierwsze weźmie się do roboty! Tęgo by jeszcze brakło! Zabić ojca, a potem wyzyskiwać dzieci! Nie, dość tego... wolę, by nas wyniesiono wszystkich w czterech deskach... jak wyniesiono jego!

Długo tajony gniew i rozpacz wybuchły powodzią gwałtownych słów. Piękny to zarobek, który by Katarzyna przyniosła! Wszystkiego trzydzięści sous, a gdyby nawet doliczyć owe dwadzieścia sous, które łaskawie obiecano Jeanlinowi za pracę poza kopalnią, mieliby razem pięćdziesiąt sous na siedem osób! Malcy umieją tylko jeść, a starego widocznie tknęła apopleksja na widok zabijania robotników przez te czerwone pludry!

— Prawda, stary? — spytała — Dojechali wam? Pięści jeszcze niczego, ale i tak już po tobie!

Bonnemort gapił się na nią, nie rozumiejąc, co się do niego mówi. Godzinami siedział tak, patrząc na ścianę, i miał tyle tylko rozsądku, że spluwał w miseczkę, którą dla porządku postawiono u jego nóg.

— I w dodatku — mówiła dalej — nie przyznali mu dotąd pensji<sup>43</sup>. O, jestem pewna, że nie przyznają! Rażą ich nasze przekonania. To nie do uwierzenia, jakim nieszczęściem naszym są ci bogacze.

— Ale — odważyła się wtrącić Katarzyna... — obiecują przecież w odezwie...

— Milcz! Nie gadaj mi o tej odezwie. To nowy lep na wróble... chcą nas złapać i pożreć. Dobrze im teraz gadać piękne słówka! Mordercy! Zbójce!

— Ależ, mamó, cóż pocniemy? Wyrzucą nas niewątpliwie z mieszkania...

Maheude odpowiedziała gestem rozpacz. Co poczną? Czy ona też mogła wiedzieć, co poczną! Nie chciała o tym myśleć, by nie oszaleć. Pójdą gdzieś... Hałas malców stał się niemożliwy do zniesienia, przyskoczyła więc do nich i wymierzyła każdemu po policzku. Stelka łożąca po stole na czworakach spadła, co zwiększyło jeszcze rozgardiasz. Matka wybiła krzyczącego malca. Co za szkoda, że bąk nie skręcił sobie karku. Wspomniała Alzirę i życzyła wszystkim rychłego końca. Nagle oparła się o mur i wybuchła spazmatycznym płaczem.

Stefan nie śmiał wtrącić dotąd słówka. Nic nie znaczył teraz w tym domu, nawet dzieci usuwały się przed nim podejrzliwie. Ale łzy nieszczęśliwej przeniknęły jego serce, rzekł więc cicho:

— Odwagi! Odwagi! Jakoś to będzie! Rada się znajdzie!

Jakby go nie słyszała, poczęła teraz żalić się cichym głosem.

— Ach, czyż możliwa jest tak straszna nędza! Przedtem, nim się... to... stało, była jeszcze nadzieja. Nie było chleba, ale było się razem. Ach czymże zgrzeszyliśmy! On pod ziemią, a my niczego już nie pragniemy, tylko dostać się tam też jak najprędzej! Tak, to prawda, nie może być mowy o życiu, gdy nie ma nadziei na jaśniejszą przyszłość! Zginiemy! I to spotyka nas, którzyśmy chcieli jedynie sprawiedliwości, słuszności!

Szlochała i mówiła przerywanym głosem dalej:

— A są jeszcze źli ludzie, którzy ludzą nas, iż wszystko da się lepiej urządzić! Namawiają do wysiłków... Człek upaja się nadzieją. Cierpi tak od rzeczy rzeczywistych, że marzyć poczyną o nieiszczalnych. Ja głupia także marzyłam o takim szczęśliwym życiu. Ach, gdzie ono? Nie na ziemi... to pewne! Człek lata po chmurach, spada w błoto i kręci kark. Wszystko było kłamstwem! Wszystko było drwinami! Prawdą jest tylko nędza... i krew, i śmierć!

Stefan słuchał tych skarg i czuł wyrzuty sumienia. Nie wiedział, jak pocieszać Maheudę, która ze szczytu marzeń spadła w straszną rzeczywistość. Nieszczęśliwa, stanąwszy na środku izby, zawołała:

— I ty, któryś na nas ściągnął to nieszczęście, ty sam mówisz o powrocie do pracy? Nie wyrzucam ci niczego, ale na twoim miejscu zatrapiałabym się, widząc, do czego doprowadziło moje zaślepienie!

Chciał odpowiedzieć, ale wzruszył tylko ramionami. I na cóż tłumaczyć, gdy ogarnięta rozpaczą kobieta nie zrozumie tego. Nie mogąc wytrzymać w izbie, poszedł znowu walczyć się bez celu.

Na ulicy zastał mnóstwo mężczyzn i kobiet. Zdawało się, że czekali na niego. Gdy się ukazał, pomruk ozwał się w tłumie. Od kilkunastu już dni gotowała się burza, która miała się teraz nań wyładować. Wznosiły się pięści, kobiety pokazywały go dzieciom gestem nienawiści, starzy spluwali mu pod nogi. Po klęsce popularność zmieniła się we wstręt, podsycany cierpieniem po nieudanych wysiłkach poprawy losu.

Zachariasz nadszedł z Filomeną. Mijając go, zadrwił:

— Patrzcie, jaki tłusty! Krew ludzka tuczy widać!

Levaque stanęła wraz z Bouteloupem w drzwiach mieszkania i wrzeszczeć zaraz poczęła:

— Tak, winą tchórzów jest, że zabijają niewinne dzieci! Idź, szukaj w ziemi i oddaj mi mojego Béberta!

Bieda, Przemoc

<sup>43</sup> pensja — tu: emerytura.

Zapomniała o mężu. Gospodarstwo szło i tak, został przecież Bouteloup. Ale przypomniała go sobie widząc, gdyż dodała:

— Łajdaki spacerują, podczas gdy porządni ludzie gniją w kryminale!

Stefan, chcąc ująć, wpadł na Pierronkę, która szybko zbliżała się ku grupie. Uszczęśliwiona była śmiercią matki, której gwałtowność groziła jej ciągle skandalem, nie opłakiwała też małej Lidii i odetchnęła, pozbywszy się tego ciężaru, ale chciała pogodzić się z sąsiadkami, wkupić się w ich łaski, więc krzyknęła:

— A gdzież to moja matka i córka? Ludzie widzieli, jak się kryłeś za nie, gdy strzelano!

Cóż miał zrobić? Zadławić Pierronkę i te wszystkie baby? Bić się z całą kolonią? Przez chwilę miał do tego ochotę. Krew w nim zawrzała, towarzysze wydali mu się trzodą bezrozumnego bydła i wściekłość go opanowała na nich. Jakże ciemni byli! Jakże mogli czynić go odpowiedzialnym za katastrofę? Ogarnął go wstręt, uczuł, że nie potrafi nimi opanować, przyspieszył tylko kroku i nie odpowiadał na obelgi. Niebawem musiał uciekać, gdyż tłum rzucił się z wrzaskiem ogromnym, zwierzęcym, w którym tętniła cała nienawiść zawiedzionych. On teraz był wyzyskiwaczem, on mordercą, on sprawcą nieszczęścia. Rzucił się błdy w boczną ulicę, a wrzeszcząca zgraja następowała mu na pięty. Gdy znalazł się na gościńcu, większość zawróciła, kilkunastu tylko ścigało go uparcie. Nagle przed samą kopalnią opodał gospody Rasseneura zastąpiła mu drogę inna grupa.

Byli tam Chaval i stary Mouque. Od śmierci syna i córki stary pełnił dalej swe obowiązki stajennego, nie pożaliwszy się nawet, nie zapłakawszy. Nagle na widok Stefana zawrzał gniewem, lzy rzuciły się z jego oczu, a obelgi z czarnych krwawiących od żucia tytoniu ust.

— Łajdak! Świnia! Pies parszywy! Zapłacisz mi za dzieci. Giń, szubrawcze!

Porwał z ziemi cegłę, złamał ją i cisnął w Stefana.

— Tak, tak, zgładźmy kanalie! — krzyknął Chaval, rad, że może zemścić się teraz. — Czekaj, teraz na ciebie kolej! Zdasz sprawę, gałganie! Masz!

Cisnął cegłą w Stefana. Powstał wrzask dziki, wszyscy porywali cegły, by go zabić — jak chcieli zabić żołnierzy. Oszołomiony nie uciekał, ale usiłował stawić im czoło i opamiętać słowami. Z ust jego popłynęły te same frazesy, które niedawno jeszcze oklaskiwali, te same magiczne hasła, przez które władał nimi. Daremnie. Odpowiadały mu pociski, potęgą jego znikła. Trafiony w ramię poczał się cofać, myśląc, jak ująć śmierci, gdy naraz ujrzał, iż stoi pod murem gospody Rasseneura.

Od chwili już patrzył szynkarz przez szklane drzwi.

— Wejdź! — powiedział po prostu, otwierając.

Stefan zawahał się. Tu szukać przytułku nie chciał.

— Wejdźże, a ja przemówię do nich — powtórzył Rasseneur.

Wszedł zdesperowany i skrył się w głębi izby, a szynkarz zasłoniwszy drzwi szerokimi barami poczał przemowę:

— Słuchajcie no, moi drodzy, miejcie rozum! Wicie sami, że was nigdy nie ludziłem. Zawsze byłem za spokojnym, rozsądnym traktowaniem sprawy i gdybyście byli mnie słuchali, nie byłoby do tego doszło.

Przestępując z nogi na nogę mówił długo, wymownie, z łatwością, a słowa płynęły mu z ust jak ciepła woda, w miłe półuśpienie wprawiając słuchaczy. Dawne znaczenie odzyskał teraz w jednej chwili z taką łatwością, jak gdyby nigdy nie został wygwizdany i nazwany tchórzem. Podniosły się okrzyki uznania:

— Doskonale!

— Lepiej było, gdy on stał na czele!

— Tak, słusznie!

Zagrzmiały oklaski.

Stefanowi serce zalewała gorycz. Wspomnił sobie słowa Rasseneura wypowiedziane w lesie, kiedy to groził mu niewdzięcznością pospólstwa. Cóż za bezmyślność i brutalność! Co za bestialskie zapominanie usług, jakie im oddał, i ofiar, jakie poniósł! Jest to jakaś ślepa potęga, która wiecznie niszczyć się sama w sobie będzie. Obok gniewu, że ci głupcy psują własną sprawę, uczuł wściekłość, iż jego plany ambitne tak się skończyły. Czyż naprawdę już koniec wszystkiego? Pamiętał, jak tam, pod bukami, sercu jego odgrzmiało echem trzy tysiące serc. Od tego dnia władał tym tłumem, był jego panem. Więc

począł marzyć. Widział Montsou u swych nóg, a siebie w Paryżu na fotelu poselskim, na trybunie, jako pierwszego robotnika rzucającego gromy na burżuazję. Ale wszystko się skończyło. Budził się z tych marzeń mały, pogardzony. Jego własny lud kamieniami zbudził go ze snu.

Słuchać było z zewnątrz głos Rasseneura:

— Nigdy gwałt nie był uwieńczony zwycięstwem! Nie można świata przerobić w ciągu dnia jednego. Ci, którzy wam to obiecali, są szarlatanami lub szubrawcami.

— Brawo! Brawo! — wrzeszczał tłum.

Któż tu był winny? Pytanie to przygnębiło go do reszty. Czyż był winien temu nie-szczęściu, niedoli jednych, śmierci drugich? Pewnego wieczoru przed katastrofą miał widzenie nędzy, która przyjść miała. Ale podniosła mu ducha myśl, że przecież dał się tylko porwać wraz z innymi biegowi wypadków. Nie on ich wiodł, ale raczej oni go popychali do rzeczy, których byłby nigdy nie uczynił, nie czując pod sobą tej fali, która go niosła. Przy każdym gwałcie zdumiewał się nad tym, co się stało. Nigdy nie zamierzał czynu karygodnego. Czyż mógł więc przewidzieć, że zwolennicy obrzucą go gradem cegieł? Ci nędznicy kłamią, twierdząc, że obiecał im życie bez pracy przy pełnych żłobach. A z tymi dowodami, którymi sam się chciał przekonać, mieszała się niepewność człowieka niewykształconego. Może nie stanął na wysokości zadania? Zresztą i na cóż te rozmyślania! Nie miał już z nimi nic wspólnego i bał się tej masy dzikich barbarzyńców, którzy gotowi zniszczyć świat cały, nie troszcząc się o argumenty naukowe i teorie społeczne. Już przedtem oddzielał go od nich wstręt, nie należał już do ich klasy, gdyż o własnych siłach wznosił się do wyższej klasy ludzi myślących.

W tej chwili głos Rasseneura zgłuszyły okrzyki:

— Niech żyje Rasseneur!

— Nie ma jak on!

— Brawo! Brawo!

Szynkarz zamknął drzwi i podczas gdy tłum się rozchodził, obaj mężczyźni spojrzeli sobie w oczy. Wzruszyli ramionami i siedli wypić po kufelku piwa.

Tegoż dnia odbył się w Piolaine wielki obiad, ku uczczeniu zaręczyn Négrela z Cecylką. Gregoire'owie dnia poprzedniego zapuścić kazali świeżo podłogę w jadalni i przystroić salon. Melania królowała w kuchni pośród garnków, przyrządzała pieczone i sosy, których zapach bił aż pod dach willi. Postanowiono, że stangret Franciszek będzie pomagał Honorce w usługiwaniu do stołu. Ogrodniczka miała myć naczynia, a jej mąż pilnować bramy. Nigdy nie było w starym patriarchalnym domu takiego ruchu.

Wszystko odbyło się jak najwspanialej. Pani Hennebeau bardzo serdeczna była dla Cecylki i uśmiechała się do Négrela podczas toastu, jaki notariusz wznosił na intencję szczęśliwego pożycia młodej pary. I pan Hennebeau był bardzo serdeczny. Dziwiła wszystkich jego rozradowana mina, a obiegała pogłoska, że jest teraz w wielkiej estymie u rady nadzorczej i zostanie niebawem zamianowany oficerem legii honorowej w nagrodę za energiczne stłumienie strajku. Nie mówiono o zająciach czasów ostatnich, ale w ogólnej wesołości przebiegał triumf i obiad był poniekąd ucztą zwycięzców. Nareszcie człowiek może spokojnie spać i trawić! Dyskretnie uczyniono wzmiankę o zabitych, których krew dopiero wsiąkła w ziemię Voreux. Była to konieczna, jak mówiono, lekcja, a wszyscy rozrzewnili się, gdy Gregoire'owie odparli, że należy teraz leczyć rany nędzarzy cierpiących po koloniach. Jest to dziś obowiązkiem każdego, mówili. Przybrali oni znów swe dobroduszne miny i przebaczyli górnikom, pewni, że teraz znowu przez całe stulecie będą pod ziemią pracowali z wzruszającą przykładną rezygnacją. Dostojnicy Montsou, którzy już pozbyli się drżączki, oświadczyli, że należy z wielką ostrożnością zająć się kwestią reformy pracy najemnej. Przy pieczeni upojenie zwycięstwem stało się zupełne, gdy pan Hennebeau odczytał list biskupa z doniesieniem o dymisji proboszcza Ranvier. Całe towarzystwo czyniło uwagi nad zachowaniem owego księdza, który zwał żołnierzy mordercami, a przy deserze notariusz zagalopował się tak daleko, że oświadczył, iż jest wolnomyślny.

Na obiedzie był też Deneulin z córkami. Wobec ogólnej wesołości starał się kryć swój ból i smutek. Tego samego ranka podpisał właśnie akt sprzedaży Vandame Kompanii Montsou. Przyciśnięty do muru musiał wreszcie poddać się delegatom rady i być jeszcze zadowolony, że zdołał wydusić z nich pieniądze na pokrycie swych zobowiązań. W koń-

cu pertraktacji za szczęście uznać musiał, gdy mu zaproponowali, by wszedł w służbę Kompanii w charakterze generalnego inżyniera. Teraz miał nadzorować jako urzędnik tę samą kopalnię, która pochłonęła cały jego majątek. Zdawało mu się, że słyszy podzwonne wszystkich mniejszych przedsiębiorstw prywatnych, że widzi, jak znikają jeden po drugim mali przedsiębiorcy, pożerani przez wielki kapitał zgromadzony w szponach olbrzymich syndykatów i kompanii. On sam jeden zapłacił kosztu strajku i czuł, że ci ludzie zapiją jego klęskę, gdy wzniesiono toast na cześć przyszłego orderu pana Hennebeau. Ale pocieszał go widok córek ślicznie wyglądających w poprzerebianych sukienkach, które śmiały się w chwili ruiny. Błogosławił w myśli te dzielne dziewczęta pogardzające złotem.

Gdy biesiadnicy przeszli do salonu, by tam wypić kawę, wziął pan Gregoire na bok krewniaka i powinszował mu postępku.

— Ach tak — mówił — jedynym twym błędem było, żeś włożył w przedsiębiorstwo milion uzyskany za denar Montsou. Naraziłeś się na szereg trosk i wszystko poszło z wiatrem, podczas gdy mój denar nie wyjęty nawet z szuflady żywi mnie ciągle i pozwoli bez pracy żyć w dostatkach wnukom i prawnukom Cecylki.

## II

W niedzielę z zapadnięciem nocy wykradł się Stefan z kolonii. Niebo było jasne, gwiazdy świeciły. Stefan poszedł wzdłuż kanału, a potem zwrócił się w stronę Marchiennes. Była to jego ulubiona przechadzka, kroczył więc wolno urwistym brzegiem ponad kanałem odciętym na płaszczyźnie geometryczną linią, podobnym do niezmiernie długiej sztaby srebra.

Nie spotykał tu nigdy nikogo i niemile uderzyło go, gdy ujrzał kogoś idącego na przeciw. Dopiero gdy stanęli obok siebie, poznali się przy słabym świetle gwiazd.

— A, to ty? — rzekł Stefan cichym głosem.

Souvarine skinął głową. Chwilę stali w milczeniu, potem poszli obaj w stronę Marchiennes. Każdy snuł wątek własnych myśli, jakby nie byli razem.

— Czytałeś w dziennikach o powrocie Plucharta w Paryżu? — spytał wreszcie Stefan. — Czekano na ulicy, zrobiono mu owację u drzwi lokalu w Belleville, gdzie przemawiał. Ciągle przemawia mimo chryпки. O, ten człowiek zajdzie daleko!

Maszynista wzruszył ramionami. Pogardzał mówcami, owymi ludźmi, którzy biorą się do polityki jak do adwokatury i na frazesach robią majątki.

Stefan czytał teraz Darwina a raczej popularny wyciąg z jego dzieł, małą książeczkę za pięć sous, i owocem tej źle pojętej lektury była rewolucyjna teoria walki o byt, wedle której chudzi niewątpliwie pochłoną tłustych, czyli lud, składający się z bledych głodomorów, rumianą burżuazję. Ale Souvarine gniewał się i miotał klątwy na głupich socjalistów, którzy akceptowali Darwina, owego naukowego apostoła nierówności, którego słynna teoria doboru podobać się mogła jedynie arystokratycznym filozofom. Stefan upierał się przy swoim, chciał udowodniać słuszność twierdzeń, więc Souvarine wątpliwości, jakie miał, wyraził w formie hipotezy. Przypuściwszy, że starego społeczeństwa już nie ma, że wymieciono je doszczętnie, czyż nie należało się obawiać, że w nowym świecie rozwiną się z wolna te same formy niesprawiedliwości, że zawsze będą chorzy i starzy, głupi i leniwi, więc zręczniejsi i rozumniejsi pochwyć władzę, a tamtych zamienią w niewolników. I przerażony obrazem tych stosunków wykrzyknął, że jeśli niemożliwa jest w społeczeństwie sprawiedliwość, to człowiek jako taki wytępiony być powinien. Ile razy rozwinie się społeczeństwo złe, tyle razy należy je zniszczyć, aż do zglądzenia ostatniego indywiduum.

Zamilkli obaj.

Souvarine długo kroczył po trawie cicho ponad samą wodą, jak lunatyk kroczy po rynnach ponad przepaścią, pewnym, spokojnym krokiem. Po chwili, bez widocznej przyczyny drgnął, jakby potknąwszy się o cień, podniósł oczy na niebo i bardzo bledy, cichym głosem spytał Stefana:

— Czy opowiadałem ci, jak umarła?

— Kto?

— Moja kobieta... tam w Rosji.

Stefan spojrział zdumiony. Dziwiło go drżenie głosu Souvarina, zwierzenie człowieka, którego zazwyczaj na słowo wyciągnąć było trudno. Stefan wiedział tylko, że kochankę Souvarina powieszono w Moskwie.

— Przedsięwzięcie nie powiodło się — opowiadał Souvarine z oczyma utkwionymi w kanał. — Z piwnicy podkopywaliśmy przez dwa tygodnie nasyp kolejowy, nie dworski jednak, ale zwykły pociąg osobowy wyleciał w powietrze... Aresztowano Anuszkę... Przyносиła nam chleb co wieczora przebrana za chłopkę, ona też zapaliła lont, gdyż kobieta mniej budziła podejrzenia. Słuchałem ukryty wśród widzów procesu w...

Porwał go kaszel gwałtowny.

— Dwa już razy miałem się rzucić ku niej przez tłum, by razem z nią umrzeć. Ale to byłoby bezrozumne! Jeden człowiek mniej, to jeden bojownik mniej. Rozumiałem, że mówi oczyma: Nie! ...gdy spojrzenia nasze się spotykały.

Zakaszłał znowu.

— Byłem i tam... przy egzekucji. Deszcz padał, a kat stracił głowę. Dwadzieścia minut wisiał czworo innych. Urwał się z czwartym sznurek. Anuszka stała i czekała. Nie mogła mnie zrazu dostrzec w tłumie. Wstąpiłem na kamień, ujrzała mnie i odtąd oczy nasze się nie rozłączyły. Patrzyła na mnie po śmierci jeszcze... Zdjąłem kapelusz i odszedłem.

Znowu zapanowało milczenie. Białe pasy kanału ciągnął się w nieskończoność, mężczyźni bez szelestu kroczyli po trawie zatopieni znowu w swe myśli. Zdawało się, że w dali srebrna igła wody przeszywa horyzont.

— To była nasza kara! — rzekł silnym głosem Souvarine. — Zasłużyliśmy na karę, gdyż kochaliśmy się... Tak, tak... dobrze, że umarła... Z krwi jej zrodzą się mściciele, a ja nie mam już podłości na sercu... Ach, nic!... Rodziców, kobiety, przyjaciela! Nic... od czego ręka by mi zadrżała w dniu, kiedy przyjdzie poświęcić życie innych lub własne!

Stefan stanął. Drżał z chłodu nocnego. Nie odpowiedział na słowa Souvarina, rzekł tylko:

— Odeszliśmy daleko, może by zawrócić?

Zawrócili ku Voreux, a Stefan po chwili spytał:

— Czytałeś nowe afisze?

Mówił o afiszach, które Kompania dziś rozlepiła. Ton ich był przyjaźniejszy, treść zrozumialsza. Obiecywano przyjąć książki robotników, którzy by jutro stawili się do pracy. Nawet najbardziej skompromitowanym obiecywano przebaczenie.

— Czytałem je! — odparł maszynista.

— Więc cóż myślisz?

— Myślę, że już koniec... trzoda zjedzie w głąb. Jesteście wszyscy nikczemni tchórze!

Stefan gorąco bronił towarzyszy. Pojedynczy człowiek może być mężny, ale mrący głodem tłum nie ma sił.

Powolnym krokiem doszli do Voreux i gdy stanęli przed budynkami kopalni, Stefan poprzysiągł nie stanąć do roboty. Ale przebaczał tym, którzy zjadą jutro, trudno... to są ludzie głodni! Dowiadywał się też, ile prawdy jest w pogłosce, że cieśle nie mieli czasu naprawić oszalowania szachtu zjazdowego. Pytał, czy prawdą jest, że ciśnienie warstw skalnych na ściany z drzewa, które stanowią niejako koszulę szachtu, wygięło je do wewnątrz, tak że klatki trą o ścianę na przestrzeni pięciu metrów. Souvarine odpowiadał teraz krótko. Wczoraj był w służbie i istotnie, klatki trą o ściany, tak że musiał puścić maszynę z podwójną szybkością, by przeszły. Ale na wszystkie uwagi przełożeni odpowiadali, że przede wszystkim teraz trzeba węgla, a potem poczną się naprawy.

— Ach, gdyby tak wszystko lichu wzięło! — szepnął Stefan. — Co za radość, co za radość!

Souvarine spojrział na kopalnię śpiącą w ciemności i rzekł spokojnie, kończąc myśl Stefana:

— Gdyby wszystko wzięło lichu, poginęliby też i górnicy, którym radzisz stanąć do roboty.

Z wieży w Montsou wybił zegar dziewiątą. Stefan powiedział, że chce już iść spać, a Souvarine rzekł, nie podając mu ręki:

— Bądź zdrow. Odjeżdżam stąd.

— Co? Ty stąd odjeżdżasz?

— Tak, zażądałem książki... odchodzę na inne miejsce.

Rozstanie

Stefan patrzył nań zdziwiony i podniecony. Po dwugodzinnej rozmowie mówi mu to teraz i to głosem tak spokojnym, gdy jemu na myśl o rozłące serce bić przestaje. Żyli przecież razem, cierpieli razem, cóż dziwnego, że smutno się rozstawać?

— Odjeżdżasz? A dokądże to?

— Nie wiem.

— Zobaczymy się przecież kiedyś?

— Nie, nie zdaje mi się.

Milczeli i patrzyli na siebie, nie wiedząc co sobie powiedzieć.

— Ano to bądź zdrów.

— Bądź zdrów.

Stefan zwrócił się ku kolonii, Souvarine poszedł znów wzdłuż kanału. Chodził tak samotny bez przestanku tam i z powrotem, niknąc w ciemności i wylaniając się z niej znowu. Stał wreszcie, policzył uderzenia zegara i przekonawszy się, że północ, wszedł do kopalni.

O tej godzinie nie było tu nikogo. Spotkał jedynie zaspanego dozorcę. Pod kotłami palić zaczynało dopiero o drugiej. Powiedział dozorczy, że zapomniał w szafie kamizelki, i poszedł też po nią. W kamizelkę zawinięte były narzędzia, świder, obcęgi, mała, bardzo silna stalowa piłka, młotek i dłuto. Potem zamiast wyjść z kopalni udał się do szachtu drabinowego. Bez lampy, z kamizelką pod pachą począł schodzić w głąb, licząc drabiny. Wiedział, że klatka natrafia na wygięcie ścian szachtu w głębokości trzystu siedemdziesięciu czterech metrów przy piątym stopniu. Odliczywszy pięćdziesiąt cztery drabiny począł macać rękami i natrafił na wydętą deski. To tutaj, pomyślał.

Z pewnością i zimną krwią wprawnego robotnika wziął się do wykonania widocznie dobrze obmyślanego planu. Wyciął w ścianie przytykającej do szybu zjazdowego kwadratowy otwór. Pracował, zapalając od czasu do czasu zapalki.

Na przestrzeni od Calais do Valenciennes natrafiono swego czasu przy biciu szachtów węglowych na niesłychane trudności, gdyż przedsiębiorcy stanęli wobec kwestii, jak przedostać się przez rozległe i głębokie warstwy jezior podziemnych, leżących pod poziomem najgłębszych dolin całej okolicy. Kwestia była bardzo trudna i po ogromnych kosztach i wysiłkach rozwiązano ją, budując specjalny rodzaj ogromnych beczek bez dna i wierzchu. Klepki tych beczek ujęte w mocne obręcze u góry i dołu izolowały szacht, klatki przechodziły środkiem, a o ściany tłukły fale czarnych wód nie widzących nigdy słońca. W Voreux musiano zamykać wodę w dwu poziomach. W górnym poziomie szacht przechodził przez warstwy kruchego piaskowca, białej gliny i kredowego, gąbczastego i wodą przesiąkniętego marglu. W drugim poziomie wodnym, leżącym tuż ponad złożami węgla natrafiono na lotny, miałki jak mąka piasek, który lał się jak woda przez najdrobniejsze szczeliny. Była to tak zwana przez górników *kurzawka* i na jej pokładzie rozlewała się toń na trzysta metrów głęboka ukrytego pod powierzchnią ziemi morza. Był to postrach kopalń północy, ocean niezbadany, poruszany do głębi burzami i kataklizmami, a choć ściany oszalowań beczkowych wytrzymywały wielkie ciśnienie, ciągle bano się ruchu terenów przyległych, wstrząsanych zapadaniem się starych, opuszczonych chodników. Przy takich bowiem okazjach skały pękały, a tworzące się szczeliny wydłużały się, dochodząc aż do ścian szachtu poniżej beczkowania. Ciągle wobec tego istniało niebezpieczeństwo równocześnie zapadnięcia się i zalania kopalni, groza lawiny kurzawki i wewnętrznego potopu.

Souvarine usiadł w wyciętym otworze jak na koniu i rękami obmacawszy ściany skonstatował, że klepki beczkowania wypchnięte zostały z obręczy ciśnieniem i wygięły się do wewnątrz. Wiele z nich wyszło już z oprawy, a szparami, poprzez zalane smołą uszczelnienia, tryskały fontanny wody. Cieśle, mając mało czasu, poprzestali na przyśrubowaniu biegnących dokoła obręczy, które trzymać miały klepki, ale i tę pracę wykonali tak nie dbale, że nie wszędzie nawet powkręcali śruby. Prócz tego ściany drżały od gwałtownego ruchu kurzawki miotanej falami wzburzonego morza.

Dłutem Souvarine odkręcił nieliczne śruby trzymające obręcze, tak że pierwsze uderzenie klatki musiało je strącić w głąb. Była to czynność niebezpieczna. Za każdym ruchem narażał się na upadek w głębokość dwustu blisko metrów. Pracując, trzymać się musiał jedną ręką dębowych poprzecznic i bierwion rusztowania, wzdłuż którego suwały

się klatki. Siadał na poprzecznicach, posuwając się od ściany do ściany, obracał się wsparty często jedynie na łokciu lub kolanie i wisząc ponad otchłanią pracował dalej. Trzy razy pośliznął się na mokrym drzewie i, spadając już, chwycił się czegoś zawsze, nie drgnąwszy nawet ze strachu. Pracował po omacku i świecąc zapalki tylko wówczas, gdy tracił orientację. Poodkręcawszy śruby, zabrał się do samego drzewa ścian beczkowych. Wymacał *rygiel*, którym przyparte były deski wzajem do siebie, świdrował w nim, krajał go, podważał tak, by najłżejsze uderzenie musiało go złamać. W miarę, jak pracował, woda zalewała go coraz to silniej, zapalki zamokły i otoczyły go nieprzebite ciemności.

Wówczas porwała go wściekłość. Tchnienie głębi, strach czający się w czarnej przepaści rozżarzyły jego żądzę niszczycielską. Na oślep chwycił teraz klepki, tłukł w nie młotem, świdrował, krajał, nie licząc się z tym, że mogą załamać się na jego własną głowę, owszem pragnąc tego. Zdawało mu się, że wbija swe narzędzia w żywe ciało olbrzymiego, znienawidzonego potwora. Tak, zabije nareszcie, zarżnie ową złą stworę, ową Voreux, w której rozwarłej paszczy zginęło już tylu ludzi. Piła i długo gryzły wnętrzości wroga, a Souvarine, cudem trzymając się na oślizgłych, wąskich belkach, posuwał się w tył i naprzód, w dół i w górę, jak ptak trzepoczący się wśród rusztowania starej dzwonnicy.

Ale po chwili uczuł niezadowolenie z siebie. Czemuż się złościł, czyż nie mógł robić tego wszystkiego spokojnie? Odpocząwszy, włożył w otwór wycięty w ścianie szachtu drabinowego i wsadził weń wydęty kawałek deski. Dość tego, pomyślał, nie chciał bowiem zbyt wielkim uszkodzeniem zwrócić na nadwyrężony punkt uwagi. Może naprawiono by to przed rozpoczęciem zjazdu, a wówczas praca byłaby daremna. Zwierzę miało teraz ranę w brzuchu, pokaże się, czy dożyje wieczora. A zostawił tam swój podpis. Po śladach dłuta pozna przerażony świat, że potwór nie zdechł śmiercią naturalną. Bez pośpiechu zawinął narzędzia na powrót w kamizelkę i pomału wydostał się na wierzch. Gdy nie widziany przez nikogo wyszedł z kopalni, nie przyszło mu nawet na myśl przebrać się. Wybiła właśnie trzecia, stanął na drodze i czekał. O tejże samej godzinie zwrócił uwagę Stefana, który nie spał, szmer lekki. Nastawił uszu, ale posłyszał jedynie oddechy małców, Bonnemorta, Maheudy i chrapanie Jeanlina. Pewnie mi się przyśniło, pomyślał i okrył się kołdrą. Ale w tejże samej chwili szmer się powtórzył. Było to jakby skrzyp siennika i ostrożne ruchy kogoś, kto wstaje. Myślał, że Katarzynie zrobiło się niedobrze.

— Czy to ty? — spytał cicho.

Nikt nie odpowiedział. Przez pięć minut cicho było, potem rozległ się ten sam skrzyp. Pewny, że nie omylił się, wstał i począł szukać rękami łóżka stojącego naprzeciwko. Zdziwił się bardzo znalazłszy Katarzynę siedzącą na łóżku, rozbudzoną i jakby przyczajoną.

— Czemuż mi nie odpowiadasz? — spytał. — Cóż to znaczy?

— Wstaję.

— Tak rano?

— Tak! Idę do roboty do kopalni.

Całkiem już rozbudzony usiadł obok niej na brzegu siennika, a Katarzyna tłumaczyła, czemu postanowiła pracować. Nie mogła znieść próżniactwa i pełnych wyrzutu spojrzeń matki. Woli już, mówiła, narazić się na przykrości ze strony Chawała w kopalni, a jeśliby matka nie chciała przyjąć jej zarobku... no, to wówczas dość już jest duża, by sobie samej ugotować zupę.

— Idź spać — dodała — i proszę cię, nie zdradź mnie, żem poszła.

Ale on objął ją wpół, opanowany litością i serdecznością. Tulili się oboje do siebie, czując poprzez koszule gorąco swych ciał. Zrazu chciała się wyrwać, ale potem objęła go z płaczem za szyję i przyciskała do piersi. Siedzieli tak, nie pragnąc niczego więcej, szczególnie, myśląc o wzajemnej, nie zaspokojonej dotąd miłości. Czyż to już nigdy nie nastąpi? Czy któregoś dnia nareszcie odważą się? Przecież byli teraz oboje wolni? A potrzeba było tylko małego upojenia, chwili zawrotu głowy i byłiby się posiedli. Oboje rozmyślali już o tym, snuło im się to po myśli w mglistych obrazach.

— Idź spać! — szepnęła. — Ja ubiorę się po ciemku, by nie zbudzić matki. Puść mnie, już czas.

Przyciskał ją do piersi, opanowany wielkim smutkiem. Pragnął teraz całą duszą spokoju, szczęścia, marzyło mu się, że ożenił się z Katarzyną i mieszka w małym, schludnym domku i nie pragnie niczego, tylko żyć tam z nią do śmierci. Wystarczy im suchy chleb,

gdyby i tego nie stało na dwoje, to odda jej swą część. Czyż nie to było najwyższą i jedyną wartością życia?

Wysunęła się wreszcie z jego objęć i szepnęła:

— Proszę cię, puść mnie!

Wówczas on dał się unieść sercu i odparł:

— Idę z tobą.

Zdziwił się, że mógł to powiedzieć. Przysiągł przecież przed chwilą, skądże nagle zmiana postanowienia? Samo spłynęło mu to na wargi, nie myślał o tym ni przez moment! A zarazem uczuł się spokojny, wolny od wszelkich dręczących wątpliwości i wydawało mu się, że został przypadkiem ocalony, że nagle odnalazł drogę wyjścia z labiryntu trosk i cierpień. Nie chciał słuchać o niczym, gdy przerażona, pojawiając się dla niej poświęca, czyniła mu przedstawienia, gdy wyrażała obawy, iż go towarzysze w kopalni powitają obelgami. Nic sobie z tego nie robił. Plakaty oznajmiały przebaczenie dla wszystkich, to było wystarczające.

— Chcę pracować i basta... Ubierajmy się, nie robiąc hałasu.

Z wielką ostrożnością ubrali się po ciemku. Katarzyna wczoraj przygotowała swój strój górniczy, Stefan wziął z szafy kaftan i spodnie. Nie myli się z obawy narobienia łoskotu. Wszyscy spali, ale należało minąć sionkę, w której stało łóżko matki. Gdy byli już niedaleko drzwi, Katarzyna przypadkiem potrafiła krzesło. Maheude zbudziła się i spytała zaspanym głosem:

— Któż tam?

Katarzyna stanęła drżąc i ścisnęła kurczowo dłoń Stefana.

— To ja, proszę się nie bać! — odparł. — Wychodzę trochę na dwór, odetchnąć świeżym powietrzem.

— Dobrze, dobrze...

Zasnęła na nowo. Katarzyna długo stała bez ruchu, a gdy wreszcie znaleźli się w izbie na dole, wzięła kromkę chleba, która pozostała z bochenka ofiarowanego Maheudzie przez jedną damę. Przymknęli za sobą drzwi i poszli.

Souvarine stał ciągle jeszcze przed kopalnią u samych wrót gospody Rasseneura i od pół godziny patrzył na górników wlokących się w ciemnościach z tupotem nóg niby trzoda. Liczył ich, jak rzeźnik liczy bydło zapędzane do jatki, i był zdziwiony liczbą wracających do pracy. Mimo swego pesymizmu nie sądził, że tylu będzie tchórzów. Robotnicy płynęli bez przerwy, a Souvarine z zimną krwią i zaciśniętymi ustami patrzył na nich palającym wzrokiem.

Nagle drgnął. Pośród idących, których twarze nie widział, rozpoznał jednego po ruchach. Podeszedł i zatrzymał go.

— Dokąd idziesz?

Stefan przeraził się i zamiast odpowiedzi wybąknął:

— A więc nie poszedłeś jeszcze?

Potem przyznał się, iż wraca do pracy. Przysiągł, że nie wróci, ale namyślił się. To za trudno czekać z założonymi rękami na coś, co przyjść może za jakieś sto lat. Zresztą ma powody osobiste.

Souvarine wysłuchał drżąc z wściekłości, a potem chwycił go za ramię, pchnął ku kolonii i krzyknął:

— Wracaj do domu! Chcę tego, rozumiesz?

Zbliżyła się Katarzyna, Souvarine poznał i ją także. Stefan tymczasem zaprotestował. Któż to ma prawo krytykować jego postępowanie? Oczy maszynisty przeniosły się z twarzy Stefana na twarz dziewczyny, wróciły znów... i nagle wykonał gest i cofnął się w tył. Gdy w sercu mężczyzny zagnieździ się kobieta... już po nim... może umierać. Może błysnął mu w głowie obraz kochanki powieszanej tam, w Moskwie, może pomyślał o tej ostatniej nici, która pękła, wyzwalając go ze strachu o życie własne i życie innych. Rzekł po prostu:

— Idź!

Stefan stał zmieszany i szukał jakiegoś serdecznego słowa. Jakże tak się rozstawać?

— Więc chcesz iść stąd? — spytał.

— Tak.

— Więc podaj mi rękę, stary druhu! Szczęśliwej drogi i... nie miej mi za złe...

Souvarine podał mu swą zimną jak z lodu rękę. On był wolny... nie miał ni kobiety, ni przyjaciela.

— Bądź zdrow... po raz ostatni... — rzekł Stefan.

— Bądź zdrow.

I Souvarine spoglądał już spokojnie na Katarzynę i Stefana znikających w bramie kopalni.

### III

O trzeciej rozpoczął się zjazd. W biurze kontrolera obok lampiarni siedział sam Dansaert. Zapisywał każdego zgłaszającego się górnika i polecał wydać mu lampę. Stosownie do obietnic na plakatach nie odmawiał żadnemu i nie robił żadnych uwag. Ujrawszy jednak u okienka Stefana i Katarzynę drgnął, zaczerwienił się i otworzył już usta, by odmówić przyjęcia. Po chwili jednak namyślił się i poprzestał na drwiąco tryumfalnym uśmiechu. Ha, ha, pomyślał, więc pokonany i on... ten postrach wszystkich! Więc przecież Kompania coś może, gdy straszliwy przewrotowiec z Montsou przychodzi tu za pracą. Milcząc, wziął Stefan lampę i poszedł wraz z przesuwaczką do hali zjazdowej.

Katarzyna bała się, że w hali zjazdowej górnicy rzucą się z obelgami na Stefana. Zaraz u wejścia ujrzała Chawała stojącego w grupie kilkunastu czekających na miejsce w klatce. Spostrzegłszy ją, postąpił kilka kroków wściekły, ale na widok Stefana cofnął się. Udał, że drwi, i wzruszył ramionami. Doskonale. Cóż mogło mu zależeć na tym, gdy inny zając się zdecydował jeszcze ciepłe miejsce jego. I owszem, w ten sposób pozbywał się wygodnie dziewczyny. Jeśli tamten lubi resztki po nim... to rzecz jego gustu. Ale w owych pogardliwych słowach kryła się zazdrość na nowo pobudzona. Oczy mu rozbłyły. Inni nie ruszyli się. Stali ze spuszczoneymi głowami, spojierając tylko spode łba na przybysza. Potem przestali nań nawet patrzeć i przygnębieni stali u wylotu szachtu z kilofami w rękach, wzdrygając się tylko od czasu do czasu skutkiem przeciągu, jaki panował w hali zjazdowej.

Wreszcie klatka stanęła. Zawołano czekających, a Stefan z Katarzyną usiedli w pustym wózku, obok nich zaś zajął miejsce Pierron z kilku innymi. Ponad nimi siedział Chaval i Stefan słyszał, jak mówił do starego Mouque'a, że dyrekcja bardzo źle czyni, nie korzystając ze sposobności uwolnienia kopalni od awanturników, którzy są jej hańbą. Ale stary stajenny popadł znów w zwyczajną swą psią uległość, nie gniewała go już śmierć jego dzieci, więc wzruszył tylko ramionami pojednawczo.

Klatka odcepiła się i zatonęła w ciemnościach szachtu. Nikt nie mówił. Nagle, gdy przebyto dwie trzecie drogi, klatka poczęła straszliwie trzeć o ściany. Okucia żelazne trzeszczały, ludzi rzucało jednych na drugich.

— Tam do licha! — mruknął Stefan — Czyż chcą nas zgnieść tutaj? Podusimy się jeszcze w tym przeklętym kominie. A mówią, że naprawili!

Ale klatka przebyła przeszkodę i spadała teraz w głąb wśród takiego deszczu, że górników znowu to zaniepokoiło. Więc porobiły się nowe szpary w szalowaniu?

Gdy spytano Pierrona, który pracował już od kilku dni, chcąc ukryć strach, który by można było wytłumaczyć jako potępienie dyrekcji, odpowiedział:

— Nie ma niebezpieczeństwa! Zawsze tak było. Widocznie nie miano czasu pozatykać szpar.

Deszcz walił po dachu klatki, a gdy dostano się do najniższej galerii, zmienił się w istne oberwanie chmury. Żadnemu z dozorców nie przyszło do głowy zejść po drabinie i przekonać się, co było przyczyną tego. Sądzone, że wystarczy pompa, a szpary zatka się nocy następnej. Miano dość roboty z reorganizacją pracy, a inżynier postanowił, że przed udaniem się na miejsca pracy wszyscy górnicy wezmą się na raz do naprawek najkorniejszych i odkopywania pozasypywanych tu i ówdzie chodników. Spustoszenie było takie, że gdzieś tam na przestrzeni stu i więcej metrów musiano odnawiać stępiowanie. Na dole formowano oddziały po dziesięciu pod wodzą dozorców, a ci wskazywali miejsca najbardziej uszkodzone. Gdy zjazd się ukończył, okazało się, że stanęło do pracy trzystu dwudziestu dwu, to jest mniej więcej połowa normalnej ilości przy zwyczajnym ruchu.

Chwała przyłączono do tego samego oddziału, do którego należeli Stefan i Katarzyna. Nie stało się to przypadkiem. Ukrył się za innymi, a potem narzucił dozorcę do oddziału, w którym brak było właśnie jednego. Przeznaczono ich do odkopywania chodnika na końcu galerii północnej, mniej więcej trzy kilometry od hali zjazdowej. Osypisko tamowało dostęp do pokładu Dix-Huit-Pouces.

Zabrano się do usuwania rumowiska kilofami i łopatami. Stefan, Chaval i pięciu innych rozbijali je, a Katarzyna i dwaj pomocnicy toczyli wózki aż do pochylni. Prawie nie rozmawiano, gdyż dozorca stał w pobliżu. Mimo to obaj kochankowie Katarzyny mało się nie wzięli za łby. Wbrew temu, co mówił, że nie obchodzi go wcale, zajmował się nią Chaval ciągle i szturchał po kryjomu, do tego stopnia, że Stefan musiał mu zagrozić rozwaleniem szczęki, jeśli nie da jej spokoju. Mierzyli się wzrokiem, trzeba było ich rozdzielić.

Okolo ósmej przybył obejrzyć robotę Dansaert. Był w bardzo złym usposobieniu i napadł od razu na dozorcę. Robota nie postępuje, wołał, należy stemplować w miarę posuwania się naprzód, taka robota nic nie warta! Potem poszedł, oświadczywszy, że wróci z inżynierem. Czekał na Négrela od rana i wydziwić się nie mógł, czemu go dotąd nie ma.

Minęła znowu godzina. Dozorca kazał wszystkim stemplować strop. Nawet przesuwaczka i pomocnicy porzucili wózki, a znosili i podawali klocki drzewa. W tym oddziale oddział znajdował się jakby na placówce bez kontaktu z innymi sztolniami. Kilka razy podniesiono głowy na odgłos, jakby biegła gromada ludzi, na dziwny jakiś hałas. Cóż to znowu? Zdawało się, że chodniki się opróżniają, a górnicy pędem biegną ku wyjazdowi. Ale hałas ustał po chwili, więc zacinano dalej klocki, a słuch głuszył łoskot młotków. Po długiej chwili wzięto się znów do usuwania gruzu.

Ale po pierwszym zaraz wózku wróciła Katarzyna i powiedziała z przerażeniem, że nikogo nie ma u dołu pochylni.

— Wołałam — a nie odpowiedział nikt! Wszyscy widać uciekli.

Ogarnął wszystkich taki strach, że rzucili narzędzia i pobiegli. Mroziła im krew w żyłach myśl, że są opuszczeni, w największej głębokości kopalni i tak daleko od szachtu. Porwali tylko lampy i biegli jeden po drugim, naprzód mężczyźni, potem Katarzyna i pomocnicy. Sam dozorca stracił głowę i przeląkł się, gdy wołając w różne chodniki, które mijali, przekonał się, że były puste. Cóż za wypadek wygnał stąd wszystkich? Przerażenie zwiększało jeszcze to, że nie wiedzano, jakiego rodzaju jest nieszczęście, które wszyscy czuli. W pobliżu szachtu zamknął im drogę strumień wody. Od razu sięgnęła im po kolaną, nie mogli biec, więc brnęli, z trudem pracując się naprzód, pędzeni strachem, że minuta spóźnienia może być przyczyną śmierci.

— Na Boga, szalowanie popsute! — krzyknął Stefan — Mówiłem, że poginiemy tutaj wszyscy.

Pierron od czasu zjazdu patrzył z niepokojem na płynącą wodę. Gdy wraz z dwoma innymi wsuwał wózek w klatkę, spadł mu na głowę słup wody, głusząc go i zalewając oczy. Ale większe jeszcze przerażenie ogarnęło go, gdy ujrzał, że dół szachtu, leżący o dziesięć metrów jeszcze pod poziomem hali dolnej, napełniony jest wodą, która sięga już do mostu i biegnie po flizach żelaznych. Znaczyło to, że pompa nie wystarcza dla pokonania dopływu wody. Powiadomił Dansaerta, ale ten zaklął i rzekł, że trzeba czekać na inżyniera. Dwa razy na to zwracał mu uwagę, ale prócz desperackiego wzruszenia ramionami nic nie zyskał. Tak, woda przybierała, ale cóż on mógł na to poradzić.

Zjawił się Mouque wiodący Batailla do roboty. Ale musiał go trzymać obu rękami, gdyż potulne zazwyczaj zwierzę stawalo dęba, wyciągało głowę ku szachtowi i rżało z przerażeniem.

— Cóż ci to, filozofie? — Niepokoi cię, że woda się leje? Chodź, to nie twoja sprawa.

Koń drżał na całym ciele, musiał go ciągnąć z całej siły ku galerii jezdnej.

Równocześnie niemal ze zniknięciem w głębi galerii Mouque'a z koniem, w powietrzu rozległ się trzask, a potem huk walącego się w przepaść drzewa. Oderwała się partia szalowania i spadła w dwustumetrową głęb, obijając się o ściany szachtu. Pierron i inni ładownicy zdolali umknąć, dębowe belki strzaskały jedynie same próżne wózki. Za deskami wpadł w głęb słup wody jakby ze stawu, którego służy otwarto. Dansaert chciał wyjechać, zobaczyć, co się stało, ale w tej chwili runęła druga część szalowania. Widząc

grozę położenia, przestał się wahać i dał rozkaz wyjazdu. Posłał dozorców do sztolni, by zwołali górników.

Rozpoczął się nieopisany zamęt. Z każdej galerii zbiegały grupy górników i rzucały się do klatek. Gnieciono się, duszono, zabijano niemal, by dostać się przed innymi. Kilku wpadło na myśl wyjścia drabinami, ale wrócili niebawem z wieścią, że ta droga już zamknięta. Wszystkich przerażało, że po przejściu jednych klatek drugie już nie zdołają zejść na dół, gdyż tymczasem szacht zostanie zatkany złomami rusztowania. U góry szalowanie widać pękało dalej, gdyż dochodziły głuche łoskoty i coraz grubszy stawał się słup spadającej wody. Jedna klatka zepsuła się zaraz i nie chciała przejść pomiędzy potrzaskanymi belkami, druga tarła tak silnie, iż lina zerwać się gotowa była lada chwila. A na dole było jeszcze około stu ludzi, charczących, czepiających się paznokciami klatek, wpółzatopionych. Dwu zabiły spadające belki, trzeci, który się uczepił pod klatką, spadł z wysokości pięćdziesięciu metrów i znikł pod wodą.

Dansaert usiłował zaprowadzić jakiś ład, porwał kilof i zagroził, że rozbije głowę każdemu nieposłusznemu. Ustawiał w rząd, mówił, że ładowniczy wyjdą ostatni, załadowawszy wpierw hajerów. Ale nie zważano nań wcale. Odpędził bladego Pierrona od klatki, gdyż chciał wydostać się pierwszy, i musiał go za każdym razem odpędzać policzkiem, ilekroć klatka stawała na dole. Ale i jemu poczęły szczekać zęby ze strachu, że za minutę może być za późno na ratunek. W górze widocznie pękało wszystko, bo na dół spadała woda słupem, a wraz z nią morderczy grad desek, belek i sztab żelaznych.

Biegło jeszcze paru górników do klatki, ale strachem owładnięty Dansaert wskoczył w wózek, pozwolił wejść Pierronowi i dał sygnał.

W tej chwili Stefan, Chaval i inni wydostali się z galerii. Ujrzeni znikające klatki, rzucili się do nich, ale musieli się cofnąć, gdyż reszta szalowania runęła w tej samej chwili na dół. Szacht był zatkany, nie można było już spuścić klatki. Katarzyna łkała, Chaval kłął. Pozostało na dole jeszcze około dwudziestu opuszczonych przez przełożonego górników. Stary Mouque, który nadbiegł co sił starczyło, trzymał jeszcze za uzdę Batailla. Obaj, starzec i zwierzę, z osłupieniem patrzyli na przybierającą ciągle wodę, która sięgała już bioder mężczyznom. Stefan zacisnął zęby i stał bez słowa, trzymając na rękach Katarzynę, a reszta krzyczała nie odwracając oczu od czarnego otworu szachtu, skąd lała się woda, a skąd nie mogło im już przyjść ocalenie.

Dansaert wyskoczywszy z klatki ujrzał biegnącego do kopalni Négrela. Nieszczęściem pani Hennebeau, gdy tylko wstał z łóżka, zasadziła go do przeglądania katalogów z podarkami ślubnymi. Teraz dochodziła już dziesiąta.

— Cóż się dzieje? — wołał z dala.

— Kopalnia stracona! — odkrzyknął starszy dozorca.

Jakając się, opowiedział, co się stało, a Négrel z niedowierzaniem wzruszył ramionami. Ale cóż znowu? Jakże całe szalowanie mogło spaść naraz? To przesada! Chciał się sam przekonać.

— Nikt przynajmniej nie został na dole? — spytał.

Dansaert się zmieszał. O nie... zapewne nikt. Miał nadzieję... Chociaż mogło tam zostać kilku, którzy się spóźnili.

— Więc do licha, czemużeś pan tutaj? — wrzasnął Négrel. — Czyż to słychane, by opuszczać ludzi!?

Kazał zaraz policzyć lampy. Rano wydano trzysta dwadzieścia dwie, teraz było ledwo dwieście pięćdziesiąt pięć. Ale wielu górników przyznało się, że zostawili swe lampy na dole lub że im z rąk wypadły w ścisku i panice, jakie tam panowały. Próbowano wywoływać nazwiska, ale nie można było i tak oznaczyć liczby obecnych. Jedni pobiegli już do kolonii, inni tak byli przerażeni, że nie słyszeli swych nazwisk, gdy je wywoływano. A przypuszczenia każdego były inne. Może ich było dwudziestu, może czterestu... to tylko nie ulegało wątpliwości, że byli tam na dole ludzie. Ludzie, którzy się pochylili ponad szachtem, mimo szumu wody i trzasku belek, słyszeli ich krzyk rozpaczny.

Négrel przede wszystkim posłał po pana Hennebeau, a potem chciał zamknąć kopalnię. Na to drugie było już za późno, gdyż górnicy, którzy wyjechali, rozbiegli się po największej części po koloniach i roznieśli taki popłoch, że za kilka minut kopalnię wypełniły kobiety, starcy i dzieci, wrzeszcząc, rwąc sobie włosy i łkając. Musiano tłum wyprzeć i ustawić kordon dozorców, by nie oblegano szachtu i nie tamowano zabiegów

ratunkowych. Wielu ocalonych nie poszło do domu, ale stali z wzrokiem utkwionym w czelusć, z której umknęli ledwo z życiem. Kobiety podniecone pytały o nazwiska tych, którzy zostali na dole. Czy był ten a ten? Albo ten? Albo ten? Nikt nie wiedział, wszyscy drżeli i wrzeszczeli jak opętani. Tłum wzrastał szybko, wrzaski i płacz było słychać daleko, a tam na szczycie wału, w szopie ojca Bonnemorta siedział na ziemi Souvarine. Nie odszedł jeszcze, siedział i patrzył.

— Nazwiska! Nazwiska! — wyły kobiety głosami wpół zdławionymi przez łzy.

Négrel stanął przed nimi i rzekł ostro:

— Gdy tylko się dowiemy, ogłosimy nazwiska. Ale nikt nie zginął, wszyscy zostaną uratowani... Ja zjeżdżam na dół.

Tłum zamilkł i czekał zdumiony. Czyżby doprawdy inżynier odważył się spuścić na dół? On tymczasem kazał odpiąć klatkę i zastąpić ją beczką, a z obawy, że woda zagasi mu lampę, kazał drugą przyczepić pod beczką.

Dozorcy pomagali w przygotowaniach, drząc na całym ciecie.

— Pan jedziesz ze mną, Dansaert! — rozkazał krótko Négrel.

Ale spojrzawszy na chwiejącego się na nogach Dansaerta, ogłupiałego ze strachu, odsunął go na bok pogardliwym ruchem.

— Nie, wolę sam. Przeszkadzałbyś mi pan tylko!

Wszedł do beczki kołyszącej się u końca liny i w jednej ręce trzymając lampę, drugą pociągnął za sygnałowy sznur.

— Pomału! — krzyknął jeszcze maszyniście.

Maszyna ruszyła z wolna, Négrel znikł w otworze przepaści, skąd dochodziły jeszcze dzikie jęki nieszczęśliwych.

U góry zastał wszystko w porządku i skonstatował dobry stan szalowania. Chwiejąc się na linie, obracał się na wszystkie strony, obmacywał rękami i oświetlał ściany. Było tu tak mało szczelin, że woda nie gasiła lampy. Ale gdy spuścił się w głębokość trzystu metrów, zgasła od razu, jak przewidział, a woda wypełniła beczkę. Odtąd widzieć mógł już tylko tyle, ile zdołał dostrzec przy świetle dolnej, wiszącej pod beczką. Mimo swej odwagi zadrżał na widok spustoszenia. Trzymało się jeszcze kilka desek, reszta wraz z całym rusztowaniem spadła. Na ich miejscu ukazały się ogromne, czarne jaskinie, którymi płynął żółty zmieszany z wodą piasek, a nurty podziemnego, nieznanego żadnemu żeglarzowi morza spadały kaskadami jak przez otwarte upusty. Spuszczał się coraz niżej i widział coraz więcej otworów, a beczka tańczyła, podskakiwała bita prądem wody. Lampa dolna rzucała jeszcze czerwone błyski i przy tym oświetleniu szacht wydał mu się długą ulicą wiodącą przez olbrzymie, spustoszone kataklizmem miasto o tysiącnych, krzyżujących się z sobą ulicach. Tutaj pomoc ludzka była niemożliwa. Jedną miał tylko jeszcze nadzieję, mianowicie tę, że zdoła uratować ludzi. Im więcej się opuszczał, tym lepiej słyszał ich krzyki. Wtem musiał pociągnąć za sygnał, gdyż nieprzewyciężona przeszkoda zatamowała mu drogę. Pod nogami ujrzał chaotycznie skłębione bierwiona, rusztowania, deski, kloce i resztki pompy. Gdy ze ściśniętym sercem patrzył na tę przeszkodę, krzyki w dole nagle ustały. Zapewne nieszczęśnicy uciekli przed wzbierającą wodą w chodniki albo może potonęli.

Négrel musiał w końcu dać sygnał, by go wyciągnięto. Ale nieco wyżej zatrzymał się znowu. Zdumiony był ciągle jeszcze katastrofą, której przyczyny nie mógł odgadnąć. Chciał sobie zdać sprawę i badał pilnie szalowanie. Zdziwiły go już przedtem nacięcia w drzewie. Lampa pod beczką rzucała ostatnie błyski, macał przeto rękami. I wyczuł bardzo dokładnie ślady piły, świdra, dłuta, całą straszliwą pracę niszczycielską. Widocznie katastrofa była obmyślona. Badał ciągle, a wokoło niego z trzaskiem odrywały się belki i spadały w głęb wraz z wiązaniem. Jedna omal nie porwała go z sobą. Odwaga go opuściła i na myśl o człowieku, który tego mógł dokonać, włosy mu powstały na głowie. Jakiś odziedziczony, religijny strach przed złem oblał go zimnym potem. Zdawało mu się, że pośród tych cieni płacze się cień zbrodniarza i pyszni nadludzkim ogromem dzieła. Krzyknął i szarpnął jak szalony za linę sygnałową. Czas był najwyższy, bo o sto metrów wyżej spostrzegł, że szalowanie górne także się porusza. Tworzyły się szczeliny, uszczelnienie wypadało i woda tryskała strumieniami. Była to już tylko kwestia czasu, kiedy szacht straci swe całe rusztowanie i zostanie zasypyany.

Pan Hennebeau czekał nań na wierzchu pełen trwogi.

— No cóż? — spytał.

Inżynier nie mógł mówić, ścisnęło go w gardle. Zatoczył się wpółomdlały.

— Ależ nie sposób, by było tak źle! — wołał pan Hennebeau. — Nikt nie widział czegoś podobnego! Badałeś?

Négreł skinął głową i spojrzał podejrzliwie dokoła. Nie chciał mówić wobec dozorców, więc po chwili odprowadził wuja dziesięć kroków na bok i cofał się jeszcze dalej, jakby mu się to zdawało jeszcze za blisko. Potem powiedział mu do ucha, że kopalnię ktoś poderżnął i dogorywa. Dyrektor pobladł i począł też mówić cicho, jak każdy instynktownie czyni, mówiąc o wielkich, nadludzkich zbrodniach. I na cóż było okazywać zresztą, że się drży jeszcze teraz przed dziesięcioma tysiącami górników Montsou? Potem okaże się, czy należy opublikować zbrodnię. I szepotali ze sobą dalej przerażeni, że znalazł się człowiek dość odważny, by zejść w głąb i tam, narażając się ciągle na śmierć, dokonać zniszczenia. Oni tej odwagi pojąć nawet nie mogli, ni uwierzyć w nią mimo dowodów, jak trudno uwierzyć opowiadaniom o ucieczce więźnia przez okno na trzydzieści metrów wzniesione ponad ziemię.

Twarz pana Hennebeau, w chwili, gdy zbliżył się znów do dozorców, drgała konwulsyjnie. Uczynił gest rozpaczony i kazał opróżnić kopalnię. Opuszczono budynki w nastroju pogrzebowym, ostatnimi spojrzeciami żegnając ogromne budowle stojące jeszcze, których jednak nic już uratować nie mogło.

Gdy dyrektor i inżynier ostatni wyszli z hali, powitał ich stojący w podwórzu tłum okrzykami:

— Nazwiska! Nazwiska! Chcemy nazwisk!

Pośród kobiet była też i Maheude. Usłyszawszy o katastrofie przypomniła sobie loskot tej nocy. Lokator jej i córka wyszli i pewnie są tam na dole. Nawymyślawszy im znowu od nikczemnych tchórzów, których spotyka to, na co zasłużyli, przybiegła i stała w pierwszym szeregu, drżąc ze strachu. Nie miała już wątpliwości, to, co słyszała dokoła siebie, upewniło ją. Tak, tam na dnie była Katarzyna i Stefan. Jeden hajer widział ich. Co do innych, zdania były podzielone. Jeden z górników przysięgał, że wyjechał z Chavalem. Levaque i Pierronka, mimo że żaden z ich bliskich nie był w niebezpieczeństwie, lamentowały też, a Zachariasz pokpiwający zawsze, wyjechawszy jeden z pierwszych, z płaczem objął ramionami matkę. Stał teraz przy niej, drżał jak ona i mówił z wielką serdecznością o siostrze. Nie chciał wierzyć, że została, póki by tego oficjalnie nie usłyszał.

— Nazwiska! Nazwiska! — wołano.

Négreł zdenerwowany krzykiem krzyknął głośno na dozorców.

— Każcie im być cicho! Człowiek może z wściekłości oszaleć. Nie znamy wcale żadnych nazwisk!

Minęła już godzina druga. W pierwszym przerażeniu nikomu nie przyszła na myśl stara kopalnia w Requillart. Pan Hennebeau kazał ogłosić, że ratunek rozpocznie się od tamtej strony. Wtem nadeszła wieść, że zagłady uszło jeszcze pięciu ludzi, wyszedłszy po wpółzgniłych drabinach starego, opuszczonego szachtu drabinowego. Wymieniono starego Mouque'a, co dziwiło wszystkich, gdyż myślano, że dawno wyjechał. Opowiadanie uratowanych zwiększyło rozpacz. Piętnastu górników nie mogło iść za nimi, gdyż zapadające chodniki rozdzieliły ich i zamknęły, a nie można im przyjść z pomocą, gdyż w Requillart woda sięga już dziesięciu metrów. Nareszcie dowiedziano się nazwisk i lamenty rozpoczęły się na nowo.

— Każcie im milczeć — zawołał znów Négreł — i cofnijcie ich! W tył o sto metrów! Tu niebezpiecznie! Niebezpiecznie!

Wołał sam i wołali dozorczy, ale musieli toczyć walkę z biedakami. Myśleli, że stało się jeszcze coś więcej i odpędzają ich, by ukryć zabitych.

Dozorcy musieli tłumaczyć, że budynki kopalni zapadną się pod ziemię. Na to zamilkli ze strachu i krok za krokiem dali się cofnąć, ale musiano podwoić ilość dozorców tworzących łańcuch ochronny, gdyż mimo woli, jakby przyciągani, zbliżali się co chwila do miejsca katastrofy. Mnóstwo ludzi cisnęło się po ulicach, a ciągle przybywali nowi, wielu przybyło aż z Montsou. A siedzący na wale Souvarine, by zabić czas, palił papierosy i nie spuszczał kopalni z oczu.

Teraz czekali wszyscy na to, co nastąpi. Wszyscy zapomnieli o obiedzie, nikt się nie ruszył z miejsca. Po pochmurnym niebie ciągnęły różowawe chmury, za płotem Ras-

seneura szczekał podrażniony obecnością tylu ludzi pies, a dokoła na polach buraczanych utworzyło się ogromne półkole ludzi, którego obwód wewnętrzny był oddalony sto metrów od murów kopalni, sterczącej jeszcze wszystkimi budynkami w górę. Poprzez pootwierane okna widać było opustoszałe wnętrza. Zapomniany bury kot, zwiertzywszy niebezpieczeństwo czy poznawszy je po nieobecności ludzi, zeskoczył ze schodów i uciekł, ognie pod kotłami tleć jeszcze musiały, gdyż z komina wznosił się wąski pasek dymu. Na szczycie któregoś dachu skrzypiała w wietrze blaszana chorągiewka i to był jedyny odgłos dolatujący z przeznaczonych na zagładę zabudowań.

O drugiej wszystko jeszcze stało na swoim miejscu. Dyrektor, Négrel i inni inżynierowie stali przed tłumem, dużą plamą czarnych surdutów i kapeluszy odcinając się od reszty. Inni nie ruszali się z miejsca, mimo że kolana ugięły się pod nimi, a podrażnieni i bezsilni wobec klęski, instynktownie zniżając głosy, jak przy łóżku umierającego, szepotali od czasu do czasu ze sobą. Górne szalowanie musiało się oderwać, bo usłyszano łoskot jakby upadku z wysoka, po czym znowu nastała cisza. Rana rozdzierała się tymczasem coraz szerzej. Wewnętrzne załamywania się galerii i chodników poczęły się coraz bardziej zbliżać do powierzchni ziemi. Négrela ogarnęła gorączka i wszedł w pusty obręb, z którego usunięto innych, ale go cofnięto. I na cóż narażać się? Nie mógł niczemu zapobiec. Ale jeden stary hajer zdołał prześliznąć się. Pobiegł aż do ogrzewalni i wrócił spokojnie ze swymi sabotami.

Wybiła trzecia i jeszcze nic nie przerwało ciszy. Deszcz przemoczył wszystkich, ale nikt nie ustąpił ni krokiem. Pies Rasseneura począł znowu szczekać. Aż około pół do czwartej wstrząśnienie poruszyło ziemię. Voreux zadrżała, ale wszystko stało jak dawniej. Nagle nastąpiło drugie wstrząśnienie i głośny okrzyk wyrwał się z ust tłumy. Obmazana smołą sortownia zachwiała się i padła jak domek z kart wśród ogłuszającego trzasku belek, z których sypały się skry w chwili, gdy się łamały. Od tej chwili ziemia nie przestawała drżeć i pękać. Następowaly podziemne uderzenia, warczenie i syk jak przy wybuchu wulkanu. Pies wył teraz przeciągle, a z tłumy wydzierały się okrzyki przerażenia za każdym hukiem. W kilku minutach spadł łupkowy dach wieży szachtowej i pękły mury hali i kotłowni. Potem hałas ustał i znowu nastała cisza.

Przez pół godziny stała tak kopalnia na poły rozwalona, jak po inwazji hordy barbarzyńców. Nie krzyczano, tłum rozstał się tylko i czekał. Spod gruzów sortowni wychylały się potraskane wózki i pogieęte rynny, i leje blaszane, najwięcej jednak gruzów leżało na miejscu niedawnej hali szachtowej, która teraz była jednym wzgórzem cegieł, sztab żelaznych, ankrów i pogieętych, zapadłych w ziemię walców i osi. Na linie wisiała jeszcze jedna klatka, a pod nią stały wózki i kupa fliz żelaznych i drabin. Dziwnym trafem pozostała nietknięta lampiarnia i świeciły w niej poprzez szklane szyby szeregi lamp. Na tle rozsypanej w proch kotłowni stała nietknięta maszyna na swym kamiennym postumencie, połyskując srebrem i złotem swych części składowych. Stalowe jej ramiona zdawały się niezniszczalne, a wielka dźwignia wydawała się olbrzymim kolanem olbrzymia, leżącego w spoczynku na ziemi.

Pan Hennebeau nabrał znów nieco nadziei, gdy minęła bez dalszego wypadku godzina. Niewątpliwie skończyły się wewnętrzne kataklizmy i będzie można uratować maszynę i część budynków. Ale nie pozwolił się jeszcze zbliżyć do kopalni. Chciał zaczekać pół godziny. Oczekiwanie stało się dręczące, nadzieja zdawała się trwać, wszystkim serca były żywe. Chmury gęstniejące spowodowały wcześniejszy zmrok i zmierzch padać począł na ponure resztki, które, jak się zdawało, uszły zniszczeniu. Czekano od siedmiu już godzin bez ruchu, bez jedzenia.

I nagle, gdy inżynierowie poczęli się ostrożnie zbliżać, odpędziły ich nowe wstrząśnienia. Rozległy się podziemne grzmoty podobne do niesłychanej kanonady. Padły ostatnie budynki. Wir jakiś porwał naprzód resztki sortowni i hali, kotłownia zapadła się bez śladu, padła też wieża mieszcząca pompę, jak człowiek trafiony kulą w serce. Potem ujrano, jak maszyna rzucona z podstawy walczy ze śmiercią i wreszcie pęka na kawałki. Pochyliła się, podniosła kolano, jakby chciała wstać, ale legła w gruzach. Tylko trzydziestometrowy komin stał jeszcze, mimo że trząsł się jak maszt miotanego burzą okrętu. Myślano, że popęka i w proch się rozsypie, ale nagle zapadł się w całej swej długości prosto w ziemię, jak olbrzymia stopiona świeca. Nie widać było ani końca piorunochronu.

Upadek, Katastrofa

Potwór, Maszyna, Upadek

Zginęła zła stwora żywiąca się co dnia mięsem ludzkim i już nikt nie posłyszeli teraz jej ciężkiego oddechu. Cała Voreux zapadła się w przepaść.

Tłum się rozbiegł na wszystkie strony, kobiety, biegnąc, zasłaniały rękami oczy. Strach rozwiał ludzi jak wiatr kupę liści. Jak krater wygasłego wulkanu, głęboko na piętnaście metrów rozciągała się przestrzeń zniszczona od drogi po kanał na szerokość przeszło czterdziestu metrów. Nie ocalało nawet podwórze, zapadły się olbrzymie rusztowania żelazne, mosty wraz z szynami, cały pociąg wózków i trzy wagony kolejowe, nie licząc zapasów drzewa, na które ścięto cały las, a które teraz połknęła ziemia niby wiązkę słomy. Na dnie krateru widać było tylko chaos belek, cegieł, żelazniwa, gruzu i jakieś czarne nieokreślone strzępy. A dziura powiększała się ciągle, tworzyły się szczeliny i ciągnęły daleko w pola. Jedna dotarła do gospody Rasseneura, a fasada domu pękła. Czyż cała kolonia się zapadnie? Jakże daleko trzeba uciekać, by czuć się bezpiecznym w tym dniu okropnym?

Nagle wyrzucił Négrel okrzyk rozpacz, a pan Hennebeau cofnął się i zapłakał. Nieszczęście jeszcze nie było zupełne. Pękła jedna z tam, a woda kanału w kaskadach spłynęła do otwartych szczelin. Kopalnia wypila rzekę... chodniki teraz na całe lata były zalane wodą. Wnet napelnił się krater i tam, gdzie rano jeszcze stała Voreux, leżała kałuża brudnej wody, podobna do owych jezior, na dnie których śpią podobno zalane miasta. Nastąpiła cisza, którą mącił jedynie szum lejącej się w głąb ziemi wody kanału.

Souvarine siedzący na wale, który lekkich tylko doznał wstrząśnień, wstał teraz. Spojrzał po ludziach i dostrzegł srodze dotkniętych Zachariasza i Maheude. Odwrócił się od płaczących, rzucił ostatni wypalony papieros, odszedł z wolna, nie oglądając się, i znikł w ciemnościach. Szedł gdzieś daleko, nie wiadomo gdzie, spokojnie jak zwykle niósł w zanadrzu zniszczenie, a wszędzie, gdzie jest dynamit, którym można wysadzać miasta, burżuazja pozna jego obecność, gdy bruk ulicy zadrży pod jego stopami.

Rewolucja, Idealista,  
Zbrodniarz

#### IV

Tej samej jeszcze nocy pan Hennebeau wyjechał do Paryża, chcąc powiadomić radę nadzorczą o tym, co się stało, i uprzedzić doniesienia dzienników. Gdy na drugi dzień powrócił, był spokojny i chłodny jak zawsze. Zepchnął widocznie z siebie odpowiedzialność i nie popadł w niełaskę, przeciwnie, w dwadzieścia cztery godziny potem podpisany został dekret mianujący go kawalerem legii.

Ale chociaż dyrektor wyszedł cało, Kompanią zachwiał ten cios straszliwy. Nie szło o parę straconych milionów, ale drżeć poczęto o to, co nastąpi, wobec niesłychanej zbrodni obawiano się o inne kopalnie. Cios był tak silny, że znowu postanowiono milczeć. I na cóż zdałoby się wyciągać prawdę na jaw? Lepiej ze zbrodniarza, choćby go i odkryto, nie robić apostoła i męczennika, gdyż jego heroizm mógł innym zawrócić w głowach i wywołać naśladownictwo, zrodzić całą legię może podpalaczy i morderców. Zresztą nie miano najłżejszych podejrzeń co do osoby prawdziwego sprawcy, sądzono, że istnieje cała armia winowajców, i nie przypuszczano, by jeden człowiek miał dość odwagi do wykonania podobnego czynu. Ale to właśnie niepokoiło i kazało ciągle drżeć o byt kopalń. Zorganizowano tajną policję, odprawiono bez hałasu podejrzanych, którzy mogli należeć do spisku, i ze względów politycznych poprzestano na tym.

Oddalono tylko bezzwłocznie Dansaerta, który skompromitował się z Pierronką, a za powód posłużyło nikczemne tchórzostwo, skutkiem którego zostawił w kopalni ludzi. Z drugiej strony było to ustępstwem na rzecz robotników nie cierpiących Dansaerta.

Mimo wszystko wieści jakieś przenikły do gazet, a dyrekcja zdementowała formalnie wersję, wedle której górnicy mieli zapalić w kopalni beczkę prochu. Przyjechał inżynier rządowy i złożył raport, że katastrofa nastąpiła skutkiem naturalnego przygniecenia ścian szalowania przez skały i wodę. Dyrekcja nie protestowała, biorąc na siebie odpowiedzialność za niedokładny nadzór, i na tym się skończyło. Odnosnie do cierpiących zasypanych górników pisma paryskie przynosiły co dnia świeże nowiny, a mieszcuchy połykali telegramy. W samym Montsou drżeli wszyscy na wspomnienie Voreux, utworzyła się legenda, której słuchać bez strachu nie mogli najodważniejsi nawet. Równocześnie prześcigano się w datkach miłosiernych dla rodzin ofiar, wędrowano gromadnie, by stąpić na ziemię, ciążącą tak strasznie nad głowami nieszczęśliwych.

Zamianowany generalnym inżynierem Deneulin rozpoczął pracę w ciężkich warunkach. Pierwszym jego wysiłkiem było zwrócić kanał w dawne łóżysko, gdyż woda pogarszała z każdym dniem sytuację. Przeszło stu robotników poczęło budować tamę. Dwa razy napór wody przerwał wał, a gdy się wreszcie udało, ustawiono pompy i poczęła się walka o odzyskanie straconej kopalni.

Z większym jeszcze zapalem wzięto się do ratowania górników. Négrel był upoważniony do użycia wszelkich środków, a rąk mu nie brakło, gdyż kłócono się o ten zaszczyt. Górnicy zapomnieli strajku, zapłaty i rzucili się do ratunku towarzyszy z poświęceniem własnego życia i zdrowia. Czekano z narzędziami na sygnał, a nawet ci, którzy skutkiem przerażenia cierpieli na halucynacje, stanęli do roboty gotowi mścić się na ziemi pożerającej ludzi. Niestety nie wiadano, gdzie zaczynać, w którym kierunku się posuwać.

Négrel był pewny, że wszyscy piętnastu utonęli lub udusili się, ale zasadą górniczą jest, by zawsze uważać za żyjących ludzi zamkniętych w ziemi, więc stosownie do tego wygotowano plany. Pierwszą kwestią było naturalnie, gdzie się mogli schronić nieszczęśliwi. Na naradzie starszych i doświadczonych górników uznano, że ścigani przez wodę uciekali z galerii do galerii coraz wyżej, aż do najwyższych sztolni i pewnie są na końcu którejś na górnym piętrze. Przypuszczenie to potwierdził również stary Mouque i z jego mętnych opowiadań wywnioskowano jeszcze, że uciekający podzielili się na małe grupy i rozbiegli w różne sztolnie. Ale zdania rozchodziły się, gdy szło o sposoby ratunku. Najbliższe powierzchni ziemi sztolnie dzieliła od niej przestrzeń pięćdziesięciu metrów, więc o wierceniu szachtu mowy być nie mogło. Jediną drogą zbliżenia się pozostało jeszcze Requillart, ale nieszczęściem i ta kopalnia była zalana i nad poziomem wody znajdowały się jedynie resztki górnych galerii, a tędy bardzo wątpliwe było dostanie się do Voreux. Pompowanie wody mogło trwać lata, pozostawało więc tylko zbadanie tych dróg, które przypadkiem może mogły zaprowadzić zbiegów w pobliże sztolni. Nim powzięto ten wniosek, przedyskutowano i odrzucono mnóstwo arcyniepraktycznych projektów.

Négrel wytyczył punkty, gdzie miano zacząć robotę, na podstawie starych planów obu kopalni, wyszukanych w archiwach. I jego, mimo zwykłej pogardy rzeczy i ludzi, roznamiętniła ta akcja ratunkowa. Pierwsze przeszkody napotkano przy wejściu do szachtu w Requillart. Musiano rozszerzać otwór, wycinać drzewa i krzaki i naprawiać drabiny. Po czym poczęto pukać na wszystkie strony. Négrel z dziesięciu górnikami spuścił się na dół, kazał im pukać kilofami, a potem, nakazawszy ciszę, przyciskał ucho do ściany, słuchał i czekał odpowiedzi. Ale daremnie przeszukano wszystkie dostępne jeszcze galerie, echo nie odpowiedziało. Wzrastało zaniepokojenie, nie wiadano, gdzie zaczynać, w którym kierunku się posuwać, ale nie przestawano szukać.

Od pierwszego dnia przychodziła do Requillart Maheude, siadała na belce i nie ruszała się do wieczora. Każdego wychodzącego z szachtu pytała:

— Jeszcze nic?

— Nic! — odpowiadał górnik.

Siadała na nowo z wzrokiem utkwionym w czarny otwór. Jeanlin myszkował też dookoła jak dzikie zwierzę, którego jamę plądrują. Obawiał się, że znajdą małego żołnierza śpiącego tam pod skałami, ale ta część kopalni stała pod wodą, a poszukiwania kierowały się więcej ku zachodowi. Z początku przychodziła i Filomena, ale wnet znudziły ją te bezskuteczne poszukiwania, więc została w kolonii, kaszląc od rana do wieczora. Natomiast Zachariasz rozgorzał myślą znalezienia siostry, zrywał się z krzykiem w nocy, gdyż śniła mu się wyszła, z gardłem spuchniętym od krzyku o pomoc, wstawał więc przed świtem i biegł do Requillart. Dwa razy bez rozkazu począł kopać, mówiąc, że czuje, iż to tutaj, więc Négrel zabronił mu schodzić na dół. Ale odpędzony, krążył ciągle koło szachtu, nie mogąc wytrzymać w domu.

Minął trzeci dzień od katastrofy, Négrel stracił nadzieję i chciał już zaprzestać poszukiwań właśnie tego wieczora. Ale gdy po śniadaniu wrócił do Requillart, ujrzał Zachariasza wychodzącego z szachtu. Był bardzo czerwony i wołał:

— Jest tu! Jest tu! Odpowiedziała! Chodźcie! Chodźcie!

Wbrew zakazowi zszedł na dół i przysięgał, że pukano w pierwszej sztolni pokładu Wilhelma.

— Ależ tam, gdzie mówisz, byliśmy już dwa razy! — krzyknął Négrel zniecierpliwiony.

Maheude chciała też schodzić, musiano ją trzymać. Stała nieporuszona z oczyma utkwionymi w głąb studni.

Na dole zapukał sam Négrel trzy razy i, nakazawszy ciszę, przywarł uchem do ściany. Nie słyszał ni najłżejszego szmeru i potrząsnął głową. Widocznie przyśniło się biednemu chłopcu. Zachariasz zapukał znowu i oczy jego rozbłyły, a ciałem wstrząsnął dreszcz radości. I inni górnicy także wpadli w podniecenie, usłyszeli i oni odpowiedź. Inżynier zdumiony nadłuchiwał znowu i wreszcie i on posłyszał ledwo uchwytny szmer rytmiczny, znany sobie sygnał górników znajdujących się w niebezpieczeństwie. Węgiel niesie najdrobniejszy szmer bardzo daleko, a jeden z hajerów obliczył grubość ściany dzielącej ich od nieszczęśliwych na pięćdziesiąt metrów. Wszyscy mimo to poczęli radować się, jakby już mogli im podać rękę, a Négrel kazał natychmiast rozpoczynać.

Zachariasz wyszedł na wierzch i uściskał matkę.

— Nie róbcie sobie nadziei! — ozwała się Pierronka, wałęsająca się tam z ciekawości.  
— Gdyby jej nie było, tym więcej cierpielibyście potem!

I było to prawdą. Katarzyna mogła być gdzie indziej.

— Milcz, suko! — krzyknął Zachariasz. — Jest tam, wiem o tym!

Maheude usiadła znowu i poczęła wpatrywać się w szacht.

Gdy wieść dotarła do Montsou, zbiegli się ciekawi. Na dole tymczasem pracowano, a Négrel z obawy, by w galerii nie trafić na przeszkodę, kazał bić trzy, nachylone ku przypuszczalnemu miejscu, gdzie byli zasypani. Naraz, w ciasnej szyi pracować mógł tylko jeden hajer, ale zmieniano ludzi co dwie godziny. Węgiel wydobywano koszykami, podając je z rąk do rąk, a łańcuch ludzi przedłużał się, w miarę jak docierano głębiej. Z początku robota szła szybko, zbliżano się po sześć metrów dziennie.

Zachariasz dokazał tego, że mu pozwolono pracować. Był to zaszczyt, o który się dobijano, i chłopiec zły był, gdy musiał ustępować miejsce drugiemu. Galeria jego wyprzedziła wnet inne, walił w węgiel z taką zaciekłością, że ze sztolni dolatywało jego sapanie, podobne do sapania miecha kowalskiego. Wychodził tak zmęczony, że padał i musiano go zawijać w koldrę. Ale na nieszczęście węgiel stawał się coraz to twardszy, dwa razy pękł Zachariaszowi kilof i chłopiec płakał z wściekłości, że robota postępuje tak pomału. Cierpiał też skutkiem gorąca w ciasnym kominie, gdzie nie dochodziło powietrze. Ręczne wentylatory nie wystarczały i trzy razy musiano wynosić hajerów wpół zaduszonych gazami.

Négrel nie opuszczał szachtu, jedzenie przynoszono mu z domu, sypiał na sianie zawinięty w płaszcz. Odwagę i nadzieję podtrzymywały coraz to głośniejsze sygnały nieszczęśliwych wołające o pośpiech. Teraz brzmiały wyraźnie z metalicznym pogłosem, jak dźwięki stroika. Kierowano się nimi jak w bitwie hukami dział. Ile razy zmieniano hajera, wchodził w szyję Négrel i pukał, a pukanie odpowiadało za każdym razem coraz to natarczywsze. Posuwano się w dobrym kierunku, ale jakże wolno! Z pewnością nie będzie możliwe zdążyć na czas. W pierwszych dwóch dniach przebito wprawdzie trzynaście metrów, ale w trzecim zdołano przebić ledwie pięć, w czwartym cztery, następnym trzy. Węgiel był tak twardy, że nie posuwano się teraz dziennie ponad dwa metry, dziewiątego dnia, po nadludzkich wysiłkach przestrzeń przebita wynosiła razem trzydzieści dwa metry i obliczono, że należy jeszcze przedostać się przez dwadzieścia. Dla zasypanych był to już dzień dwunasty. Dwanaście razy po 24 godzin bez chleba, ognia, w ciemnościach! Ta myśl wyciskała pracującym łzy z oczu i tamowała ruchy ich ramion. Niepodobna, by ludzie ci żyli! Pukanie było też od wczoraj słabsze, drżano na myśl, że może ustać.

Maheude przesiadywała po całych dniach u szachu ze Stelką na rękach i śledziła ciągle robotę, odżywając nadzieją i zapadając znowu w odrętwienie. Dokoła niej krążyły grupy ciekawych, krzyżowały się rozmowy, domysły i uwagi. Sercom wszystkich bliskimi byli nieszczęśnicy zasypani tam w głębi sztolni.

Dziewiątego dnia, gdy wołano Zachariasza, aby szedł na śniadanie, nie odpowiedział, klnąc ciągle, walił kilofem w ścianę węglową, a nie było Négrela, który by go zmusić mógł do posłuszeństwa, był tylko dozorca i trzech ludzi. Naraz Zachariasz, którego widocznie złościł brak światła, popełnił nieostrożność i otworzył lampę, nie zważając, że najsurowiej zabroniono tego ze względu na obfitość gazów, które się pojawiły od trzech dni. Rozległo się jakby uderzenie piorunu, a sztolnia buchnęła ogniem, jak armata nabita kartaczami. Cała galeria stanęła w ogniu, którego pęd porwał dozorcę i trzech górników, a płomienie

buchnęły szachtem, wyrzucając kamienie i drzazgi drzewa. Ciekawi uciekli, a Maheude zerwała się, przyciskając Stelkę do piersi.

Négrel, który nadbiegł, wściekał się ze złości. I inni górnicy tłukli obcasami w ziemię, tę okrutną, podłą ziemię, która pochłania swe dzieci, kiedy jej się spodoba. Poświęcano się przecież za towarzyszy, a tu jeszcze musiano ginąć. Po trzech godzinach wysiłków można było znowu dostać się do galerii i wydostać ofiary. Dozorca i trzech hajerzy nie umarli, ale ciała ich pokryte ranami wydawały zapach pieczonego mięsa. Pili wprost ogień, gdyż poranione mieli gardła. Krzyczeli z bólu i prosili, by ich dobito. Jeden z nich był to właśnie ów człowiek, który podczas strajku rozbił pompę w Gaston-Marie, dwaj inni mieli jeszcze ręce pocięte od cegieł, którymi rzucali na wojsko. Ludzie przyglądali się, pobledli ze strachu i zdejmowali czapki, gdy przenoszono rannych.

Maheude czekała ciągle. Wyniesiono właśnie ciało Zachariasza. Ubranie było spalone, kadłub był zwęglonym kłosem czarnym, nie do poznania, głowę zmiażdżyła mu i urwała eksplozja. Maheude poszła bez łez za zwłokami, ze Stelką na rękach i rozwianym włosom. Był to widok tragiczny. Filomena patrzyła głupkowato na szczątki, potem buchnęła płaczem i to jej ulżyło. Matka, odprowadziwszy ciało syna do kostnicy, wróciła zaraz czekać na córkę.

Minęły znowu trzy dni, pracowano dalej wśród ogromnych trudności. Szczęściem szyja wykuta nie zapadła się od wybuchu, ale powietrze w niej było gorące i zepsute, tak że musiano je oczyszczać ręcznymi wentylatorami. Od nieszczęśliwych dzieliło hajerów już tylko dwa metry, ale pracowano teraz bez nadziei, z wściekłości tylko, gdyż sygnały ustały. Był to dwunasty dzień pracy, piętnasty od katastrofy i wszyscy byli pewni, że odnajdą trupy.

Nowy wypadek pobudził ciekawość mieszcuchów Montsou. Urządzono wycieczki do Requillart i Gregoire'owie zdecydowali się też pojechać tam. Ułożono wycieczkę, mieli udać się powozem do Voreux wraz z Łucją i Janką, stamtąd do Requillart, by dowiedzieć się szczegółów od Négrela, a potem miano wrócić na obiad do Montsou.

Gdy Gregoire'owie wysiedli o trzeciej w Voreux, zastali już tam panią Hennebeau. Ubrana w stalowy kostium marynarski zasłaniała się parasolką od bladego, lutowego słońca. Niebo było pogodne, a powietrze ciepłe, wiosenne. Był tam też pan Hennebeau i roztargniony słuchał opowieści Deneulina o wysiłkach w celu zatamowania kanału. Janka, jak zawsze ze szkieletem w ręku, rozentuzjasmowana strasznym motywem rysowała, a obok niej Łucja, siedząc na zmiażdżonym wózku, zachwycała się *bajecznym* zniszczeniem. Wody kanału poprzez szczeliny tamy rzucały się kaskadami w głęboki jar pozostały po zapadłej w głąb ziemi kopalni, ale woda z wolna opadała już, odsłaniając okropne szczątki wyglądające jak obrzydła kloaka, zgniłe cielsko zapadłego w błoto, zniszczonego miasta.

— I pomyśleć, że człowiek zadaje sobie tyle trudu, by to widzieć! — wykrzyknęła pani Gregoire rozczarowana.

Cecylka wyglądała prześlicznie i rozradowana była pogodą i ciepłem, żartowała też i śmiała się, ale pani Hennebeau kręciła ustami i mówiła:

— Rzeczywiście, nie jest to nic ładnego!

Inżynierowie śmiali się i usiłowali zabawić panie, oprowadzali je więc wszędzie, objaśniali funkcjonowanie pomp i bicie pali. Ale panie zniecierpliwiły się i poczęły ziewać, dowiedziawszy się, że potrzeba pięć do sześciu lat na wyczerpanie wody i naprawienie szkód. O nie, nie chciały na to patrzeć... gotowe się jeszcze przyśnić człowiekowi!

— Wracajmy! — rzekła pani Hennebeau, zwracając się do powozu.

Ale Janka i Łucja sprzeciwiły się. Jak to, już? A szkic jeszcze nie skończony! Wołały zostać. Ojciec przywiezie je wieczorem na obiad. Pan Hennebeau wsiał więc z żoną do karety, gdyż chciał rozmówić się z Négrelem.

— My zaraz jedziemy za wami — powiedział pan Gregoire, zboczmy tylko do kolonii robotniczej i będziemy za pięć minut w Requillart.

Wraz z Cecylką i panią Gregoire wsiał do powozu, który skierował się do wsi.

Państwo Gregoire'owie chcieli wykonać akt dobroczynności. Śmierć Zachariasza nappełniła litością ich serca dla rodziny Maheuów, o której wszędzie mówiono. Nie żalowali tego rozbójnika Maheua, tego mordercę, którego rozstrzelać musiano, ale tym więcej

litowali się nad matką. Ach, biedna kobieta! Mąż zabity, syn uległ wypadkowi, córka pod ziemią, może już martwa, a w dodatku chory starzec, dziecko okaleczone skutkiem wypadku i wreszcie córka zmarła z głodu podczas strajku. Chociaż sami przeważnie winni byli temu wszystkiemu i dobrze im się stało za to, że mieli te przekłete przekonania rewolucyjne, państwo Gregoire'owie przebaczyli im jednak i na dowód tego sami chcieli ich wesprzeć. Pod siedzeniem powozu mieściły się dwa wielkie, starannie owinięte pakiety.

Stara jakaś kobieta wskazała furmanowi mieszkanie Maheudy. Ale daremnie pukano do drzwi, daremnie bito nawet pięściami. Dom wyglądał jak wymarły czy opuszczony od dawna.

— Nie ma nikogo — rzekła Cecylka. — A to okropne! Cóż począć teraz z tymi wszystkimi rzeczami.

Nagle otwarły się drzwi sąsiednie i ukazała się Levaque.

— O, to pan dobrodziej, pani dobrodziejka i panienka! — zawołała. — Proszę wybaczyć, sąsiadka wyszła do Requillart!

Z wielką gadatliwością poczęła rozwodzić się nad całą historią kładąc ciągle nacisk na to, że wzięła do siebie Lenorę i Henrysia, gdyż trzeba sobie wzajem pomagać. Dostrzegła pakiety i sprowadziła opowiadanie na swą córkę, na własną nędzę. Wreszcie rzekła z wahaniem.

— Mam klucz. Jeśli wielmożni Państwo chcą wejść... dziadek jest w domu.

Spojrzeni zdumieni. Jak to, jest w domu i nie odezwał się, gdy pukali. Gdy Levaque otworzyła drzwi, stanęli osłupiali w progu.

Przy ostyglym dawno kominie siedział na krześle Bonnemort, z oczami bezmyślnie wlepionymi w przestrzeń. Izba bez zegara i szaf wydała się teraz jeszcze większa. Nie było tu nic prócz krzesła Bonnemorta i portretu cesarza i cesarzowej uśmiechających się ze ściany głupkowato. Starzec nie ruszył się na widok ludzi, nie widział ich pewnie wcale. Siedział, a u nóg jego stała miseczka z popiołem, w którą spluwał od czasu do czasu.

— Nie zważajcie na niego, Wielmożni Państwo! — mówiła uprzejmie Levaque. — Musiało mu się coś popsuć w głowie, bo od dwu tygodni nie mówi.

Bonnemortem wstrząsnął głęboki, gdzieś z brzucha idący kaszel. Splunął w miseczkę i zapadł w poprzednią nieruchomość.

Wzruszeni do żywego i pełni odrazy, Gregoire'owie szukali jednak jakiegoś przychylnego słowa.

— No, mój pocziwczu! — rzekł pan Gregoire — musiałeś się przeziębici!

Starzec ni drgnął. Nastąpiła przykra cisza.

— Powinna by wam Maheude zgotować ziółek! — dodała pani Gregoire.

Znowu cisza.

— Wiesz, ojczulku — odezwała się Cecylka — mówiono nam, że jest chory. Zapomnieliśmy o tym...

Urwała zmieszana. Postawiwszy na stole talerz z kawałkiem pieczonego mięsa i dwie faszki wina, wyjęła z drugiego pakietu parę wielkich trzewików. Był to prezent dla starca, ale nie śmiała go wręczyć, widząc opuchłe nogi biedaka. Pewnie nie będzie już mógł chodzić.

— Ha... — podjął znów pan Gregoire jowialnie — trochę spóźniony prezent, prawda, mój starcy? Ale to nic... to się zawsze przyda w domu... co?

Bonnemort nie drgnął, na kamiennej jego twarzy nie było żadnego wyrazu.

Cecylka postawiła trzewiki pod ścianą, ale mimo że uczyniła to ostrożnie, gwoździe stuknęły głośno o podłogę i trzewiki dalej wprawiały Gregoire'ów w zakłopotanie.

— O, on za to nie podziękuje — rzekła Levaque łakomie patrząc na trzewiki — to stracony trud.

Poczęła mówić i usiłowała ściągnąć Gregoire'ów do swego mieszkania w nadziei pobudzenia ich do litości. Nagle wpadł jej pomysł. Poczęła wysławiać grzeczność i inteligencję Lenory i Henrysia. Ach, co to za dzieci! Odpowiadają na wszelkie pytania i dadzą wszelkie wyjaśnienia.

— Chcesz wstąpić na chwilę, moje dziecko? — spytał pan Gregoire córki, rad wyjść stąd jak najprędzej.

— Zaraz przyjdę za wami! — odparła.

Została sama z Bonnemortem, powstrzymało ją jakieś wspomnienie. Gdzież to wi-

Morderstwo

działa tę twarz nagą, kwadratową, pokrytą plamami węgla? Nagle przypomniała sobie chwilę, gdy otoczył ją wrzeszczący, rozszalały tłum, gdy uczuła na szyi zimne, wielkie ręce chorego zwierzęcia. Tak, to był on. Poznała teraz leżące na kolanach wielkie ręce górnika, w których spoczywa cała jego siła. Bonnemort poczuł się jakby budzić ze snu, spostrzegł ją i zaczął przyglądać się. Na białą jego twarz buchnęła krew, oczy zapalały, twarz przeszył spazm. Wstał i stali tak przed sobą jak skamieniali, ona rumiana, tłusta, świeża, rozkwitła skutkiem próżniaczego życia, on zniekształcony wodną puchliną, obrzydliwy, wstrętny jak parszwy kot, dziedzicznie od pokoleń uwsteczniiony w rozwoju przez sto lat pracy i głodu...

Gdy po dziesięciu minutach Gregoire'wie, zdziwieni, że Cecylka nie przychodzi, stanęli w progu, wydali okrzyk przerażenia. Na ziemi leżała ich córka uduszona, z posiniąłą twarzą i czerwonymi odciskami olbrzymich palców na szyi. Bonnemort, nie mogąc się utrzymać na obumierających nogach, padł obok niej i nie mógł wstać. Przewrócił miseczkę i czarne płwociny obryzgały wszystko dookoła. Pod ścianą nietknięte stały trzewiki, a ponad nimi cesarz i cesarzowa uśmiechali się głupkowato.

Nie udało się nigdy dowiedzieć, jaki miała przebieg sprawa, czemu się Cecylka zbliżyła do starca i jak mógł wstać, by ją chwycić za szyję! Pewnie chwyciwszy raz, dusił bez przestanku, tak że nie wyrwał się ni jeden okrzyk, dusił do ostatniego tchu, a potem padł wraz ze swą ofiarą na ziemię. W ten sposób tylko mogło się stać, że nie posłyszano nic w sąsiedztwie poprzez cienki mur domu. Zajście przypisano nagłemu wybuchowi szału lub żądzy morderczej na widok białej szyi dziewczyny. Nikt nie przypuszczał takiej dzikości w chorym starcu, który przez całe życie odznaczał się wielką uległością i nigdy nie hołdował nowym ideom. Jakaś jemu samemu nieznana nienawiść rosła w nim, wzbierała i wybuchła nagle. Tak, było to morderstwo popełnione przez idiotę.

Gregoire'owie klęczeli i szlochali nad zwłokami córki, targani strasznym bólem. Zabitą ich dziecko, owo długo oczekiwane dziecko, które otaczali miłością i wygodami, koło łóżka którego chodzili na palcach, dziecko, które nigdy nie wydawało im się dość odżywione, tłuste, zdrowe. Była to ruina całej ich egzystencji, całego życia!

Levaque przerażona wykrzyknęła:

— Ach, stare bydle! Ładną rzecz zrobiliście! Boże miłosierny, kto by się był spodziewał!... Maheude przyjdzie aż wieczór!... Czy może pójść po nią?

Zrozpaczeni Gregoire'owie nie odpowiadali.

— Prawda, lepiej będzie, gdy po nią skoczę? — rzekła Levaque. — Idę!

Ale wpadły jej w oczy trzewiki. Cała kolonia była poruszona, ciśnięto się już u drzwi. Pewnie ktoś skradnie trzewiki. A przy tym, nie ma ich komu nosić u Maheuów. Ostrożnie zabrała i wyszła. Może będą dobre dla Bouteloupa, myślała wychodząc.

W Requillart państwo Hennebeau i Négrel czekali długo na Gregoire'ów. Négrel opowiadał o pracach ratunkowych. Spodziewano się tego jeszcze wieczora dostać się do zasypanych, ale pewnie znajdzie się jedynie trupy, bo od paru dni nie słychać pukania. Poza inżynierem siedząca Maheude słuchała, błada śmiertelnie. Wtem nadbiegła Levaque i powiedziała jej, co zrobił stary. Maheude machnęła niecierpliwie ręką, ale wstała i poszła.

Pani Hennebeau była bliska omdlenia, gdy się dowiedziała. Ach, cóż za ohyda! Ta biedna Cecylka, dziś jeszcze tak świeża i pełna życia! Pan Hennebeau musiał ją zaprowadzić na chwilę do mieszkania Mouque'a i drżącymi rękami rozpiął gorset. Buchnął zeń zapach piżma. Zalana łzami objęła za szyję Négrela, zmartwionego wypadkiem, udaremniającym jego małżeństwo. Mąż słyszał, jak lamentowali oboje. Dla niego było to wyzwoleniem i uspokojeniem. To nieszczęście sprowadzało wszystko do dawnego, a pan Hennebeau rad był, że nie stracił siostrzeńca i nie musi się bać stangreta.

## V

Nieszczęśliwi pozostawieni na dnie kopalni krzyczeli z trwogi, a woda sięgała im już do pasa. Huk wody ogłuszał ich, spadające belki dawały wrażenie, że świat się wali, a największą męką był im wrzask zamkniętych koni. Było coś strasznego w tym ryku zwierząt szarpanych strachem śmiertelnym.

Mouque puścił Batailla. Koń stał drżąc i spoglądając na wzbierającą wodę. Hala napętniała się szybko, a trzy wiszące jeszcze u sklepienia lampy oświetlały zielone nurty. Nagle

koń, poczuwszy lodowatą wodę na grzbiecie, rzucił się galopem i zniknął w ciemnych galeriach.

Ludzie pobiegli za nim w ślad.

— Tu nie ma nadziei! — krzyknął stary Mouque. — Spróbujmy wyjść przez Requillart!

Pobiegli pędzeni myślą, że wyjść zdołają przez starą, opuszczoną kopalnię, jeśli zdążą tam przed wodą. Dwudziestu górników biegło sznurem, trzymając lampy wzniesione w górę, by ich nie pogasiła woda. Szczęściem galeria wznosiła się lekko i szli jakieś dwieście metrów walcząc z falą, która jednak nie przybierała. Stare, zapomniane legendy górnicze przychodziły na myśl biedakom i zaklinali ziemię, by się nie mściła. Tak, była to bowiem zemsta ziemi, której żyłę przecięto, zalewała ich nie woda, ale krew ziemi. Jakiś stary górnik mruczał dawne modlitwy i wyginał w tył wielki palec ręki, by zakląć duchy ciemności.

Na pierwszym rozstaju poczęto się spierać. Mouque zaklinał, by szli na lewo, inni upierali się, by skrócić drogę i udać się na prawo. Stracono minutę.

— Co mi tam! — krzyknął Chaval. — Róbcie, co chcecie, ja idę tu! — Zwrócił się w prawo, dwaj pomocnicy poszli za nim, a inni pobiegli za ojcem Mouque'em, który wzrósł w Requillart i znał je na pamięć. Ale on sam począł się wahać, którędy iść. Strach mącił myśli, a najwytrawniejsi nawet nie poznawali chodników i widzieli wszystko jak przez mgłę. Przy każdym rozstaju namyślano się, a przecież trzeba było się śpieszyć.

Stefan szedł na końcu powstrzymywany przez zdrętwiałą ze strachu Katarzynę. On byłby zwrócił się w prawo jak Chaval, ale narażając się na śmierć rozdzielił się z nim. Z wolna ludzie nikli w różnych chodnikach i już tylko kilku szło za starym Mouque'em.

— Obejmij mnie za szyję, poniosę cię! — rzekł do Katarzyny Stefan, czując, że słabnie.

— Nie, zostaw mnie — odparła — już nie mogę! Wolę zginąć zaraz. — Zostali o pięćdziesiąt kroków za innymi i Stefan wziął Katarzynę na plecy, mimo iż się opierała. Nagle przed nimi zapadło się sklepienie galerii, spadł ogromny blok i zatarasował przejście. Woda przemoczyła już skały i poczęły się zasypywać chodniki. Musieli wracać, a nie wiedzieli, w którym kierunku idą, znikła nadzieja wydostania się przez Requillart. Cały ratunek polegał jeszcze na wydostaniu się do chodników wyższych, gdzie im pośpieszą może z pomocą, gdy woda opadnie.

Stefan poznał wreszcie pokład Wilhelma.

— Dobrze! — wykrzyknął. — Wiem już, gdzie jesteśmy! Na Boga, byliśmy na dobrej drodze, ale teraz już przepadło. Słuchaj, teraz pójdziemy prosto i przez komin dostaniemy się do górnych sztolni.

Woda sięgała im piersi, więc posuwali się bardzo powoli. Dokąd było światło, dało się jeszcze wytrzymać, więc zgasili jedną lampę, by zaoszczędzić oliwy. Dotarli nareszcie do pionowego komina, gdy doszedł ich hałas. Obejrzeni się. Czyżby to byli górnicy, którym spadające bloki zatamowały przejście? Coś nadbiegało z tyłu w pianie wodnej. Wydali okrzyk, widząc pędzącą chodnikiem zbyt ciasnym białą masę.

Był to Bataille. Rzucił się do ucieczki i galopował chodnikami. Znał dobrze drogi tego podziemnego miasta, w którym mieszkał od jedenastu lat. Biegł, biegł, pochylając się i wąsko stawiał nogi w tych przesmykach, które wypełniał niemal swym ciałem. Biegł ciągle dalej, nie wahając się na rozstajach. Dokąd biegł? Może tam, gdzie się urodził, do młyna nad brzegami Skarpy, ku temu czemuś, co świeciło wysoko na niebie? Chciał żyć, pamięć mu wróciła w tym wysiłku ku życiu i zapragnął odetchnąć świeżym powietrzem równi. Biegł, by znaleźć jakąś dziurę, jakiś otwór, którym by wydostać się mógł na słońce. Opanowało go oburzenie na ciemności i tę kopalnię, która więziła go, a teraz groziła nawet śmiercią. Pędził, a woda biła go po nogach i krzyżu. Ale im dalej się zapędzał, tym węższe były chodniki, tym więcej zesuwały się ściany, aż wreszcie począł się ocierać bokami o drewniane szalowanie. Nie zważając na to pędził zostawiając na ścianach płaty skóry.

Stefan i Katarzyna ujrzeni, jak niedaleko już od nich zaklinował się w skały. Padł, złamał obie przednie nogi, ostatnim wysiłkiem powłókł się jeszcze parę metrów, ale nie mógł się zmieścić i został tak wciśnięty, konający. Wyciągnął okrwawioną szyję i przerażonymi oczyma szukał jeszcze wyjścia. Woda przewaliła mu się przez głowę. Wydał okrzyk, ten

sam okrzyk, z jakim poginęły inne konie w stajni. Był to straszliwy, protestujący przeciw śmierci wrzask zwierzęcia ginącego pod ziemią, z dala od słońca. Wrzeszczał ciągle. Nie było to rzenie, ale przerywany dławieniem się wodą jęk, który przeszedł niebawem w odgłos, jaki wydaje beczka napełniana, a potem nastąpiła cisza.

— Weź mnie stąd! Boję się! Weź mnie! — wołała Katarzyna.

Widziała śmierć. Zapadanie się szachtu, woda, bloki lecące z góry, nic nie napełniło jej takim strachem, jak śmierć konia, jego krzyk, który brzmiał jej ciągle w uszach, tak że drżała na całym ciele.

— Weź mnie stąd! Weź mnie stąd! — wołała.

Porwał ją na ręce i poniósł. Czas też był najwyższy, bo gdy docierali do komina, woda sięgała im już karków. Musiał ją podtrzymywać, bo nie miała siły trzymać się stęplowania. Ale gdy dotarli do pierwszego poprzecznego chodnika, mogli trochę odetchnąć, gdyż nie było w nim jeszcze wody. Nie dała długo na siebie czekać, musieli iść dalej. Godzinami wspinali się, pędzeni od piętra do piętra przez wodę. Na szóstym, woda się zatrzymała i przez chwilę zdawało się, że opada nawet, ale niedługo poczęła znów szybko przybierać, a oni poszli wyżej na siódme i ósme piętro. Ponad sobą mieli jeszcze jedno tylko i z trwogą patrzyli na podnoszące się zwierciadło wody. Jeśli nie opadnie, to zginą, jak Bataille, zduszeni o sklepienie, z płucami zalanymi.

Co chwila zapadały się chodniki, całą kopalnię opanował jakby wir, a wnętrzności jej pękały pod naporem wody. Powietrze ściśnione na końcach galerii rozrywało skały i wydostawało się z hukiem eksplozji. Podobny łoskot wstrząsać musiał ziemią w okresie formowania się jej skorupy. Dawna, podziemna walka rozgrywała się tu na nowo. Tak dziać się też musiało czasu potopu, który zalał ziemię i stworzył góry i doliny.

Katarzyna ogłuszona łoskotem składała ręce i prosiła:

— Nie daj mi umrzeć! Weź mnie stąd!

By ją uspokoić, przysięgał Stefan, że woda nie przybiera już, że uciekają już od sześciu godzin, więc pomoc nadejdzie lada chwila. Mówił: sześć godzin, choć nie mógł obliczyć czasu. W rzeczywistości zużyli cały dzień na wdzieranie się z piętra na piętro.

Przemoczona, drżąca, spoczęła tu przez chwilę, rozebrała się, nie czując wstydu, wykręciła z wody odzież i ubrała się na powrót, by ją na sobie wysuszyć. Była bez trzewików, więc Stefan zmusił ją do wdziania jego sabotów. Mogli teraz spocząć, więc skręcili knot lampy, tak że błyszczał tylko jak w lampce nocnej. Ale szarpiący ból w żołądkach przypominał im o jedzeniu, o czym zapomnieli. Nie zjedli dotąd swej *kanapki*, znaleźli ją przesiąkniętą wodą, zamienioną w papkę i Katarzyna wpadła zaraz w gniew, gdy Stefan nie chciał wziąć połowy. Gdy zjedli, dziewczyna śmiertelnie znużona zasnęła zaraz snem kamiennym. Stefan spać nie mógł, siadł, oparł głowę na rękach i drzemał.

Ile godzin tak minęło, nie wiedział. Jedno wiedział tylko, to mianowicie, iż od chwili w otworze sztolni ukazała się czarna, ruchliwa woda. Z początku zjawyły się na ziemi wężyki, potem dziwaczne kształty jakby zwierza pełzającego, a wreszcie woda oblała nogi śpiącej. Prerażony wahał się jeszcze, czy ją zbudzić, czy wyrwać ją okrutnie z tej szczęśliwej nieświadomości. Może śniła, że chodzi po łące, że jest wiosna? Zresztą dokądże uciekać? Myślał, i nagle przypomniał sobie, że ta droga w pokładzie Wilhelma ma połączenie w górze z poziomą galerią wiodącą do górnej hali zjazdowej najwyższego piętra. A więc było wyjście! Pozwolił jej spać jeszcze chwilę, a potem uniósł lekko. Zadrżała:

— A więc znowu zaczyna się! — wyjąknęła.

— Nie, uspokój się! Przysięgam ci, jest wyjście!

By wyjść, musieli się zanurzyć po szyję w wodzie, potem poczęli się znowu wspinać w górę kominem wyłożonym drzewem. Zrazu chcieli uwiązać się na linie, na której zwiślał jeden wózek, ale nie uczynili tego z obawy, że ściągnie drugi z góry i zginą od uderzenia. Zrezygnowawszy więc z pomocy, wspinali się, raniąc sobie palce na belkach. Stefan szedł z tyłu i podtrzymywał Katarzynę głową, ile razy ręce odmawiały jej posłuszeństwa. Ale po jakimś czasie trafili na drzazgę belki zamykającą przejście. Ziemia w tym miejscu ustąpiła ciśnieniu, droga była zamknięta. Szczęściem, właśnie do tego miejsca przypierał poziomy chodnik boczny i zaraz też dostali się do niego.

Zdziwili się, ujrawszy nagle światło. Jakiś człowiek krzyknął ze złością:

— A co... jak widzę... więcej jest jeszcze na świecie durniów podobnych do mnie!

Był to Chaval, któremu rumowisko zamknęło drogę, tak że musiał się tu wrócić. Dwaj chłopcy, którzy poszli za nim, zostali po drodze ze zgniecionymi czaszkami, a Chaval ranny w łokieć miał jednak odwagę dopełznąć do nich, przeszukać im kieszenie i zabrać lampy. Ledwie to skończył, powała runęła i galeria za jego plecami zamknęła się.

Zaraz poprzysiął sobie nie dzielić się zapasami z tymi nowymi przybyszami. Prędzej dałby się zabić, niż to miałby uczynić. Potem poznał przybyłych i zjadliwy uśmiech zjawił się na jego ustach.

— A, to ty Katarzyno! — zawołał. — Więc masz już dosyć swobody i wracasz do swego męża! Dobrze, dobrze, potańczymy sobie razem.

Udawał, że nie widzi Stefana, który zmartwiony spotkaniem osłaniał tulącą się doń dziewczynę. W końcu musiał się jednak pogodzić z sytuacją i spytał Chawala spokojnie, jakby się rozstali przed chwilą w najlepszej zgodzie.

— Nie wiesz, czy nie można by przejść dołem przez sztolnie?

Chaval drwił:

— Ach, przez sztolnie! Zapadły się, a my siedzimy w pułapce, pomiędzy dwoma murami... Mimo to, jeśli jesteś dobry nurek, spróbuj... I owszem...

W istocie woda podnosiła się coraz wyżej, słychać było jej plusk, odwrót był odcięty. Chaval miał słuszość, siedzieli w pułapce, na końcu galerii zamkniętej z przodu i z tyłu obsuniętymi skałami. Nie było stąd wyjścia.

— Widzę, żeś się namyślił zostać! — ciągnął Chaval dalej drwiąco. — I jest to zupełnie rozsądna myśl. Siedź tylko cicho, ja zapewne cię nie zaczepię. Wystarczy tu miejsca na dwu, zresztą wnet pokaże się, który z nas zdechnie, bo o pomocy, zdaje mi się, nie ma mowy.

Stefan odezwał się znowu:

— Może by pukać... sędzę, że mogliby usłyszeć.

— Już się zmęczyłem pukaniem... ale spróbuj... ot tam jest kamień!

Stefan, podniósł odlupany już przez Chawala kawałek piaskowca i począł w głębi galerii pukać sygnał górniczy, używany w razie niebezpieczeństwa. Potem przywarłszy uchem do ściany nadśluchiwał. Próbował ze dwadzieścia razy, ale zawsze nadaremnie.

Chaval tymczasem udawał, że z zimną krwią urządził się w nowym mieszkaniu, ustawił swe trzy lampy pod ścianą i zostawił tylko jedną zapaloną, dwie bowiem musiały służyć na potem, później ułożył na belce dwa bochenki chleba. Był to jego bufet, z którego czerpiąc oszczędnie, mógł liczyć na przetrzymanie dwu dni bez zbyteń głodu. Obrócił się do Katarzyny i rzekł:

— Rozumie się, gdyby ci się bardzo jeść chciało, to powiedz... połowa jest twoja.

Milczała. Niestety jej doszło dopiero teraz do ostatnich granic. Znowu byli obok niej obaj.

Poczęło się straszne życie we troje. Siedząc niedaleko siebie na ziemi, nie przemówili długo ni słowa, tylko na gest jednego, drugi zgasił swą lampę, słychać było jedynie plusk wody i gromoty oddalone zwiastowały zapadanie się ostatnich chodników kopalni. Katarzyna, zaniepokojona spojrzeniami Chawala, położyła się przy Stefanie. Zafrasowali się tylko, gdy trzeba było otworzyć lampę, by zapalić drugą. Ale cóż to szkodzi, lepiej zginąć od razu, pomyśleli i otwarli. Nic się nie stało, nie było gazów. Położyli się znowu i leżeli przez parę godzin.

Na szelest zwrócili głowy i spostrzegli, że Chaval zabiera się do jedzenia. Ułamał kawałek chleba i żuł go powoli, walcząc z żądzą połknięcia wszystkiego. A oni patrzyli nań szarpani głodem.

— Więc nie chcesz? — spytał Chaval Katarzyny. — Źle robisz!

Spuściła oczy, by nie ulec pokusie. Bolało ją tak w żołądku, że miała pełne łez oczy. Ale wiedziała, czego Chaval chce. Już tego ranka, gdy wróciła do roboty, musnął ją wąsami po karku. Zazdrość go poczęła trapić, pożądał jej, widząc ją u boku innego. W oczach jego ujrzała znane sobie błyski, które poznała po raz pierwszy wówczas, gdy obil ją pięściami, zarzucając, że ma stosunek miłosny z lokatorem matki. A drżała na myśl, co się stanie, gdyby się doń zbliżyła. Rzuciliby się na siebie w tej norze, gdzie byli zamknięci we troje.

Stefan umarłby raczej, niż miałby prosić Chavala o kawałek chleba. Milczenie ciężło im teraz strasznie, jednostajnie płynące minuty beznadziejnie długimi zdały im się wiekami.

Już cały dzień siedzieli razem, druga lampa poczęła gasnąć, zapalili trzecią.

Chaval rozłamał drugi chleb i zamruczał:

— Chodźże, głupia!

Katarzynę wstrząsnął dreszcz. Stefan odwrócił się, by jej nie krępować. Gdy się nie ruszała, szepnął wreszcie:

— Idź!

Popłynęły jej z oczu łzy tłumione dotąd, płakała długo i nie miała nawet siły wstać, nie wiedziała już, czy się jej chce jeść, gdyż ból szarpał całym jej ciałem. Stefan wstał, chodząc po galerii, pukał bez skutku i miotał się wściekły, że los zmusił go przeżyć resztkę życia tutaj, razem z przeklętym rywalem. Czyż nie było nawet tyle miejsca, by zginąć z dala od siebie? Zrobiwszy dziesięć kroków, musiał zawracać, by nie natknąć się na tamtego. Ach, a ta nieszczęśliwa dziewczyna, myślał, czyż aż do grobu mieli się spierać o nią. Stanie się własnością tego, kto przeżyje, a on przeżyje, ten drab, i zabierze mu ją. Godziny mijały, było coraz to niecznośniej i powietrze zatruwały wyziewy wydzielin, gdyż musieli wszyscy załatwiać w galerii swe potrzeby naturalne. Dwa razy rzucił się Stefan na skały, jakby je chciał rozbić pięściami.

Minął znowu dzień, Chaval siadł obok Katarzyny i podzielił się z nią resztką chleba. Żuła go powoli, a Chaval za każdy kęs kazał sobie płacić jakąś czułością, opanowany żądzą posiadania jej tu, w oczach tamtego. Nie broniła się wyczerpana, ale gdy Chaval chciał ją pośiąść, jęknęła:

— Puść, gniewiesz mnie!

Stefan, który się odwrócił do ściany, by nie widzieć, zerwał się na równe nogi.

— Puść ją, do stu tysięcy!...

— Cóż cię to obchodzi? — spytał Chaval. — Ona jest moją żoną i basta!

I znowu tulił ją do siebie, wyzywająco przyciskał wąsy do jej ust.

— Proszę cię, wynos się! — mówił do Stefana. — Zrób nam tę przyjemność i patrz na ścianę, gdy będziemy oddawali się czułościom małżeńskim.

Stefan wrzasnął rozszalały z gniewu:

— Puść ją albo cię zabiję!

Chaval wstał prędko, gdyż po syczącym tonie w głosie Stefana poznał, że chce zrobić raz koniec wszystkiemu. Śmierć szła zbyt powoli, przedtem jeszcze jeden musiał ustąpić miejsca drugiemu. Był to stary spór, wytoczony tylko na nowo tu, pod ziemią, gdzie obaj niedługo spoczną obok siebie. Mało było miejsca, nie mogli nawet podnieść pięści, nie kalecząc ich o ściany i o powalę.

— Pilnuj kości! — krzyknął Chaval. — Tym razem ja ciebie położyć!

Stefana opanował szal, oczy mu zaszyły krwią, a piersi rozpierała żądza mordercza, fizyczna potrzeba, wyrrywająca się zeń mimo woli pod parciem dziedzicznego przymusu. Chwycił ze ściany, kruchej w tym miejscu, wielki kawał łupku, obruszył go, wydarł i naraz obu rękami cisnął, a złom skalny roztrzaskał się na czaszce Chavala.

Chaval, który nie miał czasu uskoczyć, padł na twarz, mózg trysnął z jego czaszki na sklepienie, a pod ciałem utworzyła się natychmiast wielka kałuża krwi. Lampa drżącym światłem oświetlała teraz zwłoki na ziemi, podobne do bryły węgla.

Stefan pochylony naprzód patrzył na trupa. Więc stało się, zabił. W myśli stanęły mu walki, które z sobą toczył, daremne zwalczanie jadu, drzemiącego w jego organizmie, jadu alkoholu. Dziś był tylko z głodu pijany, ale dawny szal pijacki rodziców zrobił swoje. Włosy mu powstały na głowie na widok dokonanej zbrodni, ale serce wbrew wszystkiemu biło radośnie. Zaspokoili potrzebę dawną, trawiącą. W końcu uczuwał dumę, dumę zwycięzcy. Zjawił mu się zabity przez dzieciaka mały szyldwach. Tak, i on zabił.

Ale Katarzyna wydała okrzyk przerażenia.

— Boże! Zabity!

— Żal ci go? — spytał dziko.

Bąkała coś, zachwiała się i padła mu w ramiona, wołając:

— Zabij mnie! Zabij siebie! Gińmy!

Trzymała go za szyję, a on tulił ją do siebie. Mieli nadzieję, że umrą lada chwila, ale śmierci nie śpieszyło się, puścili się z objęć, dziewczyna zakryła oczy, a on wyciągnął ciało z galerii i pchnął je na dół. Trudno byłoby żyć z trupem pod nogami. Przerazili się słysząc jego plusk w wodzie. Więc cały już komin zapełniła woda? Ach tak, ujrzeni, że wpływa do ich galerii.

Potem zaczęła się inna walka. Ostatnia lampa zużyła swą oliwę na to, by oświetlać ciągle wznoszącą się wodę. Dochodziła im teraz do kolan. Podłoga galerii wznosiła się w górę, więc pobiegli w głąb, co przedłużyć im mogło życie o godzinę. Ale wnet dogoniła ich woda i sięgła bioder. Oparci plecami o ścianę patrzyli, jak przybiera bez końca. Gdy dosięgnie ich ust... zginą. Wisząca u stropu ostatnia lampa dogasając rzuciła czerwone błyski, na wodzie drgał krąg coraz to mniejszy, jak gdyby światło rozpuszczało się w złowrogiej cieczy. Nagle zapanowała ciemność, lampa zgasła, gdy wypięła ostatnią kroplę oliwy, zapadła noc, grobowa noc, wśród której zasną i nie ujrzą nigdy słońca.

— Przekłeta noc! — krzyknął Stefan.

Katarzynie zdawało się, że ciemność wyciąga po nią ręce, przytuliła się więc silniej do niego. Powtórzyła przysłowie górników:

— Śmierć gasi lampę.

Ale opanowała ją gorączka życia, żądza ocalenia. On począł żeleźcem lampy drążyć wyłom w łupku, a ona pomagała mu rękami. Po długiej pracy wydłubali rodzaj ławki i wyciągnęli się na nią. Siedzieli teraz z nogami zwieszonymi na dół, oparci plecami o skałę, a woda opłukiwała już tylko ich podeszwy. Ale musieli pochylać głowy i to ich męczyło. Niedługo poczuli zimne dotknięcie na kostkach, fala wzbierała ciągle. Ławka oślizgła wilgocią i musieli trzymać się rękami, by nie spaść. Jakże długo, myśleli, przyjdzie im jeszcze czekać na śmierć w tej niszy. Najwięcej gnębiła ich ciemność, w której nawet śmierci widzieć nie mogli. Cisza panowała straszliwa, woda nawet nie pluskała już, czuli jedynie pod sobą ciągle wzbieranie, ciche, jednostajne, okropne.

Mijały godziny czarne jedna za drugą, a nie mogli ich nawet mierzyć, gdyż coraz bardziej zatracali poczucie czasu. Wśród mąk mijał on jednak szybciej, zamiast, by im się dłużył, jak sądzili. Myśleli, że siedzą w galerii dopiero dwa dni i noc, gdy w rzeczywistości trzeci już dzień miał się ku schyłkowi. Znikła wszelka nadzieja ratunku. Tutaj dostać się nie mógł nikt, a choćby nawet woda opadła, głód zakończy niebawem życie obojga. Chcieli po raz ostatni dać sygnał, ale kamień został w wodzie. Zresztą i na cóż? Któż usłyszy?

Katarzyna pogodziła się z losem i bolącą głowę oparła o ścianę. Nagle hałas jakiś przejął ją drżeniem.

— Słuchaj! — zawołała.

Stefan myślał zrazu, że mówi o szmerze wody. Więc by ją uspokoić rzekł:

— To ja poruszyłem nogą.

— Nie, nie to!... Tam... w tym kierunku!

Przytuliła twarz do ściany. Uczynił to samo. Przez kilka sekund słuchali. Usłyszeli nagle trzy uderzenia w równych odstępach. Ale wątpili jeszcze, sądząc, że ich uszy ludzą. Może to zapadały się chodniki dalekie lub pękały złoża węgla? Zresztą, czymże pukać?

Stefan wpadł na pomysł.

— Masz saboty, zdejm i zapukaj obcasem.

Zapukali i znów nadśluchiwali. Odpowiedziały im trzy stuknięcia w równych odstępach. Dwadzieścia razy powtarzali sygnał i dwadzieścia razy otrzymali odpowiedź. Zapłakali, uściskali się i omal przy tym nie pospadali do wody. Wreszcie pośpieszyli z pomocą towarzysze. Zapomnieli z radości o mękach czekania i głodu, jakby wybawcy potrzebowali tylko przebić palcem ścianę, by się do nich dostać.

— Ach! — zawołała Katarzyna wesoło. — Co za szczęście, że oparła głowę!

— O, ty masz wyborny słuch! — odparł. — Ja nie dosłyszałbym!

Od tej chwili zmieniali się. Jedno zawsze nadśluchiwało, gotowe odpowiedzieć na każde stuknięcie, drugie spoczywało tymczasem. Niedługo usłyszeli stuk kilofów, rozpoczęto przekop, śpieszono im na pomoc! Nie tracili ni jednego stuknięcia. Ale wnet posmutnieli, śmiali się jeszcze co prawda, ale jedynie dlatego, by się wzajem oszukać. Rozpacz ogarnęła ich znowu. Zbliżano się jakby od strony Requillart, zdawało się, że galerię

poczęto u góry i robota postępuje skośnie w dół ku nim. Słychać było trzy kilofy. Mówili coraz mniej, myślą starając się obliczyć grubość bloku węgla dzielącego ich od kopiących. Liczyli cicho, ile dni potrzeba jeszcze... Ach, tyle dni! Pomrą niezawodnie do tego czasu! I zasmuceni odpowiadali już na sygnały bez nadziei, parci jedynie instynktowną potrzebą ruchu i świadczenia, że żyją jeszcze.

Minęły znów dwa dni, nadszedł dziesiąty dzień niewoli. Woda zatrzymała się u ich kolan, nie opadała, nie przybierała, a członki im martwiały w lodowatej kąpeli. Wyciągali nogi z wody, ale trudno je było trzymać podniesione dłużej jak godzinę, gdyż drętwiały, i musieli się poprawiać na oślizgłym siedzeniu, przy czym skała kaleczyła im plecy i głowy, już i tak obolałe od przygarbionej pozycji, w jakiej trwać musieli pod niskim sklepieniem. Powietrze psuło się coraz bardziej i gęstniało zgniecione w tym dzwonie nurkowym, w jakim się znaleźli. Oszalało ich i wydawało im się, że głosy ich dochodzą z dala, a w uszach huczało i tętniło, jakby pędziło ustawicznie ogromne jakieś stado lub padał gruby grad.

Zrazu Katarzynę szarpał głód, więc przyciskała do piersi chude ręce i wydawała jej-ki, żałąc się, iż obcegi jakieś rozdzierają jej żołądek. Stefan cierpiał także i mącił wkoło rękami za czymś, co by mogli zjeść. Wreszcie natrafił na kawałek zbutwiałego drzewa. Rozskubał je paznokciami i dał Katarzynie, która okrucieństwa chciwie połknęła. Dwa dni żyli tym drzewem, zjedli je do ostatniej drzazgi i czuli się nieszczęśliwi, gdy go zabrakło. Kaleczyli sobie ręce, by wyrzucić drugi kawałek, ale było mocne, oparło się. Gdy bóle znów się pojawiły, ułagodlili je pasem skórzanym Stefana. Stefan pogryzł go na kawałki, które potem ona żuła i łykała. Zajęło to przynajmniej ich szczęki i dało wrażenie jedzenia. Zjadłszy pas, poczęli ssać płótno ubrania.

Ale niedługo zmniejszyły się ataki kurczów, zmieniły się w ciągły, tępy ból, któremu towarzyszyła szybka utrata sił. I bez wątpienia byłoby już pomarli, gdyby nie obfitość wody. Pochylali się po prostu i czerpali w dłoń, co powtarzali ciągle, nie mogąc ugasić straszliwego pragnienia.

Siódmego dnia Katarzyna, wyciągnawszy rękę po wodę, trąciła o jakiś przedmiot.

— Pomacaj no to — rzekła — cóż to być może?

Stefan szukał w ciemności.

— Nie wiem, może płótno od wentylatora.

Napiła się, ale gdy sięgnęła po raz drugi trafiła na ów przedmiot. Wydała okrzyk strachu.

— To on... Boże!

— Kto?

— Ach, on! Wiesz przede! Uczułam jego wąsy na ręce.

Były to zwłoki Chavala, przypląły aż tu do nich z prądem. Stefan uczuł też wąsy, rozbity nos i wstrząsnął nim dreszcz, a Katarzyna dostała mdłości i wymiotowała wypitą wodę, zdawało jej się bowiem, że się napiła krwi. Wszystko było teraz krwią Chavala.

— Czeka! — bąknął — odsunę go.

Kopnął trupa tak, że odpłynął, ale niedługo uczuł, że trąca o jego nogi.

— Idź do licha! — zawołał.

Potem dał za wygraną. Prąd niósł tutaj zwłoki, Chaval nie chciał się oddalić, dręczył ich dalej, zatruwał im powietrze. Przez cały dzień nie pili walcząc z pragnieniem, woląc raczej umrzeć. Ale następnego zwyciężyła konieczność. Odpychali trupa przed zaczerpnięciem, potem pili. I na cóż było go zabijać, gdy nawet po śmierci rozdziela ich ciągle, jako trup jeszcze będzie tu się wciskał i przeszkadzał ich uściskom.

Znowu minęły dwa dni. Przy każdym ruchu Stefan czuł trącanie zwłok jak szturchanie łokciem sąsiada dającego znać, że jest. Zrazu zwiadywał się Stefanowi w strasznej wizji, potem wydało mu się, iż go nie zabił, ale tamten chce go kąsać w nogę. Katarzyną wstrząsały teraz ataki płaczu, po których następowało długotrwałe wyczerpanie. Wreszcie zapadła w śpiączkę, z której zbudzona, wybąkawszy parę słów, zasypiała na nowo. Obawiając się, by nie spadła i nie utonęła, objął ją wpół. Sam już tylko odpowiadał na sygnały wybawców. Zbliżyli się, słyszał kilofy za plecami. Ale wnet stracił siły do pukania. I na cóż się męczyć, wiedział, że są i pracują. Zobojętniały na ocalenie siedział odrętwiały, nie myśląc o niczym, czekając na coś.

Jedna okoliczność uczyniła pobyt ich w galerii znośniejszym nieco. Woda opadła i ciało Chawała odpłynęło. Przy tym dziewiąty już dzień pracowano nad ich ocaleniem. Z rozkoszą poczęli chodzić po galerii, gdy nagle silne wstrząśnienie obaliło ich na ziemię. Szukali się w ciemnościach, objęli i trzymali długo drżąc ze strachu, czy katastrofa nie rozpoczyna się na nowo. Ale cisza panowała. Nawet stuk kilofów ustał.

Siedzieli obok siebie w kącie galerii. Nagle Katarzyna poczęła się cicho śmiać.

— Pięknie musi być na dworze... Chodźmy!

Stefan usiłował walczyć z szaleństwem, ale z wolna omraczało mu zmysły i począł zatracać świadomość rzeczywistości. Katarzynę owładnęła potrzeba ruchu i mówienia. Miała teraz gorączkę, szum w uszach zdawał jej się szelestem wody w rzece i śpiewem ptaków. Tak pachniały kwiaty. Latały jej żółte płaty przed oczami, więc zdało jej się, że stoi nad kanałem pośród pól pszenicy dojrzałej w piękny słoneczny dzień.

— O, jak ciepło! — mówiła. — Chodź, obejmij mnie! Nie odchodź!

Przytulił ją do piersi, a dziewczyna, odzyskując pół przytomności, szczebiotała:

— Jakże byliśmy głupi, czekając tak długo? Od pierwszej chwili pokochałam cię i tyś to widział, nie śmiałeś tylko... A pamiętasz potem u nas... gdyśmy to zasnąć nie mogli i leżeli na wznak, dysząc ciężko, paleni pragnieniem uściskania się.

Udzieliła mu się jej wesołość, począł żartobliwie wspominać niemą miłość wzajemną.

— A raz uderzyłaś mnie! O, pamiętam! Dałaś mi w twarz.

— Dlatego, bom cię kochała! — szepnęła. — Wiesz, broniłam się, by o tobie nie myśleć, mówiłam sobie, że między nami wszystko skończone, a jednak czułam, że przyjdzie nasz dzień, w którym się posiądziemy... brakło tylko szczęśliwej sposobności, wypadku szczęśliwego, prawda?

Zadrżał, chciał otrząsnąć się z tego strasznego snu. Potem rzekł:

— Nic nie jest nigdy stracone, potrzeba tylko odrobiny szczęścia i wszystko rozpoczyna się na nowo.

— Więc weźmiesz mnie już do siebie! O, co za szczęśliwy wypadek!

Omdlała na pół osunęła się na ziemię, a głos jej przycichł. Przerażony przytulił ją do siebie.

— Czy cię boli? — spytał.

— Nie, nie boli! Czemuż ma boleć?

Pytanie jego zbudziło ją z marzeń. Spojrzała przerażona w ciemność i załamała rękę:

— O Boże, Boże! — łkała znów. — Jakże ciemno!

Znikły jej sprzed oczu pola, nie czuła zapachu kwiatów, nie słyszała śpiewu skowronków, ujrzała znów czarną norę, uczuła zatrute powietrze. Dołączyła się do tego zabobonna dziedziczna trwoga przed *czarnym hajerem*, który chodzi po kopalni i kręci karki rozpustnym dziewczętom.

— Słyszałeś? — szepnęła.

— Nie, nic nie słyhać.

— Ależ tak... wiesz... on... Patrz tam! Przecięto arterię ziemi, a on mści się i zalewa wszystko krwią... Patrz, tam stoi on! Czarniejszy od nocy. O, boję się! Boję się! Weź mnie stąd!

Umilkła, ale drżała ciągle. Potem rzekła:

— Nie, to nie on... to... tamten!

— Jaki tamten?

— Ten, co zawsze jest z nami... ten... zabity!

Zwidywał jej się Chaval, opowiadała o nim, o życiu, jakie wiodła u niego, o jednym dniu, kiedy to był tak dobry w Jean-Bart, i o tylu, tylu dniach bicia po twarzy, plecach, o karesach równie strasznym jak plagi.

— Mówię ci, że on wróci, że zawsze będzie nam przeszkadzał!... Wróci, zazdrość nim owładnie i wróci! O, odpędź go! Weź mnie do siebie i nie opuszczaj.

Rzuciła mu się na szyję, szukała ustami jego ust i przyciskała do nich wargi namiętne. I znowu rozwiały jej się przed oczyma ciemności, marzyła o słońcu, szczebiotała jak zakochana dziewczyna. Drżał, czując ją tak blisko wpólną, bo okrytą jedynie podartym kaftanem i spodniami, objął ją i wreszcie, w tych czeluściach grobowych, na łożu z błota

Seks, Śmierć

przeżyli swą noc miłosną. Nie mogli umrzeć, nie zaznawszy szczęścia, nie zaspokoiwszy pożądania, nie spełniwszy po raz ostatni przed śmiercią nakazu życia, które zmusza stwarzać życie. Zwątpiwszy we wszystko, kochali się nad grobem.

Potem nic się nie działo już. Stefan siedział ciągle w tym samym kącie na ziemi, trzymając na kolanach nieruchomą Katarzynę. Mijały godziny. Myślał, że śpi, ale dotknąwszy, pojął, że umarła, mimo to nie ruszał się, bojąc się ją zbudzić. Pomyślał o tym, co mu powiedziała o swej dojrzałości płciowej, która przyszła nareszcie. Rozczuliła go myśl, że był jedynym mężczyzną, któremu się oddała nie jako dziecko, ale dojrzała kobieta, dobrowolnie, z miłości. Może zaszła w ciążę, pomyślał. Osłabł bardzo, nie mógł chodzić, zostało mu tylko tyle siły, by podnieść rękę i przekonać się co jakiś czas, że jest z nim, że to nie był sen. Leżała zimna i sztywna. Zatracił świadomość wszystkiego, nie widział już nawet ciemności, nie pamiętał, czy czas mija. Znalazł się gdzieś poza tym wszystkim. Pukało coś wprawdzie silniej koło jego głowy, ale nie odpowiadał, bo nie wiedział, co to znaczy. Jakiś urywek snu zamajaczył mu w głowie i znikł. Na sekundę ujrzał idącą i stukającą sabotami Katarzynę. Nie ruszył się przez dwa dni, czując tylko od czasu do czasu dziewczynę przy sobie.

Nagle doznał wstrząśnienia, zabrzmiały głosy, bryły kamienia stoczyły mu się pod stopy, zapłakał, ujrawszy lampę, i mimo iż go raziło światło, wodził za nią oczyma i śmiał się... Wyniesiono go i wlano w gardło bulionu podważwszy zęby. Dopiero w galerii Requillart poznał kogoś, pochylającego się nad nim, i oto rewolucjonista-robotnik i sceptyczny przełożony Négrel zarzucili sobie ręce na szyję, objęli się i ucałowali, łkając, wstrząśnięci owym poczuciem braterstwa, które mimo wszystko tkwiło na dnie ich dusz.

Maheude przypadła do zwłok Katarzyny i lkała długo żałośnie. Wynoszono teraz jedne zwłoki po drugich, Chawala, którego, jak sądzono, zabiła belka spadająca, chłopca i dwu również zabitych przez gruz hajerów z wypłukanymi z czaszek mózgami, nabrzmiałych wodą. Kobiety rozszalałe darły na sobie suknie i drapały się po twarzach. Przyzwyczajwszy Stefana do światła i wlawszy mu w usta nieco rosołu, wyniesiono go na wierzch. Wyglądał jak szkielet, miał białe włosy, a tak straszny był, iż się rozstępowano przed jego noszami. Nawet Maheude odwróciła oczy od córki i patrzyła za nim osłupiałym wzrokiem.

## VI

Piękną, kwietniową noc poczęły już rozświetlać promienie wschodzącego słońca. Na niebie czystym błyszczwały jeszcze gwiazdy, a wschód zalany był już poświatą różową. Przez pola zaśnione szedł dreszcz, zwiastun przebudzenia.

Stefan kroczył drogą do Vandame. Przeleżawszy sześć tygodni w łóżku szpitalnym w Montsou, blade jeszcze, wstał już jednak, czując siły do odbycia podróży. Kompania drżąc ze strachu o kopalnię dała mu do zrozumienia, że nie może go wziąć do roboty, i ofiarowała wsparcie stu franków wraz z ojcowską radą, by porzucił zawód hajera, jako za ciężki dla niego. Odmówił przyjęcia wsparcia, ale posłuchał rady. Zresztą dostał niedawno list od Plucharta wzywający go do Paryża. Była to odpowiedź na jego list, a do pisma dołączone były pieniądze na drogę. Wczoraj opuścił szpital, przenocował w Bon-Joyeux u wdowy Désir i wstał przed świtem, gdyż chciał pożegnać się z towarzyszami przed odjazdem pociągiem, który odchodził z Marchiennes o ósmej rano.

Przystanął na drodze zalanej już luną wschodu. O jakże miło było oddychać świeżym powietrzem wiosennym! Wstawał dzień przecudny, a życie budziło się wraz z dniem. Poszedł dalej, stukając laską w ziemię. W dali poczęły snuć się opary. Stefan nie widział dotąd nikogo prócz Maheudy, ale i ona raz tylko zaszła do szpitala. Mimo to wiedział, że cała kolonia pracuje teraz w kopalni Jean-Bart i że sama Maheude została tam przyjęta.

Powoli ożywiła się droga, ciągle mijali Stefana górniczy. Szli bladzi i rozmawiali o nadużyciu Kompanii, która po dwu i półmiesięcznym strajku zdławionym głodem, gdy wrócili do pracy, narzucała im mimo wszystko nową taryfę. Okradziono ich z godziny pracy i zmuszono do złamania przysięgi, co ich najbardziej bolało. Pracowano znów wszędzie, w Mirou, Crèvecoeur, Madeleine, Victoire. Wszędzie przed świtem drogami zapadłymi jeszcze w ciemność snuły się szeregi ludzi idących ze zwieszonymi na piersi głowami jak trzoda pędzona do jatek. Drżeli z zimna okryci tylko płótnem, zakładali ramiona na piersiach, chwiali się w biodrach, a na plecach mieli garby z *kanapek*. Jasne było, że cały

ten tłum zmuszony głodem wraca do pracy zgrzytając zębami, ściskając pięści, z sercami przepelnionymi nienawiścią.

W miarę zbliżania się do kopalni wzrastał tłum idących. Prawie wszyscy szli pojedynczo, a nawet kroczący w grupach nie mówili do siebie, znużeni, przesyleni wszystkim. Wielu niosło w rękach saboty i prawie nie słychać było stąpań nóg ubranych w grube, wełniane pończochy. Był to odwrót masowy po klęsce, odwrót pobitej armii cofającej się z żądzą rozpoczęcia walki przy łada okazji.

Gdy Stefan przyszedł na miejsce, kopalnia Jean-Bart wyłoniła się już z ciemności, choć świeciły się jeszcze lampy na rusztowaniach. Ponad szare budynki wznosił się snop białej pary, jak pióropusz zaróżowiony na końcu karminem. Stefan minął sortownie i wszedł do hali zjazdowej.

Zjazd się rozpoczął, robotnicy wychodzili z ogrzewalni. Chwilę stał bez ruchu obezwładniony hałasem tym i ruchem. Flizy podłogi tętniły i drżały wstrząsane kołami wózków, na bębny nawijały się i rozwijały liny stalowe, huczało w uszach od tub sygnałowych, brzęku dzwonek, uderzeń młota w kowadło sygnałowe. Stefan ujrzał w pełnym ruchu potwora polykającego swą dzienną porcję mięsa ludzkiego, widział żarłoczne klatki znikające w czeluściach przełyku i uczył taką rozpacz w sercu na ten widok, że zamknął oczy, by nie widzieć.

Ale wnet otworzył je znowu i ujrzał znajomą twarz w głębi hali. Górnicy czekający tu boso z lampami w rękach rozstępowali się przed nim, spuszczać wstydliwie oczy. Poznawali go, nie gniewali się już, ale przeciwnie, bali się go, pewni, że pocznie im wyrzucać tchórzostwo. Zakrawiło mu to serce, zapomniał, iż go chcieli ukamienować, i począł znów marzyć o tym, by ich uczynić bohaterami, by zostać przywódcą, chwycić w rękę tę moc ogromną i przeszkodzić, by się ścierała sama w bezcelowej wewnętrznej rozterce.

Klatka napełniła się i znikła. Wśród tłoczących się Stefan ujrzał jednego ze swych podkomendnych z czasu strajku, dzielnego człowieka, który przysiągł, że woli zginąć, jak stanąć do pracy.

— I ty tutaj? — szepnął smutnie.

Tamten zbladł, drgnęły mu usta, potem wzruszył ramionami.

— Mam żonę! — odparł.

Poznał wśród tłoczących się w ogrzewalni samych znajomych.

— I ty? I ty? I ty? Wszyscy?

Tłumaczyli się z drżeniem:

— Ja mam matkę!

— Ja mam dzieci!

— Trzeba jeść!

— Trzeba jeść!

Klatka długo się nie zjawiała, czekali smutni i targani bólem porażki, odwracali oczy i by się nie widzieć patrzyli w szacht.

— A Maheude? — spytał Stefan.

Nie odpowiadano. Jeden dał tylko poznać gestem, że i ona przyjdzie.

Inni wzniesli ręce pełni politowania.

— Nieszczęśliwa kobieta!

— Co za nędza!

Milczenie przedłużało się, ale gdy Stefan wreszcie każdemu podał rękę na pożegnanie, w ściśnięciu jego dłoni każdy chciał wyrazić swój ból i wściekłość, że musiał ustąpić. Była też w tym zapowiedź odwetu, gorączka zemsty... Klatka się zjawiała i połknęła ich głębia.

Nadszedł Pierron z otwartą lampą dozorczy u czapki. Od tygodnia był on dozorcą szachtowym przy wsiadaniu i dumny był, że robotnicy rozstępują się przed nim. Zbladł na widok Stefana, ale rozradował się na wieść, że odjeżdża za parę godzin. Poczęli rozmawiać. Pierronka objęła kawiarnię *Pod Postępem* dzięki poparciu przełożonych, którzy się dla nich okazywali zawsze tak łaskawi. Tu przerwał sobie, by zbesztać starego Mouque'a za to, iż nie wygarnął o oznaczonej godzinie gnoju spod koni. Stary wysłuchał i pochylił głowę, ale nim zjechał na dół, uściśnął Stefanowi rękę silnie, długo, gorąco, jakby mu mówił: Gdy dasz znak... podpalę budę. Ta drżąca w jego dłoni ręka starca, który mu przebaczał śmierć swych dzieci i oznajmiał gotowość do walki, rozczuliła go tak, że nie rzekł nic, gdy stary zniknął w szachcie.

— Pewnie Maheude dziś nie przyjdzie? — spytał Pierrona po chwili.

Udawał z początku, że nie słyszy. I na cóż to gadanie? Same nieszczęścia tylko z tego wynikają. Ale oddalając się, by spełnić jakiś rozkaz, rzekł cicho.

— Co? Maheude?... O, właśnie wychodzi z ogrzewalni.

Rzeczywiście zjawiała się ubrana w kaftan płócienny, stare spodnie górnicze męża i jego czapkę. Było to aktem szczególnego miłosierdzia Kompanii, że przyjęto do roboty czterdziestoletnią kobietę. Uczyniono to wyłącznie ze względu na szereg nieszczęść, jakie na nią spadły. Ponieważ nie nadawała się na przesuwaczkę, więc kazano jej obracać mały wentylator w północnej części kopalni, w sąsiedztwie piekła Tartaretu, gdzie nie dochodziło powietrze wciskane pompą główną. Przez dziesięć godzin dziennie obracała pochylona w głębi ciasnej sztolni koło wentylatora w temperaturze czterdziestu stopni i zarabiała trzydzieści sous.

Stefan zadrżał, ujrawszy ją w męskim ubraniu, z brzuchem i piersiami nabrzmiałymi wilgocią kopalni, nie mógł wymówić słów powitania.

Patrzyła nań, a potem poczęła mówić:

— Prawda, dziwi cię, że mnie tu spotykasz, mnie, któram przysięgła sto razy, że uduszę każde z moich dzieci, które by się ośmieliło stanąć do roboty! Powinna bym udusić się więc sama... prawda? I stałoby się to niezawodnie, gdyby nie dziadek i troje małych dzieci w domu.

Głosem cichym, znużonym, mówiła bez przerwy. Nie tłumaczyła się, opowiadała tylko, jak groziła im śmierć głodowa i wyrzucenie z mieszkania, wobec czego musiała się zdecydować.

— Jak się ma stary? — spytał Stefan.

— Zawsze dobry i pilnuje porządku, tylko rozumu nie ma za grosz... Nie ukarano go za to głupstwo... jak wiesz. Chciano go tylko zamknąć w domu wariatów, ale oparłam się. Zadano by mu jeszcze czego w rosole... Ta historia zaszkodziła nam zresztą, gdyż już nie dostanie pensji<sup>44</sup>. Jeden z tych tam panów... powiedział mi wyraźnie, że to byłoby wprost niemoralne, gdyby go spensjonowano po tym, co zrobił.

— A Jeanlin pracuje?

— Tak... ci panowie znaleźli mu zajęcie poza kopalnią i zarabia dwadzieścia sous. O, ja się nie uskarżam, przełożeni, jak sami mi powiedzieli, okazali się bardzo łaskawi. Zarabiamy razem, ja i Jeanlin, pięćdziesiąt sous dziennie i gdyby nie to, że nas jest sześcioro, mielibyśmy co jeść. Stelka je już także, a najgorsze to, że trzeba jeszcze czekać cztery do pięciu lat, zanim Lenora i Henryś dojdą wieku, by mogli pracować w kopalni.

Stefan nie mógł powstrzymać okrzyku:

— Jak to, i oni?

Blade policzki Maheudy zaczerwieniły się, a oczy rozbłysły. Ale pochyliła głowę pod brzemieniem losu.

— Ha, trudno? Oni, po tamtych... wszyscy poginęli w kopalni, teraz przyjdzie na malców kolej! Już taki los!

Zamilkła. Wózki ładowniczych nie dały jej mówić, poprzez zakurzone okna hali padać poczęło światło dzienne, a latarnie gasły i ćmiły się jedna po drugiej. Co trzy minuty zjawiała się klatka, warczały bębny, drgały liny, ludzie zjawiali się i znikali.

— Dalej marsz, cóż to za lenistwo przekłete? — krzyknął Pierron. — Włazcież do klatki, nie skończymy inaczej do wieczora!

Maheude nie ruszyła się. Opuściła już trzy klatki i nagle, jakby zbudzona, spytała Stefana:

— Więc wyjeżdżasz?

— Tak, dziś jeszcze.

— Masz słuszność, lepiej być gdzie indziej, jeśli tylko można. Cieszy mnie, że cię widziałam... Jedź zdrow... nie mam do ciebie żalu. Choć była chwila... po tym mordzie... że chciałam cię zabić. Ale człowiek głupieje w takich razach... prawda? Potem dopiero się spostrzeżę, że nikt nie winien. Nie, to nie twoja wina... winien świat!

Mówiła spokojnie o umarłych, mężu, Zachariaszu, Katarzynie, tylko na wspomnienie Alziry łzy jej napęliły oczy. Stała się znów spokojną, rozsądną kobietą i sądziła sprawię-

<sup>44</sup>pensja — tu: emerytura.

dlowie. Nie przyniesie mieszcuchom szczęścia to pomordowanie tylu ludzi i spotka ich niezawodnie kara... O, niezawodnie! Nie trzeba się będzie nawet w to mieszać... żołnierze poczną do nich strzelać... jak przedtem do robotników... i będzie koniec tego wszystkiego. Uległa była jak dawniej, poddała się, a jednak w głębi jej duszy tkwiła teraz pewność, że ucisk trwać nie może wiecznie, a jeśli nie ma dobrego Boga, to powstanie Bóg zły, Bóg zemsty, i świat we krwi skąpie i oczyści.

Mówiła cicho, oglądając się podejrzliwie, a gdy zbliżył się Pierron, dodała głośno:

— Odjeżdżasz, więc powinienes zabrać swe rzeczy. Zostały u nas twoje dwie koszule, trzy chustki do nosa i stare spodnie.

Stefan nie chciał brać tych szmat, ocalonych przed handlarzem starzyzny, więc odparł:

— O nie, to nic nie warte, może się wam przyda dla dzieci... W Paryżu dam sobie jakoś radę...

Zjawiły się znów i znikły dwie klatki, więc Pierron zwrócił się już wprost do Maheudy.

— Słuchajcie, robota czeka! Czy wnet będzie koniec tego gadania?

Obróciła się doń plecami. Patrzcie, teraz gorliwego udaje ten sprzedawczyk! Cóż go obchodzi ten zjazd? Pierrona nienawidzono już w całej kopalni. Maheude stała dalej z lampą w ręku, mimo ciepłego dnia dygocząc w przeciągu, jaki panował w hali.

Ale nie mogli już znaleźć słów i stali przed sobą w milczeniu, choć serca ich były pełne i chętnie byliby sobie niejedno powiedzieli.

Wreszcie poczęła, by coś mówić:

— Levaque zaszła w ciążę. — Mąż jej jeszcze ciągle w więzieniu, ale to nic, zastępuje go Bouteloup.

— A, tak, Bouteloup.

— I słuchaj jeszcze... mówiłam ci, czy nie?... Filomena uciekła!

— Uciekła?

— Tak, z jednym hajerem z Pas-de-Calais. Bałam się, że mi zostawi na karku dzieci, ale dzięki Bogu zabrała oboje... Słuchane to? Taka gnida, co pluje krwią i wygląda jak zmore...

Namyslała się przez chwilę, a potem ciągnęła dalej:

— Mówiono też o nas, o mnie i o tobie... wiesz co? Oto, że śpimy razem! Boże drogi, mogło się to przytrafić, od kiedy umarł mój stary, ale musiałabym być młodsza... prawda? Zadowolona jestem, że się to nie stało... żałowałibyśmy teraz oboje...

— Tak... żałowałibyśmy oboje... — powtórzył tylko.

Na tym rozmowa się urwała. Klatka czekała, wołano na nią, grożono karą, więc uściśnęła mu rękę i poszła. Patrzył za nią, jak szła z włosami wymykającymi się spod czapki, ubrana w strój niewłaściwy, deformujący kształty tej dobrej, płodnej matki. W ostatnim uścisku jej dłoni czuł to samo, czym go pożegnali towarzysze. Był to uścisk długi, cichy, jakby *do widzenia* w ten dzień, w którym zadrzą posady świata! Zrozumiał to, a w oczach jej wyczytał niewzruszoną wiarę w bliskość dnia tego... Do widzenia!... pomyślał... O, będzie to dzień sądu!

— Dalej, marsz, próżniaczko! — wrzeszczał Pierron.

Popychana, szturchana, usiadła wreszcie Maheude w wózku wraz z czterema górnikami, dano sygnał *mięso ludzkie*, klatka odczepiła się i wpadła w czelustę kopalni, zostawiając po sobie tylko drżenie rozwijającej się z szaloną szybkością liny stalowej.

Stefan zwrócił się ku wyjściu. W sortowni ujrzał siedzącą na ziemi jakąś postać ludzką, a dokoła niej wzgórze węgla. Był to Jeanlin przeznaczony do *oczyszczania z grubsza* węgla. Siedział, trzymając między kolanami złom węgla i obijał go młotkiem z warstwy łupku. Pokrył go tak pył węglowy, że Stefan byłby go nie poznał, gdyby malec nie podniósł w górę swej małpiej twarzy z odstającymi uszami i zielonymi oczami. Jeanlin roześmiał się, palnął młotkiem w głaz węglowy i znikł w obłoku czarnego pyłu.

Zamysłony szedł Stefan drogą, ale mimo tłoczącej jego umysł chmury myśli czuł radosne upojenie, że żyje, oddycha świeżym powietrzem i ma nad głową jasne, pogodne niebo. Słońce zajaśniało, zbudził się świat, po równi rozlało się falą światło, a ciepło przenikało coraz to bardziej wszystko, budząc dreszcz życia rozkoszny, budząc kielki drzemiące w ziemi, każąc śpiewać ptakom, szemrać wodzie, szumieć lasom. Poczynano się życie, świat stary radował się wiosną.

Ożywiony nadziejami szedł Stefan powoli rozglądając się wokoło. Myślał o sobie, swej przyszłości, czuł się silny, dojrzały i zahartowany przejściami w kopalni. Nabral doświadczenia, uzupełnił wykształcenie i szedł teraz w świat jako wytrawny, zbrojny we wszystkie broń żołnierz rewolucji, głosząc zatrię staro społeczeństwa, wyzywając je na bój ostateczny. Nadzieja złączenia się z Pluchartem, zostania jak on przywódcą, którego słuchają tłumy, nasuwała mu już myśli, zwroty. Zamierzał rozszerzyć swój program, wysubtelnić zdolności umysłu i na myśl o tym czuł, iż wzrasta w nim nienawiść do burżuazji. Teraz, gdy wyzwolił się ze swej klasy, musi tych robotników, których nędza wstrętem go przejęła, otoczyć nimbem. Musi ukazać ich światu jako jedynie wolnych od win, jedynie rozumnych i silnych ludzi, którym upodobnić należałoby społeczeństwa całe. Widział się już na trybunie tryumfującym ową siłą, siłą ludu, słyszał oklaski... upajał się...

Skowronek odezwał się spod chmur i Stefan podniósł głowę. Małe, różowe chmurki rozplywały się po szafirze i nikły. Dzień się zapowiadał cudny. Naraz przyszli Stefanowi na myśl Souvarine i Rasseneur. Ach, naturalnie, wszystko musi rozlecieć się w gruzy, jeśli każdy wyciąga rękę po władzę... Ta choćby olbrzymia Międzynarodówka, która świat miała odnowić, rozleciała się, bo wielka jej armia ogarnięta szaleem rozterek podzieliła się na części i starła w walkach wzajemnych. Czyż jednak miał rację Darwin, mówiąc, że wszystko w świecie jest walką, w której zwyciężają silniejsi i w ten sposób utrzymują i uszlachetniają rasę. To pytanie zaniepokoiło go. Ale poradził sobie, rozcinając węzeł po swojemu, gdyż dziś odpowiadała mu lepiej jego własna teoria. I oto wpadło mu na myśl właśnie to swoje objaśnienie teorii doboru i ewolucji wziąć za temat pierwszego swego publicznego przemówienia. Jeśli już jedna z klas miała być pochłonięta, to czyż nie słusznie, by młody, silny lud pochłoniął trupa, zdegenerowaną, starą burżuazję. Z nowej tej, zwycięskiej klasy powstanie nowe społeczeństwo. Widział już wielką wędrówkę ludów, wielki zalew Europy przez barbarzyńców, którzy odrodzić szli stare spróchniałe społeczeństwo. Nigdy tak silnie jak w tej chwili nie wierzył w przyjsie rewolucji, prawdziwej rewolucji robotniczej, której luno rozjaskrawią zachód wieku staro i pozdrowią świt nowego wieku sprawiedliwości.

Szedł zatopiony w marzeniach, pukając łaską w ziemię i rozglądając się wokoło. Ot tam leżało Fourche-aux-Boeufs, gdzie objął dowództwo nad strajkującymi i począł bieg od kopalni do kopalni. Dziś tam rozpoczynała się znowu zwierzęca, zabijająca, złe płatna praca. Zdawało mu się, że z głębi siedmuset metrów dolatuje go huk regularnych, miarowych uderzeń kilofów i widzi czarnych, osmolonych górników, walących w czarną skałę z cichą zapamiętałością. Pokonano ich, zapłacili zmniejszonymi zarobkami, zapłacili trupami, ale Paryż nie zapomni salwy karabinowej w Montsou i krew cesarstwa z tej rany płynąć nie przestanie. A choć kończy się kryzys przemysłowy i otwierają się fabryki jedna po drugiej, to mimo to ogłoszony jest stan wojenny i spokój nie zapanuje już nigdy. Robotnicy policzyli się, poznali swą siłę, zbudził ich krzyk o sprawiedliwość, rozbrzmiewający po całej Francji. Toteż pokonanie ich nie dało burżuazji spokoju. Mieszczanie Montsou oglądali się niespokojnie, niepewni, czy ta cisza nie zwiastuje zagłady. Czuli, że walka rozpoczęta dopiero i lada dzień wybuchnąć może strajk generalny, oparty o kasy strajkowe i wytrzymałość robotnika mogącego żyć przez ciąg miesięcy samym chlebem. Tym razem trącono jedynie pięścią w spróchniałe gmachy, tak sobie, na próbę, a już mieszczenie usłyszeli trzask krokwi. Czuli, że nastąpią nowe uderzenia, coraz to silniejsze, i że padnie w proch stary gmach, jak zapadła się w głąb ziemi Voreux, i po nich wszystkich zostanie bagno.

Stefan skierował się na lewo ku Joiselle i przypomniał sobie, jak to obronił Gaston-Marie. W oddali dostrzegł wieże szachtowe licznych kopalń Mirou, Madeleine, Crèvecoeur. Wszędzie pracowano, ciągle brzmiał mu w uszach stuk kilofów, tętniła od nich cała równia. Ciągłe pod tymi wszystkimi polami jęczały skały od uderzeń stali, wszystkie wsie i drogi, i rozłogi oblane słońcem drżały od ciosów skazańców skrytych tak głęboko w swej katordze, że trzeba było widzieć ich, jak się męczą, by dosłyszeć ciężkie ich westchnienia, co, przebiwszy skały, bląkają się jak opary po tych polach. I przyszło mu na myśl, że akty gwałtu nie przyspieszyłyby bardziej wybuchu jak ta męka. I na cóż było przecinać liny, wrywać szyny, rozbijać lampy... na cóż ta cała praca... na cóż ów bieg szaleńczy trzech tysięcy zrozpaczonych? Czuli, że to dzieciństwo, że zgoła inaczej wyglądać będzie zemsta... w owym dniu. Ochłódł, stał się rozważniejszy. Tak, Maheude przeczuwa-

ła, co nastąpi, akt zemsty wyjdzie z szeregów zorganizowanych spokojnie w syndykaty na podstawie ustaw, ramię przy ramieniu, i wówczas zgładzi się kupkę nicponiów i weźmie władzę. Ach, co za wiosna ludów zaświta wówczas! W tym dniu zachłśnie się i zdechnie potworne bożyszcze skulone kędyś w głębi swej świątyni w nieznanym kraju. Mięso ludzkie stanie mu w gardle i skona owa stwora czarna, dla której giną i marnieją miliony nieszczęśliwych.

Stefan skręcił na gościniec. Na prawo ujrzał Montsou stojące na płaskim wzgórzu i spływające w dolinę. Naprzeciw były ruiny Voreux, owo bagno, z którego pompy czerpały dniem i nocą wodę, a na horyzoncie rysowały się inne kopalnie, Victoire, Saint-Thomas, Feutry-Cantel, zaś bardziej na północ widniał las wysokich kominów i stożki baterii koksowych. Jeśli nie miał spóźnić się na pociąg, musiał pośpieszać, gdyż miał jeszcze sześć kilometrów przed sobą.

Szedł, a pod nogami czuł ciągle uderzenia kilofów, ciężkie, miarowe, uparte uderzenia. Byli tam w głębi wszyscy towarzysze jego. Tam Maheude obracała swoje koło, ciężko dysząc w żarze piekielnym, na prawo i lewo dostrzegał innych, wszędzie byli pod polami, płotami, drzewami! Słońce kwietniowe błyszczało na niebie i grzało wieczyście płodną ziemię, kwiaty parły się w górę, pola drżały od pęczniejących ziaren, wszędzie tętniło życie, a przez te szmery podobne do odgłosu pocałunków, w uszach Stefana tłukły ciągle kilofy, pełniąc jednostajnym, ciężkim, ponurym tętentem powietrze, bijąc falą łoskotu pod jasne niebo. Tam, w czeluściach ziemi męczennicy pozbawieni słońca wykuwali jej losy, z męki ciał rodziły się duchy mścicieli, tam rosła armia zrozpaczonych, tam kielkował posiew, który o wiosnie, porwany nieprzepartą siłą bujania, wynurzy się na słońce poprzez szczeliny spękanej w kawałki ziemi.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/germinal>

Tekst opracowany na podstawie: Emil Zola, *Germinal*, Tom I, II, Szpółdzielnia Wydawnicza "Wiedza", Warszawa 1947

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aneta Rawska, Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: guymoll@Flickr, CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na [stronie wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).